POWRÓT DO PARKU JURAJSKIEGO

ZAGINIONY ŚWIAT

MICHAEL CRICHTON

MICHAEL CRICHTON

POWRÓT DO PARKU JURAJSKIEGO

ZAGINIONY ŚWIAT

Przekład
Andrzej Leszczyński

DREAM BOOKS

2016

2010

Tytuł oryginału: *The Lost World* by Michael Crichton
The Lost World Copyright © 1990 by Michael Crichton, © 2014 by Dinosaur Holdings LLC

Copyright © for this Polish edition by Andrzej Leszczyński / Dream Books (A division of Dream Music Ltd.), Warsaw, Poland 2016
Cover designed by Radosław Kulig (Dream Books)

Tłumaczenie: Andrzej Leszczyński
Redakcja: Anna Lisiecka (UKKLW)
Korekta: Firma Korektorska UKKLW – Małgorzata Ablewska, Katarzyna Szol
Skład i łamanie: Ewa Majewska

Wydanie I
ISBN: 978-83-64460-38-8 (e-book)

Dream Books
Dream Music Sp. z o. o.
ul. Wspólna 50 lok. 9, 00-687 Warszawa, Polska
Tel. +48-22-4035713
Fax +48-22-4035713

E-mail: info@dreambooks.com.pl
Website: www.dreambooks.com.pl, www.dreammusic.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej

SPIS TREŚCI

WSTĘP

PROLOG

PIERWSZA KONFIGURACJA

DRUGA KONFIGURACJA

TRZECIA KONFIGURACJA

CZWARTA KONFIGURACJA

PIĄTA KONFIGURACJA

SZÓSTA KONFIGURACJA

SIÓDMA KONFIGURACJA

PODZIĘKOWANIA

MICHAEL CRICHTON

Dla Carolyne Conger

Naprawdę jestem ciekaw, czy Bóg miał jakikolwiek wybór, przystępując do stworzenia świata.

ALBERT EINSTEIN

Tam, gdzie rządzi przypadek, nawet najdrobniejsze zmiany strukturalne zazwyczaj pociągają za sobą olbrzymie zmiany w zachowaniu. Stąd też możliwość osiągnięcia pełnej kontroli nad powodowanymi reakcjami zdaje się być wykluczona.

STUART KAUFFMAN

Następstwa są całkowicie nieprzewidywalne.

IAN MALCOLM

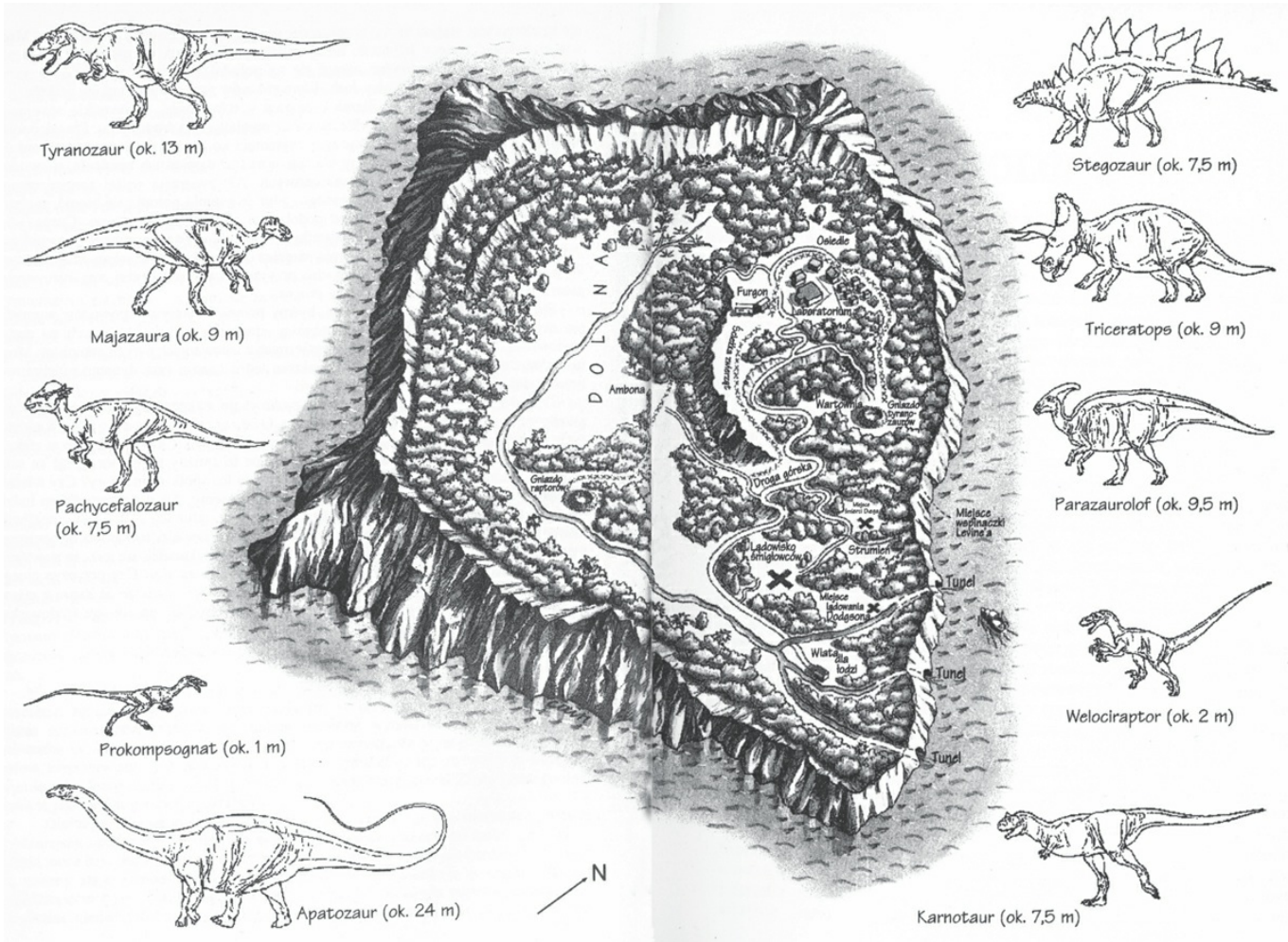
Tyranozaur (ok. 13 m)
Majazaura (ok. 9 m)
Pachycefalozaur (ok. 7,5 m)
Prokompsognat (ok. 1 m)
Apatozaur (ok. 24 m)
Stegozaur (ok. 7,5 m)
Triceratops (ok. 9 m)
Parazaurolof (ok. 9,5 m)
Welociraptor (ok. 2 m)
Karnotaur (ok. 7,5 m)
DOLINA
Osiedle
Furgon
Laboratorium
Ambona
Wartownia
Gniazdo tyranozaurów
Droga górska
Gniazdo raptorów
Miejsce wspinaczki Levine'a
Strumień
Lądowisko śmigłowców
Tunel
Miejsce lądowania Dodgsona
Wiata dla łodzi
Tunel
Tunel
N

WSTĘP

WYMIERANIE GATUNKÓW NA PRZEŁOMIE K-T

Pod koniec dwudziestego wieku jesteśmy świadkami olbrzymiego wzrostu zainteresowania naukowców problemem wymierania gatunków.

Nie jest to zagadnienie nowe, baron Georges Cuvier po raz pierwszy wykazał istnienie tego zjawiska już w roku 1786, czyli zaraz po uzyskaniu niepodległości przez Stany Zjednoczone. Naukowcy zaakceptowali je na trzy czwarte wieku przed ogłoszeniem teorii ewolucji Darwina. Później, mimo że owa teoria zawsze budziła wiele kontrowersji, nikt nie kwestionował występowania zjawiska zanikania gatunków.

Wręcz przeciwnie – utarło się je uważać za coś tak naturalnego, jak unieruchomienie samochodu z powodu wyczerpania paliwa. Wymieranie traktowano jako dowód braku umiejętności adaptacyjnych poszczególnych gatunków, które to zdolności zaczęto intensywnie badać. Nikt jednak nie zastanawiał się dłużej nad pytaniem, dlaczego niektóre organizmy nie potrafią się przystosować do zmian w środowisku. Bo i co można było na ten temat powiedzieć? Ale dwa ważne zagadnienia, na które zwrócono uwagę w początkach lat siedemdziesiątych, kazały spojrzeć na kwestię wymierania gatunków pod zupełnie innym kątem.

Po pierwsze stwierdzono, że błyskawicznie rozrastająca się liczebnie ludzkość dokonuje bardzo intensywnych przeobrażeń naszej planety – eliminuje tradycyjne siedliska zwierząt, wycina lasy tropikalne, zanieczyszcza powietrze oraz wodę, prawdopodobnie przyczynia się nawet do globalnych zmian klimatycznych – a działalność ta powoduje wymieranie kolejnych gatunków. Wielu naukowców zaczęło bić na alarm, inni obserwowali te procesy z rosnącym niepokojem. Jak bardzo odporny na zmiany jest ziemski ekosystem? Czy rozwój cywilizacyjny musi doprowadzić do wymarcia gatunku

homo sapiens?

Nikt nie umiał odpowiedzieć na te pytania. Wcześniej problem zanikania gatunków nie był przedmiotem systematycznych badań, niewiele zdołano zebrać informacji na temat skali owego zjawiska w minionych epokach geologicznych. Właśnie dlatego naukowcy zaczęli tak intensywnie badać wymieranie gatunków w przeszłości, mając nadzieję, że wynikną z tego jakieś wnioski na przyszłość.

Po drugie pojawiło się wiele nowych danych dotyczących kresu panowania dinozaurów na Ziemi. Od dawna było wiadomo, że wszystkie gatunki dinozaurów wymarły w stosunkowo krótkim czasie u schyłku kredy, w przybliżeniu siedemdziesiąt pięć milionów lat temu. Mówiąc ściślej, czas trwania tego procesu stał się przedmiotem długotrwałych i zaciekłych sporów: część paleontologów utrzymywała, że nastąpiło to katastrofalnie szybko, podczas gdy inni głosili tezę, iż dinozaury wymierały stopniowo, w okresie liczącym dziesięć tysięcy czy nawet dziesięć milionów lat, co wszak trudno uznać za zjawisko krótkotrwałe.

W roku 1980 fizyk Luis Alvarez wraz z trzema współpracownikami wykazał, że w skałach pochodzących z końca kredy i początku trzeciorzędu – okresu nazwanego później w skrócie przełomem K-T – występuje podwyższona zawartość irydu, pierwiastka rzadkiego na Ziemi, lecz spotykanego obficie w meteorytach. Na tej podstawie zespół Alvareza wysunął hipotezę, że właśnie na przełomie K-T uderzył w Ziemię olbrzymi meteoryt, mający wiele kilometrów średnicy. Skutkiem takiego kataklizmu byłoby bardzo silne zapylenie atmosfery, zahamowanie procesów fotosyntezy i masowe obumieranie roślinności, co mogło się stać przyczyną kresu dominacji dinozaurów.

Owa katastroficzna teoria silnie podziałała na opinię publiczną, zrodziła w świecie naukowym liczne kontrowersje, zaprzątające umysły przez wiele lat. W wyniku poszukiwań krateru po zderzeniu z tak wielkim meteorytem wytypowano kilka prawdopodobnych miejsc. Odkryto pięć innych okresów charakteryzujących się masowym wymieraniem gatunków i zaczęto się zastanawiać, czy one wszystkie nie były skutkiem zderzeń Ziemi z wielkimi meteorytami. Powstała teoria o trwającym dwadzieścia sześć milionów lat cyklu gigantycznych katastrof na Ziemi, według której już niedługo miałby nastąpić kolejny kataklizm.

Zagadnienia te szeroko dyskutowano przez kilkanaście lat, aż do sierpnia 1993 roku, kiedy to podczas jednego z cotygodniowych seminariów w Instytucie Santa Fe pewien matematyk, Ian Malcolm, obrazoburczo oznajmił światu, iż żadne ze stawianych w tej dziedzinie pytań nie ma większego

znaczenia, a wszelkie rozważania dotyczące możliwości zderzenia Ziemi z meteorytem są – jak się wyraził – mało istotnymi, czczymi spekulacjami.

– Weźmy pod uwagę liczby – powiedział Malcolm, pochylając się nad mównicą i śmiało wodząc wzrokiem po twarzach zebranych. – Obecnie istnieje na naszej planecie pięćdziesiąt milionów gatunków roślin i zwierząt. Uważamy to za olbrzymią różnorodność, ale stan ten jest nieporównywalny z tym, co występowało we wcześniejszych okresach. Szacuje się, że od narodzin życia na Ziemi powstało w sumie pięćdziesiąt miliardów gatunków. A to oznacza, że z każdego tysiąca gatunków, jakie kiedykolwiek występowały na naszej planecie, do dzisiaj dotrwał tylko jeden. Zatem dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć dziesiątych procent organizmów wymarło. Trudno zakładać, że więcej niż pięć procent z tej liczby padło ofiarą masowej zagłady, należy więc przyjąć, że olbrzymia większość gatunków wymierała stopniowo.

Następnie Malcolm wykazał, iż życie na Ziemi związane jest z ciągłym procesem zanikania gatunków, przebiegającym w przybliżeniu ze stałą prędkością. Okres dominacji poszczególnych grup stworzeń wynosi około cztery miliony lat, po jego upływie owe grupy zanikają. Przypomniał, że ssaki królują na Ziemi dopiero od miliona lat. Wyciągnął stąd wniosek, że istnieje nieprzerwany cykl wybijania się jednych gatunków nad inne, ich rozwoju, a następnie wymierania. Statystycznie można przyjąć, że od początku powstania życia na Ziemi każdego dnia wymarł jakiś jeden gatunek organizmów.

– Dlaczego tak się dzieje? – zapytał. – Co powoduje ten nieustanny rozwój i późniejszy upadek dominujących stworzeń, dający się ująć w cykl o okresie czterech milionów lat? Odpowiedź może kryć się w tym, że nawet nie zdajemy sobie sprawy, jak bardzo intensywne są zmiany zachodzące na naszej planecie. Wszak zaledwie w ciągu pięćdziesięciu tysięcy ostatnich lat, co w skali geologicznej jest tylko mgnieniem oka, lasy tropikalne niemal całkowicie zaginęły i znów się rozprzestrzeniły. A przecież lasy tropikalne nie są elementem stałym na naszej planecie, utworzyły się stosunkowo niedawno. Mniej więcej dziesięć tysięcy lat temu, kiedy ludzie pierwotni na terenie Ameryki zaczęli uprawiać łowiectwo, lodowiec zsunął się na południe, w przybliżeniu do tej samej szerokości, na której leży Nowy Jork. Od tamtej pory wymarło wiele gatunków ssaków.

Zatem historia życia na Ziemi – ciągnął – udowadnia, że wszelkie stworzenia rozwijają się i zanikają w niezwykle aktywnie ewoluującym środowisku. Prawdopodobnie w tym należy upatrywać przyczyny wymarcia co najmniej dziewięćdziesięciu procent gatunków. Jeżeli oceany zaczną wysychać lub chociaż wzrośnie stopień ich zasolenia, spowoduje to zanik licznych organizmów planktonowych. Ale zwierzęta wyżej zorganizowane, takie jak dinozaury, to zupełnie co innego, gdyż te gatunki potrafią się bronić, zarówno dosłownie, jak i w przenośni, przed podobnymi zmianami ekosystemu. Czemu więc i one wymierają? Dlaczego nie potrafią się przystosować do nowych warunków? Z punktu widzenia fizjologii dysponują przecież olbrzymim potencjałem adaptacyjnym. Wygląda więc na to, że nie istnieje żadna przyczyna zanikania wyżej zorganizowanych gatunków. A jednak obserwujemy ów proces.

Dlatego chciałbym zaproponować, byśmy przestali upatrywać powodów wymierania organizmów w zmianach ich zdolności adaptacyjnych, uzależnionych od zmian środowiska, i zaczęli ich szukać w sposobach reakcji owych gatunków. Mogę tu dodać, że najnowsze osiągnięcia z zakresu teorii chaosu oraz dynamiki nieliniowej umożliwiają nam uzasadnienie takiej teorii.

Twierdzę zatem – kontynuował – iż sposoby reakcji organizmów wyżej zorganizowanych mogą ulegać gwałtownym zmianom, nie zawsze na lepsze. Owe zmiany zachowania mogą w niektórych wypadkach przestać korelować ze zmianami zachodzącymi w środowisku, co w efekcie przyczynia się do wymierania gatunków. Właśnie te zmiany mogą pociągnąć za sobą osiągnięcie kresu zdolności adaptacyjnych. Czy taki los spotkał dinozaury? Czy jest to faktyczna przyczyna ich zniknięcia? Być może nigdy się tego nie dowiemy. Ale nie przypadkiem ludzie tak bardzo są zainteresowani wymarciem dinozaurów, ponieważ ich degradacja umożliwiła intensywny rozwój ssaków, w tym także człowieka. Prowadzi to nas do oczywistego pytania, czy wymarcie dominującej grupy zwierząt kiedykolwiek się jeszcze powtórzy, czy ludzkość wcześniej lub później nie podzieli losu dinozaurów. Czy przyczyn owego zjawiska należy szukać w zrządzeniu losu, jakim miałoby być zderzenie Ziemi z gigantycznym meteorytem, czy też w naszych własnych reakcjach na zmiany środowiska? W chwili obecnej nie potrafimy na to odpowiedzieć.

Urwał na chwilę i uśmiechnął się szeroko.

– Ale mam kilka propozycji – dodał.

PROLOG

ŻYCIE NA KRAWĘDZI CHAOSU

Instytut Santa Fe zajmował kompleks budynków przy Canyon Road, w których kiedyś mieścił się klasztor, a seminaria organizowano w dużej sali służącej poprzednio za kaplicę. Stojącego na mównicy Malcolma oświetlała smuga światła słonecznego wpadającego ukosem przez okno. Matematyk dramatycznie zawiesił głos, nim wreszcie przystąpił do dalszej części swego odczytu.

Malcolm był czterdziestolatkiem, postacią dosyć znaną w instytucie. Wsławił się pionierskimi publikacjami w dziedzinie teorii chaosu, lecz jego błyskotliwą karierę przerwał bardzo groźny wypadek, jakiemu uległ podczas wyprawy do Kostaryki. W gazetach ukazały się już informacje o jego śmierci. Później sam zainteresowany miał jakoby powiedzieć: „Z przykrością muszę przerwać huczne uroczystości na wydziałach matematycznych różnych uczelni w całym kraju, okazało się jednak, że nie jestem tak całkiem martwy. Chirurdzy dokonali prawdziwego cudu, proszę przede wszystkim ich pytać o szczegóły. W każdym razie wróciłem, że się tak wyrażę, do wykonania kolejnej iteracji".

Teraz, wsparty ciężko na mównicy i ubrany całkowicie na czarno, przywodził na myśl purytanina. Znany był na terenie instytutu z niekonwencjonalnego sposobu rozumowania i skłonności do pesymizmu. Jego wystąpienie w trakcie sierpniowego seminarium, zatytułowane „Życie na krawędzi chaosu", stanowiło typowy dla niego przykład skrótu myślowego, w którym Malcolm zastosował podstawy teorii chaosu do wyjaśnienia zagadek ewolucji.

Chyba nie mógł sobie nawet wymarzyć bardziej oddanego audytorium. Instytut Santa Fe został założony w połowie lat osiemdziesiątych przez grupę

naukowców zainteresowanych następstwami teorii chaosu. Tworzyli ją specjaliści z różnych dziedzin wiedzy: fizycy, ekonomiści, biolodzy, informatycy. Łączyło ich wspólne przekonanie, że złożoność otaczającego świata podlega pewnym podstawowym prawom, których istnienie dotychczas umykało uwadze naukowców, a które może ujawnić właśnie teoria chaosu, nazywana coraz powszechniej teorią złożoności. Wielu z nich wyrażało pogląd, że owa teoria jest nauką dwudziestego pierwszego wieku.

W instytucie prowadzono badania nad współzależnościami w wielu różnorodnych, skomplikowanych systemach – współpracą w handlu wolnorynkowym, współdziałaniem neuronów w mózgu człowieka, sposobami reakcji żywych komórek na liczne enzymy czy też grupowym zachowaniem wędrownych ptaków – a więc w systemach złożonych do tego stopnia, że jakiekolwiek badania nad nimi były w zasadzie niemożliwe przed skonstruowaniem komputera. Owa gałąź nauki była czymś zupełnie nowym, toteż nic dziwnego, że wielokrotnie dokonywano zdumiewających odkryć.

Dość szybko specjaliści zwrócili uwagę, że wiele złożonych systemów odznacza się podobnymi reakcjami. Zaczęto wyodrębniać owe zachowania jako charakterystyczne dla wszystkich tego typu środowisk. Stało się też jasne, że owych reakcji nie da się wytłumaczyć poprzez badanie poszczególnych elementów systemu. Od lat ukształtowane w nauce metody analizy najdrobniejszych składników, których przykładem może być rozbieranie na części zegarka w celu poznania zasady jego działania, w wypadku układów złożonych okazały się nieprzydatne, ponieważ obserwowane zjawiska powstawały jako efekt spontanicznych reakcji elementów składowych. Nie były one ani zaplanowane, ani sterowane, stąd też nazwano je reakcjami samoistnymi.

– W badaniach ewolucji – mówił Ian Malcolm – musimy zwrócić szczególną uwagę na dwie spośród całej gamy reakcji samoistnych. Jedną z nich stanowi proces adaptacji, który można dostrzec wszędzie. Wielkie korporacje dostosowują się do wymagań rynku zbytu, komórki w mózgu adaptują się do impulsów nerwowych, układ immunologiczny dopasowuje się do rodzaju infekcji, zwierzęta adaptują się do zmian źródeł pokarmu. Przywykliśmy uważać zdolności adaptacyjne za element charakterystyki systemów złożonych, prawdopodobnie jeden z tych, które wiodą ewolucję ku coraz wyżej zorganizowanym stworzeniom.

Wyprostował się na mównicy, opierając się całym ciężarem ciała na lasce.

– Ale chyba znacznie ważniejszy – mówił dalej – jest sposób, w jaki układy złożone zdają się burzyć równowagę między potrzebą organizacji a imperatywem ciągłych zmian. Owe systemy odznaczają się tendencją

do zajmowania pozycji w sferze, którą nazywamy krawędzią chaosu, czyli w takim rejonie, gdzie występuje dosyć innowacji, by ekosystem pozostał w ciągłym ruchu, a zarazem stabilizacja jest wystarczająca, aby nie nastąpiła całkowita anarchia. W obszarze tym dochodzi do wielu konfliktów, stare i nowe znajduje się w stanie ciągłych zmagań. Znalezienie tu punktu równowagi wydaje się zadaniem nadzwyczaj skomplikowanym. Jeżeli cały ten złożony system przesunie się zbyt blisko krawędzi, zwiększy ryzyko utraty spoistości i dalszego rozpadu, jeśli zaś odsunie się zbyt daleko od tej krawędzi, pozostanie skostniały, zamrożony, totalistyczny. W obu wypadkach dojdzie ostatecznie do jego zaniku. Zarówno nazbyt duża, jak i nazbyt mała liczba wprowadzanych zmian są tak samo destrukcyjne. Tylko na krawędzi chaosu złożone systemy mogą się rozwijać.

Zawiesił na krótko głos.

– Wynika stąd jasno, że wymieranie gatunków jest nieuchronnym rezultatem jednej lub drugiej strategii, wprowadzania zbyt dużej bądź zbyt małej liczby zmian.

Zgromadzeni naukowcy potakująco kiwali głowami. Większość z nich myślała dokładnie w ten sam sposób. W gruncie rzeczy pojęcie krawędzi chaosu stało się niemalże dogmatem Instytutu Santa Fe.

– Tak się nieszczęśliwie składa – kontynuował Malcolm – że przepaść między tą teorią a obserwowanym wymieraniem gatunków jest ogromna. Nie mamy jednak żadnego sposobu na sprawdzenie poprawności tego rozumowania. Dane archeologiczne mogą nam powiedzieć, kiedy wymarł konkretny gatunek, ale nie wyjaśnią, dlaczego tak się stało. Nawet symulacje komputerowe mają tu ograniczone zastosowanie. Co zrozumiałe, nie da się przeprowadzić doświadczeń na żywych organizmach. W związku z tym jesteśmy zmuszeni przyznać, że wymieranie gatunków, niepoddające się żadnym badaniom czy eksperymentom, jako takie w ogóle nie powinno być przedmiotem zainteresowania naukowego. Może to również wyjaśniać, dlaczego omawiane zagadnienie stało się powodem tak licznych zaciekłych dyskusji na gruncie religijnym oraz politycznym. Ośmielę się przypomnieć, że nigdy nie byliśmy świadkami religijnej debaty na temat liczby Avogadra, stałej Plancka czy też funkcji trzustki. Natomiast wymieranie gatunków już od dwustu lat budzi wciąż nowe kontrowersje. Dlatego zacząłem się zastanawiać, w jaki sposób można rozwiązać ten problem, jeśli w ogóle... Tak? O co chodzi?

Jeden z mężczyzn siedzących w głębi sali energicznie wymachiwał ręką nad głowami słuchaczy. Urażony Malcolm zmarszczył brwi. Stało się już tradycją instytutowych seminariów, że pytania zadawano dopiero

po zakończeniu odczytu, przerywanie wykładu należało do złego tonu.

– Ma pan jakieś pytanie? – rzekł głośno matematyk.

Młody, trzydziestokilkuletni mężczyzna podniósł się z miejsca.

– Mówiąc ściśle... mam tylko drobną uwagę.

Malcolm od razu rozpoznał w tym ciemnowłosym, szczupłym człowieku ubranym w letnią koszulę i szorty, niezwykle oszczędnym w ruchach, paleontologa z Berkeley noszącego nazwisko Levine, który odbywał w instytucie letnią praktykę. Nigdy dotąd z nim nie rozmawiał, za to wiele o nim słyszał. Levine był uważany za jednego z najlepszych paleobiologów swego pokolenia, znali go specjaliści z całego świata. Ale wśród pracowników instytutu nie cieszył się specjalną sympatią, uważano go za zarozumiałego aroganta.

– Przyznaję – powiedział Levine – że kopalne szczątki nie pomogą rozwikłać zagadki wymierania gatunków, zwłaszcza w wypadku tezy, że wymieranie jest efektem zmian w zachowaniu, gdyż na podstawie kopalin nie da się ocenić zachowania zwierząt. Nie zgadzam się jednak, że owa hipoteza nie może być przedmiotem badań. Krótko mówiąc, jej implikacje są oczywiste. Być może tylko pan nie wziął ich jeszcze pod uwagę.

Na sali zapanowała martwa cisza. Malcolm ponownie zmarszczył brwi. Wybitny matematyk nie przywykł do tego, by ktoś mu wytykał, iż nie wziął pod uwagę jakoby oczywistych implikacji.

– Do czego pan zmierza? – zapytał szorstko.

Levine ani trochę się nie przejmował napiętą atmosferą w sali.

– Otóż w kredzie dinozaury zamieszkiwały całą naszą planetę, ich szczątki odnajdujemy na wszystkich kontynentach, w każdej strefie klimatycznej, nawet na Antarktydzie. Jeśli zatem ich wymarcie byłoby skutkiem zmian w zachowaniu, a nie konsekwencją jakiejś katastrofy – czy to zarazy, czy gwałtownych zmian szaty roślinnej bądź innego kataklizmu, którym próbowano wyjaśniać zniknięcie dinozaurów – to wydaje mi się bardzo mało prawdopodobne, żeby zmiany w zachowaniu wystąpiły u wszystkich zwierząt równocześnie. A to z kolei oznacza, że być może przedstawiciele dinozaurów żyją jeszcze w jakimś zakątku Ziemi. Dlaczego więc nie mielibyśmy zacząć ich szukać?

– Droga wolna – odparł ironicznie Malcolm. – Jeśli pana to bawi i nie ma pan nic ważniejszego do roboty...

– Ale ja mówię zupełnie poważnie. Nie da się wykluczyć, że dinozaury nie wymarły całkowicie. Być może wciąż żyją ich przedstawiciele, odizolowani w jakimś trudno dostępnym miejscu.

– Przywołuje pan hipotezę „Zaginionego świata" – uciął krótko Malcolm.

Wielu słuchaczy przytaknęło ruchem głowy. W kwestiach dotyczących ewolucji przyjęło się w instytucie kilka haseł odnoszących się do różnych teorii. Nikomu nie trzeba było tłumaczyć, co to są „Pole minowe", „Przegrana hazardzisty", „Gra w życie", „Zaginiony świat", „Czerwona Królowa" bądź „Czarny szum", chodziło bowiem o dobrze znane i uznane hipotezy. Tyle że każda z nich...

– Nie – odrzekł uparty Levine. – Proszę całkiem serio potraktować to, co mówiłem.

– W takim razie pańskie rozumowanie jest błędne. – Malcolm lekceważąco machnął ręką, odwrócił się tyłem i wolno podszedł do tablicy. – A zatem, jeśli weźmiemy pod uwagę wszelkie aspekty krawędzi chaosu, możemy zadać sobie pytanie, co jest najmniejszym elementem złożonego ekosystemu. Większość uznanych definicji organizmu żywego opiera się na obecności DNA, ale już mamy dwa przykłady, które wykazują, że tego typu definicje są zbyt wąskie. Wystarczy bowiem uwzględnić wirusy i priony, by stało się jasne, iż życie może istnieć bez DNA...

W głębi sali Levine stał jeszcze przez chwilę, przyglądając się mówcy, wreszcie – jakby z ociąganiem – usiadł z powrotem i zaczął sporządzać notatki.

HIPOTEZY ZAGINIONEGO ŚWIATA

Odczyt dobiegł końca parę minut po dwunastej. Malcolm wyszedł z sali i ruszył przez dziedziniec instytutu. Obok niego szła Sara Harding, młoda doktorantka biologii pochodząca z Afryki. Znali się z Malcolmem już od kilku lat, od czasu, kiedy jeszcze w trakcie jego pracy w Berkeley Sara poprosiła go o recenzję swojej pracy doktorskiej.

Idąc w blasku palącego słońca, tworzyli dość niezwykłą parę: Malcolm, w całości ubrany na czarno, przygarbiony i wychudły, ciężko opierał się na lasce, natomiast Harding, zgrabna i wysportowana, w szortach i bawełnianej bluzce, z ciemnymi okularami zsuniętymi nad czoło na gęste czarne włosy, sprawiała wrażenie kipiącej młodzieńczą energią. Specjalizowała się

w badaniach nad afrykańskimi drapieżnikami, lwami oraz hienami. Następnego dnia miała już wracać do Nairobi.

Od czasu operacji Malcolma łączyła ich bliższa znajomość. Harding odbywała wówczas roczną praktykę w Austin i przyjęła na siebie rolę pielęgniarki, pomagając mu w rekonwalescencji. Przez pewien czas sądzono, że połączył ich romans, a matematyk będący zatwardziałym kawalerem w końcu uległ wdziękom młodej doktorantki. Później jednak Sara wróciła do Afryki, natomiast on przeniósł się do Santa Fe. Jeśli nawet łączyło ich kiedyś głębsze uczucie, teraz pozostali tylko dobrymi przyjaciółmi.

Rozmawiali na temat pytań, które padły po zakończeniu odczytu. Malcolm doskonale przewidział, jakie kwestie sporne zostaną poruszone: Czy sprawa wymierania gatunków naprawdę jest aż tak istotna? W jakim stopniu ludzkość zawdzięcza swój rozwój zniknięciu dinozaurów u schyłku kredy, które umożliwiło zajęcie dominującej pozycji ssakom? Jeden ze słuchaczy oznajmił nawet z dumą, że zdarzenia w kredzie utorowały drogę świadomości i pozwoliły na ekspansję rozumu.

Malcolm odpowiedział natychmiast:

– Co pana skłania do twierdzenia, że ludzie są istotami świadomymi i rozumnymi? Nie ma na to żadnych dowodów. Człowiek stara się nie myśleć o sobie, bo to dla niego niezbyt wygodne. Olbrzymia większość przedstawicieli naszego gatunku jedynie wykonuje polecenia i wpada w złość, gdy zetknie się z jakimkolwiek odmiennym punktem widzenia. Najbardziej charakterystyczną cechą ludzi wcale nie jest świadome działanie, lecz konformizm, natomiast różne poglądy prowadzą do wojen religijnych. Inne stworzenia walczą o panowanie nad swoim terytorium lub o pożywienie, rzeczą niespotykaną w świecie zwierząt są walki w obronie przekonań. Ich przyczyną jest tylko to, że przekonania narzucają różne sposoby reakcji, dlatego właśnie mają dla ludzi tak wielkie znaczenie. Lecz jeśli zaczniemy rozpatrywać sytuację, w której tenże sposób reagowania może doprowadzić do zagłady gatunku, nikt mnie nie przekona, że wówczas świadomość zacznie odgrywać dominującą rolę. Jesteśmy upartymi, dążącymi do samozagłady konformistami. Każdy inny sposób patrzenia na ludzkość musi być napiętnowany antropomorfizmem. Czy są jeszcze jakieś pytania?

Teraz, idąc powoli przez dziedziniec, Sara zachichotała.

– W gruncie rzeczy nikogo to nie obchodzi.

– Przyznam, że ta świadomość mnie deprymuje – odparł Malcolm, kręcąc głową. – Ale nic się na to nie poradzi. Pracują tu wybitni specjaliści z całego kraju, a mimo to... nadal brakuje ciekawych pomysłów. Swoją drogą, co to za facet przerwał mój odczyt?

– Nie słyszałeś o Richardzie Levinie? – Zaśmiała się. – Potrafi być irytujący, prawda? Chyba na całym świecie jest już z tego dobrze znany.

– Zdążyłem się przekonać – burknął Ian.

– Jest bardzo bogaty i w tym tkwi cały problem – ciągnęła Harding. – Znasz lalki Becky?

– Nie. – Malcolm zerknął na nią podejrzliwie.

– W każdym razie większość dziewczynek w Stanach musi je znać. Wyprodukowano kilka serii lalek: Becky, Sally, Frances i jeszcze parę innych. Jak to w Ameryce. Ojciec Levine'a jest właścicielem firmy wytwarzającej te lalki, nic więc dziwnego, że wszyscy uważają Richarda za nadętego aroganta. Jest porywczy, robi, co mu się żywnie podoba.

Ian skinął głową.

– Masz ochotę pójść ze mną na lunch?

– Oczywiście. Najchętniej...

– Doktorze Malcolm! Niech pan zaczeka, proszę! Doktorze!

Matematyk obejrzał się. Przez dziedziniec w ich stronę sadził wielkimi susami nie kto inny, jak Richard Levine.

– Cholera! – syknął Malcolm.

– Doktorze Malcolm – powtórzył Levine, zbliżając się do nich. – Zaskoczyło mnie, że nie chciał pan potraktować mojej wypowiedzi poważnie.

– Nie mogłem tego uczynić. Przecież to absurd.

– Tak, ale...

– Panna Harding i ja szliśmy właśnie na lunch – przerwał mu Malcolm, wskazując Sarę.

– Sądzę jednak, że powinien się pan nad tym zastanowić – ciągnął z uporem Levine. – Głęboko wierzę, że jest nie tylko możliwe, lecz nawet bardzo prawdopodobne, iż dinozaury przetrwały do dzisiaj. Na pewno dotarły do pana ostatnie plotki o dziwnych stworzeniach pojawiających się na terenie Kostaryki, gdzie, jak słyszałem, spędził pan sporo czasu.

– Owszem, ale co się tyczy Kostaryki, mogę panu powiedzieć...

– A Kongo? – Levine nie dał mu dokończyć zdania. – Od lat napływają doniesienia, że Pigmeje z okolic Bokambu wielokrotnie widywali w głębi dżungli dużego jaszczura, sądząc po opisach, podobnego do apatozaura. Także w górskich lasach Irianu Zachodniego żyje prawdopodobnie zwierzę wielkości nosorożca, będące zapewne potomkiem ceratopsów...

– To czyste fantazje – odparł Malcolm. – Nie ma naocznych świadków, nie zdołano niczego sfotografować, nie dysponujemy żadnymi dowodami.

– Być może, lecz brak dowodów nie dowodzi jeszcze braku takich stworzeń. Sądzę, że naprawdę istnieją do dzisiaj siedliska tych zwierząt,

reliktów minionych epok.

Malcolm wzruszył ramionami.

– Wszystko jest możliwe.

– Zatem musi pan przyznać, że pojedyncze egzemplarze mogły przetrwać zagładę – naciskał Levine. – Postaram się zdobyć dokładniejsze wiadomości o tych niezwykłych zwierzętach występujących w Kostaryce. Może uda się zdobyć jakieś szczątki.

Matematyk zmarszczył brwi.

– Mówi pan, że ostatnio pojawiły się nowe plotki?

– Dotarły do mnie jakiś czas temu.

– Aha. Tak myślałem.

– Ostatnie informacje pochodzą sprzed dziewięciu miesięcy – wyjaśnił Levine. – Przebywałem w tym czasie na Syberii, podziwiałem zamrożonego młodego mamuta, dlatego nie mogłem od razu zareagować. Przekazano mi jednak, że w kostarykańskiej dżungli odnaleziono martwą, bardzo dużą, niezwykłą jaszczurkę.

– I co się stało z tym znaleziskiem?

– Szczątki spalono.

– Zupełnie nic nie zostało?

– Zgadza się.

– Nie wykonano nawet fotografii?

– Chyba nie.

– Więc trzeba to uznać za kolejną plotkę – oznajmił Malcolm.

– Niewykluczone. Jestem jednak przekonany, że warto zorganizować ekspedycję i rozpocząć poszukiwania tych niezwykłych zwierząt.

Ian przez chwilę patrzył mu prosto w oczy.

– Ekspedycję? Ma pan zamiar szukać hipotetycznego Zaginionego świata? A któż sfinansuje takie przedsięwzięcie?

– Ja sam – odparł Levine. – Przygotowałem już wstępny plan.

– Ale to będzie kosztowało...

– Nie muszę się troszczyć o pieniądze. Moim celem jest udowodnienie, że pojedyncze okazy przetrwały zagładę gatunku. Jeżeli podobne rzeczy były możliwe w wypadku innych zwierząt, to czemu nie miałyby ocaleć relikty z epoki kredy?

– To czyste spekulacje – mruknął Malcolm, energicznie kręcąc głową.

Levine przez chwilę przyglądał się uważnie matematykowi.

– Doktorze Malcolm – wycedził wreszcie. – Jestem bardzo zawiedziony pańską postawą. Przed chwilą mówił pan o swojej teorii, a teraz odrzuca zaproponowaną możliwość jej udowodnienia. Miałem nadzieję, że z zapałem

odniesie się pan do mojego planu.

– Już dawno pozbyłem się młodzieńczego zapału.

– Liczyłem na to, że przynajmniej poprze pan mój pomysł, bo przecież…

– Nie interesują mnie dinozaury – uciął Malcolm.

– Nie wierzę. Chyba wszyscy się nimi interesują.

– Ja nie.

Matematyk odwrócił się ostentacyjnie i ruszył dalej alejką.

– Jeśli wolno zapytać – naciskał Levine – to co pan robił w Kostaryce? Słyszałem, że spędził pan tam prawie rok.

– Leżałem w szpitalu. Przez sześć miesięcy lekarze bali się mnie ruszyć z oddziału intensywnej terapii. Nie mogłem nawet wrócić samolotem do kraju.

– Rozumiem. Słyszałem o pańskim wypadku. Ale chciałem wiedzieć, czym się pan tam na początku zajmował? Czy nie szukał pan przypadkiem dinozaurów?

Malcolm zerknął z ukosa na intruza, wspierając się ciężko na lasce.

– Nie – odparł. – Niczego nie szukałem.

Wszyscy troje siedzieli przy niewielkim lakierowanym stoliku w rogu sali kawiarni Guadalupe mieszczącej się na drugim brzegu rzeki. Sara Harding popijała piwo prosto z butelki, przyglądając się dwóm mężczyznom siedzącym naprzeciwko. Levine sprawiał wrażenie uszczęśliwionego ich towarzystwem, jakby możliwość zasiadania z nimi przy jednym stoliku była główną nagrodą w jakimś konkursie. Malcolm zaś wyglądał na zmęczonego, niczym ojciec, który musiał przez całe popołudnie pilnować niesfornego dziecka.

– Chce pan wiedzieć, jakie plotki do mnie dotarły? – zapytał Levine. – Otóż słyszałem, że parę lat temu pewna firma o nazwie InGen odtworzyła metodami inżynierii genetycznej kilka gatunków dinozaurów i umieściła je na wyspie u wybrzeży Kostaryki. Coś tam się jednak wydarzyło, zginęło sporo osób, a zwierzęta uległy zagładzie. Teraz nikt nie chce rozmawiać na ten temat, jakby wszyscy zaangażowani w projekt podpisali cyrograf przestrzegania ścisłej tajemnicy. Przedstawiciele władz kostarykańskich także milczą, zapewne boją się odstraszyć turystów. Panuje powszechna zmowa milczenia.

Matematyk przez chwilę spoglądał mu prosto w oczy.

– I pan w to wierzy?

– Początkowo uznałem te wiadomości za wyssane z palca, ale w miarę upływu czasu docierało do mnie coraz więcej plotek na ten temat. Podobno wśród organizatorów tego przedsięwzięcia mieli być i pan, i Alan Grant.

– Rozmawiał pan o tym z Grantem?

– Pytałem go, kiedy w ubiegłym roku spotkaliśmy się na konferencji w Pekinie. Oznajmił jednak, że to bzdury.

Malcolm smętnie pokiwał głową.

– A co pan może powiedzieć na ten temat? – podchwycił Levine, pociągnąwszy łyk piwa. – Bo przecież zna pan Granta, prawda?

– Nie, nigdy go nie spotkałem.

Tamten spoglądał badawczo na Malcolma.

– A więc to nieprawda?

Ian westchnął głośno.

– Czy zna pan pojęcie technomitu? Posługuje się nim Geller z Uniwersytetu Princeton. Problem polega na tym, że wszelkie dawne podania, takie jak o Orfeuszu i Eurydyce czy Perseuszu i Meduzie, straciły swój urok. Dlatego ludzie próbują zapełnić lukę po nich nowoczesnymi technomitami. Geller zebrał ich dosyć sporo. Jeden z nich mówi o zwłokach przybysza z kosmosu przechowywanych w magazynach bazy lotniczej Wright-Patterson. Inny opiewa wynaleziony przez jakiegoś geniusza gaźnik do silnika spalinowego, który pozwala przejechać ponad sześćdziesiąt kilometrów na litrze paliwa, tyle że producenci aut wykupili patent i ukryli go przed całym światem. Krążą także pogłoski o przebywającej w pewnej ukrytej bazie wojskowej na Syberii grupie szkolonych od dziecka specjalistów z zakresu telekinezy, potrafiących za pomocą myśli uśmiercić każdego mieszkańca Ziemi. Można do tego dorzucić plotki, że gigantyczne rysunki na pustyni Nazca w Peru to pozostałości lądowiska przybyszów z kosmosu, że CIA wyprodukowało wirusa HIV, chcąc się pozbyć wszystkich homoseksualistów, że Nikola Tesla odkrył niewyczerpane źródło energii, tylko jego notatki gdzieś zaginęły, że w Stambule znajduje się malowidło z dziesiątego wieku przedstawiające Ziemię widzianą z kosmosu, że specjaliści z Instytutu Badawczego Stanforda znaleźli faceta, którego ciało świeci w ciemnościach. Rozumie pan, o co mi chodzi?

– Chce pan powiedzieć, że dinozaury stworzone przez InGen należą do tego typu mitów.

– Oczywiście, jakże by mogło być inaczej? Sądzi pan, że naprawdę można metodami inżynierii genetycznej odtworzyć dinozaura?

– Wszyscy eksperci twierdzą, że nie.

– I mają rację – rzekł z naciskiem Malcolm, po czym zerknął na Harding, jakby szukał u niej potwierdzenia swych słów.

Ale Sara zachowywała milczenie, pociągała piwo małymi łyczkami. Wiedziała bowiem znacznie więcej na temat owych dinozaurów, których istnieniu Ian zaprzeczał. Zaraz po operacji, kiedy leżał w malignie, otępiały po narkozie i dawkach środków przeciwbólowych, często męczyły go jakieś koszmary, rzucał się na łóżku i wykrzykiwał nazwy paru gatunków dinozaurów. Harding wypytywała pielęgniarki, lecz te nie umiały niczego wyjaśnić, twierdziły, że pacjent zachowuje się tak od czasu wypadku. Według lekarzy dręczyły go urojone zjawy, lecz Sara przeczuwała, że Ian w tych koszmarach powraca do autentycznych wydarzeń. Jej domysły były tym bardziej uzasadnione, że Malcolm posługiwał się nazwami zdrobniałymi, jak gdyby fachowym żargonem, bredził bowiem o „raptorach", „prokompach" i „reksach". Zdawał się zresztą najbardziej obawiać tychże raptorów.

Później, kiedy już wrócili do domu, zapytała go o tamte koszmary. Lecz Ian zlekceważył sprawę, próbując obrócić ją w żart: „I tak dobrze, że w malignie nie wymieniałem imion innych kobiet, prawda?". Później zaś powiedział, że w dzieciństwie bardzo się interesował dinozaurami i widocznie w trakcie choroby dały o sobie znać młodzieńcze fantazje. Starał się przejść nad tym do porządku dziennego, jakby chodziło o coś mało istotnego, ale Sara wyczuwała, że jego obojętność jest udawana. Nie chciała jednak go dręczyć. Wtedy była w nim zakochana po uszy i bardzo jej zależało na jego dobrym samopoczuciu.

Teraz, gdy po raz drugi zerknął na nią badawczo, jakby podejrzewał, że i ona zechce mu się przeciwstawić, Harding tylko przygryzła wargi i zmarszczyła brwi. Domyślała się, że Malcolm ma swoje powody, aby wszystkiemu zaprzeczać, toteż postanowiła się nie wtrącać.

Levine pochylił się nad stolikiem i zapytał cicho:

– A więc wszelkie plotki o doświadczeniach InGenu są nieprawdziwe?

– Od początku do końca – przytaknął Ian, kiwając posępnie głową. – Wyssane z palca.

Malcolm już od trzech lat zaprzeczał wszelkim pogłoskom na ten temat. Nabrał takiej wprawy, że kłamał bez mrugnięcia okiem. Ale w rzeczywistości latem 1989 roku zajmował stanowisko konsultanta w firmie International Genetic Technologies, mającej siedzibę w Palo Alto, i odbył służbową podróż

do Kostaryki, która zakończyła się katastrofą. Wszyscy uczestnicy tamtych wydarzeń zaprzeczali plotkom. Kierownictwo InGenu pragnęło zrzucić z siebie jakąkolwiek odpowiedzialność, natomiast władze kostarykańskie nie chciały zmącić obrazu tego prawdziwego raju dla turystów. Dlatego właśnie każdy z naukowców podpisał cyrograf o dotrzymaniu ścisłej tajemnicy, a w zachowaniu milczenia miały im pomóc sowite honoraria. Przez dwa lata wszystkie koszty leczenia Malcolma pokrywane były z konta spółki.

Budynki wzniesione przez InGen na kostarykańskiej wyspie uległy zniszczeniu, nie zostawiono przy życiu ani jednego zwierzęcia. Firma zatrudniła wybitnego biologa z Uniwersytetu Stanforda, George'a Baseltona, któremu liczne publikacje i częste wystąpienia przed kamerami telewizyjnymi przyniosły sporą sławę. Baselton oznajmił publicznie, że zwiedzał tajemniczą wyspę i jest już zmęczony ciągłym zaprzeczaniem plotkom, jakoby miały tam przebywać dawno wymarłe zwierzęta. Jego ironiczne wypowiedzi w rodzaju: „Szablozębne tygrysy?! Dobre sobie!" przyniosły w końcu oczekiwany rezultat.

W miarę upływu lat zainteresowanie wyspą niemal całkowicie minęło. InGen zdążyło w tym czasie zbankrutować, wszyscy najwięksi inwestorzy z Europy i Azji wycofali swoje udziały w spółce. Cały majątek firmy, zabudowania i sprzęt laboratoryjny wystawiono na sprzedaż, ale podjęto jednogłośną decyzję, by opracowane technologie pozostały na wieki tajemnicą. Krótko mówiąc, historia głośnego InGenu dobiegła końca.

W chwili obecnej nie było już o czym mówić.

– A więc to tylko plotki – powtórzył Levine, wkładając do ust kęs wołowiny pieczonej w liściach kukurydzy. – Jeśli mam być szczery, doktorze Malcolm, kamień spadł mi z serca.

– Dlaczego?

– Ponieważ to oznacza, że niezwykłe zwierzęta odnajdywane w kostarykańskiej dżungli muszą być prawdziwe. Tu naprawdę chodzi o dinozaury. Mam przyjaciela, biologa, absolwenta Yale, który wrócił z wyprawy i utrzymuje, że widział je na własne oczy. Nie mam podstaw, aby mu nie wierzyć.

Malcolm wzruszył ramionami.

– Wątpię, żeby jakiekolwiek dinozaury mogły przetrwać właśnie w Kostaryce.

– To fakt, że prawie od roku nie było wieści o nowych znaleziskach, lecz jeśli napłyną jakieś kolejne informacje, natychmiast się tam wybiorę. Tymczasem przystąpię do organizowania ekspedycji. Wiele na ten temat rozmyślałem. Najdalej za rok powinienem mieć do dyspozycji kilka specjalnie zaprojektowanych pojazdów. Rozmawiałem już o nich z Thorne'em. Później zbiorę grupę chętnych, którą pokieruje jakiś wybitny biolog, choćby ktoś taki jak obecna tu doktor Harding, włączę do niej paru zdolnych studentów…

Malcolm słuchał tego wszystkiego, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– Uważa pan, że to strata czasu?

– Owszem. Zgadza się.

– Załóżmy jednak, choćby tylko teoretycznie, że mimo wszystko napłyną wieści o jakichś nowych znaleziskach.

– Proszę na to nie liczyć.

– Przecież mówię, że to tylko założenie. Czy w takim wypadku byłby pan zainteresowany, żeby mi pomóc w rozplanowaniu ekspedycji?

Malcolm dokończył posiłek, odsunął talerz na bok i spojrzał na swego rozmówcę.

– Tak – odparł po chwili. – Gdyby rzeczywiście odnaleziono jakieś niezwykłe zwierzę, pomógłbym panu zorganizować wyprawę.

– Wspaniale! – wykrzyknął Levine. – Tylko to chciałem usłyszeć.

Kiedy wyszli na zalaną słońcem ulicę Guadalupe, Malcolm poprowadził Sarę do swego poobijanego starego forda. Levine usiadł za kierownicą jaskrawoczerwonego ferrari, pomachał im energicznie na pożegnanie i odjechał z rykiem silnika.

– Myślisz, że on doczeka się jakichś niezwykłych doniesień? – zapytała Harding. – Że naprawdę zostaną odnalezione reliktowe zwierzęta?

– Nie. Jestem pewien, że nic takiego się nie wydarzy.

– Obyś miał rację.

Ian po raz kolejny pokręcił głową. Z trudem wsunął się na fotel i obrócił, wciągając rękoma swą nie w pełni sprawną nogę w ciasną przestrzeń pod kierownicą. Sara usiadła obok niego. Malcolm popatrzył na nią uważnie, wreszcie przekręcił kluczyk w stacyjce i zawrócił wóz w stronę instytutu.

Następnego dnia Harding odleciała do Afryki. Przez osiemnaście miesięcy tylko sporadycznie docierały do niej wiadomości o realizacji planów Levine'a, który dzwonił od czasu do czasu, wypytując o różne szczegóły techniczne, np.

jakie opony wybrać do samochodów terenowych lub jakie są najlepsze ładunki ze środkiem usypiającym na duże zwierzęta. Kilkakrotnie dzwonił też do niej Doc Thorne zajmujący się projektowaniem specjalnych pojazdów, sprawiał wrażenie zniechęconego całym tym projektem.

Natomiast od Malcolma nie było żadnych wieści. Przysłał jej tylko kartkę na urodziny, która doszła z miesięcznym opóźnieniem. Pod życzeniami dopisał maczkiem: „Masz szczęście, że nie musisz się z nim spotykać. Doprowadza tu wszystkich do szaleństwa".

PIERWSZA KONFIGURACJA

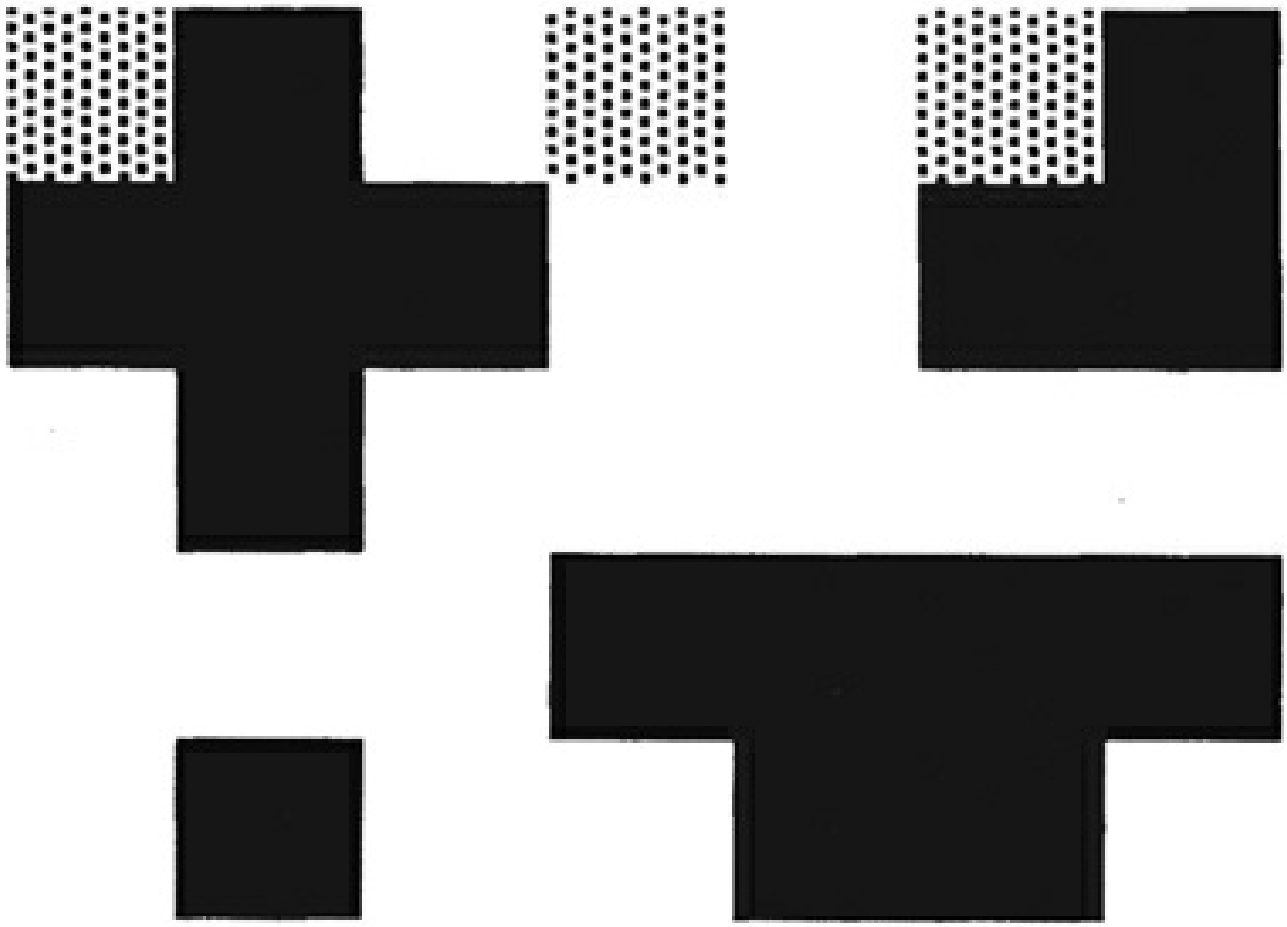

W obszarze konserwatywnym, z dala od krawędzi chaosu, poszczególne elementy jednoczą się powoli, nie tworząc jednak żadnej uporządkowanej struktury.

Ian Malcolm

NIEZWYKŁE OKAZY

W zapadającym powoli zmroku śmigłowiec leciał nisko nad linią wybrzeża, wzdłuż wąskiego pasa plaży oddzielającego zwartą tropikalną dżunglę od morza. Dziesięć minut wcześniej minęli ostatnie wioski rybackie i teraz pod brzuchem maszyny rozciągały się tylko olbrzymie połacie nieprzebytych lasów, mangrowych bagnisk i nadmorskich wydm, zda się nietkniętych ludzką stopą. Siedzący obok pilota Marty Guitierrez wpatrywał się uważnie w linię brzegową. W tym rejonie nie było żadnych dróg, żadnych punktów orientacyjnych łatwych do odnalezienia.

Guitierrez był małomównym, trzydziestosześcioletnim brodaczem, amerykańskim biologiem, który już od ośmiu lat przebywał w Kostaryce. Początkowo badał rozprzestrzenienie populacji tukanów w tutejszej dżungli, później objął stanowisko konsultanta naukowego w zarządzie Reserva Biológica Carara, wielkiego parku narodowego w północnej części kraju.

Włączył interfon i zwrócił się do pilota:

– Jak daleko jeszcze?

– Pięć minut lotu, *señor* Guitierrez.

Odwrócił się i zawołał:

– Zaraz będziemy na miejscu.

Ale wysoki mężczyzna, który siedział skulony na fotelu w głębi kabiny śmigłowca, nie odpowiedział, jakby w ogóle nie zauważył, że się do niego mówi. Tkwił z brodą opartą na pięściach i ze zmarszczonym czołem wpatrywał się w dżunglę przemykającą za oknem.

Richard Levine był ubrany w wypłowiały tropikalny strój w kolorze khaki, głęboko na czoło miał nasunięty australijski kapelusz z szerokim rondem. Przez szyję przewiesił ciężką, silnie poobijaną lornetkę. Lecz w przeciwieństwie do tego niezbyt starannego wyglądu roztaczał wokół siebie atmosferę typowo naukowego zaangażowania – siedział zasępiony, całkowicie pochłonięty własnymi myślami, patrząc krytycznie na zwartą ścianę dżungli.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał po chwili.

– Ta część wybrzeża nazywa się Rojas.

– To chyba już dość daleko na południe?

– Owszem, jakieś osiemdziesiąt kilometrów stąd jest granica z Panamą.

Levine milczał przez pewien czas.

– Nie widzę tu żadnych dróg – odezwał się ponownie. – W jaki sposób dokonano odkrycia?

– Turyści przypłynęli łodziami i wylądowali na plaży.

– Kiedy to było?

– Wczoraj. Rzucili tylko okiem i zwiewali, gdzie pieprz rośnie.

Levine przytaknął ruchem głowy. Z łokciami opartymi na wysoko zadartych, spiczastych kolanach rzeczywiście przypominał modliszkę szykującą się do ataku. To przezwisko przylgnęło do niego już na pierwszym roku studiów, a nazywano go modliszką nie tylko z uwagi na bardzo długie, patykowate kończyny, lecz także z powodu wojowniczego charakteru, gdyż gotów był odgryźć głowę każdemu, kto nie podzielał jego poglądów.

– Byłeś już kiedyś w Kostaryce? – zapytał Guitierrez.

– Nie, jestem tu po raz pierwszy – odparł Levine, po czym machnął lekceważąco ręką, jakby chciał okazać, że nie życzy sobie, by mu zakłócano spokój błahymi pytaniami.

Guitierrez przyjął to z uśmiechem. Mimo upływu lat Levine nie zmienił się ani na jotę, wciąż był jednym z najzdolniejszych, a zarazem najbardziej irytujących młodych naukowców. Obaj przez pewien czas studiowali razem w Yale, dopóki Richard nie zrezygnował z doktoratu na uniwersytecie i nie podjął dodatkowych studiów z zakresu zoologii porównawczej. Doszedł do wniosku, że nie jest zainteresowany pracą w terenie, która tak bardzo pociągała Guitierreza. Podczas jednej z dyskusji wyraził się pogardliwie, że nie ma zamiaru do końca życia „analizować odchodów papużek pochodzących z różnych części świata".

Błyskotliwego, lecz grymaśnego Levine'a frapowała przeszłość, świat minionych epok. Badał najróżniejsze znaleziska z pasją niemalże równą obsesji. Był też znany ze swej fotograficznej pamięci, z niezwykłej arogancji, ciętego języka oraz skrajnej euforii, w jaką wprawiała go możliwość wytknięcia błędów kolegom. Jeden z nich wyraził się kiedyś, że „Levine nie tylko nie daruje nikomu najmniejszej pomyłki, ale i nie da zainteresowanemu nigdy o niej zapomnieć".

Większość badaczy nie lubiła go za to, a i on odwdzięczał się im nieskrywaną niechęcią. Miał naturę pedanta, z zapałem katalogował dawne formy życia, a największą frajdę sprawiało mu szperanie w zasobach muzealnych, przypisywanie szczątków określonym gatunkom zwierząt i rekonstruowanie kopalnych szkieletów. Nie znosił brudu i niewygód wiążących się z pracą w terenie. Gdyby tylko mógł, nigdy by nie opuszczał

sal muzealnych. Umiał jednak wykorzystać to, że przyszło mu żyć w okresie największych odkryć paleontologii. W ciągu ostatnich dwudziestu lat liczba znanych z wykopalisk gatunków dinozaurów wzrosła dwukrotnie, średnio raz na siedem tygodni rozchodziły się wieści o odkryciu kolejnego przedstawiciela tej grupy zwierząt. Nic więc dziwnego, że światowa reputacja Levine'a zmuszała go do ciągłych podróży, odwiedzania coraz to innych terenów wykopalisk i udzielania swej opinii eksperta wszystkim tym, którzy chcieli z niej skorzystać.

– Dokąd ostatnio podróżowałeś? – zapytał Guitierrez.

– Do Mongolii. Byłem w paśmie Płonących Klifów na pustyni Gobi, trzy godziny drogi od Ułan Bator.

– Tak? A co tam robiłeś?

– John Roxton kieruje tam wykopaliskami. Znalazł niekompletny szkielet, który przypisał nieznanemu dotąd gatunkowi z rodzaju *Velociraptor*, i zwrócił się do mnie z prośbą, bym go obejrzał.

– I co?

Levine wzruszył ramionami.

– Roxton nigdy nie był dobry z anatomii. Jest doskonałym organizatorem, potrafi bez przerwy zdobywać nowe fundusze na prowadzenie prac, ale gdy już na coś natrafi, od razu wychodzi na jaw jego niekompetencja.

– Powiedziałeś mu to wprost?

– Oczywiście. Przecież taka jest prawda.

– A co z tym szkieletem?

– To w ogóle nie były szczątki raptora – burknął Levine. – Zupełnie inny układ śródstopia, kości miednicy zanadto wklęsłe, staw biodrowy inaczej ukształtowany, wszystkie kości długie zdecydowanie za lekkie. A co się tyczy czaszki... – Wzniósł oczy ku niebu. – Część podniebienna za gruba, zwieńczenia oczodołów nazbyt wysunięte, grzebień rdzeniowy za mały... Ech, mógłbym tak wymieniać bez końca. Co ważniejsze, wyrostki pazurów ledwie zauważalne. I tak ze wszystkim. Nie mam pojęcia, co Roxton sobie wyobrażał, ale moim zdaniem znaleziony szkielet należał do jakiegoś podgatunku z rodzaju *Troodon*, chociaż i tego nie jestem pewien.

– *Troodon*? – powtórzył Guitierrez.

– Taki mały drapieżca z kredy, dwa metry wysokości, licząc od końca stopy do stawu biodrowego. Nawiasem mówiąc, to dość pospolity przedstawiciel *Theropoda*. Zresztą znalezisko Roxtona wcale nie należało do szczególnie interesujących. Był tylko jeden ciekawy szczegół. Otóż pod szkieletem znaleziono wyraźny odcisk skóry zwierzęcia. Sam ten fakt nie należy do rzadkości, odkryto już kilkanaście fragmentów skamieniałej skóry,

ale w większości należących do hadrozaurów. Nikt dotąd nie trafił na odcisk skóry osobnika z rodziny *Theropoda*. Wychodząc z założenia, że warto dokładniej zbadać to znalezisko, gdyż może rzucić nowe światło na budowę tych dinozaurów…

– *Señores* – odezwał się pilot, przerywając ten monolog. – Przed nami zatoka Juan Fernández.

– Czy moglibyśmy ją najpierw okrążyć? – zapytał Levine.

Z przejęciem zaczął się wpatrywać w widok za oknem, przykleiwszy nos do szyby. Całkiem zapomniał o niedawnej rozmowie. W oddali teren wznosił się nieco, lecz biegnące aż po horyzont pasmo wzgórz także było porośnięte dżunglą. Helikopter przechylił się na bok, skręcając wzdłuż linii brzegowej.

– To tam – rzekł Guitierrez, wskazując palcem.

W ukośnie padających promieniach słońca piasek wąskiego skrawka plaży wydawał się niemal zupełnie biały. W zasięgu wzroku nie było żywej duszy. W południowej części zatoki dostrzegli duży ciemny obiekt na piasku, który z powietrza wyglądał jak nieregularny głaz bądź duża kępa wodorostów, mająca w przybliżeniu dwa metry średnicy. Nawet ze śmigłowca można było dostrzec liczne ślady stóp wokół obiektu.

– Kto tu był przed nami? – zapytał Levine, westchnąwszy ciężko.

– Inspektorzy rejonowej stacji sanitarnej. Przylecieli dzisiaj wczesnym rankiem.

– Robili coś? Dotykali tego, poruszali?

– Nie umiem powiedzieć.

– Inspektorzy ze stacji sanitarnej… – powtórzył Richard, kręcąc energicznie głową. – Jak się dowiedzieli? Dlaczego im pozwoliłeś tu przylecieć, Marty?

– Chwileczkę, przecież to nie ja rządzę w tym kraju – odparł Guitierrez. – Zrobiłem, co było w mojej mocy. Chcieli od razu to zniszczyć, i tak powinieneś się cieszyć, że zaczekali do twojego przyjazdu. Nie wiem nawet, ile czasu nam dadzą na oględziny.

– To bierzmy się do roboty – warknął Levine, po czym szybko włączył interfon. – Czemu jeszcze nie lądujemy? Niedługo się ściemni. Proszę posadzić maszynę na plaży, muszę z bliska obejrzeć to znalezisko.

Richard Levine wyskoczył ze śmigłowca i pobiegł plażą w kierunku czarnego obiektu, nie zważając na ciężką lornetkę obijającą mu piersi. Już z daleka poczuł duszący fetor rozkładu, mimo to gorączkowo zbierał w pamięci swe pierwsze wrażenia. Wielkie cielsko padłego zwierzęcia leżało do połowy zagrzebane w piachu, ponad nim unosił się olbrzymi rój much. Skórę porozrywały bąble uwalniających się gazów, przez co identyfikacja gatunku była niezwykle trudna.

Zatrzymał się kilka metrów od padliny i sięgnął po aparat fotograficzny. Nie wiadomo skąd pojawił się tuż obok niego pilot śmigłowca i ostrzegawczo uniósł rękę.

– *No permitido!*

– Co takiego?

– Przykro mi, *señor*. Żadnych zdjęć.

– Dlaczego nie, do cholery? – parsknął Levine, po czym odwrócił się do Guitierreza, który nadchodził, grzęznąc w suchym piasku. – Dlaczego nie mogę zrobić zdjęć, Marty? Przecież to bardzo ważne...

– Żadnych zdjęć – powtórzył stanowczo pilot i szybko wyjął mu aparat z rąk.

– Marty, to jakieś wariactwo...

– Lepiej się pospiesz i dokonaj tych swoich oględzin – odparł Guitierrez.

Zaczął dyskutować po hiszpańsku z pilotem, lecz ten odpowiadał ostro, gestykulując z wyraźną złością.

Levine przyglądał się im przez chwilę, zaraz jednak skupił swą uwagę na zwierzęciu. Niech to szlag trafi – pomyślał – nie ma czasu na kłótnie. Podszedł nieco bliżej, starając się oddychać wyłącznie przez usta. Fetor był nie do wytrzymania. Zastanowiło go jednak, że mimo tak dużej padliny nigdzie w pobliżu nie było ani drapieżnych ptaków, ani szczurów czy innych ścierwojadów. Zleciały się tylko muchy – obsiadły zwierzę tak licznie, że wręcz trudno było oszacować jego kształt.

Nie ulegało jednak wątpliwości, że zdechły okaz był bardzo duży, w przybliżeniu równy wielkością krowie, chociaż daleko posunięty rozkład na pewno spowodował znaczne rozdęcie korpusu. Wyschnięta skóra popękała od słońca i odłaziła wielkimi płatami, odsłaniając warstwę galaretowatej, żółtej podściółki tłuszczowej.

Co za smród! – skrzywił się Levine. Mimo to podszedł jeszcze bliżej, przyglądając się uważnie padlinie.

Zwierzę miało naprawdę imponujące rozmiary, tym bardziej że nie należało do ssaków. Całkowicie pozbawiona owłosienia skóra była

brudnozielona, z widocznymi tu i ówdzie ciemniejszymi pręgami. Na jej powierzchni dało się jeszcze rozpoznać wielokątne łuski rozmaitej wielkości, co bardzo ją upodabniało do skóry jaszczurek. Zresztą była nieco odmienna w różnych częściach ciała, na brzuchu łuski stawały się większe i zdecydowanie słabiej widoczne. W kilku miejscach w ogóle ich nie było: na podgardlu, u nasady przednich i tylnych łap – dokładnie tak samo, jak u jaszczurek.

Lecz ten okaz był za duży na jaszczurkę, według prowizorycznej oceny musiał za życia ważyć co najmniej sto kilogramów. Nigdzie na świecie nie było tak olbrzymich jaszczurek, może z wyjątkiem indonezyjskich smoków z Komodo. *Varanus komodoensis* może osiągnąć nawet trzy metry długości, jest groźnym mięsożercą, który często porywa kozy i świnie, a zdarzają się nawet napaści tych zwierząt na ludzi. Ale w żadnym zakątku Nowego Świata nie napotkano dotąd tak wielkich jaszczurek. Należało zatem przypuszczać, że jest to przedstawiciel rodziny *Iguanidae*. Legwany zamieszkiwały przecież Amerykę, a gatunki wiodące ziemno-wodny tryb życia także osiągały spore rozmiary. Mimo wszystko to zwierzę trzeba by zaliczyć do rekordzistów pod względem wielkości.

Levine zaczął powoli okrążać padlinę, chcąc obejrzeć ją ze wszystkich stron. Uzmysłowił sobie szybko, że to nie może być jaszczurka. Zwierzę leżało na boku, lewą stroną ciała ku górze, prawie do połowy zakopane w piasku. Rząd odznaczających się pod skórą wyrostków poszczególnych kręgów kręgosłupa widniał zaledwie parę centymetrów nad poziomem plaży. Długa szyja była podwinięta, łeb ginął gdzieś pod brzuchem, jakby zwierzę niczym kaczka wsunęło go pod skrzydło. Wreszcie Levine dostrzegł przednią łapę, niezwykle małą, jakby zredukowaną. Sama stopa także była zagrzebana w piasku. Warto by ją odkopać i dokładnie zbadać – pomyślał – ale przede wszystkim trzeba by zrobić zdjęcia, zanim cokolwiek się tu ruszy.

W miarę poznawania nowych szczegółów Levine powtarzał sobie, że musi zachować wyjątkową ostrożność. Jedno było dla niego oczywiste – miał przed sobą nadzwyczaj rzadkie, a być może nieznane dotąd zwierzę. Dlatego, mimo narastającego podniecenia, trzeba było działać ostrożnie. Jeśli rzeczywiście dokonał ważnego odkrycia – a coraz bardziej skłaniał się ku twierdzeniu, że tak – należało zgromadzić odpowiednią dokumentację.

Kilka metrów dalej Guitierrez coraz głośniej wykłócał się z pilotem, ten jednak z uporem kręcił głową. Ach, te urzędasy z bananowych republik – pomyślał Levine. Dlaczego zabraniano mu robić zdjęcia? Przecież nikomu by nie wyrządził krzywdy, a jedynie zyskał sposobność utrwalenia wyglądu i tak już silnie rozłożonego zwierzęcia.

Zza drzew dobiegł głośny terkot i po chwili nad zatoką pojawił się drugi śmigłowiec, rzucając wydłużony cień na biały piasek plaży. Niczym helikopter ratowniczy maszyna była pomalowana na biało, a wzdłuż kadłuba ciągnęły się duże czerwone litery, lecz oślepiające słońce nie pozwoliło odczytać napisu.

Odwrócił się z powrotem w stronę padliny. Zwrócił uwagę, że tylna łapa jest nadzwyczaj silnie umięśniona i znacznie różni się od przedniej. Mogło to oznaczać, że zwierzę poruszało się w postawie pionowej, oparte wyłącznie na mocnych tylnych odnóżach. Rzecz jasna, znane były liczne gatunki poruszających się w ten sposób jaszczurek, ale żaden z nich nie osiągał tak wielkich rozmiarów. Odtwarzając w myślach kształt zwierzęcia, Levine upewnił się po raz kolejny, że nie mogła to być jaszczurka.

Przyspieszył nieco kroku, gdyż słońce stało już bardzo nisko, stopniowo zapadał zmrok. W wypadku tego typu znaleziska zawsze trzeba było odpowiedzieć na dwa podstawowe pytania: Po pierwsze, czy jest to na pewno zwierzę? A po drugie, z jakiej przyczyny zdechło?

Zatrzymawszy się przy zadzie padliny, zwrócił uwagę na kolejny płat odstającej skóry, silnie wypchnięty uwalniającymi się podczas rozkładu gazami. Ale kiedy przyjrzał się uważnie, dostrzegł, że jest to w gruncie rzeczy bardzo głęboka rana. W szczelinie widać było nie tylko różową tkankę mięśniową, ale na jej dnie połyskiwała nawet bielą naga kość. Mimo odrażającego fetoru i białych robaków pełzających w rozdarciu skóry Levine podszedł jeszcze bliżej, gdyż nagle zrozumiał, że ma przed sobą...

– Przepraszam za to wszystko – odezwał się za jego plecami Guitierrez. – Nie zdołałem nic wskórać.

– Marty, ja naprawdę muszę zrobić przynajmniej kilka zdjęć.

– Obawiam się, że to niewykonalne – odparł tamten, wzruszając ramionami.

– To dla mnie cholernie ważne.

– Przykro mi, próbowałem różnych sposobów.

W oddali biały śmigłowiec wylądował na plaży, wirnik obracał się coraz wolniej. Zaczęli z niego wysiadać jacyś ludzie w mundurach.

– Jak myślisz, Marty, co to za zwierzę?

– No cóż, mogę tylko zgadywać – odparł Guitierrez. – Sądząc po rozmiarach, to chyba jakiś nieznany gatunek legwana. Oczywiście jest wyjątkowo duży, dotychczas nie spotykano tak wielkich egzemplarzy w Kostaryce. Zaryzykowałbym twierdzenie, że to zwierzę musi pochodzić z Galapagos, widocznie...

– Jesteś w błędzie, Marty – przerwał mu Levine. – To nie legwan.

– Zanim przedstawisz swój pogląd – rzekł Guitierrez, zerkając przez ramię

na pilota – powinieneś chyba wiedzieć, że ostatnio na tym terenie odkryto już kilka gatunków nieznanych dotąd jaszczurek. Nikt nie wie, dlaczego pojawiają się właśnie tu, być może jest to związane z prowadzonym ciągle wyrębem dżungli. W każdym razie te okolice stały się bardzo interesujące dla odkrywców nowych gatunków. Pamiętam, jak przed kilkoma laty zaczęły się masowo pojawiać…

– Marty! To nie jest żadna jaszczurka!

Guitierrez zamrugał szybko.

– Dlaczego tak uważasz? Przecież to musi być jaszczurka!

– Jestem innego zdania.

– Prawdopodobnie zmyliły cię te rozmiary. Ale faktem jest, że w Kostaryce wcale nie tak rzadko ludzie natrafiają na niezwykłe okazy…

– Nic mnie nie zmyliło, Marty.

– Tak, oczywiście. Wcale nie chciałem…

– Powtarzam ci jeszcze raz, że to nie jest jaszczurka – rzekł z naciskiem Levine.

– Przykro mi – mruknął Guitierrez, energicznie kręcąc głową – ale nie mogę się z tobą zgodzić.

Ekipa w mundurach wyciągała z wnętrza białego śmigłowca jakiś sprzęt, mężczyźni mieli już na twarzach chirurgiczne maski.

– Możesz się nie zgadzać – oznajmił Levine i odwrócił się tyłem do kolegi. – Wcale nie tak trudno określić przynależność rodzajową, będzie to znacznie łatwiejsze, jeśli wydobędziemy z piasku łeb zwierzęcia albo przynajmniej jedną łapę, choćby i tę tylną, gdyż podejrzewam…

Urwał nagle i pochylił się nad padliną, spoglądając na tylną część masywnego zadu.

– Co się stało? – spytał Guitierrez.

– Daj mi swój nóż.

– Po co?

– Nie pytaj, tylko daj.

Ten wyjął z kieszeni scyzoryk, otworzył go i wsunął w wyciągniętą dłoń Levine'a, który trwał w niewygodnej pozycji.

– Myślę, że ciebie to także zainteresuje.

– Co?

– Otóż na skórze, na przedłużeniu kręgosłupa, znajduje się…

Niespodziewanie przerwały im głośne okrzyki, obaj szybko podnieśli głowy. Plażą w ich kierunku, od strony białego śmigłowca, biegli mężczyźni w mundurach. Na plecach mieli prostopadłościenne zbiorniki, wykrzykiwali coś po hiszpańsku.

– O co im chodzi? – zapytał Levine, marszcząc brwi.

– Każą nam się odsunąć – wyjaśnił Guitierrez z ciężkim westchnieniem.

– Powiedz, że jesteśmy zajęci. – Richard ponownie schylił się nad padliną.

Ale krzyki tylko przybrały na sile, towarzyszył im głośny syk. Richard znów uniósł głowę i ku swemu zdumieniu ujrzał długie jęzory płomieni wydobywających się z miotaczy ognia, nadzwyczaj jaskrawych w zapadającym stopniowo zmroku. Skoczył przed siebie, zabiegając tamtym drogę.

– Nie! Nie wolno…

Kostarykanie zbliżali się szybko.

– Nie macie prawa! To bezcenne…

Pierwszy z nich chwycił go za ramię i bezceremonialnie odepchnął na bok, aż Levine wylądował na piasku.

– Co oni wyczyniają, do cholery?! – krzyknął, podrywając się na nogi.

Ale było już za późno. Długi strumień płonącej benzyny spadł na rozkładające się zwierzę, za nim popłynął następny. Skóra padliny błyskawicznie poczerniała, pękały bąble wypełnione gazem, a uwolniony metan zapalał się z głośnym trzaskiem. W niebo wzniósł się słup gęstego, czarnego dymu.

– Powstrzymaj ich! – krzyknął Levine, podbiegając do Guitierreza. – Każ im przestać!

Ten jednak stał jak wmurowany, patrząc na płonące znalezisko. Po ciele zwierzęcia pełzały coraz wyższe płomienie, podsycane przez spływający wytopiony tłuszcz. Wkrótce ich oczom ukazały się czarne osmalone żebra. W pewnej chwili długa szyja zwierzęcia zaczęła się wyginać, ciągnięta przez kurczące się w ogniu tkanki miękkie oraz skórę. Nieoczekiwanie w samym środku szalejącego pożaru pojawił się mocno wydłużony pysk z rzędami ostrych, pochylonych ku przodowi zębów, a czerwone płomienie wyzierające przez puste oczodoły sprawiły, że przerażony Levine pomyślał, iż oto ma przed sobą smoka ze średniowiecznych legend, który ziejąc ogniem, unosi łeb ku niebu.

SAN JOSÉ

Levine siedział w barku na lotnisku w stolicy Kostaryki San José,

obracając w palcach szklankę z piwem. Czekał na samolot powrotny do Stanów Zjednoczonych. Guitierrez zajął sąsiednie miejsce przy maleńkim stoliku, lecz niewiele ze sobą rozmawiali. Kłopotliwe milczenie trwało przez długie minuty. Wreszcie Guitierrez zwrócił uwagę na plecak kolegi stojący nieopodal na podłodze. Z pewnością nie był to model seryjny – wykonany z ciemnozielonej impregnowanej tkaniny został wyposażony w liczne zewnętrzne kieszenie, dopasowane rozmiarem do nowoczesnego sprzętu elektronicznego.

– Ładny plecak – odezwał się w końcu Guitierrez. – Skąd go masz? Wygląda, jakby został zaprojektowany przez samego Thorne'a.

– To rzeczywiście jeden z jego prototypów. – Levine pociągnął łyk piwa.

– Podoba mi się. Co masz w tej największej, górnej kieszeni? Telefon z anteną satelitarną? Czy może przenośny minikomputer? Ależ technika poszła ostatnio do przodu, aż się wierzyć nie chce. To wyposażenie pewnie musiało cię kosztować majątek.

– Marty – jęknął zdruzgotany Levine. – Przestań chrzanić. Powiesz mi wreszcie prawdę czy nie?

– Co mam ci powiedzieć?

– Muszę wiedzieć, co tu się wyrabia, do cholery.

– Posłuchaj, Richardzie. Jest mi strasznie przykro...

– Daj spokój – przerwał mu Levine. – Chyba nie muszę ci mówić, Marty, jak ważne było to znalezisko na plaży. I zostało zniszczone! Nie rozumiem, jak mogłeś do tego dopuścić!

Guitierrez westchnął głośno. Spojrzał na siedzących przy sąsiednim stoliku turystów, po czym rzekł cicho:

– Ale zachowasz to tylko dla siebie, dobra?

– W porządku.

– Tutejsze władze uznały to za poważny problem.

– Co?

– Te pojawiające się ostatnio... niezwykłe okazy... Od czasu do czasu są znajdowane na wybrzeżu, już od kilku lat...

– Niezwykłe okazy? – powtórzył Levine, z niedowierzaniem kręcąc głową.

– Tutaj tak się je oficjalnie nazywa – wyjaśnił Guitierrez. – Nikt nawet nie próbuje precyzować tego określenia. Wszystko zaczęło się jakieś pięć lat temu, kiedy w wysokich partiach gór pracownicy pewnej doświadczalnej stacji rolniczej, zajmującej się testowaniem odporniejszych odmian soi, odkryli kilka nieznanych dotąd gatunków zwierząt.

– Żerujących na soi?

Tamten przytaknął ruchem głowy.

– Widocznie poletka doświadczalne, gdzie oprócz soi rosła dorodna trawa, przyciągnęły te właśnie zwierzęta. W każdym razie naukowcy doszli do wniosku, że zwabiła je podwyższona zawartość lizyny w tamtejszych uprawach. Badania zostały jednak przerwane, trudno zatem wykluczyć, że chodziło po prostu o łatwość zdobywania pożywienia na polach...

– Marty, nie obchodzi mnie, czy te zwierzęta miały szczególną ochotę na soję, czy na piwo z precelkami. Ważne jest tylko jedno: skąd się nagle wzięło w Kostaryce tyle nowych gatunków zwierząt?

– Tego nikt nie wie.

Levine zamyślił się na chwilę, po czym zapytał:

– I co się stało z tymi zwierzętami?

– Zostały zniszczone. Według dostępnych mi danych przez parę lat panował spokój, ale teraz wygląda na to, że znów zaczynają się pojawiać. W ciągu ostatniego roku, licząc także to zwierzę, które oglądaliśmy dziś na plaży, dokonano czterech podobnych znalezisk.

– I wszystkie spotkał taki sam los?

– Owszem, każdy niezwykły okaz jest niszczony. Sam widziałeś. Już od pięciu lat tutejsze władze podejmują wszelkie możliwe środki, by żaden ze znalezionych egzemplarzy nie został poddany dokładniejszym badaniom. Kilka lat temu w amerykańskich czasopismach zaczęły się ukazywać alarmujące artykuły na temat zagadkowych wydarzeń na kostarykańskiej wyspie Nublar. Władze zaprosiły więc grupę dziennikarzy i zorganizowały im wycieczkę, ale później rozeszły się plotki, że pokazano im zupełnie inną wyspę, której nie potrafili rozpoznać. Niezależnie od tego, ile było w tym prawdy, łatwo stąd wywnioskować, iż rząd Kostaryki traktuje całą tę sprawę nadzwyczaj poważnie.

– Dlaczego?

– Władze są chyba zaniepokojone.

– Zaniepokojone? Czym miałyby się martwić, skoro...

Guitierrez błyskawicznie uciszył go, podnosząc rękę, po czym rozejrzał się na boki, pochylił nad stolikiem i szepnął:

– Chodzi o zarazę, Richardzie.

– Zarazę?

– Owszem. Kostaryka ma doskonale zorganizowaną służbę zdrowia. W ostatnich latach tutejsi epidemiolodzy zwrócili uwagę na dość nietypowe przypadki zapalenia mózgu, które występują coraz częściej, przede wszystkim na zachodnim wybrzeżu.

– Nietypowe zapalenie mózgu? Jakiego pochodzenia? Wirusowe?

Guitierrez energicznie pokręcił głową.

– Do tej pory nie wykryto czynnika wywołującego chorobę.

– Marty...

– Powtarzam ci, Richardzie, że nikt nie wie niczego konkretnego. Zapewne nie chodzi o wirusa, ponieważ nie zidentyfikowano antyciał, a w białych krwinkach ludzi zarażonych nie stwierdzono żadnych zmian. Choroba nie jest także roznoszona przez bakterie, gdyż nie udało się wyodrębnić żadnego specyficznego szczepu. Do tej pory jej przyczyny pozostają nieznane. Wiadomo tylko jedno – zapadają na nią niemal wyłącznie wieśniacy, czyli ludzie stykający się na co dzień ze zwierzętami hodowlanymi. A objawy są typowe dla zapalenia mózgu: silne bóle głowy, zaburzenia procesów myślowych, wysoka gorączka, dreszcze.

– Bywa śmiertelna?

– Chyba jeszcze nie stwierdzono takich przypadków. Choroba trwa około trzech tygodni, daje się skutecznie leczyć, lecz mimo to wywołuje poważne zaniepokojenie władz. Gospodarka tego kraju jest bardzo silnie uzależniona od turystyki, Richardzie. Dlatego nikt nie chce mówić o rozszerzającej się, dość tajemniczej zarazie.

– Czyżby sądzono, że owe zapalenie mózgu ma coś wspólnego z nasilonym występowaniem niezwykłych okazów zwierząt?

Guitierrez wzruszył ramionami.

– Jaszczurki przenoszą wiele infekcji wirusowych, to rzecz wiadoma. Zatem łączenie tych dwóch spraw nie jest całkowicie bezpodstawne.

– Ale sam powiedziałeś, że choroba nie ma raczej podłoża wirusowego.

– Prawdopodobnie, lecz władze Kostaryki sądzą, że istnieje jakiś związek.

– Więc tym bardziej powinno się zacząć badać, skąd pochodzą owe zwierzęta. Jestem pewien, że podjęto poszukiwania...

– Poszukiwania? – spytał Guitierrez z pobłażliwym uśmiechem. – Nie przyniosły rezultatu. Już parokrotnie przeczesano niemal każdy akr powierzchni kraju. Zorganizowano kilkadziesiąt ekspedycji, sam kierowałem kilkoma z nich. Prowadzono zwiad z powietrza, przeszukiwano zarówno dżunglę w głębi lądu, jak i przybrzeżne wyspy. Naprawdę zorganizowano wielką akcję. Na szczęście tych wysp wzdłuż zachodniego wybrzeża nie jest dużo. Wyobraź sobie, że dokładnie kontrolowano nawet te, które stanowią własność prywatną.

– Chcesz powiedzieć, że jakieś kostarykańskie wyspy są w rękach prywatnych? – spytał zdumiony Levine.

– Kilka, trzy lub cztery. Chociażby Isla Nublar, która na parę lat została

wydzierżawiona przez amerykańską spółkę InGen.

– I mówisz, że ta wyspa też została dokładnie przeszukana?

– Bardzo dokładnie, ale niczego nie znaleziono.

– A pozostałe do kogo należą?

– Nie jestem pewien, czy wiem o wszystkich. – Guitierrez uniósł dłoń i zaginając kolejne palce, zaczął wyliczać: – Isla Talamanca na Morzu Karaibskim jest własnością prywatnego kostarykańskiego klubu. Sorna u wybrzeży zachodnich została wydzierżawiona przez jakąś niemiecką firmę górniczą. Jest jeszcze duża wyspa Morazan na północy, należąca do jednej z najbogatszych miejscowych rodzin. Zapewne niektóre z mniejszych wysepek są także własnością prywatną.

– I ekipy poszukiwawcze niczego tam nie znalazły?

– Nie. Zupełnie niczego. Założono więc, że niezwykłe okazy zwierząt muszą pochodzić z głębi kraju, z dżungli. Prawdopodobnie tylko z tego powodu nie udało się do dzisiaj stwierdzić niczego konkretnego.

– Jasne, trzeba by mieć sporo szczęścia – mruknął Levine.

– Zgadzam się. Lasy tropikalne to doskonała kryjówka. Ekspedycja badawcza może przejść kilka metrów od dużego zwierzęcia i nikt go nie zauważy. Nawet najnowocześniejszy sprzęt do obserwacji z powietrza też na niewiele się przyda, gdyż trzeba by oddzielnie analizować poszczególne warstwy, począwszy od chmur, poprzez korony drzew, a skończywszy na gęstwinie roślin niskopiennych. Nie sposób dokładnie zbadać takiego środowiska. W głębi dżungli można ukryć niemal dosłownie wszystko. – Guitierrez urwał na chwilę. – Chyba właśnie dlatego władze czują się tak skonsternowane. Zresztą nie tylko władze kostarykańskie są zainteresowane wyjaśnieniem tajemnicy.

Levine szybko uniósł głowę.

– Naprawdę?

– Owszem. Z niewiadomych przyczyn owe niezwykłe okazy zwierząt wzbudzają powszechne zaciekawienie.

– Kto się jeszcze nimi interesuje?

– Ostatniej jesieni rząd wydał pewnej ekspedycji botaników z uniwersytetu w Berkeley zezwolenie na zbadanie z powietrza lasów tropikalnych na płaskowyżu w sercu kraju. Mniej więcej w miesiąc po jej wyruszeniu z jakichś przyczyn formalnych, bodajże z powodu niemającego pokrycia czeku za paliwo lotnicze, urzędnicy z San José skontaktowali się z amerykańską uczelnią i wyszło na jaw, że tam nikt nic nie wie o podobnej ekspedycji. Ta tymczasem kontynuowała swoje podejrzane badania.

– I pewnie nie udało się stwierdzić, skąd przybyła?

– Nie. Zimą wybuchła kolejna afera, kiedy grupa geologów ze Szwajcarii zwróciła się o pozwolenie na badania składu gazów wulkanicznych na przybrzeżnych wyspach w ramach studium aktywności sejsmicznej Ameryki Środkowej. Wyspy zachodniego wybrzeża są pochodzenia wulkanicznego i na wielu z nich obserwuje się mniejszą czy większą aktywność, toteż nikt niczego nie podejrzewał. Okazało się jednak, że ci „geolodzy" w rzeczywistości pracują na zlecenie amerykańskiej firmy o nazwie Biosyn prowadzącej eksperymenty genetyczne i poszukują na wyspach niezwykłych okazów zwierząt.

– Czemu firma zajmująca się biotechnologią miałaby szukać nieznanych dotąd gatunków zwierząt? – zapytał Levine. – Dla mnie to nie trzyma się kupy.

– Ja też się nad tym zastanawiałem – przyznał Guitierrez. – Może zaciekawi cię to, że Biosyn ma w kraju nie najlepszą reputację. Badaniami w tej firmie kieruje niejaki Lewis Dodgson.

– Ach tak, słyszałem o nim. Podobno to on kilka lat temu testował w Chile nową szczepionkę przeciwko wściekliźnie. Wybuchł skandal, ponieważ nieświadomym hodowcom pozwolono się stykać z zarażonymi zwierzętami.

– Zgadza się. To także on odpowiada za potajemne wprowadzenie do handlu w wybranych supermarketach genetycznie ulepszonych ziemniaków, po których spożyciu dzieci cierpiały na biegunkę, a kilkoro z nich wylądowało nawet w szpitalu. Po tym wszystkim firma musiała skorzystać z usług George'a Baseltona, żeby nieco poprawić swą nadszarpniętą reputację.

– Wygląda na to, że wszyscy się uciekają do pomocy Baseltona – wtrącił Levine.

Guitierrez wzruszył ramionami.

– Nic dziwnego, to znany specjalista, często występuje w roli konsultanta. Robi na tym grubszą forsę. Poza tym ma tytuł profesora biologii. To chyba zrozumiałe, iż firmy wykorzystują go do swoich celów, zwłaszcza że Dodgson ma zwyczaj działać na pograniczu prawa. Jego szczęście, że może liczyć na wsparcie wielu wpływowych osób z całego świata, bo przecież uprawia pospolite szpiegostwo przemysłowe, ma na usługi licznych płatnych włamywaczy. Mówi się, że Biosyn to jedyna firma zajmująca się badaniami genetycznymi, która zatrudnia więcej prawników niż naukowców.

– Z jakiego powodu Biosyn tak bardzo się interesuje Kostaryką? – zapytał Levine.

Guitierrez ponownie wzruszył ramionami.

– Nie wiem, ale ostatnimi czasy podejście do badań naukowych diametralnie się zmieniło, Richardzie. Tutaj jest to doskonale widoczne.

Kostarykański ekosystem zalicza się do najbogatszych na świecie, mamy pół miliona gatunków zasiedlających dwanaście odrębnych środowisk. Występuje tu aż pięć procent wszystkich gatunków istniejących na naszym globie. Od wielu lat w Kostaryce prowadzono intensywne badania biologiczne, toteż możesz mi wierzyć, że bardzo widoczne są zmiany w podejściu do ich wyników. Dawniej przybywali tu wyłącznie ludzie całkowicie oddani nauce, ogarnięci pasją poznania, czy chodziło o wyjce, czy osy tropikalne, czy też roślinność zarośli mangrowych. Naukowców faktycznie interesował wyłącznie przedmiot prowadzonych badań, nikt nie pragnął się na nim wzbogacić. Ale teraz każdy element biosfery jest traktowany jako potencjalne źródło dochodów. Nikt nie wie, jaki kolejny narkotyk stanie się popularny, toteż firmy farmaceutyczne analizują wszystkie rodzaje substancji psychotropowych. Szuka się białka, które powoduje, że skorupka jaja nie przepuszcza wody, peptydu w wydzielinie pająka hamującego krzepliwość krwi bądź związku o działaniu przeciwbólowym, występującego w woskowatej wydzielinie paproci. Wszelkie badania prowadzi się dla zysku, a tym samym zmienia się całkowicie podejście do nauk biologicznych. Dziś już nikt nie bada natury, dzisiaj się ją eksploatuje. Nauka zyskała charakter rabunkowy. Wszystko, co nowe lub dotąd nieznane, staje się automatycznie obiektem wielkiego zainteresowania, gdyż może stanowić źródło dochodów, przynieść odkrywcy prawdziwą fortunę. – Urwał, dopił piwo ze szklanki, po czym dodał: – Cały świat stoi na głowie. Nic więc dziwnego, że tak wiele osób chciałoby wiedzieć, cóż to za niezwykłe okazy zwierząt pojawiają się w Kostaryce i skąd się one tutaj biorą.

Z megafonów popłynęła zapowiedź odlotu samolotu do Stanów Zjednoczonych. Kiedy obaj mężczyźni wstali z miejsc, Guitierrez zapytał jeszcze raz:

– Zachowasz to wszystko dla siebie? Nie powiesz nikomu o tym, co widziałeś dzisiaj na plaży?

– Jeśli mam być szczery, to sam nie wiem, co tam właściwie oglądaliśmy. Nie zdołałem przecież określić gatunku zwierzęcia.

Guitierrez uśmiechnął się szeroko.

– Szczęśliwej podróży, Richardzie.

– Uważaj na siebie, Marty.

ODLOT

Z plecakiem przewieszonym przez ramię Levine ruszył w kierunku punktu odprawy celnej. Po paru krokach odwrócił się jeszcze, żeby pomachać przyjacielowi na pożegnanie, ale Guitierrez wychodził już z hali dworca lotniczego, gestem przywołując taksówkę. Richard przez chwilę spoglądał za nim, wreszcie poszedł dalej.

Przed barierką kontroli paszportowej stała kolejka podróżnych z naszykowanymi dokumentami. Na szczęście Levine wykupił bilet na nocny lot do San Francisco z długim postojem w Mexico City, na który nie było tylu chętnych, co na inne połączenia. Przyszło mu teraz do głowy, iż powinien zadzwonić do swego biura i zostawić sekretarce wiadomość, że przyleci tym właśnie samolotem. Pomyślał też, że powinien chyba także porozmawiać z Malcolmem. Rozejrzał się po hali i dostrzegł pod ścianą po prawej stronie rząd automatów oznakowanych napisem: ICT TELEFONOS INTERNACIONAL. Wszystkie były jednak zajęte. Postanowił zatem skorzystać z łączności satelitarnej, gdyż w wyposażeniu plecaka rzeczywiście miał taki aparat. Zdjął bagaż z ramienia, postawił go na podłodze i pochylił się nad nim...

Nagle znieruchomiał, marszcząc brwi.

Ponownie obejrzał się w stronę drugiego końca hali.

Z pierwszego automatu łączności międzynarodowej korzystała jakaś blondynka w szortach i króciutkiej elastycznej bluzce, energicznie kołysząca na drugim ręku wiercące się dziecko. Przy następnym telefonie stał olbrzymi brodacz w kurtce typu safari i co kilka sekund zerkał na złotego roleksa. Słuchawkę trzeciego aparatu trzymała siwowłosa kobieta mówiąca płynnie po hiszpańsku, a obok niej stali dwaj kilkunastoletni chłopcy, którzy równocześnie potakiwali głowami.

Przy czwartym telefonie Levine rozpoznał pilota śmigłowca. Tamten był już bez kurtki mundurowej, w samej koszuli z krótkimi rękawami i krawacie. Stał obrócony twarzą do ściany, lekko przygarbiony.

Richard podszedł nieco bliżej i usłyszał, że pilot mówi po angielsku. Znów zdjął plecak i pochylił się nad nim, udając, że poprawia mocowanie pasków. Uważnie nastawił ucha. Tamten wciąż stał odwrócony tyłem do niego.

– Nie, nie, profesorze. Nic podobnego. Na pewno nie. – Urwał, a po chwili powtórzył: – Nie. Mówię jeszcze raz, że nie. Przykro mi, profesorze Baselton, lecz tego nikt nie wie. Na pewno to jedna z wysp, ale która?... Musimy jeszcze zaczekać... Nie, odlatuje dziś wieczorem. Jestem pewien, że niczego się nie domyśla. Nie zrobił ani jednego zdjęcia... Tak, rozumiem. *Adiós*.

Levine pochylił się jeszcze niżej. Pilot odwiesił słuchawkę i odszedł

energicznym krokiem w kierunku stanowiska wynajmu samolotów i śmigłowców.

O co tu chodzi, do diabła? – pomyślał Richard.

„Na pewno to jedna z wysp, ale która?".

Skąd oni wiedzieli, że jest zainteresowany przybrzeżnymi wyspami? A przecież Levine sam nie miał pojęcia, o którą z nich może chodzić. Przez cały dzień się nad tym zastanawiał, sprawa niezwykłych znalezisk zaprzątała go niemal bez przerwy. On również chciałby wiedzieć, skąd pochodziły te zwierzęta i dlaczego odnajdywano je na plaży.

Ruszył pospiesznie i skręcił za róg korytarza, chowając się przed wzrokiem ciekawskich turystów. Wyjął z plecaka niewielki aparat satelitarny i wybrał numer telefonu w San Francisco.

Cichy pisk oznajmił nawiązanie łączności przez satelitę i po chwili w słuchawce rozległ się sygnał, a następnie krótkie buczenie włączonego rejestratora komputerowego. Mechaniczny głos powiedział:

– Proszę przekazać hasło dostępu.

Levine szybko wystukał na klawiaturze sześciocyfrowy numer.

Ponownie rozległ się pisk i ten sam głos z syntezatora mowy oznajmił:

– Proszę zostawić wiadomość.

– Przekazuję telefonicznie rezultaty wyprawy. Pojedynczy egzemplarz w dość kiepskim stanie. Stanowisko BB-17 na naszej mapie. To daleko na południu, co by pasowało do wcześniejszej hipotezy. Nie zdołałem dokładnie określić gatunku zwierzęcia, gdyż ekipa sanitarna podpaliła znalezisko. Podejrzewam jednak, że było to stworzenie z grupy ornitolestów. Jak wiesz, tych zwierząt w ogóle nie uwzględniliśmy na naszej liście, a więc moje odkrycie nabiera szczególnego znaczenia.

Rozejrzał się na boki, ale w pobliżu nie było nikogo, nikt nie zwracał na niego uwagi.

– Co więcej, z boku tylnej kończyny zwierzęcia znajdowała się bardzo głęboka rana cięta. Uważam, że jest to nadzwyczaj niepokojące. – Zamyślił się na krótko, gdyż nie chciał przekazywać tą drogą zbyt wielu informacji. – Wysyłam również wycięty fragment tkanki do szczegółowych badań. Domyślam się, że zainteresuje wiele osób. Jedno jest pewne, Ian, dzieje się tu coś dziwnego. Przez rok nie znajdowano żadnych niezwykłych okazów zwierząt, a teraz nagle znów zaczęły się pojawiać. To nie może być przypadek. Chyba wielu rzeczy jeszcze nie rozumiemy.

Czyżby? – zapytał siebie w duchu. Przerwał połączenie, złożył aparat i schował go z powrotem do kieszeni plecaka. A może tylko nie potrafimy zebrać poznanych faktów w spójną całość? – rozmyślał dalej. Podniósł się

i w zadumie popatrzył na topniejącą powoli kolejkę do odprawy paszportowej. Trzeba było iść, żeby nie spóźnić się na samolot.

PALO ALTO

O drugiej w nocy Ed James wjechał na parking przed restauracją Marie Callender przy Carter Road. Czarne bmw już tu stało, niemal na wprost wejścia do lokalu. Za szybą restauracji dostrzegł siedzącego przy stoliku Dodgsona. Jak zawsze tamten miał zatroskaną minę, chyba w ogóle nie potrafił się uśmiechać. Rozmawiał z jakimś potężnie zbudowanym mężczyzną i bez przerwy spoglądał na zegarek. James rozpoznał w tym drugim Baseltona, naukowca często występującego przed kamerami telewizji. Aż odetchnął z ulgą. Nie znosił spotykać się z Dodgsonem, toteż miał nadzieję, że w obecności Baseltona ten będzie się nieco hamował.

Wyłączył silnik i pochylił wsteczne lusterko, żeby zapiąć koszulę pod szyją i ułożyć równo krawat. Mignęło mu odbicie jego twarzy – podkrążone, zmęczone oczy, policzki pokryte dwudniowym zarostem. Do cholery, jakie to ma znaczenie? – pomyślał. Czemu nie miałbym wyglądać na zmęczonego? Przecież jest środek nocy!

Dodgson zawsze wzywał go w środku nocy i nieodmiennie organizował spotkania w tej przeklętej restauracji Marie Callender. James nie potrafił tego zrozumieć, kawę podawano tu strasznie podłą. Zresztą nie była to jedyna rzecz, której nie rozumiał.

Wziął z sąsiedniego siedzenia dużą, wypchaną kopertę, wysiadł z samochodu i z impetem zatrzasnął drzwi. Kręcąc głową do własnych myśli, ruszył w kierunku wejścia. Już od kilku tygodni Dodgson płacił mu po pięćset dolarów dziennie za śledzenie poczynań paru wybranych naukowców. Początkowo James przypuszczał, że chodzi o szpiegostwo przemysłowe, ale szybko się przekonał, iż żaden z obiektów jego zainteresowania nie pracuje w przemyśle, lecz piastuje takie czy inne stanowisko na uczelni i zajmuje się raczej nudnymi, czysto naukowymi badaniami. Jak chociażby ta botaniczka Sattler, która analizowała w skamieniałościach pyłki prehistorycznych roślin. James poszedł nawet na jeden z jej wykładów w Berkeley, lecz omal nie usnął. Kobieta bez przerwy demonstrowała zdjęcia półprzezroczystych kulek przypominających drobne kłębuszki bawełny, przy czym mówiła o jakichś

kątach wiązań polisacharydowych oraz przełomie kampanu i mastrychtu. Cały jej wykład był nudny jak flaki z olejem.

W każdym razie na pewno niewart tych pięciuset dolarów dziennie – pomyślał James. Wszedł do środka i zamrugał szybko, oślepiony jaskrawym światłem. Podszedł do stolika i usiadł, skinąwszy głową Dodgsonowi oraz Baseltonowi, po czym uniósł rękę, chcąc przywołać kelnerkę i zamówić sobie kawę.

Dodgson przyglądał mu się badawczo.

– Nie mam zamiaru czekać całą noc – burknął wreszcie. – Zaczynaj.

– Tak... – mruknął speszony James, pospiesznie opuszczając rękę. – Tak, oczywiście.

Otworzył kopertę i wyjął z niej gruby plik kartek z notatnika oraz fotografii. Przesunął je po stoliku w stronę Dodgsona i zaczął:

– Alan Grant, paleontolog z uniwersytetu stanowego w Montanie. Jest obecnie na urlopie, przebywa w Paryżu, gdzie został zaproszony na cykl wykładów o najnowszych znaleziskach szczątków dinozaurów. Według zdobytych przeze mnie informacji szerzy teorię, że tyranozaury żywiły się głównie padliną i...

– Nieważne – przerwał mu Dodgson. – Dalej.

– Ellen Sattler Reiman – rzekł James, wyjmując ze stosu zdjęcie. – Botaniczka, przez jakiś czas związana z Grantem, później wyszła za fizyka z Berkeley. Ma dwójkę dzieci, córkę i syna. Pracuje na pół etatu na uniwersytecie, większość czasu spędza w domu z powodu...

– Dalej!

– No cóż, wiele osób z pańskiej listy już nie żyje. Donald Gennaro, prawnik... zmarł na czerwonkę podczas jednej z podróży służbowych. Dennis Nedry, programista z Integrated Computer Systems... również nie żyje. John Hammond, założyciel International Genetic Technologies... zginął tragicznie podczas wizyty w laboratorium badawczym na terenie Kostaryki. Hammond przebywał tam razem z parą swoich wnucząt, po wypadku jego córka przeniosła się z dziećmi na Wschodnie Wybrzeże, gdzie...

– Czy nikt nie próbował się z nimi kontaktować? Może odezwał się któryś z byłych współpracowników InGenu?

– Nie, rodzina nie utrzymuje z nikim bliższych kontaktów. Chłopak rozpoczął naukę w szkole średniej, dziewczynka chodzi jeszcze do podstawówki. Po śmierci Hammonda zarząd InGenu złożył w sądzie wniosek, by na podstawie przepisów rozdziału jedenastego kodeksu cywilnego odroczono spłatę wierzytelności, ale rozprawa ciągnęła się miesiącami. W końcu rozpoczęto wyprzedaż majątku firmy, licytacja trwała

dwa tygodnie.

– Czy stanowisko B także wystawiono na sprzedaż? – odezwał się po raz pierwszy Baselton.

James spojrzał na niego zdumiony.

– Jakie stanowisko B?

– Nie słyszał pan nigdy tej nazwy?

– Nie, zupełnie nie wiem, o co chodzi. Co to za stanowisko?

– Proszę nas natychmiast powiadomić, jeśli zetknie się pan gdziekolwiek z tym określeniem – rzekł stanowczo Baselton.

Dodgson zaczął przerzucać leżące na stoliku kartki i fotografie, po chwili ze zniecierpliwieniem odsunął je na bok i popatrzył na Jamesa.

– Znalazł pan coś ciekawego?

– Nie, to wszystko, doktorze Dodgson.

– Tylko tyle? – wycedził tamten ze złością. – A co z Malcolmem? Co z Levine'em? Czy nadal się przyjaźnią?

James zajrzał do swego notatnika.

– Trudno powiedzieć.

Baselton zmarszczył brwi.

– Jak to: trudno powiedzieć? Nie jest pan pewien, czy utrzymują ze sobą jakieś kontakty?

– Malcolm zetknął się z Levine'em podczas seminarium w Instytucie Santa Fe, półtora roku temu. Przez pewien czas dość często się spotykali, lecz ostatnio Malcolm coraz rzadziej podróżuje do Santa Fe. Objął stanowisko wykładowcy na wydziale biologii uniwersytetu Berkeley. Na zajęciach objaśnia matematyczne modele procesów ewolucyjnych. Wygląda na to, że całkowicie zerwał kontakty z Levine'em.

– Pokłócili się?

– Możliwe. Słyszałem, że często się spierali na temat planowanej przez Levine'a ekspedycji.

– Jakiej ekspedycji? – wtrącił z zainteresowaniem Dodgson, pochylając się niżej nad stolikiem.

– Levine planował zorganizować wielką wyprawę naukową, mającą trwać co najmniej rok. Zamówił nawet specjalne samochody terenowe w firmie o nazwie Mobile Field Systems. To małe, lecz cieszące się sławą przedsiębiorstwo w Woodside, kierowane przez niejakiego Jacka Thorne'a. Przerabiają tam jeepy oraz ciężarówki, dopasowując je do wymagań naukowców. Słyszałem, że na długiej liście oczekujących klientów są specjaliści zarówno z Afryki, jak i z Chin oraz Chile.

– I Malcolm pomagał mu w zaplanowaniu tej ekspedycji?

– Chyba tak, ponieważ sam kilkakrotnie odwiedzał warsztaty Thorne'a, mniej więcej raz w miesiącu. Natomiast Levine jeździł tam niemal codziennie. Właśnie przez te podróże trafił do aresztu.

– Do aresztu? – zdziwił się Baselton.

– Owszem. – James znów zajrzał do notatnika. – To było... dziesiątego lutego. Levine'a zatrzymano za jazdę z prędkością stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę na odcinku, gdzie obowiązuje ograniczenie do czterdziestu, przed szkołą średnią w Woodside. Sędzia zarekwirował jego ferrari, odebrał mu prawo jazdy i skazał na obowiązkową pracę na rzecz miasta, a dokładniej na prowadzenie zajęć w tejże szkole średniej.

Baselton uśmiechnął się szeroko.

– Levine zmuszony do nauczania biologii gówniarzy ze szkoły średniej... Chciałbym to zobaczyć.

– Przyjął wyrok z całkowitym spokojem. Zamieszkał na ten czas w Woodside i pewnie nawet się cieszył, że ma tak blisko do warsztatów Thorne'a. Ale ostatnio zdołał wywalczyć krótki urlop i wyjechał za granicę.

– Kiedy i dokąd wyjechał? – zapytał Dodgson.

– Dwa dni temu odleciał do Kostaryki. Na krótko, ponieważ miał wrócić wczoraj rano.

– I gdzie jest teraz?

– Nie wiem. Obawiam się też, że odnalezienie go... wcale nie będzie łatwe...

– Niby dlaczego?

James zawahał się i odchrząknął zmieszany.

– Figurował na liście pasażerów samolotu odlatującego z San José, ale nie było go na pokładzie. Mój informator z Kostaryki przekazał, że Levine wymeldował się z hotelu i pojechał ze znajomym na lotnisko, lecz tam ślad się urywa. Na pewno nie wsiadł do innego samolotu startującego z San José. Obawiam się, że na razie... mogę powiedzieć tylko tyle, iż Richard Levine zaginął.

Przez dłuższy czas panowało milczenie. Dodgson odchylił się na oparcie krzesła i głośno cmokał w zadumie, zerkając na Baseltona, który powoli kręcił głową. Wreszcie Dodgson sięgnął po wszystkie papiery leżące na stoliku, ułożył je równiutko, postukując kolejno każdą z krawędzi o blat, po czym wsunął z powrotem do koperty i wyciągnął ją w kierunku Jamesa.

– Posłuchaj uważnie, tępy sukinsynu – wycedził. – Skoncentruj się tylko na jednej rzeczy. Bardzo prostej rzeczy. Słuchasz mnie?

James szybko przełknął ślinę.

– Tak, doktorze.

Dodgson pochylił się w jego stronę.

– Masz go odnaleźć! – syknął.

BERKELEY

Malcolm podniósł głowę znad biurka, kiedy jego asystentka Beverly zajrzała do zagraconego gabinetu. Za jej plecami w drzwiach stanął goniec z poczty kurierskiej DHL, który trzymał w ręku niewielką paczuszkę.

– Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, doktorze Malcolm, ale musi pan osobiście pokwitować odbiór przesyłki... To jakaś próbka z Kostaryki.

Malcolm wyprostował się i powoli wyszedł zza biurka. Nie używał już laski, w ciągu ostatnich miesięcy intensywnie ćwiczył chodzenie o własnych siłach. Czasami odczuwał jeszcze silne bóle w nodze, ale postanowił za wszelką cenę zapanować nad słabością. Nawet jego lekarka, wprawiająca go w zakłopotanie swą troskliwością młoda terapeutka o imieniu Cindy, skomentowała ten fakt: „Jezu! Wreszcie, po tylu latach, znalazł pan jednak motywację do ćwiczeń, doktorze Malcolm!". Ten odparł nieco zakłopotany: „No, wie pani... Po prostu nie chcę do końca życia chodzić o lasce".

Ale prawda była nieco inna. Mając na co dzień do czynienia z tryskającym niespożytą energią Levine'em, odbierając o każdej porze dnia i nocy jego telefony, Malcolm stopniowo zaczął inaczej podchodzić do jego planów. Przyswoił sobie pogląd Richarda, że jest nie tylko możliwe, lecz nawet dość prawdopodobne, iż pojedyncze egzemplarze zwierząt uznanych za wymarłe przetrwały w jakimś niezbadanym zakątku świata. Zaakceptował ów pogląd z sobie tylko znanych powodów, o których jedynie wspomniał w rozmowie z Levine'em.

Nie sądził, żeby na Isla Nublar cokolwiek się ostało, ale zaczął wierzyć, że zwierzęta mogły się przenieść na którąś z sąsiednich wysp. Chciał być przygotowany do wyprawy na ten tajemniczy skrawek lądu, właśnie z tego powodu podjął wysiłki odzyskania w jakimś stopniu sprawności fizycznej.

Obaj z Levine'em zebrali wszelkie dostępne informacje o wyspach

położonych wzdłuż zachodniego wybrzeża Kostaryki. Ale choć Richard z entuzjazmem mówił o planowanej wyprawie, dla Malcolma sprawa ta pozostawała w sferze teoretycznych rozważań.

Twardo postanowił się wstrzymać z jakimikolwiek wnioskami do czasu, aż uzyskają niezbity dowód odmienności pojawiających się tam zwierząt – zdjęcie bądź próbkę do analizy. Do tej pory niczego takiego nie udało się zdobyć, toteż Malcolm przeżywał rozterki: nie wiedział, czy powinien się tym martwić, czy się z tego cieszyć.

Teraz jednak otrzymał wysłaną przez Levine'a próbkę.

Wziął formularz z rąk gońca i podpisał we wskazanej rubryce, przelotnie rzucając okiem na opis zawartości przesyłki: „Próbki do analiz biologicznych".

– Proszę sprawdzić, czy w specyfikacji wszystko się zgadza – rzekł pracownik poczty kurierskiej.

Malcolm rozłożył papiery i przebiegł wzrokiem zakreślone punkty: Czy w próbkach znajdują się żywe stworzenia? Czy są to kultury bakterii, grzybów, wirusów lub pierwotniaków? Czy próbka została sprowadzona w ramach zatwierdzonego planu badań? Czy może być źródłem infekcji chorobowej? Czy pochodzi ze stacji hodowli zwierząt lub poletka doświadczalnego? Czy jest to materiał roślinny zawierający nasiona bądź bulwy? Czy w próbce znajdują się egzemplarze owadów?

– Tak, wszystko w porządku – odparł szybko, spostrzegłszy, że na wszystkie pytania zakreślona była odpowiedź „Nie".

– Proszę jeszcze zajrzeć na drugą stronę – rzekł goniec, który z zaciekawieniem rozglądał się po gabinecie, po stosach różnorodnych papierów i wiszących na ścianach mapach z powpinanymi kolorowymi znacznikami. – Prowadzicie tu badania medyczne?

Malcolm nawet nie czytał pytań na drugiej stronie, złożył podpis na dole dokumentu.

– Nie – odpowiedział.

– I jeszcze tutaj...

Pracownik poczty podsunął mu kolejny świstek, zwalniający firmę kurierską od odpowiedzialności materialnej za przesyłkę. Malcolm podpisał także ten formularz.

– Dziękuję. Życzę miłego dnia – rzekł goniec i odszedł.

Ian zachwiał się nagle, cofnął o parę kroków i ciężko oparł dłonią

o krawędź biurka. Jego twarz wykrzywił grymas bólu.

– Nadal tak bardzo boli? – spytała Beverly.

Podeszła do stolika, odsunęła nieco papiery i na jego brzegu zaczęła rozpakowywać przesyłkę.

– Zaraz mi przejdzie – mruknął Malcolm.

Spojrzał na swoją laskę opartą o fotel po drugiej stronie biurka, wreszcie zaczerpnął głęboko powietrza i powoli zbliżył się do dziewczyny.

Beverly odwinęła szary papier i wyjęła z pudełka cylindryczny stalowy pojemnik nie większy od jej pięści. Na pokrywie miał wymalowany znak ostrzegawczy, trzy grube promienie sygnalizowały zagrożenie biologiczne. Cylinder połączony był cienką metalową rurką z mniejszym zbiorniczkiem, przytwierdzonym do jego boku, zawierającym gaz chłodzący.

Malcolm najpierw dokładnie obejrzał pojemnik w świetle lampki, a następnie rzekł:

– Zaraz się przekonamy, co go tak podekscytowało.

Oderwał taśmę uszczelniającą pokrywę i odkręcił wieko. Rozległ się syk ulatującego gazu, nad cylindrem powstała mgiełka skondensowanej pary, a stalowe ścianki pojemnika pokrył szron.

Ian zajrzał do środka: wewnątrz znajdowała się plastikowa torebeczka i zwitek papieru. Przechylił cylinder i wysypał jego zawartość na stół. W torebce został umieszczony skrawek tkanki pokrytej brudnozieloną skórą, mający jakieś pięć na pięć centymetrów, z przymocowaną do niego zieloną plakietką ze sztucznego tworzywa. Malcolm uniósł próbkę do światła, obejrzał ją przez lupę, po czym odłożył z powrotem na stolik. Jego uwagę przyciągnął wyraźnie widoczny na skórze wzór okrywających ją łusek.

Może? – pomyślał.

Może to jest...

– Beverly – rzekł – zadzwoń do Elizabeth Gelman z ogrodu zoologicznego i przekaż, że chciałbym, aby zbadała pewną próbkę. Powiedz, że to sprawa poufna.

Asystentka skinęła głową i wyszła do sąsiedniego pokoju. Malcolm ostrożnie rozwinął dołączony do próbki skrawek papieru. Był to niedbale oderwany fragment kartki z notatnika, na którym wielkimi literami napisano:

MIAŁEM RACJĘ, A TY SIĘ MYLIŁEŚ

Ian zmarszczył brwi. Cholerny sukinsyn – pomyślał.

– Beverly! – zawołał. – Po rozmowie z Elizabeth połącz mnie z gabinetem Richarda Levine'a. Muszę z nim natychmiast pogadać.

ZAGINIONY ŚWIAT

Richard Levine przycisnął twarz do rozgrzanej słońcem skalnej ściany, próbując złapać oddech. Sto pięćdziesiąt metrów pod nim białe grzywy oceanicznych fal rozbijały się o czarne wulkaniczne skały wybrzeża. Motorówka, którą tu przypłynęli, była już tylko jasną plamką na horyzoncie i szybko oddalała się na wschód. Miała później wrócić, gdyż na tej niegościnnej, niedostępnej wyspie nie było nawet cichej zatoczki, gdzie można by ją zakotwiczyć.

Tak więc na pewien czas zostali zdani wyłącznie na siebie.

Levine zaczerpnął wreszcie głęboko powietrza i odważył się zerknąć w dół, na Diego, który wisiał dwadzieścia metrów niżej na stromej ścianie urwiska. Kostarykanin dźwigał plecak z całym ich sprzętem, ale był młody i silny. Uśmiechnął się do niego przyjaźnie i ruchem głowy pokazując ku górze, zawołał:

– Odwagi, *señor*. Już niedaleko.

– Mam nadzieję – burknął Levine.

Kiedy z pokładu motorówki spoglądał na urwisty brzeg przez lornetkę, wybrał to miejsce jako najdogodniejsze do wspinaczki. Dopiero później się przekonał, że klif tworzy niemal idealnie pionową ścianę i wejście na szczyt jest bardzo ryzykowne, gdyż krucha wulkaniczna skała odłamuje się pod palcami.

Przywarł do niej całym ciałem i uniósł rękę, próbując wymacać kolejny pewniejszy punkt zaczepienia, ale znowu jedynie garść odłamków posypała mu się na głowę. Przesunął dłoń, znalazł drugie zagłębienie i podciągnął się w górę. Oddychał ciężko, zarówno z wysiłku, jak i ze strachu.

– Jeszcze tylko dwadzieścia metrów, *señor*! – krzyknął zachęcająco Diego. – Na pewno da pan radę.

– Nie mam innego wyjścia – mruknął Levine.

Pod samą krawędzią klifu wiatr uderzył go w twarz, zahuczał w uszach, wydął poły kurtki. Można było odnieść wrażenie, że chce go oderwać od ściany. Spojrzawszy w górę, Richard z nadzieją obrzucił wzrokiem gęstą tropikalną roślinność, która dochodziła aż na skraj urwistego brzegu.

Już prawie na miejscu – pomyślał. Jeszcze tylko kawałeczek.

Ostatnim wysiłkiem dźwignął się w górę, zawisł na łokciach, przerzucił nogi przez krawędź i odtoczył się dalej po miękkich, wilgotnych paprociach. Z trudem łapiąc powietrze, zerknął przez ramię: Diego wyłonił się zza krawędzi i bez większego trudu wskoczył na skalisty brzeg. Przeszedł kilka kroków, usiadł na kępie trawy i uśmiechnął się szeroko. Levine przekręcił się na wznak i zapatrzony w olbrzymie paprocie wiszące mu nad głową próbował uspokoić oszalałe serce. Nogi miał jak z waty.

Ale to wszystko przestało już mieć znaczenie. W końcu, po tylu trudach, dotarł na miejsce!

Uniósł głowę i popatrzył na otaczającą ich dżunglę – pierwotny gąszcz nietknięty ręką człowieka. Wszystko tu wyglądało dokładnie tak, jak na zdjęciach satelitarnych. A mógł przecież bazować jedynie na nich, gdyż nie sposób było zdobyć dokładniejszych map obszarów będących własnością prywatną. Ta wyspa – skrawek lądu zagubiony na Pacyfiku – rzeczywiście przypominała Zaginiony świat.

Wsłuchał się w zawodzenie wiatru, w szum liści palmowych, z których drobne kropelki wilgoci skapywały mu prosto na twarz. Ku swemu zdumieniu złowił zupełnie inny odgłos, przypominający cichy krzyk jakiegoś ptaka, ale zdecydowanie głębszy, bardziej rezonujący. Nadstawił ucha i po chwili krzyk rozbrzmiał ponownie.

Głośny trzask za jego plecami sprawił, że omal nie podskoczył w miejscu. Ale to tylko Diego strzelił zapałką, chcąc przypalić papierosa. Levine pospiesznie usiadł, położył tamtemu dłoń na ramieniu i energicznie pokręcił głową.

Zdumiony Diego zmarszczył brwi.

Richard przyłożył palec do warg.

Wskazał kierunek, skąd dobiegały podobne do ptasich wrzaski.

Ale Diego tylko wzruszył ramionami, jakby niczego nie rozumiał. Na nim to nie robiło wrażenia, nie widział żadnego powodu do zachowania szczególnej ostrożności.

To pewnie dlatego, że nawet sobie nie wyobraża, z czym możemy się tu zetknąć – pomyślał Levine. Otworzył jedną z kieszeni plecaka, wyjął części i zaczął pospiesznie składać duży sztucer marki Lindstradt. Ten egzemplarz,

wyprodukowany w Szwecji na jego specjalne zamówienie, był przykładem najnowszej generacji tego rodzaju broni. Richard starannie dokręcił lufę, wprowadził do komory nabój, sprawdził jeszcze pojemnik z gazem i wręczył karabin przewodnikowi, który obejrzał go ze zdziwieniem i po raz kolejny wzruszył ramionami.

Tymczasem Levine wyjął z plecaka duży czarny oksydowany pistolet, również marki Lindstradt, i wraz z kaburą umocował go sobie przy pasku. Wyjął broń, dwukrotnie sprawdził ustawienie bezpiecznika, po czym schował pistolet z powrotem. Podniósł się na nogi, dając znać Diego, aby poszedł za nim. Tamten dźwignął plecak i zarzucił go sobie na ramiona.

Ruszyli obaj w głąb wyspy, schodząc w dół lekko pochyłego zbocza. Już po kilku minutach całe ubrania mieli przesiąknięte wilgocią. Ze wszystkich stron otaczała ich zwarta dżungla, w której widoczność sięgała najwyżej paru metrów. Niezwykłe wrażenie sprawiały gigantyczne paprocie o liściach długich i u nasady szerokich na dwa metry, tworzące mniej więcej sześć metrów nad ziemią prawie szczelny zielony baldachim. Gdzieniegdzie widać było ponad nimi zbitą zieloną masę listowia drzew, całkowicie odcinającego dostęp światła. Poruszali się niemal w zupełnych ciemnościach, pośród martwej ciszy, stąpając po przesiąkniętej wodą, jak gdyby gąbczastej ziemi.

Levine zatrzymywał się co jakiś czas i spoglądał na przytwierdzony do nadgarstka kompas. Kierował się na zachód, w stronę środka wyspy, schodząc po coraz większej stromiźnie. Doskonale wiedział, że wyspa jest kraterem dawno wygasłego wulkanu, którego skały zwietrzały i uległy rozkruszeniu wskutek wielowiekowego erozyjnego działania czynników atmosferycznych. Ze wszystkich stron płytsze i głębsze wąwozy pooddzielane skalistymi grzbietami zbiegały w kierunku dna krateru. Ale tutaj, we wschodniej części wyspy, teren zdawał się szczególnie niedostępny, dziki i zdradliwy.

Nadzwyczaj silnie odbierało się wrażenie izolacji, nagłego przeniesienia w inny, pierwotny świat. Serce waliło Richardowi jak młotem. Dotarli w końcu do dna wąwozu, którym wił się wąski strumyk, i zaczęli wspinaczkę na sąsiedni grzbiet. Niespodziewanie pod jego szczytem wyszli na otwartą przestrzeń i z radością powitali uderzający w twarze wiatr. Można stąd było ogarnąć wzrokiem całą wyspę, aż po odległą o jakieś dwa kilometry przeciwległą krawędź krateru, także utworzoną z czarnych, spadających ku morzu skał. Całe jego wnętrze zapełniała zbita, zielona dżungla, tylko liście drzew delikatnie poruszały się na wietrze.

– *Fantástico* – szepnął stojący obok Richarda Diego.

Levine pospiesznie dał mu znać, że muszą zachować milczenie.

– Ależ, *señor* – zaprotestował Kostarykanin – przecież tutaj nie ma nikogo oprócz nas.

Richard energicznie pokręcił głową. Kiedy płynęli motorówką, szczegółowo tłumaczył mu, jak powinni się zachowywać na wyspie, kładąc nacisk na utrzymanie absolutnej ciszy. Zabronił używać pomady do włosów, wody kolońskiej czy palić papierosów. Wcześniej przygotował racje żywności szczelnie zamknięte w plastikowych torebkach i starannie poukładał wszystko w plecaku. Powtarzał, że muszą unikać wszelkich hałasów oraz źródeł jakichkolwiek charakterystycznych zapachów. Aż do znudzenia wkładał tamtemu do głowy, jak bardzo jest to istotne.

Teraz jednak się przekonał, że Diego zlekceważył wszystkie ostrzeżenia, widocznie niczego nie rozumiał. Toteż Richard ze złością wymierzył mu kuksańca w bok i jeszcze raz energicznie pokręcił głową.

– Niech pan da spokój, *señor* – rzekł z uśmiechem Diego. – Tutaj naprawdę są tylko ptaki.

W tej samej chwili gdzieś w głębi lasu u ich stóp rozległ się kolejny, gardłowy, jeżący włosy na głowie ni to okrzyk, ni to skrzek. Zaraz odpowiedział mu drugi, podobny, dolatujący z przeciwległych zboczy krateru.

Kostarykanin rozdziawił usta, oczy mu się rozszerzyły.

– Tylko ptaki?! – zapytał bezgłośnie Levine.

Tamten przygryzł wargi i z niepokojem zapatrzył się na gęstwinę dżungli.

Kilkaset metrów na południe od nich korony drzew nagle zakołysały się silniej, jakby wycinek lasu ocknął się do życia, uderzony silniejszym podmuchem wichury. Ale w innych częściach krateru nadal poruszały się jedynie liście, przyczyną tego zjawiska nie mógł zatem być poryw wiatru.

Diego przeżegnał się pospiesznie.

Znowu rozbrzmiały okrzyki, tym razem dziwne głosy odpowiadały sobie niemal przez minutę. Wreszcie zapadła cisza.

Levine ruszył przed siebie, kierując się ukosem w dół zbocza, w stronę środka wyspy.

Szedł energicznym krokiem, spoglądając pod nogi i wypatrując węży, kiedy niespodziewanie za nim rozległ się cichy gwizd. Obejrzał się. Diego ruchem ręki pokazał w lewo.

Levine zawrócił i okrążając olbrzymią paproć, poszedł za przewodnikiem w kierunku południowym. Kilkadziesiąt metrów dalej natknęli się na stare,

porośnięte trawą i paprociami koleiny, nadal jednak dobrze widoczne, tworzące wycięty w dżungli szlak prowadzący w stronę dna krateru. Na tej dawnej drodze roślinność nie była tak zwarta, przez co mogli iść nieco szybciej.

Wskazał plecak i Diego bez słowa zdjął go z ramion. Teraz Richard zajął się niesieniem bagażu. Zarzucił go sobie na plecy i ułożył wygodnie paski.

W całkowitym milczeniu ruszyli dalej drogą.

Miejscami ślady samochodów terenowych były ledwie rozpoznawalne, bujna roślinność błyskawicznie zarastała koleiny. W dodatku zapewne nikt nie korzystał z tej drogi od wielu lat, nic więc dziwnego, że dżungla odzyskiwała wydarty jej niegdyś teren.

Idący z tyłu Diego jęknął i zaklął szeptem. Levine obejrzał się szybko i zauważył, że tamten energicznie wymachuje nogą – wdepnął aż po kostkę w zielone zwierzęce odchody. Natychmiast zawrócił.

Przewodnik urwał liść paproci i usiłował oczyścić nim but. Richard przyjrzał się uważnie znalezisku, zwrócił uwagę na żółtawe źdźbła wyraźnie widoczne w zielonej masie. Odchody były lekkie, wyschnięte, a zatem dość stare. Nie czuło się ich zapachu.

Zaczął się uważnie rozglądać i wkrótce spostrzegł drugą, nierozdeptaną stertę odchodów uformowanych w wielkie kule, w przybliżeniu dwunastocentymetrowej średnicy. Nie ulegało wątpliwości, że pozostawił je jakiś duży roślinożerca.

Diego nadal zachowywał milczenie, ale zerkał na boki ze strachem w oczach.

Levine pokręcił głową i dał ręką znak do dalszego marszu. Dopóki trafiali tylko na ślady zwierząt roślinożernych, nie było się czym martwić, a w każdym razie niespecjalnie. Mimo to, chyba dla dodania sobie odwagi, musnął palcami kolbę pistoletu tkwiącego w kaburze.

Dotarli nad kolejny strumień płynący szerokim, błotnistym korytem. Tutaj Levine zarządził postój, dostrzegł bowiem odciśnięte w mule charakterystyczne ślady trójpalczastych łap – niektóre nawet dosyć duże.

W największym z nich mieściła się bez trudu jego dłoń z rozczapierzonymi szeroko palcami.

Kiedy podniósł się na nogi, zauważył, że Diego po raz kolejny szybko się przeżegnał. Palce zaciskał kurczowo na kolbie sztucera.

Rozsiedli się nad strumieniem, zasłuchani w cichy szum płynącej wody. Richard dostrzegł w niej coś połyskującego, toteż wstał i podniósł z dna strumienia kawałek szklanej rurki, mniej więcej grubości ołówka. Jeden jej koniec był odłamany, lecz nacięcia na szkle nie zostawiały żadnych wątpliwości: znalazł kawałek zwyczajnej pipety, jakie są używane we wszystkich laboratoriach świata. Uniósł szklany przedmiot do światła i obrócił go w palcach. To dziwne – pomyślał. Jeżeli ktoś tu używał pipety, to oznaczało...

Obrócił szybko głowę, złowiwszy kątem oka jakiś ruch na drugim brzegu strumienia. Brązowe stworzenie wielkości szczura przebiegło kawałek po błocie i błyskawicznie skryło się wśród zarośli.

Diego aż jęknął ze zdumienia.

Levine znowu się podniósł, podszedł w tamto miejsce i przykucnął. Małe zwierzątko zostawiło w mule wyraźne odciski łap – szerokich, trójpalczastych, podobnych do śladów ptaków. Wielokrotnie miał okazję podziwiać takie same odciski, tyle że znacznie większe, częstokroć mające po kilkadziesiąt centymetrów szerokości.

Szczególnie wyraźne ślady znaleziono nad rzeką Purgatoire w Kolorado – tam, gdzie muliste koryto znacznie się podniosło i odciski łap dinozaurów pozostały na wieki utrwalone w skamieniałych osadach. Ale ślady, na które teraz patrzył, były całkiem świeże, a co ważniejsze, pozostawiło je żyjące nadal stworzenie.

Na prawo od niego rozległ się cichy skrzek. Levine podniósł głowę i znieruchomiał. Liście paproci poruszyły się raz i drugi. Tkwił w niewygodnej pozycji, wytężając wzrok.

Po chwili zwierzątko ostrożnie wyjrzało spomiędzy zarośli. Było nawet mniejsze, niż początkowo sądził, wielkości polnej myszy. Miało gładką, pozbawioną owłosienia skórę i stosunkowo wielkie oczy znajdujące się na samym czubku maleńkiej główki. Było zielonkawobrązowe i spoglądając na niego kilka razy, skrzekliwie zapiszczało, jakby chciało go odstraszyć. Levine tkwił jednak bez ruchu, bojąc się nawet głośniej odetchnąć.

Natychmiast rozpoznał gatunek zwierzęcia – był to muzaur, niewielki przedstawiciel prozauropodów występujących w górnym triasie. Ich szkielety odnajdywano wyłącznie w Ameryce Południowej. Muzaur był jednym z najmniejszych poznanych dotąd dinozaurów.

Dinozaurów! – powtórzył z naciskiem w myślach.

Mimo że spodziewał się odnaleźć te zwierzęta na wyspie, widok żywego i biegającego przedstawiciela tych prehistorycznych jaszczurów wprawił go w osłupienie. Zdumiały go zwłaszcza niewielkie rozmiary stworzenia, od którego wprost nie mógł oderwać oczu. Jednocześnie wręcz zachłystywał się myślą, że po tylu latach, w trakcie których skazany był wyłącznie na odkopywanie kruchych szkieletów, miał wreszcie okazję zobaczyć żywego dinozaura!

Muzaur zdobył się wreszcie na odwagę i wyszedł spomiędzy zarośli. Dopiero teraz Richard mógł go obejrzeć w całej okazałości. Zwierzę było jednak zdumiewająco długie, od czubka głowy do końca nadzwyczaj grubego ogona miało około dziesięciu centymetrów. Na pozór bardzo przypominało wyglądem jaszczurkę. Chodziło jednak w postawie wyprostowanej, na silnych tylnych łapach, podpierając się ogonem. Levine zwrócił uwagę na unoszącą się szybko w rytm oddechów klatkę piersiową. Zwierzątko zamachało w powietrzu maleńkimi przednimi łapkami i jeszcze raz pisnęło.

Bardzo powoli wyciągnął rękę w jego kierunku.

Zwierzę zaskrzeczało po raz kolejny, ale nie uciekło. Było chyba głównie zaciekawione, gdyż śmiesznie przekrzywiało łebek, jak to czyni wiele mniejszych stworzeń. Levine powolutku zbliżał do niego dłoń.

Wreszcie dotknął czubkami palców długich pazurków. Zwierzę wyprężyło się, opierając mocniej na grubym ogonie, a po chwili – nie okazując nawet cienia strachu – uniosło łapkę i stanęło na palcach biologa, by ostatecznie przesunąć się na środek jego dłoni. Było tak lekkie, że niemal w ogóle nie czuło się jego ciężaru. Muzaur pochylił łebek i w paru miejscach obwąchał dłoń Levine'a, co naukowiec przyjął z uśmiechem.

Nagle, całkiem nieoczekiwanie, zwierzątko prychnęło głośno, zeskoczyło z ręki na ziemię i błyskawicznie zniknęło wśród zarośli. Richard zamrugał szybko, nie mogąc pojąć przyczyny takiego zachowania.

Dopiero po chwili doleciał go odrażający fetor. Jednocześnie w paprociach na drugim brzegu strumienia rozległ się głośny szelest, po nim ciche powarkiwanie i znowu szelest.

Natychmiast uzmysłowił sobie, iż żyjące na wolności drapieżniki często polują w pobliżu strumieni, chcąc zaskoczyć swe bezbronne ofiary przy wodopoju. Ale zrozumiał to za późno. Rozległ się przeraźliwy wrzask i kiedy Levine odwrócił głowę, dostrzegł tylko wierzgające nogi Kostarykanina znikającego w zaroślach. Widocznie Diego próbował walczyć, gdyż paprocie mocno zafalowały i na chwilę ukazały się jeszcze plecy przewodnika. Richard dostrzegł jedynie zarys wielkiej łapy drapieżnika, której środkowy pazur był

wydłużony i zagięty na kształt olbrzymiego szponu. Wszystko to trwało zaledwie chwilę, później tylko rozkołysane paprocie świadczyły o miejscu, gdzie rozgrywa się tragedia.

W jednej chwili otaczającą go dżunglę wypełniły wrzaski spłoszonych zwierząt. Zauważył cień jakiegoś pędzącego ku niemu olbrzyma, poderwał się na nogi i rzucił do panicznej ucieczki. Serce łomotało mu jak oszalałe. Nie miał pojęcia, dokąd biec, ogarnięty przeświadczeniem, że nie ma już dla niego ratunku. Poczuł nagle silne uderzenie w plecy, które powaliło go w błoto. W jednej chwili przemknęło mu przez myśl, że mimo najstaranniejszych planów, mimo wszelkich podjętych zabezpieczeń sprawy ułożyły się nie po jego myśli i oto teraz przyszło mu zginąć.

SZKOŁA

– Jeżeli zakładamy, że przyczyną masowego wymierania zwierząt był upadek wielkiego meteorytu – mówił Richard Levine – musimy zadać sobie kilka pytań. Po pierwsze: czy istnieją gdzieś na Ziemi kratery o średnicy większej niż trzydzieści kilometrów, gdyż według wyliczeń tylko takie i większe meteoryty mogły spowodować kataklizm, którego skutkiem byłoby wyginięcie olbrzymich populacji? I po drugie: czy wiek danego krateru pokrywa się z takim właśnie okresem masowego wymierania gatunków? Okazuje się, że na całym świecie jest aż kilkadziesiąt tak dużych kraterów, z których pięć powstało właśnie w interesującej nas erze...

Kelly Curtis, uczennica siódmej klasy, ziewnęła przeciągle. Siedziała na końcu sali i rozłożywszy szeroko łokcie na ławce, położyła głowę na rękach, próbując opanować narastającą senność. Słyszała to wszystko już wcześniej. Na ekranie telewizora stojącego pośrodku klasy ukazało się rozległe pole falującego, widzianego z powietrza zboża, na którym ledwie można było rozróżnić krawędzie olbrzymiego zagłębienia. Natychmiast rozpoznała krater w Manson. Z głośnika popłynął nagrany na kasecie, trochę zniekształcony głos Levine'a:

– Oto krater w pobliżu miejscowości Manson w stanie Iowa. Powstał sześćdziesiąt pięć milionów lat temu, dokładnie wtedy, kiedy wyginęły dinozaury. Czy jednak upadek tego meteorytu miał coś wspólnego ze zniknięciem wielkich gadów?

Nie – odpowiedziała w myślach Kelly, ponownie ziewając. Prawdopodobnie spowodował to meteoryt jukatański, bo krater z Manson jest zbyt mały.

– Obecnie uważamy, że ten krater jest za mały – objaśnił wykładowca, jakby czytając w jej myślach. – Meteoryt, który go utworzył, chyba nie mógł się przyczynić do tak gigantycznego kataklizmu. Według ostatnich badań przypuszczalnym sprawcą jest ten, po którego upadku powstał krater niedaleko Méridy na Jukatanie. Może trudno to sobie wyobrazić, lecz właśnie wskutek tego zderzenia powstała Zatoka Meksykańska, przez lądy przetoczyła się fala mająca wysokość około sześciuset metrów. Musiało to być naprawdę niezwykłe zjawisko. Ale i wokół tego meteorytu istnieje do dzisiaj wiele kontrowersji, związanych przede wszystkim z brakiem wyraźnie uformowanego i wypiętrzonego obrzeża krateru oraz niezgodnością okresu jego powstania z wiekiem masowej zagłady organizmów planktonowych znajdowanych w osadach dennych. Być może brzmi to trochę tajemniczo, ale na razie się tym nie przejmujcie. Wrócimy do tematu na następnych zajęciach. Na dzisiaj to wszystko.

Zapaliły się światła. Ich wychowawczyni, pani Menzies, wyszła na środek klasy i wyłączyła komputer sterujący magnetowidem oraz magnetofonem.

– Bardzo się cieszę, że doktor Levine zostawił nam przed wyjazdem nagrane materiały. Zapowiadał, iż może nie wrócić na ten ostatni wykład. Na pewno jednak spotkacie się z nim na następnych zajęciach, po feriach wiosennych, czyli za tydzień. Kelly, ty razem z Arbym pomagałaś doktorowi Levine'owi w przygotowaniu wykładu. Czy nie przekazał wam żadnych innych wiadomości?

Kelly zerknęła na kolegę, który siedział z nisko pochyloną głową, jakby udając, że nie słyszał pytania.

– Nie, nic więcej nie mówił, pani Menzies – odparła.

– Dobrze. Jeszcze ostatnia uwaga. W czasie ferii macie się zapoznać z rozdziałem siódmym podręcznika... – rozległ się chóralny jęk zawodu – ...nie wyłączając pytań kontrolnych po zakończeniu pierwszej i drugiej części tego rozdziału. Chciałabym, żeby wszyscy po feriach mieli wypełnione testy. Życzę wam przyjemnego wypoczynku. Do zobaczenia za tydzień.

Zaterkotał dzwonek. Salę wypełniło szuranie odsuwanych krzeseł i gwar rozmów. Arby podszedł do Kelly, zadarł głowę i popatrzył na nią z grobową miną. Był od niej dużo niższy, w ogóle najniższy w klasie, ale zarazem i najmłodszy. Kelly, tak jak wszyscy siódmoklasiści, miała trzynaście lat – tylko jedenastoletni Arby był wyjątkiem. Przeniesiono go o dwie klasy, ponieważ odznaczał się niezwykłą inteligencją, a krążyły plotki, że niedługo

znów zostanie przeniesiony. W rzeczywistości Arby był prawdziwym geniuszem, zwłaszcza w pracy z komputerami.

Chłopak w zakłopotaniu wsunął długopis do kieszonki na piersi swej nieskalanie białej koszuli i poprawił na nosie ciężkie okulary w rogowej oprawce. Czarnoskóry Arby Benton zawsze nosił takie koszule – jego rodzice, którzy byli lekarzami i oboje pracowali w klinice w San José, wychodzili chyba z założenia, że syn musi wyglądać tak, jak gdyby już dziś miał zdawać maturę. Nie było to zresztą pozbawione podstaw, ponieważ – jak sądziła Kelly – chłopak skończy szkołę średnią dużo wcześniej od swych rówieśników, jeśli wszystko będzie się układało tak jak dotychczas.

Przy nim zawsze się czuła nieświeżo, była skrępowana. Wiecznie musiała nosić podniszczone ubrania po starszej siostrze, które jej matka kupowała na wyprzedażach chyba całe wieki temu. Dostała po siostrze nawet powycierane i rozdeptane adidasy, brudne do tego stopnia, że i pranie w automatycznej pralce nie zdołało im przywrócić bieli. Kelly musiała sama prać i prasować swoje ubrania, matka nigdy nie miała na to czasu. Prawie w ogóle nie miała dla niej czasu, gdyż najczęściej przebywała poza domem. Dlatego też Kelly niezmiennie z zazdrością spoglądała na starannie zaprasowane kanty spodni Arby'ego, na jego wypolerowane do połysku pantofle, i tylko po cichu wzdychała.

Mimo wszystko nadal uważała chłopaka za swego jedynego prawdziwego przyjaciela – tylko on chciał się z nią zadawać, tylko on nie miał jej za złe tego, że zawsze zbiera najlepsze oceny. Nic więc dziwnego, że Kelly martwiła się plotkami o mającym nastąpić przeniesieniu Arby'ego do dziewiątej klasy, uważała bowiem, że wówczas nie będzie już mogła się z nim spotykać.

Po chwili Arby zmarszczył brwi i ponownie spojrzał jej w oczy.

– Jak sądzisz, dlaczego doktor Levine nie wrócił?

– Nie wiem – odparła. – Może coś mu się stało?

– A co mogło się stać?

– Nie mam pojęcia. Tak tylko powiedziałam.

– Przecież obiecał, że wróci na ten wykład – rzekł z naciskiem chłopak. – Miał nas zabrać na wyprawę terenową. Wszystko jest przygotowane. Zgromadziliśmy potrzebne rzeczy, uzyskaliśmy zgodę rodziców...

– I co z tego? Nie możemy pojechać sami?

– Bez niego?

Arby energicznie pokręcił głową. Kelly dobrze go znała pod tym względem, chłopak był dogłębnie przekonany, że dorośli nigdy nie zawodzą. Widocznie do tej pory się nie zawiódł na swoich rodzicach, co dla niej było rzeczą wręcz niepojętą.

– Daj spokój, Arb – mruknęła. – Może powinniśmy się wybrać do zakładu doktora Thorne'a?

– Tak myślisz?

– Jasne. Co nam szkodzi?

Arby wyraźnie się wahał.

– Chyba będzie lepiej, jak najpierw zadzwonię do mamy.

– Po co? Przecież wiesz, że na pewno każe ci wracać do domu. Nie marudź, Arb. Idziemy.

Chłopak był coraz bardziej zakłopotany. Mimo niezwykłej inteligencji zawsze bardzo się martwił jakąkolwiek zmianą planów. Kelly wiedziała z doświadczenia, że jeśli zmusi go, by wyruszył razem z nią, to będzie przez cały czas narzekał i szukał powodów do kłótni. W takiej sytuacji nie było innego wyjścia, jak zaczekać, aż on sam podejmie decyzję.

– Dobra – rzekł po chwili. – Pojedziemy do warsztatów doktora Thorne'a.

Kelly przyjęła to z uśmiechem.

– Spotkamy się przed szkołą za pięć minut.

Kiedy ruszyła schodami do wyjścia, za jej plecami rozbrzmiała dobrze znana piosenka: „Kelly mózgowiec, Kelly mózgowiec…".

Dziewczyna wyprostowała się dumnie. Zakręciła na półpiętrze i obrzuciła pogardliwym spojrzeniem głupią Allison Stone i jej głupie przyjaciółki, które stały u szczytu schodów i nuciły głośno:

– „Kelly mózgowiec…".

Poszła dalej, nie zwracając na to uwagi. Minęła woźną, pannę Enders, jak zawsze udającą, że niczego nie słyszy. Nie przyniosły żadnego skutku powtarzane ostatnio prośby wicedyrektora, pana Canosy, o zwalczanie wszelkich przejawów dyskryminacji wśród uczniów.

Dziewczyny za jej plecami podjęły głośniej:

– „Kelly mózgowiec… jak gwiazdą kina została… to z pychy pozieleniała…".

Piosenkę zakończył wybuch gromkiego śmiechu.

Już z daleka dostrzegła Arby'ego czekającego przy drzwiach wyjściowych. W ręku trzymał wiązkę jakichś szarych przewodów. Przyspieszyła kroku.

– Kichaj na to – mruknął, kiedy zbliżyła się do niego.

– Głupie krowy – wycedziła.

– Masz rację.

– Wcale się nimi nie przejmuję.

– Wiem, dlatego mówię, żebyś na nie kichała.

Idące za nimi dziewczyny zaintonowały drugą piosenkę:

– „Kelly i Arby... na bal się wybrali... wzięli sobie szprycę, po matematyce...".

Wyszli na skąpany w słońcu dziedziniec, mając nadzieję, że docinki koleżanek utoną tu w gwarze głosów. Na parkingu czekały stłoczone żółte autobusy szkolne. Dzieciaki biegły chodnikiem w kierunku rodziców siedzących w samochodach, które stały sznurem wzdłuż krawężnika aż do pobliskiego skrzyżowania. Cicha zazwyczaj ulica teraz tętniła życiem.

Arby zanurkował pod przelatującą piłką do koszykówki i ukradkiem zerknął w stronę jezdni.

– On znów tu jest – zakomunikował.

– Staraj się nie patrzeć w tamtym kierunku – upomniała go Kelly.

– Dobra, wcale mu się nie przyglądam.

– Pamiętaj, co mówił doktor Levine.

– Przestań już, Kelly. Naprawdę pamiętam.

Po drugiej stronie ulicy stał zaparkowany duży, szary ford taurus, którego widywali co parę dni już od dwóch miesięcy. Jak zawsze, za kierownicą siedział ten sam nieznajomy z gęstą, skołtunioną brodą i udawał, że czyta gazetę. Tenże brodacz śledził Levine'a od chwili, kiedy doktor zaczął wykładać biologię w tutejszej szkole. Kelly była przekonana, że właśnie z powodu tego mężczyzny Levine zwrócił się do nich dwojga z prośbą, aby zechcieli mu pomóc w prowadzeniu zajęć.

Zapowiedział, że do ich zadań będzie należało przygotowywanie sprzętu przed lekcją, powielanie materiałów, zbieranie prac domowych i tym podobne rzeczy. Oboje uważali za wielki zaszczyt to, że będą pomagać słynnemu doktorowi Levine'owi, pociągała ich współpraca z prawdziwym naukowcem, toteż od razu wyrazili zgodę.

Okazało się jednak, że wcale nie muszą pomagać w klasie, Levine wszystko przygotowywał osobiście. Zaczął ich traktować niemalże jak gońców. Powtarzał przy tym, że mają za wszelką cenę unikać kontaktów z tym brodaczem w samochodzie. Przychodziło im to bez trudu, nieznajomy bowiem nie zwracał na nich większej uwagi, traktował jak całą resztę dzieciaków.

Levine wyjaśniał, że brodacz śledzi go w związku z jego wcześniejszym

aresztowaniem, lecz Kelly w to nie wierzyła. Jej matkę już dwa razy aresztowano za prowadzenie po pijanemu i nikt nigdy jej później nie obserwował. Doszła zatem do wniosku, że widocznie doktor musi prowadzić jakieś ściśle tajne badania, które pragnie ukryć przed całym światem, i dlatego jest śledzony. Na pewno wiedziała jedno – Levine traktował pogadanki w szkole jak zło konieczne i nie przykładał się do nich zanadto. Zazwyczaj mówił z głowy, nawet nie zaglądając do żadnych podręczników. Zdarzało się też, że witał klasę po dzwonku, wręczał dyżurnemu nagrany na kasecie materiał i wychodził. Wtedy nawet nie próbowali zgadywać, co go tak bardzo absorbuje.

Zresztą zadania, które im zlecał, również były co nieco tajemnicze. Pewnego razu musieli pojechać na Uniwersytet Stanforda i odebrać od jednego z pracowników pięć niewielkich prostopadłościanów z plastiku, bardzo lekkiego, jak styropian. Kiedy indziej wysłał ich do sklepu elektronicznego w śródmieściu po jakieś urządzenie o trójkątnym przekroju, które sprzedawca przekazał im z wyraźnym zdenerwowaniem, jakby dopuszczał się czegoś niezgodnego z prawem. Innym razem przywieźli metalowy cylinder, bardzo podobny do pojemnika na cygara. Otworzyli go po kryjomu, lecz ku swemu zdumieniu znaleźli w środku jedynie cztery ampułki z przezroczystego tworzywa, zawierające jakąś ciecz koloru słomkowego. Co gorsza, na wieczku cylindra widniał międzynarodowy, trójpromienny znak zagrożenia biologicznego, a na ampułkach było wydrukowane ostrzeżenie: ZACHOWAĆ SZCZEGÓLNĄ OSTROŻNOŚĆ! ŚRODEK ŚMIERTELNIE TRUJĄCY!

W większości jednak otrzymywali proste i nieciekawe zadania. Bardzo często Levine wysyłał ich do biblioteki Uniwersytetu Stanforda po odbitki materiałów dotyczących chyba wszelkich dziedzin wiedzy: japońskiej sztuki wykuwania mieczy, krystalografii rentgenowskiej, meksykańskich nietoperzy wampirów, wulkanów w Ameryce Środkowej, prądu oceanicznego El Niño, godowych obyczajów owiec górskich, toksycznych substancji w wydzielinie strzykw czy też konstrukcji przypór w katedrach gotyckich.

Levine nigdy im nie wyjaśnił, do czego są mu potrzebne artykuły z tak odmiennych dziedzin nauki. Czasami wysyłał ich z powrotem następnego dnia po bardziej szczegółowe informacje, po czym jakby całkowicie tracił zainteresowanie danym tematem i już nigdy do niego nie wracał. Zaraz jednak prosił o przywiezienie materiałów dotyczących czegoś innego.

Oczywiście, pewnych rzeczy łatwo się było domyślić. Wiele z tych artykułów miało związek z prototypowymi pojazdami terenowymi, które doktor Thorne szykował specjalnie na potrzeby ekspedycji Levine'a. Ale

olbrzymia większość spraw pozostawała owiana tajemnicą.

Kelly zastanawiała się już parokrotnie, czy brodacz z szarego forda wie coś więcej o pracach Levine'a, czy nie mógłby im odpowiedzieć na niektóre pytania. Bała się jednak nawiązać z nim rozmowę. Do tej pory wszystko wskazywało, że tamten nawet się nie domyśla, iż to ona i Arby pomagają doktorowi.

Teraz brodacz także nie zwracał na nich uwagi, siedział z nosem utkwionym w gazecie, zerkając na drzwi szkoły. Oboje doszli spokojnie do wyjazdu z parkingu i usiedli na ławce, żeby zaczekać na autobus.

PLAKIETKA

Młody irbis opróżnił butelkę, wypluł smoczek i przekręcił się na grzbiet, wyciągając łapy ku górze. Zaczął cicho mruczeć.

– Bardzo lubi, jak się ją drapie po brzuchu – powiedziała Elizabeth Gelman.

Malcolm delikatnie zanurzył palce w sierści zwierzęcia i zaczął go głaskać. Malec obrócił łebek, a po chwili wbił ostre zęby w dłoń matematyka, aż ten syknął głośno.

– Niestety, czasami reaguje w ten sposób – rzekła z uśmiechem Gelman. – Dorje! Bądź grzeczną dziewczynką! Nie wolno tak traktować naszego czcigodnego gościa. – Uniosła dłoń Malcolma do oczu i dodała: – Nawet nie rozcięła skóry, ale i tak warto zdezynfekować rękę.

Siedzieli w przytłaczającym swą bielą pomieszczeniu laboratoryjnym ogrodu zoologicznego w San Francisco. Była trzecia po południu. Elizabeth, pełna młodzieńczego zapału kierowniczka sekcji badawczej, miała przedstawić Malcolmowi rezultaty swoich analiz, lecz popołudniowe karmienie młodych zwierząt znacznie się przeciągnęło. Ian najpierw obserwował zabiegi przy małym gorylu, który z uporem wypluwał mleko, niemal dokładnie tak samo jak niemowlę, potem zaś był świadkiem karmienia nieruchawego koali, na końcu zaś tego irbisa o zębach ostrych jak szpilki.

– Przepraszam za nią – powiedziała Gelman, starannie namydlając mu dłoń nad zlewem. – Wolałam jednak, żebyśmy spotkali się tutaj, kiedy cały personel laboratorium pójdzie na cotygodniową odprawę.

– Dlaczego?

– Ponieważ materiał, który nam dostarczyłeś, jest nadzwyczaj interesujący, Ian. Nadzwyczaj – powtórzyła z naciskiem, po czym wytarła mu dłoń ręcznikiem i jeszcze raz obejrzała dokładnie. – Zaryzykuję twierdzenie, że nie jest to rana śmiertelna.

– Co odkryliście? – zapytał niecierpliwie Malcolm.

– Musisz przyznać, że rzuciłeś nam nieliche wyzwanie. Powiedz jeszcze, czy ta próbka nie pochodzi z Kostaryki?

– Dlaczego tak podejrzewasz? – odrzekł Ian, starając się zachować niewymuszony ton głosu.

– Bo ostatnio krąży mnóstwo plotek o nieznanych gatunkach zwierząt pojawiających się na wybrzeżu Kostaryki. A ten fragment tkanki bez wątpienia należał do nieznanego dotąd zwierzęcia, Ian.

Elizabeth wyprowadziła go z laboratorium do sąsiedniej niewielkiej sali konferencyjnej. Malcolm ciężko opadł na krzesło i oparł laskę o brzeg stołu. Gelman przyciemniła światło i włączyła rzutnik.

– W porządku. Oto zdjęcie dostarczonej próbki przed rozpoczęciem badań. Jak widzisz, jest to wycinek zwierzęcej tkanki znajdującej się w stanie dalece zaawansowanej nekrozy, mający w przybliżeniu cztery na sześć centymetrów wielkości. Jest do niego przymocowana zielona plakietka z tworzywa, o powierzchni dwóch centymetrów kwadratowych. Tkanka została wycięta nożem, niestety niezbyt ostrym.

Malcolm przytaknął ruchem głowy.

– Czego używałeś, Ian? Zwykłego scyzoryka?

– Mniej więcej.

– No dobra. Najpierw zajmijmy się samą tkanką.

Drugi slajd przedstawiał widok próbki pod mikroskopem. – Oto główny przekrój histologiczny powierzchniowej warstwy epidermy. Te nierówne, poszarpane otwory to miejsca, w których pośmiertna nekroza spowodowała zmiany na powierzchni skóry. Ale najbardziej interesujące jest rozmieszczenie komórek w epidermie. Zwróć uwagę na gęstość chromatoforów, czyli komórek zawierających pigment. Na następnych przekrojach będą lepiej widoczne różnice między tymi tutaj, melanoforami, a tymi alloforami. Ogólny rozkład komórek jest dość typowy dla podrzędu *Sauria*, a zwłaszcza rodziny *Amblyrhynchidae*.

– Krótko mówiąc, dla jaszczurek? – wtrącił Malcolm.

– Tak, zgadza się. To rzeczywiście przypomina fragment ciała jaszczurki, chociaż jest również wiele rozbieżności. – Elizabeth wskazała pewien szczegół w lewej części fotografii. – Widzisz tę komórkę o nadzwyczaj cienkiej błonie komórkowej? Doszliśmy do wniosku, że to komórka mięśniowa, która mogła

otwierać bądź zamykać chromatofor, a to by oznaczało, że zwierzę było zdolne zmieniać kolor skóry jak kameleon. Spójrz jeszcze na tę wydłużoną, owalną komorę wypełnioną białą, półprzezroczystą substancją. Jest to por udowego gruczołu zapachowego. Tę woskowatą wydzielinę jeszcze analizujemy, ale już można powiedzieć, że to zwierzę było samcem, gdyż tylko samce jaszczurek mają takie gruczoły na tylnych łapach.

– Rozumiem – rzekł Malcolm.

Gelman wyświetliła kolejny slajd. Matematyk odniósł wrażenie, że patrzy przez szkło powiększające na gąbkę.

– Wchodzimy głębiej. Na tym przekroju doskonale widać strukturę tkanki podskórnej. Tu spustoszenia są największe z powodu gazów wydzielających się wskutek działalności bakterii z rodzaju *Clostridia*, które musiały silnie rozdąć ciało padłego zwierzęcia. Mimo to można rozróżnić pozostałości naczyń... tu i tu, i tu... otoczonych cieniutkimi włóknami mięśniowymi. Taka budowa już nie jest charakterystyczna dla jaszczurki. Mówiąc szczerze, cały ten przekrój tkanki podskórnej nie pasuje do jaszczurek czy też jakichkolwiek innych gadów.

– Sugerujesz, że to zwierzę było stałocieplne?

– Zgadza się, choć na pewno nie był to ssak. Po tym zdjęciu można by sądzić, że mamy do czynienia z ciałem ptaka, dajmy na to... zdechłego pelikana. Albo jakiegoś pokrewnego gatunku.

– Jasne.

– Tyle tylko, że żaden pelikan nie ma takiej skóry.

– Rozumiem – mruknął Malcolm.

– Nie ma nawet śladu upierzenia.

– Jasne.

– Po odkryciu naczyń zdołaliśmy pobrać mikroskopijną próbkę krwi do analizy. Niewiele jej uzyskaliśmy, ale wystarczyło do sporządzenia preparatu mikroskopowego. Oto on.

Na tej fotografii była widoczna cała masa komórek, głównie czerwonych krwinek, między którymi znajdowało się parę dużych, nieregularnych leukocytów. Widok nie był zbyt przyjemny.

– Na tym się już zanadto nie znam, Elizabeth – powiedział Ian.

– Nie szkodzi, zrelacjonuję ci tylko najważniejsze odkrycia. Po pierwsze: czerwone krwinki z jądrami komórkowymi. To rzecz charakterystyczna dla ptaków, u ssaków takie nie występują. Po drugie: dość nietypowa hemoglobina, zasadniczo różniąca się budową od hemoglobiny jaszczurek. Po trzecie: całkowicie zdumiewająca budowa białych krwinek. Nie mieliśmy dosyć materiału, aby przeprowadzić szczegółowe badania, lecz podejrzewamy,

że to zwierzę musiało mieć wręcz niespotykany system immunologiczny.

– Co to oznacza? – spytał Malcolm, rozkładając ręce.

– Nie umiem powiedzieć, próbka jest stanowczo za mała, żeby wyciągać jakiekolwiek wnioski. Nie mógłbyś dostarczyć trochę więcej materiału do badań?

– Być może da się to załatwić.

– Skąd go weźmiesz? Ze stanowiska B?

Malcolm zrobił zdziwioną minę.

– Z jakiego stanowiska B?

– Tak jest oznaczona ta plakietka. – Gelman wyświetliła kolejny slajd. – Muszę przyznać, Ian, że to znalezisko jest nadzwyczaj interesujące. Tu, w zoo, ciągle mamy do czynienia z takimi plakietkami, znakujemy nimi zwierzęta, więc chyba cię nie zdziwi, jak powiem, że znamy niemal wszystkie typy podobnych znaczników produkowane na całym świecie. Ale takiej plakietki nikt do tej pory nie widział. Na zdjęciu masz dziesięciokrotne powiększenie, w rzeczywistości ma ona wielkość twojego paznokcia. Z pozoru to zwyczajny plastikowy znaczek, przytwierdzony do skóry zwierzęcia za pomocą stalowej, pokrytej teflonem szpilki. Owa szpilka jest bardzo mała, co pozwala wnioskować, że znakowano młodego osobnika. Czy to zwierzę, z którego pochodziła próbka, było dojrzałe?

– Raczej tak.

– A zatem musiało mieć tę plakietkę przez dłuższy czas, gdyż prawdopodobnie zostało oznakowane we wczesnej młodości. Zdaje się to potwierdzać stopień zniszczenia tworzywa. Zwróć uwagę, że powierzchnia plakietki ma liczne wgłębienia. Należy to uznać za rzecz niezwykłą, ponieważ została wykonana z duralonu, z tego samego tworzywa, z którego produkuje się kaski dla graczy w futbol. Duralon jest bardzo twardy, te zagłębienia nie mogły powstać w sposób naturalny.

– Więc skąd się wzięły?

– To wygląda na wżery, jakby plakietka znajdowała się w silnie kwaśnych oparach.

– Na przykład w atmosferze przesyconej wyziewami wulkanicznymi? – podsunął matematyk.

– Tak, to możliwe. Zresztą dalsze odkrycia są jeszcze bardziej zastanawiające. Zwróć uwagę, jak cienka jest ta plakietka. Do tego ma zaledwie dziewięć milimetrów szerokości. A jest w środku wydrążona.

– Wydrążona? – zapytał Malcolm, marszcząc brwi.

– Tak, wewnątrz znajduje się pusta przestrzeń. Nie chcieliśmy jej niszczyć, dlatego wykonaliśmy tylko zdjęcie rentgenowskie. Oto i ono.

Na kolejnym slajdzie Ian ujrzał geometryczną szachownicę jakichś linii i ciemnych kwadratowych pól.

– To wszystko jest również silnie skorodowane, tak samo nadżarte przez kwaśne opary. Nie ulega jednak wątpliwości, że pierwotnie w środku plakietki mieścił się nadajnik radiowy. Nasuwa się oczywisty wniosek: owo niezwykłe zwierzę, stałocieplna jaszczurka czy jak je nazwiemy, było wyhodowane i od wczesnej młodości znajdowało się pod opieką. Właśnie to odkrycie wprawiło nas tu wszystkich w skrajne osłupienie. Rozumiesz? Ktoś h o d u j e takie zwierzęta! Czy wiesz, jak to możliwe?

– Nie mam zielonego pojęcia – odparł Malcolm.

Elizabeth westchnęła ciężko.

– Łżesz jak z nut.

Matematyk wyciągnął rękę.

– Czy mogę dostać z powrotem tę próbkę?

– Ian... Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam...

– Proszę!

– Chyba należy mi się jakieś wyjaśnienie?

– Obiecuję, że je uzyskasz. Za jakieś dwa tygodnie. Zaproszę cię na obiad.

Gelman pchnęła po stole niewielką paczuszkę owiniętą folią aluminiową. Malcolm chwycił ją pospiesznie, wsunął do kieszeni i podniósł się z krzesła.

– Dzięki, Liz. – Sięgnął po swoją laskę. – Nie gniewaj się, że już pójdę, ale muszę natychmiast do kogoś zadzwonić.

Ruszył już w stronę drzwi, kiedy padło pytanie:

– Swoją drogą, jak to zwierzę zginęło, Ian?

Zatrzymał się i odwrócił.

– Dlaczego cię to interesuje?

– Ponieważ w powierzchniowej warstwie skóry odnaleźliśmy pojedyncze obce komórki, należące zapewne do innego zwierzęcia.

– A cóż to oznacza?

– To dość typowy efekt zmagań dwóch jaszczurek. One podczas walki silnie ocierają się o siebie i dlatego pojedyncze komórki epidermy pod ciśnieniem zostają wepchnięte w skórę przeciwnika.

– To prawda, na ciele odnalezionej padliny widniały wyraźne ślady walki. To zwierzę zostało bardzo poważnie zranione.

– Powinieneś także wiedzieć, że w naczyniach krwionośnych odkryliśmy ślady chronicznego skurczu naczyniowego. To zwierzę znajdowało się w stanie silnego stresu, Ian. I tu nie chodzi o stres spowodowany walką i zranieniem, bo jego efekty musiały zaniknąć na samym początku zmian pośmiertnych.

Mówię o ciągłym, chronicznym stresie. Prawdopodobnie otoczenie, w jakim żyło to zwierzę, było dla niego skrajnie stresujące i bardzo niebezpieczne.

– Rozumiem.

– Więc jak to możliwe, żeby znakowane, hodowlane zwierzę przebywało w tak silnie stresującym środowisku?

Przy bramie ogrodu zoologicznego Malcolm zaczął się ukradkiem rozglądać, czy nikt go nie śledzi, po czym wszedł do budki telefonicznej i wybrał numer Levine'a. Odezwała się elektroniczna sekretarka, Richarda nie było w domu. Jak zawsze – pomyślał matematyk. Nigdy go nie ma, kiedy jest najbardziej potrzebny. Pewnie znowu się wykłóca w sądzie i próbuje odzyskać to swoje ferrari.

Ze złością odwiesił słuchawkę i zawrócił do samochodu.

THORNE

Niemal na samym końcu ulicy Industrial Park stała długa hala z wrotami z falistej blachy, na których widniał duży czarny napis: THORNE MOBILE FIELD SYSTEMS. Na lewo od nich znajdowały się drzwi wejściowe. Arby nacisnął guzik na czarnej skrzyneczce porozcinanej szerokimi szczelinami i po chwili z głośnika odezwał się nieco zachrypnięty głos:

– Proszę nie przeszkadzać!

– To my, doktorze Thorne. Arby i Kelly.

– Aha, dobra.

Szczęknął elektryczny zamek i oboje weszli do środka. W olbrzymim hangarze pracownicy modyfikowali równocześnie kilka aut, powietrze wypełniały wonie acetylenu, smarów i rozpuszczalników. Na wprost drzwi Kelly dostrzegła ciemnozielonego forda explorera z odciętym dachem, zamiast którego dwaj mechanicy zakładali duży panel czarnych baterii słonecznych. Maska wozu była otwarta, masywny sześciocylindrowy silnik stał obok na podłodze, a w jego miejsce montowano dużo mniejszy w błyszczącej aluminiowej obudowie, przypominający kształtem pudełko od butów

o zaokrąglonych kantach. Na łańcuchach dźwigu wisiał już przygotowany znacznie większy, lecz płaski prostopadłościan. Dziewczyna domyśliła się, że jest to przetwornik Hughesa, który zostanie umieszczony na silniku elektrycznym.

W prawym końcu hali stały dwie duże furgonetki marki RV, nad którymi zespół Thorne'a pracował już od kilku tygodni. W niczym nie przypominały pospolitych aut, chociażby takich, jakimi liczniejsze rodziny wyjeżdżają na niedzielne wycieczki. Pierwsza z nich została znacznie wydłużona i podwyższona, przez co upodobniła się do wąskiego autobusu, a w jej wnętrzu mogło swobodnie pracować czworo ludzi i mieściło się wiele aparatury badawczej. Furgon, który ochrzczono „Śmiałkiem", odznaczał się niezwykłą cechą – po dotarciu do celu podróży obie boczne ściany, połączone z ramą gumowymi fartuchami, można było rozsunąć, znacznie powiększając w ten sposób przestrzeń do pracy.

Tył „Śmiałka" został połączony elastycznym przegubem z drugą furgonetką, przerobioną na przyczepę, której nie rozbudowano, była więc znacznie mniejsza. Całość tworzyła niezwykłe, jeżdżące laboratorium wyposażone w jakieś nowoczesne urządzenia techniczne, chociaż Kelly niezbyt rozumiała, do czego one służą. W tej chwili drugi pojazd niemal całkowicie ginął w snopach iskier z aparatów spawalniczych, montowano jeszcze coś na dachu. Mimo to obie furgonetki wyglądały prawie na wykończone, chociaż w ich wnętrzu kręcili się jeszcze technicy, a całe pierwotne wyposażenie, fotele, ramy i półki na bagaż, leżało pod ścianą na podłodze.

Thorne stał mniej więcej pośrodku hali i wykrzykiwał do spawaczy klęczących na dachu pojazdu:

– Jazda! Pospieszcie się! Musimy skończyć te dwa wozy jeszcze dzisiaj! Eddie, do roboty!

Po chwili odwrócił się i zawołał do innej grupy:

– Nie tak! Zajrzyjcie do planów! Nie możesz umieścić tej rozpory wzdłuż osi samochodu, Henry. Trzeba ją przyspawać poprzecznie, żeby wzmocniła konstrukcję. Sięgnij po plany.

Thorne był siwowłosy, potężnie zbudowany, miał pięćdziesiąt pięć lat. Gdyby nie okulary w cienkiej drucianej oprawce, można by go wziąć za byłego mistrza olimpijskiego w jakiejś konkurencji lekkoatletycznej. Kelly wprost nie mogła sobie wyobrazić, że Thorne ma tytuł doktora i kiedyś wykładał na uniwersytecie. Mimo zwalistej sylwetki „Doc" poruszał się nadzwyczaj energicznie.

– Do diabła, Henry! Czy ty mnie w ogóle słuchasz?!

Zaklął pod nosem, unosząc ręce ku niebu, wreszcie obejrzał się na dzieci.

– Wydawać by się mogło – rzekł – iż wszyscy specjalnie robią mi na złość.

W tej samej chwili coś strzeliło, wzdłuż boków furgonetki przeleciała jaskrawa błyskawica. Dwaj spawacze natychmiast zeskoczyli z dachu na posadzkę. Wokół „Śmiałka" pojawiły się pasma czarnego, cuchnącego dymu.

– Do cholery! Co wam mówiłem?! – wrzasnął Thorne. – Dlaczego nie podłączyliście uziemienia?! Tam naprawdę jest bardzo wysokie napięcie! Chcecie się usmażyć jak kurczaki na rożnie?!

Obejrzał się z powrotem na dwójkę nastolatków i energicznie pokręcił głową.

– Mówi się do nich jak do ściany. Ten system ZPN jest groźny.

– Co to jest ZPN?

– Zintegrowany Postrach na Niedźwiedzie. To Levine wymyślił tę nazwę, uważał, że jest zabawna. Opracowałem ów system przed kilkoma laty na zamówienie strażników parku Yellowstone, gdzie coraz częściej niedźwiedzie wdzierały się do samochodów. Po włączeniu generatora zewnętrzne blachy auta znajdują się pod napięciem dziesięciu tysięcy woltów. Trzask! Wyładowanie musi odstraszyć nawet największego misia. Lecz zarazem jest to tak wysokie napięcie, że spawacze natychmiast spadają z dachu, jeśli nie mają uziemionych aparatów. Niech się zdarzy jakiś wypadek i co wtedy? Za swoją bezmyślność dostaną najwyżej groszowe odszkodowanie. – Jeszcze raz pokręcił głową. – No więc? Gdzie jest Levine?

– Nie wiemy – odpowiedział Arby.

– Nie wiecie? Nie było go dzisiaj w szkole na zajęciach?

– Nie, w ogóle się nie pokazał.

Thorne znowu zaklął pod nosem.

– A odgrażał się, że jeszcze dziś przyjedzie, aby dokonać ostatecznego przeglądu, nim zaczniemy testować jego pojazdy. Miał wrócić już wczoraj.

– Skąd miał wrócić? – wtrąciła szybko Kelly.

– Z pewnej wyprawy w teren... Przed wyjazdem był strasznie podekscytowany, sam dobierałem mu wyposażenie. Pożyczył ode mnie najnowszy prototyp plecaka ze sprzętem. Było tam wszystko, czego mógł potrzebować, całość ważyła zaledwie piętnaście kilogramów. Podobało mu się. A wyjechał w poniedziałek, cztery dni temu.

– Dokąd?

– Skąd ja mam wiedzieć? – odparł Thorne. – Tego mi nie mówił, a ja nie pytałem. Oni wszyscy zachowują się teraz podobnie, każdy naukowiec trzyma

swoje zamierzenia w najściślejszej tajemnicy. Trudno ich za to winić, boją się, że ktoś ich wyprzedzi albo wykradnie pomysł. Takie nastały czasy. W ubiegłym roku szykowałem sprzęt dla ekspedycji do Amazonii. Mieliśmy w planach jego dokładne uszczelnienie. To zrozumiałe, w tropikalnych lasach nad Amazonką panuje olbrzymia wilgotność, a woda jest największym wrogiem urządzeń elektronicznych. No i cały projekt wziął w łeb, ponieważ się okazało, że nie starczy pieniędzy. Jakiś uniwersytecki biurokrata zadecydował, że tak dokładne uszczelnianie jest niepotrzebne. Chyba sami rozumiecie, że to czyste szaleństwo... Henry! Nie słyszałeś, co ci mówiłem? Ta rozpora ma być umocowana poprzecznie!

Thorne ruszył w tamtym kierunku, energicznie wymachując rękoma. Dzieci podreptały za nim.

– Oceńcie teraz, jak to wygląda – ciągnął szef warsztatu. – Od paru miesięcy pracujemy nad tymi pojazdami, stajemy na głowie, żeby zdążyć na czas. Chciał mieć lekkie wozy, zrobiliśmy lekkie. Żądał mocnych, są mocne. Czemu nie? To tylko z pozoru niemożliwe. Jeżeli ma się odpowiednie fundusze, żeby wykonać elementy z tytanu i kompozytowych spieków węglowych, będą lekkie i mocne. Miało nie być silnika spalinowego, żeby uniknąć przykrych wyziewów, proszę bardzo! Kiedy wreszcie uporaliśmy się ze wszystkimi problemami i skonstruowaliśmy doskonale wyposażone laboratorium, mogące działać w takim terenie, gdzie brak jest paliw płynnych i elektryczności, to teraz... Aż nie chce mi się w to wierzyć! Naprawdę nie zjawił się dzisiaj w szkole?

– Nie.

– A zatem zniknął – zawyrokował Thorne. – Cudownie! Wspaniale! I co z próbami terenowymi? Mieliśmy przecież wyprawić się tymi pojazdami na tydzień i przetestować działanie wszystkich zespołów.

– Wiemy o tym – odparła Kelly. – Wydębiliśmy od rodziców pozwolenia i zgromadziliśmy sprzęt, żeby móc pojechać razem z wami.

– A on po prostu znika – parsknął Thorne. – Należało się tego spodziewać. Dzieci milionerów najczęściej mają poprzewracane w głowach. Ktoś taki jak Levine z założenia musi być zepsuty.

Zawieszona pod stropem nietypowa klatka z metalowych prętów zerwała się nagle i z hukiem wylądowała na posadzce tuż przy nich. Thorne ledwie zdążył uskoczyć.

– Eddie! Co ty wyczyniasz, do jasnej cholery?!

– Przepraszam, Doc – zawołał Eddie Carr, stojący wysoko na rusztowaniu. – Według specyfikacji miała wytrzymać ciśnienie rzędu tysiąca atmosfer. Musieliśmy to sprawdzić.

– Doskonale, Eddie. Tylko staraj się nie zrzucać jej nikomu na głowę!

Thorne podszedł bliżej i obejrzał klatkę, która miała kształt cylindra i była wykonana z prętów o dwucentymetrowej średnicy, zrobionych ze stopu tytanu. Wyglądało na to, że przetrzymała upadek bez szkody. Była zresztą dosyć lekka, gdyż doktor podniósł ją jedną ręką. Miała w przybliżeniu dwa metry wysokości i sto dwadzieścia centymetrów średnicy. Przypominała nadzwyczaj dużą klatkę na ptaki. Drzwi na zawiasach były zaopatrzone w wyjątkowo masywny zamek.

– Na co ta klatka? – spytał Arby.

– To część większej konstrukcji – odparł szef zakładu, wskazując na przeciwległy koniec hali, gdzie robotnicy montowali jakieś teleskopowe rusztowanie z aluminiowych prętów. – Składana platforma obserwacyjna, czyli ambona, przystosowana do umieszczenia na wysokości pięciu metrów. Po złożeniu zajmuje niewiele miejsca, a jest wyposażona w wygodne, zadaszone, także składane stanowisko.

– Do czego ma być wykorzystana? – dopytywał się Arby.

– Levine wam tego nie powiedział?

– Nie.

– Nie – powtórzyła jak echo Kelly.

– Może to dziwne, ale mnie także nie powiedział – rzekł Thorne, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Zastanawia mnie tylko, dlaczego zażądał tak niezwykle wytrzymałych wszystkich elementów. Lekkich i bardzo mocnych, jakby to było takie proste. – Westchnął ciężko. – Boże, chroń mnie przed naukowcami teoretykami.

– Sądziłam, że pan również był kiedyś naukowcem teoretykiem – wtrąciła Kelly.

– Kiedyś – podkreślił doktor. – Teraz zajmuję się produkcją sprzętu. Znudziło mi się strzępienie języka.

Ci, którzy znali Jacka Thorne'a, twierdzili zgodnie, że przejście na emeryturę stało się najszczęśliwszą chwilą jego życia. Jako wykładowca inżynierii konstrukcyjnej i specjalista z zakresu materiałoznawstwa zawsze odznaczał się praktycznym podejściem do każdego zagadnienia, co usiłował zaszczepić swoim studentom. Jego kurs inżynierii na Uniwersytecie Stanforda zwany był powszechnie „Zagadkami Thorne'a", gdyż prowadzący często prowokował słuchaczy do rozwiązywania złożonych problemów

inżynieryjnych, które sam wymyślał. Wiele z tych zagadek stało się legendami krążącymi wśród młodszych studentów. Jedną z najbardziej znanych była tak zwana katastrofa z papierem toaletowym. Zadanie polegało na bezpiecznym zrzuceniu kosza jaj ze szczytu wieży Hoovera, które można było zabezpieczyć przed rozbiciem, mając do dyspozycji wyłącznie kartonowe rurki od papieru toaletowego. Najgorsze zaś było to, że studenci musieli własnoręcznie czyścić chodnik z rozmazanych jaj.

Kiedy indziej Thorne polecił słuchaczom skonstruować krzesło mające wytrzymać ciężar stukilogramowego człowieka, a zbudowane wyłącznie z drucianych spinaczy do papieru oraz sznurka. Pewnego razu przed egzaminem doktor podwiesił pod sufitem arkusz z odpowiedziami na pytania testowe, po czym oznajmił, że z wypełnionego poprawnie formularza będzie mógł skorzystać ten, kto go ściągnie dowolną metodą, dysponując jedynie kartonowym pudełkiem po butach, w którym znajdowały się pół kilograma lukrecji i paczka wykałaczek.

Oprócz zajęć na uczelni Thorne często występował w sądzie jako ekspert w dziedzinie inżynierii konstrukcyjnej. Był specjalistą z zakresu materiałów wybuchowych, toteż proszono go o radę przy badaniu szczątków rozbitych samolotów, zawalonych budynków i temu podobnych katastrof. Owe kontakty z rzeczywistym światem pozwoliły mu zdobyć niezwykle obszerną wiedzę jak na wykładowcę teoretyka. Zwykł mawiać: „Jak można projektować sprzęty użytkowe, nie mając pojęcia o historii i psychologii? Równania matematyczne pomagają tylko znaleźć rozwiązanie, lecz każda rzecz musi zostać zweryfikowana przez użytkowników. Jeżeli ci odrzucą projekt, będzie to oznaczało, że odrzucają także projektanta". Do tego lubił ozdabiać swoje wykłady cytatami z Platona, Zulusa Czaki, Emersona oraz Zhuangziego.

Jednocześnie – ciesząc się niezwykłą popularnością wśród studentów i propagując jak najszersze kształcenie na wszystkich uczelniach – zawsze miał wrażenie, że usiłuje płynąć pod prąd. Świat nauki nieustannie podążał ku coraz większej specjalizacji, w każdej dziedzinie posługiwano się odrębnym, niezrozumiałym dla innych żargonem. W takiej atmosferze powszechne uznanie ze strony studentów oznaczało powierzchowność wykładowcy, a zainteresowanie problemami świata rzeczywistego było dowodem intelektualnego ubóstwa i godnej pożałowania obojętności dla rozwiązań teoretycznych. Ale w końcu to jego zamiłowanie do dzieł Zhuangziego stało się bezpośrednią przyczyną rezygnacji z pracy. Na zebraniu kadry wydziału jeden z jego kolegów oznajmił, że „skłonność do cytowania jakiegoś mitycznego chińskiego grafomana oznacza pogardliwy stosunek do wykładanego przedmiotu".

Jakiś miesiąc później Thorne przeszedł na wcześniejszą emeryturę i wkrótce potem otworzył swój zakład. Z zapałem poświęcił się pracom konstruktorskim, ale brakowało mu kontaktu ze studentami i właśnie dlatego z wielką życzliwością traktował parę młodocianych asystentów Levine'a. Dzieciaki były bystre, podchodziły do wszystkiego z wielkim entuzjazmem, a szkoła nie zdążyła w nich jeszcze wykształcić podświadomej niechęci do poszerzania wiedzy. Potrafiły korzystać ze swoich szarych komórek, a to według Thorne'a było widomym dowodem, że nie zakończyły jeszcze podstawowego etapu nauczania.

– Jerry! – krzyknął do jednego ze spawaczy ponownie klęczących na dachu furgonetki. – Tylko dokładnie wyważcie tę rozporę! Pamiętajcie o próbach wytrzymałościowych!

Doktor pokazywał im wcześniej na monitorze efekty obliczeń komputerowego programu symulacyjnego. Ukazana schematycznie furgonetka RV poddawana była zderzeniom czołowym i bocznym, kiedy indziej koziołkowała i dopiero potem uderzała w przeszkodę, lecz za każdym razem wychodziła z tego niemal bez szwanku. Ów program symulacyjny został opracowany wspólnie przez kilka firm produkujących samochody, ale z niego zrezygnowano. Thorne go odkupił i dostosował do własnych potrzeb. Wyjaśniał wtedy:

– To jasne, dlaczego firmy samochodowe z niego zrezygnowały: jest za dobry! A w wielkich przedsiębiorstwach nikt sobie nie życzy takich pomysłów, bo dzięki nim powstałby aż nazbyt trwały produkt. – Westchnął przy tym ciężko. – Dzięki temu programowi symulowaliśmy chyba z dziesięć tysięcy groźnych wypadków. Projektowaliśmy wzmocnienia, wprowadzając je do programu, symulowaliśmy zderzenie, potem nanosiliśmy poprawki, i tak na okrągło. Nasze teoretyczne rozwiązania musiały przejść próbę na komputerze. Tak powinno się postępować z każdym prototypem.

Niechęć Thorne'a do rozwiązań czysto teoretycznych była powszechnie znana. Według niego teoria była niczym innym jak substytutem doświadczenia wysuwanym na pierwszy plan przez autora, który niezbyt wiedział, jak się

uporać z problemem.

– Spójrzcie sami. Jerry! Jerry! Po co robiliśmy te setki symulacji, skoro wy teraz nawet nie chcecie zajrzeć do planów? Czyżbyście wszyscy nagle przestali myśleć?

– Przepraszam, Doc...

– Nie przepraszaj, tylko rób porządnie.

– Ale to będzie strasznie masywna konstrukcja...

– Naprawdę? Czyżbyś chciał wprowadzać zmiany? Zamierzasz realizować własny projekt? Mocuj wszystko tak, jak zostało rozrysowane!

Arby niecierpliwie przestępował z nogi na nogę.

– Martwię się o doktora Levine'a – rzekł w końcu.

– Mówisz poważnie? Bo ja się wcale nim nie przejmuję.

– Zawsze dotrzymuje danego słowa, jest tak doskonale zorganizowany...

– To prawda – mruknął Thorne. – Lecz bywa też niezwykle impulsywny i robi to, co mu w danej chwili przyjdzie do głowy.

– Możliwe – odparł Arby – ale jestem przekonany, że miał bardzo ważny powód, żeby nie wrócić na czas. Obawiam się, że wpadł w jakieś kłopoty. Nie dalej jak w ubiegłym tygodniu zabrał nas na spotkanie z profesorem Malcolmem z Berkeley, u którego w gabinecie wisi mapa świata z zaznaczonymi miejscami znalezisk...

– Malcolm! – wykrzyknął Thorne. – Niech mnie Bóg przed nim chroni! Ci dwaj są jak przysłowiowe dwa grzyby w barszczu, jeden bardziej kłopotliwy od drugiego. Już wolę się kontaktować z Levine'em.

Obrócił się na pięcie i ruszył w stronę swojego pokoiku.

– Chce pan skorzystać z telefonu satelitarnego? – zapytał Arby.

– Z czego? – zdumiony doktor przystanął w pół kroku.

– Z telefonu satelitarnego – powtórzył Arby. – Doktor Levine nie zabrał ze sobą takiego nadajnika?

– Nie dałby rady. Chyba wiesz, że aparat łączności satelitarnej ma rozmiary dużej walizki.

– Wcale nie jestem o tym przekonany. Na pewno skonstruował pan lekki, mały nadajnik.

– Myślisz, że to możliwe?

Mimo woli Thorne uśmiechnął się przyjaźnie. Oto jeden z powodów, dla których bardzo lubię te dzieciaki – pomyślał.

– Oczywiście, przecież to my odbieraliśmy ze sklepu tę skrzynkę o trójkątnym przekroju, gdzie na płycie głównej tkwiły rzędem układy VLSI. Rozpoznałem dwie kości Motoroli typu BSN-23, a to przecież ściśle tajne rozwiązanie opracowane na zlecenie CIA. Nietrudno się więc domyślić, że ta

płyta była panu potrzebna do...

– Hej, hej! – przerwał mu Thorne z uśmiechem. – A skąd tyś się tego wszystkiego dowiedział? Przecież ostrzegałem cię, żebyś nie próbował się włamywać do zastrzeżonych systemów...

– Niech się pan nie martwi, nikt mnie nie wyśledzi – odparł Arby lekceważącym tonem. – A wracając do tej płyty, to mam rację, prawda? Wykorzystał ją pan do skonstruowania ważącego nie więcej niż pół kilograma telefonu satelitarnego, zgadza się?

Doktor przez chwilę przyglądał mu się badawczo.

– A jeżeli nawet, to co? – mruknął zaczepnie.

Arby wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Spoko! – rzekł z dumą chłopak.

Pokoik Thorne'a znajdował się w rogu hali. Wszystkie ściany były zawieszone schematami konstrukcyjnymi, szczegółowymi planami prac oraz trójwymiarowymi rysunkami komputerowymi. Na biurku piętrzyły się stosy opasłych katalogów, faksów i wydruków oraz zmontowane płyty układów elektronicznych. Doktor uniósł plik papierów i wyjął spod spodu niewielki szary aparat telefoniczny.

– Oto i on – rzekł, wyciągając urządzenie w stronę Arby'ego. – Zgrabny, prawda? Nawet obudowę sam zaprojektowałem.

– Wygląda jak zwykły telefon komórkowy – wtrąciła Kelly.

– Owszem, ale działa zupełnie inaczej. Telefonia komórkowa musi korzystać z całej sieci naziemnych przekaźników, a ten aparat pozwala się bezpośrednio połączyć przez satelitę telekomunikacyjnego, można z niego rozmawiać z dowolnym abonentem na świecie. – Zaczął wybierać numer. – Jeszcze niedawno trzeba było stosować do tego celu anteny miskowe o średnicy jednego metra, ostatnio wprowadzono mniejsze, trzydziestocentymetrowe. Mnie zaś wystarczy antena wbudowana w aparat. Nie ukrywam, że jestem dumny z tego urządzenia. Ciekawe tylko, czy Levine odpowie.

Thorne obrócił pokrętło wzmocnienia do maksimum. Z głośnika popłynął głośny szum statyczny przerywany popiskiwaniem elektronicznego przekazu.

– Jak znam Richarda – mówił dalej – to pewnie spóźnił się na samolot albo zwyczajnie zapomniał, że miał jeszcze dzisiaj prowadzić lekcję i był ze mną umówiony. A my już prawie skończyliśmy zaprojektowane przez

niego auta. Jak sami widzieliście, został jedynie montaż foteli i zewnętrznych wzmocnień. W zasadzie wszystko jest gotowe. Teraz on nas będzie wstrzymywał. Rzekłbym, że postępuje bardzo nieodpowiedzialnie.

Łączność została nawiązana, lecz monotonne elektroniczne buczenie oznaczało, że nikt się nie zgłasza.

– Jeśli się nie odezwie, spróbuję odnaleźć Sarę Harding.

– Sarę Harding? – powtórzyła zdumiona Kelly.

– A któż to jest? – spytał Arby.

– Przecież to najsłynniejsza na świecie specjalistka w dziedzinie obyczajów dzikich zwierząt, Arb! – odparła dziewczyna z wyrzutem w głosie.

Kelly była wręcz zafascynowana postacią Sary Harding, przeczytała wszystkie dostępne artykuły na jej temat. Doskonale wiedziała, że Harding nie odniosła wielkich sukcesów jako wykładowca na uniwersytecie w Chicago, ale teraz, w wieku trzydziestu trzech lat, miała już tytuł profesora nadzwyczajnego w Princeton. Pociągająca i niezależna, jak kot chadzała zawsze własnymi drogami. Wybrała życie samotnika i zamieszkała w Afryce, podejmując obserwację życia lwów i hien. Dość szybko zyskała sławę, której przysporzyła jej także niespotykana odwaga. Pewnego razu, gdy popsuł jej się samochód terenowy, pokonała pieszo trzydziestokilometrową drogę powrotną przez sawannę i odpędzała lwy, ciskając w nie kamieniami.

Na zdjęciach Sara była zazwyczaj ubrana w szorty oraz luźną koszulę w kolorze khaki i z lornetką zawieszoną na szyi pozowała przy swym ulubionym land roverze. Z obciętymi krótko, po męsku, ciemnymi włosami i wysportowaną sylwetką sprawiała wrażenie osoby szorstkiej i czarującej zarazem – przynajmniej taką wyobrażała ją sobie Kelly, która miała zwyczaj bardzo dokładnie przyglądać się wszystkim fotografiom, jakby chciała zapamiętać każdy szczegół.

– Nigdy o niej nie słyszałem – odrzekł Arby.

– Bo spędzasz za dużo czasu przy komputerze – wtrącił Thorne.

– Nieprawda – zaoponował chłopak, lecz Kelly dostrzegła, że nagle spuścił głowę i przygarbił ramiona, jak zawsze, kiedy spotykał się z krytyką swego postępowania. Po chwili spytał posępnym głosem: – Specjalistka od zwyczajów dzikich zwierząt?

– Zgadza się – odparł doktor. – Wiem, że Levine kontaktował się z nią parokrotnie w ciągu ostatnich tygodni. Harding pomagała mu skompletować sprzęt niezbędny podczas wyprawy terenowej. Nie wiem, czy liczył się z jej opinią, czy tylko polegał na zdaniu Malcolma. W końcu Malcolm i Harding byli ze sobą związani przez jakiś czas.

– To tylko plotki – sprzeciwiła się Kelly. – Być może on był w niej

zakochany, ale ona...

– Czyżbyś znała ją osobiście? – Thorne spojrzał dziewczynie prosto w oczy.

– Nie, ale wiem o niej chyba wszystko.

– Rozumiem.

Od razu pojął, że Kelly uważa Sarę za wzór do naśladowania, toteż postanowił zakończyć rozmowę na ten temat. I tak nie jest źle – pomyślał – dziewczyny często wybierają swych idoli spośród gwiazd sportu lub kina. Należy się tylko cieszyć, że ona otacza podziwem kogoś, kto próbuje poszerzać zakres ludzkiej wiedzy...

Z głośnika aparatu nadal dobiegał przerywany sygnał, nikt się nie zgłaszał.

– No cóż, wiemy przynajmniej, że telefon Levine'a działa bez zakłóceń – oznajmił Thorne. – Uzyskaliśmy połączenie drogą satelitarną.

– Nie może pan namierzyć miejsca jego pobytu? – zapytał Arby.

– Niestety nie. Gdybym wyposażył to urządzenie w system radiolokacyjny, błyskawicznie wyczerpałbym baterie, a to by oznaczało...

Nagle w głośniku rozległ się trzask i męski głos, bardzo odległy, lecz dosyć wyraźny, powiedział:

– Levine.

– Aha, jednak go złapaliśmy – rzekł Thorne, kiwając głową, po czym wcisnął klawisz nadawania. – Richard? Tu Doc Thorne.

Z głośnika przez chwilę płynął tylko głośny szum, wreszcie dało się słyszeć kaszlnięcie i chrapliwy głos odpowiedział:

– Halo! Halo! Tu Levine!

Doktor ponownie nacisnął guzik aparatu.

– Richard, mówi Thorne. Czy mnie słyszysz?

– Halo! Halo! – nawoływał bez przerwy tamten.

Thorne westchnął głośno.

– Richard, musisz nacisnąć klawisz oznaczony literą T. Odbiór.

– Halo! – Tamten ponownie zakasłał, jak gdyby był chory. – Halo! Tu Levine!

Doktor energicznie pokręcił głową.

– Nawet nie pamięta, jak się tym posługiwać! Do cholery, przecież wszystko mu dokładnie objaśniałem! Ale on nigdy nie słucha, geniusze nie zwracają uwagi na innych! Uważają, że sami wiedzą najlepiej, jakby całe życie mieli do czynienia z zabawkami. – Po raz kolejny wdusił przycisk nadawania. – Richard, posłuchaj mnie. Musisz nacisnąć klawisz oznaczony literą T, jeśli chcesz...

– Halo! Tu Levine! Halo! Błagam, potrzebuję pomocy! Jeśli mnie

słyszycie, wyślijcie pomoc! Jestem na wyspie, zdołałem tu dopłynąć bez przeszkód, ale...

Przerwał mu głośny trzask, znowu słychać było jedynie szum.

– Oho – mruknął Thorne.

– Co się dzieje? – spytał Arby, pochylając się nad biurkiem.

– Tracimy z nim kontakt.

– Z jakiego powodu?

– Baterie, są tak krótkotrwałe... Cholera... Richardzie! Gdzie jesteś?!

Z głośnika, poprzez coraz silniejsze zakłócenia, padały urywane fragmenty zdań:

– ...zginął na miejscu... sytuacja stała... bardzo poważna... nie wiem... mnie słyszycie, lecz jeśli... potrzebuję pomocy...

– Richardzie! Powiedz, gdzie jesteś?!

Trzaski przybierały na sile, głos Levine'a z coraz większym trudem przebijał się przez szum statyczny.

– ...otoczyły mnie... podstępne... ciągle czuję odór... zwłaszcza nocą...

– O czym on mówi? – szepnął Arby.

– ...ranny... nie dam... dłużej... proszę...

W końcu zachrypnięty głos Levine'a na dobre utonął w jednostajnym szumie.

Po chwili i ten zamilkł, połączenie zostało przerwane.

Thorne wyłączył aparat i przekręcił z powrotem gałkę wzmocnienia. Uniósł powoli głowę i spojrzał na pobladłe twarze obojga dzieci.

– Musimy go odnaleźć – powiedział. – I to jak najszybciej.

DRUGA KONFIGURACJA

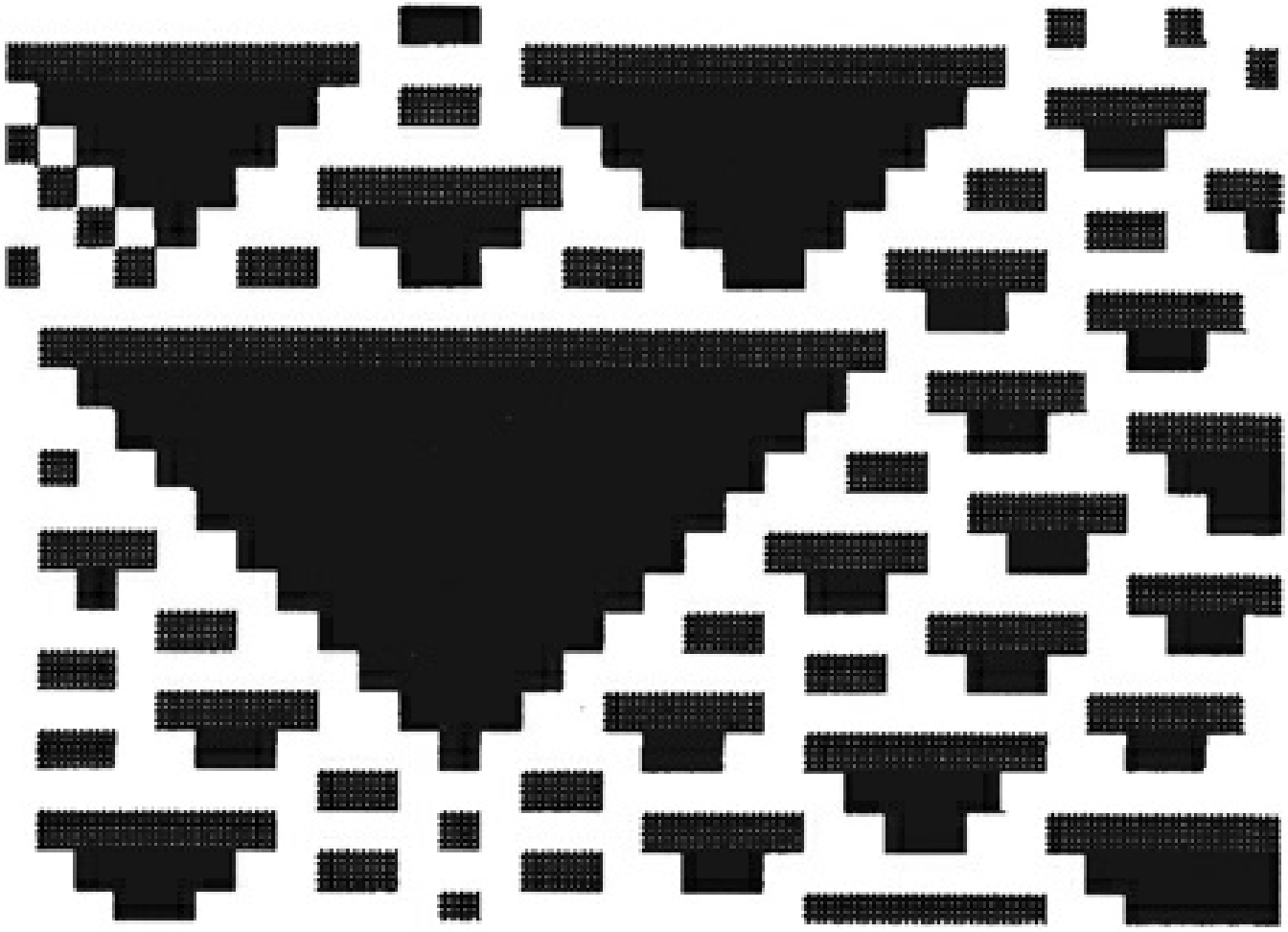

Dążenie do samoorganizacji prowadzi ku coraz większej złożoności, w miarę zbliżania się systemu do krawędzi chaosu.

Ian Malcolm

WSKAZÓWKI

Thorne otworzył drzwi mieszkania Levine'a i zapalił światło. Stanęli w progu zdumieni.

– To wygląda jak sala muzealna – rzekł Arby.

Trzypokojowy lokal w bloku gospodarz urządził w stylu azjatyckim. Pod ścianami stały ciężkie, ozdobne regały, a na nich rozmieszczono kosztowne antyki. Mimo że wszędzie panowała idealna czystość, niektóre z tych eksponatów były osłonięte foliowymi pokrowcami. Pod każdym z nich znajdowała się tabliczka z opisem.

Cała trójka powoli wkroczyła w głąb salonu.

– On tu naprawdę mieszka? – spytała z niedowierzaniem Kelly.

Wprost nie mogła w to uwierzyć. Ten pokój wydawał jej się całkowicie bezosobowy, wręcz odpychający. W jej sypialni zawsze panował swojski bałagan...

– Owszem – odparł Thorne, chowając klucze do kieszeni. – Uwielbia takie otoczenie. Właśnie dlatego nigdy się nie ożeni. Nie mógłby ścierpieć myśli, że ktoś oprócz niego dotyka tych skarbów.

Pośrodku salonu znajdował się kawiarniany stolik ze szklanym blatem, wokół którego porozstawiano głębokie fotele. Na stoliku leżały cztery stosiki książek, starannie ułożonych wzdłuż krzywizny blatu. Arby zerknął na tytuły: „Teoria katastrofy i wyłaniających się z niej struktur", „Procesy indukcyjne w ewolucji molekularnej", „Automaty komórkowe", „Metodologia adaptacji nieliniowej", „Przejścia fazowe w systemach ewolucyjnych". Na drugim stosiku leżały jakieś starsze podręczniki, wszystkie w języku niemieckim.

Kelly pociągnęła nosem.

– Ktoś tu coś gotuje?

– Nie wiem – rzekł doktor i ruszył w stronę jadalni.

Na dużym politurowanym stole była przygotowana zastawa dla jednej osoby: ozdobna porcelana, srebrne sztućce i grube, rżnięte szkło. Na kredensie pod ścianą stała olbrzymia podgrzewana taca, na niej rozmieszczono kilka zakrytych talerzy. Nad wazą z zupą unosiła się wąska strużka pary.

Thorne wszedł głębiej i podniósł kartkę papieru leżącą na stole obok nakrycia. Przeczytał na głos:

– „Przyrządziłam zupę z homarów, duszoną młodą zieleninę oraz smażone filety z tuńczyka. Mam nadzieję, że podróż upłynęła panu przyjemnie. Romelia".

– Rety... – szepnęła Kelly. – Czy to znaczy, że ktoś codziennie przygotowuje mu obiad?

– Na to wygląda.

Na doktorze chyba nie robiło to żadnego wrażenia. Przejrzał pobieżnie stosik listów leżący pośrodku stołu, natomiast Kelly podeszła do stojącego w rogu jadalni faksu, dostrzegłszy wysuniętą z urządzenia wstęgę papieru. Pierwsza wiadomość była z muzeum Peabody'ego przy Uniwersytecie Yale w New Haven.

– Czy to po niemiecku? – zapytała, pokazując doktorowi wydrukowany tekst:

Szanowny Doktorze Levine!

Zamówioną przez Pana kopię opracowania:
„Geschichtliche Forschungsarbeiten über die Geologie Zentralamerikas, 1922–1929"
wysłaliśmy w dniu dzisiejszym pocztą Federal Express.
Z wyrazami szacunku

Dina Skrumbis
archiwistka
(podpis nieczytelny)

– Nie jestem pewien – mruknął Thorne – ale to chyba „Przegląd badań geologicznych Ameryki Środkowej". Poza tym te materiały pochodzą z lat dwudziestych, więc są raczej stare.

– Ciekawe, do czego mu to potrzebne?

Doktor nie odpowiedział. W zamyśleniu przeszedł do sypialni.

Tutaj również panował wzorowy ład, czarna kapa przykrywająca łóżko tworzyła niemal idealnie płaską powierzchnię. Thorne zajrzał do szafy i obrzucił spojrzeniem rząd ubrań na wieszakach, dokładnie wyprasowanych i starannie porozmieszczanych, z których większość znajdowała się w plastikowych workach. Wysunął górną szufladę, gdzie leżały równiutko ułożone skarpetki, pogrupowane według kolorów.

– Nie mam pojęcia, jak można mieszkać w takich warunkach – jęknęła Kelly.

– To wcale nie takie trudne, wystarczy jedynie nająć służącą. – Począł zaglądać do innych szuflad.

Dziewczyna podeszła do nocnego stolika, na którym także leżało parę książek. Na wierzchu spoczywał malutki, pożółkły ze starości tomik, również po niemiecku „Die Fünf Todesarten". Kelly otworzyła go na chybił trafił i spojrzała na kolorowy rysunek, przedstawiający chyba rytualne, wzorzyste stroje Azteków. To mi przypomina ilustrowany elementarz – pomyślała.

Pod spodem znajdowały się opracowania naukowe i oprawione w czerwony karton materiały Instytutu Santa Fe: „Algorytmy genetyki i sieci heurystyczne", „Geologia Ameryki Środkowej", „Mechanizm mozaikowania w przestrzeni arbitralnej", „Roczne sprawozdanie korporacji InGen za rok 1989". A tuż przy aparacie telefonicznym leżał notatnik, na wierzchniej stronie zostały spisane w pośpiechu hasła:

Stanowisko B
Vulkanische
Tacaño?
Nublar?
1 z 5 śmierci?
w górach? Niemożliwe!!!
może Guitierrez
ostrożnie

– Co to jest stanowisko B? – zapytała Kelly. – Ta nazwa widnieje w notatniku.

Thorne podszedł i zerknął przez ramię dziewczyny.

– *Vulkanische* po niemiecku oznacza: wulkaniczny – rzekł. – Tacaño i Nublar... to chyba nazwy geograficzne. Trzeba będzie sprawdzić w atlasie...

– A o co chodzi z tą jedną na pięć śmierci?

– Nie mam najmniejszego pojęcia.

Spoglądali oboje na zapisaną kartkę, kiedy niespodziewanie do sypialni zajrzał Arby i spytał:

– Co to jest stanowisko B?

Thorne obejrzał się szybko.

– Dlaczego pytasz?

– Lepiej zajrzyjcie do jego gabinetu.

W drugiej sypialni wynajętego lokalu Levine urządził sobie gabinet. Tak jak w innych pomieszczeniach panował tu idealny porządek. Papiery na biurku tworzyły dokładnie wyrównany stosik, a znajdujący się obok komputer był zakryty foliowym pokrowcem. Na ścianie za biurkiem wisiała duża korkowa tablica, na której gospodarz porozpinał mapy, jakieś wykresy, wycięte artykuły z gazet, zdjęcia satelitarne i lotnicze. Ponad tym wszystkim rozciągał się duży napis „STANOWISKO B?".

Między innymi wisiała tam niezbyt wyraźna fotografia jakiegoś Chińczyka w okularach i białym fartuchu laboratoryjnym, stojącego na tle dżungli, obok dużej tablicy głoszącej: „Stanowisko B". Mężczyzna trzymał ręce w kieszeniach, a rozchylone poły fartucha odsłaniały jego bawełnianą koszulkę z wielkim napisem na piersi.

Tuż obok zostało przypięte drugie zdjęcie, będące powiększonym fragmentem pierwszego i ukazujące napis na koszulce Chińczyka. Ziarnistość papieru fotograficznego nieco rozmywała kształt liter, a końce napisu ginęły pod połami fartucha, można jednak było odczytać:

acja Badawc
nGen stanowis

Dalej wisiała kartka z odręcznym dopiskiem Levine'a: „Stacja Badawcza InGen, Stanowisko B??? Gdzie???".

Poniżej została umieszczona odbitka strony z rocznego raportu korporacji, a następujący akapit był zakreślony czerwonym tuszem:

> Oprócz centrali w Palo Alto, gdzie InGen zbudował supernowoczesne laboratorium badawcze o powierzchni dwudziestu tysięcy metrów kwadratowych, firma dysponuje trzema terenowymi placówkami doświadczalnymi poza granicami kraju: ośrodkiem geologicznym w Afryce Południowej, gdzie prowadzone są badania bursztynu i innych znalezisk biologicznych, stacją doświadczalną w górzystym rejonie Kostaryki, w której hodowane są egzotyczne odmiany różnych roślin, oraz laboratorium badawczym na wyspie Isla Nublar, sto dwadzieścia mil morskich na zachód od wybrzeży Kostaryki.

Obok także wisiała kartka z dopiskiem Levine'a: „Nie ma stanowiska B! Oszuści!".

– On chyba naprawdę ma obsesję na punkcie tego stanowiska B – zauważył Arby.

– Na to wychodzi – mruknął Thorne. – W dodatku wspominał, że znajduje się na wyspie.

Doktor przeszedł do drugiej części tablicy, którą zajmowały zdjęcia satelitarne. Mimo że były wykonane w różnorodnych kolorach, z odmiennych wysokości, dość łatwo dało się zauważyć, że wszystkie obejmują z grubsza ten sam obszar: skaliste wybrzeże i rozsiane w głębi morza wysepki. Na większości fotografii wąski pas plaży oddzielał zwartą tropikalną dżunglę, zatem mogły one przedstawiać wybrzeże Kostaryki, choć trudno to było określić z całą pewnością. Na dobrą sprawę mogły to być zdjęcia kilkunastu różnych miejsc w odrębnych częściach świata.

– No właśnie. Powiedział, że znajduje się na wyspie – powtórzyła w zamyśleniu Kelly.

– Zgadza się. – Thorne wzruszył ramionami. – Ale to nam niewiele pomoże. – Znowu zapatrzył się na rozpięte fotografie. – W tym rejonie musi być ze dwadzieścia wysp, może nawet więcej.

Jego wzrok padł na wydruk z komputera, wiszący na samym dole tablicy:

STANOWISKO B @#$#DO WSZYSTKICH WYDZIAŁÓW []****
POMINAM O%$#@#!UNIKANIA KONTAKTÓW Z PRAS******
~~Pan Hammond pragnie przypomnieć wszystk~~****według^*&^marketing
*%**Długoterminowy plan marketing*&^&^%
Sprzedaż miejsc w proponowanym ośrodku wypoczynkowym jest możliwa tylko pod warunkiem, że złożona technologia JP nie zostanie ~~udostępniona~~ ujawniona ~~wspomniana~~ komukolwiek. Pan Hammond pragnie przypomnieć pracownikom wszystkich wydziałów, że ośrodek produkcyjny nie może być ~~głównym~~ tematem rozmów z przedstawicielami prasy i ~~nie wolno o nim wspominać~~ pod żadnym pozorem.
Ośrodek badawczo-produkcyjny nie może też#@#$#
w odniesieniu do wytwarzania na wyspie lok
Isla S. wyłącznie w tajnych materiałach
zakaz ujaw***^%$**w zarysie

– Dziwne – mruknął. – Rozumiecie coś z tego?

Arby podszedł bliżej i spojrzał na tekst wydruku.

– Zamiast całych fragmentów znalazły się tu jakieś śmieci – dodał Thorne. – Skąd one się mogły wziąć?

– Chyba wiem – rzekł chłopak, strzelając głośno palcami.

Podszedł szybko do biurka Levine'a, zdjął pokrowiec z komputera, rzucił na niego okiem i mruknął:

– Tak myślałem.

Nie było to wcale nowoczesne urządzenie, które Thorne spodziewał się ujrzeć. Komputer musiał liczyć sobie już sporo lat, jego duża, kanciasta obudowa była w wielu miejscach porysowana i powgniatana. W rogu został umieszczony czarny znaczek producenta: Design Associates, Inc. Lecz na samym dole, tuż pod włącznikiem zasilania, znajdowała się niewielka srebrzysta naklejka z napisem: „Własność International Genetics Technology,

Inc. Palo Alto, Kalifornia".

– No proszę! – odezwał się zaskoczony Thorne. – Levine ma komputer InGenu!

– Owszem. Wysłał nas w ubiegłym tygodniu, żebyśmy go kupili na wyprzedaży sprzętu komputerowego.

– Wysłał was? – powtórzył z niedowierzaniem doktor.

– Tak, mnie i Kelly. Sam nie chciał się tam pokazywać. Bał się, że ktoś go śledzi.

– Ale to przecież staroć systemu CAD/CAM, musi mieć co najmniej pięć lat – zaoponował Thorne, który dobrze wiedział, że tego typu komputery były używane głównie przez architektów, grafików i projektantów sprzętu użytkowego. – Do czego mu był potrzebny?

– Tego nam nie powiedział – odparł chłopak, włączając urządzenie. – Ale teraz już się domyślam.

– No więc?

– Ten tekst mi wyjaśnił. – Arby ruchem głowy wskazał tablicę na ścianie. – Wie pan, dlaczego tak wygląda? Bo jest to plik odtworzony po skasowaniu. Levine usiłował odzyskać stare zapisy InGenu z twardego dysku komputera.

Chłopak wyjaśnił szczegółowo, że w trakcie przygotowań do wyprzedaży majątku firmy prawdopodobnie sformatowano twarde dyski we wszystkich komputerach, żeby zniszczyć zapisane tam informacje, które mogłyby wpaść w niepowołane ręce. Wyjątek stanowiły maszyny pracujące w systemie CAD-CAM, sterowane przez specjalne programy nadzorujące, instalowane przez producenta – dopasowane do konfiguracji sprzętu oraz indywidualnych wymagań użytkownika. Uniemożliwiało to przeformatowanie twardych dysków w tych komputerach, ponieważ każdy taki program nadzorujący pracę systemu musiałby wówczas być zainstalowany od nowa.

– I dlatego jedynie wykasowali zapisy? – domyślił się Thorne.

– Owszem, a to oznacza, że skasowaniu uległy tylko katalogi plików na dysku.

– W takim razie same informacje powinny się tam nadal znajdować.

– Jasne!

Zamigotał ekran monitora i ich oczom ukazał się komunikat:

LICZBA ODZYSKANYCH PLIKÓW: 2387

– Rety – mruknął Arby.

Przybliżył twarz do ekranu, zawieszając dłonie nad klawiaturą. Po chwili wywołał katalog twardego dysku i spoglądał z podziwem na przesuwające się ku górze setki nazw plików.

– Jak masz zamiar...

– Proszę mi dać minutkę – przerwał chłopak i zaczął pospiesznie uderzać w klawisze.

– Dobra – mruknął Thorne.

Owa niecierpliwość, jaka ogarniała Arby'ego, ilekroć zasiadał przed komputerem, zawsze wywoływała u niego pobłażliwy uśmiech. Nastolatek zmieniał się nie do poznania, całkowicie znikały jego nieśmiałość i wstydliwość. Ten magiczny świat elektroniki pochłaniał go bez reszty. Arby po prostu był w swoim żywiole.

– Cokolwiek uda ci się wyciągnąć z tych...

– Doktorze – jęknął chłopak. – Niech mi pan nie stoi nad głową. Lepiej... niech pan pomoże Kelly albo się czymś zajmie.

Zaczął szybko przebierać palcami po klawiaturze.

RAPTOR

Ciemnozielony welociraptor miał dwa metry wysokości. Stał w gotowości do ataku, z wyciągniętą i lekko pochyloną szyją oraz rozwartą paszczą, a z jego gardła wydobywał się głośny syk. Tim, jeden z konstruktorów tego modelu, zapytał:

– I co pan o tym sądzi, doktorze Malcolm?

– Nie czuć zagrożenia – odparł Ian, obchodząc model dookoła. Wracał właśnie do swego gabinetu, kiedy zaproszono go do odwiedzenia bocznego skrzydła wydziału biologii.

– Nie czuć zagrożenia? – zdumiał się Tim.

– One nigdy nie stały w ten sposób, wyprostowane, na szeroko rozpostartych palcach łap. Wystarczyłoby mu dać śpiewnik… – Malcolm podniósł z biurka notatnik i umieścił go w przednich łapach makiety – i wyglądałby tak, jakby za chwilę miał odśpiewać kolędę.

– Kurczę – mruknął Tim. – Nie sądziłem, że jest aż tak źle.

– Źle? Ja bym to nazwał zniewagą naszego wielkiego przodka. Model powinien przyjąć taką pozę, żeby oglądający miał wrażenie szybkości, siły, żeby czuł się zagrożony. Paszcza otwarta szerzej, szyja bardziej wygięta. Spróbujcie oddać napięte mięśnie, naciągając mocniej skórę. I koniecznie podnieście jedną łapę. Nie zapominajcie też, że raptory nie chwytały swej ofiary zębami, lecz atakowały szponem tylnej łapy. – Malcolm spojrzał krytycznie na dół. – Dobrze by było wygiąć ten szpon ku górze, jakby zwierzę chciało jednym ruchem rozpruć brzuch ofiary.

– Naprawdę pan tak uważa? – rzekł z powątpiewaniem Tim. – Nie chcielibyśmy, żeby ten widok przeraził małe dzieci…

– A może się boicie, że i was przerazi? – Malcolm ruszył w stronę swego gabinetu, ale przystanął i dodał: – Jeszcze coś. Zlikwidujcie ten idiotyczny syk. One wydawały dźwięk pośredni między świergotaniem i bulgotem, coś w rodzaju piskliwego powarkiwania. Trzeba jak najwierniej odtworzyć rzeczywistość.

– Rety. Nie miałem pojęcia, że pan tak je sobie wyobraża.

– To nie jest kwestia wyobraźni. Na pewno potrafisz odróżnić rzeczy stosowne od niestosownych. W tym świetle nie ma najmniejszego znaczenia, co ktoś sobie wyobraża.

Poszedł dalej, lekko poirytowany, nie zważając na silny ból w nodze. Konstruktorzy modelu zanudzali go od dawna, a szczególnie Tim, który w oczach Malcolma był typowym przedstawicielem coraz modniejszego ostatnio, pokrętnego sposobu myślenia – tego, co matematyk nazywał „mdłą nauką".

Nadzwyczaj denerwowała go arogancja, jaką często obserwował u innych naukowców. Był dogłębnie przekonany, iż bierze się ona z lekceważącego stosunku do historii nauk ścisłych oraz do żelaznych zasad logiki. Naukowcy zakładali bowiem, że historia nie ma większego znaczenia, gdyż nowe odkrycia korygują popełnione w przeszłości błędy. Nie ulegało wątpliwości, że ich poprzednicy, którzy popełniali owe błędy, myśleli dokładnie tak samo, a zatem się mylili. Wniosek był oczywisty: współcześni naukowcy także mogli się mylić. W całej historii nauki nic nie dowodziło tego lepiej niż sposoby postrzegania dinozaurów w ciągu kilku ostatnich dziesięcioleci.

Szczególnie żenujące było to, że pierwsze wyobrażenia okazały się najtrafniejsze. Kiedy w latach czterdziestych ubiegłego wieku Richard Owen jako pierwszy opisał gigantyczne kości znajdowane na terenie Anglii, nadał wymarłym zwierzętom nazwę *Dinosauria*, czyli „straszliwe jaszczury". Według Malcolma to określenie wciąż najlepiej pasowało do gadów, które rzeczywiście przypominały ogromne jaszczurki i na pewno były przerażające.

Ale od czasów Owena naukowe wyobrażenia o dinozaurach zmieniały się wielokrotnie. Przedstawiciele nurtu wiktoriańskiego, przekonani, że musi dochodzić do ciągłego postępu, wysunęli teorię, iż dinozaury były stworzeniami pośledniego rodzaju, bo z jakich innych powodów miałyby całkowicie wyginąć? Właśnie wtedy ukuto wizję opasłych, powolnych i skrajnie tępych zwierząt. Przytaczano tak przekonujące argumenty, że na początku dwudziestego wieku powszechnie zapanował pogląd o skrajnej słabości dinozaurów, których kończyny nie wytrzymywały ciężaru ogromnego ciała. Uważano, że apatozaury ciągle musiały stać do połowy w wodzie, aby nogi się pod nimi nie załamały. W ogóle postrzegano minione epoki jako świat stworzeń słabych, tępych i powolnych.

Ten punkt widzenia królował aż do lat sześćdziesiątych, kiedy to garstka buntowniczych naukowców, z Johnem Ostromem na czele, zaczęła rozpowszechniać wizerunek szybkich, sprytnych, stałocieplnych dinozaurów. Tylko z tego powodu, że owi badacze podważyli uznane poglądy, ich teoria przez lata była zażarcie krytykowana, chociaż zdawała się o wiele bardziej pasować do rzeczywistości.

W ostatnich czasach, kiedy znacznie wzrosło zainteresowanie badaniami społeczności tych zwierząt, pojawiły się jeszcze inne teorie. Dinozaury przedstawiano w nich jako stworzenia nadzwyczaj opiekuńcze, żyjące w dużych stadach i wspólnie wychowujące potomstwo. Szerzono poglądy, że te zwierzęta miały bardzo łagodne usposobienie i ani trochę nie zasłużyły na okrutny los, jaki zgotował im meteoryt Alvareza. Właśnie pod wpływem takich mętnych teorii kształtowali się młodzi naukowcy w rodzaju Tima, którzy nawet nie chcieli dostrzec drugiej strony medalu, spojrzeć na sprawę z innego punktu widzenia. Oczywiście, dinozaury niektórych gatunków prowadziły stadny tryb życia i ściśle ze sobą współdziałały, za to inne, mięsożerne, odznaczały się niespotykaną agresją i polowały samotnie. Dla Malcolma prawdziwy obraz życia w tamtej erze musiał zawierać charakterystykę wszystkich jego aspektów, zarówno tych dobrych, jak i złych elementów, mocnych i słabych stworzeń. Każda inna teoria nie była warta funta kłaków.

Widok makiety przerazi małe dzieci, dobre sobie! – pomyślał

i aż prychnął pogardliwie, kuśtykając korytarzem.

W rzeczywistości nie mógł jednak zapomnieć o tym, co usłyszał od Elizabeth Gelman na temat badań wycinka tkanki, a zwłaszcza przytwierdzonej do skóry plakietki. Był przeświadczony, że to oznacza poważne kłopoty.

Ale nie wiedział, jak ma postąpić.

Skręcił w boczny korytarz i minął gablotę z grotami typu Clovis – kamiennymi grotami strzał wytwarzanymi przez pierwotnych mieszkańców Ameryki. Beverly, jego asystentka, zbierała już papiery z biurka, szykując się do zakończenia pracy. Wręczyła mu kilka faksów i powiedziała:

– Zostawiłam wiadomość na automatycznej sekretarce doktora Levine'a, lecz do tej pory nie zadzwonił. W szkole także nie wiedzą, gdzie przebywa.

– Miła odmiana – mruknął Ian, westchnąwszy ciężko.

Trudno mu się współpracowało z Richardem, który działał tak impulsywnie, że nigdy nie było wiadomo, czego się spodziewać. To właśnie on wpłacił kaucję, kiedy Levine'a aresztowano za kierownicą ferrari. Pobieżnie przejrzał faksy: zawiadomienia o konferencjach, prośby o wysłanie odbitki artykułu... Nic ciekawego.

– W porządku. Dziękuję, Beverly.

– Aha, byli także fotoreporterzy. Skończyli jakąś godzinę temu.

– Jacy fotoreporterzy?

– Z kwartalnika „Chaos". Robili zdjęcia pańskiego gabinetu.

– O czym ty mówisz? – spytał osłupiały Malcolm.

– Fotoreporterzy robili zdjęcia pańskiego gabinetu do jakiegoś cyklu artykułów o miejscach pracy sławnych matematyków. Pokazali mi list od pana, w którym...

– Nie wysyłałem żadnego listu! Nigdy też nie słyszałem o kwartalniku „Chaos"!

Pospiesznie przeszedł do gabinetu i zaczął się uważnie rozglądać. Beverly wbiegła za nim, miała przerażoną minę.

– Wszystko w porządku? Nic nie zginęło?

– Nie – mruknął Malcolm, spoglądając na regały. – Chyba nie.

Podszedł do biurka i zaczął wysuwać kolejne szuflady, ale tu również niczego nie brakowało.

– Kamień spadł mi z serca – rzekła Beverly.

Ian obrócił się i zerknął na ścianę.

Mapa!

Na ścianie za biurkiem wisiała wielka mapa świata, na której kolorowymi szpilkami były pozaznaczane miejsca, gdzie znaleziono jakieś niezwykłe okazy zwierząt. Według ostrożnych szacunków Levine'a zlokalizowano do tej pory dwanaście takich stanowisk – od atolu Rangiroa na Pacyfiku po meksykański Półwysep Kalifornijski na północy i wybrzeża Ekwadoru na południu. Tylko w paru wypadkach dotarły do nich pełniejsze doniesienia, lecz teraz, kiedy udało się zdobyć próbkę tkanek zagadkowego stworzenia, i tamte informacje nabierały cech prawdopodobieństwa.

– Czy fotografowali tę mapę?

– Tak, robili zdjęcia całego gabinetu. Czy to takie ważne?

Malcolm ponownie odwrócił się w stronę mapy, usiłując na nią spojrzeć wzrokiem człowieka niewiedzącego, czego dotyczą zaznaczone punkty. Razem z Levine'em spędzili przed nią wiele godzin, dyskutując nad teorią Zaginionego świata i próbując odgadnąć, gdzie taki zakątek mógłby się znajdować. Po wielu sporach wytypowali łańcuch pięciu wysp wzdłuż zachodniego wybrzeża Kostaryki. Richard był przekonany, że na którejś z nich odnajdą interesujące ich zwierzęta, on zaś coraz bardziej był skłonny przyznać tamtemu rację. Lecz te wyspy nie zostały na mapie zaznaczone...

– Byli bardzo uprzejmi i mili. Przyjechali z daleka, ze Szwajcarii, jeśli się nie mylę.

Malcolm skinął głową i westchnął. Do diabła z tym! – pomyślał. I tak, wcześniej czy później, cała sprawa musiała wyjść na jaw.

– W porządku, Beverly.

– Na pewno nic nie zginęło?

– Tak, na pewno. Życzę miłego wieczoru.

– Dobranoc, doktorze.

Kiedy został sam, natychmiast zadzwonił do Levine'a. W słuchawce rozległo się kilka sygnałów, a po chwili włączyła się automatyczna sekretarka. Gospodarza nadal nie było w domu.

– Richard, jesteś tam? Jeśli mnie słyszysz, podnieś słuchawkę. Mam bardzo ważną sprawę.

Czekał w napięciu, ale nikt nie odpowiadał.

– Richard, mówi Ian. Mamy kłopoty. Ktoś sfotografował naszą mapę. Poza tym otrzymałem wyniki analizy przysłanej przez ciebie próbki i na ich podstawie możemy już chyba dokładnie wyznaczyć lokalizację stanowiska B, jeśli tylko...

Rozległ się trzask podnoszonej słuchawki, lecz nikt się nie odzywał,

słychać było tylko czyjś oddech.

– Richard? – zapytał Malcolm.

– Nie, to ja, Thorne. Chyba byłoby lepiej, gdyby pan tu przyjechał jak najszybciej.

PIĘĆ ŚMIERCI

– Tak myślałem – oznajmił od progu Malcolm, rozglądając się ciekawie po mieszkaniu Levine'a. – Przeczuwałem, że zrobi coś podobnego. Sam wiesz, jaki jest porywczy. Powtarzałem mu, żeby spokojnie zaczekał, aż uda się zebrać jak najpełniejsze informacje. Należało się jednak spodziewać, że on mimo wszystko pojedzie. Nie mylę się, prawda?

– Nie.

– Ambicja – mruknął matematyk, kręcąc głową. – On musiał być pierwszy, musiał zdążyć przed innymi. Powinienem był przewidzieć, że jest zdolny wszystko sknocić. Ta jego impulsywność... Prawdziwa burza w mózgu, neurony na krawędzi chaosu. Obsesja to tylko odmiana uzależnienia, lecz czy którykolwiek naukowiec umie zapanować nad sobą? Uczy się ich w szkołach, że niezdecydowanie to poważna wada. Nikt nie pamięta, iż Niels Bohr był nie tylko wielkim fizykiem, lecz także sportowcem i brał udział w olimpiadzie. Teraz wszyscy pragną uchodzić za maniaków, to obowiązujący styl profesjonalistów.

Thorne w zamyśleniu spoglądał na Malcolma. Był przekonany, że wyczuwa w jego głosie nutę zawiści.

– Czy wiesz, na którą wyspę popłynął?

– Nie, nie wiem. – Malcolm chodził wzdłuż regałów, przypatrując się zgromadzonym antykom. – Kiedy rozmawialiśmy po raz ostatni, Levine ograniczył swoje zainteresowanie do pięciu wysp w południowej części wybrzeża Kostaryki. Nie zdołaliśmy jednak przesądzić, którą z nich należałoby odwiedzić w pierwszej kolejności.

Thorne wprowadził Iana do gabinetu i pokazał mu rozpięte na tablicy zdjęcia satelitarne.

– Chodzi o te wyspy?

– Tak – odparł Malcolm, przyglądając się z bliska fotografiom – o ten łańcuch rozciągnięty łukowato, około sto mil na zachód od zatoki, w której

leży Puerto Cortés. Prawdopodobnie wszystkie są bezludne. Tamtejsi rybacy nazywają je Pięcioma Śmierciami.

– Dlaczego? – wtrąciła Kelly.

– Jest taka stara indiańska legenda o pewnym śmiałym wojowniku, który został pojmany przez wodza wrogiego plemienia i musiał wybrać jeden z pięciu rodzajów śmierci: spalenie, utonięcie, zmiażdżenie, powieszenie bądź ścięcie. Wojownik oznajmił, że wybiera wszystkie rodzaje, dlatego musiał odwiedzić każdą z wysp, gdzie czekały go różne wyzwania. To coś w rodzaju indiańskiej wersji starożytnego mitu o pracach Herkulesa...

– A więc o to chodzi! – wykrzyknęła Kelly i wybiegła z gabinetu.

Malcolm zrobił zdziwioną minę i powoli obrócił się w stronę Thorne'a, który odpowiedział wzruszeniem ramion.

Dziewczyna wróciła po chwili i pokazała matematykowi starą niemiecką książkę z ilustracjami.

– Zgadza się. „Die Fünf Todesarten" znaczy „Pięć rodzajów śmierci". Ciekawe, że tę legendę spisali Niemcy...

– On ma pełno niemieckich książek – wyjaśniła Kelly.

– Naprawdę? To łobuz, nigdy mi o tym nie mówił.

– Czy to ma jakieś znaczenie? – spytała dziewczyna.

– Oczywiście, nawet bardzo duże. Czy możesz mi podać tamtą lupę?

Kelly sięgnęła po leżące na biurku duże szkło powiększające.

– Do czego pan zmierza?

– Pięć Śmierci to łańcuch wulkanicznych wysepek – wyjaśnił Malcolm, spoglądając przez lupę na zdjęcia satelitarne i zabawnie marszcząc przy tym nos. – A to oznacza, że jest tam sporo bogactw naturalnych. W latach dwudziestych Niemcy planowali uruchomić tam kopalnie... Tak, to na pewno one, nie ulega wątpliwości. Matanceros, Muerte, Tacaño, Pena... Każda z tych nazw wiąże się ze śmiercią... Jasne, chyba jesteśmy na właściwym tropie. Nie ma tu jakiegoś zdjęcia przedstawiającego spektrograficzny obraz pokrywy chmur nad wyspami?

– Czy to panu pomoże zlokalizować stanowisko B? – spytał Arby, odwracając się od komputera.

– Co? – Malcolm obejrzał się na niego. – Znalazłeś dokładniejsze informacje na ten temat?

– Nie, tylko to, że doktor Levine chciał je za wszelką cenę odnaleźć. Ta nazwa występuje w wielu plikach na dysku.

– Jakich plikach?

– Przejrzałem niektóre zapisy InGenu, które doktor Levine odtworzył z wykasowanego dysku twardego. Przeglądając je teraz, trafiłem na wiele

odnośników do stanowiska B, lecz niewiele z tego wynika. Proszę chociażby spojrzeć na to.

Odwrócił się z powrotem. Malcolm podszedł i zerknął na ekran.

Podsumowanie: Zmiany w planie #35

OBIEKT	(STANOWISKO B)
FILTRY POWIETRZA	Typ 5 na Typ 7
PRZESTRZEŃ LABORATORIUM	400 m3 na 510 m3
OCHRONA BIOLOGICZNA	Poziom PK/3 na poziom PK/5
SZYBKOŚĆ TAŚMOCIĄGU	3 m/min na 2,5 m/min
TEREN OGRODZONY	13 ha na 26 ha
LICZBA STANOWISK	17 (4 admin.) na 19 (4 admin.)
SYSTEM ŁĄCZNOŚCI	ET(VX) na RDT(VX)

Zmarszczył brwi.

– To zastanawiające, lecz niezbyt dla nas pomocne. Nie wynika stąd, na której wyspie było to stanowisko, i czy w ogóle znajdowało się na wyspie. Masz jeszcze inne zapisy?

– Zobaczmy... – Arby wybrał z katalogu inny plik. – Może ten.

SIEĆ NA WYSPIE, STANOWISKO B	PUNKTY WĘZŁOWE
STREFA 1 (RZEKA)	1–8
STREFA 2 (WYBRZEŻE)	9–16
STREFA 3 (GRZBIET)	17–24
STREFA 4 (DOLINA)	25–32

– Teraz wiemy przynajmniej, że chodzi o wyspę. W dodatku stanowisko B zostało wyposażone w sieć. Tylko jaką? Komputerową?

– Tego nie wiem – odrzekł Arby. – Może to sieć radiowa?

– Do czego miałaby służyć? Po co instalowaliby tam sieć radiową? To także nam niewiele wyjaśnia.

Arby wzruszył ramionami, jakby poczuł się obrażony. Znów zaczął szybko przebierać palcami po klawiaturze i po chwili zawołał:

– Mam! Tu jest coś ciekawego... Zaraz przeformatuję ten tekst... Proszę! Oto i on!

Odsunął się nieco z krzesłem od biurka, żeby wszyscy mogli spojrzeć na ekran.

– Świetnie! – rzekł Malcolm. – Doskonale!

STANOWISKO B, LEGENDA

SKRZYDŁO WSCHODNIE	SKRZYDŁO ZACHODNIE	PRZYSTAŃ ZAŁADUNKOWA
LABORATORIUM	PRZYSTAŃ TECHNICZNA	WEJŚCIE GŁÓWNE
ROZKŁAD ZABUDOWAŃ	SIEĆ ZASILAJĄCA	CHARAKTERYSTYKA TERENU
SKLEP	OSIEDLE PRACOWNICZE	UKSZTAŁTOWANIE TERENU
STACJA BENZYNOWA	BASEN/KORTY	KONSERWACJA ZIELENI
SIEDZIBA ZARZĄDU	ŚCIEŻKA REKREACYJNA	GAZOCIĄGI
POSTERUNEK OCHRONY 1	POSTERUNEK OCHRONY 2	SIEĆ OGRZEWANIA
PRZYSTAŃ RZECZNA	WIATA DLA ŁODZI	ELEKTROWNIA SŁONECZNA
DROGA BAGIENNA	DROGA NADRZECZNA	DROGA GÓRSKA
DROGA WIDOKOWA	DROGA NADBRZEŻNA	ZAGRODY

– No, wreszcie mamy coś konkretnego – oznajmił matematyk, przejrzawszy listę na monitorze. – Czy możesz to wydrukować?

– Pewnie! – rzekł Arby, promieniejąc z dumy. – Naprawdę to się na coś przyda?

– Oczywiście.

Kelly popatrzyła na kolegę i powiedziała:

– Arb, to jest chyba legenda, którą się drukuje pod mapą lub schematem.

– Tak, chyba tak. Niezła, co?

Wystukał polecenie drukowania.

Malcolm jeszcze przez chwilę spoglądał na tę listę, po czym zawrócił pospiesznie ku zdjęciom satelitarnym i zaczął uważnie badać każde z nich przez lupę. Pochylił się tak nisko, że niemal wodził nosem po tablicy.

– Arb, nie siedź tak – syknęła Kelly. – Spróbuj odnaleźć tę mapę. To by dopiero było coś!

– Nie wiem, czy mi się uda. Jeżeli została sporządzona w typowym

formacie trzydziestodwubitowym... I tak będzie to wymagało sporego wysiłku.

– Nie marudź, tylko bierz się do roboty, Arb.

– To już niepotrzebne – oświadczył Malcolm, odstępując na krok od tablicy. – Szkoda fatygi.

– Dlaczego? – zapytał szybko chłopak z lekką urazą w głosie.

– Nie trać czasu, Arby. Tylko na podstawie tej listy, którą odnalazłeś, chyba potrafię już z całą pewnością zidentyfikować interesującą nas wyspę.

JAMES

Ed James ziewnął szeroko i poprawił minisłuchawkę wetkniętą do ucha. Nie chciał przeoczyć ani jednego słowa. Usadowił się wygodnie za kierownicą swojego szarego forda taurusa, próbując odegnać narastającą senność. Miniaturowy reporterski magnetofon trzymał na kolanach obok notatnika. Spięte dokumenty leżały na sąsiednim fotelu. Po raz kolejny zerknął na blok po drugiej stronie ulicy. W mieszkaniu Levine'a na drugim piętrze światła paliły się we wszystkich oknach.

Najbardziej cieszyło go to, że urządzenie podsłuchowe, które założył tam w ubiegłym tygodniu, spisywało się bez zarzutu. Po chwili ciszy w słuchawce rozległo się pytanie któregoś z dzieciaków:

– Na jakiej podstawie?

Odpowiedział ten kulejący matematyk, Malcolm:

– Każda weryfikacja polega na dobraniu takich dróg rozumowania, które przecinają się w jednym punkcie.

– I co z tego wynika?

– Przyjrzyjcie się zdjęciom z Landsata.

James sięgnął po notatnik i zapisał: „Landsat".

– Oglądaliśmy je setki razy – wtrąciła dziewczyna.

Ed pluł sobie w brodę, że wcześniej się nie domyślił, iż ta para dzieciaków pracuje dla Levine'a. Doskonale je pamiętał, wielokrotnie widywał oboje wychodzących razem ze szkoły po lekcjach – niskiego ciemnoskórego chłopaka i tykowatą białą dziewczynę. Nie przyszło mu nawet do głowy, że tamten korzysta z pomocy nastolatków.

Teraz to i tak nie ma już znaczenia – pomyślał – skoro w każdej chwili spodziewam się zdobyć najważniejszą informację. Sięgnął do torby leżącej

na desce rozdzielczej i wsunął sobie do ust dwie ostatnie frytki. Były już całkiem zimne i niezbyt smaczne.

– Mniejsza z tym – odezwał się po chwili Malcolm. – Według mnie to ta wyspa. Właśnie tam popłynął Levine.

– Tak pan myśli? – zapytała z powątpiewaniem dziewczyna. – To jest… Isla Sorna.

James zanotował: „Isla Sorna".

– To jest nasz cel – ciągnął matematyk. – Dlaczego? Z trzech różnych powodów. Po pierwsze: wyspa znajduje się w rękach prywatnych, zatem władze Kostaryki nie mogły jej przeszukać. Po drugie: została wydzierżawiona przez Niemców, którzy już w latach dwudziestych wykupili sobie prawo do wydobywania tam bogactw naturalnych.

– I stąd tyle książek niemieckich!

– Dokładnie tak. A po trzecie: według listy odnalezionej przez Arby'ego, a także na podstawie zdobytych wcześniej informacji jest oczywiste, że instalacje na stanowisku B były zasilane gazem pochodzenia wulkanicznego. Zadałem sobie więc pytanie, na której z tych wysp wydobywają się bogate w metan gazy wulkaniczne. Weźcie lupę i sami przyjrzyjcie się zdjęciom. Takie zjawisko występuje tylko na jednej wyspie.

– Chodzi panu o te plamy? – zapytała dziewczyna.

– Zgadza się. Tylko tu na zdjęciach widoczne są dymy wulkaniczne.

– A skąd pan wie, że te plamy to dym?

– Na podstawie widma spektrograficznego. Widzisz ten ostry pik na wykresie? To widmo atomowej siarki, która nie występuje nigdzie w postaci atomowej poza wyziewami wulkanicznymi.

– A pozostałe piki?

– Ten pochodzi od metanu. Wygląda na to, że na wyspie istnieje bardzo bogate naturalne źródło gazu opałowego.

– Metan też występuje w wyziewach? – zapytał Thorne.

– Owszem. To jeden z podstawowych produktów aktywności wulkanicznej, choć obserwuje się go przede wszystkim w gazach uwolnionych podczas erupcji. Ale trudno też wykluczyć, że metan nad wyspą jest pochodzenia organicznego.

– Organicznego? Co to oznacza?

– Duże zwierzęta roślinożerne…

Nagle rozległ się dziwny hałas, który zagłuszył Jamesowi resztę zdania. Po chwili odezwał się chłopak:

– To chcecie, żebym dalej przeszukiwał pliki na dysku czy nie? – mówił wyraźnie urażonym tonem.

– Nie – odpowiedział Thorne. – To już niepotrzebne, Arby. Zdobyliśmy niezbędne informacje. Idziemy, dzieciaki.

James obrócił głowę i popatrzył, jak stopniowo gasną światła w kolejnych oknach mieszkania. Po kilku minutach Thorne w towarzystwie dwójki nastolatków pojawił się w drzwiach wejściowych bloku. Cała trójka wsiadła do jeepa i odjechała. Malcolm poszedł do swego samochodu, wgramolił się za kierownicę i także ruszył, lecz w przeciwnym kierunku.

Ed postanowił jechać za matematykiem, chociaż musiał jak najszybciej coś załatwić. Uruchomił silnik i wyjechał na ulicę. Prowadząc jedną ręką, włączył telefon komórkowy, po czym wybrał numer.

WARSZTAT

Pół godziny później, kiedy znaleźli się z powrotem w hangarze, Kelly aż otworzyła usta ze zdziwienia. Większość pracowników poszła już do domu, w hali panował porządek. Furgon z przyczepą oraz ford explorer stały obok siebie na wprost bramy, pomalowane na ciemnozielono i gotowe do wyjazdu.

– Skończyli! – wykrzyknęła.

– Przecież mówiłem, że będą gotowe na czas – oznajmił Thorne, po czym zwrócił się do swego zastępcy, Eddiego Carra, potężnie zbudowanego dwudziestoparolatka: – Wszystko zrobiliście, Eddie?

– Jeszcze kończymy porządkowanie, Doc – odparł tamten. – Farba jest nadal trochę wilgotna, ale do rana powinna wyschnąć.

– Nie możemy czekać do rana. Wyjeżdżamy natychmiast.

– My też? – Arby i Kelly wymienili porozumiewawcze spojrzenia, lecz Thorne nie zwrócił na to uwagi.

– Będziesz mi potrzebny, Eddie, żeby poprowadzić któryś pojazd. Musimy być na lotnisku przed północą.

– Sądziłem, że rozpoczniemy próby terenowe...

– Nie ma czasu na próby, jedziemy od razu na miejsce przeznaczenia. – Przerwał mu dzwonek do drzwi. – To pewnie Malcolm.

Doktor podszedł do ściany i nacisnął guzik elektrycznego zamka.

– Chcesz zrezygnować z prób terenowych? – spytał z niedowierzaniem Eddie, unosząc wysoko brwi. – Lepiej dobrze się nad tym zastanów, Doc. Wszystkie pojazdy zostały dość gruntownie przerobione i wcale nie

wiem...

– Nie mamy ani chwili – wtrącił Malcolm, który w tym czasie podszedł do nich. – Powinniśmy wyruszyć jak najszybciej. – Odwrócił się do Thorne'a. – Bardzo się niepokoję o Richarda.

– Eddie! – wykrzyknął tamten, jakby nagle sobie coś przypomniał. – Wróciły dokumenty wywozowe tych aut?

– Tak, odebrałem je już przed dwoma tygodniami.

– To dobrze. Zabierz je i zadzwoń do Jenkinsa, żeby jechał czym prędzej na lotnisko. Niech załatwi wszelkie formalności związane z podróżą. Chciałbym, abyśmy najdalej za cztery godziny wystartowali.

– Jezu, Doc...

– No już, ruszaj!

– Chce pan lecieć do Kostaryki? – zapytała Kelly.

– Zgadza się. Musimy ratować Levine'a, dopóki jeszcze nie jest za późno.

– Jedziemy z panem – oznajmiła stanowczo dziewczyna.

– Jasne – dodał Arby. – Na pewno się przydamy.

– Wykluczone – sprzeciwił się Thorne. – W ogóle nie ma o czym dyskutować.

– Chyba zasłużyliśmy sobie na to?

– Doktor Levine rozmawiał z naszymi rodzicami!

– Mamy zgodę! Jesteśmy przygotowani!

– Dostaliście zgodę na udział w próbie terenowej, czyli w podróży do jakiegoś lasu, nie dalej niż sto kilometrów stąd. Ale my się nie wybieramy na przejażdżkę. Tam, dokąd pojedziemy, może być bardzo niebezpiecznie, dlatego też nie ma mowy, żebyście wyruszyli razem z nami. To ostateczna decyzja.

– Ale...

– Powiedziałem! – rzekł z naciskiem Thorne. – Lepiej mnie nie denerwujcie. Muszę teraz zadzwonić. Zabierajcie swoje rzeczy, podrzucimy was do domu.

Odwrócił się na pięcie i ruszył do swojego pokoiku.

– Rety... – jęknęła Kelly.

Chłopak wywalił język na brodę za plecami oddalającego się Thorne'a i mruknął:

– Nieużytek.

– Nic z tego, Arby – rzekł doktor, nawet się nie odwracając. – Powiedziałem: wy dwoje wracacie do domu. Koniec.

Wszedł do pokoiku i z trzaskiem zamknął za sobą drzwi.

Chłopak wbił głęboko ręce w kieszenie i oznajmił:

– Nawet nie wiedzieliby, dokąd jechać, gdyby nie nasza pomoc.

– Wiem o tym, Arb – odparła dziewczyna – ale chyba nie zdołamy go przekonać, żeby nas zabrał.

Oboje równocześnie odwrócili się w stronę matematyka.

– Doktorze Malcolm, czy mógłby pan...

– Nie mógłbym. Przykro mi.

– Ale...

– Odpowiedź brzmi: nie. To naprawdę zbyt niebezpieczne.

Ruszyli ze spuszczonymi głowami w kierunku samochodów połyskujących w ostrym świetle jarzeniówek. Tylko dach i maska explorera, gdzie rozmieszczono baterie ogniw fotoelektrycznych, odznaczały się matową czernią, za to we wnętrzu auta migotały diody pracujących urządzeń elektronicznych. Ten widok jeszcze bardziej ich przygnębił, gdyż kojarzył się z niezwykłą przygodą, w której nie było im dane wziąć udziału.

Arby zajrzał przez okno do furgonu, przysłaniając oczy dłonią.

– O rany! Tylko popatrz na to!

– Można wejść do środka.

Kelly nacisnęła klamkę i drzwi się otworzyły. Były nadzwyczaj ciężkie i masywne, aż przez moment przyglądała im się uważnie. Wreszcie wkroczyła po schodkach do środka.

Całe wnętrze auta utrzymane było w tonacji jasnoszarej. Tu także znajdowało się mnóstwo sprzętu elektronicznego. Przestrzeń została podzielona na dwie części, jak gdyby dwa niezależne laboratoria. Większe miało służyć do badań biologicznych, stały tu pojemniki na próbki, stół do sekcji oraz mikroskop połączony z monitorem wideo. Zgromadzono także sprzęt do badań biochemicznych, spektrofotometry i automatyczne analizatory składu chemicznego. Drugą część zajmował rozbudowany system komputerowy, z całym bankiem procesorów, oraz stanowisko łączności. Wszystkie urządzenia były zminiaturyzowane i wbudowane w pulpity, które dawały się opuszczać i mocować do podłogi.

– To jest... niesamowite – rzekł Arby.

Kelly nie odpowiedziała. Przyglądała się uważnie części laboratoryjnej zaprojektowanej według wskazówek Levine'a, a zatem przeznaczonej do jakichś konkretnych celów. Z pewnością nie było to wyposażenie do badań geologicznych, botanicznych bądź chemicznych ani też wielu innych prac, jakie

może prowadzić ekspedycja terenowa. To w ogóle nie wyglądało na laboratorium badawcze. Na dobrą sprawę były tu tylko pracownia analiz biologicznych i nadzwyczaj rozbudowany system komputerowy.

Biologia i komputery.

I nic poza tym.

Zatem jakie prace miała wykonywać ekipa poruszająca się tym furgonem?

Na ścianie auta znajdowała się półka, na której stały książki zabezpieczone szeroką elastyczną taśmą. Kelly przeczytała tytuły na grzbietach: „Modelowanie biologicznych systemów adaptacyjnych", „Dynamika behawioralna kręgowców", „Adaptacja w środowiskach naturalnych i sztucznych", „Dinozaury Ameryki Północnej", „Preadaptacja i ewolucja"... Taki zestaw teoretycznych rozpraw wydał jej się dość dziwny dla ekspedycji terenowej. Jeżeli kryła się za tym wszystkim jakaś logika, to ona nie potrafiła jej dostrzec.

Poszła dalej. W przerwach między pulpitami dostrzegła wzmocnienia konstrukcji furgonu, czarne pasy z kompozytowych spieków węglowych ciągnęły się wzdłuż ścian i sufitu. Przypomniała sobie, jak Thorne mówił im kiedyś, że jest to ten sam materiał, który stosuje się w konstrukcji ponaddźwiękowych myśliwców. Bardzo lekki i bardzo wytrzymały. Zwróciła też uwagę, że wymieniono szyby we wszystkich oknach pojazdu, wstawiono tafle szkła z drucianą siatką.

Dlaczego tak bardzo wzmocniono cały samochód?

Ogarnął ją nagle dziwny niepokój. W jej pamięci odżyła wcześniejsza rozmowa z Levine'em, kiedy to po południu udało się na krótko nawiązać z nim łączność satelitarną. Doktor powiedział wówczas: „Otoczyły mnie".

Przez kogo mógł zostać otoczony?

A później dodał: „Ciągle czuję odór, zwłaszcza nocą".

Kogo mógł w ten sposób opisywać?

Kim oni byli?

Powoli ruszyła na sam koniec furgonu, gdzie wygospodarowano przestrzeń mieszkalną. Wrażenie przytulności nasilały wzorzyste zasłonki w oknach. Znajdowały się tu maleńka kuchenka, toaleta i cztery wąskie koje. Zmieszczono nawet wąziutką kabinę prysznicową.

Minęła w końcu krótki przegub łączący furgon z przyczepą, który w przybliżeniu był skonstruowany tak, jak rękaw spinający wagony w pociągu. Rozejrzała się po przyczepie, ale tutaj urządzono magazyn. Zobaczyła zapasowe opony, pudła z częściami zamiennymi, dalsza aparatura badawcza, dodatkowe półki i meble. Sądząc po zgromadzonych zapasach, wyprawa miała się zatrzymać w jakimś odludnym miejscu. Na ścianie

przyczepy wisiał nawet umocowany motocykl. Kelly chciała zajrzeć do paru szafek, lecz okazały się zamknięte na klucz.

Zauważyła jednak, że przyczepa też ma silnie wzmocnioną konstrukcję, tu także widniały wzdłuż ścian pasy ze spieków węglowych.

Po co? – nie mogła się nadziwić.

– Spójrz na to – szepnął z podziwem Arby.

Chłopak po cichu wszedł za nią i teraz stał przed szafką w rogu przyczepy, na której obudowie znajdowały się dziesiątki przełączników i diod luminescencyjnych. Dla Kelly to urządzenie wyglądało jak wielki, skomplikowany termostat.

– Do czego to służy? – spytała.

– Monitoruje działanie wszystkich systemów furgonu. Można stąd uruchamiać poszczególne układy, sterować całym sprzętem. Zobacz, są nawet kamery...

Arby wcisnął jakiś klawisz i po chwili rozjaśnił się wbudowany w szafkę monitor. Ujrzeli na nim Eddiego, który pospiesznie szedł w ich stronę.

– Hej, a co to jest?

Chłopak wskazał duży, osłonięty plastikową pokrywą przełącznik umieszczony pod monitorem. Uniósł klapkę i dokładnie obejrzał srebrzysty przycisk z wymalowanym poniżej napisem: DEF.

– Mogę się założyć, że to włącznik wysokiego napięcia, o którym opowiadał Thorne.

Chwilę później otworzyły się drzwi furgonu, Eddie wetknął głowę do środka i zawołał:

– Lepiej to wyłączcie, bo rozładujecie akumulatory. No już, ruszać się! Słyszeliście, co szef powiedział? O tej porze wszystkie dzieciaki siedzą już w domach.

Kelly i Arby wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Dobra – odpowiedziała dziewczyna. – Już idziemy.

Z ociąganiem wysiedli z samochodu.

Ruszyli razem w drugi koniec hali, aby się pożegnać z Thorne'em.

– Chciałbym, żeby zabrał nas ze sobą – mruknął Arby.

– Myślisz, że ja bym nie chciała?

– Nie mam ochoty siedzieć sam w domu przez cały tydzień. Moi starzy będą chodzili do pracy. Nudy na pudy.

– Mowa.

Kelly za żadne skarby nie chciała wracać do domu. Pomysł wzięcia udziału w tygodniowych próbach terenowych obu pojazdów bardzo jej przypadł do gustu, ponieważ i ona nie musiałaby siedzieć w domu, a tym samym

uniknęłaby dość kłopotliwej sytuacji. Jej matka była sekretarką w oddziale towarzystwa ubezpieczeniowego, ale wieczorami dorabiała jako kelnerka w barze Denny'ego. Dlatego nie było jej całymi dniami w domu, natomiast po nocach kręcił się w nim najnowszy przyjaciel matki, Phil. Dało się jeszcze wytrzymać, kiedy przyjeżdżała Emily, lecz siostra uczęszczała do zawodowej szkoły pielęgniarskiej i coraz rzadziej zaglądała do rodzinnego domu. Najczęściej Kelly siedziała więc sama. Phila uważała za stukniętego prostaka, ale jej matka lubiła jego towarzystwo, toteż nie chciała słuchać żadnych skarg córki. Zazwyczaj ucinała rozmowy, oświadczając, że Kelly będzie decydowała za siebie, jak dorośnie.

Dlatego teraz dziewczyna wkraczała do pokoiku Thorne'a, łudząc się jeszcze, że doktor w ostatniej chwili zmieni zdanie. Siedział odwrócony plecami do wejścia, ze słuchawką przy uchu. Na ekranie komputera rozpoznali jedno ze zdjęć satelitarnych, które wcześniej widzieli w gabinecie Levine'a. Thorne stopniowo powiększał obraz, koncentrując się na wycinku fotografii. Oboje zatrzymali się w drzwiach, Arby delikatnie zapukał w futrynę.

– Do widzenia, doktorze Thorne.

– Do zobaczenia.

Doc odwrócił się do nich, ciągle trzymając słuchawkę telefonu przy uchu.

– Trzymajcie się, dzieciaki.

Machnął im na pożegnanie ręką.

– Czy moglibyśmy... – zająknęła się Kelly – porozmawiać jeszcze przez chwilę...

– Nie. – Doktor energicznie pokręcił głową.

– Ale...

– Nic z tego, Kelly. Mam naprawdę ważną rozmowę. W Afryce dochodzi już czwarta nad ranem. Nie wiem, czy nie położyła się już spać.

– Kto?

– Sara Harding.

– To ona także z wami pojedzie? – zdumiała się dziewczyna, unosząc wysoko brwi.

– Nie wiem. – Thorne wzruszył ramionami. – Życzę przyjemnych ferii. Zobaczymy się za tydzień. I dzięki za pomoc. No, zmykajcie już.

Wychylił się z krzesła i zawołał:

– Eddie, dzieciaki wychodzą. Odprowadź je do wyjścia i dokładnie zamknij za nimi drzwi. Aha, i przynieś mi te dokumenty. Możesz się także pakować, pojedziesz z nami...

Wyprostował się nagle i powiedział znacznie ciszej do słuchawki:

– Tak, proszę pani. Nadal czekam na połączenie.

Odwrócił się z powrotem do komputera.

HARDING

Gogle noktowizyjne ukazywały krajobraz w różnych odcieniach fluorescencyjnej zieleni. Sara Harding wpatrywała się intensywnie w sawannę. W oddali na wprost niej, widoczne ponad wysoką trawą, wznosiły się południowoafrykańskie skalne kopce. Jej uwagę przyciągnęły drobne jaskrawe punkciki widoczne na powierzchni głazów. To pewnie góralki – pomyślała – albo inne podobne, drobne gryzonie.

Stała na siedzeniu swego jeepa, mimo nocnego chłodu ubrana jedynie w bluzkę z krótkimi rękawami, i choć od ciężkich gogli już ją bolała szyja, cierpliwie rozglądała się na wszystkie strony. Od czasu do czasu rozlegał się cichy skowyt, ale wciąż nie mogła namierzyć zwierząt.

Zdawała sobie jednak sprawę, że nawet z samochodu trudno je będzie dostrzec w wysokiej trawie. Spojrzała na północ, wypatrując jakiegokolwiek poruszenia na sawannie, ale tam panował całkowity spokój. Pospiesznie odwróciła głowę, aż cały świat na chwilę rozmył jej się przed oczami w zielonej smudze. Teraz obserwowała rozległą dolinę na południu.

Nagle zauważyła zwierzęta.

Jaśniejsze zielone plamy w trawie poruszyły się szybko i ponownie zniknęły – całe stado, skowycząc i powarkując, szykowało się do ataku. Nieco wyraźniej zarysowała jej się sylwetka dużej samicy, którą od razu rozpoznała: To był „Pysk pierwszy”, czyli P1, odznaczający się dużą białą łatą między oczami. P1 podchodziła skokami, poruszając się nieco bokiem, w sposób tak typowy dla hien. Widać było nawet jej obnażone kły i szybkie ruchy głowy, kiedy samica sprawdzała pozycje reszty zwierząt z atakującej hordy.

Sara uniosła głowę i popatrzyła trochę dalej, chcąc namierzyć pozostałe hieny. Dostrzegła też obiekt ataku: stado afrykańskich bawołów stojących po brzuch w trawie i wyraźnie zaniepokojonych. Zwierzęta zaczęły porykiwać i tłuc kopytami o ziemię.

Hieny odpowiedziały głośniejszym skowytem, chcąc w ten sposób wprowadzić większe zamieszanie. Zbliżały się do stada krótkimi skokami, próbując je rozdzielić na mniejsze grupy, by w końcu odłączyć któregoś cielaka od matki. Afrykańskie bawoły tylko wyglądają na głupie i ociężałe,

w rzeczywistości należy je zaliczyć do najgroźniejszych ssaków zamieszkujących sawannę – są niezwykle silne, uzbrojone w ostre rogi i charakteryzują się notorycznie złym usposobieniem. Hieny nawet nie miały co marzyć o powaleniu dorosłego bawołu, chyba że trafiłyby na osobnika zranionego bądź chorego.

Mogły jednak spróbować ataku na osamotnione cielę.

Siedzący za kierownicą jeepa jej pomocnik, Makena, zapytał cicho:

– Chce pani podjechać trochę bliżej?

– Nie, stąd będzie wszystko widać.

Nawet lepiej niż przypuszczałam – dodała w myślach. Ustawili samochód na stoku niewielkiego wzniesienia, skąd roztaczał się naprawdę doskonały widok na kotlinę. Przy odrobinie szczęścia powinno się udać zarejestrować przebieg całego ataku hien. Sara szybko uruchomiła kamerę na trójnogu umocowanym na ramie jeepa, a więc znajdującą się niemal dwa metry powyżej jej głowy. Włączyła także dyktafon i zaczęła pospiesznie nagrywać:

– P1 od południa, P2 i P5 po obu jej bokach, w odstępach dwudziestu metrów. P3 tuż za nią. P6 zachodzi stado szerokim łukiem od wschodu. Nie widzę P7. P8 skrada się od północy. P1 rusza przed siebie, żeby rozbić stado. Wśród bawołów coraz większy popłoch, rzucają się do ucieczki. Jest i P7, atakuje z zachodu. Teraz rusza P8 z północy, zostaje nieco w tyle, znów gna do ataku...

Obserwowała typowy dla hien sposób polowania. Niektóre z nich pędziły prosto na bawoły, podczas gdy inne je oskrzydlały i doskakiwały z boków, przez co spłoszone stado traciło orientację co do kierunku ataku. Wsłuchiwała się w porykiwanie zwierząt, nieustające nawet wtedy, gdy stado w przerażeniu rozpierzchło się w różne strony. Olbrzymie bawoły galopowały w panice, zawracały, wypatrując napastników. Ze swego stanowiska Harding nie mogła dostrzec cieląt, całkowicie ginących w wysokiej trawie. Słyszała jednak ich cieńsze, piskliwe głosy.

Hieny wycofały się nieco, gdyż bawoły z pochylonymi nisko łbami zaczęły na nie szarżować. Jedynie falująca trawa znaczyła ich drogi, za to skowyt i warczenie przybrały jeszcze na sile, choć rozlegały się rzadziej. Dostrzegła na krótko samicę F8 i wydało jej się, że hiena ma już zakrwawiony pysk. Nie widziała jednak, kiedy zwierzę mogło dopaść któregoś mniejszego bawołu.

Stado przeniosło się bardziej na wschód i ponownie zbiło w ciasną gromadę. Sara zauważyła, że jedna z krów zostaje nieco w tyle, głośno porykując na atakujące hieny. Z pewnością próbowała osłaniać swoje zranione cielę.

Harding poczuła się rozgoryczona. Polowanie zakończyło się bardzo szybko, a to mogło oznaczać, że hieny zdobyły już upragniony łup albo przynajmniej poważnie okaleczyły któreś z cieląt. Niewykluczone, że dopadły jakiegoś najmłodszego, niedawno urodzonego bawołu, gdyż w stadzie były cielne krowy. Teraz nie zostało jej nic innego, jak dokładnie przejrzeć zapis na taśmie wideo i spróbować odtworzyć szczegółowo przebieg polowania. No cóż, tak to jest, kiedy chce się poznać zwyczaje błyskawicznie działających nocnych drapieżników – pomyślała.

Nie miała jednak wątpliwości, że polowanie hien zakończyło się sukcesem, ponieważ teraz zgromadziły się w jednym miejscu. Teraz już charakterystycznie chichotały i aż wyskakiwały ponad trawę, rozszarpując zdobycz. Rozpoznała P3 i P5, z pysków obu zwierząt skapywała krew. Pojawiły się także młode, popiskując głośno. Dorosłe hieny natychmiast dopuściły je do mięsa – czasami nawet odrywały wielkie płaty i odciągały na bok, żeby ich młode mogły się w spokoju pożywić.

Przejawy stadnej opiekuńczości tych drapieżników były Sarze doskonale znane, publikacje na temat obyczajów hien przyniosły jej uznanie specjalistów z całego świata. Kiedy po raz pierwszy opisała zaobserwowane zjawiska, zostało to przyjęte z niedowierzaniem, a nawet z niechęcią, gdyż wielu jej kolegów traktowało badania naukowe jako pole osobistych rozgrywek. Atakowano ją nawet za to, że jest kobietą, do tego atrakcyjną, przez co podchodzi do zagadnień z feministycznego punktu widzenia. Otrzymała pismo z macierzystej uczelni, w którym przypominano, że jest związana kontraktem terminowym. Profesorowie z politowaniem kręcili głowami. Ale Harding nie uległa naciskom, systematycznie gromadziła obserwacje i z upływem czasu jej wnioski dotyczące obyczajów hien zaczęły zyskiwać coraz szerszą akceptację.

Teraz, spoglądając na żerujące drapieżniki, pomyślała, że dla większości ludzi hieny zawsze będą odpychające. Nieproporcjonalnie wielka głowa, przygarbiona sylwetka, sierść wiecznie zmierzwiona i posklejana, nieprzyjemne dla oka ruchy, skowyt aż nazbyt przypominający złośliwy chichot. W tym świecie wielkich miast i betonowych drapaczy chmur ludzie z sentymentem myśleli o dzikich zwierzętach, niemal podświadomie dzieląc je na szlachetne i godne pogardy, na bohaterskie i żałosne. W świecie zdominowanym przez telewizję wręcz nie było miejsca dla hien, zbyt brzydkich, by można je darzyć podziwem. Przez wiele lat tych stworzeń, uznanych za demonicznych prześmiewców z afrykańskich równin, nie traktowano jako obiektu godnego systematycznych badań naukowych, dopiero Sara Harding odmieniła ten stan rzeczy.

A przecież jej odkrycia ukazywały hieny w zupełnie odmiennym świetle. Ci nieustraszeni łowcy, nadzwyczaj troskliwi dla swego potomstwa, tworzą odizolowane społeczności o dość złożonej strukturze, w której panuje matriarchat, a ich skowyczący chichot jest w gruncie rzeczy bardzo rozwiniętą formą wzajemnego porozumiewania się.

W kotlinie zabrzmiał nagle głośny ryk. Harding rozejrzała się na boki i dostrzegła przez noktowizyjne gogle nadbiegającą lwicę. Była dość duża, zbliżała się do hien szerokim łukiem. Te zaczęły głośno ujadać i szczerzyć kły na intruza, odciągając zarazem swoje małe w wyższą trawę. Po kilku sekundach pojawił się też lew i para szybko odebrała hienom ledwie napoczęty żer.

Ach, te lwy! – pomyślała Sara, dla której były to podłe stworzenia. Lew, powszechnie uważany za króla zwierząt, w rzeczywistości okazywał się podły...

Dzwonek telefonu przerwał jej rozważania.

– Makena! – rzuciła szybko.

Aparat zaterkotał po raz drugi. Kto mógł dzwonić o tej porze?

Zmarszczyła brwi, dostrzegła bowiem przez noktowizor, że zaciekawione lwy przerwały ucztę i spoglądały w jej stronę.

Makena pospiesznie przerzucał rzeczy upchnięte w schowku pod deską, lecz dzwonek telefonu rozległ się jeszcze trzykrotnie, zanim tubylec w końcu odnalazł aparat.

– *Jambo, mzee* – rzucił szybko do słuchawki. – Tak, doktor Harding jest tutaj.

Wyciągnął radiotelefon w jej stronę.

– Dzwoni doktor Thorne – wyjaśnił.

Sara z ociąganiem zsunęła gogle na czoło i wzięła aparat z rąk pomocnika. Dobrze znała Thorne'a, który pomógł jej skompletować wyposażenie terenowego jeepa.

– Lepiej, żeby to było coś ważnego, Doc – powiedziała ostro.

– Oczywiście. Dzwonię w sprawie Richarda.

– Coś mu się stało?

Ogarnął ją nagle dziwny niepokój. Ostatnio Levine bardzo jej się naprzykrzał, dzwonił z Kalifornii niemal codziennie i zawracał jej głowę najróżniejszymi szczegółami dotyczącymi organizacji pracy w terenie. Zasypywał ją pytaniami na temat ukrytych punktów obserwacyjnych, sposobów rejestracji, katalogowania znalezisk i gromadzenia obserwacji. Nie było temu końca...

– Czy on ci w ogóle zdradził cel planowanej ekspedycji? – zapytał Thorne.

– Nie. A o co chodzi?

– Zupełnie nic nie powiedział?

– Nie. Trzymał to w ścisłej tajemnicy. Domyśliłam się jednak, że znalazł jakąś specyficzną grupę zwierząt i na podstawie ich obserwacji chciał wyciągnąć ogólne wnioski dotyczące funkcjonowania systemów biologicznych. Wiesz, że to jego konik. Dlaczego pytasz?

– Bo on zaginął, Saro. Obaj z Malcolmem jesteśmy przekonani, że znalazł się w wielkich kłopotach. Odkryliśmy, że poleciał na jedną z wysp u wybrzeży Kostaryki i zamierzamy jak najszybciej wyruszyć mu na pomoc.

– Natychmiast?

– Tak, za kilka godzin wylatujemy do San José. Ian będzie mi towarzyszył. Chciałbym, żebyś ty także przyleciała.

– Doc, nawet gdyby udało mi się złapać ranny samolot z Seronery do Nairobi, to i tak byłabym na miejscu najwcześniej późnym wieczorem. Trzeba by mieć sporo szczęścia, żeby dostać się w Nairobi...

– Sama decyduj – przerwał jej Thorne. – Mogę ci przekazać szczegóły dotyczące naszej podróży, a ty ocenisz, jak postąpić.

Harding zsunęła się na siedzenie, założyła z powrotem gogle i przekręciła notatnik przytwierdzony rzemykami do przedramienia. Thorne szybko podyktował jej informacje i rozłączył się bez pożegnania.

Wstała ponownie i rozejrzała się po sawannie, wystawiając twarz na podmuchy chłodnego wiatru. Z ciemności dobiegał ryk lwów żerujących na bawole upolowanym przez hieny. Powinna tu zostać, kontynuować podjętą pracę.

– Doktor Harding? – odezwał się Makena. – I co teraz robimy?

– Wracamy. Muszę się spakować.

– Wyjeżdża pani?

– Tak. Wyjeżdżam.

WIADOMOŚĆ

Thorne jechał w kierunku lotniska, światła San Francisco powoli zostawały w tyle. Malcolm siedział obok niego i co chwila zerkał nerwowo w lusterko na podążającego za nimi forda explorera.

– Czy Eddie wie, o co w tym wszystkim chodzi? – zapytał w końcu.

– Owszem – mruknął Thorne – chociaż jestem przekonany, że mi nie uwierzył.

– Ale dzieciakom o niczym nie mówiłeś?

– Nie.

Rozległo się ciche popiskiwanie. Thorne wyjął z kieszeni czarny, płaski przywoływacz, na którego obudowie błyskała dioda. Włączył aparat i wyciągając go w stronę matematyka, rzekł:

– Przeczytaj, proszę.

– To od Arby'ego. Przesłał wiadomość: „Miłej podróży. Jeśli będziemy potrzebni, zadzwońcie. Na razie nie rozpakowujemy plecaków". Podał też swój numer telefonu.

Thorne zachichotał.

– Czyż te dzieciaki nie są wspaniałe? Nigdy się nie poddadzą. – Zmarszczył nagle brwi, jakby tknięty złym przeczuciem, i zapytał: – O której została wysłana ta wiadomość?

– Przed czterema minutami – odparł Malcolm. – Przyszła za pośrednictwem Netkomu.

– W porządku. To mi wystarczy.

Skręcił z autostrady na drogę dojazdową do lotniska. W oddali ukazał się rzęsiście oświetlony teren. Ian siedział z zasępioną miną.

– To bardzo nierozsądne, że wyruszamy w takim pośpiechu – mruknął. – Nie powinniśmy w ten sposób postępować.

– Wszystko będzie w porządku – rzekł pocieszająco Thorne. – Mam tylko nadzieję, że prawidłowo zlokalizowaliśmy wyspę.

– Za to ręczę.

– Na pewno się nie pomyliłeś?

– Nie. Znalazłem jeszcze jedną wskazówkę, o której nie chciałem głośno mówić przy dzieciach. Kilka dni temu Levine widział na własne oczy padlinę jednego z tych zwierząt.

– Naprawdę?

– Tak. Niestety zdołał ją tylko pobieżnie obejrzeć, zanim ekipa sanitarna spaliła znalezisko. Odkrył jednak, że zwierzę miało przyczepioną do skóry plakietkę. Odciął ją i przesłał mi pocztą.

– Plakietkę? Czy to znaczy...

– Owszem, to był egzemplarz hodowlany. Plakietka jest dość stara i ponadżerana przez opary kwasu siarkowego.

– Pewnie z wyziewów wulkanicznych.

– Raczej tak.

– I mówisz, że jest stara?

– Musi mieć co najmniej kilka lat. Ale najbardziej interesująca jest przyczyna śmierci tego zwierzęcia. Levine ustalił, że odniosło ono śmiertelną ranę, tylną łapę i zad miało rozcięte aż do kości.

– I sądzisz, że zostało zaatakowane przez innego dinozaura?

– Dokładnie tak.

Przez chwilę jechali w milczeniu.

– Kto poza nami wie, która wyspa nas interesuje?

– Chyba nikt – rzekł Malcolm. – Ktoś jednak starał się dotrzeć do prawdy. Wczoraj jacyś nieznani ludzie sfotografowali mój gabinet.

– Wspaniale. – Thorne westchnął głośno. – Ale wtedy jeszcze nie wiedziałeś, dokąd popłynął Levine, prawda?

– Nie. W gabinecie nie mogli znaleźć żadnej wskazówki.

– Sądzisz, że zdołają to jakoś wywnioskować?

– Nie wierzę. Nikt nie powinien nam przeszkodzić.

UMOWA

Lewis Dodgson pchnął wahadłowe drzwi oznaczone napisem ZWIERZĘTARNIA i natychmiast wszystkie psy zaczęły ujadać. Ruszył energicznie wąskim przejściem między klatkami, wznoszącymi się aż na trzy metry w górę. Budynek był nadzwyczaj wysoki, centrala korporacji Biosyn w Cupertino w Kalifornii została wyposażona w olbrzymi ośrodek badań na zwierzętach.

Idący tuż za nim Rossiter, prezes firmy, z urażoną miną otrzepał nieistniejące pyłki z klap marynarki.

– Nie znoszę tego cholernego miejsca – mruknął pogardliwie. – Po co mnie tu ściągnąłeś?

– Bo musimy natychmiast porozmawiać o naszej przyszłości – odparł Dodgson.

– Ale tu cuchnie! – Rossiter zerknął na zegarek. – Tylko się pospiesz, Lew.

– Tu będziemy mogli bezpiecznie rozmawiać.

Dodgson otworzył drzwi przeszklonej budki nadzorcy zwierzętarni, umieszczonej pośrodku przestronnej hali. Grube tafle szkła odizolowały ich od hałaśliwego ujadania psów, nie uwolnili się jednak od widoku

zaniepokojonych zwierząt biegających w klatkach.

– Sprawa jest prosta – zaczął, niecierpliwie chodząc z kąta w kąt – a moim zdaniem bardzo ważna.

Czterdziestopięcioletni, łysiejący Lewis Dodgson miał bladą cerę, chłopięce rysy twarzy i sprawiał wrażenie człowieka nadzwyczaj skromnego. Ale to wrażenie było bardzo mylące, ponieważ ten mężczyzna o niewinnym wyglądzie uchodził za jednego z najbardziej bezwzględnych i agresywnych genetyków swojego pokolenia. Całą jego karierę znaczyły najróżniejsze skandale. Podczas studiów doktoranckich na Uniwersytecie Hopkinsa został wydalony z uczelni za podjęcie eksperymentów na ludzkim materiale genetycznym bez zgody komisji federalnej. Później, już po rozpoczęciu pracy w korporacji Biosyn, zorganizował w Chile wielce kontrowersyjne testy nowych typów szczepionek przeciwko wściekliźnie.

Dodgson nieodmiennie tłumaczył, że jest naukowcem i pragnie jak najszybciej uzyskać konkretny rezultat, stąd też nie zwraca uwagi na formalne ograniczenia wprowadzane przez bezdusznych urzędników. Podkreślał, iż dla niego liczy się wyłącznie efekt pracy, co należało odczytywać tak, że gotów jest sięgnąć po wszelkie dostępne środki, byle tylko osiągnąć swój cel. I nieustannie piął się w górę.

W macierzystej firmie propagował swój wizerunek zaangażowanego naukowca, chociaż był całkowicie pozbawiony jakiejkolwiek naukowej pasji i w gruncie rzeczy nigdy niczego sam nie wymyślił. Wszystkie jego pomysły były wtórne i w zdumiewający sposób nabierały realnych kształtów dopiero wtedy, gdy już ktoś inny podjął badania dotyczące tego samego zagadnienia. Dodgsonowi udawało się jedynie rozwijać projekty, czyli skutecznie wykradać pomysły innych badaczy we wczesnym etapie rozpoczętych prac. Na tym polu działał bez żadnych skrupułów. Od wielu lat kierował w korporacji zespołem zajmującym się inżynierią wsteczną, to znaczy szczegółowym analizowaniem produktów firm konkurencyjnych i przyswajaniem wprowadzonych rozwiązań. W praktyce owa inżynieria wsteczna nie była niczym innym, jak klasycznym przykładem szpiegostwa przemysłowego.

Oczywiście Rossiter nie miał żadnych złudzeń co do sposobów pracy Dodgsona. Nie cierpiał go i w miarę możności unikał kontaktów. Lewis bowiem zawsze pragnął wykorzystywać nadarzające się okazje i podążać na skróty w tę czy inną stronę, co Rossitera bardzo niepokoiło. Zdawał sobie jednak sprawę, że w dziedzinie nowoczesnych biotechnologii panuje nadzwyczaj silna konkurencja. Każda firma, która chciała się utrzymać na rynku, musiała zatrudniać kogoś takiego jak Dodgson, a ten był prawdziwym mistrzem w swoim fachu.

– Przejdę od razu do rzeczy – zaczął teraz Lewis, zatrzymując się na wprost prezesa. – Jeśli się pospieszymy, prawdopodobnie zdobędziemy szczegóły technologii InGenu.

Rossiter westchnął ciężko.

– Znów zaczynasz?

– Znam twoje podejście, Jeff. Dobrze wiem, co czujesz. Przyznaję, że w tej sprawie doszliśmy...

– Doszliśmy?! Powiedzmy sobie prawdę, że wszystko zawaliłeś, i to niejeden raz. Próbowaliśmy przejąć tę technologię, podchodziliśmy to z tej, to z tamtej strony. Do diabła, o mało nie wykupiliśmy całej firmy po ogłoszeniu przez nią bankructwa, gdyż twierdziłeś stanowczo, że przejmiemy od razu wszelkie jej osiągnięcia. Na szczęście Japończycy nie zgodzili się sprzedać, bo dopiero później wyszło na jaw, że niepotrzebnie wydalibyśmy kupę pieniędzy.

– Wszystko rozumiem, Jeff. Nie zapominaj jednak...

– Rzeczywiście nie mogę zapomnieć, że wyłożyliśmy aż siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów na twojego przyjaciela Nedry'ego i absolutnie nic na tym nie zyskaliśmy.

– Posłuchaj mnie, Jeff...

– Później trzeba było zapłacić aż pięćset tysięcy Dai-Ichi, tej firmie brokerskiej, która w naszym imieniu pertraktowała z właścicielami InGenu, i także forsa poszła w błoto. Wszelkie nasze wysiłki przejęcia opracowanej przez nich technologii nie przyniosły najmniejszego rezultatu. Właśnie o tym nie mogę zapomnieć.

– Nie zaprzeczysz jednak, że zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy, i że ta technologia jest nadal niezwykle istotna dla zapewnienia przyszłości naszej firmie.

– To ty tak twierdzisz.

– Świat się zmienia, Jeff. Rozmawiamy przecież o kluczu do rozwiązania jednego z największych problemów, przed jakim ludzkość staje u progu dwudziestego pierwszego wieku.

– To znaczy?

Dodgson wskazał na psy ujadające w klatkach za szybą.

– Doświadczenia na zwierzętach. Sam dobrze wiesz, Jeff, że z roku na rok nasilają się protesty przeciwko wykorzystywaniu zwierząt do badań. Co roku organizuje się więcej manifestacji, wprowadza kolejne ograniczenia, publikuje coraz ostrzejsze artykuły. Zaczęło się od grupki maniaków i nawiedzonych gwiazd z Hollywood, a teraz mamy przeciwko sobie niemal całe społeczeństwo. Nawet na uczelniach zabierają głos różni teoretycy,

uzasadniając, że nieetyczne jest prowadzenie testów na małpach, psach, a nawet szczurach. A przecież podnoszą się już protesty przeciwko wykorzystywaniu mątw, chociaż jakoś nikt się nie sprzeciwia serwowaniu ich mięsa w ekskluzywnych restauracjach całego świata. Uwierz mi, Jeff, że ten trend znacznie przybierze na sile. W końcu dojdzie do tego, że nie pozwolą nam nawet prowadzić badań na szczepach bakterii.

– Nie przesadzaj.

– Przekonasz się, że tak będzie. Całkowicie związą nam ręce, chyba że wyhodujemy jakieś stworzenie specjalnie do tego celu. Zwróć uwagę, że zwierzę wymarłe, niemal cudem przywrócone do życia, z formalnego punktu widzenia nie może być uznane za istotę żywą. Nie będzie miało żadnych praw, bo przecież dawno temu wymarło. Zaistnieje tylko dlatego, że my je powołamy do życia. Stworzymy, opatentujemy, posiądziemy na własność. A zatem zdobędziemy doskonały materiał do badań. Wszystko wskazuje na to, że układ enzymatyczny i hormonalny dinozaurów był taki sam, jak u współczesnych ssaków. W przyszłości wszystkie nowe leki, które obecnie testuje się na małpach i psach, można by sprawdzać na jakichś małych dinozaurach, unikając jednocześnie konfliktów z prawem.

Rossiter pokręcił głową.

– To wcale nie jest pewne.

– Owszem, lecz mówimy przecież o jaszczurach, Jeff. Nie sądzisz chyba, że ktoś może specjalnie kochać takie zwierzęta. W niczym nie przypominają uroczych psów, liżących ludzi po rękach i odznaczających się tak silnym przywiązaniem. Jaszczurki nie mają tego charakteru, w powszechnej opinii to tylko węże z nogami.

Rossiter westchnął ciężko.

– Jeff, moglibyśmy w ten sposób uzyskać całkowitą swobodę – ciągnął Dodgson. – W tej chwili jakiekolwiek testy na zwierzętach muszą być nie tylko zgodne z restrykcyjnym prawem, ale trzeba się jeszcze liczyć z opinią społeczną. Nie ma już myśliwych polujących na lwy czy słonie, choć ich ojcowie i dziadkowie wyprawiali się na te zwierzęta bez ograniczeń, żeby później móc się pochwalić niezwykłym trofeum. Teraz trzeba zdobyć zezwolenie, licencję, ponieść ogromne koszty... a i tak czeka cię powszechne potępienie. W dzisiejszych czasach jeśli nawet ktoś zastrzeli lwa, to będzie się bał otwarcie do tego przyznać. Zaryzykuję twierdzenie, że opinia społeczna prędzej zaakceptuje morderstwo obojga rodziców niż zabicie tygrysa. Bo tygrysy mają zbyt wielu adwokatów. A teraz wyobraź sobie specjalnie stworzony rezerwat, na przykład gdzieś w środkowej Azji, gdzie każdy bogaty zapaleniec będzie się mógł zmierzyć z tyranozaurem bądź triceratopsem w ich

naturalnym środowisku. Czy wiesz, jaka to by była atrakcja? Tysiące myśliwych mają spreparowane łby własnoręcznie zabitych jeleni czy łosi, ale nikt nie może z dumą pokazać znajomym wypchanego tyranozaura z rozdziawioną paszczą.

– Chyba nie mówisz poważnie?

– Próbuję ci tylko wykazać, Jeff, że na tych zwierzętach można zarobić na wiele różnych sposobów. Będziemy mogli zrobić z nimi wszystko, co tylko zechcemy.

Rossiter zsunął się ze stołu, na którym siedział, i wsadził ręce do kieszeni. Westchnął po raz kolejny i zerknął na Dodgsona.

– Jesteś pewien, że te zwierzęta nadal istnieją?

Ten z wolna pokiwał głową.

– I wiesz gdzie?

Ponownie przytaknął.

– W porządku. Zajmij się tym.

Ruszył w stronę wyjścia, lecz zatrzymał się jeszcze przy drzwiach i odwrócił.

– Ale postawmy sprawę jasno, Lew. Ostatni raz uzyskujesz moją zgodę. Albo sprowadzisz tu choć jedno zwierzę, albo zapominamy o wszystkim. To absolutnie ostatni raz. Rozumiemy się?

– Spokojnie – mruknął Dodgson. – Tym razem na pewno coś zdobędziemy.

TRZECIA KONFIGURACJA

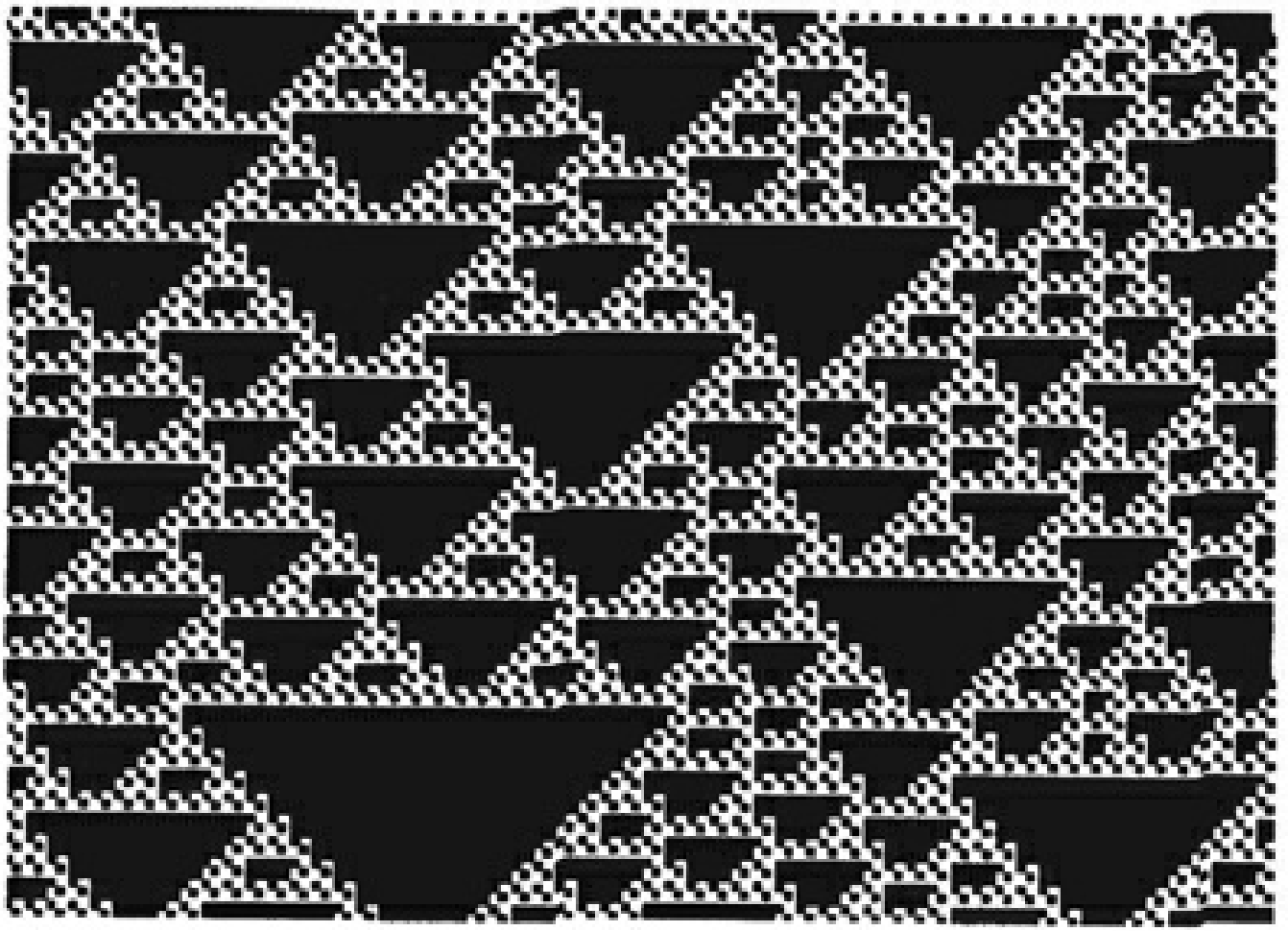

W fazie przejściowej stopniowo rosnąca złożoność systemu zmniejsza ryzyko popadnięcia w całkowity chaos, lecz to ryzyko istnieje zawsze.

Ian Malcolm

KOSTARYKA

W Puerto Cortés powitała ich uciążliwa mżawka. Drobny deszcz szeleścił o blaszany daszek przed wejściem do budynku odpraw na lotnisku. Zmoknięty Thorne z godną podziwu cierpliwością czekał, aż oficer kostarykańskich służb celnych po raz kolejny sprawdzi wszystkie dokumenty. Dwudziestoparoletni młodzik w źle dopasowanym mundurze nazywał się Rodríguez i wyraźnie bał się popełnić choćby najmniejszy błąd.

Doktor spojrzał w stronę pasa startowego, gdzie w szarawym świetle poranka pracownicy lotniska mocowali dwa kontenery pod brzuchami dużych śmigłowców transportowych typu Huey. Eddie Carr biegał w deszczu, pokrzykując na robotników i sprawdzając zaczepy lin, a Malcolm próbował mu w tym pomagać.

Rodríguez złożył papiery i rzekł:

– Zgodnie z deklaracją, *señor* Thorne, celem pańskiej wyprawy jest Isla Sorna...

– Zgadza się.

– I wewnątrz kontenerów znajdują się wyłącznie pojazdy terenowe?

– Tak, oczywiście. To specjalne pojazdy badawcze.

– Sorna to odludne miejsce. Nie ma tam ani benzyny, ani elektryczności, ani nawet żadnych dróg, jeśli mam być szczery...

– Był pan kiedykolwiek na tej wyspie?

– Nie, my się tu niezbyt interesujemy tymi skalistymi nieużytkami. Panują tam pierwotne warunki, rośnie gęsta dżungla. Nie ma nawet miejsca, gdzie można by bezpiecznie przybić łodzią, chyba że się trafi na całkowicie spokojne morze. Ale przy takiej pogodzie, jak dzisiaj...

– Rozumiem – odparł szybko Thorne.

– Chciałem tylko przestrzec, żeby był pan przygotowany na bardzo trudne warunki.

– Myślę, że jesteśmy odpowiednio wyposażeni.

– I na pewno ma pan wystarczający zapas paliwa do samochodów?

Thorne westchnął ciężko. Nie miał ochoty tłumaczyć tego po raz kolejny.

– Tak, mam.

– Jak wynika z dokumentów, jest trzech członków ekspedycji. Doktor

Malcolm, pan i pański asystent, *señor* Carr.

– Zgadza się.

– I zamierza pan spędzić na wyspie nie więcej niż tydzień?

– Tak. Najpewniej zatrzymamy się tam tylko na dwa dni, przy odrobinie szczęścia już jutro wieczorem opuścimy wyspę.

Rodríguez ponownie zajrzał w dokumenty, jakby szukał czegoś podejrzanego.

– Tak…

– Coś jest nie w porządku? – spytał Thorne, spoglądając na zegarek.

– Nie, wszystko się zgadza, *señor*. Zezwolenie na prowadzenie badań zostało podpisane przez dyrektora generalnego wydziału zasobów naturalnych. W porządku… – Zawahał się na chwilę. – Dziwi mnie jednak, że takie zezwolenie zostało w ogóle wydane.

– Dlaczego?

– Nie znam szczegółów, ale na tamtych wyspach przed kilkoma laty wydarzyło się coś dziwnego. Później zaś wydział zasobów naturalnych zamknął dla ruchu turystycznego wszystkie wyspy na Pacyfiku.

– Nie jesteśmy turystami.

– Tak, rozumiem, *señor* Thorne.

Ponownie zaczął przerzucać papiery.

Doktor czekał cierpliwie.

Znów spojrzał na pas startowy. Kontenery były już prawidłowo zamocowane, śmigłowce uniosły je nieco w powietrze.

– Wszystko w porządku, *señor* Thorne – rzekł w końcu Rodríguez, przystawiając pieczęć na kwicie odprawy celnej. – Życzę powodzenia.

– Dziękuję – odparł Thorne.

Wsunął dokumenty do kieszeni i chowając głowę w ramionach, wybiegł na otwartą przestrzeń.

Pięć kilometrów od wybrzeża helikoptery wynurzyły się z wiszącej nisko powłoki chmur, do środka wpadło światło słoneczne. Siedzący w kabinie pierwszej maszyny Thorne ciekawie rozejrzał się na boki. Od razu dostrzegł łańcuch pięciu wysp leżących na wyciągniętym łuku, bez wątpienia stanowiących niegdyś szczyty pasma wulkanów. Sprawiały ponure wrażenie skalnych okruchów wyłaniających się ze szmaragdowych wód oceanu. Niewiele różniły się od siebie wielkością, miały najwyżej po kilka

kilometrów średnicy.

Wcisnął klawisz interfonu i zapytał:

– Która z nich to Isla Sorna?

– Nazwano je Pięcioma Śmierciami – odparł pilot, ruchem głowy wskazując wyspy. – Muerte, Matanceros, Pena, Tacaño oraz Sorna; to ta największa, wysunięta najdalej na północ.

– Był pan tam kiedyś?

– Nigdy, *señor*. Ale chyba znajdziemy jakieś miejsce do lądowania.

– Skąd to przypuszczenie?

– Przed kilkoma laty starsi koledzy tam latali. Amerykanie prowadzili na wyspie jakieś badania i czasami korzystali z naszych usług.

– Amerykanie? Na pewno nie byli to Niemcy?

– Skądże. Niemców nie było w naszym kraju od... sam nie wiem, chyba od wojny. To na pewno Amerykanie coś tam robili.

– Kiedy?

– Nie jestem pewien. Jakieś dziesięć lat temu.

Śmigłowce skręciły na północ i wkrótce znalazły się nad pierwszą z wysp. Thorne przyjrzał się wulkanicznym skałom i zbitej dżungli. Nie dostrzegł żadnych oznak życia, nawet jednego śladu bytności człowieka.

– Miejscowi rybacy boją się zbliżać do wysp – ciągnął pilot. – Mówią, że nic dobrego człowieka nie może tu spotkać. – Uśmiechnął się szeroko. – Ale nie potrafią tego uzasadnić. To tylko prości Indianie.

Ponownie lecieli nad otwartym morzem, kierując się prosto na Sornę. Już z daleka można było zauważyć, że wyspę tworzy dawny krater wulkanu. Pionowe, czerwonawe skały wznosiły się na kilkadziesiąt metrów ponad fale, a wnętrze zerodowanego stożka porastała gęsta roślinność.

– Z której strony można przybić łodzią?

Pilot wskazał spienione bałwany rozbijające się na ostrych przybrzeżnych skałach.

– Tu nie, ale od wschodniej strony jest parę jaskiń wymytych przez fale. Niektórzy nazywają tę wyspę Gemido, to znaczy: rycząca, co wzięło się od ogłuszającego huku fal we wnętrzu tychże jaskiń. Podobno niektóre mają drugi wylot i można się nimi przedostać w głąb wyspy, ale radziłbym próbować tylko przy spokojnym morzu i w czasie odpływu. Przy takiej pogodzie każda łódź musi się roztrzaskać na skałach.

Thorne'owi przyszła na myśl Sara Harding, która – o ile zdecydowała się na podróż – powinna przylecieć tego dnia wieczorem.

– Być może jeszcze dzisiaj przybędzie nasza koleżanka – rzekł. – Czy nie przewiózłby jej pan na wyspę?

– Przykro mi, ale mamy już następne zlecenie, lecimy do Golfo Juan i wrócimy dopiero późnym wieczorem.

– Więc jak ona może się tu dostać?

Pilot zerknął w dół, na fale.

– Najlepiej łodzią. W tym rejonie ocean zmienia się z godziny na godzinę. Może dopisze jej szczęście.

– Ale wróci pan po nas jutro?

– Tak, *señor* Thorne. Przylecimy wczesnym rankiem. Z uwagi na wiatr to najlepsza pora.

Dotarli do wyspy od strony zachodniej. Pilot poderwał śmigłowiec kilkadziesiąt metrów w górę, przeleciał nad urwistą krawędzią klifu i skierował maszynę ku centralnej części Isla Gemido. Ta rzeczywiście przypominała pierwotny krajobraz: ostre wulkaniczne granie i głębokie wąwozy porastała zbita tropikalna dżungla. Z powietrza tworzyło to dość uroczy widok, ale Thorne zdawał sobie sprawę, jak trudno będzie im się przedzierać przez ten teren. Spoglądał uważnie w dół, wypatrując jakichkolwiek dróg.

Helikopter zniżył nieco lot, zataczając krąg ponad środkiem wielkiej niecki. Nigdzie nie było widać żadnych zabudowań czy dróg, pod brzuchem maszyny rozciągała się jedynie dżungla.

– Ze względu na ukształtowanie terenu wieją tu bardzo niesprzyjające wiatry, jest mnóstwo wirów i dziur powietrznych. Znam tylko jedno miejsce, gdzie da się całkiem bezpiecznie wylądować. – Odchylony w bok spoglądał w dół. – O, właśnie tutaj.

Thorne zobaczył niezbyt rozległą polanę zarośniętą wysoką trawą.

– Lądujemy – dodał pilot.

SORNA

Eddie Carr stał na polanie, w trawie sięgającej mu do pasa, i odwrócony tyłem do startujących maszyn czekał, aż śmigłowce się wzbiją i opadnie poderwana przez pęd powietrza chmura kurzu. Już po kilku sekundach łoskot rotorów zaczął przycichać i wkrótce oba helikoptery zmieniły się w maleńkie kropki na tle błękitnego nieba. Osłaniając oczy dłonią, Eddie spojrzał tęsknie za nimi i zapytał dziwnie spiętym głosem:

– Kiedy mają wrócić?

– Jutro rano – odparł Thorne. – Do tego czasu na pewno odnajdziemy Levine'a.

– W każdym razie trzeba się postarać – dodał Malcolm.

Śmigłowce szybko zniknęły za wysokim brzegiem krateru. Carr spojrzał na obu naukowców i powiódł wzrokiem po całej polance. Mimo operującego dość mocno słońca wokół panowała dziwna cisza.

– Nie podoba mi się tutaj – oświadczył, nasuwając czapkę baseballową głębiej na oczy.

Eddie Carr pochodził z Daly City, miał ciemne włosy i był bardzo silnie zbudowany, lecz jego szerokie bary oraz imponujące muskuły kontrastowały z drobnymi dłońmi o długich wysmukłych palcach. Odznaczał się niezwykłymi zdolnościami technicznymi, Thorne wprost nazywał go geniuszem. Wydawało się, że dla Eddiego nie ma rzeczy niemożliwych, potrafił naprawić niemal każde urządzenie. Wystarczyło mu jedynie rzucić okiem, by od razu pojąć zasadę działania wielu mechanizmów. Rozpoczął pracę w warsztacie przed trzema laty, zaraz po ukończeniu studiów zawodowych. Zamierzał przepracować tylko jakiś czas, żeby zebrać pieniądze na dalszą naukę, lecz szybko się okazało, iż Thorne tak łatwo z niego nie zrezygnuje. Zresztą w miarę upływu czasu ciekawa praca sprawiła, że Eddiego coraz mniej kusił powrót do akademickich podręczników.

Rozglądał się teraz ciekawie po dżungli, gdyż nie spodziewał się nigdy znaleźć w takim otoczeniu. Wychowywał się w mieście i normalną rzeczą były dla niego zgiełk, dźwięk klaksonów, ciągły szum ruchu ulicznego. Całkowita cisza na wyspie napawała go niepokojem.

– Chodź – rzekł Thorne, kładąc mu dłoń na ramieniu – musimy się zabrać do pracy.

Ruszyli w stronę kontenerów stojących w odległości paru metrów od siebie w wysokiej trawie.

– Mogę w czymś pomóc? – zawołał za nimi Malcolm.

– Proszę się nie obrazić, ale poradzimy sobie sami – odparł Eddie.

Pół godziny zajęło im otwieranie kontenerów, opuszczanie klap i zdejmowanie wszystkich mocowań. Później już wystarczyło parę minut, żeby wyprowadzić pojazdy na otwartą przestrzeń. Carr wsunął się za kierownicę explorera, wcisnął guzik zapłonu i ciszę zakłócił delikatny terkot sprężarki.

– Jaki stopień naładowania akumulatorów? – zapytał Thorne.

– Gotowe do pracy.

– Napięcie w porządku?

– Tak. Wygląda na to, że wszystko gra.

Eddie odetchnął z ulgą, gdyż osobiście nadzorował montaż silników elektrycznych, a ponieważ kończyli pracę w wielkim pośpiechu, nie miał jeszcze okazji dostatecznie przetestować działania układów. Tego typu napęd wymagał zastosowania podzespołów znacznie bardziej zaawansowanych technologicznie niż klasyczne silniki spalinowe, będące w gruncie rzeczy dziewiętnastowiecznym reliktem, toteż Carr doskonale zdawał sobie sprawę, iż wyjazd nieprzetestowanymi samochodami w teren jest wielce ryzykowny.

W ich wypadku dokładał się element wykorzystania najnowocześniejszych, prototypowych układów, co Eddiego martwiło o wiele bardziej, niż chciał się do tego przyznać. Jak większość zdolnych mechaników był konserwatystą. Zależało mu tylko na tym, żeby wszystko działało prawidłowo, a w jego pojęciu można to było osiągnąć tylko poprzez wykorzystanie dobrze znanych, wypróbowanych części. Ku swemu zmartwieniu niewiele miał jednak do powiedzenia przy opracowywaniu planów.

Jego szczególną troskę wzbudzały dwa elementy systemu. Pierwszym z nich były ogniwa fotoelektryczne, czarne ośmiokątne płytki krzemowych półprzewodników, których olbrzymie panele zamontowano na dachach oraz maskach samochodów. Same ogniwa były bardzo wydajne i miały znacznie wytrzymalszą konstrukcję od stosowanych wcześniej. W dodatku Eddie zabezpieczył panele specjalnymi amortyzującymi podkładkami własnego pomysłu. Mimo to nie potrafił zapomnieć, że wystarczy nawet drobne uszkodzenie baterii, a nie tylko pojazdy zostaną unieruchomione, lecz także nie będzie można skorzystać z żadnej aparatury elektronicznej.

Drugim jego zmartwieniem były akumulatory. Thorne wybrał najnowszy typ – litowe akumulatory opracowane przez koncern Nissana, bardzo wydajne i lekkie zarazem – ale będące jeszcze prototypami, co dla Eddiego oznaczało, iż nie można na nich polegać.

Wielokrotnie proponował różne zabezpieczenia, nalegał, żeby wyposażyć furgon w mały, awaryjny generator spalinowy. Wykłócał się z szefem, lecz ten zawsze stawiał na swoim. W tej sytuacji Carr zrobił jedyną sensowną rzecz: w tajemnicy przed Thorne'em zastosował kilka własnych rozwiązań.

Był niemal pewien, że Doc się tego domyśla, ale na szczęście nie próbował go odwieść od tych pomysłów, toteż Eddie zachował je w sekrecie. Teraz, kiedy znaleźli się na wyspie, z dala od cywilizacji, z radością myślał o podjętych środkach bezpieczeństwa. Wychodził bowiem z założenia, że nigdy nic nie wiadomo.

Thorne z uwagą obserwował, jak Eddie wyprowadza tyłem wóz z kontenera w wysoką trawę. Carr ustawił explorera na środku polany, gdzie silne działanie słońca mogło jeszcze doładować akumulatory.

Po chwili usiadł za kierownicą furgonu i także wyjechał na otwartą przestrzeń. Nie mógł się przyzwyczaić, że elektryczne auta poruszają się niemal zupełnie po cichu. Najgłośniej rozbrzmiewało skrzypienie opon na blaszanej podłodze kontenerów, a kiedy zagłębił się w trawę, ucichł również i ten dźwięk. Thorne wysiadł i razem z Eddiem zaczęli sprawdzać mocowanie przegubu łączącego furgon z przyczepą.

Wreszcie wyprowadzili z niej motocykl, również napędzany silnikiem elektrycznym. Thorne ustawił go na nóżkach za tylną ścianką forda i połączył krótkim przewodem z siecią zasilającą explorera, żeby naładować akumulatory.

– Musimy zaczekać – oznajmił.

Robiło się coraz cieplej. Stojąc na środku polany, Eddie rozejrzał się dokoła, wzdłuż skalnej grani otaczającej nieckę, widocznej w oddali ponad zbitą gęstwiną dżungli. Poszarpany brzeg klifu lekko falował w rozgrzanym powietrzu. Mimo to wydawał się wręcz nie do pokonania, co tylko nasilało wrażenie izolacji, zamknięcia w pułapce.

– Zupełnie nie rozumiem, po co ktokolwiek miałby tutaj lądować – mruknął.

Wsparty ciężko na lasce Malcolm odpowiedział z uśmiechem:

– Żeby uciec od całego świata, Eddie. Ty nigdy nie miałeś na to ochoty?

– Nie, zawsze wolałem stawiać czoło wyzwaniom – rzekł Carr. – Nie znoszę, kiedy nigdzie w pobliżu nie ma baru Pizza Hut. Mam nadzieję, że rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć.

– Niestety, tym razem znalazłeś się dość daleko od jakiegokolwiek lokalu.

Z bagażnika w tylnej części furgonu Thorne wyjął dwa duże, ciężkie karabiny. Każdy z nich miał przytwierdzone u nasady kolby, po obu stronach zamka, duże aluminiowe pojemniki. Doktor wręczył jeden karabin Eddiemu, drugi zaś wyciągnął w stronę Malcolma i zapytał:

– Będziesz umiał się tym posługiwać?

– Sporo o nich czytałem – odparł matematyk. – To te szwedzkie cuda techniki?

– Zgadza się, karabinki pneumatyczne Lindstradta. Obecnie to najdroższa tego rodzaju broń na świecie: solidna, prosta w obsłudze, celna i niezawodna. Wystrzeliwuje z prędkością poddźwiękową pociski typu Fluger, czyli kapsuły z tłokiem oraz igłą, które można napełnić dowolnie wybranym środkiem. – Thorne otworzył jeden z magazynków, wskazując plastikowe pojemniki napełnione jakąś żółtawo zabarwioną cieczą. Na końcu takiej kapsuły była przymocowana prawie dziesięciocentymetrowa igła. – Te ładunki zawierają wyciąg z muszli ślimaka zamieszkującego morza południowe, gatunku *Conus purpurascens*. To najgroźniejsza z poznanych dotychczas neurotoksyn, jej działanie objawia się już po upływie tysięcznych części sekundy, czyli szybciej niż są przekazywane impulsy nerwowe. Zwierzę padnie na ziemię, zanim jeszcze poczuje ukłucie.

– To śmiertelna trucizna?

Thorne przytaknął.

– Dlatego musisz zachować ostrożność. Pamiętaj, że jeśli taki pocisk cię choćby draśnie, to padniesz martwy, zanim zdążysz sobie uzmysłowić, że nacisnąłeś spust.

Malcolm skinął głową.

– I nie ma na to żadnego antidotum?

– Nie. Nikt go nawet nie szukał, bo i po co? Nie byłoby czasu go zaaplikować.

– No cóż, to przynajmniej upraszcza sprawę – rzekł matematyk, biorąc karabin z rąk Thorne'a.

– Czułem się w obowiązku cię uprzedzić. Eddie, możemy ruszać?

STRUMIEŃ

Eddie usiadł za kierownicą explorera, natomiast Thorne i Malcolm zajęli miejsca w kabinie furgonu. Chwilę później w głośniku krótkofalówki rozległ się trzask i Carr zapytał:

– Połączyłeś się z bazą danych, Doc?

– Już to robię.

Doktor wsunął dysk optyczny w szczelinę stacji wbudowanej w deskę rozdzielczą. Po chwili na niewielkim monitorze przed sobą ujrzał zarys wyspy, lecz olbrzymie jej połacie przesłaniały chmury.

– I co nam z tego przyjdzie? – zapytał sceptycznie Malcolm.

– Zaraz zobaczysz. Ten system potrafi nakładać na siebie różne obrazy.

– Jakie znów obrazy?

– Radarowe.

Rzeczywiście, parę sekund później na zdjęcie satelitarne został nałożony obraz radarowy, także pochodzący z satelity. Thorne wcisnął jakiś klawisz i podręczny komputer błyskawicznie wyostrzył zarysy, uwypuklając szczegóły topografii, przez co na ekranie ukazała się siatka ledwie zauważalnych w terenie dróg.

– Sprytne – mruknął matematyk, ale Thorne wyczuł napięcie w jego głosie.

– Odbieram przekaz – zameldował Eddie przez radio.

– Naprawdę widzi ten sam obraz? – zdziwił się Malcolm.

– Owszem, także ma monitor wbudowany w deskę rozdzielczą.

– Brak tylko wskazań USN – dodał Carr. – Czyżby coś nawaliło?

– Cierpliwości, to musi trochę potrwać. Przecież USN opiera się na wielokrotnym namiarze sygnałów radiowych.

Niewielka eliptyczna antena Uniwersalnego Systemu Nawigacyjnego, umieszczona na dachu furgonu, wychwytywała radiowe sygnały wzorcowe emitowane z kilku satelitów geostacjonarnych i na tej podstawie komputer mógł obliczyć aktualną pozycję samochodu z dokładnością do kilku metrów. Po paru sekundach na tle schematycznej mapy ukazał się jaskrawoczerwony krzyżyk.

– W porządku – odezwał się Eddie. – Mam namiar. Wygląda na to, że z polanki na północ prowadzi jakaś stara, zarośnięta droga. W tamtą stronę jedziemy?

– Chyba tak.

Thorne z uwagą wpatrywał się w monitor. Droga wiodła zakosami przez dżunglę i kilka kilometrów od polanki dochodziła do miejsca, gdzie zbiegały się wszystkie szlaki wykreślone przez komputer. Nieco ciemniejsze plamki pozwalały wnioskować, że znajdują się tam jakieś zabudowania, choć nie było to wcale pewne.

– Dobra, Doc. W drogę.

Eddie ruszył jako pierwszy. Thorne wcisnął pedał akceleratora i furgon także potoczył się do przodu, w ślad za explorerem. Malcolm siedział w milczeniu, rozłożywszy na kolanach maleńki elektroniczny notes. Nawet nie spojrzał na widok za oknem.

Po paru sekundach wyjechali z polany i zanurzyli się w dżunglę. Zamigotały lampki na desce rozdzielczej, pojazd przełączył się na zasilanie

z akumulatorów. Poprzez zwartą powłokę listowia przedostawało się tak mało światła słonecznego, że fotoogniwa nie dawały dostatecznej ilości energii. Ale samochody spisywały się bez zarzutu.

– Co u ciebie, Doc? – zapytał Carr. – Napięcie w normie?

– Wszystko w porządku, Eddie.

– Chyba jest nieźle zdenerwowany – mruknął Malcolm.

– Po prostu się martwi o cały sprzęt.

– Mam to gdzieś – syknął przez radio Carr. – Martwię się głównie o siebie.

Ledwie widoczna droga była także porośnięta wysoką trawą, lecz mimo to posuwali się dość szybko. Mniej więcej po dziesięciu minutach dotarli nad strumień o szerokich, błotnistych brzegach. Eddie zjechał po łagodnej pochyłości, lecz zatrzymał forda pośrodku strumienia. Otworzył drzwi, zeskoczył na kamienie i w kilku susach wbiegł na skarpę.

– Co się stało?

– Zauważyłem coś dziwnego, Doc.

Thorne i Malcolm wysiedli z furgonu i podeszli do brzegu strumienia. Gdzieś z oddali doleciał skrzekliwy, nieprzyjemny krzyk. Matematyk szybko uniósł głowę, marszcząc brwi.

– To ptaki? – zapytał Thorne.

Malcolm energicznie pokręcił głową.

Carr schylił się i wyciągnął z błota strzęp ciemnozielonej, impregnowanej tkaniny o brzegu wzmocnionym skórzanym paskiem.

– To wygląda jak kawałek oderwany z jednego z naszych plecaków – powiedział.

– Taki sam miał ze sobą Levine?

– Owszem.

– Z wszytym mikronadajnikiem? – ciągnął Thorne, choć wiedział dobrze, że w te maleńkie urządzenia wyposażyli niemal wszystkie zestawy terenowe.

– Tak.

– Czy mógłbym to obejrzeć? – wtrącił Malcolm.

Wziął do ręki zabłoconą tkaninę i obrócił ją do światła. W zamyśleniu powiódł palcami wzdłuż jej poszarpanych brzegów.

Thorne wyciągnął z kieszonki wielofunkcyjnego pasa miniaturowy odbiornik, niewiele większy od typowego przywoływacza. Włączył go i popatrzył na ciekłokrystaliczny ekranik.

– Nie wyłapuję żadnego sygnału...

Eddie wodził spojrzeniem wzdłuż błotnistego brzegu i po chwili schylił się ponownie.

– Tu jest drugi skrawek. A tam kolejny. Wygląda na to, że nasz plecak został porwany w strzępy.

Po raz drugi z oddali dobiegł skrzekliwy głos. Malcolm obejrzał się szybko w tamtym kierunku, próbując przebić wzrokiem gęstwinę roślinności. Za jego plecami Carr bąknął niepewnym głosem:

– Oho! Mamy towarzystwo.

Obok koła furgonu stało w gromadce kilka jasnozielonych zwierząt przypominających jaszczurki. W przybliżeniu były wielkości kurczaka i nerwowo świergotały. Trzymały się w postawie wyprostowanej na silnych tylnych łapach, balansując grubym wyprężonym ogonem. Przy każdym kroku szybko pochylały łebki ku ziemi i unosiły je z powrotem, dokładnie tak jak kurczaki. Nawet ich lekko chrapliwe popiskiwanie trochę przypominało gdakanie kurcząt. Ale na tym podobieństwo się kończyło, z wyglądu bowiem były to jaszczurki z nadzwyczaj mocnymi, grubymi ogonami. Spoglądały na ludzi jakby ze zdumieniem w oczach, zabawnie przekrzywiając przy tym łebki.

– Co to jest? – zapytał cicho Eddie. – Zebranie tutejszych salamander?

Zielone stworzenia zastygły w bezruchu, obracając ku niemu pyszczki. Z zarośli na tyłach furgonu i z trawy na skarpie wyszło kilka następnych. Wkrótce było ich już ze dwadzieścia, a wszystkie świergotały z przejęciem.

– To prokompsognaty... – rzekł Malcolm. – Dokładniej rzec biorąc, ten gatunek to *Procompsognathus triassicus*.

– To znaczy...

– Tak. Macie przed sobą dinozaury.

Eddie uniósł wysoko brwi ze zdumienia.

– Nie wiedziałem, że były takie małe...

– Większość dinozaurów miała niewielkie rozmiary – wyjaśnił Malcolm. – Rozpowszechnione wyobrażenia są mylne. Tylko nieliczne zwierzęta osiągały gigantyczną wielkość, przeciętny dinozaur nie był większy od barana czy kucyka.

– Ale te się zachowują jak kurczęta.

– To prawda. Bardzo przypominają ptaki.

– Czy grozi nam z ich strony jakieś niebezpieczeństwo? – zapytał Thorne.

– Niespecjalnie. To ścierwojady, jak szakale. Żywią się padliną. Mimo wszystko radzę się do nich nie zbliżać. Ich ślina ma lekko toksyczne działanie.

– Nawet nie zamierzam do nich podchodzić – rzekł szybko Carr. – Już od tego gdakania cierpnie mi skóra na karku. Chyba ani trochę się nas nie boją.

Malcolm także zwrócił już na to uwagę.

– To pewnie dlatego, że jesteśmy na bezludnej wyspie. Te zwierzęta nie mają najmniejszego powodu bać się człowieka.

– W takim razie trzeba dać im powód. – Eddie podniósł spory kamień.

– Stój! – zawołał matematyk. – Nie rób tego! Powinniśmy najpierw…

Ale Carr go nie posłuchał. Rzucony kamień wylądował nieopodal grupki zwierząt. Część z nich rozpierzchła się na boki, lecz niektóre nawet nie drgnęły. Parę zaczęło podskakiwać, okazując zaniepokojenie. Mimo to już po chwili ponownie zbiły się w gromadkę, jak poprzednio przekrzywiały łebki i świergotały z przejęciem.

– To dziwne – rzekł Carr, głośno wciągając nosem powietrze. – Czujecie ten odór?

– Owszem. To od nich zalatuje.

– Jakby smród zgnilizny – ocenił Eddie. – Tak, fetor padliny. Według mnie to niezbyt naturalne, żeby dzikie zwierzęta zupełnie się nas nie bały. A jeśli mają wściekliznę albo coś w tym rodzaju?

– Niemożliwe – rzucił Malcolm.

– Skąd możesz wiedzieć?

– Bo na wściekliznę zapadają wyłącznie ssaki.

Ale w tej samej chwili uzmysłowił sobie, że to wcale nie jest pewne. Wścieklizna atakowała zwierzęta stałocieplne, a przecież nie miał pojęcia, czy prokompsognaty nie były stałocieplne.

W koronach drzew rozległ się szelest. Malcolm zadarł głowę i zaczął się wpatrywać w zwartą powłokę listowia. Dostrzegł kołysanie się niektórych gałęzi, jakby jakieś niewielkie zwierzęta przeskakiwały z jednego drzewa na drugie. Złowił również stłumione popiskiwanie i świergot.

– To pewnie także nie są ptaki, zgadza się? – zapytał Thorne. – Może małpy?

– Niewykluczone, lecz wątpię w to.

Eddie wzdrygnął się wyraźnie.

– Lepiej wynośmy się stąd.

Zawrócił, przeskoczył po kamieniach i wdrapał się do szoferki explorera. Malcolm i Thorne ostrożnie ruszyli szerokim łukiem w stronę kabiny furgonu. Prokompsognaty niechętnie schodziły im z drogi, nadal nie okazywały strachu, tylko z odległości pół metra głośniejszym świergotem próbowały odstraszyć intruzów. Obaj mężczyźni bez przeszkód zajęli miejsca w wozie i zamknęli drzwi, uważając, żeby nie przytrzasnąć głowy któremuś z dinozaurów.

Thorne uruchomił silnik i zapatrzył się na forda, który powoli przejechał strumień i wtoczył się na pochyłość przeciwległego brzegu.

– Ale te... prokompso... jak im tam – dobiegło z głośnika krótkofalówki – to prawdziwe zwierzęta, zgadza się?

– Oczywiście – rzekł spokojnie Malcolm. – Jak najprawdziwsze.

DROGA

Thorne także odczuwał niepokój, zaczynał podzielać obawy Eddiego. Mimo że sam konstruował oba pojazdy, ogarniało go coraz silniejsze poczucie izolacji, zagubienia w tym odległym zakątku świata, podczas gdy samochody nie przeszły żadnych poważniejszych testów. Przez następnych piętnaście minut jechali wciąż nieco pod górę, poprzez mroczną dżunglę. We wnętrzu furgonu robiło się nieznośnie gorąco. Wreszcie Malcolm zapytał:

– Nie masz tu klimatyzacji?

– Zbyt szybko wyczerpalibyśmy akumulatory.

– To może uchylę trochę okno?

– Jeśli uważasz, że to bezpieczne.

Matematyk wzruszył ramionami.

– Chyba tak.

Wcisnął guzik na drzwiach i opuszczana elektrycznie szyba zjechała w dół. Do kabiny wpadło świeże powietrze, lecz także już silnie nagrzane. Malcolm zerknął na Thorne'a.

– Denerwujesz się, Doc?

– Jasne. Chyba mam ku temu powody, prawda?

– A mówiłem, Doc, że trzeba najpierw przetestować pojazdy – wtrącił przez radio Eddie. – Powinniśmy byli się trzymać ustalonego planu. Znasz kogoś, kto urządza wyprawę w taką głuszę, gdzie nawet kurczaki mają jadowitą ślinę, nie sprawdziwszy uprzednio całego sprzętu?

– Na razie pojazdy sprawują się bez zarzutu – odparł Thorne. – Jakie masz napięcie?

– W normie, wszystko gra. Ale pokonaliśmy dopiero osiem kilometrów, jest zaledwie dziewiąta rano, Doc.

Droga wiła się coraz bardziej, gdyż wjeżdżali na większą stromiznę. Thorne, który prowadził ciężki furgon z przyczepą, musiał się skoncentrować

na kierowaniu samochodem. Zresztą przyjął to z ulgą, gdyż mógł zapomnieć o dręczącym go niepokoju.

Posuwający się przodem explorer skręcił ostro w lewo i pokonując serpentynę, znalazł się nad nimi.

– Na szczęście nie ma tu innych zwierząt – odezwał się Carr nieco swobodniejszym tonem.

Wreszcie, po minięciu kolejnego zakrętu, znaleźli się na płaskim terenie, prawdopodobnie osiągnęli szczyt wzgórza. Zgodnie z tym, co pokazywał USN, droga wiodła dalej na północny zachód, w stronę środka wyspy. Ale wciąż prowadziła przez gęstą dżunglę i za oknami pojazdów nieprzerwanie ciągnęła się zbita ściana roślinności.

Po paru minutach dotarli na rozstaje dróg, Eddie zjechał na bok i zatrzymał wóz. Thorne dostrzegł z przodu drewniany słup z przybitymi do niego wyblakłymi drogowskazami. Wytężył wzrok i odczytał napis na desce po lewej: „Bagno", natomiast strzałka w prawo oznaczona była napisem „Stanowisko B".

– I dokąd teraz? – zapytał przez radio Eddie.

– Do stanowiska B – odparł szybko Malcolm.

– Już się robi.

Explorer ruszył ponownie i skręcił w prawo, Thorne pojechał za nim. Kilkadziesiąt metrów dalej, na prawo od drogi, ujrzeli słup pary wydobywającej się z ziemi, żółtawej od siarki, która tworzyła na liściach pobliskich drzew biały nalot. Do kabiny wdarł się kwaśny odór.

– Wyziewy wulkaniczne, jak przewidywałeś – rzekł Doc.

Dostrzegli też kałużę bulgoczącego błota, której brzegi były grubo usłane ciemnożółtym krystalicznym osadem.

– Aż się gotuje – oznajmił Carr. – Jeśli mam być szczery... Jasna cholera!

Wdusił hamulec i niemal w miejscu zatrzymał forda.

Thorne szarpnął kierownicą w lewo, żeby na niego nie wpaść, i zatrzymał furgon już z maską między potężnymi paprociami na skraju drogi.

– Na miłość boską! Eddie, czy mógłbyś...

Zerknął w bok i zauważył, że tamten wcale go nie słucha.

Siedział jak skamieniały i z rozdziawionymi ustami gapił się przed siebie.

Thorne szybko odwrócił głowę.

Przed nimi cała połać dżungli po obu stronach drogi była stratowana, a wyrwa w pokrywie roślinności ukazywała rozległy widok w kierunku zachodnim, niemal na całą środkową część wyspy. Lecz to wcale nie owa panorama przykuła wzrok Eddiego, lecz olbrzymie zwierzę, w przybliżeniu wielkości hipopotama, leniwie przechodzące przez drogę. Nie był to jednak

hipopotam. Szarobrunatne stworzenie miało skórę pokrytą wielkimi łuskami i wydatny kostny grzebień za głową. Z czaszki nad oczami wyrastały dwa długie, zakrzywione rogi, trzeci zaś, nieco krótszy, znajdował się ponad nozdrzami.

Przez krótkofalówkę usłyszeli chrapliwy, ciężki oddech Carra, a po chwili padło pytanie:

– Wiecie, co to może być?

– Triceratops – wyjaśnił Malcolm. – Sądząc z wyglądu, dosyć młody.

– No tak, jasne… – mruknął Eddie, kiedy z gęstwiny wyszło na drogę kolejne zwierzę, co najmniej dwukrotnie wyższe od pierwszego, o prawdziwie imponujących, bardzo ostrych rogach. – To pewnie mamusia tamtego malca.

Później pojawił się trzeci triceratops, za nim czwarty. Musieli cierpliwie czekać, aż całe stado bez pośpiechu przejdzie przez drogę. Zwierzęta nie zwracały uwagi na pojazdy, poruszając się wydeptanym przez dżunglę szlakiem. Leniwie schodziły w dół zbocza, wreszcie zniknęły mężczyznom z oczu.

Dopiero teraz wszyscy trzej zapatrzyli się na niezwykły widok. Środek wyspy zajmowała rozległa, trawiasta i podmokła polana, przez którą wiła się zakosami dość szeroka rzeka. Na obu jej brzegach pasły się liczne zwierzęta. W południowym końcu równiny Thorne naliczył w stadzie około dwudziestu sztuk ciemnozielonych dinozaurów średniej wielkości, które rytmicznie pochylały ku ziemi masywne łby i skubały trawę. Nieco bliżej, nad samą wodą, stało osiem innych stworzeń, mających podobne do kaczych dzioby i długie stożkowate narośla na czubkach głowy. Piły wodę, po ptasiemu zadzierając wysoko pyski, i trąbiły donośnie. U wylotu ścieżki pasł się natomiast samotny stegozaur o charakterystycznym beczkowatym tułowiu i pionowych pancernych płytach ciągnących się wzdłuż kręgosłupa. Stado triceratopsów mijało właśnie stegozaura, wychodząc na otwartą przestrzeń, lecz ten w ogóle nie zwracał na nie uwagi. Dopiero po chwili na zachodnim krańcu polany, ponad koronami drzew, dostrzegł jeszcze kilka wygiętych łukowato szyj oraz łbów apatozaurów, których olbrzymie cielska niknęły w gąszczu dżungli. Zwierzęta leniwie przeżuwały liście zrywane z wierzchołków drzew. Całość przypominała raczej sielski obrazek, pochodzący jednak z całkiem innego świata.

– Doc… – jęknął Eddie do mikrofonu. – Gdzie my jesteśmy?

STANOWISKO B

Jeszcze przez jakiś czas spoglądali zza szyb samochodów na podmokłą kotlinę. Obserwowali powolne przemieszczanie się dinozaurów w wysokiej trawie i nasłuchiwali trąbienia kaczodziobych zwierząt. Stada odmiennych gatunków zgodnie żerowały nad rzeką.

– I co wy na to? – zagadnął wreszcie Eddie. – Czyżby na tej wyspie nie działały prawa ewolucji? Znaleźliśmy zakątek, gdzie czas stanął w miejscu?

– Niezupełnie – rzekł Malcolm. – Wszystko, na co teraz patrzymy, da się całkiem racjonalnie wytłumaczyć. Właśnie podążaliśmy...

Przerwał mu głośny, piskliwy sygnał elektroniczny. Na schematycznej mapie widocznej na ekranie monitora pojawił się migający niebieski trójkącik, a obok niego litery: LEVN.

– To on! – wykrzyknął Eddie. – Znaleźliśmy drania!

– Zapamiętaj położenie – wtrącił szybko Thorne. – Sygnał jest dość słaby i...

– Nie jest tak źle, skoro komputer zdołał nawet rozpoznać kod identyfikacyjny. To Levine, nie ma żadnych wątpliwości. Wygląda na to, że sygnał dochodzi gdzieś z głębi tej kotliny.

Explorer ruszył ponownie i z wolna potoczył się dalej drogą.

– Jedziemy – oznajmił przez radio Carr. – Chciałbym jak najszybciej się stąd wynieść.

Thorne także uruchomił silnik, lecz jeszcze przez chwilę siedział, wsłuchując się w mruczenie sprężarki i ledwie uchwytny szum mechanizmu transmisyjnego. Wreszcie nacisnął pedał akceleratora i wykręcił śladem forda.

Znów otoczyła ich nieprzebyta gęstwina dżungli, zrobiło się jeszcze bardziej duszno i gorąco. W górze korony drzew stykały się ze sobą, niemal całkowicie odcinając dostęp światła słonecznego. Uwagę Thorne'a przyciągnęło nierytmiczne, urywane popiskiwanie komputera. Zerknął na monitor i dostrzegł, że niebieski trójkącik to znika na dłużej, to znów się pojawia i miga.

– Tracimy jego namiar, Eddie? – zapytał.

– To i tak już nie ma znaczenia. Ważne, że go zlokalizowaliśmy i możemy od razu po niego jechać. Prawdopodobnie ta droga zaprowadzi nas prosto do celu. Oho, mamy tu nawet starą wartownię.

Thorne odchylił się w bok i popatrzył wzdłuż drogi, przy której stała budka strażnicza z lanego betonu. Stalowa barierka była podniesiona. Faktycznie wyglądało to na starą, od dawna nieużywaną wartownię, gęsto

porośniętą dzikim winem. Dalej zaczynała się brukowana droga, po której obu stronach teren musiał być kiedyś oczyszczony z roślinności na dwadzieścia metrów w głąb dżungli. Wkrótce minęli drugi, równie zarośnięty punkt kontrolny z podniesioną barierką.

Powoli zjeżdżali zakosami w dół zbocza i jakieś sto metrów dalej Thorne dostrzegł między rzadszymi tutaj paprociami drewniane zabudowania o ścianach pomalowanych na zielono. Wyglądało to na magazyn, być może wiatę dla sprzętu terenowego. Odniósł wrażenie, iż wkraczają właśnie na teren olbrzymiego, niegdyś intensywnie wykorzystywanego kompleksu.

Nie mylił się. Za następnym zakrętem, przez wyrwę w zwartej zasłonie dżungli ujrzał leżący jakieś pięćset metrów przed nimi rozległy zespół zabudowań.

– Co to jest, do cholery? – zapytał Eddie.

Thorne nie mógł się otrząsnąć. Środkowa część polany ginęła pod dachem ogromnej hali, ciągnącej się niemal bez końca i zajmującej ponad hektar powierzchni. Budowla miała w przybliżeniu wielkość dwóch boisk piłkarskich. U jej boku wznosiła się masywna przybudówka nakryta blaszanym dachem, w której – sądząc z wyglądu – musiał się znajdować generator prądu. Ale w takim budynku zmieściłby się generator wystarczający do zasilania sporego miasta.

Na końcu hali, od strony szerokiego placu, znajdowała się rampa załadunkowa. Natomiast po prawej, na skraju polany, widać było między gałęziami drzew dachy, prawdopodobnie kilku budynków mieszkalnych, chociaż z tej odległości nie dało się tego powiedzieć na pewno.

Thorne ze zmarszczonym czołem przyglądał się zabudowaniom. Cały ten kompleks już na pierwszy rzut oka przypominał jakiś obiekt przemysłowy, na przykład niewielką fabrykę.

– Czy wiesz, co to może być? – zwrócił się do Malcolma.

– Tak – odparł tamten, kiwając głową. – Już od pewnego czasu domyślałem się istnienia takiego ośrodka.

– Jakiego?

– Zakładu wytwórczego – rzekł w zadumie matematyk – prawdziwej fabryki.

– Ta hala jest olbrzymia.

– Owszem, bo i taka powinna być.

– Znowu mam odczyt z identyfikatora Levine'a – zameldował przez radio Eddie. – I wiecie, co myślę? On musi przebywać gdzieś w tej hali.

Brukowana droga zaprowadziła ich wprost przed wejście do hali ocienione rozsypującym się gankiem. Budynek miał dość nowoczesną konstrukcję z lanego betonu i został wyposażony w wielkie panoramiczne okna. Znajdował się jednak w opłakanym stanie. Grube pędy winorośli zwieszały się z dachu, wiele szyb było powybijanych, a ze wszystkich szczelin w betonowej obmurówce wyrastały paprocie.

– Nadal masz ten namiar, Eddie? – zapytał Thorne.

– Tak, sygnał dochodzi ze środka. Co zamierzacie uczynić?

– Założymy naszą bazę na tamtym, otwartym terenie – odparł Doc, wskazując rozległą przestrzeń kilkaset metrów na lewo od hali, gdzie zapewne był kiedyś starannie pielęgnowany trawnik; niemniej w tamtej części polany drzewa nie odcinały dostępu światła słonecznego, co umożliwiało im doładowanie akumulatorów. – A później rozejrzymy się tu dokładnie.

Carr znowu pojechał jako pierwszy. Zawrócił w wysokiej trawie i ustawił explorera przodem do wylotu drogi, którą przybyli. Thorne nieco się napracował, żeby zaparkować furgon dokładnie obok forda, w końcu jednak wyłączył silnik. Kiedy wysiedli, otoczyło ich parne, duszne powietrze tropików. Malcolm rozglądał się ciekawie dookoła. Tutaj, w samym środku wyspy, panowała kompletna cisza, tylko owady bzyczały jednostajnie.

Po chwili dołączył do nich Eddie i uderzając się dłonią w policzek, powiedział:

– Wspaniałe miejsce, nieprawdaż? Moskitów pod dostatkiem. Macie zamiar wyciągnąć tego drania z hali czy nie? – Odczepił od pasa miniaturowy odbiornik i osłaniając ekranik dłonią przed jaskrawym słońcem, odczytał wskazania aparatu. – Tak, musi gdzieś tam być – dodał, wskazując gigantyczną budowlę. – I co wy na to?

– Idziemy po niego – oznajmił Thorne.

Wszyscy trzej wsiedli do explorera i zostawiwszy furgon z przyczepą na polanie, ruszyli z powrotem w kierunku zrujnowanej hali.

FURGON

Kiedy umilkł cichy szum oddalającego się forda, we wnętrzu furgonu nastała kompletna cisza. Migotały diody na desce rozdzielczej, a na monitorku nadal widniała komputerowa mapa wyspy, na której czerwony krzyżyk pokazywał lokalizację pojazdu. U góry obrazu znajdowało się niewielkie otwarte okno, zatytułowane „Systemy aktywne", a w nim komputer wyświetlał stan naładowania akumulatorów, wydajność baterii ogniw fotoelektrycznych oraz zużycie energii w ciągu ostatnich dwunastu godzin. We wszystkich okienkach świeciły jaskrawozielone cyfry.

W części mieszkalnej, gdzie znajdowała się niewielka kuchnia oraz koje, rozległo się bulgotanie w zlewie – efekt działania układu recyrkulacji wody. Zaraz potem w największej szafce umieszczonej pod sufitem coś huknęło. Później rozległo się przeciągłe stukanie i znów nastała cisza.

Po chwili w szczelinie drzwi szafki pojawiła się karta kredytowa, powędrowała ku górze i uniosła skobel zamka. Drzwiczki uchyliły się powoli, z szafki wypadł grubo zrolowany biały śpiwór i z głośnym łomotem wylądował na podłodze auta. Błyskawicznie zaczął się rozwijać i wkrótce Arby Benton z jękiem poderwał się na nogi.

– Jeśli się zaraz nie wysikam, to chyba zacznę wyć – szepnął, zmierzając chwiejnym krokiem do toalety.

Stanął nad klozetem i głośno westchnął z ulgą. To Kelly wpadła na pomysł ukrycia się w furgonie, lecz w jego gestii zostawiła wszelkie szczegóły. I chłopak spisał się doskonale, obmyślił niemal idealny plan. Przewidział, że w olbrzymiej ładowni samolotu transportowego będzie bardzo zimno, toteż poznosił do dwóch dużych szafek wszystkie koce i śpiwory, jakie znalazł w samochodzie. Skalkulował, że będą zmuszeni się ukrywać przez jakieś dwanaście godzin, więc przezornie zaopatrzył ich na podróż w herbatniki i butelki z wodą mineralną. Wszystkie jego domysły okazały się trafne, lecz Arby nie przewidział jednej rzeczy – tego, że Eddie Carr tuż przed wprowadzeniem pojazdów do kontenerów dokładnie sprawdzi zamknięcie szafek w furgonie. Tylko z tego powodu musieli bez ruchu tkwić w swoich kryjówkach i nie mogli skorzystać z toalety przez całe dwanaście godzin. Dwanaście godzin!

Ponownie westchnął, rozprostowując ręce i nogi. Jezu! – myślał, spoglądając na nieprzerwany strumień uryny. – Wreszcie! Co za katorga! A przecież wciąż mógł siedzieć zamknięty w szafce, gdyby nie wpadł na pomysł wykorzystania karty...

W głębi pojazdu rozległy się stłumione okrzyki. Arby pospiesznie spuścił wodę, wybiegł z toalety i kucnął przy szafce wbudowanej pod najniższą koją. Szybko otworzył ją i wyturlał na podłogę drugi, identyczny, zrolowany śpiwór.

Uwolnił z niego dziewczynę.

– Cześć, Kel – rzekł z dumą. – Udało się!

– Nie wytrzymam! – jęknęła Kelly, odepchnęła go i wbiegła do toalety, zatrzaskując za sobą drzwi.

– Udało się! – zawołał Arby. – Jesteśmy na miejscu!

– Zaczekaj chwilę, Arb, dobra?

Podbiegł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Pospiesznie obrzucił spojrzeniem trawiastą polankę, olbrzymie paprocie i rozciągającą się dalej dżunglę. W górze, ponad koronami najbliższych drzew, zauważył czarne urwiste skały tworzące obrzeże krateru.

A więc to jest Sorna – pomyślał.

Tak, jesteśmy na wyspie!

Wreszcie Kelly wyszła z toalety.

– Rety! Myślałam, że skonam w tej szafce. – Spojrzała na niego, uśmiechnęła się i pokazała pięść z kciukiem wyciągniętym ku górze. – A swoją drogą, jak ci się udało otworzyć drzwi od środka?

– Kartą kredytową.

– To ty masz kartę kredytową?

– Dostałem od rodziców, na wszelki wypadek. A teraz uprzytomniłem sobie, że właśnie zaszedł taki wypadek.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu i lekceważąco wzruszył ramionami. Wiedział dobrze, iż Kelly jest bardzo przeczulona na punkcie pieniędzy. Często robiła uwagi na temat jego nienagannego stroju czy też różnych rzeczy, które sobie kupował. Wyraźnie mu zazdrościła, że zawsze ma drobne na taksówkę bądź coca-colę. Kiedyś zauważył w rozmowie, że według niego pieniądze wcale nie są w życiu tak bardzo ważne, na co odpowiedziała spiętym głosem: „Tobie to łatwo tak mówić". Od tamtej pory starał się unikać tego tematu.

Zresztą Arby często nie potrafił się zachować wśród rówieśników, a w każdym razie zazwyczaj odnosił wrażenie, iż nie traktuje się go poważnie. Był młodszy od kolegów z klasy, no i zawsze zaliczano go do grupy nazywanej pogardliwie „mózgowcami". Wbrew swej woli musiał się ciągle starać, żeby zyskać czyjeś zaufanie, zaaklimatyzować się w klasie. Ale większość tych wysiłków spełzała na niczym. Nie mógł sobie zmienić koloru skóry, nie mógł od razu stać się wyższy i rozwinąć swej muskulatury, nie mógł także zgłupieć. Dla niego większość zajęć w szkole była tak przerażająco nudna, że musiał się bardzo starać, aby nie zasypiać na lekcjach. Niejednokrotnie doprowadzał nauczycieli do wściekłości, zapadając w drzemkę, kiedy już nie potrafił nad sobą zapanować. Uważał, że zajęcia to coś w rodzaju filmu wideo odtwarzanego w znacznie spowolnionym tempie –

wystarczyło raz na godzinę rzucić okiem na ekran, a i tak nie traciło się niczego z przebiegu akcji. Natomiast po lekcjach koledzy i koleżanki głównie omawiali ostatni odcinek jakiegoś serialu, najnowsze nagrania zespołów rockowych, występy ulubionych drużyn sportowych czy też aktualnie reklamowane produkty. On zaś nie potrafił się włączyć do tego typu rozmów, dla niego to wszystko nie miało żadnego znaczenia.

Już dawno doszedł do przekonania, że jest, oględnie mówiąc, niepopularny. Dlatego zazwyczaj wolał trzymać buzię na kłódkę. Nikt go nie rozumiał, z wyjątkiem Kelly. Tylko ona z reguły doskonale pojmowała, o czym on mówi.

No i był jeszcze doktor Levine. Po raz pierwszy Arby miał okazję uczestniczyć w tak prowadzonych lekcjach, że ich tematyka wzbudzała jego zainteresowanie. Co prawda nie pasjonował się specjalnie biologią, ale zawsze te zajęcia było dużo ciekawsze od innych przedmiotów. Kiedy zaś naukowiec zwrócił się do nich z prośbą o pomoc, Arby – chyba po raz pierwszy w życiu – poczuł autentyczne zaciekawienie szkolnymi lekcjami.

– I to jest ta Isla Sorna? – zapytała Kelly, wyglądając przez okno.

– Tak. Chyba tak.

– Wiesz co? Kiedy samochód zatrzymał się wcześniej na parę minut... Słyszałeś, o czym wtedy rozmawiali?

– Niezupełnie. Byłem strasznie grubo zawinięty w śpiwór.

– Ja też, ale udało mi się złowić pojedyncze słowa. Byli czymś nadzwyczaj podekscytowani.

– Możliwe.

– I odniosłam wrażenie, że rozmawiali o dinozaurach... – Kelly zawahała się na chwilę. – Naprawdę niczego nie słyszałeś?

Arby pokręcił głową i zachichotał, nie mogąc już dłużej opanować śmiechu.

– Nie, Kel.

– Ja jednak jestem prawie pewna...

– Daj spokój.

– Mówię ci, że słyszałam, jak Thorne wymienił nazwę triceratopsa.

– Kel, dinozaury wyginęły jakieś sześćdziesiąt milionów lat temu – jęknął Arby.

– Wiem o tym.

Wskazał jej widok za oknem.

– Są tam jakieś dinozaury?

Kelly przygryzła wargi, a po chwili się odwróciła i wyjrzała przez drugie okno. Zauważyła, że trzej mężczyźni wysiedli z explorera i wchodzą właśnie

do środka ogromnej budowli.

– Będą nieźle wkurzeni, gdy się dowiedzą o naszej obecności – rzekł Arby. – Jak według ciebie powinniśmy się ujawnić?

– Obojętne, i tak zostaną zaskoczeni.

– Wściekną się.

– Co z tego? Już nic na to nie poradzą.

– Może odeślą nas z powrotem.

– Jak? To niewykonalne.

– Masz rację.

Arby lekceważąco wzruszył ramionami, ale w rzeczywistości był bardzo przejęty. To Kelly wpadła na pomysł ukrycia się w samochodzie, on zawsze usiłował przestrzegać reguł narzucanych przez dorosłych, w miarę możności unikał wszelkich kłopotów. Nawet najsłabsza reprymenda nauczyciela powodowała, że natychmiast się czerwienił i oblewał potem. Teraz zaś, przez całą dwunastogodzinną podróż, rozmyślał o tym, jak Thorne i pozostali mężczyźni przyjmą ich obecność w furgonie.

– Ostatecznie, jeśli spojrzeć na sprawy obiektywnie, chcieliśmy jedynie pomóc w odnalezieniu naszego przyjaciela, doktora Levine'a, nic więcej. Przecież już wcześniej pomagaliśmy doktorowi Thorne'owi.

– To prawda...

– I teraz też z pewnością na coś się przydamy.

– Może...

– Oni potrzebują naszej pomocy.

– No, nie wiem... – mruknął Arby, wciąż nieprzekonany.

– Ciekawa jestem, co oni mają do jedzenia – powiedziała Kelly, otwierając lodówkę. – Nie jesteś głodny?

– Zjadłbym konia z kopytami – ożywił się nagle chłopak.

– Więc na co masz ochotę?

– A co tam jest? – Przysiadł na brzegu pobliskiej koi i przeciągnął się szeroko, spoglądając na dziewczynę buszującą w lodówce.

– Chodź i sam sobie weź – burknęła po chwili. – Nie jestem twoją gosposią.

– Dobra, coś taka nerwowa?

– Bo ty zawsze się tak zachowujesz, jakbyś był najważniejszy na świecie.

– Nieprawda. – Arby szybko zsunął się z koi.

– Jak małe dziecko!

– Przestań wreszcie! – rzucił ostro. – Co cię ugryzło? Jesteś tak zdenerwowana, jakbyś się czegoś bała.

– Na pewno – syknęła ironicznie, odsuwając się z kanapką w ręku.

Chłopak zajrzał do lodówki i pospiesznie chwycił pierwszą kanapkę z brzegu.

– Przecież tego nie lubisz.

– Owszem, lubię.

– Ale to kanapka z tuńczykiem.

Rzeczywiście Arby nie znosił tuńczyka. Szybko odłożył kanapkę z powrotem i zaczął oglądać pozostałe.

– Tam po lewej są z pieczonym indykiem – podsunęła Kelly. – Te większe, drożdżowe bułki.

Chłopak posłusznie sięgnął po wskazaną kanapkę.

– Dzięki.

– Nie ma sprawy. – Kelly rozpakowała kanapkę i łapczywie wbiła w nią zęby.

– Posłuchaj, w końcu to dzięki mnie się tu znaleźliśmy – rzekł Arby, jakby z namaszczeniem rozpakowując swoją bułkę; starannie rozprostowywał i odwijał na zewnątrz brzegi foliowej torebki.

– To prawda... Przyznaję... – wymamrotała dziewczyna z pełnymi ustami. – Spisałeś się znakomicie.

Chłopak zaczął powoli, małymi kęsami zjadać kanapkę. Przyszło mu do głowy, że chyba w całym swoim życiu nie kosztował jeszcze tak smakowitej bułki z indykiem. Nawet jego matka nie robiła czegoś tak wspaniałego.

To wspomnienie wywołało u niego falę ostrych wyrzutów sumienia. Matka Arby'ego odznaczała się niezwykłą urodą. Była ginekologiem i niewiele czasu spędzała w domu, lecz ilekroć ją widywał, zawsze wydawała mu się niespotykanie spokojna. Toteż przy niej jego zmartwienia od razu ulatywały. Powstała między nimi dość specyficzna więź, chociaż ostatnio matka zaczęła się martwić ogromem przyswajanej przez niego wiedzy. Pewnego wieczoru wszedł do jej pokoju i zerknął na fachowy artykuł dotyczący poziomu progesteronu oraz hormonu FSH u kobiet, który matka właśnie czytała. Ujrzawszy długie kolumny liczb, rzucił od niechcenia, że warto by zastosować funkcję nieliniową do statystycznej analizy tych danych. Matka spojrzała na niego zdumiona, jakby z cieniem strachu w oczach. Ten jej wzrok kazał mu natychmiast wyjść...

– Wezmę sobie następną – rzekła Kelly, podchodząc znowu do lodówki.

Po chwili usiadła obok niego, trzymała dwie kanapki.

– Myślisz, że dla wszystkich starczy zapasów żywności?

– Mało mnie to obchodzi. Konam z głodu. – Pospiesznie zaczęła rozpakowywać pierwszą kanapkę.

– Może nie powinniśmy się tak objadać…

– Arb, jeśli masz zamiar bez przerwy mnie zadręczać w ten sposób, to po co w ogóle tu przyjeżdżałeś?

Po krótkim namyśle stwierdził, że Kelly ma rację. Zresztą dostrzegł ze zdumieniem, że nawet nie zauważył, kiedy skończył pierwszą bułkę. Sięgnął po drugą, którą dziewczyna położyła na koi obok niego.

Kelly bez przerwy gapiła się w okno.

– Ciekawe, co to za budynek, do którego weszli. Wygląda na nieużywany.

– Owszem, i to od wielu lat.

– Po co ktoś miałby budować taką ogromną halę na bezludnej wyspie, z dala od wybrzeży Kostaryki?

– Może prowadzono tu jakieś ściśle tajne badania.

– Albo niebezpieczne.

– Tak, to też możliwe.

Samo wspomnienie o niebezpieczeństwie sprawiło, że Arby poczuł się nagle nieswojo i zatęsknił za rodzinnym domem.

– Zastanawia mnie, czym się tu zajmowano – ciągnęła Kelly. Po chwili zeskoczyła z koi i podeszła bliżej okna. – Taka ogromna hala… Ale to dziwne.

– Co?

– Spójrz tam. Cały budynek jest pokryty roślinnością, co sugeruje, że nikt o niego nie dba od dawna. Teren wokół niego także jest zarośnięty bardzo wysoką trawą.

– Owszem.

– Ale tu – wskazała środek polany, zaledwie kilka metrów od furgonu – widać wyraźną ścieżkę.

Arby odgryzł kawałek bułki i podszedł do okna. Dziewczyna miała rację, trawa była tam zdeptana i wyraźnie pożółkła, w wielu miejscach przeświecały łysiny gołej ziemi. Ów pas zniszczonej roślinności ciągnął się od jednego krańca polany po drugi.

– Jeśli nikt nie odwiedzał wyspy od wielu lat, to skąd się tu wzięła ta ścieżka?

– Pewnie wydeptały ją zwierzęta – mruknął Arby, gdyż żadne inne wytłumaczenie nie przychodziło mu do głowy. – Przeszły przez polanę, skubiąc po drodze trawę.

– Jakie zwierzęta?

– Nie mam pojęcia. Pewnie jakieś tu są, na przykład sarny.

– Do tej pory nie widziałam w tej dżungli żadnych saren.

Chłopak wzruszył ramionami.

– To może kozy? No wiesz, dzikie kozice, jakie można oglądać

w rezerwacie na Hawajach.

– Ta ścieżka jest za szeroka jak na żerowisko saren lub kozic.

– A jeśli przechodziło tędy całe stado?

– I tak jest za szeroka – upierała się Kelly.

Zaraz jednak machnęła lekceważąco ręką i odeszła od okna. Po raz kolejny zajrzała do lodówki.

– Ciekawe, czy znajdziemy coś na deser.

Arby nagle coś sobie przypomniał. Poszedł w głąb części mieszkalnej furgonu, wdrapał się na koję i zaczął na oślep macać w głębi szafki, w której się ukrywał.

– Czego szukasz? – zapytała Kelly.

– Mojego plecaka.

– Masz tam coś ciekawego?

– Nie, ale chyba nie spakowałem szczoteczki do zębów.

– I co z tego?

– Nie będę mógł po jedzeniu wyczyścić zębów.

– Arb, jakie to ma znaczenie?

– Ja zawsze starannie myję zęby...

– Rety – jęknęła dziewczyna. – Poluzuj trochę.

Arby westchnął ciężko.

– Może doktor Thorne będzie miał jakąś zapasową.

Zszedł na podłogę i przysiadł na brzegu ostatniej koi, tuż przy Kelly. Ta w końcu zamknęła lodówkę, skrzyżowała ręce na piersiach i krzywiąc się z niesmakiem, pokręciła głową.

– Nie ma niczego na deser?

– Nie, nawet jogurtu. Ach, ci dorośli. Zawsze o czymś zapomną.

– Tak, masz rację.

Arby ziewnął szeroko. W furgonie było gorąco, ogarniała go coraz większa senność. Zamknięty w ciasnej szafce, zdenerwowany i zziębnięty, przez ostatnie dwanaście godzin nawet nie zmrużył oka. Toteż teraz odczuwał przemożne zmęczenie.

Zerknął na Kelly, lecz dziewczyna także ziewała ukradkiem.

– Chcesz wyjść na zewnątrz? Trochę byśmy się otrzeźwili.

– Lepiej zostańmy tutaj – odparł.

– Jest tak duszno, że obawiam się, iż zaraz zasnę.

Nie mogąc już zapanować nad opadającymi powiekami, rozłożył śpiwór na podłodze pod oknem i wyciągnął się na nim. Kelly zaczęła nerwowo chodzić tam i z powrotem.

– Wcale nie mam zamiaru iść teraz spać – oznajmiła.

– Jak sobie chcesz, Kel – mruknął, zdając sobie w pełni sprawę, że nie zdoła dłużej walczyć z sennością.

– Ale... – dziewczyna ziewnęła po raz kolejny – może też się położę na minutę.

Arby zdążył jeszcze zarejestrować, że Kelly zajęła najniższą koję naprzeciwko niego, później oczy same mu się zamknęły i natychmiast zapadł w głęboki sen. Śniło mu się, że znów podróżuje w kontenerze zawieszonym pod brzuchem śmigłowca, odczuwał delikatne kołysanie i słyszał stłumiony terkot rotorów. Sen miał lekki, toteż w pewnym momencie się obudził i odniósł wrażenie, że faktycznie furgon chwieje się na boki, a zza okna dobiega ciche warczenie. Lecz już po chwili zasnął ponownie i tym razem przyśniły mu się dinozaury, o których mówiła Kelly. Zwierzęta były tak ogromne, że przez okno pojazdu nie mógł ich zobaczyć w całości i widział jedynie olbrzymie tylne łapy, stąpające ciężko po trawie wokół furgonu. W końcu dinozaury zaczęły się oddalać, lecz jeden z nich jeszcze zawrócił, pochylił się nisko i nagle Arby ujrzał łeb wielkiego jaszczura. Natychmiast sobie uzmysłowił, że patrzy na straszliwego tyranozaura. Zwierzę bez przerwy poruszało masywnymi szczękami, a jego ostre zęby błyszczały w promieniach słońca. O dziwo, we śnie chłopak przyjął ów widok z całkowitym spokojem.

BUDOWLA

Do wnętrza hali prowadziły przeszklone dwuskrzydłowe drzwi, za którymi rozciągał się mroczny hol. Szyby w drzwiach były popękane i silnie zabrudzone, a z metalowych uchwytów wielkimi płatami złaziło chromowe pokrycie. Od razu dostrzegli jednak, że śmieci i zeschnięte liście sprzed wejścia są zsunięte na bok i w dwóch półkolistych strefach ciemnieje stary beton.

– Ktoś niedawno otwierał te drzwi – zauważył Eddie.

– Owszem – mruknął Thorne, odchylając jedno ze skrzydeł – a w dodatku nosił obuwie marki Asolo. Pozwolą panowie?

Wkroczyli do wnętrza hali. Nagrzane powietrze wisiało tu nieruchomo i było przesiąknięte nieprzyjemną wonią. Hol okazał się niezbyt duży i skromnie urządzony. Znajdujący się na wprost wejścia kontuar recepcyjny, kiedyś obity szarą tkaniną, teraz porastał ciemnymi plamami jakiś liszaj.

Na ścianie za nim napis z chromowanych liter obwieszczał butnie: TWORZYMY PRZYSZŁOŚĆ, lecz jego część już ginęła pod zielonymi pędami winorośli. W wielu miejscach z przegniłego dywanu wyrastały grzyby. W prawym końcu holu mieściła się poczekalnia, stały tam dwie długie kanapy i kawiarniany stolik.

Jedną kanapę niemal w całości pokrywała rdzawobrązowa pleśń, druga była zakryta wielkim arkuszem folii. Właśnie przy niej leżały marne resztki zielonego plecaka Levine'a – z zewnętrznego pokrycia zostały wyszarpane długie pasy materiału. Na stoliku stały dwie puste plastikowe butelki po wodzie mineralnej, telefon satelitarny, a obok walała się cała sterta opakowań po herbatnikach i batonikach oraz para uwalanych błotem szortów. Kiedy podeszli bliżej, spod stolika błyskawicznie uciekł jaskrawozielony wąż.

– Na pewno jesteśmy w ośrodku badawczym InGenu? – zapytał Thorne, rozglądając się dookoła zaciekawiony.

– Nie ulega wątpliwości – odparł Malcolm.

Eddie kucnął przy plecaku Levine'a i ostrożnie musnął palcami brzegi rozdarcia. W tej samej chwili ze środka wyskoczył olbrzymi szczur.

– Matko Boska!

Gryzoń pospiesznie dał nura w mroczny kąt holu i Carr po raz drugi z ostrożnością zajrzał do wnętrza plecaka.

– Nie sądzę, żeby ktoś jeszcze miał ochotę na te resztki pogryzionych batoników – mruknął. – Czy odbierasz stąd jakiś sygnał namiarowy? – zapytał, gdyż w niektóre ubrania terenowe także były powszywane mikronadajniki.

– Nie – odparł Thorne, zerkając na ekran narę cznego odbiornika. – Nadal odbieram sygnał, ale... gdzieś stamtąd.

Wskazał prowadzący w głąb budynku korytarz, który ciągnął się za kontuarem recepcyjnym, a po obu jego stronach były umieszczone ciężkie, metalowe drzwi. Pierwotnie pozamykano je masywnymi sztabami tkwiącymi na zardzewiałych bolcach, lecz zostały one wyłamane i teraz leżały na podłodze.

– Idziemy po niego – oznajmił Eddie, ruszając w tamtym kierunku. – Jak myślisz, co to był za wąż?

– Skąd mógłbym wiedzieć?

– Jadowity?

– Nie mam pojęcia.

Pierwsze drzwi otworzyły się przy wtórze głośnego skrzypienia. Wszyscy trzej zajrzeli zaciekawieni do mrocznego korytarza. Wzdłuż jednej ściany ciągnęły się tu panoramiczne okna, lecz większość szyb była potłuczona i na podłodze walały się sterty zeschniętych liści i różnego śmiecia.

Na przeciwległej ścianie ciemniały brudne zacieki, a w kilku miejscach widać było rudawe plamy, jak gdyby pochodzące od dawno zakrzepłej krwi. Z korytarza prowadziło dalej kilka par drzwi, z których większość była jedynie przymknięta.

W pęknięciach wykładziny na podłodze wyrastały rośliny. Bliżej okien, gdzie docierało więcej światła słonecznego, winorośl czepiała się każdej rysy w murze. Jej zielone pędy zwieszały się także spod sufitu. Trzej mężczyźni ruszyli ostrożnie korytarzem. Dookoła panowała martwa cisza, tylko przy każdym kroku pod butami chrzęściły suche liście.

– Sygnał jest coraz silniejszy – rzekł Thorne, spoglądając na ekran odbiornika. – Levine musi się znajdować gdzieś w tej części budynku.

Otworzył pierwsze drzwi i obrzucił wzrokiem pomieszczenie. Był to zwykły pokój biurowy: pojedyncze biurko z krzesłem, na ścianie duża mapa wyspy. Lampka leżała przewrócona, zapewne upadła pod ciężarem oplatającej ją winorośli. Monitor komputera pokrywała gruba warstwa wrośniętego brudu. Przez zakurzone okienko w drugim końcu pokoju wpadało niewiele światła.

Poszli dalej do drugich drzwi, za którymi znajdowało się niemal identyczne pomieszczenie biurowe: takie samo biurko i krzesło, równie brudne okienko przepuszczające mało światła.

– Wygląda na to, że jesteśmy w części administracyjnej ośrodka – mruknął Eddie.

Thorne poszedł dalej, uchylił trzecie drzwi, potem czwarte. Wszędzie były podobne biura.

Kiedy jednak otworzył piąte drzwi, stanął zdumiony.

Przed nim rozciągała się przestronna sala konferencyjna, także zasłana zeschniętymi liśćmi i kurzem. Ale na długim stole zajmującym środkową część pokoju walały się odchody zwierząt. Szyby w brudnych oknach nie były jednak powybijane. Uwagę Thorne'a przyciągnęła całościenna mapa wyspy, w którą powpinane były różnokolorowe znaczniki na szpilkach. Eddie zatrzymał się obok niego i zmarszczył brwi.

Pod mapą stał biurowy regał na dokumenty. Carr próbował wysunąć kilka szuflad, ale wszystkie były pozamykane na klucz. Malcolm także wkroczył ostrożnie do sali i rozejrzał się dookoła.

– Co mogą oznaczać te znaczki na mapie? – spytał Eddie. – Nie domyślacie się, co to przedstawia?

Matematyk podszedł bliżej.

– Dwadzieścia znaczków w czterech odmiennych kolorach, po pięć każdego rodzaju. Są ułożone mniej więcej w regularny pięciokąt, którego wierzchołki sięgają najdalszych krańców płaskiej, środkowej części krateru. To

mi wygląda na jakąś sieć.

– Przypominam sobie, że w którymś dokumencie, jaki Arby wywołał w komputerze, była mowa o istniejącej na wyspie sieci.

– Tak, faktycznie... To bardzo interesujące...

– Nie pora teraz roztrząsać, o co tu chodzi – oznajmił Thorne.

Zawrócił w stronę drzwi, stanął na korytarzu i zerknął na ekran odbiornika, żeby sprawdzić, skąd dociera sygnał namiaru. Malcolm wyszedł z sali ostatni i zamknął za sobą drzwi. Ruszyli dalej. Minęli kilka dalszych pomieszczeń biurowych, do których nawet nie zaglądali. Chcieli jak najszybciej odnaleźć Levine'a.

Korytarz kończył się parą przeszklonych rozsuwanych drzwi, na których widniał duży napis: OSOBOM NIEUPRAWNIONYM WSTĘP WZBRONIONY. Thorne próbował zajrzeć przez szybę do środka, lecz tłoczone szkło, do tego zakurzone i pokryte zaciekami, rozmazywało wszystkie kształty. Odniósł jednak wrażenie, że za drzwiami ciągnie się rozległa przestrzeń zastawiona jakimiś dużymi urządzeniami.

– Naprawdę jesteś przekonany, że wiesz, czym się tu zajmowano? – zwrócił się do Malcolma.

– Nie mam żadnych wątpliwości. Tutaj klonowano i hodowano dinozaury.

– Nie rozumiem, po co ktoś miałby to robić – wtrącił Carr.

– To rzeczywiście nie jest takie proste, dlatego trzymano całą sprawę w najściślejszej tajemnicy.

– Tajemnica niczego nie wyjaśnia.

Malcolm uśmiechnął się lekko.

– To długa historia – mruknął.

Wsunął czubki palców w szczelinę między skrzydłami drzwi i próbował je rozsunąć, lecz te nawet nie drgnęły. Napiął mięśnie i aż stęknął z wysiłku, gdy nieoczekiwanie coś zgrzytnęło i przejście stanęło przed nimi otworem.

Ostrożnie wkroczyli w gęsty półmrok.

Przy świetle latarek posuwali się z wolna pomalowanym na ciemnogranatowo korytarzykiem.

– Żeby zrozumieć to wszystko – zaczął Malcolm – trzeba się cofnąć o dziesięć lat. Cała sprawa wzięła początek od niejakiego Johna Hammonda i zwierzęcia zwanego kwaggą.

– Jakiego zwierzęcia?

– Kwagga to afrykański ssak kopytny, bliski krewniak zebry, który wyginął w dziewiętnastym wieku. W latach osiemdziesiątych ktoś zastosował metody ekstrakcyjne do uzyskania DNA pochodzącego z zachowanych szczątków tych zwierząt. Udało się je otrzymać w takiej postaci i takiej ilości, że pojawiły się głosy, iż możliwe jest odtworzenie wymarłego gatunku. Skoro więc okazało się możliwe wyhodowanie na powrót kwaggi, to dlaczego nie spróbować tego samego z innymi wymarłymi gatunkami? Na przykład z ptakiem dodo czy tygrysem szablozębnym? Albo też z dinozaurami?

– Tylko skąd wziąć DNA dinozaurów? – wtrącił Thorne.

– Ze szczątków wykopywanych przez paleontologów już przed laty zdołano wyodrębnić fragmenty łańcuchów DNA. Niewiele się o tym mówiło, ponieważ materiał był nawet niewystarczający do sporządzenia szczegółowej klasyfikacji tych zwierząt. Nikt nie przywiązywał do tych prac szczególnej wagi, traktowano to jako ciekawostkę czysto naukową.

– Ale fragmenty DNA nie wystarczą przecież do odtworzenia całego zwierzęcia – rzekł Thorne. – Trzeba by dysponować kompletnym łańcuchem.

– Zgadza się – przyznał Malcolm. – I John Hammond, zwariowany multimilioner, był właśnie tym człowiekiem, który wpadł na pomysł, jak tego dokonać. Doszedł do wniosku, że przed milionami lat wiele owadów, podobnie jak dzisiaj, żywiło się krwią dużych zwierząt. Później zaś niektóre z nich wpadły w pułapkę zastygającej żywicy drzew i zostały na wieki zakonserwowane w kawałkach bursztynu. Wykombinował zatem, że jeśli się przewiercić do uwięzionych w bursztynie insektów i pobrać próbkę ich treści żołądkowej, zyska się sposobność odtworzenia całych łańcuchów paleo-DNA żyjących wówczas zwierząt.

– I to mu się udało?

– Owszem. Właśnie powołany przez Hammonda InGen zajął się tym problemem. Facet był typowym niespokojnym duchem, ale miał niezwykły talent do pomnażania swoich pieniędzy. Szybko znalazł odpowiednie fundusze na rozkręcenie badań nad otrzymaniem z łańcucha DNA żywego zwierzęcia, nic dziwnego jednak, że były one niewystarczające do realizacji wszystkich zamierzeń. No cóż, odtworzenie wymarłych dinozaurów może być pasjonujące, ale to z pewnością nie to samo, co uzyskanie skutecznego lekarstwa na raka. Dlatego Hammond postanowił stworzyć wielką atrakcję turystyczną, odzyskać część funduszy włożonych w hodowlę dinozaurów poprzez wybudowanie ogromnego parku, gdzie zwierzęta byłyby pokazywane zwiedzającym jak w typowym ogrodzie zoologicznym.

– Żartujesz? – wyskoczył Thorne.

– Ani trochę. Hammond zrealizował swój plan, stworzył taki park na Isla

Nublar, podobnej wyspie wulkanicznej leżącej dalej na północy, i miał zamiar pod koniec 1989 roku udostępnić go turystom. Miałem okazję zwiedzać tę wyspę na krótko przed planowanym otwarciem. Wyniknęły jednak nieprzewidziane problemy – ciągnął Malcolm. – System zarządzania parkiem okazał się wadliwy i dinozaury wydostały się na wolność. Sporo zwiedzających zginęło. W efekcie cały tamten kompleks i wszystkie zwierzęta zostały zniszczone.

Zatrzymali się przy oknie, skąd roztaczał się piękny widok na nadrzeczną równinę, na której pasły się dinozaury.

– Jeśli naprawdę wszystkie zostały zniszczone, to skąd się wzięły tutaj? – zapytał Thorne.

– Istnienie tego ośrodka Hammond utrzymywał w najściślejszej tajemnicy. To była owa mroczna strona jego wspaniałego projektu.

Powoli ruszyli dalej.

– Otóż zwiedzający park na Isla Nublar mogli zobaczyć niezwykłe laboratorium genetyczne, wyposażone w najnowsze komputery oraz sekwencery genów, a także wszelkiego typu urządzenia, które służyły do prowadzenia wylęgu i hodowli dinozaurów. Przewodnicy tłumaczyli, że cały proces odtwarzania wymarłych zwierząt jest prowadzony właśnie tam. Zresztą muszę przyznać, że obchód tego laboratorium naprawdę był fascynujący. Ale w gruncie rzeczy zorganizowana przez Hammonda wycieczka nie wyjaśniała paru kluczowych zagadnień. W jednej sali pokazywano pracę nad ekstrakcją DNA z owadów uwięzionych w bursztynie, a w następnej jaja dinozaurów leżące w inkubatorach. Efekt był nadzwyczaj dramatyczny, lecz pozostawało zagadką, w jaki sposób z samego łańcucha DNA uzyskiwano zapłodnione jajo. Na ten temat nie padło ani jedno słowo wyjaśnienia. Wyglądało to tak, jakby proces stworzenia dokonywał się samoistnie przy przechodzeniu z jednej sali do drugiej.

Malcolm urwał na chwilę, lecz zaraz mówił dalej:

– Całe to przedstawienie zorganizowane przez Hammonda było nazbyt idealne, by mieć cokolwiek wspólnego z rzeczywistością. Na przykład w kolejnej sali pokazywano młode dinozaury wykluwające się z jaj, na co każdy zwiedzający musiał patrzeć z zapartym tchem. Lecz wylęg przebiegał bez najmniejszych kłopotów. Nie było ani jednego martwego embrionu czy zdeformowanego zwierzęcia, wszystko szło jak po maśle. Mimo

woli nasuwało się podejrzenie, że Hammond celowo przedstawia swą technologię jako doskonałą i dopracowaną w najdrobniejszych szczegółach. Bo już po krótkim zastanowieniu każdy musiał dojść do wniosku, że to niemożliwe. Wszystkie nowoczesne technologie, które nie zostały jeszcze gruntownie przebadane, są stosunkowo mało wydajne, czasami przynoszą spodziewane rezultaty zaledwie w jednym procencie. A stąd wynikało, że Hammond musiał wcześniej rozklonować setki embrionów, zanim zdołał uzyskać jednego żywego dinozaura. Musiał zatem dysponować olbrzymim zapleczem technicznym, hodowli na taką skalę nie dało się przeprowadzić w jednym małym laboratorium.

– I uważasz, że robił to właśnie tutaj? – spytał Thorne.

– Tak. Na bezludnej wyspie, w całkowitej tajemnicy, z dala od wścibskich dziennikarzy. Miał tu zresztą całkowicie wolną rękę w prowadzeniu tych prac, poza tym mógł ukryć brutalną prawdę za imponującą fasadą swojego parku. Tamten niezwykły ogród zoologiczny Hammonda był na pokaz, bo z wszelkimi problemami borykano się na tej wyspie. Właśnie tu wytwarzano dinozaury na olbrzymią skalę.

– Lecz jeśli faktycznie wszystkie zwierzęta w tamtym zoo zostały zniszczone – zagadnął ponownie Eddie – jak to się stało, że tutaj przetrwały?

– I to jest właśnie najważniejsze pytanie. Mam nadzieję, że już wkrótce znajdziemy na nie odpowiedź. – Poświecił latarką w głąb korytarza, jej światło wyłowiło z ciemności szklane przepierzenia. – Jeśli się nie mylę, wkraczamy właśnie na teren właściwej fabryki.

ARBY

Chłopak obudził się, usiadł na posłaniu i zamrugał szybko, gdyż jaskrawe słońce świeciło mu zza szyby furgonu prosto w twarz. Zerknął w bok, na Kelly, która nadal spała smacznie na koi, lekko postękując przez sen.

Spojrzał ponownie za okno, na ganek przed wejściem do gigantycznej hali, ale nie dostrzegł nigdzie nawet śladu trzech mężczyzn. Explorer nadal stał przed drzwiami budowli, lecz w szoferce auta również nie było nikogo. Furgon zdawał się tonąć w wysokiej trawie polanki. Arby poczuł się nagle całkiem osamotniony, wręcz przerażająco osamotniony i fala irracjonalnego strachu sprawiła, że serce zabiło mu mocniej. W ogóle nie powinienem był tu

przyjeżdżać – pomyślał. Zachowałem się jak głupek, a co gorsza, sam starannie zaplanowałem sposób ukrycia się w wozie.

Rzeczywiście Arby przejął inicjatywę od chwili, kiedy przed wyjściem z auta Kelly podsunęła mu pomysł. To on wykombinował, aby pójść do kantorku i pożegnać się z Thorne'em, a przy okazji zabrać zapasowe klucze do furgonu, kiedy ona zagada doktora. To on wymyślił sposób na przesłanie opóźnionej wiadomości, chcąc przekonać tym Thorne'a, że zostali w Woodside. Wtedy był bardzo dumny z siebie, ale teraz żałował, że dał się podkusić. Zdecydował, że musi jak najszybciej powiadomić o wszystkim doktora. Chciał się wytłumaczyć, pragnął zrzucić z siebie przynajmniej cząstkę winy.

Ale przede wszystkim chciał usłyszeć czyjś głos.

Ostrożnie wyszedł z części mieszkalnej furgonu, minął laboratorium, usiadł w kabinie i przekręcił kluczyk w stacyjce. Włączył krótkofalówkę, sięgnął po mikrofon i rzekł cicho:

– Tu Arby. Czy ktoś mnie słyszy? Odbiór. Mówi Arby.

W głośniku nie rozległ się nawet jeden trzask. Chłopak spojrzał na monitor wbudowany w deskę rozdzielczą i zauważył, że w okienku ukazującym działające systemy nie ma wymienionych żadnych środków łączności. Uzmysłowił sobie, że krótkofalówka także musi być sterowana przez komputer, toteż postanowił go uruchomić.

Wrócił do części laboratoryjnej, zdjął osłonę klawiatury i włączył komputer. Na ekranie, pod nagłówkiem głoszącym: THORNE FIELD SYSTEMS, ukazało się główne menu, a poniżej tabela podstawowych układów znajdujących się pod kontrolą systemu komputerowego. Była wśród nich wymieniona łączność radiowa. Arby naprowadził kursor na odpowiednią pozycję i nacisnął ENTER.

Ekran zapełniła czarno-biała kasza zakłóceń statycznych. Po chwili w dolnym wierszu komunikatów pojawił się napis: „Odbiór sygnałów w szerokim paśmie częstotliwości. Uruchomić automatyczne dostrojenie?".

Chłopak niezbyt dobrze wiedział, jak należy obsługiwać program sterujący łącznością, ale nie bał się komputerów. „Automatyczne dostrojenie" brzmiało zachęcająco, toteż bez wahania wpisał potwierdzenie.

Czarno-biała kasza nie zniknęła, lecz w dole ekranu zostały wyświetlone szybko zmieniające się liczby. Domyślił się, że są to częstotliwości radiowe w megahercach, lecz nadal nie był pewien, jak postąpić.

Niespodziewanie ekran pociemniał i na środku ukazał się jaskrawy, migający napis: PODAJ HASŁO.

Arby zmarszczył brwi. Wydało mu się to dziwne, że w celu nawiązania łączności komputer żąda od niego hasła dostępu do całego złożonego systemu.

A on go przecież nie znał. Postanowił spróbować w ciemno i wpisał: THORNE.

Nic się nie zmieniło.

Odczekał parę sekund, po czym wpisał inicjały doktora: JT.

Nadal nic.

LEVINE.

Bez rezultatu.

THORNE FIELD SYSTEMS.

Też nic.

TFS.

Tak samo.

FIELD.

Ciągle nic.

UŻYTKOWNIK.

Nic.

Westchnął ciężko. No cóż, ważne, że system jeszcze się nie wyłączył – pomyślał. Większość zastrzeżonych programów komputerowych dopuszczała najwyżej trzy próby wpisania hasła dostępu. Widocznie Thorne nie chciał stosować jakichś nadzwyczajnych środków ostrożności. Arby doszedł jednak do wniosku, że dalsze wpisywanie haseł w ciemno nie ma większego sensu, a skoro program wydaje się tak cierpliwy i przyjazny dla użytkownika, to trzeba spróbować innej metody.

Szybko wpisał: HELP.

Kursor przeskoczył na dół ekranu, a napis przestał migać. Rozległ się za to cichy szum dysku twardego.

– Działa – mruknął chłopak, zacierając ręce.

LABORATORIUM

Kiedy wzrok Thorne'a oswoił się z półmrokiem, doktor obrzucił zaciekawionym spojrzeniem gigantyczną przestrzeń, w której stały rzędami olbrzymie sześcienne urządzenia z nierdzewnej stali, a z nich wychodziły grube pęki plastikowych węży. Kurz zalegał wszędzie grubą warstwą. Niektóre z błyszczących aparatów były poprzewracane.

– W pierwszym szeregu stoją sekwencery genów Nishihary – objaśnił Malcolm. – Tam dalej widzicie zautomatyzowane syntezery DNA.

– To rzeczywiście cała fabryka – rzekł Eddie. – Jakby produkowano tu specjalne preparaty dla rolnictwa.

– Bo to prawda.

W najbliższym kącie hali stała na biurku drukarka, a obok na ziemi leżało parę arkuszy pożółkłego papieru. Malcolm podniósł jeden z nich i zerknął na wydruk:

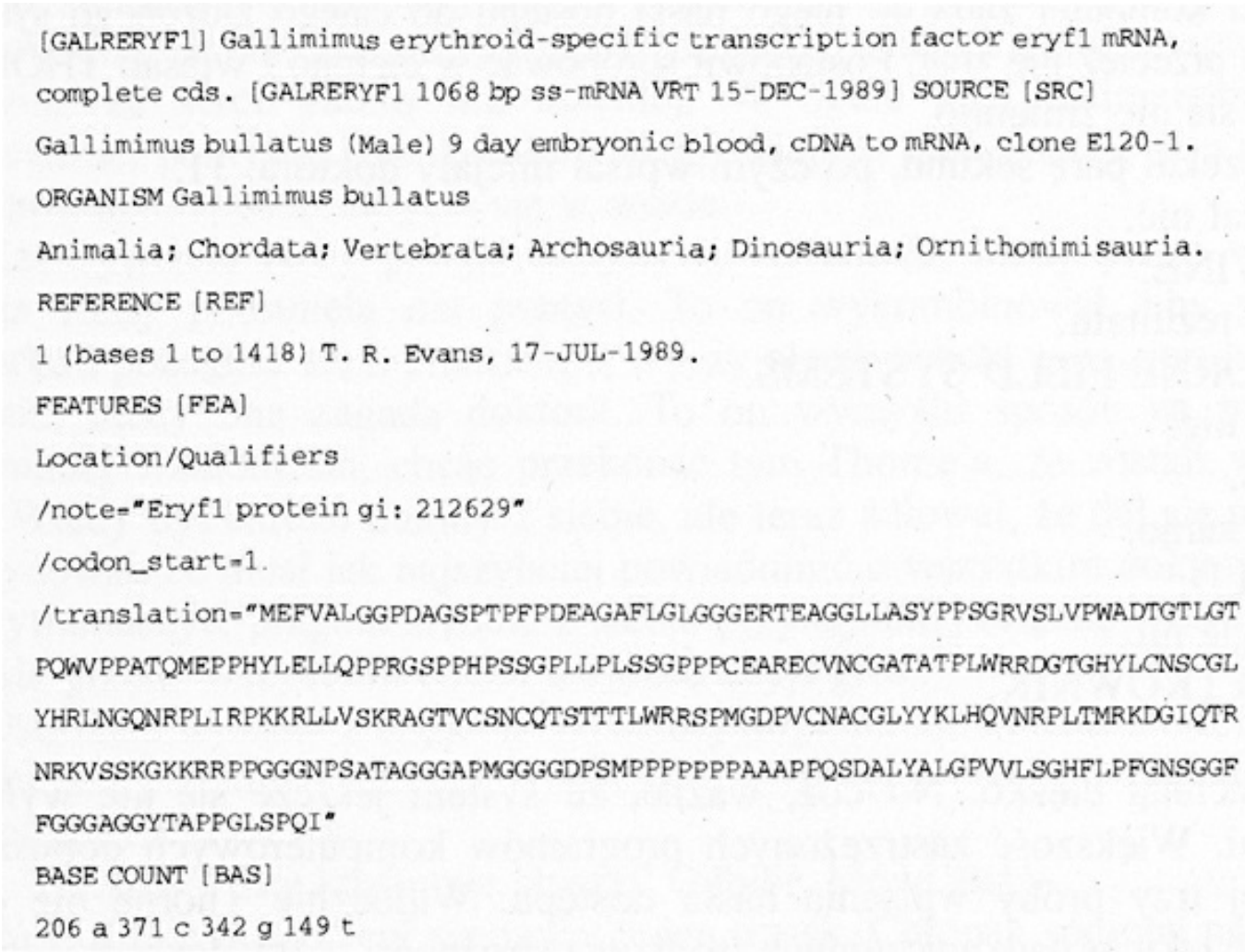

[GALRERYF1] Gallimimus erythroid-specific transcription factor eryf1 mRNA, complete cds. [GALRERYF1 1068 bp ss-mRNA VRT 15-DEC-1989] SOURCE [SRC] Gallimimus bullatus (Male) 9 day embryonic blood, cDNA to mRNA, clone E120-1. ORGANISM Gallimimus bullatus Animalia; Chordata; Vertebrata; Archosauria; Dinosauria; Ornithomimisauria. REFERENCE [REF] 1 (bases 1 to 1418) T. R. Evans, 17-JUL-1989. FEATURES [FEA] Location/Qualifiers /note="Eryf1 protein gi: 212629" /codon_start=1 /translation="MEFVALGGPDAGSPTPFPDEAGAFLGLGGGERTEAGGLLASYPPSGRVSLVPWADTGTLGT PQWVPPATQMEPPHYLELLQPPRGSPPHPSSGPLLPLSSGPPPCEARECVNCGATATPLWRRDGTGHYLCNSCGL YHRLNGQNRPLIRPKKRLLVSKRAGTVCSNCQTSTTTLWRRSPMGDPVCNACGLYYKLHQVNRPLTMRKDGIQTR NRKVSSKGKKRRPPGGGNPSATAGGGAPMGGGGDPSMPPPPPPPAAAPPQSDALYALGPVVLSGHFLPFGNSGGF FGGGAGGYTAPPGLSPQI" BASE COUNT [BAS] 206 a 371 c 342 g 149 t

– To odsyłacze do komputerowej bazy danych – rzekł matematyk. – Prawdopodobnie chodzi o jakiś składnik krwi dinozaura, coś mającego związek z czerwonymi krwinkami.

– I to jest ta sekwencja łańcucha DNA?

– Nie. – Malcolm zaczął przerzucać pozostałe papiery. – W sekwencji powinny być wymienione kolejne nukleotydy... O, proszę.

Wskazał inny wydruk:

```
   1 GAATTCCGGA AGCGAGCAAG AGATAAGTCC TGGCATCAGA TACAGTTGGA GATAAGGACG
  61 GACGTGTGGC AGCTCCCGCA GAGGATTCAC TGGAAGTGCA TTACCTATCC CATGGGAGCC
 121 ATGGAGTTCG TGGCGCTGGG GGGGCCGGAT GCGGGCTCCC CCACTCCGTT CCCTGATGAA
 181 GCCGGAGCCT TCCTGGGGCT GGGGGGGGGC GAGAGGACGG AGGCGGGGGG GCTGCTGGCC
 241 TCCTACCCCC CCTCAGGCCG CGTGTCCCTG GTGCCGTGGG CAGACACGGG TACTTTGGGG
 301 ACCCCCCAGT GGGTGCCGCC CGCCACCCAA ATGGAGCCCC CCCACTACCT GGAGCTGCTG
 361 CAACCCCCCC GGGGCAGCCC CCCCCATCCC TCCTCCGGGC CCCTACTGCC ACTCAGCAGC
 421 GGGCCCCCAC CCTGCGAGGC CCGTGAGTGC GTCATGGCCA GGAAGAACTG CGGAGCGACG
 481 CGAACGCCGC TGTGGCGCCG GGACGGCACC GGGCATTACC TGTGCAACTG GGCCTCAGCC
 541 TGCGGGCTCT ACCACCGCCT CAACGGCCAG AACCGCCCGC TCATCCGCCC CAAAAAGCGC
 601 CTGCTGGTGA GTAAGCGCGC AGGCACAGTG TGCAGCCACG AGCGTGAAAA CTGCCAGACA
 661 TCCACCACCA CTCTGTGGCG TCGCAGCCCC ATGGGGGACC CCGTCTGCAA CAACATTCAC
 721 GCCTGCGGCC TCTACTACAA ACTGCACCAA GTGAACCGCC CCCTCACGAT GCGCAAAGAC
 781 GGAATCCAAA CCCGAAACCG CAAAGTTTCC TCCAAGGGTA AAAAGCGGCG CCCCCCGGGG
 841 GGGGGAAACC CCTCCGCCAC CGCGGGAGGG GGCGCTCCTA TGGGGGGAGG GGGGGACCCC
 901 TCTATGCCCC CCCCGCCGCC CCCCCCGGCC GCCGCCCCCC CTCAAAGCGA CGCTCTGTAC
 961 GCTCTCGGCC CCGTGGTCCT TTCGGGCCAT TTTCTGCCCT TTGGAAACTC CGGAGGGTTT
1021 TTTGGGGGGG GGGCGGGGGG TTACACGGCC CCCCCGGGGC TGAGCCCGCA GATTTAAATA
1081 ATAACTCTGA CGTGGGCAAG TGGGCCTTGC TGAGAAGACA GTGTAACATA ATAATTTGCA
1141 CCTCGGCAAT TGCAGAGGGT CGATCTCCAC TTTGGACACA ACAGGGCTAC TCGGTAGGAC
1201 CAGATAAGCA CTTTGCTCCC TGGACTGAAA AAGAAAGGAT TTATCTGTTT GCTTCTTGCT
1261 GACAAATCCC TGTGAAAGGT AAAAGTCGGA CACAGCAATC GATTATTTCT CGCCTGTGTG
1321 AAATTACTGT GAATATTGTA AATATATATA TATATATATA TATATCTGTA TAGAACAGCC
1381 TCGGAGGCGG CATGGACCCA GCGTAGATCA TGCTGGATTT GTACTGCCGG AATTC
```

Rozdzielnik [DIS]

Wu /HQ-Ops

Lori Ruso /Prod

Venn /LLv-1

Chang /89 Pen

NOTA PRODUKCYJNA [PNOT]

Sekwencja kompletna i zatwierdzona.

– Czy to nam może pomóc w wyjaśnieniu przyczyny, dla której zwierzęta

przetrwały na tej wyspie? – zapytał Thorne.

– Nie jestem pewien – odparł Malcolm.

Nie miał pojęcia, czy któryś z tych wydruków odnosi się do ostatnich dni działania ośrodka. Nie można przecież było wykluczyć, że jakiś pracownik przed laty po prostu zostawił bezużyteczne papiery na podłodze.

Zajrzał za biurko, na którym stała drukarka, i odkrył tam półkę z dalszymi zadrukowanymi arkuszami. Wziął kilka z nich i przekonał się, że są to komunikaty, prawdopodobnie przesyłane dalekopisem. Na każdej z wyblakłych, niebieskawych kartek papieru widniała tylko jedna krótka wiadomość.

Od: CC/D-P. Jenkinsa
Do: H. Wu
Zwiększony poziom dopaminy w Alfa 5 oznacza, że receptor D1 nadal nie funkcjonuje z odpowiednią szybkością. Minimalizacja zachowań agresywnych u gotowych egzemplarzy musi być oparta na odmiennym podłożu genetycznym. Musimy rozpocząć testy jeszcze dziś.

I następna:

Od: CC/D
Do: H. Wu/Dod.
Glikogen syntazo-kinaza-3, wyodrębniony u ksenopusa, może być znacznie skuteczniejszy niż pochodzący od ssaków GSK-3 alfa/beta, który obecnie stosujemy. Prawdopodobnie zapewni dużo większą polaryzację grzbietowo-brzuszną, przez co będzie mniej strat we wczesnym rozwoju embrionalnym. Zgoda?

Malcolm przeczytał jeszcze jedną korespondencję:

Od: Backesa
Do: H. Wu/Dod.
Krótkie łańcuchy białkowe mogą się zachowywać jak priony. Przyczyn nadal nie znamy, dlatego proponuję wstrzymać dawkowanie wszelkich

egzogennych protein egzemplarzom mięsożernym, dopóki sprawa nie zostanie wyjaśniona. Trzeba powstrzymać tę plagę!

Thorne zaglądał mu przez ramię.

– Wygląda na to, że mieli spore kłopoty – powiedział.

– To oczywiste. Bardzo bym się zdziwił, gdyby nie napotkali trudności. Problem polega jednak na tym, że…

Urwał, patrząc się na kolejną wiadomość, tym razem nieco dłuższą.

KOMUNIKAT PRODUKCYJNY INGENU 10/10/88
Od: Lori Ruso
Do: Całego personelu
Temat: Niska wydajność produkcji

Przyczyną notowanych ostatnio wypadków marnotrawienia żywego materiału w ciągu 24–72 godzin od wyklucia jest zaobserwowana kontaminacja bakterii *Escherichia coli*. Spowodowało to obniżenie wydajności produkcji o 60%, wskutek nieprzestrzegania przez personel nadzoru zasad sterylności, głównie podczas procesu H (faza inkubacji jaj, obróbka hormonalna 2G/H).

W komorach 5A oraz 7D zostały wymienione przegubowe uchwyty i gumowe rękawy, lecz mimo to wymiana igieł musi się odbywać codziennie, zgodnie z regułami sterylności (Instrukcja Ogólna, Zasady Postępowania 5–9).

W trakcie kolejnego cyklu produkcyjnego (12/10–26/10) co dziesiąte jajo w fazie H zostanie poddane badaniom na kontaminację bakterii. Należy je od razu oddzielić od pozostałych. Meldować o wszelkich kłopotach. Zatrzymać linię produkcyjną, jeśli zajdzie taka potrzeba, do czasu likwidacji przyczyn śmiertelności.

– Mieli nie tylko kłopoty z infekcją bakteryjną na linii produkcyjnej, lecz

również z kontaminacją mikroorganizmów – oznajmił Malcolm. – Być może przyczyny kryły się nie tylko w nieprzestrzeganiu zasad sterylności. Spójrz na to.

Wyciągnął w stronę Thorne'a kolejną wiadomość:

KOMUNIKAT PRODUKCYJNY INGENU 18/12/88
Od: H. Wu
Do: Całego personelu
Temat: DX – znakowanie i uwalnianie

Wszystkie żywe egzemplarze zostaną w najbliższym czasie wyposażone w najnowsze plakietki identyfikacyjne Grumbacha. Zrezygnujemy z karmienia zwierząt na terenie laboratorium, co dotychczas pozwalało na kontrolę ich liczebności. Program nadzorujący został ukończony i działa zadowalająco, wkrótce oznakowane egzemplarze znajdą się pod ciągłą kontrolą sieci czujników przekazujących informacje o ruchach zwierząt do centralnego komputera.

– Czyżby wreszcie wyjaśniła się sprawa tajemniczej sieci? – rzekł Thorne.

– Owszem. Mieli kłopoty z utrzymaniem przy życiu wykluwających się zwierząt, toteż zaczęli je znakować i wypuszczać na wolność.

– I poprzez ten zespół czujników śledzili ich ruchy?

– Na to wygląda.

– Aż nie chce mi się wierzyć, że pozwolili dinozaurom swobodnie poruszać się po całej wyspie. Przecież to czyste szaleństwo.

– Powiedziałbym raczej, że akt desperacji – zauważył Malcolm. – Wyobraź sobie tylko: zainwestowali ogromne fundusze w tak gigantyczny proces technologiczny, a tu po jego zakończeniu zwierzęta podłapują infekcję i zdychają. Podejrzewam, że Hammond wpadł w furię. Chyba tylko dlatego zdecydowali się wypuszczać zwierzęta na wolność.

– Dlaczego jednak nie próbowali opanować szerzącej się infekcji? Dlaczego nie podjęli...

– Zadecydowały względy komercyjne – przerwał mu matematyk. – Liczyły się wyłącznie efekty. Jestem przekonany, iż sądzili, że skoro potrafią nadzorować każdy ruch zwierząt na terenie wyspy, to będą mogli w każdej chwili przejąć nad nimi kontrolę. Nie zapominaj, że cały ten system musiał być funkcjonalny. Widocznie puszczali zwierzęta na wolność, a kiedy te nieco podrosły, przewozili je do parku Hammonda...

– Chyba jednak nie wszystkie…

– No cóż, wiele rzeczy pozostaje ciągle zagadką. Nie wiemy nadal, co się tutaj wydarzyło.

Poszli dalej, minęli kolejne drzwi i znaleźli się w niewielkim, pozbawionym okien pomieszczeniu. Jego środek zajmowała długa ławka, wzdłuż ścian ciągnęły się rzędy metalowych szafek. Pod sufitem wisiała duża tablica z napisem: OBOWIĄZUJĄ ZASADY STERYLNOŚCI, a poniżej: NALEŻY ŚCIŚLE PRZESTRZEGAĆ NORMY SK4. W przeciwległym końcu stał regał zapchany pożółkłymi, niegdyś białymi fartuchami oraz czapeczkami szpitalnymi.

– To szatnia – powiedział Eddie.

– Na to wygląda.

Malcolm podszedł do jednej z szafek i zajrzał do środka: na podłodze stała para męskich butów. Otworzył kilka następnych, ale wszystkie były puste. Po wewnętrznej stronie drzwi poprzyklejano plakaty z napisem:

Bezpieczeństwo to nasza wspólna troska!
Melduj o wszelkich anomaliach genetycznych!
Właściwie zabezpieczaj odpady biologiczne!
Trzeba powstrzymać rozprzestrzenianie się DX!

– Co to jest DX? – zapytał Carr.

– Chyba w ten sposób określali owa tajemniczą zarazę dziesiątkującą zwierzęta – odparł Malcolm.

Na końcu przebieralni znajdowało się dwoje drzwi. Te z prawej strony otwierały się pneumatycznie, mechanizm uruchamiał duży obciągnięty gumą pedał znajdujący się nad podłogą tuż przy futrynie. Teraz były jednak zamknięte na głucho, toteż cała trójka przeszła do drugich, pozbawionych specjalnych zabezpieczeń.

Znów znaleźli się w długim korytarzu. Całą jedną ścianę tworzyły ciągnące się od podłogi do sufitu panoramiczne okna. Tafle szkła były porysowane i pokryte brudnymi zaciekami, dało się jednak zajrzeć przez nie do sąsiedniego pomieszczenia. Thorne nigdy w życiu nie widział jeszcze

czegoś podobnego.

Gigantyczną halę wielkości boiska piłkarskiego przecinały pasy transmisyjne prowadzące na dwóch poziomach – jednym umieszczonym wysoko, pod sufitem, drugim zaś na wysokości bioder. Przy każdym z ciągów stały różnorodne urządzenia wyznaczające wiele odrębnych stanowisk, w większości wyposażone w przegubowe uchwyty. Wychodziły z nich liczne węże oraz przewody.

Thorne przez szybę skierował promień latarki na najbliższy pas transmisyjny.

– Prawdziwa linia produkcyjna – mruknął.

– Chyba nadal jest w doskonałym stanie i nadaje się do ponownego uruchomienia – orzekł Malcolm. – Widzę tylko pojedyncze roślinki wyrastające ze szczelin w betonowej posadzce, lecz poza tym w całej hali panuje prawie nieskazitelna czystość.

– Rzekłbym, że wręcz podejrzana – dodał Eddie.

Thorne wzruszył ramionami.

– Jeśli tak ściśle przestrzegano zasad sterylności, to zapewne cała hala jest hermetyczna. Podejrzewam, że nikt jej nie otwierał od wielu lat.

Carr energicznie pokręcił głową.

– Od wielu lat? To raczej niemożliwe, Doc.

– Więc jak wytłumaczysz tę niemal idealną czystość?

Malcolm zmarszczył brwi i przywarł nosem do szyby, obrzucając wzrokiem całe pomieszczenie. Czy to rzeczywiście możliwe, aby w tak ogromnej hali przez wiele lat zachowała się sterylna czystość? – pomyślał. Nie, to chyba...

– Hej! – zawołał niespodziewanie Eddie.

Matematyk zauważył to w tej samej chwili. W przeciwległym końcu hali, wysoko na ścianie, znajdowała się jakaś pomalowana na niebiesko metalowa skrzynka, z której wychodził pęk grubych kabli elektrycznych. Widocznie była to jakaś rozdzielnia prądu. Na obudowie umieszczono czerwoną lampkę kontrolną.

Żarówka się świeciła.

– Zasilanie nadal działa!

Thorne także przybliżył twarz do szyby, zerkając ciekawie w głąb hali.

– To niemożliwe! Musi się tam znajdować źródło zasilania awaryjnego, jakiś zestaw akumulatorów...

– Naładowanych od pięciu lat? – zapytał sceptycznie Eddie. – Nie ma jeszcze tak wytrzymałych akumulatorów. Mówię ci, Doc, że wszystkie urządzenia w hali są ciągle pod prądem!

Arby wpatrywał się w pociemniały monitor, na którym po chwili wyświetlił się jaskrawy napis:

CZY PO RAZ PIERWSZY KORZYSTASZ Z DOSTĘPU DO SYSTEMU?

Chłopak pospiesznie wystukał:

TAK.

Nastąpiła chwilowa przerwa.

Czekał cierpliwie.

Wreszcie pojawił się kolejny napis:

PODAJ SWOJE NAZWISKO.

Arby posłusznie wykonał polecenie.

CZY CHCESZ MIEĆ WŁASNE HASŁO DOSTĘPU?

Wolne żarty – pomyślał. To zapewne jakaś pułapka.

Ale zaraz przyszło mu do głowy, że doktor Thorne mógł po prostu nie przewidzieć, iż ktoś niepowołany będzie się próbował dostać do jego systemu komputerowego. Wpisał więc:

TAK.

Ekran ściemniał na krótko, lecz zaraz wyświetlił się komunikat:

TWOJE HASŁO: VIG/&*849/. PROSZĘ JE ZAPISAĆ.

To oczywiste – pomyślał – jakże mógłbym postąpić inaczej? Rozejrzał się dookoła, ale w pobliżu nie było żadnego notatnika. Znalazł w kieszeni jakąś złożoną na czworo kartkę, zanotował na niej hasło i wcisnął ENTER.

PROSZĘ TERAZ WPISAĆ SWOJE HASŁO DOSTĘPU.

Arby starannie wystukał ciąg liter, cyfr i symboli.

Ekran ponownie zgasł i dopiero po chwili zaczął się pojawiać napis, ale działo się coś dziwnego. Litery były wyświetlane w grupach po kilka, a między kolejnymi etapami następowały dłuższe przerwy. Wyglądało na to, że program nie działa tak, jak powinien. Wreszcie chłopak odczytał:

DZIĘKUJĘ. HASŁO ZOSTAŁO PRZYJĘTE.

Ekran rozbłysnął bielą, po czym zrobił się cały ciemnogranatowy. Przelatywały przez niego białe iskierki jakichś elektronicznych zakłóceń.

Nagle obraz się wyklarował, pojawiła się firmowa plansza z napisem, na widok którego Arby szeroko rozdziawił usta.

INTERNATIONAL GENETIC TECHNOLOGIES

STANOWISKO B
PROGRAM OBSŁUGI SIECI LOKALNEJ

To jakaś bzdura – pomyślał Arby. Jak może istnieć jakakolwiek sieć na stanowisku B, skoro InGen zamknął ośrodek na wyspie przed wielu laty? Przecież wcześniej zdołał wywołać parę dokumentów z plików odtworzonych na twardym dysku, a tamten komputer Levine kupił na wyprzedaży, po bankructwie firmy. Więc co to może być za sieć? – zachodził w głowę. I jak mu się udało do niej dostać? Furgon nie był z niczym połączony, przez polankę nie ciągnęły się żadne kable. Byłoby to możliwe jedynie wtedy, gdyby na wyspie nadal funkcjonowała komputerowa sieć o łączności radiowej. Lecz jeśli nawet została kiedyś stworzona, to jak mogła działać do tej pory? Tego typu sieć wymagałaby stałego zasilania, a przecież na wyspie nie było prądu.

Arby spoglądał na ekran i czekał cierpliwie.

Ale nic się działo, cały czas widniała na nim firmowa plansza. Miał nadzieję, że pojawi się jakieś menu, lecz nic takiego nie nastąpiło. Doszedł w końcu do przekonania, że jednak cały ten system działa wadliwie, a może nawet program się zawiesił. Chyba tylko część wstępna została wykonana prawidłowo, później procesor trafił na jakąś błędną instrukcję.

Wreszcie uzmysłowił sobie, że być może system czeka na jakieś polecenie. W tej sytuacji zrobił rzecz najprostszą: nacisnął ENTER.

Natychmiast pojawiło się menu:

DOSTĘPNE FUNKCJE OBSŁUGI SIECI LOKALNEJ
KATALOGI BIEŻĄCE Ostatnia modyfikacja
B/Badania 02/10/89
P/Produkcja 05/10/89
T/Prace Terenowe 09/10/89
O/Obsługa 12/11/89
A/Administracja 11/11/89
KATALOGI ZARCHIWIZOWANE
B1/Badania (AV-AD) 01/11/89
B2/Badania (GD-99) 12/11/89
P/Produkcja (FD-FN) 09/11/89
SIEĆ WIZUALNA
A, 1-20 CCD NDC.1.1

A więc to rzeczywiście musiał być tamten stary system, zapisów nie modyfikowano od wielu lat. Arby – ciekawy, czy wszystko nadal działa prawidłowo – szybko wybrał ostatnią pozycję z listy, połączenie z siecią wideo. Ku swemu zdumieniu spostrzegł, że na ekranie utworzyło się piętnaście niezależnych okien, a w każdym z nich został ukazany pomniejszony obraz z kamery zainstalowanej w innej części wyspy. Większość z nich musiała być umieszczona gdzieś wysoko, na przykład w koronach drzew, gdyż przedstawiała widok z góry, lecz niemal we wszystkich oknach...

Chłopakowi oczy się rozszerzyły ze zdumienia.

Kamery pokazywały żywe dinozaury!

Odchylił się do tyłu i zmarszczył brwi. To niemożliwe! Widocznie patrzył na doskonale zaprojektowane animacje komputerowe. Jeden obraz ukazywał stado triceratopsów. Sąsiedni przedstawiał jakieś bliżej mu nieznane zielone stworzenia, które żerowały w wysokiej trawie, od czasu do czasu wystawiając ponad nią jaszczurcze pyski. Na innym widniał samotny stegozaur, także pasący się leniwie.

To na pewno animacja komputerowa – pomyślał Arby. A może system złapał program telewizyjny o dinozaurach?

Lecz nagle w jednym z okien dostrzegł furgon z przyczepą stojący na polanie. Mógł nawet rozróżnić wielki panel czarnych ogniw fotoelektrycznych umieszczony na dachu pojazdu. Wyobraźnia podsunęła mu nawet widok jego własnej twarzy za oknem samochodu.

– Mój Boże! – szepnął Arby.

Na tym samym obrazie zauważył teraz, jak Thorne, Malcolm oraz Eddie Carr wsiadają pospiesznie do zielonego explorera i jadą wzdłuż ściany budowli w przeciwległy koniec polany. Z przerażeniem uprzytomnił sobie, że spogląda na autentyczne widoki przekazywane przez kamery rozmieszczone na wyspie.

ZASILANIE

Zajechali fordem na tyły olbrzymiej hali, gdzie stała przybudówka mieszcząca prawdopodobnie generatory prądu. Po drodze przekonali się,

że na prawym skraju polany rzeczywiście zbudowano osiedle dla pracowników. Thorne naliczył sześć przestronnych domków oraz jeden większy budynek, przed którego wejściem umieszczono tablicę z napisem: KIEROWNIK OŚRODKA. Nie ulegało wątpliwości, że kiedyś domki były bardzo ładnie położone na skraju dżungli, choć teraz ginęły w gęstwinie tropikalnej roślinności. W centralnej części osiedla znajdowały się kort tenisowy i odkryty basen pływacki, a przed dużym pawilonem, gdzie musiał się mieścić sklep, stały dystrybutory paliwa.

– Ciekawe, ile osób tu kiedyś mieszkało – zagadnął Thorne.

– Wcale nie jest pewne, że ktoś nie mieszka do dziś – wtrącił Eddie.

– Dlaczego tak uważasz?

– Bo urządzenia znajdują się pod prądem, Doc. Przez tyle lat. Musi być jakaś przyczyna takiego postępowania.

Carr minął rampę załadunkową, wyhamował i powoli dojeżdżał do budowli z blaszanym dachem.

Ta była całkowicie pozbawiona okien, przypominała szarawy prostopadłościan z lanego betonu i tylko u szczytu ścian ciągnęły się zakratowane otwory wentylacyjne. Żelazne pręty były silnie skorodowane, pokrywała je gruba skorupa brązowej rdzy upstrzonej żółtymi naciekami.

Eddie okrążył narożnik budowli i zatrzymał explorera przed wejściem. Na ciężkich stalowych drzwiach, z których płatami obłaziła farba, widniał ostrzegawczy napis: UWAGA! WYSOKIE NAPIĘCIE. WSTĘP WZBRONIONY.

Wysiedli z samochodu. Thorne wciągnął nosem powietrze.

– Cuchnie siarką – powiedział.

– Owszem, nawet bardzo intensywnie. – Malcolm przytaknął ruchem głowy.

Carr podszedł do żelaznych drzwi.

– Wiecie co? Mam przeczucie...

Urwał nagle, gdyż drzwi otworzyły się nadspodziewanie lekko, a ponieważ szarpnął je silnie, walnęły z hukiem w ścianę budowli. Zajrzał z ciekawością do środka. Thorne także obrzucił spojrzeniem plątaninę grubych rur. Po betonowej podłodze snuły się kłęby pary, w pomieszczeniu było bardzo gorąco. Gdzieś z głębi dobiegał jednostajny, głośny warkot.

– Niech mnie szlag... – mruknął Eddie.

Ruszył przed siebie, przyglądając się wielkim manometrom, z których niczego nie dało się odczytać, gdyż pokrywała je gruba warstwa żółtego nalotu. Skupiska żółtych kryształów okrywały także wszelkie złączenia rur. Carr przeciągnął palcem po największym z tych aglomeratów.

– Niesamowite – rzekł cicho.

– To siarka?

– Tak. Aż nie chce się wierzyć…

Ruszył pospiesznie w kierunku źródła dźwięku i po chwili zauważył osłonięte metalową siatką i szybko się obracające koło turbiny. Jego łopatki także połyskiwały żółtawo.

– Też są pokryte siarką? – zapytał Thorne.

– Nie – odparł w zamyśleniu Eddie. – To musi być złoto, a raczej jakiś stop złota.

– Złoto?

– Nie inaczej. W takim urządzeniu musieli zastosować niezwykle odporny metal. – Odwrócił się do Thorne'a. – Czy ty zdajesz sobie sprawę, co to jest? Aż nie mogę uwierzyć. Takie maleństwo i tak wydajne… Chyba nikt dotąd nie stosował podobnych rozwiązań. Ta technologia…

– Chcesz powiedzieć, że to elektrownia geotermiczna? – wtrącił Malcolm.

– Zgadza się. Wykorzystali naturalne źródło ciepła, gazy wulkaniczne bądź parę, która jest prowadzona tymi rurami nad podłogą. Wykorzystuje się ją do ogrzewania wody krążącej w obiegu zamkniętym… O, w tamtym wymienniku ciepła… Z kolei gorąca woda napędza tę turbinę połączoną z prądnicą. Źródła geotermiczne są zawsze piekielnie korozyjne, we wszystkich dotychczas stosowanych urządzeniach trzeba ciągle wymieniać elementy. Ale ten generator nadal pracuje. To niewiarygodne.

Na ścianie za turbiną znajdowała się duża skrzynia rozdzielni mocy, z której wychodziły kable biegnące do budynku laboratorium. Jej blaszana obudowa była pokryta czarnymi zaciekami i w kilku miejscach dość silnie wgnieciona.

– Rzeczywiście wygląda na to, że nikt tu nie zaglądał od lat – ciągnął Eddie. – Pewnie większa część sieci elektrycznej jest w opłakanym stanie, lecz elektrownia ciągle pracuje. To niesamowite.

Thorne zakasłał raz i drugi od gryzących siarczanych wyziewów, wreszcie wyszedł na świeże powietrze. Okrążył róg budynku i obrzucił spojrzeniem plac na tyłach hali. Z rampy załadunkowej prowadziły do środka wielkie metalowe wrota. Jedne były w całkiem niezłym stanie, ale drugie ledwie się trzymały. Większość szyb w oknach po tej stronie została wytłuczona.

Po chwili Malcolm stanął obok niego.

– Ciekawe, czy to zwierzęta dokonały tych spustoszeń.

– Myślisz, że jakiekolwiek zwierzę mogłoby wyłamać ciężkie wrota?

Matematyk pokiwał głową.

– Niektóre dinozaury ważą nawet czterdzieści czy pięćdziesiąt ton. Jeden taki olbrzym ma siłę porównywalną z impetem całego stada słoni. Jestem

przekonany, że to zwierzęta dokonały zniszczeń. Widzisz tamten szlak prowadzący w dżunglę? To ślad wędrówek zwierząt przez tę część polany, taki sam, jaki mijaliśmy po drodze, zjeżdżając ze wzgórza. Na pewno dinozaury odwiedzały ten plac.

– I kierownictwo laboratorium nie wzięło tego pod uwagę, kiedy podejmowano decyzję o wypuszczeniu zwierząt na wolność?

– Na pewno planowali zostawić je na wyspie tylko na krótko, na parę tygodni, może miesiąc, a potem przetransportować do parku, zanim okazy urosną na dobre. Chyba nikt nie przypuszczał, że...

Przerwały mu głośne trzaski i szum dolatujący z szoferki samochodu. Wyglądało na to, że samoistnie włączyła się krótkofalówka. Eddie, który ciągle stał w wejściu elektrowni, zmarszczył brwi i rzucił się biegiem w stronę auta.

– Wiedziałem – rzucił, mijając ich. – Na pewno zaraz się spali cały nasz system łączności. Nalegałem, żeby wziąć zapasową radiostację...

Otworzył drzwi explorera i w pośpiechu zajął miejsce za kierownicą. Ściszył odbiornik, sięgnął po mikrofon i wcisnął klawisz automatycznego dostrojenia. Z zatroskaną miną spoglądał przez szybę, jak Thorne i Malcolm zdążają powoli w tę stronę, kiedy nagle z głośnika rozległ się czyjś lekko zachrypnięty głos:

– ...do samochodu!

– Kto mówi?

– Doktorze Thorne! Doktorze Malcolm! Natychmiast wsiadajcie do samochodu!

Thorne stanął właśnie przy otwartych drzwiach od strony kierowcy. Carr mruknął do niego:

– To chyba ten przeklęty chłopak, Doc!

– Co takiego?

– To Arby!

Z głośnika znowu popłynęło ostrzeżenie Arby'ego:

– Wsiadajcie do samochodu! Widzę go, zbliża się do was!

– O czym on mówi? – Thorne uniósł wysoko brwi. – Jak to możliwe? Czyżby Arby znalazł się na wyspie?

W krótkofalówce rozległ się trzask.

– Tak, jestem tutaj, doktorze Thorne!

– Do cholery! Co ty tutaj...

– Niech pan wsiada do samochodu, doktorze!

Thorne poczerwieniał z wściekłości, z całej siły zaciskając pięści.

– Jak ten cholerny szczeniak zdołał się dostać na wyspę? – syknął przez

zęby, po czym wyrwał mikrofon z ręki Eddiego. – Arby! Do jasnej cholery...

– Idzie w waszym kierunku!

– O co mu chodzi? – zapytał Eddie. – Wrzeszczy tak, jakby dostał ataku histerii.

– Widzę go na ekranie, doktorze Thorne!

Zaniepokojony Malcolm obejrzał się na dżunglę.

– Może faktycznie powinniśmy stąd zwiewać – rzekł cicho.

– O jakim ekranie on mówi? – wycedził rozwścieczony Thorne.

– Nie mam pojęcia, Doc – mruknął Carr – lecz jeśli chłopak siedzi przy komputerze w furgonie, to będziemy się mogli sami o tym przekonać.

Szybko włączył monitor wbudowany w deskę rozdzielczą i czekał niecierpliwie, aż ten się rozgrzeje.

– Przeklęty gówniarz – syknął Thorne. – Mam ochotę skręcić mu kark.

– Sądziłem, że lubisz tę dwójkę dzieciaków – odezwał się Malcolm.

– Lubiłem, ale...

– Oho, znów działają prawa chaosu – przerwał mu Malcolm, kręcąc głową.

Eddie rozszerzonymi oczyma wpatrywał się w obraz na monitorze.

– Jasna cholera! – szepnął.

Na ekranie widać było w pełnej okazałości olbrzymiego tyranozaura schodzącego w dół zbocza ścieżką wydeptaną przez zwierzęta, zmierzającego prosto w stronę polany. Miał skórę w kolorze rdzawobrązowym, przypominającą odcieniem barwę zaschniętej krwi. W świetle słonecznym doskonale było widać, jak pod skórą grają mięśnie jego niezwykle masywnych tylnych łap. Poruszał się szybko, nie okazywał ani lęku, ani wahania.

– Do samochodu! – rzucił pospiesznie Thorne.

Eddie natychmiast przeskoczył na drugie siedzenie, robiąc im miejsce. Malcolm wgramolił się do tyłu, Thorne usiadł za kierownicą. Przez chwilę kamera pokazywała jeszcze brzuch tyranozaura, lecz zaraz zwierzę zniknęło z jej pola widzenia. Ale siedząc w samochodzie, wyczuwali już drżenie ziemi przy każdym stąpnięciu olbrzyma, explorer z lekka kołysał się na boki.

– Ian? – zagadnął Thorne. – Jak sądzisz, co powinniśmy zrobić w tej sytuacji?

Malcolm jednak nie odpowiedział. Siedział jak skamieniały, szklistym

wzrokiem wpatrując się prosto przed siebie.

– Ian?

W głośniku znowu coś trzasnęło.

– Doktorze Thorne – odezwał się Arby – straciłem go z oczu. Czy wyszedł już spomiędzy drzew?

– Rany boskie... – szepnął Eddie.

Ze zdumiewającą szybkością tyranozaur wypadł na polanę, wyłonił się z dżungli na prawo od explorera. Robił niesamowite wrażenie, był wysokości dwupiętrowego budynku – jego głowa znajdowała się tak wysoko, że już po chwili nie mogli jej dostrzec z kabiny auta. Ale jak na tak ogromne zwierzę poruszał się z szokującą wręcz szybkością i zwinnością. Thorne, pełen najgorszych przeczuć, spoglądał na dinozaura rozszerzonymi oczyma. Samochód kołysał się coraz silniej przy każdym jego kroku. Carr tylko pojękiwał cicho.

Tyranozaur nie zwrócił na nich uwagi. Szedł ciągle takim samym, miarowym krokiem, mając zamiar przedefilować przez polanę tuż przed maską explorera. Ledwie dostrzegli za szybą jego masywny zad, kiedy już przesłoniły go pierwsze drzewa ocieniające wylot ścieżki po drugiej stronie polany, tuż za przybudówką generatora. Przed ich oczyma pozostał jedynie gruby ogon dinozaura, którego koniec uniesiony dwa metry nad ziemię kołysał się szeroko na boki przy każdym kroku zwierzęcia.

Jaki on jest szybki! – pomyślał Thorne. Ledwie pojawił się na polanie, mignął tylko przed szybą samochodu i już z powrotem zniknął w dżungli. Niezwykłe wrażenie wywarła na nim zwinność ruchów tak olbrzymiego stworzenia. Odprowadził wzrokiem rozkołysany koniec wielkiego ogona znaczący szlak zwierzęcia znikającego między drzewami.

Nagle tenże koniec ogona uderzył w maskę explorera. Rozległ się głośny metaliczny huk.

Tyranozaur przystanął.

Do ich uszu doleciał stłumiony ryk, jak gdyby wyrażający zdumienie. Ogon ponownie zakołysał się w powietrzu, tym razem znacznie szybciej, i po chwili jego czubek znów uderzył w maskę auta.

Korony drzew na lewo od furgonetki zafalowały energicznie i ogon dinozaura zniknął pasażerom explorera sprzed oczu.

Thorne uprzytomnił sobie natychmiast, że to może oznaczać tylko jedno: tyranozaur zawracał.

Zaraz też wyłonił się z dżungli, zbliżył do nich i stanął na wprost samochodu. Ponownie rozległ się jego ryk i ujrzeli pochyloną nisko głowę, którą stworzenie przekrzywiało to w jedną, to w drugą stronę, oglądając niezwykły, nieznany mu dotąd obiekt. Tyranozaur przybliżył łeb do szyby

i dopiero teraz Thorne zauważył, że z boku jego pyska wystają łapy jakiegoś schwytanego, mniejszego zwierzęcia. Wokół głowy dinozaura krążył olbrzymi rój much.

– O kurwa! – wyrwało się Eddiemu.

– Cicho! – szeptem zganił go Doc.

Tyranozaur parsknął, pochylił łeb jeszcze niżej i zajrzał do wnętrza wozu. Z głośnym szumem wciągał nozdrzami powietrze i wodził lekko pyskiem na lewo i prawo, szczegółowo badając nowe dla niego zapachy. Thorne zauważył, że jego szczególną uwagę przyciąga kratownica maski. Po chwili dinozaur obrócił się nieco i obwąchał oponę. Wreszcie uniósł łeb, ale z szoferki było widać, że przygląda się badawczo czarnym ogniwom fotoelektrycznym na dachu. Później znów się pochylił i zamrugał szybko. Ludzie napotkali nieruchome, zimne spojrzenie typowo gadzich oczu.

Przez ułamek sekundy Thorne odniósł wrażenie, że olbrzym dostrzega za szybą siedzących w szoferce mężczyzn, że znacząco przenosi spojrzenie z jednego na drugiego. Lecz tyranozaur szybko odwrócił łeb i tępo zakończonym pyskiem trącił bok samochodu, który zakołysał się na resorach – jak gdyby zwierzę badało wagę obcego obiektu, uznanego za wroga. Doc z całej siły zacisnął palce na kierownicy i wstrzymał oddech.

Nieoczekiwanie jaszczur odsunął się od auta, ponownie stanął na wprost niego i odwrócił się tyłem, unosząc wysoko gruby, potężny ogon. Podszedł z powrotem, łuski na ogonie zazgrzytały o blachę karoserii nad przednią szybą. Widzieli jedynie gigantyczny zad stworzenia...

Nagle dinozaur przysiadł na skraju dachu, pod jego ogromnym ciężarem samochód pochylił się gwałtownie, przednim zderzakiem aż zarył w ziemię. Przez chwilę nic się nie działo, jakby zwierzę postanowiło odpocząć, zmęczone wędrówką. Zaraz jednak zaczęło się wiercić, przesuwając zadem w lewo i prawo. Towarzyszył temu głośny zgrzyt metalu.

– Co on wyczynia, do cholery! – syknął Eddie.

Tyranozaur podniósł się nagle, samochód podskoczył wysoko w górę. Thorne ze zdumieniem popatrzył na krople białawej, gęstej cieczy spływającej po szybie. Zwierzę nawet się nie obejrzało, dalej pomaszerowało raźnym krokiem ścieżką ginącą między drzewami.

Po chwili wyłoniło się ponownie kilkadziesiąt metrów dalej na skraju polany. Przedefilowało na tyłach pawilonu handlowego, przeszło między dwoma domkami mieszkalnymi i wreszcie na dobre zniknęło im z oczu.

Thorne spojrzał na Eddiego, ten zaś lekkim ruchem głowy wskazał siedzącego z tyłu Malcolma. Matematyk przez cały czas nawet się nie poruszył, siedział zesztywniały, z napiętymi chyba aż do bólu mięśniami.

– Ian? – zagadnął delikatnie Thorne, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Poszedł sobie? – zapytał spiętym głosem Malcolm.

– Tak, odszedł.

Tamten odprężył się nagle, ramiona wyraźnie mu opadły. Zaczerpnął głęboko powietrza, pochylając głowę nisko na piersi. Wreszcie odetchnął głośno i podniósł głowę z powrotem.

– Musicie przyznać – rzekł – że takie spotkania robią wrażenie.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Thorne.

– Tak, oczywiście. Nic mi nie jest. – Przyłożył dłoń do piersi, jakby chciał w ten sposób uspokoić puls. – Wszystko w porządku. Na szczęście to był niezbyt duży okaz.

– Niezbyt duży?! – zająknął się Eddie. – Chcesz powiedzieć…

– Jak na tyranozaura – poprawił się Malcolm. – Samice są sporo większe. U tego gatunku występuje zauważalny dymorfizm płciowy, samice dość wyraźnie przerastają samców. Panuje powszechny pogląd, że to właśnie one kierowały łowami. Być może sami będziemy mieli okazję się o tym przekonać.

– Zaraz, chwileczkę – zaoponował Carr. – A skąd możesz być pewien, że widzieliśmy samca?

Malcolm wskazał gęstą ciecz spływającą po przedniej szybie. W szoferce czuć już było jej intensywną, ostrą woń.

– Bo naznaczył swoje terytorium.

– I co z tego? Przecież samice też mogą…

– Pewnie tak, ale nie w ten sposób. Analne gruczoły zapachowe odkryto jedynie u samców. Sami widzieliście, jak tego dokonał.

Eddie popatrzył na szybę i skrzywił się z niesmakiem.

– Mam nadzieję, że to świństwo da się zmyć. W furgonie jest jakiś detergent, nie spodziewałem się jednak, że… Kto by pomyślał: piżmo dinozaura.

Z głośnika radia doleciał trzask.

– Doktorze? – rozległ się głos Arby'ego. – Doktorze Thorne? Nic wam się nie stało?

– Nie, Arby. Dzięki twoim ostrzeżeniom.

– Więc na co czekacie? Rozmawialiście z doktorem Levine'em?

– Jeszcze go nie odnaleźliśmy.

Thorne odpiął z nadgarstka miniaturowy odbiornik, lecz ten wysunął mu się z roztrzęsionych palców. Zły na siebie, schylił się szybko i podniósł go z podłogi. Spojrzał na ekran i ku swemu zdumieniu zauważył, że kierunek, z którego nadchodzi sygnał identyfikacyjny Levine'a, dość szybko ulega

zmianie.

– On się przemieszcza – mruknął.

– Wiem o tym – odparł Arby. – Doktorze?

– Tak, słucham... Zaraz! A skąd ty możesz wiedzieć, że Levine się przemieszcza?

– Ponieważ go widzę. Jedzie na rowerze.

Kelly weszła do przedziału laboratoryjnego, ziewnęła szeroko i odgarnęła włosy z twarzy.

– Z kim rozmawiasz, Arb? – Spojrzała na ekran monitora i dodała szybko: – Kurczę! Jak to zrobiłeś?

– Połączyłem się z siecią stanowiska B.

– Jaką siecią?

– To komputerowa sieć łączności radiowej. Z niewiadomych przyczyn nadal działa.

– Niemożliwe?! Ale jak zdołałeś...

– Dzieciaki! – odezwał się przez radio Thorne. – Przepraszam, że wam przeszkadzam, lecz może na razie byśmy się skupili na odszukaniu Levine'a.

Arby pospiesznie zbliżył mikrofon do ust.

– Jedzie na rowerze ścieżką prowadzącą przez dżunglę, dosyć wąską i stromą. Nie jestem pewien, ale to chyba ta sama ścieżka, którą oddalił się tyranozaur.

– Co?! – Kelly ze zdumienia rozdziawiła usta.

Thorne uruchomił silnik, objechał przybudówkę mieszczącą generator prądu i skierował wóz w stronę osiedla pracowników. Minął dystrybutory paliwa, po czym skręcił między domki, wjeżdżając na ścieżkę, którą pomaszerował tyranozaur. Szlak wydeptany przez zwierzęta był na tyle szeroki, że nie istniała groźba pomylenia drogi.

– Nie powinniśmy byli zabierać ze sobą dzieci – odezwał się posępnym tonem Malcolm. – Tu jest zbyt niebezpiecznie.

– Teraz już niewiele można poradzić – odparł Thorne i wcisnął klawisz krótkofalówki. – Arby, czy nadal widzisz na ekranie Levine'a?

Znaleźli się na tyłach obszernej rezydencji kierownika ośrodka. Koła zabuksowały w miękkiej ziemi, widocznie kiedyś znajdował się tu uprawiany ogród. Dwupiętrowy budynek został zaprojektowany w stylu kolonialnym, wokół górnej kondygnacji ciągnął się rozległy taras wsparty na podporach z grubych bali. Jak pozostałe domki, i ten był gęsto obrośnięty winoroślą.

– Tak, doktorze Thorne. Widzę go – odpowiedział chłopak.

– Gdzie on teraz jest?

– Wciąż jedzie na rowerze tropem tyranozaura.

– Śledzi tyranozaura! – jęknął Malcolm. – Żałuję, że los w ogóle mnie zetknął z tym człowiekiem.

– Co do tego chyba wszyscy jesteśmy zgodni – odparł Thorne.

Przyspieszył jeszcze i minął szeroki wyłom w niskim, kamiennym murku, który niegdyś otaczał chyba całe osiedle. Zagłębili się w dżunglę.

– Nie widzicie go jeszcze? – zapytał przez radio Arby.

– Nie.

Ścieżka stawała się coraz węższa i prowadziła zakosami w dół pochyłości zbocza. Kiedy wyjechali zza kolejnego zakrętu, niespodziewanie ujrzeli przed sobą powalone drzewo – mimo że było przełamane w środku i niemal dokumentnie odarte z gałęzi, jakby ciężkie zwierzęta już od dawna stawiały łapy na pniu, przechodząc tędy, to jednak skutecznie blokowało im dalszą drogę.

Thorne zatrzymał explorera tuż przed nim. Wysiadł szybko i otworzył drzwi z tyłu furgonetki.

– Doc – zawołał Eddie. – Zostaw to mnie.

– Wykluczone. Gdyby coś się stało, tylko ty potrafisz naprawić nasz sprzęt. Jesteś tu najważniejszy, zwłaszcza że teraz musimy jeszcze uważać na dzieci.

Thorne pospiesznie odczepił wiszący na ścianie motocykl, postawił go na ziemi, sprawdził stan naładowania akumulatorów, a po chwili dopchał pojazd do powalonego drzewa i ustawił na nóżkach.

– Podaj mi karabin – zwrócił się do Malcolma.

Zarzucił pasek broni na ramię i przełożył go przez głowę. Ze schowka w desce rozdzielczej wyjął kask wyposażony w krótkofalówkę, której wtyczkę wsunął do gniazdka w pasie. Szybko załadował baterie do pojemnika na tyle kasku i przesunął sobie mikrofon bliżej ust.

– Wy wracajcie do furgonu – polecił. – Zaopiekujcie się dziećmi.

– Ależ Doc…

– Bez sprzeciwów – uciął stanowczo Thorne.

Podniósł motocykl i ostrożnie opuścił na ziemię po drugiej stronie

zwalonego drzewa, po czym sam wdrapał się na pień i zeskoczył za przeszkodą. Dopiero teraz zauważył, że pień również jest uwalany gęstą i lepką cieczą, która zostawiła wyraźne smugi na jego rękawiczkach. Spojrzał wymownie na Malcolma i bez słowa uniósł oczy do nieba.

– Mówiłem, że znaczy swoje terytorium.

– Bomba – mruknął Doc. – Po prostu nie mogło być lepiej.

Zaczął energicznie wycierać dłonie o nogawki kombinezonu.

Zaraz jednak wsiadł na motocykl i odjechał.

Liście paproci chłostały go po rękach i nogach, kiedy jechał ścieżką, podążając tropem tyranozaura. Zwierzę musiało być niezbyt daleko przed nim, lecz wciąż nie mógł go dostrzec. Motocykl rozwijał dosyć dużą prędkość.

W słuchawkach hełmu usłyszał trzask i po chwili rozległ się głos Arby'ego.

– Doktorze Thorne. Widzę już pana na monitorze.

– To dobrze – odparł cicho.

– Ale za to doktor Levine zniknął z pola widzenia. – W głosie chłopaka dało się wyczuć zatroskanie.

Elektryczny silnik motocykla pracował niemal bezgłośnie, zresztą ścieżka ciągle prowadziła w dół zbocza. Nagle Thorne ujrzał przed sobą jej rozwidlenie. Zatrzymał się i nisko pochylony nad kierownicą zaczął uważnie oglądać błotniste podłoże. Trop tyranozaura był dość wyraźny, prowadził w lewo. Widać też było wąski ślad opon roweru, także skręcający w tamtym kierunku.

Ruszył ponownie, ale teraz jechał już znacznie wolniej.

Minął odgryzioną nogę mniejszego dinozaura leżącą na poboczu ścieżki, którą drapieżnik widocznie zgubił po drodze. Musiała tam leżeć dość długo, bo kręcił się nad nią rój much, a po ciemnym zmiażdżonym mięsie łaziły białe robaki. W gorącym powietrzu doleciał go nawet wstrętny odór zgnilizny. Nieco dalej zauważył na poboczu czaszkę jakiegoś większego zwierzęcia – przy kości zostały jedynie strzępy tkanek oraz zielonej skóry. Nad nią także kręciły się muchy.

Wcisnął klawisz nadawania i rzekł do mikrofonu:

– Minąłem właśnie szczątki jakiegoś pożartego stworzenia...

Tym razem odpowiedział mu Malcolm:

– Tego się właśnie obawiałem.

– To znaczy czego?

– Prawdopodobnie zbliżasz się do gniazda – rzekł matematyk. – Pamiętasz, że tyranozaur trzymał w pysku niedojedzoną nogę jakiejś ofiary? Wszystko wskazuje na to, że niósł ją właśnie do gniazda.

– Niesamowite... – szepnął Thorne. – Gniazdo tyranozaura...

– Zachowaj ostrożność.

Doc zdjął nogę z pedału akceleratora i dalej zjeżdżał w dół jedynie siłą rozpędu. Kiedy znalazł się na płaskim terenie, zatrzymał motocykl i zsiadł z niego. Czuł wyraźnie drżenie ziemi pod stopami, a z kępy krzaków, ku której wiodła ścieżka, dolatywało ciche powarkiwanie, bardziej przypominające głośne mruczenie dzikiego kocura. Rozejrzał się uważnie dookoła, lecz nigdzie nie było ani śladu Levine'a i roweru.

Zdjął z pleców karabin i zacisnął mokre od potu dłonie na jego kolbie. Pomruki rozlegały się nadal, to przybierały na sile, to znów cichły. Było w nich jednak coś dziwnego.

Upłynęło parę sekund, nim Doc zdał sobie sprawę, że nie są to odgłosy wydawane przez jedno zwierzę. W zaroślach przed nim znajdowały się co najmniej dwa duże drapieżniki.

Schylił się, podniósł z ziemi parę źdźbeł wyschniętej trawy i puścił ją z wysoka. Siano opadło ukosem, bliżej jego stóp, a zatem był po zawietrznej stronie gniazda. Stąpając ostrożnie, wszedł w gęstwinę dżungli.

Znalazł się wśród olbrzymich, rosnących gęsto paproci, lecz między ich liśćmi widział już światło słoneczne przebijające z położonej w przodzie polany. Pomruki były coraz głośniejsze, ale teraz wdarł się między nie inny dźwięk – dziwnie skrzekliwy pisk, tak wysoki, że sprawiał wrażenie mechanicznego, jakby skrzypiały od dawna nieoliwione zawiasy.

Thorne zawahał się, lecz zaraz uszedł jeszcze parę kroków, po czym ostrożnie odsunął sprzed oczu wielki liść paproci i wyjrzał na polanę.

GNIAZDO

W promieniach stojącego już dość wysoko słońca ujrzał sylwetki dwóch przerażających tyranozaurów, z których każdy miał około siedmiu metrów wysokości. Ich czerwonawa skóra z daleka wydawała się gładka i jedwabista. Natomiast masywne łby robiły niezwykle groźne wrażenie, olbrzymie paszcze

były uzbrojone w ostre zęby. Mimo to Thorne nie odczuwał niebezpieczeństwa. Dinozaury poruszały się wolno po okręgu, stąpały z zadziwiającą gracją, na zmianę pochylając łby nad obszerną misą uformowaną z wyschniętego błota, której zewnętrzne krawędzie miały ponad metr wysokości. Para dorosłych zwierząt trzymała w pyskach zakrwawione strzępy mięsa; kruszyła je potężnymi szczękami i wkładała do wnętrza zagłębienia. To właśnie stamtąd dolatywał od czasu do czasu ów skrzekliwy pisk. Dało się zauważyć, że po każdym takim pochyleniu olbrzyma znika kawałek rozszarpanego pokarmu.

Nie ulegało wątpliwości, iż jest to gniazdo. Poza tym Malcolm miał rację: dopiero teraz Thorne spostrzegł, że samica wyraźnie góruje wzrostem nad samcem.

Po chwili znów rozległ się skrzekliwy pisk, podobny nieco do wrzasku mew. Dorosłe osobniki cierpliwie pochylały się nad gniazdem, karmiąc niewidoczne z zarośli małe. W pewnej chwili ochłap mięsa spadł na krawędź utworzonego z błota zagłębienia i wkrótce Thorne zauważył łebek świeżo wyklutego tyranozaura, kiedy ten próbował się wdrapać na brzeg gniazda i dosięgnąć smakowitego kąska. Malec był w przybliżeniu wielkości indyka, miał nieproporcjonalnie dużą głowę i wielkie oczy. Jego ciało pokrywały jakieś czerwonawe strzępki, przez co wyglądał tak, jakby obłaził ze skóry. Na szyi zaś widniał szeroki, biały, błoniasty kołnierz. Pisklę wdrapywało się dzielnie ku górze, skrobiąc krawędź niecki maleńkimi przednimi łapkami. Ale kiedy w końcu dosięgnęło mięsa, błyskawicznie zatopiło w nim ostre białe zęby.

Jego radość nie trwała jednak długo. Tym razem pisk zabrzmiał rozpaczliwie i mały dinozaur zsunął się na ziemię po zewnętrznej stronie obrzeża. Matka natychmiast pochyliła łeb, obwąchała maleństwo i szerokim pyskiem wepchnęła je z powrotem do gniazda. Doc z podziwem patrzył na jej delikatne ruchy, na objawy troski, jaką to groźne zwierzę otacza swoje pisklę. Po chwili para drapieżników znów zaczęła wyszarpywać kawałki mięsa z niewidocznej zdobyczy, powoli okrążać gniazdo i karmić swoje małe. Oba tyranozaury pomrukiwały przy tym, jakby chciały uspokoić pisklę.

Thorne patrzył na to jak urzeczony. Nieświadomie przestąpił z nogi na nogę i rozległ się głośny trzask łamanej gałęzi.

Oba drapieżniki błyskawicznie obróciły łby w jego kierunku.

Zastygł w bezruchu, niemal wstrzymał oddech.

Tyranozaury uważnie rozglądały się na boki, napięte mięśnie zdradzały ich zaniepokojenie. Obracały łby to w tę, to w tamtą stronę, pochylając je nieco i wytężając wzrok. Ale zaraz się uspokoiły, zaczęły kiwać głowami

w górę i w dół, wreszcie potarły się nawzajem pyskami. Wyglądało to na jakiś rytuał, niemalże taniec. Po chwili podjęły przerwaną wędrówkę połączoną z karmieniem pisklęcia.

Kiedy tylko Thorne ocenił, że niebezpieczeństwo minęło, zaczął się ostrożnie wycofywać przez gąszcz w kierunku ścieżki. Niespodziewanie w słuchawkach rozległ się głośny szept Arby'ego:

– Doktorze Thorne, nie widzę pana.

Doc nie chciał się odzywać, toteż tylko postukał palcem w mikrofon, dając do zrozumienia, że odebrał wiadomość.

– W porządku – szepnął Arby. – Wydaje mi się, że wiem, gdzie jest doktor Levine. Kilkanaście metrów na lewo od ścieżki.

Thorne jeszcze raz postukał w mikrofon i zawrócił. Zaczął szerokim łukiem okrążać gniazdo i już po chwili dostrzegł oparty o drzewo zardzewiały rower. Na jego ramie był wymalowany czarny napis: „Własn. Korp. InGen".

Nie jest źle – pomyślał Arby, wpatrując się uważnie w ekran monitora. Zdążył się na tyle zapoznać z programem, że wyeliminował większość okien, pozostawiając jedynie cztery obrazy z wybranych kamer. Udało mu się w ten sposób pogodzić chęć obserwacji jak największego terenu z pragnieniem dostrzeżenia możliwych szczegółów każdego obrazu.

Jeden z nich ukazywał widok z góry na polankę, pośrodku której znajdowało się gniazdo tyranozaurów. Zbliżało się południe i w jaskrawym świetle słonecznym doskonale była widoczna ulepiona z błota niecka oraz zdeptana trawa wokół niej. W gnieździe spoczywały cztery białe, delikatnie cętkowane jaja wielkości piłki futbolowej. Wokół nich walało się sporo pokruszonych kawałków skorup, po których dreptały dwa małe dinozaury, z daleka przypominające nieopierzone, bezradne pisklęta. Dokładnie tak jak ptaki kręciły łebkami i otwierały szeroko pyszczki, czekając na karmienie.

Kelly także uważnie wpatrywała się w ekran.

– Zobacz, jakie te małe są miluśkie – stwierdziła, a po chwili dodała: – Aż chciałoby się podejść i je pogłaskać.

Arby nie odpowiedział. On wcale nie był przekonany, że miałby w ogóle ochotę zbliżyć się do tych potworków. Co prawda, dorosłe osobniki wydawały się w tej chwili całkowicie pochłonięte swoimi małymi, ale na nim ciągle robiły jakieś dziwne wrażenie, którego nawet nie potrafił precyzyjnie określić. Został wychowany w duchu ścisłego przestrzegania pewnych reguł,

organizacji swojego czasu i dbania o porządek. Nawet podczas pracy z komputerem starannie rozmieszczał okna na ekranie, żeby uniknąć kłopotów. Dlatego też cała ta wyspa jawiła mu się jako pełne niespodzianek siedlisko chaosu. Nie wiedział, czego może się tu spodziewać, i z tego powodu odczuwał niepokój.

Natomiast Kelly nie ukrywała swego podniecenia. Zachwycała się tyranozaurami, podziwiała ich rozmiary, wychwalała ostre zęby. Sprawiała wrażenie zauroczonej, nie okazywała nawet cienia strachu.

Arby czuł się nieswojo, wysłuchując jej uwag.

– A niby skąd możesz wiedzieć, gdzie jest teraz doktor Levine?

Chłopak wskazał jej gęstwinę dżungli okalającej polankę.

– Spójrz tutaj.

– Widzę. No i co?

– Przyjrzyj się uważnie, Kel.

Obraz przesunął się odrobinę, jakby kamera została delikatnie obrócona w lewo, zaraz jednak wróciła do poprzedniej pozycji.

– Teraz widziałaś?

– To o niczym nie świadczy. Może wiatr kołysze gałęzią, do której jest przymocowana kamera.

– Niemożliwe, Kel – Arby energicznie pokręcił głową. – To Levine musi tam siedzieć i ją naprowadzać.

– Aha... – Dziewczyna przybliżała twarz do ekranu i po chwili rzekła: – Może i masz rację.

Chłopak uśmiechnął się szeroko, pamiętając, że Kelly nigdy nie chce przyznać wprost, iż jego spostrzeżenia okazały się słuszne.

– Jestem tego pewien.

– Tylko co doktor Levine robiłby tak wysoko na drzewie?

– Chyba wdrapał się właśnie po to, żeby ustawić kamerę.

Przez chwilę panowało milczenie. Z głośnika radia dolatywał cichy oddech Thorne'a.

– Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie i my wyjdziemy na zewnątrz – rzuciła w końcu Kelly.

– Ja też – odparł Arby, chociaż w gruncie rzeczy wcale się do tego nie palił.

Wyjrzał przez okno furgonu, dostrzegłszy wyjeżdżającego zza rogu hali explorera. Poczuł wielką radość, że Eddie oraz Malcolm zaraz znajdą się razem z nimi w samochodzie.

Thorne dotarł do drzewa i spojrzał w górę. Przez gąszcz listowia nie widział Levine'a, domyślał się jednak, że tamten musi być gdzieś na gałęzi, stamtąd dolatywały bowiem szelesty, które jemu wydawały się niepokojące. Co chwila zerkał nerwowo przez ramię w kierunku polanki, zakrytej przed jego wzrokiem przez liście paproci, lecz słychać było tylko spokojne, jednostajne pomrukiwanie.

Czekał cierpliwie, ale w głowie kołatało mu się pytanie: Co on może robić na drzewie, do cholery? Ponownie z góry doleciał szelest listowia i na chwilę zapadła cisza. Później stęknięcie i znowu szelest.

Nagle rozległo się głośne:

– Jasna cholera!

Nastąpił trzask łamanej gałęzi i stłumiony okrzyk bólu, po czym Levine runął z hukiem na ziemię tuż obok pnia. Wylądował na plecach, lecz szybko się przekręcił, dźwignął na kolana i wstał, masując stłuczone ramię.

– Niech to szlag! – warknął.

Miał na sobie zabłocony kombinezon w kolorze khaki, w paru miejscach rozerwany. Nawet na twarzy pokrytej trzydniowym zarostem widniały czarne zacieki z błota. Obejrzał się szybko na Thorne'a, kiedy ten wyszedł zza drzewa, i powitał go szerokim uśmiechem.

– Prędzej spodziewałbym się ujrzeć ducha niż ciebie, Doc – rzekł. – Ale zjawiłeś się w samą porę.

Thorne wyciągnął rękę, lecz nie zdążyli sobie uścisnąć dłoni. Na polance za ich plecami rozległ się ogłuszający ryk tyranozaura.

– Och, nie! – krzyknęła Kelly, obserwując na monitorze, jak zaniepokojone drapieżniki zaczynają szybciej krążyć wokół gniazda i porykują wściekle, rozglądając się na boki.

– Doktorze Thorne! Co się stało? – zawołał Arby do mikrofonu.

Ku swemu zdumieniu usłyszeli przez radio głos Levine'a, stłumiony i zniekształcony, lecz jeszcze rozpoznawalny. W tej samej chwili Eddie i Malcolm wkroczyli do furgonu. Matematyk zaledwie rzucił okiem na ekran monitora i krzyknął:

– Powiedz im, żeby się stamtąd wynosili! I to jak najszybciej!

Dwa tyranozaury ustawiły się tyłem do siebie, w szyku obronnym,

gotowe bronić piskląt przed atakiem z każdej strony. Gniazdo znalazło się bowiem między nimi. Nerwowo kołysały potężnymi ogonami, których końce przelatywały zaledwie kilka centymetrów nad głowami dwóch wyklutych maleństw. Nie ulegało wątpliwości, że zwierzęta są bardzo zaniepokojone.

Nagle jedno z nich ryknęło głośniej i pochylając łeb, dało nura między drzewa.

– Doktorze Thorne! Doktorze Levine! Uciekajcie!

Thorne w biegu wskoczył na siodełko motocykla i zacisnął palce na kierownicy. Levine pospiesznie zajął miejsce pasażera i objął go w pasie. Po raz kolejny rozległ się ogłuszający ryk. Doc zerknął przez ramię i zauważył, że jeden z rozwścieczonych tyranozaurów przedziera się przez dżunglę w ich kierunku. Gnał z niewiarygodną szybkością, głowę miał pochyloną, paszczę rozwartą – było jasne, że szykuje się do ataku.

Thorne przekręcił do oporu manetkę akceleratora. Elektryczny silnik zawył, lecz tylne koło jedynie zabuksowało w błocie.

– Ruszaj! – wrzasnął Levine. – Szybciej!

Tyranozaur pędził na nich z rykiem, czuć było drżenie ziemi pod jego ciężarem. Chrapliwy głos dinozaura stawał się ogłuszający. Zwierzę było tuż-tuż. Pochyliło łeb jeszcze niżej, szerzej rozwarło paszczę...

Thorne zaparł się nogami o ziemię i pchnął motocykl. Tylne koło stopniowo odzyskiwało przyczepność i choć wylatywały spod niego strugi błota, pojazd z wolna nabierał szybkości. Wreszcie szarpnął raz i drugi, aż obaj o mało z niego nie spadli, i popędził wyboistą ścieżką. Thorne nie miał nawet odwagi się obejrzeć, wystarczyło mu, że nadal czuje odrażający fetor zgnilizny i słyszy chrapliwy oddech goniącego za nimi olbrzyma.

– Hej, Doc! – krzyknął mu do ucha Levine. – Nie tak ostro!

Ale on nie zwracał na to uwagi, z zawrotną prędkością kierując motocykl w górę zbocza. Gałęzie chłostały go po głowie. Błoto wyrzucane spod przedniego koła błyskawicznie pokryło mu twarz i piersi grubą skorupą. Zarzuciło nimi trochę i zniosło aż pod same paprocie, zaraz jednak wyprowadził motor z powrotem na środek szlaku. Doleciał go kolejny ryk tyranozaura, jakby nieco cichszy, ale...

– Doc! – wrzasnął ogłuszająco Levine wprost do jego ucha. – Chcesz nas zabić?! Uspokój się, Doc! Nic już nam nie grozi!

Thorne wyjechał na płaski odcinek ścieżki i dopiero tutaj zaryzykował

szybkie spojrzenie do tyłu. Levine miał rację, nigdzie nie było widać goniącego ich tyranozaura. Lecz nadal rozlegały się wściekłe ryki, choć dobiegające z oddali.

Zwolnił nieco.

– Spokojnie – rzekł ciszej Levine, kręcąc głową; był blady jak ściana, śmiertelnie przerażony. – Prowadzisz jak szalony, wiesz o tym? Mógłbyś szkolić kierowców rajdowych. Naprawdę się bałem, że zabijesz nas na jakimś drzewie.

– Przecież on zaatakował – odparł ze złością Thorne, który dobrze znał wrodzony krytycyzm Levine'a, ale w tej sytuacji...

– Bzdura. On wcale nas nie atakował.

– Tak? A co to było według ciebie?

– Powtarzam, że wcale nas nie atakował. Jedynie bronił swego gniazda, a to ogromna różnica.

– Dla mnie żadna – burknął Doc.

Zatrzymał motocykl i obrócił się do Levine'a.

– Gdyby tyranozaur rzeczywiście nas zaatakował, to zapewne byłoby już po nas. A przecież zaniechał pościgu, kiedy tylko się oddaliliśmy.

– Naprawdę?

– To oczywiste – powtórzył z naciskiem Richard. – Chciał nas jedynie odstraszyć, bronił swego terytorium. One nigdy nie zostawiają gniazda bez ochrony. Jestem pewien, że już wrócił na polanę i dogląda jaj, nie ma zamiaru się nigdzie stamtąd ruszać.

– W takim razie chyba mamy szczęście, że trafiliśmy na tak troskliwych rodziców – mruknął Thorne, rozglądając się po dżungli.

– Tyranozaury to nadzwyczaj opiekuńcze zwierzęta – ciągnął Levine. – Każdy głupi o tym wie. Nie zauważyłeś, jakie są wychudzone? Same odżywiają się bardzo skromnie, przede wszystkim wykarmiają małe. Prawdopodobnie trwa to już od paru tygodni. *Tyrannosaurus rex* ma bardzo ciekawe zwyczaje, chociażby sposób polowania. I równie ciekawe jest to, jak się opiekuje swoimi pisklętami. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby wygłodzeni rodzice tak samo się troszczyli o młode jeszcze przez kilka miesięcy. Na przykład będą musiały je nauczyć polować. Podejrzewam, że w którymś momencie zaczną przynosić nie zagryzione, tylko poranione zwierzęta, żeby młode mogły się same rozprawić z łupem. Bardzo jestem ciekaw, jak to będzie przebiegało. Na co czekamy?

W słuchawkach Thorne'a rozległ się trzask i Malcolm zapytał przez radio:

– Chyba nawet nie przyszło mu do głowy podziękować ci za uratowanie życia.

– Na to wygląda – burknął Doc do mikrofonu.

– Z kim rozmawiasz? – zaciekawił się Levine. – To Malcolm? On też jest tutaj?

– Tak.

– I na pewno się zgadza z moimi poglądami, prawda?

– Niezupełnie. – Thorne pokręcił głową.

– Posłuchaj, Doc. Bardzo mi przykro, że się tak przestraszyłeś. Uwierz mi, że nie było ku temu żadnych powodów. Ani przez chwilę nic nam nie zagrażało, nie licząc, rzecz jasna, twojej szaleńczej jazdy.

– W porządku. Nie ma o czym mówić.

Serce Thorne'a wciąż tłukło jak oszalałe. Zaczerpnął kilka głębszych oddechów, po czym wyprowadził motocykl na środek ścieżki i pojechał dalej, tu już znacznie szerszym szlakiem, w dół zbocza, ku obozowisku.

– Bardzo się cieszę, że cię widzę, Doc – powiedział Levine. – Twój widok sprawił mi ogromną radość.

Thorne nie odpowiedział. Jechał powoli ścieżką, wymijając najdłuższe gałęzie paproci. Dopiero gdy znaleźli się na równym terenie, przyspieszył nieco i wkrótce wynurzyli się z gęstwiny. Na drugim końcu polany stały furgon z przyczepą oraz explorer.

– Wspaniale – rzekł Levine na widok pojazdów. – Widzę, że zabrałeś cały sprzęt. Wszystko działa prawidłowo? Nie miałeś żadnych kłopotów?

– Nie, na razie sprawuje się bez zarzutu.

– Doskonale. Po prostu nie mogło być lepiej.

– Nie jestem taki pewien – burknął Thorne.

Kiedy podjechali bliżej, zauważyli Kelly i Arby'ego, machających energicznie rękoma zza szyby samochodu.

– Czyś ty zwariował? – syknął Levine.

CZWARTA KONFIGURACJA

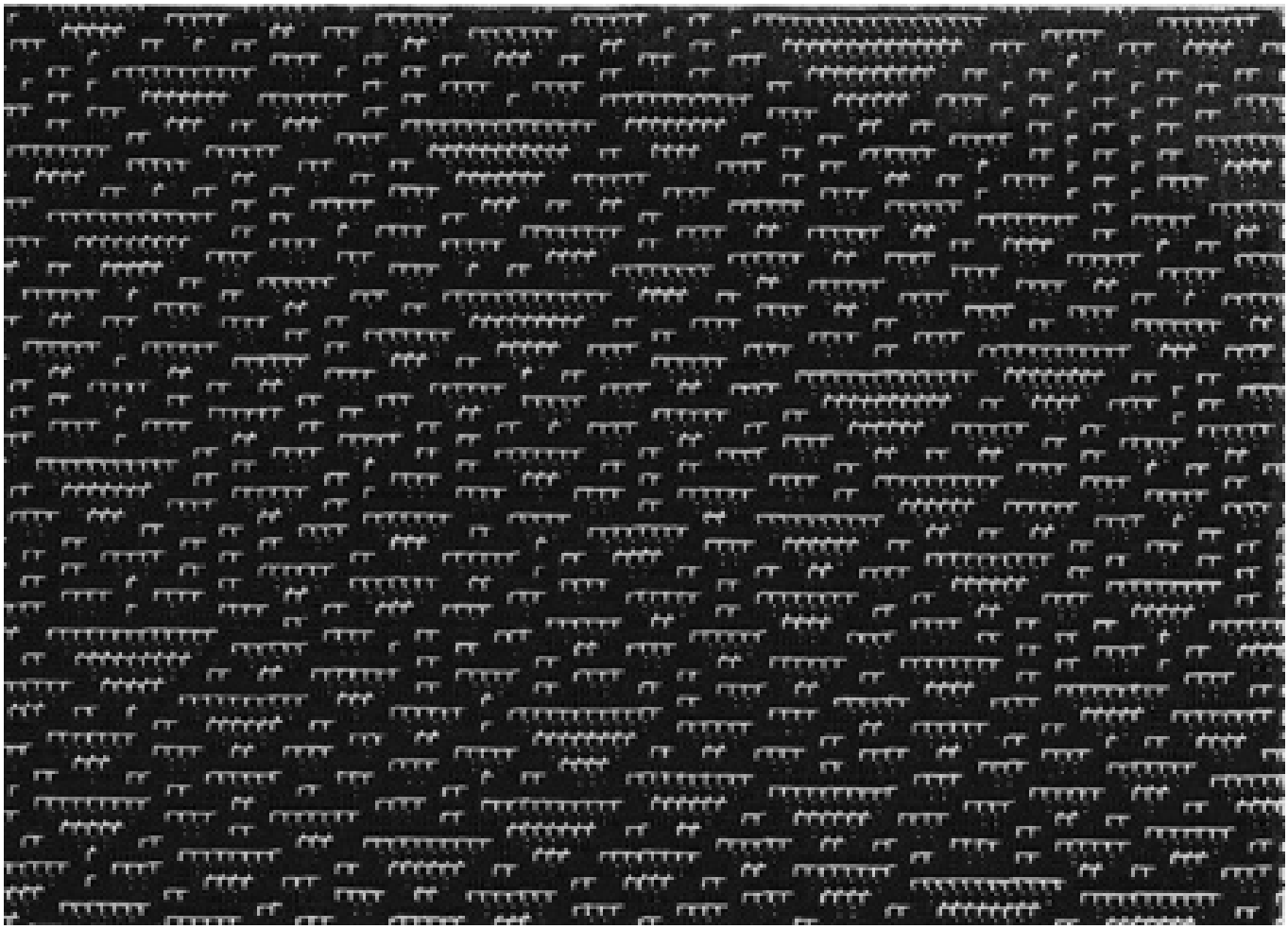

W miarę zbliżania się do krawędzi chaosu między elementami systemu narastają konflikty. Układ wkracza w obszar niestabilny, grożący mu zagładą.

Ian Malcolm

Dzieciaki wybiegły z furgonu, krzycząc głośno:

– Doktorze Levine! Doktorze Levine! Jest pan bezpieczny!

Oboje rzucili mu się na szyję. Richard, uśmiechając się z zakłopotaniem, zerknął na Thorne'a i rzekł:

– Postąpiłeś bardzo lekkomyślnie, Doc.

– Raczej im to powiedz. Przecież to twoi uczniowie.

– Niech się pan nie złości, doktorze – wtrąciła szybko Kelly.

– Taką podjęliśmy decyzję – oznajmił Arby. – Przyjechaliśmy tu na własną odpowiedzialność.

– Nie rozumiem – bąknął Levine.

– Doszliśmy do wniosku, że będzie pan potrzebował naszej pomocy – wyjaśniła Kelly. – I tak też było.

Obejrzała się na Thorne'a, a ten skinął głową.

– Faktycznie, bardzo nam pomogliście.

– Obiecujemy, że nie będziemy przeszkadzać – ciągnęła Kelly. – Proszę dalej realizować swoje plany, a my tylko...

– Dzieci bardzo się o ciebie martwiły – wtrącił Malcolm, który podszedł do nich. – Sądziły, że wpadłeś w poważne tarapaty.

– W każdym razie po co był ten rwetes? – zapytał Eddie. – Dlaczego nas poganiałeś z przeróbką pojazdów, a potem ruszyłeś na wyprawę bez sprzętu?

– Nie miałem wyboru. Tutejsze władze próbują opanować szerzącą się zarazę zapalenia mózgu, którą wiążą z pojawiającymi się od czasu do czasu na wybrzeżu szczątkami dinozaurów. Oczywiście wytłumaczenie jest idiotyczne, ale nikt nie zdoła ich powstrzymać przed zniszczeniem każdego okazu zaraz po jego znalezieniu. Musiałem jak najszybciej przypłynąć na wyspę i temu zapobiec.

– I dlatego wyprawiłeś się samotnie? – rzekł ironicznie Malcolm.

– Nieprawda, Ian. Nie działałem w sekrecie. Miałem zamiar was powiadomić, kiedy tylko się przekonam, że faktycznie okazy pochodzą z tej wyspy. Poza tym nie przypłynąłem samotnie, wynająłem przewodnika imieniem Diego, tubylca, który przysięgał, że był na tej wyspie przed laty, jeszcze jako dziecko. Nie miałem podstaw mu nie wierzyć. Zresztą tylko dzięki niemu zdołałem się wspiąć na stromy nadbrzeżny klif. Wszystko szło po naszej myśli, dopóki nie zostaliśmy zaatakowani nad strumieniem. I wtedy Diego...

– Zaatakowani? – przerwał mu Malcolm. – Przez kogo?

– Nie zdążyłem rozpoznać zwierzęcia. Wszystko wydarzyło się bardzo szybko. Drapieżnik powalił mnie w błoto i poszarpał mój plecak, nawet nie wiem, co się tam właściwie stało. Prawdopodobnie odstraszył go trzask prutej tkaniny. Podniosłem się szybko i rzuciłem do ucieczki, lecz żadne zwierzę mnie nie ścigało.

Matematyk patrzył na niego groźnie.

– Miałeś cholernie dużo szczęścia, Richardzie – oznajmił.

– Tak, wiem. Gnałem jak szalony, a gdy się w końcu obejrzałem, byłem już sam w dżungli. Nie wiedziałem, co począć. Wdrapałem się na drzewo, oceniłem, że na górze będzie najbezpieczniej. A później, o zmierzchu, pojawiło się stado welociraptorów…

– Welociraptorów? – powtórzył zdumiony Arby.

– To niewielkie drapieżniki – wyjaśnił Levine. – Ogólny wygląd teropoda, długi pysk, wielkie oczy na czubku głowy. Przeciętnie dwa metry wysokości, jakieś dziewięćdziesiąt kilogramów wagi. Bardzo szybkie, nadzwyczaj inteligentne i przebiegłe, zwykle polują w stadzie. W nocy nadciągnęło ich aż osiem, skakały wysoko wokół drzewa, próbując mnie dosięgnąć. Trwało to do samego rana. Skakały i groźnie warczały… Nawet przez chwilę nie zmrużyłem oka.

– Takie są skutki… – zaczął Carr.

– Posłuchaj, Eddie – wtrącił ostro Levine. – Nie szukałem kłopotów…

– I spędziłeś całą noc na drzewie? – spytał szybko Thorne, chcąc zażegnać spór.

– Tak. A rankiem, gdy raptory się oddaliły, zszedłem na ziemię i dotarłem na dno kotliny. Odnalazłem laboratorium, czy jak też nazwać tę halę. Wtedy zrozumiałem, że ośrodek ewakuowano w pośpiechu i zostawiono zwierzęta na wolności. Kiedy zaś wszedłem do środka, odkryłem, że generator elektryczny nadal pracuje i wiele urządzeń wciąż znajduje się pod prądem, chociaż minęło już tyle lat. Ale co najważniejsze, odkryłem istnienie sieci kamer wideo. Uznałem to za szczęśliwy traf. Postanowiłem wykorzystać tę sieć do sprawdzenia liczebności zwierząt na wyspie. Pracowałem nad tym właśnie, kiedy mi przeszkodziliście…

– Zaraz! Chwileczkę! – wybuchnął Eddie. – Przylecieliśmy tu, żeby cię ratować!

– Przed czym? Nie prosiłem was o to.

– Jak to nie? – wtrącił Thorne. – Przecież to z tobą się połączyłem za pośrednictwem satelity.

– Ale zaszło nieporozumienie. Straciłem głowę, bo nie mogłem sobie przypomnieć, jak się posługiwać tym cholernym aparatem. Powinien być

o wiele łatwiejszy w obsłudze, Doc. To był mój jedyny problem. Czy moglibyśmy wreszcie przejść do rzeczy?

Levine zamilkł i powiódł spojrzeniem po twarzach rozwścieczonych ludzi. Malcolm uśmiechnął się ironicznie i rzekł do Thorne'a:

– Prawdziwy naukowiec. Co za wielkoduszność!

– Zaraz. O co wam chodzi? – burknął Richard. – I tak, wcześniej czy później, mieliśmy przyjechać z ekspedycją na tę wyspę. Sprawy się tak potoczyły, że nawet lepiej, iż jesteśmy już na miejscu. W gruncie rzeczy nic się nie stało, więc nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy to roztrząsać. Nie czas na prawienie sobie miłych słówek. Mamy dużo ważniejsze sprawy i powinniśmy się jak najszybciej nimi zająć. Ta wyspa jest czymś całkowicie wyjątkowym, a z pewnością już wkrótce nie zostanie tutaj nic.

DODGSON

Lewis Dodgson siedział w mrocznym kącie Chesperito Cantina w Puerto Cortés i obracał w palcach butelkę piwa. Po drugiej stronie stolika George Baselton, profesor nadzwyczajny biologii z Uniwersytetu Stanforda, z zapałem rozprawiał się z olbrzymią porcją *huevos rancheros*. Dodgsona sam widok pomarańczowych smug surowego żółtka w zielonym sosie przyprawiał o mdłości, toteż usilnie spoglądał w bok, nie mógł się tylko uwolnić od głośnego mlaskania, z jakim Baselton zjadał późne śniadanie.

Oprócz nich w barze nie było nikogo, jeśli nie liczyć paru kur wałęsających się po sali. Co jakiś czas w drzwiach prowadzących do kuchni pojawiał się kilkuletni chłopak, ciskał w kury garstką kamyków i z głośnym śmiechem znikał z powrotem na zapleczu. Z pokrytych rdzą głośników nad kontuarem płynęły stare piosenki Elvisa Presleya, odtwarzane z poobijanego radiomagnetofonu. Dodgson nucił pod nosem „Falling in love with you", mając nadzieję, że tym sposobem choć trochę poprawi sobie humor. Siedział bowiem w tym obskurnym barze już niemal od godziny.

Baselton skończył wreszcie śniadanie i odsunął talerz. Wyciągnął maleńki notatnik, z którym nigdy się nie rozstawał.

– Wiesz, Lew? – zagadnął. – Przez cały czas się zastanawiam, jak powinniśmy to rozegrać.

– Niby co? – warknął poirytowany Dodgson. – Nie będzie o czym gadać,

jeśli się nie dostaniemy na tę wyspę.

Postukał palcem w fotografię Richarda Levine'a leżącą na brzegu stolika. Obrócił ją do góry nogami, popatrzył przez chwilę, a później przekręcił bokiem, spoglądając z ukosa.

Westchnął głośno i zerknął na zegarek.

– Lew – rzekł łagodnym tonem Baselton – podróż na wyspę wcale nie jest najważniejsza. Martwi mnie, w jaki sposób doniesiemy o naszym odkryciu całemu światu.

Dodgson podniósł wzrok.

– O naszym odkryciu? – powtórzył z naciskiem. – Wiesz co, George? To mi się podoba. Nasze odkrycie...

– Przecież to szczera prawda, nie sądzisz? – Baselton uśmiechnął się chytrze. – InGen zbankrutowało, a jego technologia bezpowrotnie zaginęła. To niepowetowana strata dla ludzkości, jak wielokrotnie powtarzałem w telewizji. W takiej sytuacji każdy, kto zdoła ją odzyskać, stanie się na nowo jej odkrywcą. Nawet nie wiem, czy można by to określić inaczej. Jak napisał Henri Poincaré...

– Masz rację – przerwał mu Dodgson. – Dokonaliśmy odkrycia. I co dalej? Chcesz zwołać konferencję prasową?

– Nic podobnego – rzekł ostro wyraźnie przestraszony biolog. – Konferencja prasowa oznaczałaby naszą zgubę, jedynie podniosłaby wielką falę krytyki. Tej miary odkrycie trzeba zaprezentować w odpowiedniej oprawie. Należy opublikować raport naukowy, Lew.

– Raport?

– Powiedzmy artykuł, na przykład w „Nature".

Dodgson skrzywił się boleśnie.

– Chcesz o nim donieść w jakimś akademickim czasopiśmie?

– A znasz lepszy sposób na udokumentowanie praw własności? Najlepszą metodą jest opisanie naszego odkrycia w prasie fachowej. Oczywiście wywoła to szeroką dyskusję, lecz opartą na zupełnie innym podłożu. Zaczną się niesnaski, wzajemne kłótnie różnych profesorów, co w ciągu trzech dni powinno poruszyć całą prasę, spychając na plan dalszy nawet takie rewelacje jak pierwsze przeszczepy piersi. A my w ciągu tych trzech dni załatwimy sprawy formalne.

– Sam chcesz napisać ten artykuł?

– Owszem. A potem opublikować go w jakimś czasopiśmie popularno-naukowym, chociażby w „American Scholar" bądź w „Natural History". Najwyżej trochę przeredagować, żeby był bardziej interesujący, podkreślić wagę odkrycia dla naszej przyszłości oraz jego znaczenie w wyjaśnianiu

przeszłości. Rozumiesz?

Dodgson pokiwał głową. Podzielał punkt widzenia Baseltona, w myślach utwierdzał się w przekonaniu, że profesor jest mu niezmiernie potrzebny, i czuł się dumny, iż przed laty podjął decyzję o wciągnięciu go do współpracy. On sam bowiem nigdy by nie pomyślał w pierwszej kolejności o opinii publicznej, podczas gdy Baselton zastanawiał się chyba wyłącznie nad tą sprawą.

– Tak, masz rację – odezwał się po chwili. – Ale przede wszystkim musimy się jednak dostać na wyspę. – Po raz kolejny spojrzał na zegarek.

Za jego plecami skrzypnęły drzwi baru. Dodgson obejrzał się i zobaczył swego asystenta, Howarda Kinga, który popychał do środka pulchnego, wąsatego Kostarykanina z zasępioną twarzą pociętą głębokimi zmarszczkami.

Dodgson obrócił się w ich stronę i zapytał:

– To ten facet?

– Tak, Lew.

– Jak się nazywa?

– Gandoca.

– *Señor* Gandoca. – Sięgnął po fotografię. – Czy pan zna tego człowieka?

Latynos ledwie rzucił okiem na zdjęcie i skinął głową.

– *Sí. Señor* Levine.

– Zgadza się. To jest cholerny *señor* Levine. Kiedy on tu był?

– Kilka dni temu. Wypłynął z moim kuzynem Dieguito. Jeszcze nie wrócili.

– A dokąd popłynęli?

– Na Isla Sorna.

– Doskonale. – Dopił piwo, odstawił butelkę i zapytał: – Czy ma pan łódź? – Zaraz jednak zwrócił się do Kinga: – On ma jakąś łódź?

– Jest rybakiem, więc powinien mieć.

Gandoca skinął głową.

– *Sí*, mam kuter.

– Świetnie. Ja także chciałbym się dostać na Isla Sorna.

– *Sí, señor*. Ale dzisiaj panuje taka pogoda...

– Nie obchodzi mnie pogoda – przerwał mu Dodgson. – Zresztą powoli się wypogadza. Muszę popłynąć na wyspę jak najszybciej.

– Może za jakiś czas...

– Nie, teraz!

Gandoca szeroko rozłożył ręce.

– Przykro mi, *señor*.

King otworzył neseser, w którym leżał pokaźny stos banknotów,

kostarykańskich colonów o łącznej wartości pięciu tysięcy. Latynos uniósł brwi ze zdumienia. Sięgnął po jeden banknot, pomacał go, obejrzał pod światło, po czym starannie odłożył na miejsce. Nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

– Chcę wypłynąć już teraz – powtórzył Dodgson.

– *Sí, señor* – mruknął Gandoca. – Możemy wyruszyć, kiedy tylko będzie pan gotów.

– To już lepiej. – Dodgson uśmiechnął się lekko. – Ile czasu zajmie nam podróż na wyspę?

– Około dwóch godzin, *señor*.

– Doskonale. To mi odpowiada.

AMBONA

– No to jazda!

Levine strzelił włącznikiem i bęben wyciągarki przymocowanej na tyle explorera zaczął się powoli obracać, nawijając stalową linkę połyskującą w promieniach słońca.

Wybrali stanowisko na skraju rozległej trawiastej kotliny, u stóp pochyłości. Słońce stało już wysoko ponad najwyższymi skałami urwistego obrzeża krateru i rozgrzane powietrze nad całą nadrzeczną równiną dość silnie falowało.

Najbliżej nich pasło się stado hipsylofodonów. Zielone zwierzęta przypominające nieco gazele od czasu do czasu wyciągały szyje i ciekawie spoglądały nad wysoką trawą w ich kierunku, zwłaszcza wtedy, kiedy rozlegał się głośny metaliczny dźwięk towarzyszący składaniu rusztowania. Wbrew wcześniejszym obawom Eddie przy pomocy dzieci szybko uporał się z montażem aluminiowej kratownicy. Wielka ażurowa konstrukcja spoczywała teraz w trawie, z daleka wyglądała jak model wieży wiertniczej sklejony z zapałek.

– Zaraz się przekonamy – rzekł Levine, zacierając ręce.

Linka się napięła i po chwili rusztowanie z wolna powędrowało w górę. Kratownica sprawiała wrażenie wątłej, niemal pajęczynowatej, ale Thorne zaręczał, że jej konstrukcja jest niezwykle wytrzymała. Bęben systematycznie nawijał linkę, ambona na szczycie rusztowania znalazła się trzy, później pięć

metrów nad ziemią. Wreszcie wieża stanęła pionowo i Levine wyłączył nawijarkę. Obudowane stanowisko obserwacyjne znalazło się tuż pod najniższymi konarami pobliskiego drzewa i niemal całkowicie skryło się w listowiu, lecz niżej aluminiowe elementy konstrukcji silnie błyszczały w promieniach słonecznych.

– Gotowe? – zapytał Arby.

– Tak – odparł Thorne, który mocował podpory czterech nóg kratownicy, mające jej zapewnić stabilność.

– Strasznie się błyszczy – ocenił Levine. – Trzeba ją było pomalować na czarno.

– To prawda – rzekł Doc. – Eddie, musimy jakoś zamaskować wieżę.

– Mam ją pomalować, Doc? Zabrałem kilka pojemników czarnej farby w aerozolu.

Levine pokręcił głową.

– Nie, zbyt intensywnie pachniałaby świeżą farbą. Może zamaskujemy ją liśćmi palmowymi?

– Jasne, dobry pomysł.

Eddie podszedł do najbliższej palmy i zaczął maczetą ścinać rosnące nisko liście.

Kelly z podziwem spoglądała na wysoką wieżę.

– Wspaniałe – powiedziała. – Jak to się nazywa?

– Ambona – wyjaśnił Levine. – Chodźcie, popatrzymy z góry – dodał, wchodząc po drabince.

Na szczycie wieży znajdowała się ażurowa klatka. Jej dach tworzyły aluminiowe pręty rozmieszczone co metr. Podłoga wykonana z identycznych prętów była ułożona nieco gęściej, lecz i tak piętnastocentymetrowe szczeliny stwarzały groźbę, że komuś wpadnie tam noga. Levine szybko umocował linkę na bloczku i wykorzystał pierwszy pęk rozłożystych liści palmowych, które Carr wciągnął na górę, do wymoszczenia podłogi. Następne przymocowywał już na zewnątrz, maskując nimi błyszczącą aluminiową kratownicę.

Arby i Kelly tymczasem podziwiali zwierzęta pasące się w dolinie. Z tej wysokości roztaczał się wspaniały widok. W oddali, na drugim brzegu rzeki, dostrzegli stado apatozaurów. Daleko na północy wędrowała horda triceratopsów. Nad samą rzeką widać było grupę kaczodziobych dinozaurów, które po ptasiemu wyciągały długie szyje, pijąc wodę. Ich głośne,

przenikliwe trąbienie niosło się po całej dolinie. W pewnym momencie, jakby w odpowiedzi, rozległo się podobne trąbienie dochodzące z głębi dżungli w przeciwległym końcu krateru.

– Co to za zwierzę tak trąbi? – zapytała Kelly.

– *Parasaurolophus* – wyjaśnił Levine. – Wydmuchuje powietrze przez ten długi grzebień za głową. Dźwięki o niskiej częstotliwości są słyszalne z bardzo daleka.

W południowej części doliny pasło się stado ciemnozielonych dinozaurów o dziwnie wysoko sklepionych i wypukłych czaszkach oraz ułożonym w kształcie wieńca szeregu rogowych wyrostków po bokach i z tyłu głowy. Kształtem łbów nieco przypominały bizony.

– A jak się nazywają tamte? – zaciekawiła się Kelly.

– Sam łamię sobie nad tym głowę – przyznał Levine. – Prawdopodobnie to *Pachycephalosaurus wyomingensis*, ale nie jestem pewien. Nikt jeszcze do tej pory nie wykopał kompletnego szkieletu tego dinozaura. Czołowa płyta ich czaszek jest utworzona z nadzwyczaj grubej kości, toteż zachowały się one w doskonałym stanie. Ale po raz pierwszy mam okazję widzieć przedstawiciela tego gatunku.

– Do czego mogły im służyć te wypiętrzone czaszki? – spytał Arby.

– Tego nikt nie wie. Przypuszcza się, że samce walczyły między sobą w okresie godowym... Wiesz, chodzi o rywalizację o samice.

– Pewnie, twarde głowy – rzucił ironicznie Malcolm, który także wspiął się na górę i stanął obok nich. – Właśnie masz okazję podziwiać tę rywalizację.

– Daj spokój – burknął Levine. – Sam widzę, że nie toczą między sobą żadnych walk. Chociaż może trwa jeszcze okres karmienia młodych.

– Nie łatwiej jest założyć, że w ogóle ze sobą nie walczyły? – Matematyk również zapatrzył się na niezwykłe zwierzęta. – Sprawiają na mnie wrażenie całkiem łagodnych.

– Masz rację, ale to jeszcze o niczym nie świadczy. Afrykańskie bawoły robią podobne wrażenie, przez większą część roku zgodnie się pasą na sawannie. W gruncie rzeczy to bardzo groźne i nieobliczalne zwierzęta. Trzeba przyjąć, iż owe wysoko sklepione czaszki do czegoś jednak służyły, mimo że dotychczas nie potrafimy sobie tego wytłumaczyć. – Levine odwrócił się w stronę dzieci. – Właśnie po to skonstruowaliśmy tę ambonę. Będzie stąd można prowadzić całodobowe obserwacje zwyczajów zwierząt. Chciałbym jak najlepiej poznać ich sposób życia.

– Po co? – zapytał Arby.

– Środowisko tej wyspy daje niespotykaną dotąd możliwość zgłębiania

jednej z największych zagadek występujących na naszej planecie: procesu wymierania gatunków.

– Otóż kiedy InGen kończył swoją działalność – tłumaczył Malcolm – ten ośrodek porzucono w pośpiechu, zostawiając zwierzęta na wolności. Wydarzyło się to pięć bądź sześć lat temu. Dinozaury bardzo szybko się rozwijają, u większości gatunków organizmy osiągają dojrzałość po czterech, najdalej pięciu latach. A to oznacza, że pierwsza generacja dinozaurów, tych wyhodowanych i wykarmionych w laboratorium InGenu, musiała już osiągnąć dojrzałość i doczekała się potomstwa, z konieczności wychowując je w warunkach naturalnych. Na wyspie powstał więc całkowicie odmienny system ekologiczny, utworzony przez żyjące w społeczeństwach dinozaury z kilkunastu różnych gatunków. Coś podobnego zaistniało po raz pierwszy od sześćdziesięciu pięciu milionów lat.

– Aha, i dlatego jest to tak wyjątkowa okazja – wtrącił Arby.

Malcolm wskazał nadrzeczną równinę.

– Sam tylko pomyśl. Wymieranie gatunków to niezwykle trudny problem badawczy, mamy do czynienia z kilkunastoma całkowicie odrębnymi teoriami, a przecież żadnej z nich nie da się sprawdzić doświadczalnie. Galileusz mógł potwierdzić swoją teorię grawitacji, zrzucając różne przedmioty ze szczytu krzywej wieży w Pizie. Co prawda nie robił tego, ale miał taką możliwość. Newton kazał oszlifować specjalne szklane pryzmaty, żeby przetestować swoją hipotezę dotyczącą natury światła. Współcześni astronomowie przeprowadzili wiele obserwacji, chcąc znaleźć potwierdzenie teorii względności Einsteina. W każdej dyscyplinie nauki doświadczenia odgrywają ogromną rolę. Ale rozumiecie doskonale, że hipotezy uzasadniające proces wymierania gatunków są niesprawdzalne. Nie da się tego zrobić.

– Lecz tu, na wyspie...

– Właśnie. Mamy tutaj populację od dawna wymarłych zwierząt, które zostały wyhodowane laboratoryjnie i umieszczone w środowisku naturalnym, gdzie mogą się dalej rozwijać. W całej naszej historii nie było dotąd niczego podobnego. Przekonaliśmy się jedynie, że dinozaury zamieszkiwały niegdyś tę planetę, a później wyginęły, ale nikt nie wie, dlaczego tak się stało.

– I ma pan nadzieję odnaleźć przyczyny ich wymarcia? W ciągu kilku dni?

– Tak – odparł Malcolm. – Właśnie na to liczymy.

– Na jakiej podstawie? Chyba nie sądzi pan, że one zaraz zaczną

powtórnie wymierać, prawda?

– No nie, na pewno nie stanie się to na naszych oczach. – Malcolm zachichotał głośno. – Nic podobnego. Ale sam rozumiesz, że po raz pierwszy mamy okazję obserwować żywe zwierzęta, a nie tylko badać skamieniałe kości. Możemy zarejestrować ich reakcje, badać obyczaje. Mam własną teorię na temat wymierania gatunków i jestem przekonany, że nawet w tak krótkim czasie uda mi się zgromadzić dowody na jej poparcie.

– Jakie dowody? – wtrąciła Kelly.

– Co to za teoria? – spytał równocześnie Arby.

Malcolm uśmiechnął się szeroko.

– Później wam wyjaśnię – odparł.

CZERWONA KRÓLOWA

W południe apatozaury podeszły bliżej rzeki. Ich długie, wygięte szyje odbijały się w gładkim lustrze wody, kiedy zwierzęta piły, a przypominające bicze ogony bez przerwy poruszały się z wolna na boki. Kilka młodych, znacznie mniejszych od dorosłych gigantów przez cały czas pozostawało w środku stada.

– Są piękne, prawda? – zagadnął Levine. – Tak doskonale, harmonijnie zbudowane. Przepiękne. – Wychylił się przez poręcz i zawołał do Thorne'a: – No, co z tym moim sprzętem?

– Zaraz dostaniesz.

Po chwili na linie został podciągnięty masywny trójnóg, na którym była zamocowana kolista głowica z pięcioma kamerami wideo. Przewody zasilające łączyły je z baterią z ogniw słonecznych. Levine i Malcolm zaczęli ustawiać statyw.

– Chcecie rejestrować widok na taśmie wideo? – zapytał Arby.

– Nie. Obrazy będą przesyłane drogą satelitarną do Kalifornii. Podłączymy się także do sieci komputerowej ośrodka i uzyskamy w ten sposób zapisy z wielu punktów obserwacyjnych.

– To znaczy, że nikt nie musi zostawać na wyspie?

– Zgadza się.

– Więc czemu nazywacie tę wieżę amboną?

– Sara Harding zapożyczyła ten termin ze słownictwa łowieckiego, a my

go od niej przejęliśmy.

Thorne także się wdrapał na górę i w klatce z aluminiowych prętów zrobiło się trochę ciasno, lecz Levine nie zwracał na to uwagi. Całkowicie pochłaniały go dinozaury. Przez lornetkę wodził spojrzeniem po całej równinie.

– Tak jak przypuszczaliśmy – odezwał się do Malcolma. – Istnieje ścisła hierarchia w stadach, młode i dorastające osobniki trzymają się w środku, dorosłe otaczają je ze wszystkich stron. Długie ogony apatozaurów to zapewne bardzo skuteczna broń odstraszająca drapieżniki.

– Na to wygląda.

– Nie mam w tym względzie żadnych wątpliwości. – Levine westchnął głośno. – Bardzo mnie cieszy, że nasze przypuszczenia okazują się trafne.

W dole Eddie rozpakowywał cylindryczną klatkę, która tak bardzo ich zainteresowała przed wyjazdem, w warsztacie. Miała dwa metry wysokości i około półtora metra średnicy, a była zbudowana z dwucentymetrowej średnicy prętów tytanowych.

– Co mam z tym zrobić? – zawołał Carr, kiedy wreszcie uporał się z robotą.

– Na razie zostaw ją na dole – odparł Richard. – Nie będziemy jej tu wciągać.

Eddie ustawił klatkę w trawie i oparł o jedną z nóg wieży. Levine zszedł na ziemię.

– Po co ta klatka? – zawołał z góry Arby. – Chcecie schwytać jakiegoś dinozaura?

– Nie, wręcz przeciwnie. – Richard zaczął mocować konstrukcję u boku wieży. Kilkakrotnie otworzył i zamknął drzwi, sprawdzając wytrzymałość skobla, następnie parę razy obrócił klucz w zamku, wreszcie zostawił go tam, przytwierdzonego do kraty elastyczną plastikową taśmą. – To klatka do obserwacji drapieżników, podobne stosują badacze rekinów. Każdy, kto będzie na ziemi i stanie w obliczu niebezpieczeństwa, zdoła się w niej schronić.

– Jakiego niebezpieczeństwa? – zapytał Arby, rozglądając się z lękiem dookoła.

– Na razie nic nikomu nie grozi – rzekł Levine, wspinając się z powrotem po drabince. – Jestem przekonany, że zwierzęta nie zwracają na nas zbytniej uwagi, nie powinna ich też zaniepokoić ta wieża, zwłaszcza że nieźle ją zamaskowaliśmy.

– Chce pan powiedzieć, że nawet jej nie zauważą?

– Nie, z pewnością zauważą, lecz po prostu nie okażą zainteresowania.

– Lecz jeśli wyczują obecność ludzi...

Levine energicznie pokręcił głową.

– Tak ustawiliśmy ambonę, żeby zazwyczaj znajdowała się po zawietrznej stronie względem doliny. Poza tym pewnie zwróciliście uwagę, że tutejsze paprocie pachną bardzo intensywnie.

Rzeczywiście, olbrzymie rośliny roztaczały specyficzną, dość ostrą woń, podobną nieco do zapachu eukaliptusa.

Arby przygryzł wargi i po chwili zapytał:

– A jeśli któreś z nich odżywiają się paprociami?

– Niemożliwe – odparł Levine. – Ten gatunek to *Dicranopterus cyatheoides*. Jest lekko trujący i bardzo cierpki w smaku. Mówiąc szczerze, botanicy są przekonani, że podobne do tych paprocie zaczęły wytwarzać substancje toksyczne już w okresie jury, właśnie jako sposób ochrony przed roślinożernymi dinozaurami.

– To nie zostało udowodnione, nadal jest czystą spekulacją – wtrącił Malcolm.

– Niemniej taki wniosek wydaje się logiczny. Cały świat roślinny mezozoiku stanął przed ogromnym wyzwaniem, jakim był masowy rozwój gigantycznych roślinożerców. Olbrzymie żerujące stada, w których każdy dinozaur pochłaniał codziennie setki kilogramów zielonej masy, mogły całkowicie zniszczyć ziemską florę, gdyby rośliny nie wykształciły jakichś mechanizmów obronnych. Zalicza się do nich zarówno ciernie lub parzące kolce, jak i substancje powodujące cierpki smak bądź toksyczne. Jest bardzo prawdopodobne, że te paprocie zaczęły wówczas wytwarzać podobne związki. A te działają niezwykle skutecznie, w żadnym zakątku świata zwierzęta nie jedzą tych paproci. Właśnie dlatego występują one zazwyczaj w dużych skupiskach, również na tej wyspie.

– To niesamowite, że rośliny także potrafią się bronić – wtrąciła Kelly.

– Oczywiście że potrafią. Rośliny rozwijają się tak samo, jak wszystkie inne żywe organizmy, wykształcają w sobie odruchy agresji, mechanizmy obronne i tak dalej. W dziewiętnastym wieku rozwijano głównie teorie ewolucji zwierząt, koncentrowano się na ociekających krwią kłach i szponach. Ale teraz zwraca się baczną uwagę także na świat roślin. Już chyba dla wszystkich stało się jasne, że rośliny w swej upartej walce o przetrwanie rozwinęły dziesiątki różnorodnych mechanizmów, począwszy od złożonej symbiozy z przedstawicielami świata zwierzęcego poprzez sposoby sygnalizowania innym roślinom niebezpieczeństwa aż po otwartą wojnę chemiczną.

Kelly zmarszczyła brwi.

– Potrafią sygnalizować niebezpieczeństwo? Jak?

– Jest na to wiele przykładów – odparł Levine. – Afrykańska akacja wykształciła bardzo duże i ostre ciernie, osiągające nawet osiem centymetrów długości, ale to jedynie zmusiło takie zwierzęta jak żyrafy czy antylopy do wydłużenia języków, którymi mogłyby sięgać między kolcami po liście. Zatem same ciernie nie wystarczyły, toteż w toku ewolucji akacje sięgnęły po broń chemiczną, zaczęły wytwarzać w liściach olbrzymie ilości taniny, która powoduje w żołądkach zwierząt bardzo ostrą reakcję metaboliczną. W niektórych wypadkach może nawet doprowadzić do śmierci. Jednocześnie akacje wypracowały sobie chemiczny system ostrzegania. Jeśli na przykład antylopa zacznie skubać liście z jednego drzewa, ono wypuszcza w powietrze znaczne ilości etylenu, co z kolei znacznie przyspiesza wytwarzanie taniny w liściach pozostałych drzew rosnących w tej samej kępie. Najdalej po dziesięciu minutach zawartość taniny w liściach osiąga taki poziom, że po ich zjedzeniu roślinożerca padnie martwy.

– Ale czy tym sposobem wszystkie antylopy nie powinny zginąć w krótkim czasie?

– Nie, ponieważ one także ewoluują. Musiały się szybko nauczyć, że wolno im tylko przez parę minut skubać liście akacji. Kiedy drzewo zaczyna produkować znaczne ilości taniny, natychmiast muszą przerwać żerowanie. Stąd też roślinożercy wypracowali zupełnie nową strategię. Na przykład żyrafy oskubują akacje w ten sposób, że nigdy nie podchodzą do drzew rosnących po stronie nawietrznej od tego, które było objadane jako pierwsze, zresztą nie zatrzymują się na dłużej przy jednej kępie, co parę minut przechodzą do innej, rosnącej w pewnej odległości. Zatem, jak widzisz, zwierzęta zaadaptowały się do nowej sytuacji.

– W teorii ewolucji nazywa się to fenomenem Czerwonej Królowej – dodał Malcolm. – Zapewne pamiętacie, że w „Alicji w Krainie Czarów" Czerwona Królowa kazała Alicji biec najszybciej, jak tylko potrafi, jeśli chce pozostać na miejscu. Mniej więcej ta sama zasada funkcjonuje w spirali ewolucyjnej: wszystkie organizmy muszą ewoluować w oszałamiającym wręcz tempie, żeby zachować istniejącą równowagę, czyli mówiąc żartobliwie, pozostać na miejscu.

– Czy zmiany ewolucyjne są naprawdę aż tak szybkie? – zapytał Arby. – Nawet u roślin?

– Oczywiście – kontynuował Levine. – Na swój sposób rośliny są niezwykle aktywne. Na przykład dęby wytwarzają taninę i fenol, służące im do ochrony przed szkodnikami. Kiedy tylko jedno drzewo zostanie zaatakowane przez owady, pozostałe odbierają wyraźne chemiczne ostrzeżenie. Powstaje coś w rodzaju ścisłej współpracy między osobnikami tego samego

gatunku.

Arby pokiwał głową i zapatrzył się w dal, na apatozaury leniwie żerujące nad rzeką.

– I chyba właśnie z tego powodu dinozaury nie objadły dotąd wszystkich drzew na wyspie – zauważył. – Te olbrzymy naprawdę muszą pochłaniać ogromne ilości masy roślinnej. Długie szyje pozwalają im dosięgnąć najwyższych gałęzi. Lecz mimo to zielony gąszcz dżungli zdaje się nienaruszony.

– Prawidłowy wniosek – rzekł z dumą Levine. – Sam zwróciłem na to uwagę.

– Czyżby i tu funkcjonowały jakieś mechanizmy obronne roślin?

– Niewykluczone. Sądzę jednak, że istnieje znacznie prostsze wytłumaczenie tego zjawiska.

– Jakie?

– Tylko popatrz – odparł Levine. – Przyjrzyj się uważnie.

Chłopak sięgnął po lornetkę i skierował ją w stronę stada dinozaurów.

– I co ma być tym prostym wyjaśnieniem?

– Wśród paleontologów panuje rozpowszechniony pogląd, że wiele roślinożernych dinozaurów miało bardzo długie szyje, żeby móc dosięgnąć liści w koronach drzew, do których nie sięgały mniejsze zwierzęta. Apatozaury mają przecież szyje długości sześciu metrów.

– I co z tego? – wtrącił zniecierpliwiony Arby.

– Rzadko które zwierzęta mają długie szyje, ponieważ są one przyczyną wielu kłopotów, a nawet olbrzymich problemów natury fizjologicznej – wyjaśniał spokojnie Levine. – Po pierwsze: muszą zostać wykształcone specjalne mięśnie do podtrzymywania takiej szyi. Po drugie: muszą powstać niezwykłe neurony przekazujące impulsy nerwowe na tak długiej drodze. Po trzecie: przełyk powinien mieć specjalną budowę, żeby umożliwić przesuwanie pokarmu do żołądka. Po czwarte: powietrze do płuc musi być pompowane ze zwiększoną siłą. Po piąte: serce musi się odznaczać zwiększoną wydolnością, żeby mogło tłoczyć krew wysoko, aż do głowy. Z ewolucyjnego punktu widzenia długa szyja nastręcza samych trudności.

– Ale żyrafy jakoś sobie z tym radzą – rzekł zaczepnie chłopak.

– Owszem, to prawda, chociaż trudno porównywać długość szyi żyrafy i apatozaura. W każdym razie żyrafy mają niezwykle mocne serca i wyjątkowo

rozbudowane mięśnie karku. Niektóre z nich wspomagają krążenie, przepompowując krew wzdłuż szyi.

– Czy dinozaury miały podobną budowę?

– Tego nie wiemy. Zakłada się jednak, że serca apatozaurów musiały być wyjątkowe i ważyć około stu kilogramów. Sądzę jednak, że ten najważniejszy problem przepompowywania krwi do głowy da się wytłumaczyć inaczej.

– Jak?

– Przyjrzyj się uważnie zwierzętom.

Po chwili Arby uderzył dłonią o udo.

– One w ogólne nie podnoszą wysoko głów!

– Zgadza się. W każdym razie czynią to stosunkowo rzadko i podnoszą je tylko na krótko. W tej chwili piją wodę, więc wszystkie pochylają łby nad rzeką, lecz wcześniej obserwowałem je przez dłuższy czas i zauważyłem, że naprawdę nieczęsto wyciągają szyje i podnoszą głowy.

– I pewnie dlatego w ogóle nie objadają liści z czubków drzew!

– Jasne.

Kelly zmarszczyła brwi.

– Lecz skoro te długie szyje nie służą im do sięgania do koron drzew, to w jakim celu zostały wykształcone?

Levine uśmiechnął się szeroko.

– To także musi mieć jakieś wytłumaczenie. Według mnie ich szyje to element odstraszania wrogów.

– Odstraszania? Długie szyje miałyby służyć do obrony? – zdziwił się Arby. – To do mnie nie przemawia.

– To popatrz jeszcze raz. Powód wydaje się oczywisty.

Arby ponownie uniósł lornetkę, lecz jednocześnie mruknął do Kelly:

– Nie cierpię, kiedy każe się nam odkrywać rzeczy ponoć oczywiste.

– Ja też. – Dziewczyna westchnęła głośno.

Odwracając głowę, chłopak złowił spojrzenie Thorne'a, który przyglądał mu się z tajemniczym uśmieszkiem. Doc niepostrzeżenie uniósł dłoń, wyciągając dwa palce na kształt litery V. Drugą ręką odgiął jeden palec, równocześnie pochylając drugi. Powtórzył ten ruch, jakby chciał mu dać do zrozumienia, że oba palce są ze sobą powiązane...

Arby'emu coś zaczęło świtać w głowie. Uniósł brwi, wytężając umysł, ale nie mógł zrozumieć znaczenia tego gestu.

– Most – przekazał bezgłośnie Thorne, poruszając tylko wargami.

Chłopak popatrzył przez lornetkę. Olbrzymie zwierzęta leniwie wymachiwały na lewo i prawo długimi ogonami, które przesuwały się tuż nad głowami młodych.

– Już wiem! – wykrzyknął. – Jako broń służą im wielkie, masywne ogony, toteż długie szyje są potrzebne do zrównoważenia ich ciężaru. Balansują nimi na zasadzie przeciwwagi, jak przy zwodzonym moście.

Levine wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Błyskawicznie do tego doszedłeś.

Thorne odwrócił się do nich tyłem, chcąc ukryć szeroki uśmiech.

– A więc taka jest prawda... – mruknął chłopak.

– Owszem – przyznał Levine. – Długie szyje miały te zwierzęta, które odznaczały się równie długimi ogonami. Całkiem inaczej to wygląda u teropodów, które poruszały się w postawie wyprostowanej. Ale wszystkie czworonogi musiały mieć przeciwwagę dla długich ogonów, bo inaczej zwierzęta nie mogłyby się nimi posługiwać.

– Mnie co innego zastanawia, kiedy obserwuję to stado apatozaurów – odezwał się Malcolm.

– Tak? A co?

– Nie ma wśród nich osobników dorosłych. Zwierzęta, na które patrzymy, są według naszych standardów olbrzymie, ale w gruncie rzeczy żadne z nich nie jest jeszcze w pełni rozwinięte. Czy to nie zdumiewające?

– Jeśli mam być szczery, mnie to wcale nie dziwi – odrzekł Levine. – Miały za mało czasu, aby osiągnąć te same rozmiary, które obserwuje się u okazów kopalnych. Nie ulega wątpliwości, że apatozaury rozwijają się wolniej od innych gatunków dinozaurów. W końcu olbrzymie ssaki, takie jak słonie, również rozwijają się znacznie wolniej od innych, mniejszych zwierząt.

Malcolm pokręcił głową.

– To nie jest żadne wytłumaczenie.

– A co ty o tym myślisz?

– Przyjrzyj się uważnie – mruknął ironicznie matematyk. – Powód jest raczej oczywisty.

Dzieciaki zachichotały, natomiast Levine obojętnie wzruszył ramionami.

– Dla mnie oczywiste jest to, że na tej wyspie chyba jeszcze żadne zwierzę nie osiągnęło rozmiarów całkiem dojrzałego osobnika. Zarówno triceratopsy, jak i apatozaury, a nawet parazaurolofy wydają się nieco mniejsze, niż należało tego oczekiwać. Być może odgrywa tu rolę jakiś wspólny element, chociażby składnik pożywienia czy odizolowane środowisko wyspy albo nawet sposób, w jaki te zwierzęta zostały wyhodowane. Nie sądzę jednak, żeby należało się tym niepokoić lub nawet zwracać na to szczególną uwagę.

– Może i masz rację – mruknął Malcolm – ale ja nie podzielam tego

zdania.

PUERTO CORTÉS

– Nie ma połączenia?! – zdumiała się Sara Harding. – I nie znajdzie pan dla mnie żadnego samolotu?

Dochodziła dopiero jedenasta, lecz Sara znajdowała się w podróży już od piętnastu godzin. Dopisało jej szczęście, gdyż zdołała się dostać na pokład amerykańskiego transportowca wojskowego, lecącego z Nairobi do Dallas. Była jednak wycieńczona i, jak rzadko, czuła się strasznie brudna, marzyła o kąpieli i świeżym ubraniu. Lecz zamiast spodziewanego odpoczynku musiała się teraz wykłócać z upartym urzędnikiem niewielkiego portu lotniczego w małym portowym miasteczku na zachodnim wybrzeżu Kostaryki. Deszcz przestał padać, lecz niebo nadal było zaciągnięte ciężkimi, wiszącymi nisko nad ziemią chmurami.

– Przykro mi – oznajmił Rodríguez. – Naprawdę nie da się zorganizować przelotu.

– Nie macie helikopterów? Przecież rano ekspedycja poleciała śmigłowcami.

– Tak, mamy helikoptery.

– I one też nie mogą wystartować?

– Teraz ich tutaj nie ma.

– Sama widzę. A gdzie są?

Rodríguez rozłożył szeroko ręce.

– Oba musiały polecieć do San Cristóbal.

– Kiedy wrócą?

– Nie wiem. Prawdopodobnie jutro, może nawet pojutrze.

– *Señor* Rodríguez – rzekła Harding z naciskiem. – Muszę jeszcze dzisiaj dostać się na tę wyspę.

– Rozumiem – odparł spokojnie Kostarykanin – ale nie mogę zrobić nic, żeby pani pomóc.

– A co pan proponuje?

Tamten wzruszył ramionami.

– Nic mi nie przychodzi do głowy.

– Czy jest w mieście jakaś łódź, którą można by tam dopłynąć?

– Nic nie wiem na ten temat.

– Przecież jest tu port – rozzłoszczona Sara wskazała widok za oknem – a w nim kotwiczy co najmniej kilkanaście różnych łodzi.

– Tak, to prawda, ale nie sądzę, aby któryś z rybaków chciał z panią popłynąć na tamtą wyspę. Pogoda jest bardzo niepewna.

– Chyba wolno mi jednak pójść tam i spróbować…

– Ależ tak, oczywiście. – Rodríguez westchnął głośno. – Może pani na własną rękę rozmawiać z rybakami.

Było parę minut po jedenastej, kiedy dźwigając ciążący jej plecak i przeskakując przez kałuże, Harding dotarła do zaniedbanego portu rybackiego. Przy zbitym z bali pomoście stały cztery kutry, wokół nich unosił się intensywny zapach ryb. Nigdzie jednak nie dostrzegła żywej duszy, parę osób kręciło się jedynie w odległym końcu portu, gdzie przy nabrzeżu stał zacumowany największy stateczek. Pod dźwigiem mocowano właśnie siatkę, w której stał czerwony terenowy jeep, obok piętrzyły się blaszane pojemniki i skrzynie z zapasami żywności. Sara zwróciła uwagę na przerobiony samochód, dorównujący wielkością land roverowi typu Defender, będącemu najbardziej poszukiwanym autem do wypraw terenowych. Błyskawicznie oceniła, że wyposażenie tego pojazdu musiało kosztować mnóstwo pieniędzy, a to oznaczało, że organizatorzy ekspedycji dysponowali dużymi funduszami.

Chodzący wzdłuż nabrzeża dwaj Amerykanie w tropikalnych kapeluszach z szerokimi rondami, pokrzykując głośno, kierowali grupą robotników. Po chwili jeep powędrował w powietrze i z głośnym zgrzytem przedpotopowy dźwig przeniósł go nad pokład stateczku. Aż do niej dolatywały okrzyki Amerykanów:

– Ostrożnie! Powoli!

Wreszcie koła samochodu zetknęły się z deskami pokładu i robotnicy zaczęli przenosić pudła i skrzynie. Dźwigowy opuścił hak, żeby przenieść największe z metalowych pojemników.

Harding ruszyła energicznym krokiem, podeszła do pierwszego z Amerykanów i zapytała:

– Przepraszam, czy panowie nie mogliby mi pomóc?

Mężczyzna obejrzał się szybko. Był średniego wzrostu, miał lekko rudawe włosy i bladą cerę. Dokładnie wyprasowany strój tropikalny w kolorze khaki dziwnie na nim zwisał. Człowiek był wyraźnie spięty i zdenerwowany.

– Jestem zajęty – warknął i odwrócił się z powrotem. – Manuel! Ostrożnie! To bardzo cenny sprzęt!

– Proszę wybaczyć, że przeszkadzam. Nazywam się Sara Harding

i bezskutecznie próbuję...

– A co mnie obchodzi, czy pani jest Sarą Bernhardt, czy... Manuel! Do cholery! – Mężczyzna energicznie zamachał rękoma. – Tak! Do ciebie mówię! Ustaw tę skrzynię pokrywą do góry!

– Próbuję się dostać na Isla Sorna – dokończyła Harding.

Amerykanin nagle znieruchomiał i dopiero po chwili odwrócił się powoli i spojrzał na nią uważnie.

– Isla Sorna? – powtórzył z niedowierzaniem. – Czy przypadkiem coś pani nie łączy z doktorem Levine'em?

– Owszem.

– Niech mnie piorun trzaśnie – mruknął i uśmiechnął się szeroko. – Ile pani wie? – zapytał, wyciągając rękę. – Jestem Lew Dodgson z korporacji Biosyn z Cupertino. A to mój asystent Howard King.

– Cześć – rzucił drugi mężczyzna, kiwając głową.

King był młodszy i wyższy od Dodgsona, wyglądał jak typowy, wymuskany Kalifornijczyk. Harding zaklasyfikowała go błyskawicznie: standardowy samiec klasy beta, poddańczo uległy swojemu zwierzchnikowi. Ale w jego zachowaniu było także coś dziwnego – na widok Sary cofnął się o krok, jakby speszony serdecznością szefa.

– A tam, na pokładzie – Dodgson wskazał wątły stateczek – znajduje się trzeci członek naszej wyprawy, George Baselton.

Harding zerknęła na potężnie zbudowanego mężczyznę, który nadzorował ustawianie pakunków na pokładzie. Całą koszulę na plecach miał mokrą od potu.

– Czy wy wszyscy jesteście przyjaciółmi Richarda? – zapytała.

– Wybieramy się właśnie na spotkanie z nim, chcemy pomóc wyciągnąć go z tarapatów – rzekł Dodgson. Urwał na chwilę, po czym dodał ze zmarszczonymi brwiami. – Ale... on ani słowem nie wspominał o pani.

Sara zdała sobie naglę sprawę ze swego wyglądu: niewysoka trzydziestolatka w wymiętej i przepoconej koszuli, brudnych szortach oraz ciężkich terenowych butach. Włosy miała w nieładzie i była zmęczona długotrwałą podróżą.

– Poznałam Richarda przez Iana Malcolma, który jest moim starym przyjacielem.

– Ach, rozumiem...

Dodgson patrzył na nią jednak takim wzrokiem, jakby miał przed sobą agentkę obcego wywiadu, dlatego Harding postanowiła udzielić szerszych wyjaśnień.

– Prowadziłam badania w Afryce, dopiero w ostatniej chwili

zdecydowałam się tu przylecieć. Doc Thorne mnie powiadomił...

– Tak, oczywiście, Doc...

Mężczyzna wyraźnie się rozluźnił, widocznie teraz wszystko stało się dla niego jasne.

– Czy Richardowi nic się nie stało? – zapytała Harding.

– No cóż, mam taką nadzieję. Zamierzamy bowiem dostarczyć mu ten cały sprzęt.

– To znaczy, że płyniecie na Sornę?

– Owszem, jeśli tylko pogoda na to pozwoli. – Dodgson znacząco spojrzał w niebo. – Będziemy gotowi do wypłynięcia za pięć, najdalej za dziesięć minut. Z chęcią panią zabierzemy, jeśli nadal jest pani zdecydowana dostać się na wyspę. Wspólnie będzie nam raźniej. Gdzie pani bagaże?

– Mam tylko to – odparła, zdejmując z ramion plecak.

– Niezbędne minimum, zgadza się? No cóż, pani Harding, witamy na pokładzie.

Dodgson zachowywał się wręcz kurtuazyjnie, lecz Sara nie mogła zapomnieć jego pierwszej reakcji. Zwróciła też uwagę, że ten młodszy, King, wyraźnie zaczął okazywać niepokój. Odwrócił się do niej plecami i ponownie jął pokrzykiwać na robotników portowych, którzy mocowali na dźwigu już ostatnią dużą skrzynię oznakowaną wielkim napisem: „Korporacja Biosyn". Ale jej się zdawało, że tylko udaje, że specjalnie unika jej wzroku. Poza tym był jeszcze ten trzeci, krzątający się po pokładzie, któremu w ogóle nie miała okazji się przyjrzeć...

– Jest pan pewien, że...

– Ależ oczywiście, będziemy naprawdę zachwyceni! – wykrzyknął z entuzjazmem Dodgson. – A poza tym to jedyna okazja dostania się na wyspę. Samolot tam nie wyląduje, a śmigłowce nie wrócą przed...

– Wiem, pytałam na lotnisku.

– W takim razie wszystko jest jasne. Jeśli chce się pani dostać na wyspę, powinna popłynąć z nami.

Zerknęła podejrzliwie na czerwonego jeepa i dodała:

– Według mnie Thorne powinien był już o świcie znaleźć się na wyspie z całym potrzebnym sprzętem.

King obejrzał się szybko na nią, na jego twarzy widać było coraz silniejsze przerażenie. Ale Dodgson spokojnie przytaknął ruchem głowy i rzekł:

– Ma pani rację. Wyleciał z Kalifornii wczoraj późnym wieczorem.

– Właśnie tak mi zapowiadał przez telefon.

– Zgadza się, powinien już być na wyspie. W każdym razie wszystko na to

wskazuje.

Na stateczku rozległy się jakieś okrzyki po hiszpańsku i po chwili przy burcie stanął kapitan w zaplamionym mundurze.

– *Señor* Dodgson, możemy odpływać! – zawołał.

– Doskonale. Wyśmienicie. Zapraszamy na pokład, pani Harding. Pora wyruszyć w drogę.

KING

Wypluwając z komina gęstą smugę czarnego dymu, kuter powoli wypłynął z portu i skierował się na otwarte morze. Howard King wsłuchiwał się w monotonny terkot silnika, od którego wibrował cały pokład, w trzeszczenie drewnianych wręg oraz hiszpańskie okrzyki marynarzy. Obejrzał się za rufę, na niewielkie Puerto Cortés, utworzone przez szereg parterowych domków ciasno stłoczonych wokół portu rybackiego. Żywił głęboką nadzieję, że zniszczony kuter przetrzyma trudy tej eskapady, odnosił bowiem wrażenie, że znaleźli się na samym końcu świata.

Dodgson znów był w swoim żywiole, znowu podejmował ogromne ryzyko.

Tego właśnie King nie znosił w swojej pracy.

Znał Lewisa Dodgsona już prawie od dziesięciu lat, czyli od samego początku, kiedy jako obiecujący doktorant Uniwersytetu w Berkeley, odznaczający się młodzieńczą pasją badawczą i niespożytą energią, podjął pracę w korporacji Biosyn. Pisał pracę doktorską na temat czynników wpływających na proces krzepliwości krwi, a w tamtym okresie owa problematyka cieszyła się olbrzymim zainteresowaniem, ponieważ łudzono się nadzieją odkrycia jakiegoś prostego sposobu na usuwanie zakrzepów u osób po zawale serca. Przedsiębiorstwa zajmujące się biotechnologią rozpoczęły wielki wyścig do produkcji leku, który ludziom będzie ratował życie, im natomiast przyniesie krociowe zyski.

King rozpoczął pracę od badań nad wielce obiecującym preparatem o nazwie Hemaglutyna V-5, w skrócie HGV-5. Pierwsze doświadczenia wykazały, że w zdumiewającym stopniu rozpuszcza on zakrzepy krwi. King błyskawicznie został zaliczony do grona najbardziej obiecujących pracowników korporacji, szeroko opisano jego pierwsze sukcesy w corocznym raporcie.

Dostał własne laboratorium i przyznano mu budżet wynoszący niemal pół miliona dolarów.

I właśnie wtedy, bez żadnego ostrzeżenia, stało się najgorsze. Pierwsze testy na ludziach zakończyły się fiaskiem. HGV-5 okazał się całkowicie nieskuteczny, zarówno w przypadkach zawałów serca, jak i zakrzepowych martwic tkanki płucnej. Co gorsza, wywoływał wiele efektów ubocznych: krwawienia wewnętrzne przewodu pokarmowego, wysypki, zaburzenia układu nerwowego. Po tym, jak jeden z ochotników zmarł w konwulsjach, Biosyn przerwał dalsze testy preparatu. W ciągu paru tygodni King utracił swoje samodzielne laboratorium, które przejął po nim nowo zatrudniony młody Duńczyk zajmujący się badaniem ekstraktów z wątroby żółtej pijawki sumatrzańskiej, znacznie skuteczniejszych w walce z zakrzepami.

Po przeniesieniu do skromnego pokoiku King zdecydował, że nie będzie się więcej zajmował składnikami krwi, lecz podejmie pracę nad otrzymaniem nowego typu środków przeciwbólowych. Już wcześniej zetknął się z ciekawą substancją, lewoskrętnym izomerem pewnego białka występującym u afrykańskiej rogatej ropuchy, który oddziaływał na człowieka narkotycznie. Ale załamanie nerwowe sprawiło, że całkowicie stracił pewność siebie i gdy kierownictwo korporacji decydowało o podjęciu nowych badań, oceniono, że przygotowana przez niego dokumentacja jest niewystarczająca, a tematyka nie rokuje pomyślnych dla firmy rezultatów. Krótko mówiąc, projekt badań rogatej ropuchy został odrzucony.

Trzydziestopięcioletni King nie mógł ścierpieć dwukrotnej porażki. W następnym rocznym raporcie nawet nie pojawiło się jego nazwisko. Zaczęły krążyć plotki, że w trakcie kolejnej weryfikacji nie ma co liczyć na przedłużenie kontraktu. Szybko przygotował jeszcze jedną propozycję badawczą, lecz ta została odrzucona już na wstępie. Zapowiadał się mroczny okres w życiu Kinga.

I właśnie wtedy Lewis Dodgson zaprosił go na wspólny lunch.

Dodgson cieszył się bardzo złą opinią w kręgach naukowców, dość powszechnie nazywano go „podkradaczem", gdyż budował swą karierę na wykradaniu ciekawych tematów kolegom i publikowaniu rezultatów pod własnym nazwiskiem. Tuż po ukończeniu studiów doktoranckich King w ogóle nie chciałby z nim rozmawiać. Ale będąc w krytycznej sytuacji, bez wahania przyjął zaproszenie do ekskluzywnej restauracji w San Francisco,

specjalizującej się w potrawach z owoców morza.

– Badania naukowe to bardzo ciężka praca – zaczął współczująco Dodgson.

– Raczej nie trzeba mi tego powtarzać – burknął King.

– Ciężka i ryzykowna, ponieważ większość nowatorskich prac nie przynosi spodziewanych efektów. Lecz jaki zarząd firmy potrafi to zrozumieć? Żaden. Jeśli badania zakończą się fiaskiem, zawsze obciążony zostanie pomysłodawca. To nie do przyjęcia.

– Sam wiem to najlepiej.

– Ale takie już są reguły gry.

Dodgson wzruszył ramionami i energicznym ruchem oderwał szczypce kraba. King milczał przez dłuższy czas.

– Osobiście nie lubię ryzyka – oznajmił wreszcie Lewis. – A każda oryginalna praca wiąże się z ryzykiem. Większość pomysłów okazuje się niewypałami, a doświadczenia nie przynoszą spodziewanych wyników. Taka jest brutalna rzeczywistość. Jeśli więc ktoś ma ambicje, żeby realizować własne oryginalne pomysły, musi się liczyć z prawdopodobną przegraną. To całkiem normalne, gdy się pracuje na uczelni, gdyż tam porażka jest w cenie, a każdy sukces może być przyczyną ostracyzmu. Lecz w przemyśle... to zupełnie co innego. Tutaj forsowanie własnych pomysłów nie jest zbyt roztropne, może człowieka jedynie wpędzić w poważne kłopoty. A ty właśnie znalazłeś się w takiej sytuacji, przyjacielu.

– I co mam teraz zrobić?

– No cóż... Ja hołduję memu własnemu spojrzeniu na prace naukowe, które nazywam wyważonym rozwijaniem badań. Bo jeśli tylko nieliczne pomysły okazują się celne, to czemu nie zająć się nimi osobiście? To także nie jest łatwe. Ja pozwalam badaczom formułować te pomysły, podejmować ryzyko i dobijać się tak zwanej naukowej sławy. Sam zaś czekam cierpliwie, aż niektóre z ich pomysłów staną się obiecujące. Zatem biorę to, co dobre, ale czynię to jeszcze lepszym. A nazywając rzeczy po imieniu, wprowadzam tyle drobnych zmian, aby można było zdobyć patent. Kiedy już go zdobędę, pomysł jest mój i tylko mój.

King słuchał tego z rosnącym zdumieniem, nie przypuszczał bowiem, że tamten otwarcie przyzna się do wykradania pomysłów. Widocznie wcale się nie wstydził własnych metod postępowania. W zamyśleniu pogrzebał widelcem w sałatce i zapytał:

– Dlaczego mi o tym wszystkim mówisz?

– Ponieważ dostrzegam u ciebie pewne wartościowe cechy – odparł Dodgson. – Na przykład ambicję, do tego połączoną z frustracją. Dlatego chcę ci wytłumaczyć, Howardzie, że frustracja do niczego nie prowadzi. Wcale nie

musisz wylecieć z pracy przy najbliższej weryfikacji kadr. Ja ci to obiecuję. Ile lat ma twoje dziecko?

– Cztery.

– To straszne, zostać bez pracy w takiej sytuacji. A wcale nie tak łatwo znaleźć teraz dobrą robotę. Kto się zdecyduje dać ci jeszcze szansę? Trzydziestopięcioletni naukowiec albo musi już mieć ugruntowaną pozycję, albo nie jest nic wart. Wcale nie twierdzę, że ta zasada jest słuszna, niemniej taka właśnie obowiązuje.

King doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Nie miał czego szukać w żadnej z kalifornijskich firm zajmujących się biotechnologią.

– Lecz mimo to, Howardzie – ciągnął Dodgson ściszonym głosem, pochyliwszy się nisko nad stolikiem – uważam, że czeka cię wspaniała przyszłość, jeśli tylko odważysz się spojrzeć na sprawy z innego punktu widzenia. Nigdy nie jest za późno na zmianę swego podejścia do życia. Naprawdę uważam, że powinieneś się dobrze nad tym zastanowić.

Dwa tygodnie później King objął stanowisko osobistego asystenta Dodgsona w wydziale trendów rozwoju biogeniki, za tą szumną nazwą Biosyn ukrywał dobrze zorganizowaną siatkę zajmującą się wywiadem przemysłowym. Już po kilku latach Howard odzyskał utraconą pozycję w gronie najlepszych pracowników firmy, choć zawdzięczał to głównie temu, że Dodgson go polubił.

Teraz mógł już uchodzić za człowieka sukcesu. Jeździł porschem, miał dom zapisany w księgach hipotecznych, był po rozwodzie, a z dzieckiem widywał się jedynie w weekendy. King doskonale się sprawdził na stanowisku asystenta, pracował do późna, był niezwykle dokładny i umiejętnie wybawiał swego lekkomyślnego szefa z wielu kłopotów. Zarazem zdołał lepiej od innych poznać Dodgsona – jego charyzmę opartą na wizjonerskich pomysłach, lecz także i mroczną, odpychającą stronę. Częstokroć wmawiał sobie, że po tylu latach wspólnych działań potrafi już zapanować nad gwałtownością Lewisa, utrzymać go w ryzach.

Ale niekiedy tracił tę pewność siebie.

Tak też było i teraz.

King czuł się osamotniony na tym cuchnącym, zdezelowanym kutrze, który wychodził w pełne morze z biednego rybackiego miasteczka na zachodzie Kostaryki, a w dodatku dręczyło go przeczucie, że Dodgson po raz kolejny wymyślił jakąś brudną grę i dlatego natychmiast zdecydował się zabrać tę kobietę ze sobą na wyspę.

Nie bardzo jeszcze wiedział, co szef zamierza, ale dostrzegał owe złowieszcze błyski w jego oczach, które do tej pory widywał tam zaledwie

przy paru okazjach. Właśnie dlatego dziwne spojrzenie Dodgsona napawało go niepokojem.

Obejrzał się w stronę dziobu, gdzie Sara Harding stała przy relingu i spoglądała na fale. Dostrzegł też Dodgsona kręcącego się wokół jeepa i bez namysłu ruszył w jego kierunku.

– Posłuchaj. Musimy porozmawiać.

– Jasne – odparł Lewis. – Co cię dręczy?

I jak zwykle spojrzał na niego z tym swoim rozbrajającym uśmiechem.

HARDING

Sara popatrzyła na ciężkie, deszczowe chmury. Kuter podskakiwał na dość wysokiej fali. Załoga pobiegła na rufę, żeby mocniej przytwierdzić do pokładu jeepa, gdyż auto wskutek kołysania zaczęło się przesuwać w stronę burty. Harding ciągle stała na dziobie, próbując opanować coraz silniejsze nudności. Wydawało jej się, że bardzo daleko na horyzoncie dostrzega nieco ciemniejszą kreskę, będącą zapewne celem ich podróży.

Obejrzała się i zauważyła, że stojący na śródokręciu King i Dodgson chyba się o coś spierają. King sprawiał wrażenie zdenerwowanego, energicznie gestykulował, natomiast jego szef z kamienną miną uparcie kręcił głową. Po chwili pojednawczo położył dłoń na ramieniu asystenta, widocznie starał się go uspokoić. Żaden z nich nie zwracał większej uwagi na gorączkową krzątaninę wokół jeepa. To dziwne – pomyślała Sara, przypomniawszy sobie, z jaką troską obaj nawoływali o ostrożność podczas załadunku. Teraz ów drogocenny sprzęt zdawał się w ogóle ich nie obchodzić.

Trzeciego członka ekspedycji, Baseltona, rozpoznała od razu, tym bardziej zdumiała ją jego obecność na pokładzie kutra. Profesor od niechcenia uścisnął jej dłoń na powitanie i zniknął pod pokładem zaraz po odbiciu stateczku od nabrzeża. Od tamtej pory go nie widziała, zapewne także walczył z chorobą morską.

Zwróciła uwagę, że Dodgson nerwowo uciął rozmowę ze swym asystentem i ruszył energicznie na rufę, żeby nadzorować działania marynarzy. King zawrócił, jak gdyby zrezygnowany, i zaczął bez większego zainteresowania sprawdzać mocowanie skrzyń i pojemników w środkowej części pokładu. Wszystkie oznakowane były wielkim napisem „Korporacja

Biosyn".

Harding nigdy dotąd nie słyszała o tej firmie, toteż zachodziła w głowę, co może z nią łączyć Iana i Richarda. Pamiętała, że Malcolm zawsze wyrażał się bardzo krytycznie o wszelkich spółkach zajmujących się biotechnologią. Ale ci trzej odnosili się do niej nadzwyczaj uprzejmie. Było w tym coś dziwnego, coś niepokojącego.

Uspokajała się myślą, że Ian miał przecież bardzo dziwnych przyjaciół, którzy potrafili całkiem niespodziewanie zjawiać się w jego mieszkaniu – jak chociażby ten japoński kaligraf, członkowie indonezyjskiego gamelanu, żongler z Las Vegas, wiecznie paradujący w srebrzystej marynarce, czy ów ekscentryczny francuski astrolog, utrzymujący, że Ziemia jest w środku pusta... Dochodzili do tego jeszcze znajomi z uczelni, matematycy, których Sara bez wyjątku zaliczała do dziwaków. Zwykle chodzili z głowami w chmurach, nie rozstając się ze swymi notatkami liczącymi niekiedy setki stron. Według niej ci ludzie zajmowali się czystą abstrakcją. Ona musiała mieć kontakt z rzeczywistością, widzieć zwierzęta, słyszeć różne odgłosy i czuć zapachy. Nie wyobrażała sobie życia bez tych wrażeń. Cała reszta była dla niej jedynie teoretycznymi rozważaniami: może tak, a może inaczej.

Fale coraz silniej uderzały o burty i Harding przesunęła się nieco ku rufie, żeby nie zmoczyły jej rozbryzgi spod dziobu kutra. Ziewnęła szeroko, w ciągu ostatniej doby prawie nie zmrużyła oka. Dodgson skończył wreszcie nadzorować mocowanie jeepa i podszedł do niej.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

– Tak, oczywiście.

– Pański asystent King wydaje się czymś zaniepokojony.

– Nie znosi morskich podróży – odparł szybko Dodgson, wskazując wysokie fale. – Na razie trzymamy się rozkładu, mniej więcej za godzinę powinniśmy przybić do wyspy.

– Proszę mi zdradzić, czym się zajmuje korporacja Biosyn. Nigdy nie słyszałam o tej firmie.

– To niewielka spółka. Prowadzimy głównie badania w dziedzinie praktycznych zastosowań biologii, a zwłaszcza tych, które wiążą się ze sportem i rekreacją. Na przykład wyhodowaliśmy nową odmianę pstrąga, pracujemy też nad innymi gatunkami ryb. Uzyskujemy rasy miniaturowych psów, żeby mieszkańcy wielkomiejskich bloków mogli trzymać w mieszkaniach swoich ulubieńców. Zajmujemy się tego typu działaniami.

Czyli dokładnie tym, czego Ian w głębi duszy nienawidzi – pomyślała Harding.

– Jak pan poznał Malcolma?

– Och, znamy się od wielu lat – odparł Dodgson.

Sara zauważyła wystudiowaną obojętność w głosie rozmówcy.

– Konkretnie od jak dawna?

– Od czasu, kiedy interesował się parkiem.

– Parkiem?

Dodgson przytaknął ruchem głowy.

– Czy on kiedykolwiek wyjaśniał pani, w jaki sposób o mało nie stracił nogi?

– Nie, nigdy nie chciał o tym mówić. Zdradził tylko, że pełnił rolę konsultanta i zdarzył się jakiś wypadek… Nie znam szczegółów. Czy to miało związek z tym parkiem?

– Tak. – Przez chwilę Dodgson wpatrywał się w fale, wreszcie wzruszył ramionami i rzekł: – A jak pani go poznała?

– Był recenzentem mojej pracy doktorskiej. Jestem etologiem, zajmuję się badaniami ssaków zamieszkujących afrykańską sawannę, a ściślej mówiąc, wschodnioafrykańskich drapieżników.

– Drapieżników?

– Owszem. Przede wszystkim interesują mnie hieny. Wcześniej obserwowałam zwyczaje lwów.

– Od dawna prowadzi pani te badania?

– Prawie od dziesięciu lat. Od sześciu, czyli od ukończenia doktoratu, mieszkam na stałe w Afryce.

– To bardzo interesujące. – Dodgson pokiwał głową. – I przebyła pani taki szmat drogi aż z Afryki?

– Zgadza się. Pracuję w Seronera w Tanzanii.

Tamten przygryzł wargi w zamyśleniu i spojrzał ponad jej ramieniem na wyłaniającą się na horyzoncie wyspę.

– No i proszę. Wygląda na to, że z dala od stałego lądu będziemy mieli ładną pogodę.

Sara także popatrzyła na rzednące stopniowo chmury i błękitne niebo widoczne nad wyspą. W oddali przebijało się słońce, również fale sprawiały wrażenie mniejszych. Zaskoczyło ją też, że Isla Sorna jest już doskonale widoczna. Można było rozróżnić urwisty klif, czerwonawe wulkaniczne skały wznoszące się wysoko ponad poziom morza. Wyspa zdawała się niedostępna.

– Kieruje pani dużym zespołem badawczym w Tanzanii? – zapytał Dodgson.

– Nie, pracuję sama.

– I nie szkoli pani studentów?

– Niestety, brak chętnych. Moja praca nie jest zbyt pociągająca. Wielkie

afrykańskie drapieżniki prowadzą w większości nocny tryb życia, dlatego też obserwację muszę prowadzić po zmroku.

– Pani mąż zapewne nie znosi tego najlepiej.

– Nie jestem mężatką – odparła Harding, siląc się na obojętność.

– Naprawdę? – zdumiał się Dodgson. – Taka piękna kobieta...

– Nie mam czasu na romanse – odrzekła pospiesznie i, chcąc zmienić temat, zapytała: – Gdzie pan zamierza wylądować na tej wyspie?

Lewis spojrzał w stronę lądu. Znajdowali się już na tyle blisko, że z łatwością można było dostrzec białe grzywy fal rozbijających się o przybrzeżne skały. Od stromego klifu dzieliło ich nie więcej niż dwie mile.

– To dość niezwykła wyspa – powiedział. – Cała Ameryka Środkowa to rejon wulkaniczny. Jeśli dobrze pamiętam, od Meksyku po Kolumbię znajduje się ponad trzydzieści czynnych wulkanów. Także przybrzeżne wyspy to zazwyczaj szczyty zatopionych wulkanów, należących do tego samego olbrzymiego łańcucha. Tyle tylko, że tworzące je kratery są najczęściej wygasłe. Na wyspach nie było żadnej erupcji już od tysiąca lat.

– A więc to, co widzimy, to zewnętrzne obrzeża wygasłego krateru?

– Zgadza się. Stromy klif jest wynikiem erozji atmosferycznej oraz niszczącego działania fal. Ocean ustawicznie podmywa kruche i porowate skały wulkaniczne, w dodatku silnie wymyte przez deszcze. Osuwające się do morza wielkie masy skalne sprawiły, że utworzył się niemal pionowy i niedostępny brzeg.

– Zatem gdzie...

– Jest kilka dogodnych miejsc po nawietrznej stronie, gdzie fale wyżłobiły w skałach głębokie pieczary. Powstały nawet dwa tunele, którymi wpadają do morza strumienie wypływające w głębi wyspy. Można się tamtędy przedostać na ląd. – Wskazał wyłaniające się przed nimi skały. – Proszę spojrzeć, już widać jeden z tych tuneli.

Harding zauważyła olbrzymią, poszarpaną wyrwę ciemniejącą u podstawy urwistego klifu. Wokół niej fale z wściekłością atakowały skalisty brzeg, płaty białej piany wylatywały na dwadzieścia metrów w powietrze.

– I chce pan skierować kuter do tego tunelu?

– Owszem, jeśli tylko pogoda nam na to pozwoli. – Dodgson odwrócił się do niej. – Proszę się nie martwić, to tylko wygląda tak groźnie. A wracając do tego, co pani mówiła o swojej pracy w Afryce. Kiedy pani wyjechała z Tanzanii?

– Zaraz po tym, jak odebrałam wiadomość od Doca Thorne'a. Wyruszał razem z Ianem, by ratować Levine'a z kłopotów, i zapytał mnie, czy nie zechciałabym im pomóc.

– I co pani odpowiedziała?

– Że muszę się zastanowić.

Dodgson zmarszczył brwi.

– To znaczy, że oni nie wiedzą, czy pani przybędzie na wyspę?

– Nie. Sama nie byłam pewna, czy powinnam przylecieć. Wie pan, jestem zajęta, mam mnóstwo własnych zajęć, a musiałam się zdecydować na bardzo długą podróż.

– I na spotkanie z dawnym kochankiem. – Dodgson wyrozumiale pokiwał głową.

– No cóż... Sam pan wie, jaki jest Ian.

– Tak, znam go. Trudny charakter.

– Oględnie mówiąc.

Zapadło niezręczne milczenie. Wreszcie Dodgson odchrząknął.

– Znalazłem się w dość niezręcznej sytuacji. Kogo w efekcie pani informowała, że zamierza się udać na wyspę?

– Nikogo. Po prostu wsiadłam do pierwszego samolotu i przyleciałam.

– Nie zostawiła pani żadnej wiadomości w macierzystej uczelni? Nie powiadomiła kolegów?

Sara wzruszyła ramionami.

– Nie było na to czasu. Jak już mówiłam, pracuję w samotności.

Ponownie zapatrzyła się na Sornę. Urwiste skały wznosiły się wysoko ponad kutrem, od brzegu dzieliło ich już zaledwie kilkaset metrów. Mroczny wylot tunelu otwierał się na wprost dziobu, lecz po obu stronach stateczku fale z zaciekłością biły w klif. Pokręciła głową.

– To naprawdę wygląda bardzo groźnie.

– Proszę się nie martwić. Widzi pani? Kapitan pewnie steruje w kierunku tunelu. Nic nam nie grozi, bezpiecznie przedostaniemy się w głąb wyspy. A tam... Zapowiada się nadzwyczaj ciekawie.

Kutrem zaczęło silniej kołysać w strefie przyboju. Sara kurczowo chwyciła się relingu, natomiast Dodgson uśmiechnął się szeroko.

– Już pani rozumie? Prawda, że to ekscytujące. – Sprawiał wrażenie silnie podnieconego, ale zarazem był spięty, nerwowo zacierał ręce. – Nie ma się czego obawiać, pani Harding. Nie pozwolę, żeby cokolwiek się pani stało...

Sara niezbyt dobrze wiedziała, o czym on mówi, lecz nim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, kuter spadł w głęboki rów między falami, ponad burtę wystrzeliła fontanna wody, ona zaś omal nie upadła. Dodgson pochylił się szybko, jakby chciał ją przytrzymać, lecz widocznie sam stracił równowagę, gdyż objął rękoma jej kolana. W tej samej chwili stateczek zawisł na szczycie kolejnej fali. Harding poczuła, że traci grunt pod nogami.

Krzyknęła i mocniej zacisnęła palce na relingu. Ale było już za późno. Świat wokół niej zawirował. Silnie uderzyła głową o reling i nagle znalazła się w powietrzu. Przed oczyma mignęła jej odrapana burta, potem spienione fale. Mięśnie zareagowały nagłym skurczem w zetknięciu z zimną wodą. Ocean zamknął się nad nią i otoczyła ją ciemność.

DOLINA

– Wszystko idzie nadspodziewanie dobrze – rzekł Levine, z zadowolenia zacierając ręce. – Naprawdę muszę przyznać, że obawiałem się kłopotów. Jestem mile zaskoczony.

Cała szóstka tłoczyła się na ambonie, spoglądając na leżącą przed nimi dolinę. Wszyscy pocili się obficie, ponieważ nad wyspą wisiało parne, nieruchome, silnie rozgrzane powietrze. Przez jakiś czas na trawiastej równinie nie było widać ani jednego stworzenia, dinozaury pochowały się w głębi dżungli, szukając ochłody w cieniu drzew.

Ale teraz, po krótkiej nieobecności, stado apatozaurów znów pojawiło się nad rzeką, zwierzęta gasiły pragnienie. Jak poprzednio trzymały się w zbitej gromadzie. Natomiast mniejsze, grzebieniaste parazaurolofy, które śladem gigantów wyszły z dżungli i zbliżyły się do wody, złamały poprzedni szyk i rozeszły się wzdłuż brzegu.

Thorne otarł pot z czoła i zapytał:

– A konkretnie czym jesteś tak mile zaskoczony?

– Tym wszystkim, co można tu podziwiać – wtrącił Malcolm, po czym spojrzał na zegarek i zapisał w swoim notatniku godzinę wyjścia zwierząt z cienia. – Gromadzimy właśnie dane, na które tak bardzo liczyłem, i muszę przyznać, że również się z tego cieszę.

Thorne ziewnął szeroko, gdyż odczuwał zmęczenie narastającym upałem.

– A co w tym takiego podniecającego? Dinozaury najzwyczajniej w świecie przyszły nad rzekę, żeby się napić wody.

– Po raz kolejny – odrzekł Levine. – Przypominam, że piły nie dalej jak godzinę temu, czyli w samo południe. Tak częsta konieczność uzupełniania płynów w organizmach pozwala wyciągać wnioski dotyczące zwyczajów termoregulacji...

– Chcesz powiedzieć, że piją tyle wody, aby obniżyć temperaturę ciała? –

przerwał mu Thorne, którego drażnił ów naukowy żargon Levine'a.

– Owszem, wszystko na to wskazuje. Przecież naprawdę piją bardzo dużo. Ale według mnie powrót zwierząt nad rzekę może mieć także całkiem inne przyczyny.

– Jakie?

– Przestań mnie wypytywać i lepiej sam się przyjrzyj. – Levine wskazał ręką w głąb doliny. – Zwróć uwagę, że oba stada trzymają się swoich terenów. Bez trudu można jednak zauważyć to, czego nikt się nawet nie domyślał u dinozaurów, a mianowicie współdziałania międzygatunkowego.

– Nie przesadzasz?

– Nie. Apatozaury i parazaurolofy pojawiają się razem. Wczoraj obserwowałem to samo. Mogę się założyć, że tak jest zawsze, kiedy tylko wychodzą na otwartą przestrzeń. Niewątpliwie zastanawiasz się dlaczego.

– Niewątpliwie – powtórzył ironicznie Thorne.

– Chodzi o to, że apatozaury są bardzo silne, lecz dość kiepsko widzą, podczas gdy mniejsze i słabsze parazaurolofy mają doskonały wzrok. Z tego powodu oba stada trzymają się razem i pomagają sobie wzajemnie. Podobną współpracę można zaobserwować na równinach afrykańskich, gdzie tak samo stada zebr i pawianów trzymają się blisko siebie. Zebry dysponują świetnym węchem, za to pawiany mają wyczulony wzrok. W ten sposób razem mogą się skuteczniej bronić przed drapieżnikami.

– I sądzisz, że identyczne współdziałanie występuje u dinozaurów, ponieważ…

– Przecież to oczywiste – przerwał mu Levine. – Przyjrzyj się uważnie zachowaniu zwierząt. Kiedy któreś ze stad pozostaje samo, od razu tworzy zwartą grupę, ale w obecności apatozaurów parazaurolofy natychmiast się rozchodzą, jakby zajmując wyznaczone stanowiska obserwacyjne wokół zbitych jak dotąd olbrzymów. Właśnie teraz możesz podziwiać takie ustawienie. A to oznacza, że pojedyncze parazaurolofy nabierają odwagi w pobliżu stada apatozaurów, i odwrotnie. Może to służyć tylko jednemu: wspólnej ochronie przed drapieżnikami.

W tej samej chwili jeden z parazaurolofów uniósł wysoko głowę, popatrzył w ich stronę i zatrąbił przenikliwie. Echo tego odgłosu rozniosło się po całej dolinie. Pozostałe parazaurolofy jak na komendę także uniosły głowy i zaczęły się rozglądać. Lecz olbrzymie apatozaury nadal spokojnie piły wodę, jedynie dwa największe osobniki wyciągnęły szyje ku górze.

Ponownie zapadła cisza, tylko w rozgrzanym powietrzu głośno bzyczały owady.

– A gdzie są teraz drapieżniki? – zapytał Thorne.

– Tam – odparł Malcolm, wskazując kępę drzew po tej stronie rzeki, bliżej skraju rozległej trawiastej doliny.

Doc wytężył wzrok, ale niczego nie zauważył.

– Nie widzisz ich?

– Nie.

– Przyjrzyj się uważnie. To małe zwierzęta o jaszczurczych pyskach, ciemnobrązowe. Raptory.

Thorne wzruszył ramionami, wciąż nie mogąc ich dostrzec. Levine, który w napięciu patrzył przez lornetkę, odruchowo wyjął z kieszeni batonik, rozerwał opakowanie zębami i zaczął go jeść. Kolorowy papierek spadł na wymoszczoną liśćmi podłogę ambony, ale drugi kawałek opadł aż w trawę pod nimi.

– Dobre są te batoniki? – zapytał Arby.

– Niezłe. Trochę za słodkie.

– Ma pan jeszcze jeden?

Levine pogrzebał w wypchanej kieszonce na piersi i podał chłopcu batonik. Ten przełamał go na pół i podzielił się z Kelly. Swoją część rozpakował i starannie wsunął papierek do kieszeni spodni.

– Chyba zdajesz sobie sprawę, jak wielkie znaczenie mają takie obserwacje? – odezwał się Malcolm. – Zwłaszcza dla wyjaśnienia przyczyn wymarcia dinozaurów. Chyba już teraz można śmiało stwierdzić, że zniknięcie tych zwierząt musiało być o wiele bardziej złożonym procesem, niż ktokolwiek z nas to sobie do tej pory wyobrażał.

– Naprawdę? – zapytał Arby.

– Weź pod uwagę, że wszelkie teorie dotyczące wymarcia dinozaurów zostały oparte na badaniach kopalnych szczątków. Ale na ich podstawie nie da się niczego wywnioskować o zwyczajach zwierząt, które tutaj możemy zaobserwować. Trudno cokolwiek powiedzieć o złożoności wzajemnych powiązań międzygatunkowych.

– No tak, wykopuje się tylko skamieniałe kości – przyznał chłopak.

– Masz rację. Kości nie mają nic wspólnego z zachowaniem zwierząt. To tak, jakbyś spoglądał na szereg fotografii, na których utrwalone widoki są tylko drobniutkimi wycinkami ciągle zmieniającej się rzeczywistości. Zatem badanie wykopalisk można porównać do przeglądania starego albumu rodzinnego. Trzeba sobie uświadomić, iż zdjęcia nie oddają rzeczywistości, a wiele faktów z życia umknęło fotografowi. Po latach nie da się tego wszystkiego odtworzyć, mając do dyspozycji wyłącznie stare zdjęcia, choćby się je badało i analizowało w nieskończoność. Ale w powszechnym mniemaniu taki album nie jest zestawem oddzielnych pamiątek, ale

faktycznym odzwierciedleniem rzeczywistości. W takiej sytuacji bardzo łatwo zacząć tłumaczyć wszelkie zdarzenia faktami wydedukowanymi na podstawie zdjęć, zapomniawszy o tym wszystkim, co nie zostało uwiecznione.

Matematyk urwał dla zaczerpnięcia oddechu, lecz zaraz kontynuował:

– Istnieje analogiczna tendencja do szukania przyczyn w zjawiskach fizycznych. Dinozaury wyginęły dlatego, że spadł wielki meteoryt, wskutek czego zmienił się klimat na Ziemi. Albo zmianę klimatu spowodowała wzmożona aktywność wulkaniczna. Albo erupcje wulkanów były także wynikiem upadku meteorytu. Albo nastąpiły gwałtowne zmiany w szacie roślinnej, przez co dinozaury wyginęły z głodu. Albo pojawiła się jakaś nowa zaraza. Albo masowo rozwinęły się nowe gatunki trujących roślin. W każdym wypadku przyczyn upatruje się w zjawiskach obiektywnych. Nikt do tej pory nie brał pod uwagę, że to same zwierzęta mogły się zmienić, rzecz jasna, nie fizjologicznie. Przecież gdy się teraz obserwuje żywe dinozaury i staje się jasne, jak silne istniały między nimi współzależności, łatwo sobie wyobrazić, że nawet drobne zmiany w zachowaniu zwierząt mogły spowodować katastrofalne skutki.

– Ale czemu miałyby nastąpić owe zmiany w zachowaniu? – wtrącił Thorne. – Jeżeli nie zostały wymuszone jakimś obiektywnym zjawiskiem o charakterze kataklizmu, to z jakiego powodu się pojawiły? Samoistnie?

– No cóż, reakcje zwierząt przez cały czas podlegają zmianom. Życie na naszej planecie rozwija się dynamicznie, to bardzo aktywne środowisko. Występują zmiany klimatyczne, obserwujemy dryf kontynentów, ciągłe wznoszenie i opadanie poziomu oceanów, jedne góry się wypiętrzają, inne rozsypują wskutek erozji. Wszystkie żywe stworzenia zamieszkujące to środowisko muszą się stale adaptować do zachodzących zmian, a najbardziej odporne są te, które przystosowują się najszybciej. Właśnie z tego powodu tak trudno mi uwierzyć, że nawet gigantyczny kataklizm mógłby się przyczynić do całkowitego wyginięcia gatunku. Przecież bez przerwy następują gigantyczne zmiany w środowisku.

– Więc co w takim razie jest przyczyną wymierania gatunków?

– Na pewno nie same zmiany środowiska. Wymowa faktów jest jednoznaczna.

– Jakich faktów?

– Każda olbrzymia zmiana w środowisku pociąga za sobą wielką falę zanikania gatunków, lecz zależność nie jest bezpośrednia. Zazwyczaj wymieranie następuje tysiące lub miliony lat po wystąpieniu owej zmiany. Weźmy chociaż ostatnie zlodowacenie w Ameryce Północnej. Schodzenie lodowca na południe drastycznie odmieniło klimat, lecz zwierzęta mimo to

przetrwały. Dopiero po cofnięciu się lodowca, kiedy warunki atmosferyczne wróciły do normy, wymarły liczne gatunki. Właśnie wtedy zniknęły z naszego kontynentu żyrafy, tygrysy i mamuty. W innych epokach wyglądało to podobnie. Można wręcz odnieść wrażenie, że najsilniejsze stworzenia zostały najpierw osłabione dokonującą się przemianą, by ostatecznie wyginąć wiele lat później. To zjawisko zostało już dość dobrze poznane.

– Utarła się nawet odpowiednia nazwa: „Podmywanie piaszczystego brzegu" – dodał Levine.

– I w jaki sposób można to wytłumaczyć?

Richard obejrzał się na Malcolma.

– Jeszcze go nie znaleziono – odparł matematyk. – To wielka tajemnica paleontologii. Jestem jednak przekonany, że teoria złożoności mogłaby tu wiele wyjaśnić. Jeśli koncepcja życia bez przerwy balansującego na krawędzi chaosu jest prawdziwa, to drastyczne zmiany środowiska muszą zepchnąć istoty żywe bliżej tej krawędzi. Nastąpiłaby wówczas destabilizacja utartych zasad postępowania. Później zaś, nawet po powrocie czynników środowiskowych do normy, zmiany te nigdy by się nie cofnęły. Z ewolucyjnego punktu widzenia są to zmiany wewnętrzne wywołane przez zmiany zewnętrzne, tyle że nie ma sposobu na ich zbadanie. Nie ulega wątpliwości, że znaczące zmiany zachowania w dużych populacjach mogą przynieść całkiem nieoczekiwane efekty. I według mnie właśnie z tego powodu dinozaury...

– Co to jest? – przerwał mu Thorne.

Bez przerwy patrzył na wskazaną kępę drzew, z której wyskoczyło na otwartą przestrzeń samotne zwierzę. Odznaczało się smukłą sylwetką i bardzo mocnymi tylnymi kończynami, utrzymywało się w postawie pionowej, balansując grubym ogonem. Miało najwyżej dwa metry wysokości i zielonkawobrązową skórę z ciemniejszymi, czerwonawymi smugami, nieco upodabniającymi je do tygrysa.

– A oto i welociraptor – odparł Malcolm.

Thorne obejrzał się na Levine'a.

– To właśnie te zwierzęta polowały na ciebie w dżungli? Wyglądają raczej niepozornie.

– Są bardzo szybkie, to prawdziwe żywe maszyny do zabijania. Chyba się nie pomylę, jeśli powiem, że były najstraszniejszymi drapieżnikami w całej historii naszej planety. Ten, którego teraz widzisz, ma najlepsze zadatki na samca typu alfa. To przywódca stada.

Thorne dostrzegł poruszenie między drzewami.

– Oho, jest ich tam więcej.

– Oczywiście, to prawdopodobnie bardzo duże stado – odparł Levine. Uniósł lornetkę i zaczął się przez nią przyglądać zwierzętom. – Chciałbym odnaleźć ich gniazdo, dotychczas nie zdołałem go zlokalizować na wyspie. Na pewno dobrze je ukryły w gąszczu dżungli, lecz mimo wszystko...

Wszystkie parazaurolofy zaczęły nagle trąbić na alarm, wyraźnie zbliżając się do stada apatozaurów. Olbrzymy na razie nie okazywały zaniepokojenia, chociaż dorosłe osobniki stojące nad samą wodą uniosły głowy i spoglądały na zbliżającego się raptora.

– Czyżby wcale się go nie bały? – zapytał Arby. – Nawet nie patrzą na niego.

– Nie daj się zwieść, apatozaury są bardzo czujne. Być może sprawiają wrażenie ospałych i krowiastych, lecz w gruncie rzeczy są całkiem inne. Ich ogony mają dziesięć czy dwanaście metrów długości i muszą ważyć po parę ton. Zwróć uwagę, jak szybko zaczęły nimi poruszać. Jedno uderzenie ich ogona może złamać kręgosłup nawet dość dużemu drapieżnikowi.

– I to, że się odwracają tyłem, pewnie także jest elementem przygotowań do obrony?

– Z pewnością. Masz teraz doskonałą okazję zobaczyć, jak balansowanie długą szyją umożliwia im poruszanie ogonem.

Stojące na straży stada dorosłe apatozaury ustawiły się tyłem do rzeki, ich ogony bez przeszkód sięgały przeciwległego brzegu. Szerokie wymachy potężnych ogonów połączone z trwożliwym trąbieniem parazaurolofów sprawiły, że prowadzący grupę napastników raptor zawrócił. Po chwili stado drapieżców zniknęło z powrotem między drzewami, kierując się w stronę szczytu pobliskiego wzgórza.

– Chyba miałeś rację – mruknął Thorne. – Wystarczyło nastawić ogony, żeby je odstraszyć.

– Ile ich było? – zapytał Levine.

– Nie jestem pewien. Dziesięć, może dwanaście.

– Czternaście – poprawił go Malcolm, zapisując coś w notesie.

– Masz zamiar je śledzić? – zdumiał się Richard.

– Nie teraz.

– Moglibyśmy pojechać explorerem.

– Później – zadecydował matematyk.

– Naprawdę dobrze byłoby zlokalizować ich gniazdo. To bardzo ważne, Ian, jeśli chcemy poczynić jakiekolwiek obserwacje na temat relacji między napastnikiem i ofiarą. W tej chwili chyba nie ma ważniejszego zadania, a teraz nadarza się znakomita sposobność...

– Później – powtórzył Malcolm, ponownie spoglądając na zegarek.

– Już chyba po raz setny dzisiaj sprawdzasz godzinę – zauważył Thorne.

Ian wzruszył ramionami.

– Nadchodzi pora lunchu – mruknął. – A co z Sarą? Czy nie powinna się już zjawić na wyspie?

– Tak, powinna tu być lada moment – odparł Doc.

Malcolm otarł czoło z potu.

– Robi się strasznie gorąco.

– To prawda.

Przez chwilę w milczeniu słuchali monotonnego brzęczenia owadów, spoglądając śladem oddalających się raptorów.

– Wiecie, co myślę? – odezwał się w końcu matematyk. – Powinniśmy już wracać.

– Wracać? – wybuchnął Levine. – Właśnie teraz? A co z naszymi obserwacjami? Co z pozostałymi kamerami, które planowaliśmy rozmieścić na wyspie?

– Sam nie wiem. Po prostu przyszło mi do głowy, żeby odpocząć od tego wszystkiego.

Levine popatrzył na niego oczyma rozszerzonymi z niedowierzania, ale nic nie powiedział.

Thorne i dzieci także w milczeniu spoglądali na Malcolma.

– No cóż, z drugiej strony, jeśli Sara zdecydowała się przylecieć tu aż z Afryki, chyba powinniśmy zostać i zgotować jej powitanie. – Wzruszył ramionami. – Ale mówię to z czystej uprzejmości.

– Nawet nie przypuszczałem, że... – zaczął Thorne.

– Nie, nic z tych rzeczy – przerwał mu Malcolm. – Po prostu... No wiesz, nie mamy nawet pewności, czy ona przyleci. – Spuścił głowę, jak gdyby zawstydzony. – Obiecywała, że na pewno do nas dołączy?

– Powiedziała, że musi się zastanowić.

Ian zmarszczył brwi.

– A to oznacza, że się zjawi. Znam Sarę. Jeśli mówi, że musi się zastanowić, to znaczy, iż podjęła natychmiastową decyzję. Zatem jak myślicie, powinniśmy teraz wracać?

– Pod żadnym pozorem – odparł szybko Levine, znowu patrząc przez lornetkę. – Na twoim miejscu przestałbym się łudzić szybkim powrotem do domu.

Malcolm odwrócił się od niego.

– A jak ty uważasz, Doc?

– Ja... – mruknął zakłopotany Thorne, ocierając pot z czoła. – Tu jest piekielnie gorąco.

– Jak znam Sarę – rzekł Malcolm, ruszając w stronę drabinki – przyleci na tę wyspę choćby tylko po to, żeby zaznaczyć swoją obecność.

TUNEL

Energicznymi wymachami rąk Sara wypchnęła się na powierzchnię, ale wszędzie dookoła widziała jedynie fale wznoszące się pięć metrów w górę. Siła przyboju była wręcz niewiarygodna. Prądy ciskały nią to w jedną, to w drugą stronę, nie była w stanie im się przeciwstawić. Nigdzie nie mogła dostrzec kutra, ze wszystkich stron otaczały ją tylko spienione grzywy. Rozglądała się w panice, lecz nie widziała nawet wysokiego brzegu wyspy. Ogarniało ją coraz silniejsze przerażenie.

Przez kilka sekund usiłowała walczyć z falami, ale ciężkie buty terenowe ściągały ją w głębinę. Po raz kolejny zatopiła ją fala i Harding znów musiała włożyć mnóstwo wysiłku, żeby wypłynąć na powierzchnię i zaczerpnąć oddechu. Postanowiła w końcu uwolnić się od butów. Nabrała powietrza w płuca, zanurkowała i zaczęła szarpać sznurowadła. Ocean miotał nią jak zabawką we wszystkich kierunkach.

Udało jej się zrzucić jeden but. Zaczerpnęła głęboko powietrza i zanurkowała ponownie. Zziębnięte palce miała całkiem zesztywniałe, a przesiąknięte wodą sznurówki były mocno zawiązane. Wydawało jej się, że trwa to przeraźliwie długo. Zdołała w końcu uwolnić drugą stopę i wypłynęła zmęczona, wentylując obolałe płuca. Fala uniosła ją wysoko, po czym zrzuciła w dół, ale nawet będąc w górze, Sara nie mogła dostrzec urwistego klifu. Znów zaczęła ją ogarniać panika. Obróciła się na brzuch i mocno pracując rękami, wpłynęła na grzbiet kolejnej fali. Dopiero teraz zauważyła ląd.

Ostre skały były bardzo blisko, przerażająco blisko. Fale biły w nie ze zdumiewającą zaciekłością. Od brzegu wyspy dzieliło ją nie więcej niż pięćdziesiąt metrów, a przybój nieubłaganie znosił ją właśnie w tamtym kierunku. Uniósłszy się na kolejnej fali, Sara dostrzegła także mroczny wylot jaskini, znajdujący się jakieś sto metrów na prawo. Próbowała płynąć w jego kierunku, lecz szybko zrezygnowała, oceniwszy, że jest to beznadziejna walka. Brakowało jej sił, żeby się zmagać z gigantycznym przybojem. Czuła niezwykłą potęgę morza znoszącego ją w stronę brzegu.

Serce waliło jej jak młotem. Była przekonana, że lada moment zostanie ciśnięta na skały. Następna fala przetoczyła się ponad jej głową. Harding zakrztusiła się, z trudem złapała oddech. Coraz bardziej piekły ją oczy. Narastający ból wszystkich mięśni jeszcze podsycał przerażenie.

Wreszcie wtuliła głowę w ramiona i zaczęła systematycznie pracować rękoma i nogami, wkładając w to wszystkie siły. Nie potrafiła ocenić, czy w ogóle płynie, ponieważ fale z wściekłością miotały nią na boki. Nawet bała się zerknąć w stronę brzegu, koncentrując się na pracy rąk i nóg. Dopiero po kilku minutach, gdy na szczycie fali wynurzyła głowę, by zaczerpnąć oddechu, zauważyła, że znajduje się teraz nieco bardziej na północ – wylot tunelu ciemniał nieco bliżej.

Mimo panicznego strachu dodało jej to odwagi, ale zarazem zdumiało ją, jak niewiele ma sił. Wszystkie mięśnie przenikał nieznośny ból. Paliły ją płuca, oddychała jedynie krótkimi, jakby spazmatycznymi haustami powietrza. Uspokoiła się nieco, ponownie wtuliła głowę w ramiona i zaczęła płynąć dalej.

Nawet wtedy, gdy fale wpychały ją pod wodę, mogła słyszeć ogłuszający huk przyboju. Zebrała w sobie resztki sił, starając się nie zwracać uwagi, że morze ciska nią na lewo i prawo, to w przód, to w tył.

Wreszcie doszła do wniosku, że nie wytrzyma dłużej tej beznadziejnej walki. Przenikliwy ból w mięśniach stał się nie do zniesienia. Harding miała wrażenie, że już do końca życia nie będzie mogła ruszyć ręką ani nogą. Była w dodatku tak zziębnięta, że w ogóle przestała czuć kończyny. Postanowiła w końcu się poddać.

Wypłynęła jednak na grzbiet fali i zaczerpnęła głęboko powietrza. Ku swemu zdumieniu spostrzegła, że wylot tunelu jest już bardzo blisko. Pozornie wystarczyło zrobić jeszcze parę ruchów, żeby znaleźć się w środku. Miała zresztą nadzieję, że u ujścia strumienia przybój straci nieco na swej gwałtowności. Pomyliła się jednak. Przy następnym wynurzeniu zauważyła, że po obu stronach tunelu fale biją tak samo niezmordowanie, a ich białe grzywy wyskakują na kilka metrów w górę wzdłuż opadających pionowo skał, po czym walą się z hukiem w dół. Kutra nie było już nigdzie widać.

Po raz kolejny wcisnęła głowę w ramiona i dobywając resztek sił, popłynęła w tamtym kierunku. Czuła jednak, że bardzo szybko słabnie. Była pewna, że nie zdoła pokonać tych ostatnich metrów. W każdej chwili spodziewała się bolesnego zderzenia ze skałami. Ryk przyboju zdawał się tutaj jeszcze bardziej ogłuszający. Po raz ostatni odepchnęła się rękoma, kiedy nagle fala cisnęła ją daleko w stronę lądu, wyniosła na powierzchnię i pociągnęła ku skałom. Sara nie miała już sił, żeby się przeciwstawić. Bezradnie uniosła

głowę ku niebu, ale ze wszystkich stron otaczała ją nieprzenikniona ciemność.

Mimo wyczerpania i przerażenia pojęła szybko, że jakimś cudem znalazła się we wnętrzu tunelu. To dlatego huk fal przybrał na sile: obszerną pieczarę wypełniało jego zwielokrotnione echo. Panowały tak głębokie ciemności, że Sara nie zdołała dostrzec skalnych ścian ograniczających tunel. Na szczęście falowanie było tu trochę słabsze, a dość silny prąd popychał ją wyraźnie w głąb wyspy. Zaczerpnęła powietrza i próbowała się odpychać słabnącymi rękoma i nogami. W pewnej chwili zderzyła się ze skałą i znów musiała walczyć z rosnącym przerażeniem. Ale przybój bez przerwy popychał ją w głąb tunelu. Po kilku minutach z nadzieją powitała zmiany w otoczeniu – pod sklepieniem pojawił się wątły blask światła, a coraz słabiej falująca woda stała się wyraźnie bardziej przejrzysta. Znacznie łatwiej było jej się utrzymać na powierzchni. Wreszcie dostrzegła przed sobą oślepiająco jasny, jak gdyby emanujący słonecznym żarem wylot tunelu.

Kolejna fala popchnęła ją kilkanaście metrów do przodu i zdumiona kobieta znalazła się na otwartej przestrzeni. Poczuła też grunt pod nogami – muliste dno szerokiej, płynącej leniwie rzeki obrzeżonej z obu stron zwartymi ścianami tropikalnej roślinności. Nieruchome powietrze było mocno rozgrzane, z oddali dolatywały stłumione okrzyki ptaków.

Nieco dalej w górę rzeki piętrzyła się przy brzegu wysoka rufa kutra wynajętego przez Dodgsona. Stateczek był przycumowany, lecz Sara nigdzie nie mogła dostrzec ludzi. Nie miała zresztą ochoty ich widzieć.

Zbierając w sobie resztki sił, dopłynęła do brzegu i chwyciła się grubych korzeni mangrowca rosnącego w błotnistym rozlewisku. Nie miała nawet sił, żeby się podnieść – leżała na wznak w płytkiej wodzie, patrzyła w niebo i spazmatycznie łapała oddech. Nie wiedziała, ile czasu spędziła w tej pozycji. Ostatecznie zdołała na tyle odzyskać siły, by chwytając się korzeni, stanąć na nogach i, grzęznąc w błocie, ruszyć w kierunku twardszego gruntu, gdzie od brzegu rzeki prowadziła w głąb dżungli ledwie zauważalna ścieżka. Przechodząc przez odcinek zeskorupiałego na wierzchu błota, zwróciła uwagę na utrwalone w nim dosyć duże ślady zwierząt. Zdumiało ją, że są to odciski ptasich, trójpalczastych łap, których każdy palec musiał być zakończony wielkim, zagiętym łukowato szponem...

Nachyliła się, aby obejrzeć je dokładnie, i w tej samej chwili poczuła lekkie wibrowanie ziemi pod stopami. Niespodziewanie padł na nią jakiś cień. Sara uniosła głowę i w osłupieniu popatrzyła na gładką białawą skórę na podbrzuszu jakiegoś olbrzymiego zwierzęcia. Była zbyt słaba, żeby w jakikolwiek sposób zareagować. Nie mogła się nawet wyprostować.

Ostatnią rzeczą, jaka utkwiła jej w pamięci, był widok olbrzymiej

trójpalczastej łapy, która ciężko wylądowała obok niej, rozchlapując błoto na boki, po czym rozległo się ciche warczenie. Całkiem niespodziewanie dało o sobie znać skrajne wyczerpanie, nogi się pod nią ugięły i Sara padła na wznak, tracąc przytomność.

DODGSON

Lewis Dodgson wdrapał się na szczyt przybrzeżnej skarpy, wsunął się za kierownicę jeepa i zatrzasnął drzwi. Zajmujący sąsiednie miejsce Howard King nerwowo pocierał o siebie dłońmi.

– Jak mogłeś postąpić w ten sposób? – mruknął.

– A co się stało? – zapytał siedzący z tyłu Baselton.

Dodgson nie odpowiedział. Przekręcił kluczyk w stacyjce i uruchomił silnik. Włączył napęd na cztery koła, wrzucił pierwszy bieg i powoli ruszył pod górę przez gęstą dżunglę. Nie obejrzał się nawet na kuter zacumowany przy brzegu rzeki.

– Jak mogłeś? – powtórzył z przejęciem King. – Matko Boska...

– To był zwyczajny wypadek – uciął Lewis.

– Wypadek? Jak śmiesz?

– Zgadza się. Wypadek. – Dodgson nie tracił zimnej krwi. – Po prostu wypadła za burtę.

– Ja niczego nie widziałem – wtrącił pospiesznie Baselton.

King z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Jezu... Jeśli ktoś podejmie śledztwo w tej sprawie...

– I co z tego? – przerwał mu Dodgson. – Płynęliśmy po wzburzonym morzu, a ona stała przy burcie. Nadeszła wysoka fala i zmyła ją z pokładu. Kobieta nie umiała dobrze pływać. Krążyliśmy w tamtym miejscu i jej szukaliśmy, ale bez rezultatu. Zdarzył się po prostu nieszczęśliwy wypadek. Czym się aż tak bardzo przejmujesz?

– Na miłość boską! Przecież ja to wszystko widziałem...

– Niczego nie widziałeś.

– To tak samo, jak ja – wtrącił Baselton. – Przez cały czas byłem pod pokładem.

– Tym lepiej dla ciebie – burknął King. – A jeśli naprawdę zostanie wszczęte śledztwo, to co wtedy?

Jeep podskakiwał na nierównościach ledwie widocznej drogi przez dżunglę.

– Nie będzie żadnego śledztwa – rzucił Dodgson. – Wyleciała z Afryki w pośpiechu, nie zdążyła nikogo powiadomić, dokąd się udaje.

– Skąd wiesz? – zapytał piskliwie King.

– Sama mi to powiedziała, Howardzie. Dlatego jestem spokojny. A teraz przestań się rozczulać i wyjmij mapę. Dobrze wiedziałeś, na co się godzisz, kiedy obejmowałeś stanowisko mojego asystenta.

– Rany boskie! Nie miałem pojęcia, że jesteś zdolny posunąć się aż do zabójstwa!

– Howardzie! – Dodgson westchnął głośno. – Nic nam nie grozi. Wyjmij wreszcie tę mapę.

– Skąd możesz wiedzieć, że nic nam nie grozi?

– Dokładnie wszystko przemyślałem, dlatego się nie boję. Nie działam impulsywnie jak Malcolm i Thorne, którzy kręcą się teraz po wyspie i kombinują coś w tej cholernej dżungli, o czym my nie mamy pojęcia.

Na wspomnienie obu naukowców roztrzęsiony King przygryzł wargi, a po chwili mruknął:

– Może się na nich natkniemy...

– Wolałbym tego uniknąć, Howardzie. Lepiej, żeby nie wiedzieli o naszej obecności. Nie zapominaj, że mam zamiar spędzić tu nie więcej niż cztery godziny. Zeszliśmy na ląd o pierwszej i mam szczery zamiar wrócić na pokład kutra najpóźniej o piątej, żeby o siódmej zawinąć do portu. Powinniśmy być w San Francisco jeszcze przed północą. Raz, dwa, i po krzyku. *Finito*. Wreszcie, po tylu latach starań, zdobędę to, o co tak ciężko walczyłem.

– Czyli embriony dinozaurów – podpowiedział Baselton.

– Embriony? – spytał zdumiony King.

– Nie, one mnie już nie interesują. Przed laty usiłowałem zdobyć zamrożone embriony, ale teraz nie ma żadnego powodu, żeby sobie nimi zawracać głowę. Potrzebne mi są zapłodnione jaja. Ale jestem pewien, że najdalej za cztery godziny będziemy mieli gotowe do inkubacji jaja każdego gatunku, jaki występuje na tej wyspie.

– Jak chcesz tego dokonać w ciągu czterech godzin?

– Znam już dokładne położenie wszelkich miejsc wylęgu. Dlatego cię proszę, żebyś wreszcie wyjął mapę, Howardzie.

King rozłożył na kolanach wielki, zadrukowany arkusz papieru. Była to szczegółowa topograficzna mapa wyspy, mająca rozmiar sześćdziesiąt na sto centymetrów. Poziomice zostały wydrukowane kolorem niebieskim. W kilku miejscach, głównie w dolinkach centralnej części Sorny, zostały zaznaczone

czerwonym tuszem koncentryczne kręgi, tworzące gdzieniegdzie duże skupiska.

– Co to za oznaczenia?

– Po drugiej stronie masz legendę.

King odwrócił arkusz, zmarszczył brwi i po chwili odczytał na głos:

– „Landsat/Nordstat, łączone dane VSFR/FASLR/IFFVR", a dalej szeregi cyfr... Nie, chwileczkę, to są daty.

– Zgadza się.

– Jeśli to łączone dane satelitarne, to pewnie chodzi o daty wykonania fotografii z kosmosu.

– Owszem.

Howard zmarszczył brwi.

– A te skróty to... Nałożenie zdjęć w świetle widzialnym, obrazu ze skanera radarowego i...

– Szerokopasmowych zdjęć w podczerwieni – powiedział Dodgson. – Zajęło mi to wszystko tylko dwie godziny. Wydobyłem dane z archiwów, nałożyłem obrazy na siebie, zsumowałem i oto efekt.

– Rozumiem – rzekł z entuzjazmem King. – A te czerwone okręgi to zapewne źródła promieniowania podczerwonego.

– Owszem. Duże zwierzęta muszą być źródłem silnych sygnałów. Wziąłem pod uwagę wszystkie satelitarne zdjęcia wyspy z ostatnich paru lat i wybrałem powtarzające się miejsca emisji cieplnej. Stąd na mapie wzięły się koncentryczne okręgi. Muszą to być te stanowiska, gdzie zawsze przebywa po kilka zwierząt. A dlaczego? – Dodgson zerknął na asystenta. – Bo muszą tam mieć swoje gniazda.

– Tak, to oczywiste – mruknął Baselton.

– A może znajdują się tam jedynie żerowiska? – podsunął King.

Lewis z irytacją pokręcił głową.

– Niemożliwe. To nie mogą być żerowiska.

– Dlaczego?

– A dlatego, że jeden dinozaur waży średnio dwadzieścia ton. Jeśli w stadzie występuje dziesięć sztuk, to mówimy o zespole biologicznym ważącym w sumie dwieście ton, który do utrzymania się przy życiu potrzebuje olbrzymiej ilości świeżej masy roślinnej, a żeby ją zdobyć, musi się ciągle przemieszczać, nie żeruje w jednym miejscu. Zgadza się?

– Tak, ale...

– Nie ma żadnych ale. Rozejrzyj się, Howardzie. Czy dostrzegasz gdziekolwiek obszar ogołocony z liści? Nie. A to oznacza, że dinozaury oskubują tylko część liści z drzewa i przechodzą do następnego. Uwierz mi, to

niemożliwe, aby żerowały na niewielkim obszarze. A zatem w tych miejscach, gdzie zwierzęta przebywają najczęściej, muszą się znajdować ich gniazda. Jestem pewien, że na stanowiskach zaznaczonych koncentrycznymi kręgami znajdziemy gniazda. – Spojrzał na mapę. – Zresztą, jeśli się nie mylę, pierwsze z tych miejsc mamy dokładnie przed sobą, w dnie wąwozu po przeciwnej stronie tego grzbietu, na który wjeżdżamy.

Koła jeepa trochę się ślizgały na błotnistym podłożu, lecz mimo to posuwali się dość szybko w górę zbocza.

OKRZYK GODOWY

Richard Levine stał na ambonie i obserwował przez lornetkę stado pasących się zwierząt. Był sam, Malcolm i pozostali wrócili do furgonu. Richard nawet się z tego cieszył. Zależało mu przede wszystkim na zgromadzeniu jak największej liczby obserwacji tych niezwykłych zwierząt, a wyczuwał, że sceptycznie nastawiony matematyk nie podziela jego entuzjazmu. Wydawało się, że Malcolma pochłaniają zupełnie inne rozważania. Nie interesowało go gromadzenie faktów, nie miał do tego cierpliwości – on już chciał przystąpić do analizowania danych.

Wśród naukowców to nic nadzwyczajnego. Podobne różnice najczęściej można spotkać wśród fizyków, gdzie eksperymentatorzy i teoretycy żyją w dwóch, niemal całkowicie odrębnych światach i w zasadzie jedynym elementem wspólnym są publikacje dotyczące ich pracy. Z pozoru jest to taka sama sytuacja, jakby chodziło o badaczy z dwóch całkiem odrębnych dyscyplin wiedzy.

Tego typu różnice między podejściem Levine'a i Malcolma ujawniły się bardzo wcześnie, już podczas pierwszych spotkań w Santa Fe. Obaj byli zainteresowani zjawiskiem wymierania gatunków, lecz Ian podchodził do zagadnienia w sposób ogólny, z czysto matematycznego punktu widzenia. Jego żelazna logika, chęć ujmowania wszystkiego w ramy ogólnych praw, początkowo zafascynowała Richarda, wiele godzin spędzili na dyskusjach podczas wspólnych lunchów. Levine przybliżał Malcolmowi paleontologię, ten zaś tłumaczył biologowi podstawy matematyki nieliniowej. Dość szybko doszli razem do pewnych ogólnikowych wniosków, które jeszcze bardziej wciągnęły Iana w ten niezwykle ciekawy temat. Ale jednocześnie pojawiły

się znaczące różnice zdań. Zdarzyło się kilkakrotnie, że zaciekle dyskutujących naukowców wypraszano z lokalu, z konieczności więc kończyli dysputę na parnej Guadelupe Street, gdzie idąc spacerem w kierunku rzeki, mogli do woli pokrzykiwać na siebie, co najwyżej odstraszając turystów, którzy zazwyczaj pospiesznie przechodzili na drugą stronę ulicy.

Stała się wreszcie rzecz nieunikniona: owe różnice zdań doprowadziły do wzajemnego wytykania sobie różnych słabostek. Właśnie wtedy Levine się dowiedział, że jest bałaganiarskim pedantem, którego interesują wyłącznie błahe drobiazgi, i że nigdy nie bierze pod uwagę konsekwencji swojego postępowania. On zaś nie zawahał się nazwać Malcolma impertynentem i teoretykiem, którego z kolei w ogóle nie interesują nawet najistotniejsze szczegóły.

– Nawet wielkość Boga objawia się w szczegółach – rzekł przy którejś okazji.

– Być może twojego Boga – sparował Malcolm – ale nie mojego, ponieważ mój Bóg jest ciągłością!

Kiedy teraz, stojąc na ambonie, Levine przypomniał sobie tamtą wymianę zdań, pomyślał, że była to dokładnie taka odpowiedź, jakiej należało oczekiwać od matematyka. Jemu w zupełności wystarczały te drobiazgi, które stanowiły podstawę nauk biologicznych, był bowiem świadom, iż porażki wielu kolegów po fachu wynikały właśnie stąd, że nie przywiązywali oni odpowiedniej wagi do szczegółów.

Jeżeli nawet faktycznie całe jego życie ograniczało się do zajmowania drobiazgami, to nie miał najmniejszego zamiaru tego zmieniać. Po raz kolejny przypomniał sobie tę chwilę, gdy nad strumieniem wraz z Diego został zaatakowany przez nieznane zwierzę. Wielokrotnie odtwarzał w pamięci tamte wydarzenia, ponieważ był przekonany, że niektóre, z pozoru drobne fakty, zinterpretował niewłaściwie. I to nie dawało mu spokoju.

Drapieżnik zaatakował błyskawicznie. Prawdopodobnie był to któryś z teropodów – dinozaur poruszający się w postawie pionowej, mający silne tylne łapy, masywny ogon i wielki łeb. Levine widział go tylko przez chwilę, ale nie mógł się pozbyć wrażenia, że pewne szczegóły budowy pozwalają go uznać za przedstawiciela gatunku *Carnotaurus sastrei*, znanego jedynie z wykopalisk w Gorro Frigio w Argentynie. W dodatku zwierzę odznaczało się dość nietypową skórą, zieloną w jaśniejsze cętki, ale mającą w sobie coś

niezwykłego...

Wzruszył ramionami. Wspomnienia nie dawały mu spokoju, wciąż jednak nie potrafił zidentyfikować owego elementu, który go od tamtej pory dręczył.

Skierował uwagę na stado parazaurolofów leniwie pasących się nad rzeką w pobliżu apatozaurów. Zasłuchał się w donośne, jakby nieco rzewne trąbienie zwierząt. Uzmysłowił sobie, że zazwyczaj dinozaury wydawały z siebie krótkie dźwięki, podobne do samochodowych klaksonów rozbrzmiewających na ulicy. Czasami kilka osobników zaczynało trąbić niemal równocześnie, jak gdyby chciały powiadomić resztę stada o swojej czujności. Ale kiedy indziej rozlegało się znacznie dłuższe, jakby alarmujące trąbienie. Te odgłosy wydawały z siebie jedynie dwa największe zwierzęta w stadzie, które wysoko unosiły głowy, wyciągały szyje i wtedy trąbiły przeciągle. Cóż jednak mogły oznaczać te odgłosy?

Pocąc się w palącym słońcu, Levine postanowił przeprowadzić prosty eksperyment. Osłonił usta dłońmi i zawył głośno, naśladując trąbienie parazaurolofów. Nie wyszło mu to najlepiej, ale jeden z przywódców stada pospiesznie uniósł łeb i zaczął się rozglądać na boki. Po chwili zatrąbił przeciągle, jakby odpowiadał na wołanie Levine'a.

Ten zawył po raz drugi.

Parazaurolof ponownie odpowiedział.

Uradowany biolog zanotował tę reakcję w notesie. Kiedy jednak uniósł wzrok, spostrzegł ze zdumieniem, że parazaurolofy oddalają się od stada apatozaurów. Najpierw zbiły się w gromadkę, po czym ruszyły gęsiego w stronę ukrytej w koronie drzewa ambony.

Levine'a ogarnął strach.

Co one wyczyniają? – myślał. Wreszcie uprzytomnił sobie, że może jakimś zbiegiem okoliczności udało mu się wydać okrzyk godowy. Tylko tego mi brakowało, stwierdził, hordy jurnych samców. Nikt przecież nie wiedział, jak się zachowują dinozaury w okresie godowym. Z rosnącym niepokojem obserwował zbliżające się zwierzęta, zachodząc w głowę, czy nie powinien zawiadomić Malcolma i zapytać go o radę. Zarazem pomyślał, że naśladując ów odgłos, wprowadził nowy czynnik do środowiska, zakłócił ustaloną równowagę – czyli zrobił dokładnie to, co, jak tłumaczył Thorne'owi, jest pierwszą rzeczą, której powinien się wystrzegać. Zachował się po prostu bezmyślnie, pozostawało jedynie mieć nadzieję, że nie będzie to miało

większego znaczenia. Był jednak pewien, że Malcolm zrobi z tego powodu piekielną awanturę.

Opuścił lornetkę i zapatrzył się na dolinę. Głośnie trąbienie zwierząt, które zapewne niosło się po całej wyspie, dla niego brzmiało ogłuszająco. Czuł już drżenie gruntu pod ciężarem nadciągającego stada, w tym samym rytmie cała ambona zaczęła się kołysać w przód i w tył.

Mój Boże! – pomyślał Levine – one idą prosto na mnie!

Pochylił się szybko i roztrzęsionymi dłońmi zaczął szukać w swoim plecaku krótkofalówki.

KŁOPOTY Z EWOLUCJĄ

Thorne wyjął z kuchenki mikrofalowej podgrzane dania i zaczął rozstawiać talerze na stole. Wszyscy pospiesznie przystąpili do rozpakowywania porcji. Malcolm wbił widelec w dużą, owalną, brązowawą bryłkę i zapytał:

– Co to jest?

– Pierś kurczaka pieczona z ziołami – odparł Doc.

Matematyk odgryzł kawałek i ze zdumienia pokręcił głową.

– Czy ta współczesna technika nie jest wspaniała? Specjaliści potrafią każdy rodzaj pożywienia przyrządzić tak, że smakuje jak szkolna kreda.

Zerknął na dzieci siedzące naprzeciw niego, lecz one zajadały z apetytem. Po chwili dziewczyna złowiła jego spojrzenie i machnąwszy widelcem w stronę półki z książkami, powiedziała:

– Jednej rzeczy nie rozumiem.

– Tylko jednej? – zdziwił się Malcolm.

– Tego całego zamieszania wokół ewolucji. Darwin ogłosił swoją teorię już dawno temu, prawda?

– Owszem. Dzieło zatytułowane „O powstawaniu gatunków" ukazało się w 1859 roku.

– I obecnie już nikt nie podaje w wątpliwość podstaw tej teorii, zgadza się?

– Można chyba powiedzieć, iż wszyscy naukowcy na świecie uznali, że ewolucja jest jedną z cech ekosystemu ziemskiego – rzekł Malcolm – i że ludzie pochodzą od zwierzęcych przodków. W zasadzie masz rację.

– W porządku. Więc dlaczego znów podnosi się krzyk wokół tej sprawy?

Ian uśmiechnął się szeroko.

– Ten krzyk bierze się stąd, że wszyscy uznają ewolucję za pewnik, ale nikt nie rozumie, na czym ona polega. W teorii jest bowiem wiele niejasności i coraz więcej specjalistów otwarcie to przyznaje.

Malcolm odsunął talerzyk i tłumaczył dalej:

– Cofnijmy się do samych początków teorii, jakieś dwieście lat wstecz. Wszystko zaczęło się od barona Georges'a Cuviera, najgłośniejszego anatoma swoich czasów, który mieszkał i działał w intelektualnej stolicy świata, Paryżu. Około roku 1800, kiedy pojawiało się coraz więcej doniesień o wykopywanych z ziemi olbrzymich kościach, Cuvier doszedł do wniosku, że muszą to być szczątki zwierząt, których już się nie spotyka nigdzie na świecie. Niełatwo było w to uwierzyć, ponieważ w tamtych czasach ludzie byli przekonani, że wszystkie istoty stworzone przez Boga nadal chodzą po Ziemi. Nie zapominajcie też, iż według nauk religijnych od momentu stworzenia życia minęło zaledwie kilka tysięcy lat. Nikt zresztą nie wierzył, aby Stwórca pozwolił jakiemuś zwierzęciu bezpowrotnie wyginąć. Zatem samo pojęcie wymarcia gatunku było wręcz nie do przyjęcia. Cuvier podjął jednak rozległe badania dziwnych znalezisk i ostatecznie doszedł do przekonania, że niezależnie od dogmatów religijnych liczne gatunki zwierząt musiały w przeszłości zniknąć z powierzchni Ziemi. Łatwo było mu to uznać za skutek jakiejś olbrzymiej katastrofy, na przykład biblijnego potopu.

– Jasne.

– Dlatego też Cuvier zmuszony był przyznać, iż zanikanie gatunków jest faktem, chociaż nie pogodził się z tym, że może ono być przejawem ewolucji. W tamtych czasach owo pojęcie w ogóle nie było znane. Po prostu uważano, że niektóre zwierzęta wyginęły, inne zaś przetrwały, nie brano pod uwagę czynników rozwojowych. W powszechnym mniemaniu zwierzęta zupełnie się nie zmieniały. Dopiero pół wieku później Darwin ogłosił swoją teorię ewolucji, z której wynikało jednoznacznie, że te olbrzymie kości są pozostałościami wymarłych zwierząt, będących przodkami stworzeń istniejących obecnie. Wnioski wynikające z teorii Darwina dla wielu były nie do przyjęcia, nikt nie chciał się pogodzić z tym, że boskie dzieło stworzenia jest podawane w wątpliwość, a praprzodkiem każdego człowieka musi być jakaś małpa. Teoria burzyła ustalony porządek rzeczy i wymuszała zmiany

w sposobie myślenia, toteż wokół niej rozpętała się istna burza. Ale Darwin zgromadził na jej poparcie niewiarygodną wręcz liczbę ustalonych faktów, zyskał olbrzymią przewagę nad przeciwnikami. Stopniowo naukowcy, a później i zwykli ludzie zaakceptowali teorię ewolucji. Bez odpowiedzi pozostało jednak pytanie: w jaki sposób dokonują się zmiany ewolucyjne? Nawet Darwin nie potrafił tego wyjaśnić.

– Dobór naturalny – wtrącił Arby.

– Owszem, ostatecznie Darwin podał takie uzasadnienie. Wywnioskował, że to zmiany środowiskowe wywierają ciągłą presję na świat zwierzęcy, toteż kolejne pokolenia muszą się do nich dostosowywać i w ten sposób dokonuje się ewolucja. Ale stopniowo coraz więcej osób uzmysławiało sobie, że dobór naturalny nie wyjaśnia wszystkiego. Uznano to za dogmat: jeśli jakiś gatunek przetrwał, to znaczy, że zdołał się dostosować. Nadal nie potrafiono wyjaśnić, dlaczego tak się dzieje, co sprawia, że występuje tenże dobór naturalny. Nie znaleziono odpowiedzi na te pytania przez następne pół wieku.

– Tu chodzi o geny – odezwała się Kelly.

– Masz rację. Dochodzimy więc do wieku dwudziestego. Uznanie zyskują prace niedocenianego wcześniej Mendla na temat dziedziczności cech u roślin, następnie Fisher i Wright ogłaszają wyniki swoich badań populacyjnych. Bardzo szybko ludzie akceptują pojęcie genu, choć nikt nie wie, co to właściwie jest. Nie zapominajcie, że przez całą pierwszą połowę naszego wieku, aż do zakończenia drugiej wojny światowej, naukowcy operują pojęciem genu, choć pozostaje ono nieodgadnioną tajemnicą. Dopiero publikacje Watsona i Cricka z roku 1953 wyjaśniają, że za dziedziczność odpowiedzialny jest łańcuch nukleotydowy spleciony w podwójną helisę. Dopiero teraz udaje się określić przyczyny mutacji. Lecz nawet obecnie, pod koniec dwudziestego wieku, akceptuje się istnienie doboru naturalnego, czyli zjawiska mutacji będącego następstwem zmian zachodzących spontanicznie w genach, gdzie zmiany pozytywne są faworyzowane przez środowisko, natomiast zmiany negatywne prowadzą do zaniku, a wskutek takiej selekcji zachodzi proces ewolucji. Obraz jest prosty i klarowny, choć nie ma w nim miejsca na Boga, w ogóle nie dopuszcza się możliwości ingerencji jakichkolwiek czynników wyższego rzędu. Ewolucja jest tylko rezultatem zachodzących ciągle przypadkowych mutacji, skutkiem czego jedne gatunki się doskonalą, inne wymierają. Zgadza się?

– Jasne – odparł Arby.

– Lecz i ta teoria budzi wiele kontrowersji. Po pierwsze, pojawiają się olbrzymie niezgodności w czasie. Pojedyncza bakteria, najstarsza forma życia na Ziemi, wytwarza dwa tysiące różnych enzymów. Matematycy bez

większego kłopotu obliczyli, jakie jest prawdopodobieństwo przypadkowego doboru takiego, a nie innego zestawu złożonych związków w pierwotnej zupie organicznej. Według różnych szacunków proces ten musiałby trwać od czterdziestu do stu miliardów lat. Ale życie na Ziemi pojawiło się zaledwie przed czterema miliardami lat. Zatem przypadkowy dobór naturalny nie wyjaśnia początków życia, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę, że pierwsze bakterie powstały na naszym globie około czterystu milionów lat temu. Rozwój organizmów następował niezwykle szybko, właśnie z tego powodu wielu naukowców skłoniło się ku teorii, iż ziemskie życie musi być obcego pochodzenia. Ale dla mnie takie tłumaczenie to tylko ucieczka od podstawowych problemów.

– Oczywiście.

– Po drugie, zagadką pozostaje sprawa koordynacji procesów ewolucyjnych. Jeśli uznamy słuszność teorii, to musimy przyjąć, że cała ta zdumiewająca złożoność przejawów życia jest skutkiem wyłącznie przypadkowego doboru mutujących genów. Kiedy jednak przyjrzymy się uważnie budowie zwierząt, musimy dojść do wniosku, że wiele elementów musiało ewoluować równocześnie w tym samym kierunku. Weźmy za przykład nietoperze, które posługują się echolokacją. Wykształcenie całego złożonego mechanizmu wymagało jednoczesnego rozwoju kilku różnych organów. Nietoperze musiały wytworzyć nie tylko specyficzny narząd do generacji impulsów dźwiękowych i drugi do ich odbierania, potrzebne były także modyfikacje w mózgu, umożliwiające interpretację odbitych sygnałów akustycznych, oraz odpowiednia budowa ciała, aby zwierzęta potrafiły szybko reagować na bodźce, błyskawicznie zmieniać kierunek lotu i łowić owady. Gdyby zmiany ewolucyjne, które doprowadziły do powstania tych czynników, nie następowały równocześnie, nietoperze nigdy by nie zdołały wykształcić mechanizmu echolokacji. Jeśli więc nadal chcemy zakładać, że właściwe procesy ewolucyjne następowały wskutek przypadkowych mutacji, to równie dobrze moglibyśmy przyjąć, iż trąba powietrzna, która wpadnie na złomowisko, będzie w stanie przypadkiem poskładać z części w pełni sprawny egzemplarz odrzutowego boeinga. Trudno w to uwierzyć, prawda?

– Owszem – przyznał Thorne. – Bardzo trudno.

– Następny problem. Ewolucja nie zawsze działa tak, jak na ślepą siłę natury przystało. Niektóre nisze środowiskowe pozostają puste. Pewne gatunki roślin nie służą niczemu, pewne zwierzęta prawie wcale nie ewoluują. Na przykład rekiny pozostają w niezmienionej postaci od stu sześćdziesięciu milionów lat, a dzisiejsze oposy wyglądały tak samo u schyłku ery dinozaurów, czyli sześćdziesiąt pięć milionów lat temu.

A przecież środowisko, w którym żyją te zwierzęta, podlegało ogromnym zmianom i mimo to niektóre gatunki pozostały niezmienione. Może nie dokładnie takie same, ale prawie identyczne. Krótko mówiąc: nie zawsze zmiany środowiska są przyczyną całego łańcucha mutacji.

– Może dlatego, że mimo zmian te zwierzęta nadal pozostają doskonale przystosowane do środowiska – podsunął Arby.

– Możliwe, ale nie da się też wykluczyć, że zachodzą jeszcze inne procesy, których nie rozumiemy.

– Na przykład jakie?

– Natura może się rządzić także innymi prawami.

– Chcesz powiedzieć, że ewolucja może być ukierunkowana? – zapytał Thorne.

– Nie. W ten sposób wrócilibyśmy do teorii kreacjonizmu, która jest błędna. Po prostu niczego nie wyjaśnia. Twierdzę, że dobór naturalny oparty na mutacjach genetycznych nie jest jedynym motorem ewolucji. To byłoby zbyt proste. Muszą oddziaływać ponadto inne siły. Cząsteczka hemoglobiny jest białkiem, które na podobieństwo kanapki otacza centralny jon żelaza odpowiedzialny za przenoszenie tlenu. W skali cząsteczkowej to mikroskopijne płuco. Nikt jednak nie umie wyjaśnić, dlaczego białko tworzy ów kompleks sandwiczowy. Na szczęście ta wiedza nie jest nam potrzebna, wprowadzenie jakichkolwiek zmian w budowie daje ten sam efekt: białko zawsze otacza jon centralny. Mamy więc do czynienia z samoorganizacją. Jeśli poczynimy obserwacje w skali makroskopowej, w wielu wypadkach także będziemy musieli dojść do wniosku, że istoty żywe wykazują znaczny stopień samoorganizacji. Białka zawsze tworzą kompleksy sandwiczowe, enzymy zawsze działają wybiórczo, odpowiednie komórki zawsze formują właściwy organ, a zespoły konkretnych organów zawsze tworzą w rezultacie indywidualny organizm. Z kolei poszczególne osobniki tworzą odrębne populacje, a populacje samoorganizują się w taką, a nie inną biosferę. Teoria złożoności pozwala nam zrozumieć, w jaki sposób funkcjonuje owa samoorganizacja i do czego prowadzi. A to umożliwia spojrzenie na ewolucję z zupełnie innego punktu widzenia.

– Lecz mimo to ewolucja musi być rezultatem oddziaływania środowiska na geny – zauważył Arby.

– Owszem, lecz to nie wszystko, Arb – odparł Malcolm. – Według mnie trzeba brać pod uwagę inne elementy. Musimy je uwzględnić, choćby tylko po to, by wytłumaczyć pojawienie się człowieka na Ziemi.

– Około trzech milionów lat temu – ciągnął matematyk – niektóre afrykańskie małpy, dotąd mieszkające na drzewach, postanowiły zejść na ziemię. Nie odznaczały się niczym szczególnym. Miały równie małe mózgi jak inne małpy i wcale nie były nazbyt rozwinięte. Nie dysponowały też długimi szponami czy ostrymi zębami do obrony przed napastnikami, nie były specjalnie silne, nie poruszały się szybciej. Nie stanowiły żadnej konkurencji na przykład dla lamparta. Lecz właśnie z powodu dość niewielkich rozmiarów nauczyły się stawać na tylnych łapach, żeby móc cokolwiek dojrzeć ponad wysoką trawą afrykańskich równin. Od tego się zaczęło: od zwykłych małp, które musiały się prostować, żeby wypatrzyć w sawannie napastnika. Wraz z upływem lat te zwierzęta zaczęły coraz więcej czasu spędzać w postawie wyprostowanej. W ten sposób zyskały swobodę posługiwania się rękoma. Tak jak wszystkie małpy, potrafiły korzystać z prostych narzędzi. Na przykład szympansy posługują się gałązkami do wygrzebywania termitów z gniazd. Nasi przodkowie szybko się uczyli, stosowali coraz bardziej skomplikowane narzędzia, a w ten sposób stymulowali szybszy rozwój i przyrost mózgu. Mamy już spiralę ewolucyjną: złożone narzędzia zmuszają do dalszego rozwoju mózgu, a ten z kolei pozwala na stosowanie jeszcze bardziej skomplikowanych narzędzi. Według pojęć ewolucyjnych nastąpiła istna eksplozja mózgu, w ciągu miliona lat pojemność czaszki naczelnych zwiększyła się ponaddwukrotnie. Stało się to również przyczyną wielu kłopotów.

– Jakich?

– Na przykład znacznie utrudniło narodziny. Olbrzymia czaszka z trudem przeciska się przez drogi rodne, co może doprowadzić do śmierci zarówno matki, jak i dziecka. Pojawił się olbrzymi problem. Jak na to zareagowała ewolucja? Ludzie przychodzą na świat w bardzo wczesnym etapie rozwoju, kiedy ich czaszki są jeszcze na tyle małe, by mogły się przecisnąć przez najwęższe odcinki dróg rodnych. Jak u torbaczy, gdzie zasadniczy okres rozwoju młodego organizmu przebiega poza łonem matki. W ciągu pierwszego roku życia dziecka mózg powiększa się dwukrotnie. Zatem natura znalazła rozwiązanie problemu narodzin, ale pojawiły się za to inne kłopoty. Podstawowy jest taki, że ludzki potomek pozostaje całkowicie bezradny jeszcze długo po przyjściu na świat, bo przecież u wielu ssaków młode potrafią chodzić o własnych siłach już w kilka minut po urodzeniu. A niemowlęta nie potrafią się same odżywiać znacznie dłużej. Zatem ceną za wykształcenie dużego mózgu było to, że nasi przodkowie musieli utworzyć

zupełnie nową, trwałą organizację społeczną, która umożliwiałaby im trwającą przez wiele lat troskliwą opiekę nad potomstwem. A więc te wielkogłowe, lecz całkowicie bezradne niemowlęta przyczyniły się do zmiany zachowań społecznych. Ale nie to jest najważniejszą konsekwencją ewolucji człowieka.

– A co?

– Rozwój poza organizmem matki wiąże się z tym, że niemowlęta przychodzą na świat z nieukształtowanym mózgiem, a więc nie mają zakodowanych wielu instynktownych odruchów. W zasadzie instynktownie potrafią jedynie ssać i mają chwytny odruch dłoni, lecz nic poza tym. Złożoność zachowań człowieka nie wynika z odziedziczonych instynktów. Zatem społeczności pierwotne musiały także wykształcić pewien system edukacji nieuformowanych do końca mózgów swoich potomków, musiały uczyć dzieci nawet podstawowych reakcji. Każde społeczeństwo poświęca mnóstwo czasu i wkłada wiele wysiłku w naukę dzieci. Jeśli nawet weźmiecie pod uwagę prymitywne plemiona zamieszkujące tropikalną dżunglę, to szybko się przekonacie, że i tam dzieci oddawane są pod opiekę sporego grona dorosłych, których jedynym celem jest wpojenie młodym pewnego zasobu wiedzy oraz określonych norm postępowania. Uczestniczą w tym nie tylko rodzice, lecz również dalsza rodzina, ciotki, wujkowie i dziadkowie, oraz starszyzna plemienna. Jedni uczą młodych polowania, zbierania płodów rolnych czy tkactwa, inni wpajają wiedzę o seksie bądź sposobach walki. Zakres odpowiedzialności jest w każdym wypadku ściśle określony i jeśli jakieś dziecko nie ma, powiedzmy, wujka, który powinien się zająć jego edukacją w konkretnej dziedzinie, społeczeństwo znajduje innego nauczyciela. W pewnym sensie wspólne wychowanie dzieci jest jednym z najważniejszych powodów istnienia tejże społeczności. Jej celem jest właściwe ukształtowanie następnego pokolenia i tylko temu służy ciągły rozwój narzędzi, języka czy struktury socjalnej. W ten sposób, po kilku milionach lat, dochodzimy do społeczeństwa, w którym dzieci posługują się komputerami.

Malcolm urwał na krótko, lecz zaraz ciągnął:

– Jeśli ten obraz jest sensowny, to gdzie tu miejsce na dobór naturalny? Przejawia się on w budowie fizycznej czy w zwiększaniu pojemności mózgu? Czy jego skutkiem jest ten olbrzymi rozwój, z powodu którego dzieci muszą przychodzić na świat bardzo wcześnie? Wymusza zmiany w reakcjach społecznych, prowadzące do ściślejszego współdziałania i kolektywnego wychowywania potomstwa? A może przejawia się we wszystkim, w rozwoju fizycznym, psychicznym i zacieśnianiu więzów społecznych?

– We wszystkim naraz – odpowiedział Arby.

– Mnie się też tak wydaje. Nie wykluczam jednak, że pewne zjawiska zachodzą automatycznie i są wynikiem postępującej samoorganizacji. Na przykład potomstwo wszystkich gatunków zwierząt odznacza się pewnymi cechami wspólnymi. Chodzi mi o nieproporcjonalnie duże głowy z wielkimi oczyma, zaokrąglone sylwetki i nieporadne ruchy. Dotyczy to zwierząt domowych, ssaków, ptaków... Owe cechy wymuszają na wszystkich osobnikach dorosłych nieco odmienny sposób traktowania młodych. Można zatem powiedzieć, że w pewnym sensie wygląd wpływa na samoorganizację zachowania istot dojrzałych. W tym wypadku to element pozytywny.

– A co to ma wspólnego z wymarciem dinozaurów? – zapytał Thorne.

– Zasady samoorganizacji mogą mieć wpływ zarówno pozytywny, jak i negatywny. Tak samo, jak wymusza ona zmiany w zachowaniu, może też spowodować degradację całej populacji, a nawet jej zanik. Mam nadzieję, że zwierzęta żyjące na tej wyspie pozwolą nam zaobserwować elementy swojej adaptacji do środowiska, wynikającej właśnie z samoorganizacji. Być może pozwoli nam to przybliżyć sobie powody wymarcia dinozaurów. W gruncie rzeczy mam już wystarczająco wiele danych, by z dużym stopniem prawdopodobieństwa określić prawdziwą przyczynę zniknięcia tych zwierząt.

W głośniku krótkofalówki rozległ się trzask.

– Brawo! – wykrzyknął Levine. – Sam nie potrafiłbym tego lepiej ująć. Ale teraz może byście wyszli na zewnątrz i zobaczyli, co się tutaj dzieje. Parazaurolofy zachowują się bardzo ciekawie, Ian.

– Co robią?

– Chodź i sam się przekonaj.

– Dzieci, zostańcie w furgonie i obserwujcie okolicę na monitorach – rzekł stanowczo Malcolm, po czym sięgnął po krótkofalówkę. – Richard? Już idziemy do ciebie.

PARAZAUROLOFY

Levine chwycił się mocniej barierki ambony i z napięciem spoglądał na dolinę. Zza niewielkiego wzniesienia wyłoniła się właśnie głowa okazałego przedstawiciela gatunku *Parasaurolophus walkeri*. Czaszka kaczodziobego hadrozaura miała około osiemdziesięciu centymetrów długości, ale gruba, wygięta ku tyłowi narośl na szczycie głowy sprawiała, że wydawała

się o wiele dłuższa.

W miarę zbliżania się zwierzęcia Richard dostrzegał coraz więcej szczegółów, ciemnozielone cętki na skórze głowy i jasny, białawy brzuch. Parazaurolof miał około czterech metrów wysokości i tułów w przybliżeniu tak wielki, jak duży słoń. Kiedy wyciągał szyję ku górze, jego pysk znajdował się niemal na poziomie ambony. Całe stado bez pośpiechu zmierzało w jego kierunku, ciężkie stąpnięcia olbrzymów niosły się echem po krańce doliny. Po chwili zza szczytu wzniesienia ukazała się głowa drugiego dinozaura, potem trzeciego i czwartego. Bez przerwy głośno trąbiąc, zwierzęta szły gęsiego prosto ku niemu.

Wkrótce przewodnik stada dotarł w pobliże ambony. Levine niemal wstrzymał oddech. Zwierzę popatrzyło na niego, obracając wielkie brązowe oczy to w lewo, to w prawo. Oblizało wargi długim, ciemnopurpurowym językiem. Ambona chwiała się coraz silniej w rytm ciężkich kroków parazaurolofów. Przewodnik minął ją jednak i tym samym leniwym krokiem ruszył w dżunglę na tyłach polany. Wkrótce minęło go drugie zwierzę.

Trzecie otarło się bokiem o podstawę wieży, aż ta silnie się zakołysała, lecz olbrzym w ogóle nie zwrócił na to uwagi, jakby całkowicie pochłonięty przemarszem. Reszta stada minęła ambonę w pewnej odległości. Parazaurolofy kolejno znikały w leśnej gęstwinie i tylko ziemia dygotała jeszcze przez jakiś czas. Dopiero teraz, spoglądając śladem zwierząt, Levine zauważył ledwie widoczną ścieżkę, którą oddaliły się dinozaury.

Odetchnął z ulgą.

Powoli rozluźnił zdrętwiałe mięśnie i sięgnął po lornetkę, nabierając głęboko powietrza. Stopniowo się uspokajał, przemijało dokuczliwe ssanie w żołądku.

Co one wyczyniają? Dokąd idą? – zachodził w głowę. Takie zachowanie stada parazaurolofów wydawało mu się nadzwyczaj dziwne. Najbardziej zdumiewało go to, że zwierzęta pasły się bezpiecznie za rzeką w dosyć zbitej gromadce, podczas gdy teraz, w trakcie tego przemarszu, każde z nich było narażone na atak drapieżnika. Niemniej nadal zachowywały panującą w stadzie hierarchię. Owa wędrówka gęsiego musiała przecież czemuś służyć.

Tylko czemu?

Po zagłębieniu się w dżunglę dinozaury zaczęły też trąbić inaczej, zamiast przeciągłych odgłosów wydawały z siebie krótkie, basowe dźwięki. Levine odniósł wrażenie, że służą one wyznaczaniu kierunku marszu i zachowywaniu pozycji w szyku. Może chodziło tylko o to, żeby nie zgubić drogi w leśnej gęstwinie?

W jakim jednak celu parazaurolofy zmieniały miejsce pobytu?

Dokąd wędrowały? Co zamierzały robić?

Ze swego stanowiska na ambonie nie mógł dojrzeć niczego, co by mu pomogło znaleźć odpowiedzi na te pytania. Zawahał się, nasłuchując cichnącego trąbienia. Wreszcie podjął decyzję i w pośpiechu zaczął schodzić po drabince na ziemię.

ŻAR

Najpierw poczuła falę gorąca, potem wilgoć. Coś chropowatego jak papier ścierny przejechało po jej policzku raz i drugi. Sara Harding odkaszlnęła. Poczuła kropelki wody spadające jej na szyję. Otaczała ją dziwna, słodkawa woń, przypominająca zapach fermentującego afrykańskiego piwa. Potem rozległo się głośne syczenie. Znów coś drapiącego przesunęło się po jej skórze, od szyi aż po skroń.

Powoli otworzyła oczy i tuż nad sobą ujrzała pysk konia. Ciemne, jakby zasmucone źrenice wpatrywały się prosto w jej twarz. Koń lizał ją po policzku długim, szorstkim językiem. To nawet dość przyjemne – pomyślała – działa uspokajająco. Uprzytomniła sobie zaraz, że leży na wznak w błocie, a ten koń...

To wcale nie był koń!

Dopiero teraz spostrzegła, że pysk jest za wąski jak na konia, nozdrza rozstawione zbyt szeroko, a łeb ma zupełnie inny kształt. Odsunęła nieco głowę i popatrzyła z ukosa. Zwierzę miało nieproporcjonalnie mały łebek na zdumiewająco grubej szyi, do tego masywny tułów...

Błyskawicznie przekręciła się na brzuch i dźwignęła na kolana.

– Och! Mój Boże!...

Nagłe poruszenie spłoszyło dziwne zwierzę, które parskając alarmująco, zaczęło się oddalać. Zrobiło parę kroków w stronę rzeki, lecz zaraz przystanęło i obejrzało się na nią.

Dopiero teraz Harding mogła je zobaczyć w całej okazałości. Maleńka głowa, gruba szyja, wielkie, beczkowate ciało zwieńczone podwójnym szeregiem pięciokątnych płyt kostnych biegnących wzdłuż kręgosłupa, a do tego długi ogon, także zakończony kostnymi wyrostkami.

Zamrugała szybko.

To niemożliwe! – pomyślała.

W oszołomieniu przez parę sekund usiłowała odtworzyć z pamięci nazwę

tego niezwykłego zwierzęcia, którą znała przecież od wczesnego dzieciństwa.

Stegozaur.

Miała przed sobą żywego stegozaura!

W jej wspomnieniach odżyły te godziny, które spędziła w szpitalu, przy łóżku nieprzytomnego Malcolma, wykrzykującego w malignie nazwy kilku gatunków dinozaurów. Przez te wszystkie lata nie pozbyła się podejrzeń, lecz nawet teraz, spoglądając na ożywionego cudem stegozaura, w pierwszej chwili pomyślała, że musi to być jakiś dowcip. Wysilała wzrok, próbując dojrzeć czy to zarys jakiejś klapki pod brzuchem, czy łebki śrub rysujące się pod skórą. Ale niczego takiego nie było, a zwierzę poruszało się płynnie, w sposób całkiem naturalny. Sara aż potrząsnęła głową. Stegozaur jeszcze przez chwilę spoglądał na nią, wreszcie powoli się odwrócił, podszedł do samej wody i zaczął ją chłeptać długim ozorem.

Język miał koloru sinoniebieskiego.

Jak to możliwe? – pomyślała. Czyżby to efekt niedotlenienia? A może stegozaur jest zmiennocieplny? Niemożliwe. Poruszał się za szybko i zbyt pewnie jak na zwierzę zmiennocieplne. Jaszczurki i węże zawsze zwracają baczną uwagę na temperaturę podłoża, z którym się styka ich ciało. Dinozaur zachowywał się zupełnie inaczej. Nie tylko stał w cieniu, ale i pił zimną wodę rzeki.

Harding spojrzała na swą koszulę pobrudzoną smugami białej, pienistej cieczy. Stegozaur obślinił ją całą. Ostrożnie dotknęła palcem mokrych śladów. Były wyraźnie ciepłe.

A zatem zwierzę musiało być zmiennocieplne.

Prawdziwy stegozaur!

Popatrzyła na niego.

Jego skóra była wyraźnie gruzełkowata, ale nie pokrywały jej łuski, jak u innych gadów – przypominała nieco skórę nosorożca albo guźca. Była jednak całkowicie pozbawiona owłosienia, nie pokrywała jej nawet krótka szczecina jak u świń.

Stegozaur poruszał się ospale, sprawiał wrażenie zwierzęcia powolnego i głupiego. Chyba rzeczywiście nie jest zbyt inteligentny – pomyślała Harding, spoglądając na jego nieproporcjonalnie małą głowę. Puszkę czaszki miał tej wielkości, co u konia, czyli niewielką w porównaniu z resztą ciała.

Sara podniosła się na nogi i głośno jęknęła. Bolały ją wszystkie mięśnie. Ramiona przenikał nerwowy dreszcz, a nogi uginały się pod nią. Zaczerpnęła głęboko powietrza.

Stojący zaledwie kilka metrów dalej stegozaur ponownie obejrzał się na nią, jakby zdumiony tym, że przyjęła postawę wyprostowaną. Sara

znieruchomiała. Po chwili zwierzę znów zaczęło obojętnie chłeptać wodę z rzeki.

– Niech mnie kule biją – syknęła Harding pod nosem.

Popatrzyła na zegarek: było wpół do drugiej, słońce stało wysoko, z nieba lał się żar. Pomyślała szybko, że nie wie, dokąd powinna iść, toteż nic jej nie przyjdzie z określenia stron świata. Doszła jednak do wniosku, że nie powinna tu zostać, lecz postarać się jak najszybciej odnaleźć Malcolma i Thorne'a. Stawiając ostrożnie bose stopy, ruszyła powoli, na zesztywniałych nogach, w głąb dżungli.

Po upływie pół godziny zaczęło jej dokuczać pragnienie, lecz była przyzwyczajona do długotrwałego obywania się bez wody w afrykańskiej sawannie. Szła ciągle, starając się nie myśleć o bólu mięśni. Kiedy wreszcie dotarła na szczyt wzniesienia, otworzyła się przed nią dość szeroka ścieżka zbiegająca w dolinę. Wydeptanym przez zwierzęta błotnistym szlakiem łatwiej się szło, toteż przyspieszyła kroku, lecz już po kwadransie usłyszała w oddali przed sobą jakieś niepokojące odgłosy, które przypominały jej trwożliwe wycie psów. Zwolniła i zaczęła się rozglądać uważnie.

Już po paru sekundach złowiła zbliżające się szybko dudnienie ciężkich kroków, które jak gdyby dobiegało z kilku stron naraz, a chwilę później z gąszczu wypadł wprost na nią niezwykły zielony jaszczur około półtorametrowej wysokości. Z głośnym wrzaskiem odbił się od ziemi i przeleciał nad nią. Sara pochyliła się odruchowo. Nie miała nawet czasu zebrać myśli, kiedy na ścieżce pojawiło się drugie podobne zwierzę i także przeskoczyło nad nią. Nie wiadomo skąd wyskoczyło nagle całe stado, które gnało na oślep, wydając z siebie paniczne wrzaski. Któreś zwierzę wpadło na nią i powaliło ją w błoto. Harding z przerażeniem patrzyła na łapy śmigające zaledwie o centymetry od jej głowy.

Zwróciła jednak uwagę, że tuż przy ścieżce rośnie wysokie drzewo ze zwieszającymi się nisko konarami. Bez namysłu skoczyła na nogi, chwyciła najniższą gałąź i pospiesznie wdrapała się na górę. Ledwie znalazła się w bezpiecznym schronieniu, kiedy ścieżką przemknął inny dinozaur uzbrojony w długie, zakrzywione szpony. Widziała go tylko przez moment, dostrzegła jednak, że dwumetrowej wysokości drapieżnik ma skórę pokrytą ciemnoczerwonymi pasami upodabniającymi go do tygrysa. Chwilę później błotnistą ścieżką przebiegło drugie, potem trzecie identyczne zwierzę.

Wszystkie parskały i groźnie powarkiwały.

Lata spędzone na obserwacjach w terenie sprawiły, że Harding zaczęła odruchowo liczyć drapieżniki ścigające mniejsze, zielone dinozaury. Stado liczyło co najmniej dziesięć sztuk i ten fakt dał jej wiele do myślenia. Przecież to bez sensu, powtarzała w duchu. Gnana ciekawością, w kilka sekund po zniknięciu ostatniego drapieżnika zsunęła się na ziemię i ruszyła ostrożnie za stadem. Zdawała sobie sprawę, że naraża się na olbrzymie niebezpieczeństwo, lecz ciekawość była silniejsza.

Tuż przed szczytem wzgórza usłyszała głośne warczenie kilku mięsożerców i doszła do wniosku, że musiały dopaść jedną ze swych ofiar. Podkradła się między paprociami do krawędzi wzniesienia i ostrożnie wyjrzała na otwartą przestrzeń.

Nigdy dotąd nie widziała czegoś podobnego w Afryce. Na równinach wokół Seronery każde polowanie odbywało się według określonego schematu, można było z góry opisać jego przebieg. Najsilniejsze drapieżniki, lwy bądź hieny, pilnie strzegły zdobyczy, karmiąc mięsem swoje małe. Nieco dalej stały kręgiem i czekały na swoją kolej sępy oraz marabuty. Za nimi krążyły nerwowo szakale i inne pomniejsze ścierwojady. Rozpoczynały żer dopiero wtedy, kiedy największe zwierzęta kończyły ucztę. Poza tym każde z nich zajmowało się inną częścią zdobyczy. Hieny i sępy odzierały z mięsa kości długie, szakale zajmowały się dokładnym oczyszczeniem szkieletu. Zawsze wyglądało to mniej więcej tak samo, najsilniejsze drapieżniki jedynie odpędzały natrętne ścierwojady, bardzo rzadko walczyły między sobą o żer.

Tutaj jednak odbywało się istne pandemonium. Zabite zwierzę ginęło w zbitej gromadzie pasiastych bestii, które odrywały wielkie strzępy mięsa, warczały groźnie i zaciekle walczyły między sobą – atakowały się nawzajem z niezwykłą zajadłością. Na oczach Sary jeden z drapieżników ugryzł swego sąsiada, po czym rozorał mu zad ostrym szponem. Jak na komendę kilka innych zwierząt także zaczęło kąsać rannego osobnika, który parskając i ociekając krwią musiał się wycofać. Lecz jakby z zawiści wbił jeszcze zęby w ogon innego krwiożercy, zadając mu dotkliwą ranę.

Jakieś młodsze zwierzę, o połowę mniejsze od pozostałych, bezskutecznie usiłowało się dopchnąć do zdobyczy, lecz żaden z dorosłych nie chciał go dopuścić. Wszystkie warczały i groźnie kłapały na nie zębami. Musiało co i raz odskakiwać w pośpiechu, umykając przed ostrymi jak brzytwa szponami. Harding nie dostrzegła nigdzie zupełnie małych, jakby te krwiożercze bestie w ogóle nie miały potomstwa.

Przyglądała się uważnie owej przerażającej uczcie, zwracając uwagę na liczne szramy i blizny pokrywające ciała drapieżników o silnie

zakrwawionych paszczach. Zdała sobie sprawę, że muszą to być bardzo inteligentne, nadzwyczaj szybkie zwierzęta, które jednak stale walczą między sobą. Zastanawiała się, jakim więc sposobem zdołały stworzyć dosyć ściśle powiązaną społeczność. Według niej było to coś zupełnie wyjątkowego.

Przedstawiciele licznych gatunków potrafią walczyć ze sobą o pożywienie, samicę czy też w obronie swego terytorium, lecz zazwyczaj są to zmagania rytualne bądź kończące się tylko na okazaniu agresji, wyjątkowo dochodzi do poważnych obrażeń. Oczywiście, zdarzają się wyjątkowe sytuacje. Często śmiercią jednego z rywali kończy się walka hipopotamów o panowanie nad haremem samic. Ale w każdym razie aż taka zaciekłość w walce z osobnikami z tego samego stada jest czymś niespotykanym, rozmyślała Sara.

Jeszcze bardziej się zdziwiła, gdy ranny osobnik ponownie zbliżył się do stada i znowu wbił zęby w ogon jednego ze współplemieńców. Ten warknął głośno, błyskawicznie wykonał półobrót i zamachnął się tylną łapą, rozrywając szponem brzuch tamtego. Przez olbrzymie rozcięcie zaczęły się wylewać wnętrzności. Zwierzę zawyło rozpaczliwie i padło na ziemię. Niemal w tej samej chwili doskoczyły do niego trzy drapieżniki i z niezwykłą zaciekłością zaczęły wyrywać kawały mięsa z ciała kolejnej ofiary.

Harding nie mogła na to patrzeć, zamknęła oczy i odwróciła się tyłem. To był zupełnie inny świat, rządzący się odrębnymi prawami, których zupełnie nie rozumiała. Oszołomiona, zaczęła ostrożnie schodzić ze szczytu wzgórza. Chciała jak najszybciej się stamtąd oddalić.

WARKOT

Explorer posuwał się bezgłośnie ścieżką wydeptaną przez zwierzęta. Jechali wzdłuż niewysokiego grzbietu okalającego dolinę, kierując się w stronę ambony stojącej u jego podnóża.

Thorne, który prowadził wóz, zwrócił się do Malcolma:

– Mówiłeś, że już znasz przyczyny wymarcia dinozaurów.

– Owszem, chociaż nie jestem jeszcze całkiem pewien. – Matematyk usadowił się wygodniej. – Sprawa jest dość prosta. Dinozaury pojawiły się w triasie, jakieś dwieście dwadzieścia osiem milionów lat temu. Rozwijały się intensywnie w ciągu dwóch następnych okresów, jury i kredy. Dominowały na Ziemi przez około sto pięćdziesiąt milionów lat. To bardzo

długi czas.

– Zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę, że człowiek jest istotą dominującą zaledwie od trzech milionów lat – wtrącił Eddie.

– Bez przesady. Od trzech milionów lat dominują na Ziemi małpy naczelne, a nie człowiek. Stworzenie, które śmiało można nazwać człowiekiem, pojawiło się dopiero trzydzieści pięć tysięcy lat temu. Dokładnie tyle liczą sobie malowidła skalne w jaskiniach Francji i Hiszpanii, na których nasi przodkowie uwiecznili sceny z polowań. Trzydzieści pięć tysięcy lat! W historii Ziemi to nic nie znacząca chwila. Dopiero zaczęliśmy się rozwijać.

– Rozumiem.

– Ale już wtedy, trzydzieści pięć tysięcy lat temu ludzie mieli swój udział w niszczeniu całych gatunków. Człowiek jaskiniowy polował tak intensywnie, że doprowadził do wymarcia niektórych zwierząt na poszczególnych kontynentach. Bo przecież Europę zamieszkiwały kiedyś lwy i tygrysy, a żyrafy i nosorożce żyły w okolicach obecnego Los Angeles. Nie dalej jak dziesięć tysięcy lat temu przodkowie północnoamerykańskich Indian wybili do nogi tutejsze mamuty. Nic nowego, ludzkość od zarania odznaczała się tendencją...

– Ian.

– W każdym razie ten dominujący antropocentryzm jest dość charakterystyczny...

– Daj wreszcie spokój. Miałeś mówić o dinozaurach.

– Tak, masz rację. Więc w ciągu tych stu pięćdziesięciu milionów lat dinozaury rozwinęły się do tego stopnia, że w kredzie istniało co najmniej dwadzieścia jeden odrębnych grup. Wcześniej wymarły tylko nieliczne, takie jak kamarazaury czy fabrozaury. Większość rodzin dotrwała z powodzeniem do późnej kredy. I wówczas, całkiem niespodziewanie, jakieś sześćdziesiąt pięć milionów lat temu wszystkie te odrębne grupy nagle zaniknęły. Ocalały jedynie praptaki. Zatem nasuwa się pytanie: co było przyczyną tak masowego wymierania?

– Podobno znasz już odpowiedź – wtrącił Thorne.

– Nieprawda. Ja tylko... Co to był za dźwięk? Słyszeliście?

– Nie.

– Zatrzymaj samochód – polecił Malcolm.

Thorne wyhamował i wyłączył silnik. Opuścili szyby i zaczęli nasłuchiwać. Powietrze było parne i duszne, nie poruszał nim nawet najlżejszy wiaterek.

Przez chwilę panowało napięte milczenie, wreszcie Thorne wzruszył

ramionami.

– Niczego nie słyszę. Co to był za dźwięk?

– Cicho – syknął matematyk, pochylając się w bok i osłaniając ucho dłonią.

Ponownie zapadło milczenie, lecz już po chwili Ian mruknął:

– Mógłbym przysiąc, że słyszałem warkot silnika.

– Warkot? Chodzi ci o zwykły silnik spalinowy?

– Owszem. – Ian wskazał w kierunku wschodnim. – Dobiegał chyba stamtąd.

Znowu wszyscy wytężyli słuch, ale dookoła panowała cisza.

Thorne pokręcił głową.

– Na wyspie nie może być żadnego pojazdu napędzanego silnikiem spalinowym. Tu w ogóle nie ma benzyny.

W krótkofalówce zatrzeszczało.

– Doktorze Malcolm! – rozległ się głos Arby'ego.

– Tak, słucham.

– Kto jeszcze jest na wyspie?

– Nie rozumiem.

– Proszę spojrzeć na ekran.

Thorne pospiesznie włączył monitor w desce rozdzielczej. Ukazał się na nim obraz z którejś kamery sieci komputerowej – widok z góry na wąską kotlinę w dżungli, wydłużoną ze wschodu na zachód. Drzewa porastające dość strome zbocze stały w cieniu. Na pierwszym planie był widoczny gruby konar. Wszędzie panował spokój, nie dostrzegli żadnego poruszenia.

– Co widziałeś, Arby?

– Patrzcie uważnie.

Nagle między zasłoną listowia raz i drugi mignęło coś brudnozielonego. Natychmiast pojęli, że jest to człowiek, który na wpół schodzi, a na wpół ześlizguje się błotnistą ścieżką w kierunku dna kotlinki. Po chwili mogli już rozróżnić drobną sylwetkę o czarnych, krótko przyciętych włosach.

– Niech mnie kule biją! – zawołał z uśmiechem Malcolm.

– Wie pan, kto to jest?

– Tak, oczywiście. To Sara.

– Lepiej zabierzmy ją stamtąd. – Thorne sięgnął do krótkofalówki, wcisnął klawisz nadawania i zawołał: – Richard?

Nie było odpowiedzi.

– Richard? Słyszysz mnie?

Nadal nikt się nie zgłaszał.

Malcolm westchnął głośno.

– Wspaniale. Skoro nie odpowiada, to pewnie znowu się wybrał na spacer, polazł śladem jakichś zwierząt...

– Ja też się tego obawiam – przyznał Doc. – Eddie, weź motocykl i zobacz, co porabia Levine. Zabierz karabin Lindstradta. My pojedziemy po Sarę.

ŚCIEŻKA

Levine szedł wydeptanym przez zwierzęta szlakiem, zagłębiając się w dżunglę. Parazaurolofy maszerowały przed nim, czyniąc mnóstwo hałasu, kiedy przedzierały się przez gęstwinę paproci i młodych palm. Dopiero teraz zrozumiał, dlaczego uformowały ten niezwykły szyk – po prostu nie było innego sposobu, żeby się przedrzeć przez zbity tropikalny las i musiały iść gęsiego.

Nadal także trąbiły, choć i w tych odgłosach zaszła zmiana. Wydawały z siebie wyższe i krótsze dźwięki, jakby były czymś podekscytowane. Richard przyspieszył kroku, rozsuwając rękoma wilgotne liście młodych palm mające nieraz po dwa metry długości. Zwrócił też uwagę na coraz silniejszy odór, niezbyt przyjemny, kwaśny, a zarazem jakby słodkawy. Odnosił wrażenie, że posuwają się w kierunku źródła tego zapachu.

Nie miał już żadnej wątpliwości, że dzieje się coś niezwykłego. Porykiwania parazaurolofów stawały się coraz krótsze, przypominały już prawie szczekanie psów. Wyczuwało się ich rosnące podniecenie. Co jednak mogło do tego stopnia absorbować zwierzęta mające cztery metry wysokości i dziesięć metrów długości?

Ogarnęła go przemożna ciekawość. Ruszył biegiem, nie zważając na chłoszczące go liście palm. Przeskakiwał przez powalone drzewa. Z przodu rozległo się dziwne syczenie, a później coś w rodzaju plusku. Jeden z parazaurolofów zatrąbił przeciągle, donośnie, jakby z przerażenia.

Eddie Carr szybko dotarł na motocyklu do wieży i zatrzymał się zdumiony. Levine'a nie było na ambonie. Zaczął się rozglądać dookoła i od razu dostrzegł głęboko odciśnięte ślady wielkich łap zwierząt. Każdy taki odcisk miał około sześćdziesięciu centymetrów średnicy. Tropy prowadziły w głąb dżungli na tyły stanowiska obserwacyjnego.

Po chwili zauważył też charakterystyczne ślady butów marki Asolo, jakie nosił Levine. W wielu miejscach nakładały się na ślady zwierząt, co oznaczało, że zostały odciśnięte później. Także wiodły tą samą ścieżką w leśny gąszcz.

Eddie zaklął pod nosem. Wcale mu się nie uśmiechało zagłębiać w dżunglę, na samą myśl o tym ciarki przebiegły mu po grzbiecie. Ale nie miał innego wyjścia, musiał odnaleźć Richarda. Ten facet jest zupełnie nieobliczalny – pomyślał. Zdjął karabin z ramienia i położył go przed sobą, na kierownicy motocykla. Zacisnął mocniej palce, wrzucił bieg i ruszył powoli ścieżką ginącą między drzewami.

Z sercem łomoczącym z podniecenia Levine wypadł spomiędzy palm i stanął jak wryty. Tuż przed sobą dostrzegł czubek ogona parazaurolofa, poruszający się nerwowo na boki na wysokości jego głowy. Zwierzę stało na środku ścieżki, z góry leciał na ziemię obfity strumień uryny. Levine odskoczył błyskawicznie, żeby nie zostać obsikanym. Spojrzał w prześwit między drzewami, za którymi otwierała się dość rozległa, podmokła i błotnista polanka, najwidoczniej stratowana przez olbrzymy. Parazaurolofy stały w różnych jej częściach i grupowo oddawały mocz.

A więc to jest ich latryna – pomyślał zafascynowany Levine, który nie spodziewał się takiego obrotu spraw.

Wiele gatunków ssaków, na przykład nosorożce czy zwierzyna płowa, postępuje podobnie, załatwiając się w wybranych miejscach. Nie ma też nic niezwykłego w tym, że całe stado czyni to równocześnie. Uważa się powszechnie, że tego typu latryny służą zwierzętom do znaczenia granic swego terytorium. Lecz Richarda najbardziej zdumiało to, iż dinozaury przejawiały podobne obyczaje.

Spoglądał z zainteresowaniem, jak parazaurolofy po załatwieniu swoich potrzeb odsuwają się o parę kroków w bok. Teraz, znów niemal jak na komendę, rozpoczęło się wydalanie odchodów, któremu towarzyszyło

wspólne, basowe trąbienie wszystkich olbrzymów. Odchody parazaurolofów tworzyły wielkie kopce słomkowego koloru. Tym razem, w miejsce kwaśno-słodkawej woni uryny, wokół polany rozszedł się duszący odór metanu.

– Piękny widok! – szepnął ktoś tuż za nim.

Richard obejrzał się gwałtownie i zobaczył Eddiego na motocyklu, który energicznie wachlował dłonią powietrze przed twarzą.

– Tyle tu bździn dinozaurów, że lepiej nie używać zapałek, bo cała wyspa mogłaby wylecieć w powietrze...

– Cicho! – syknął ze złością Levine, kręcąc głową.

Ponownie skierował uwagę na parazaurolofy. Ogarnęła go wściekłość, że właśnie w takiej chwili przeszkadza mu ów wulgarny dyletant. Niektóre zwierzęta pochylały nisko głowy i lizały kałuże własnej uryny. Na pewno chcą zapobiec utracie cennych składników – pomyślał Richard. Może odczuwają brak soli albo pewnych hormonów, a może...

Zrobił parę kroków do przodu.

Przecież tak mało wiadomo o tych niezwykłych stworzeniach, rozmyślał. Nie są znane nawet podstawowe dane o ich obyczajach, nikt nie wie, jak się odżywiały, jak wydalały, sypiały czy wykarmiały potomstwo. Otwierał się przed nim cały, nieznany dotąd rozdział biologii dotyczący dawno wymarłych zwierząt. Nawet najprostsze obserwacje mogły dostarczyć nieocenionego materiału dla dziesiątków badaczy. Tyle tylko, że Levine nie żywił złudnych nadziei. Chciał jednak w miarę możliwości poczynić trochę spostrzeżeń, dzięki którym można będzie choć odrobinę zrozumieć tak złożone przecież obyczaje dinozaurów.

Wreszcie parazaurolofy przy wtórze głośnego trąbienia ruszyły ścieżką dalej przez dżunglę. Nie oglądając się, Richard poszedł ich tropem.

– Doktorze Levine – zawołał cicho Eddie. – Proszę wsiadać na motor. Natychmiast!

Richard nie zwrócił na niego uwagi. Ku swemu zdumieniu spostrzegł, że tuż po odejściu olbrzymów na polankę wyskakują z gąszczu małe, zielone dinozaury. Rozpoznał je natychmiast: były to prokompsognaty, niewielkie ścierwojady, których szczątki w 1913 roku w Bawarii odkrył Fraas. Levine przystanął, zafascynowany. Nikt nie znał dobrze tego gatunku, nawet rekonstrukcje były niepewne, gdyż nigdzie na świecie nie znaleziono dotychczas kompletnego szkieletu. Najbardziej znane były opisy Ostroma, lecz i on wyciągał wnioski na podstawie zniszczonych, pokruszonych fragmentów kości. Szkieletom najczęściej brakowało ogonów, przednich łap oraz łbów z szyją. Nic więc dziwnego, że spoglądał teraz ze zdziwieniem na podskakujących, biegających niczym spłoszone kurczęta przedstawicieli

gatunku *Procompsognathus triassicus*. Zwierzęta w pośpiechu zaczęły zjadać odchody parazaurolofów i chłeptać ich urynę. To wprawiło Richarda w skrajne osłupienie. Po raz pierwszy widział, żeby padlinożercy zachowywali się w ten sposób.

Nie był tylko pewien, czy...

Podszedł jeszcze bliżej, żeby dokładnie się przyjrzeć.

– Doktorze Levine! – zawołał ponownie Eddie.

Richarda zaciekawiło to, że prokompsognaty zjadają wyłącznie świeże odchody, nie interesują się starszymi, już wyschniętymi, którymi zasłana była cała polanka. Widocznie te składniki, których potrzebowały zwierzęta, występowały tylko w świeżych odchodach. To pozwalało wnioskować, że chodzi o jakieś białko lub hormony szybko ulegające rozkładowi. Pomyślał, że dobrze by było pobrać próbkę odchodów do analizy. Sięgnął do kieszeni spodni i wyjął plastikową torebkę. Wszedł śmiało między drobne dinozaury, które zdawały się w ogóle nie zwracać na niego uwagi.

Przykucnął przy najbliższej stercie odchodów i powoli wyciągnął rękę.

– Doktorze Levine!

Obejrzał się rozzłoszczony i w tej samej chwili jeden z prokompsognatów ugryzł go w rękę. Drugi skoczył mu na ramię i wbił zęby w jego ucho. Levine krzyknął i poderwał się na nogi. Zwierzęta odskoczyły od niego.

– Jasna cholera! – syknął.

Eddie pospiesznie wyjechał na polankę.

– Dość tego! – oznajmił stanowczo. – Proszę wsiadać na motocykl! Wynosimy się stąd.

GNIAZDO

Czerwony jeep zatrzymał się nagle. Kilkanaście metrów przed samochodem ścieżka, po której cały czas jechali, wychodziła na polanę. Szlak był szeroki, błotnisty, wydeptany przez jakieś olbrzymie i ciężkie zwierzęta. W błocie dało się rozróżnić niewyraźne i rozmyte, lecz głęboko odciśnięte ślady.

Od strony polany dobiegało krótkie, basowe porykiwanie, przypominające głos ogromnej gęsi.

– W porządku – oznajmił Dodgson. – Podajcie mi skrzynkę.

King siedział niczym wmurowany.

– Jaką skrzynkę? – spytał po chwili Baselton.

Nie spuszczając oczu z widocznej z przodu polanki, Lewis odparł:

– Obok ciebie na siedzeniu powinna leżeć czarna skrzynka, a przy niej bateria akumulatorów. Podaj mi ją.

– Rety, jaka ciężka – mruknął biolog.

– To z powodu elektromagnesów.

Dodgson sięgnął przez ramię i chwycił skrzynkę w obudowie z czarnej, oksydowanej stali. Przyrząd miał wielkość pudełka od butów, z którego wychodziła gruba, rozszerzająca się stożkowato tuleja. Pod spodem znajdował się uchwyt pistoletowy. Lewis przypiął baterię do pasa i wetknął wtyczkę w gniazdko na obudowie czarnej skrzynki, po czym uniósł aparat i zacisnął palce na uchwycie. Na tylnej ściance, nad gniazdkiem zasilania, były umieszczone wyłącznik oraz pokrętło ze skalą.

– Naładowałeś akumulatory? – zwrócił się do Kinga.

– Naładowałem – burknął asystent.

– W porządku. Pójdę pierwszy, zbliżę się do gniazda, a potem dostroję generator i wypłoszę zwierzęta. Wy obaj trzymajcie się za mną. Jak tylko uciekną, zabierzcie jaja z gniazda i czym prędzej załadujcie je do samochodu. Jak tylko wrócę, pojedziemy dalej. Jasne?

– Oczywiście – odparł Baselton.

– Jasne – mruknął King. – Jakie dinozaury mają tu gniazdo?

– Skąd mam to wiedzieć, do cholery? Przecież to i tak żadna różnica. Najważniejsze, żeby każdy z nas zrobił swoje.

Dodgson po cichu otworzył drzwi samochodu. Cała trójka wysiadła i zaczęła się skradać błotnistą ścieżką w stronę polany. Z trudem utrzymywali równowagę na mokrym podłożu. Dolatywały ich wciąż takie same, niezdradzające oznak niepokoju głosy zwierząt. Ale Dodgson zyskał pewność, że gniazda pilnuje kilka dorosłych osobników.

Dotarł wreszcie na skraj polany, rozsunął liście paproci i ostrożnie wyjrzał na otwartą przestrzeń.

Znajdowało się tu rozległe gniazdowisko, Lewis pospiesznie naliczył pięć niewysokich, podłużnych wzgórków przysypanych trawą. Każdy z nich miał około dwóch i pół metra długości oraz metr szerokości. Między nimi krążyło ze dwadzieścia wielkich dinozaurów o beżowej skórze. Były naprawdę olbrzymie, miały ponad trzy metry wysokości i jakieś dziesięć metrów długości. Wszystkie monotonnie porykiwały i parskały.

– Mój Boże... – szepnął Baselton, patrząc na nie rozszerzonymi

ze zdumienia oczyma.

Dodgson energicznie pokiwał głową.

– To majazaury – wyjaśnił szeptem. – Powinno nam pójść jak po maśle.

Nazwę dla tych zwierząt wymyślił paleontolog Jack Horner. Panowało wówczas powszechne przekonanie, że dinozaury pozostawiały swoje jaja, jak czyni to większość gadów. Taki pogląd doskonale pasował do wizji zimnokrwistych, odpychających stworzeń, mających jakoby być samotnikami. W żadnym muzeum historii naturalnej na świecie nie spotka się rekonstrukcji przedstawiających grupy bądź całe stada zwierząt. Zwykle prezentuje się model samotnego brontozaura, pojedynczego stegozaura czy triceratopsa, najczęściej w otoczeniu bagiennej roślinności. Lecz prowadzone przez Hornera wykopaliska na preriach Montany wykazały niezbicie, że przynajmniej jeden z gatunków hadrozaurów zakładał grupowe gniazdowiska i zapewne stadnie opiekował się potomstwem. Paleontolog postanowił uczcić swoje przełomowe odkrycie, nazywając z łaciny owe niezwykłe zwierzęta „troskliwymi jaszczurami".

Spoglądając na nie teraz, Dodgson pomyślał, że są to rzeczywiście troskliwi opiekunowie. Giganty ostrożnie krążyły po całej polanie, uważając, by nie nadepnąć na któryś kopiec. Beżowy kolor skóry nadawał im łagodny wygląd, podobnie jak szerokie i silnie spłaszczone pyski przypominające kacze dzioby.

Zwierzęta skubały gęstą trawę i rzucały ją na kopce, w których były zakopane jaja. Regulowały w ten sposób temperaturę, ponieważ nie mogły wysiadywać jaj ze względu na swój ciężar. Toteż po złożeniu jaj okrywały je szczelnie trawą, chcąc zapewnić embrionom odpowiednią ilość ciepła do rozwoju. Bez przerwy krążyły wokół kopców, gęgały basem i okrywały jaja trawą.

– Są ogromne – szepnął Baselton.

– I dlatego powinny mieć usposobienie przerośniętych krów – odparł Dodgson. Bardzo liczył na to, że tak gigantyczne zwierzęta roślinożerne okażą się głupie i potulne. – Jesteście gotowi? Ruszamy.

Uniósł aparat niczym pistolet i śmiało wyszedł na otwartą przestrzeń.

Spodziewał się jakiejś gwałtownej reakcji ze strony majazaurów, ale te prawie nie zwróciły na niego uwagi, jakby w ogóle go nie dostrzegły. Tylko dwa dorosłe osobniki obróciły głowy w jego kierunku, popatrzyły swymi mętnymi ślepiami, po czym spokojnie podreptały dalej. Nadal obojętnie zrywały kępy trawy i rzucały ją na kopce, choć z bliska między źdźbłami można było dostrzec jaja – kredowobiałe, okrągłe, mające ponad pół metra średnicy, czyli dwukrotnie większe od jaj strusich, przypominające rozmiarem piłki plażowe. W najbliższym kopcu nie wykluło się jeszcze żadne pisklę.

King oraz Baselton także wyszli spomiędzy drzew i stanęli na skraju polany. Majazaury nadal nie zdradzały niepokoju.

– Zdumiewające – rzekł Baselton.

– Tym lepiej dla nas – ocenił Dodgson, włączając przyrząd.

Z tuby popłynął ogłuszający, drażniący pisk. Zwierzęta jak na komendę obróciły głowy w kierunku źródła dźwięku, wyciągały szyje i porykiwały trochę głośniej. Sprawiały wrażenie bardziej zdezorientowanych i zdumionych niż przestraszonych. Dodgson obrócił pokrętłem, pisk stał się wyższy, przenikliwy, świdrujący w uszach.

Majazaury zaczęły przekrzywiać łby i cofać się tyłem, jakby ów dźwięk nie tyle je drażnił, co sprawiał ból. Zbiły się w ciasną gromadkę w przeciwległym końcu polany. Kilka zwierząt zaczęło sikać, chyba ze strachu. Po chwili niektóre pogalopowały w dżunglę, zostawiając gniazdo na łaskę losu. Ale większość pozostała, jak gdyby w osłupieniu.

– Teraz! – zawołał Dodgson.

King śmiało podszedł do najbliższego kopca, przykucnął i aż stęknął z wysiłku, podnosząc jedno jajo. Ledwie mógł je objąć rękoma. Majazaury zaczęły głośniej porykiwać, nie miały jednak odwagi wkroczyć na polanę. Baselton także podszedł do kopca, wziął drugie jajo i ostrożnie poniósł je za Kingiem do samochodu.

Dodgson wycofał się tyłem do linii drzew, bez przerwy mierząc tubą aparatu w kierunku zwierząt. Dopiero tutaj wyłączył generator.

Majazaury natychmiast wróciły na środek polany, rycząc z podniecenia. Szybko się jednak uspokajały, jakby od razu zapominając o tym, co się wydarzyło. Już po kilku sekundach podjęły swą monotonną wędrówkę. Spokojnie gęgając, znów zaczęły zrywać trawę i rzucać ją na kopce. Nie zwracały najmniejszej uwagi na Dodgsona, który śmiało wyszedł na ścieżkę.

Głupie krowy – pomyślał, idąc z powrotem do samochodu. Baselton i King układali jeszcze jaja w wielkich styropianowych pojemnikach poustawianych za tylnym siedzeniem. Mościli je ostrożnie i zabezpieczali

przed wstrząsami za pomocą styropianowych wytłoczyn. Obaj uśmiechali się od ucha do ucha.

– To było niesamowite!

– Cudowne! Wspaniałe!

– A nie mówiłem? – odezwał się Dodgson. – Jak po maśle. – Spojrzał na zegarek. – W tym tempie skończymy wcześniej niż za cztery godziny.

Wsunął się za kierownicę i uruchomił silnik. Baselton pospiesznie zajął miejsce z tyłu. Po chwili King także usiadł w fotelu i sięgnął po mapę.

– Następne gniazdo – oznajmił uradowany Dodgson.

AMBONA

– Mówię ci, że nic się nie stało – burknął poirytowany Levine. Pod nagrzanym aluminiowym dachem stanowiska obserwacyjnego było tak gorąco, że kropelki potu spływały mu z czoła. – Zobacz, że nawet nie rozcięły mi skóry.

Wyciągnął rękę. Na przedramieniu widać było ułożone półokręgiem zaczerwienione ślady po zębach prokompsognata, ale faktycznie skóra nie została przecięta.

– Może i tak, ale twoje ucho trochę krwawi – rzekł Eddie.

– Nic nie czuję, więc nie mogły mnie silnie skaleczyć.

– To powierzchowne zadrapanie – przyznał Carr, otwierając apteczkę – ale trzeba je zdezynfekować.

– Wolałbym kontynuować obserwacje – burknął Richard.

Stado dinozaurów znajdowało się jakieś pół kilometra od wieży, doskonale było je stąd widać. W nieruchomym powietrzu dolatywały tutaj nawet świszczące odgłosy ich oddechów.

Świst był słyszalny z odległości pół kilometra!

W każdym razie Levine'owi zdawało się, że go słyszy. Tylko Eddie mu strasznie przeszkadzał.

– Posłuchaj, naprawdę wiem, co robię. Nie pozwoliłeś mi przeprowadzić do końca nadzwyczaj ciekawego i zdumiewającego eksperymentu. To ja przywołałem dinozaury zza rzeki, naśladując ich głos.

– Przywołałeś je?

– Owszem. Usłyszawszy ten zew, przemaszerowały przez dolinę

i zagłębiły się w dżunglę. Twoja pomoc nie była mi do niczego potrzebna, jedynie...

– Teraz jednak – przerwał mu Eddie – muszę ściągnąć to łajno z twojego ucha i obejrzeć dokładnie skaleczenia. Koniecznie trzeba zdezynfekować ranę. – Schylił się i zwilżył wacik środkiem odkażającym. – Może trochę piec.

– Nic mnie to nie obchodzi, muszę jeszcze... Au...

– Przestań się wiercić – ofuknął go Eddie. – To potrwa tylko chwilę.

– Całkiem niepotrzebnie...

– Jeśli wytrwasz jeszcze sekundę, to zaraz dam ci spokój. Zobacz.

Eddie pokazał mu wacik, na którym widoczne były brązowawe plamy i czerwone smugi krwi. Richard wzruszył ramionami: tak jak się spodziewał, skaleczenie było niegroźne. Pomacał ucho palcami. W ogóle nie bolało.

Podczas gdy Eddie pakował z powrotem rzeczy do apteczki, Levine zapatrzył się w głąb doliny.

– Piekielnie tu gorąco – mruknął Carr.

– To prawda. – Richard ponownie wzruszył ramionami.

– Przypłynęła Sara Harding. Malcolm i Thorne pojechali po nią. Nie chcesz wrócić do furgonu?

– A niby po co?

– No, wiesz... Myślałem, że chciałbyś się przywitać i w ogóle...

– Mam pilną pracę – burknął Richard, po czym odwrócił się szybko i sięgnął po lornetkę.

– Aha. Więc nie chcesz na razie wracać?

– Ani mi to w głowie – odparł Levine, nie odrywając lornetki od oczu. – Mógłbym tu siedzieć choćby i milion lat. A może nawet sześćdziesiąt pięć milionów lat.

FURGON

Kelly Curtis z napięciem wsłuchiwała się w szum wody lecącej z prysznica. Ciągle nie mogła w to uwierzyć. Spoglądała na zabłocone ubrania ciśnięte na podłogę obok koi, na brudnozielone szorty oraz koszulę z krótkimi rękawami w kolorze khaki i powtarzała w myślach: To naprawdę ubranie Sary Harding.

Niemalże mimo woli wyciągnęła rękę w stronę zniszczonej koszuli.

Zwróciła uwagę, że guziki są doszywane, różnią się trochę wielkością. Obok kieszonki na piersi widniały ciemniejsze zacieki, jak gdyby niedoprane stare plamy z krwi. Dotknęła palcami materiału...

– Kelly?

Sara wołała ją z wnętrza kabiny!

Pamiętała nawet jej imię!

– Słucham – odkrzyknęła dziewczyna, starając się opanować nerwowe drżenie głosu.

– Nie ma tam gdzieś szamponu?

– Zaraz poszukam, doktor Harding.

Kelly zaczęła w pośpiechu wyciągać szuflady. Wszyscy mężczyźni siedzieli w sąsiednim przedziale pojazdu, ona została sama z Sarą w części mieszkalnej. Z trzaskiem otwierała drzwiczki szafek.

– Nie szukaj – zawołała Sara. – Umyję włosy mydłem.

– Powinien gdzieś być...

– A może jest jakiś płyn do mycia naczyń?

Kelly przypomniała sobie dużą zieloną butlę, którą widziała przy zlewie.

– Tak, jest, doktor Harding, ale...

– Przynieś mi go. To także detergent, będzie lepszy od mydła.

Zza zasłonki oddzielającej kabinę prysznicową wysunęła się ręka i Kelly szybko podała kobiecie butelkę z płynem do mycia naczyń.

– Na imię mam Sara.

– Tak, wiem, doktor Harding.

– Sara.

– Dobrze... Saro.

A więc doktor Harding była zwykłym człowiekiem, całkiem normalnym, sympatycznym...

Ciągle oszołomiona dziewczyna usiadła na taborecie przy kuchence i nerwowo szurając nogami, spoglądała w stronę kabiny, na wypadek gdyby doktor Harding... Sara czegoś jeszcze potrzebowała. Wsłuchiwała się w nuconą przez kobietę piosenkę pod tytułem „Muszę zmyć tego mężczyznę ze swej głowy". Po kilku minutach szum wody ustał, a zza zasłonki wysunęła się ręka i zdjęła ręcznik z wieszaka. Wreszcie Sara wyszła spod prysznica, owinięta ręcznikiem.

Przeciągnęła palcami po swych krótko przyciętych włosach, jakby wcale nie zamierzała ich rozczesywać, po czym mruknęła:

– Wreszcie czuję się jak człowiek. To prawdziwe cudeńko, a nie wóz terenowy. Doc odwalił kawał dobrej roboty.

– To prawda – odparła Kelly. – Bardzo tu przyjemnie.

Sara uśmiechnęła się do niej.

– Ile masz lat?

– Trzynaście.

– To pewnie chodzisz już do ósmej klasy.

– Do siódmej.

– Aha, do siódmej.

Harding zamyśliła się na krótko.

– Doktor Malcolm przygotował dla pani ubrania na zmianę. Powiedział, że powinny pasować. – Kelly wskazała leżące na koi męskie szorty i bawełnianą koszulkę.

– Czyje to rzeczy?

– Chyba Eddiego.

Sara sięgnęła po koszulkę i rozciągnęła ją w rękach.

– Trochę za duża.

Wzięła ubrania i wsunęła się we wnękę za koją, żeby tam się przebrać.

– Co masz zamiar robić po skończeniu szkoły? – zapytała.

– Jeszcze nie wiem.

– To bardzo dobra odpowiedź.

– Naprawdę?

Kelly przypomniała sobie, że matka już kilkakrotnie wspominała jej, że po skończeniu szkoły powinna podjąć jakąś dorywczą pracę i dopiero wtedy się zastanowić, co chce dalej robić w życiu.

– Owszem. Żaden inteligentny człowiek nie powinien podejmować tak ważnej decyzji, dopóki nie spoważnieje w wieku dwudziestu kilku czy nawet trzydziestu lat.

– Rozumiem.

– A co chciałabyś studiować?

– Mówiąc szczerze... lubię matematykę – odparła niepewnie dziewczyna.

Harding musiała wyczuć wahanie w jej głosie, gdyż zapytała:

– I co? Nie podobają ci się studia matematyczne?

– Chodzi o to, że dziewczyny nie są w tym najlepsze. Wie pani, jak to jest.

– Nie, nie wiem.

Kelly ogarnęło przerażenie. Sądziła, że między nią a Sarą zawiązuje się nić przyjaźni, lecz teraz czuła się tak, jakby udzieliła złej odpowiedzi na lekcji bardzo wymagającego nauczyciela. Postanowiła zamilknąć.

Po chwili Harding wyszła z wnęki i usiadła na koi, żeby założyć buty. Wcale nie sprawiała wrażenia zdegustowanej.

– Dlaczego twierdzisz, że dziewczęta nie mają zdolności do matematyki?

– Cóż… Tak wszyscy mówią…

– Wszyscy? To znaczy kto?

– Moi nauczyciele.

Sara westchnęła ciężko.

– Ładne rzeczy. – Pokręciła głową. – Twoi nauczyciele…

– Poza tym w szkole przezywają mnie „mózgowcem” – wyrwało się Kelly. – Wygadują różne bzdury… Wie pani…

Zamilkła nagle. Sama nie mogła uwierzyć, że wyznała to nie komu innemu, tylko Sarze Harding, którą dotychczas znała jedynie z publikacji i zdjęć. Speszyło ją, że kobieta tak bezceremonialnie zaczęła ją pytać o sprawy osobiste.

Harding uśmiechnęła się przyjaźnie.

– No cóż, jeśli tak cię przezywają, to musisz być naprawdę dobra z matematyki, zgadza się?

– Chyba tak.

– To wspaniale, Kelly.

– Ale chłopcy nie lubią dziewcząt, które mają zdolności do matematyki.

Sara zmarszczyła czoło.

– Nie przesadzasz?

– Wszyscy tak mówią…

– Kto?

– Na przykład moja mama.

– Ach, tak. Twoja mama z pewnością dobrze wie, co mówi.

– Nie jestem pewna – odparła cicho Kelly. – Jeśli mam być szczera, to uważam, że moja mama umawia się z samymi półgłówkami.

– Sądzisz zatem, że może się mylić?

Sara schyliła się szybko, żeby zawiązać sznurówki.

– Chyba tak.

– Z własnego doświadczenia mogę ci powiedzieć, że niektórzy mężczyźni lubią inteligentne kobiety, inni zaś nie. To kwestia gustu. Ze wszystkim jest tak samo. – Harding wstała z koi. – Słyszałaś o George’u Schallerze?

– Jasne. Badał zwyczaje pand.

– Zgadza się. A wcześniej obserwował pantery śnieżne, lwy i goryle. Jest obecnie chyba największym specjalistą w dziedzinie etologii. Czy wiesz, w jaki sposób pracuje?

Kelly pokręciła przecząco głową.

– Przed wyruszeniem w teren czyta wszelkie dostępne materiały na temat gatunku, który chce obserwować, poczynając od artykułów popularnonaukowych, a kończąc na specjalistycznych opracowaniach. Dopiero

wtedy rozpoczyna prace w terenie. I wiesz, do jakich wniosków zazwyczaj dochodzi?

Dziewczyna znowu pokręciła głową, jak gdyby się bała odezwać.

– Że niemal wszystko, co do tej pory napisano o obyczajach danego zwierzęcia, jest błędne. George rozpoczął obserwacje goryli górskich dziesięć lat wcześniej, niż uczyniła to Dian Fossey. Szybko się przekonał, że obiegowe poglądy na temat zwyczajów tych zwierząt oparte są na nieporozumieniach, plotkach, a nawet czystych wymysłach. Nie wiem, czy wiesz, że w powszechnym mniemaniu nie wolno zabierać kobiet w pobliże siedlisk goryli, ponieważ mogą zostać zgwałcone. Nic bardziej mylnego. To zwyczajna bzdura.

Harding zrobiła parę kroków w jedną i w drugą stronę, wypróbowując nowe buty.

– Wydaje mi się, Kelly, że mimo młodego wieku powinnaś o jednym pamiętać. Otóż przez całe życie ludzie będą ci mówili różne rzeczy. Ale większość z nich, może nawet dziewięćdziesiąt pięć procent, to zwyczajne bzdury.

Kelly siedziała w milczeniu, speszona takim wyznaniem.

– To szczera prawda – ciągnęła Sara. – Ludzie zazwyczaj są w wielu sprawach źle poinformowani. Dlatego trudno rozstrzygnąć, komu można ufać. Dobrze wiem, co czujesz.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Moja matka ciągle mi powtarzała, że nic nie umiem i do niczego się nie nadaję. – Harding uśmiechnęła się smutno. – Później słyszałam to samo od wykładowców na uczelni.

– Niemożliwe – szepnęła zdumiona dziewczyna.

– Niestety, to prawda. Jeśli mam być szczera...

Z sąsiedniego przedziału doleciały nagle okrzyki rozwścieczonego Malcolma:

– Nie! Co za skończeni idioci! Wszystko zniszczą!

Sara odwróciła się szybko i wybiegła z części mieszkalnej. Kelly także skoczyła na nogi i ruszyła za nią.

Mężczyźni pochylali się nad ekranem monitora. Wszyscy mówili naraz, byli wyraźnie podekscytowani. Malcolm wykrzykiwał ze złością:

– To straszne! Po prostu straszne!

– Jadą jeepem? – zapytał Thorne.

– Zgadza się, mieli na pokładzie czerwonego jeepa – wtrąciła Harding, zerkając ponad ich głowami.

– A więc to Dodgson! – wycedził Malcolm. – Niech go szlag trafi!

– Co on tam robi?

– Nietrudno się domyślić.

Kelly przecisnęła się między nimi i spojrzała na monitor, na którym widać było jedynie zwartą powłokę listowia. Dostrzegła jednak między gałęziami poruszający się czerwono-czarny pojazd.

– Gdzie oni teraz są? – Malcolm zwrócił się do Arby'ego.

– Chyba we wschodniej części doliny – odparł chłopak siedzący przed klawiaturą komputera. – Niedaleko od tego miejsca, gdzie po raz pierwszy ujrzeliśmy doktora Levine'a.

W krótkofalówce zatrzeszczało i z głośnika rozległo się pytanie Richarda:

– Chcecie powiedzieć, że jeszcze ktoś inny zjawił się na wyspie?

– Tak.

– To może lepiej spróbujcie ich powstrzymać, zanim narobią nam kłopotów.

– Właśnie to zamierzałem zrobić. Nie chcesz pojechać z nami?

– Nie, chyba że będę wam naprawdę potrzebny. Powiadomcie mnie przez radio, gdyby coś się wydarzyło.

Głośny trzask oznajmił, że Levine wyłączył krótkofalówkę. Sara z napięciem wpatrywała się w ekran, obserwując czerwonego jeepa.

– To oni, nie ma najmniejszych wątpliwości. Zjawił się twój przyjaciel Dodgson.

– To nie jest mój przyjaciel – syknął urażony Malcolm. Wyprostował się szybko i po jego twarzy przemknął skurcz bólu w niesprawnej nodze. – Jedziemy. Trzeba za wszelką cenę powstrzymać tych łobuzów. Nie mamy czasu do stracenia.

GNIAZDO

Czerwony jeep zwolnił i po chwili zatrzymał się na końcu ścieżki. Przed samochodem wyrastała zwarta ściana dżungli, ale między drzewami prześwitywało słońce, kilkanaście metrów dalej musiała się znajdować polana.

Dodgson siedział w milczeniu, nasłuchując uważnie. King obrócił się w jego stronę, jakby chciał coś powiedzieć, lecz szef powstrzymał go uniesioną dłonią.

Dopiero po jakimś czasie dotarło do nich ciche powarkiwanie przypominające mruczenie rozleniwionego, olbrzymiego kota. Dobiegało właśnie z polanki za drzewami. Wkrótce poczuli też ledwie zauważalne drżenie ziemi, które zapewne uszłoby ich uwagi, gdyby nie zadzwoniły kluczyki w stacyjce auta. W tej samej chwili Dodgson uzmysłowił sobie, że zwierzę idzie w ich kierunku.

A musiało być ogromne.

Zerknął w bok, na Kinga, który z rozdziawionymi ustami gapił się przez przednią szybę. Spojrzał też na Baseltona. Profesor kurczowo zaciskał palce na poręczy siedzenia i w napięciu wsłuchiwał się w dobiegające z zewnątrz odgłosy.

Po chwili na rosnące dookoła samochodu wielkie paprocie padł cień. Sądząc po jego rozmiarach, zwierzę miało jakieś osiem metrów wysokości i trzynaście metrów długości. Poruszało się na tylnych łapach i było niezwykle mocno zbudowane, miało charakterystyczną krótką szyję i olbrzymi łeb.

To musiał być tyranozaur.

Dodgson zmarszczył brwi, spoglądając na ten gigantyczny cień. Serce podeszło mu do gardła. Nie zamierzał jednak rezygnować, miał bowiem nadzieję, że pisk z generatora podziała odstraszająco również na drapieżniki.

– Dobra, bierzemy się do roboty. Podajcie mi skrzynkę.

Jak poprzednio, Baselton podniósł aparat z tylnego siedzenia.

– Akumulatory naładowane?

– Tak, naładowane – odparł King.

– W porządku, idziemy – oznajmił Dodgson. – Postępujemy w ten sam sposób. Wychodzę pierwszy, a wy za mną. Bierzecie jaja i przynosicie je do samochodu. Gotowi?

– Tak – rzekł ochoczo Baselton.

King milczał, z wyraźnym strachem zerkał na cień za szybą.

– Co to za gatunek?

– Tyranozaur.

– Matko Boska...

– Tyranozaur? – zdziwił się profesor.

– To nie ma większego znaczenia – syknął poirytowany Dodgson. – Po prostu róbcie swoje, tak jak poprzednio. Gotowi?

– Jedną chwilę – mruknął Baselton.

– A jeśli to nie zadziała? – spytał King.

– Już się przekonaliśmy, że działa.

– Czytałem ostatnio artykuł dotyczący najnowszych badań nad tyranozaurami – rzekł profesor. – Otóż pewien paleontolog nazwiskiem Roxton, po przeanalizowaniu wielkości i kształtu czaszki tego zwierzęcia, doszedł do wniosku, że mózg tyranozaura musiał być bardzo zbliżony budową do mózgu żaby, choć oczywiście znacznie większy. Ale wynika stąd, że system nerwowy tych olbrzymów był nastawiony wyłącznie na postrzeganie ruchu, obiekty nieruchome były prawdopodobnie w ogóle niezauważane przez tyranozaury.

– Jesteś tego pewien? – zapytał King.

– Powtarzam tylko to, co przeczytałem. Lecz ten wniosek wydaje się logiczny. Nie zapominajmy, że dinozaury, mimo swych imponujących rozmiarów, to dość prymitywne zwierzęta. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby tyranozaur rzeczywiście miał inteligencję żaby.

– I tak nie jestem przekonany, że powinniśmy się zbliżać do tego gniazda – mruknął nerwowo King, bez przerwy spoglądając na teren przed samochodem. – Ten drapieżnik jest znacznie większy od innych gatunków dinozaurów.

– I co z tego? – rzekł ostro Dodgson. – Słyszałeś, co George powiedział? To tylko nadzwyczaj przerośnięta żaba. No już! Wyskakuj z wozu! Tylko nie trzaskaj drzwiami.

George Baselton poczuł się znowu w swoim żywiole, mogąc zacytować dane ze specjalistycznej publikacji. W tym gronie był autorytetem, wielką przyjemność sprawiało mu udzielanie informacji, której tamci potrzebowali. Ale już parę sekund później, kiedy ruszył w kierunku gniazda dinozaurów, odkrył ze zdumieniem, że nogi się pod nim uginają i kolana zaczynają drżeć. Dotychczas uważał, że taka reakcja to tylko tani chwyt stosowany w literaturze, tym bardziej więc ogarnęło go przerażenie, gdy stwierdził u siebie podobne objawy strachu. Przygryzł wargi i próbował się opanować, powtarzał w myślach, że nie wolno mu okazać lęku. Ktoś taki jak on powinien być zawsze panem sytuacji.

Dodgson skradał się przodem, trzymając przed sobą generator niczym pistolet. Baselton zerknął na Kinga, który był blady jak ściana i pocił się obficie. Sprawiał wrażenie śmiertelnie przerażonego. Profesor uniósł wyżej głowę, chcąc pokazać, że on niczego się nie boi.

Dodgson zerknął przez ramię i dał im znak, żeby zachowali dystans. Powiódł uważnym spojrzeniem po twarzach obu współpracowników, po czym wyszedł śmiało spomiędzy drzew na polanę.

Dopiero teraz Baselton spostrzegł tyranozaura, a po chwili zauważył drugiego. Zwierzęta stały po obu stronach utworzonego z błota gniazda, miały po siedem metrów wysokości. Były potężne, rdzawoczerwone, o gigantycznych, przerażających paszczach. Podobnie jak majazaury przez chwilę patrzyły spokojnie na intruza, przewracając mętnymi ślepiami, jakby zdumione widokiem człowieka. Wreszcie oba zaryczały z wściekłością. Wydawało się, że od tego ryku aż zatrzęsły się okoliczne drzewa.

Dodgson uniósł wyżej generator, nakierowując go na dinozaury. Całą polanę wypełnił przenikliwy, ogłuszający pisk aparatu.

Tyranozaury zaryczały jeszcze głośniej, pochyliły głowy, wyciągając szyje, i zaczęły kłapać paszczami, szykując się do ataku. Widocznie dźwięk z generatora na nie w ogóle nie działał. Po chwili ruszyły wokół gniazda w kierunku Dodgsona. Ziemia drżała od ich ciężkich stąpnięć.

– O kurwa... – syknął King.

Ale Dodgson nawet nie drgnął, spokojnie zaczął obracać pokrętłem przyrządu. Baselton zakrył uszy dłońmi. Pisk stawał się nie do wytrzymania, był świdrujący, niemalże rozsadzał czaszkę. Ale przyniósł natychmiastowy efekt: tyranozaury cofnęły się w popłochu, widocznie ten dźwięk sprawiał im ból. Jeszcze niżej pochyliły głowy i mrugały szybko, zdezorientowane. Powietrze nad polanką zdawało się wibrować od ogłuszającego pisku. Raz i drugi zaryczały, ale już znacznie słabiej, bez przekonania. Po chwili z wnętrza gniazda doleciał skrzekliwy, przejmujący wrzask.

Dodgson zrobił parę kroków do przodu, bez przerwy nakierowując tuleję generatora na zwierzęta. Tyranozaury wycofywały się z polanki, zerkając niepewnie to na człowieka, to na gniazdo. Teraz zaczęły energicznie potrząsać łbami, jakby chciały w ten sposób uwolnić się od bolesnego dźwięku. Na ten widok Lewis jeszcze zwiększył częstotliwość, pisk stał się nie do zniesienia nawet dla ludzi.

Kiedy Dodgson stanął przy krawędzi misy uformowanej z zaschniętego błota, Baselton i King wyszli na polanę. Profesor z ciekawością zajrzał do gniazda, w którym leżały cztery wielkie, nakrapiane jaja, a między nimi krążyły dwa małe dinozaury, przypominające z daleka olbrzymie, zielone indyki. W każdym razie nie ulegało wątpliwości, że są w jakiś sposób spokrewnione z ptakami.

Oba tyranozaury trzymały się na skraju polany, były przerażone ogłuszającym piskiem. Tak samo jak majazaury zaczęły sikać ze strachu.

Nerwowo przestępowały z nogi na nogę, lecz nie miały odwagi podejść bliżej.

Przekrzykując rozrywający bębenki hałas, Dodgson zawołał:

– Bierzcie jaja!

King pierwszy wdrapał się do gniazda i objął rękoma najbliższe jajo. Uniósł je roztrzęsionymi rękoma i o mało nie upuścił na ziemię. Zaczął się gramolić z powrotem przez krawędź misy. W pewnej chwili nieostrożnie nadepnął jednemu z piskląt na łapę. Rozległ się przerażający głośny wrzask małego dinozaura.

Słysząc ten okrzyk bólu, oba dorosłe osobniki ruszyły nieco do przodu. King pospiesznie zsunął się na ziemię i pochylony dał nura między drzewa. Baselton obejrzał się za nim.

– George! – zawołał Dodgson, mierząc tubą generatora w tyranozaury. – Bierz drugie jajo!

Baselton zerknął w przeciwległy koniec polany, gdzie rozwścieczone tyranozaury bezsilnie kłapały paszczami. Doszedł do przekonania, że mimo odstraszającego je pisku zwierzęta już nikomu więcej nie pozwolą wśliznąć się do swego gniazda. King miał szczęście, lecz jemu ono nigdy nie dopisywało. Wyczuwał to podświadomie...

– George! Pospiesz się!

– Ja... nie mogę – wymamrotał Baselton.

– Ty cholerny kretynie!

Trzymając generator wysoko przed sobą, Dodgson sam zaczął się wdrapywać na krawędź misy. Ale kiedy zrobił półobrót i podniósł nogę, z gniazdka wysunął się kabel zasilający, który łączył aparat z akumulatorami przyczepionymi do jego pasa.

Ogłuszający pisk nagle ustał.

Nad polaną zapadła martwa cisza.

Baselton jęknął rozpaczliwie.

Tyranozaury po raz ostatni potrząsnęły łbami i znów zaryczały przeraźliwie.

Dodgson zastygł bez ruchu, kierując się wcześniejszymi radami profesora. Ten również zamarł, choć wiele wysiłku kosztowało go opanowanie przemożnej chęci natychmiastowego rzucenia się do ucieczki. Jakimś cudem zdołał nawet opanować drżenie kolan i wstrzymał oddech.

Obaj mężczyźni czekali na reakcję zwierząt.

W przeciwnym końcu polany oba tyranozaury zrobiły pierwszy, jeszcze niezbyt pewny krok w ich stronę.

– Co oni wyczyniają? – zawołał Arby. Siedział przed komputerem, pochylając się tak nisko, że niemal dotykał nosem ekranu monitora. – Powariowali czy co? Po prostu stoją, jakby nigdy nic.

Spoglądająca ponad jego ramieniem Kelly zachowywała pełne napięcia milczenie.

– Teraz też byś chciała się znaleźć w pobliżu gniazda, Kel? – zapytał chłopak.

– Zamknij się.

– Wcale nie zwariowali – zakomunikował przez radio Malcolm, który z takim samym napięciem obserwował widok na monitorze w desce rozdzielczej explorera.

Po raz drugi jechali wydeptaną przez zwierzęta ścieżką, prowadzącą ku wschodnim krańcom doliny. Thorne siedział za kierownicą, Sara i Malcolm zajmowali miejsca z tyłu.

– Powinien czym prędzej uruchomić ponownie generator – odezwała się Harding. – Czyżby zamierzali stać tam w nieskończoność?

– Chyba tak – odparł matematyk.

– Ale dlaczego?

– Ponieważ zostali źle poinformowani.

DODGSON

Lewis w napięciu wpatrywał się w nadchodzącego tyranozaura. Jeden z dorosłych osobników pozostał na skraju polany, natomiast drugi olbrzym zbliżał się z zadziwiającą ostrożnością. Niepewnie stawiał łapy i co chwila porykiwał groźnie, jak gdyby zdumiony tym, że ludzie nie uciekają przed nim w popłochu. Albo – co bardziej prawdopodobne – po prostu ich nie widział.

Zapewne i on, i Baselton zniknęli z pola widzenia drapieżnika.

Drugi przesuwał się powoli w bok, zamierzając widocznie bronić gniazda z przeciwnej strony. Przekrzywiał łeb i machał nim w górę i w dół, wyraźnie zaniepokojony.

Ale żaden z tyranozaurów nie przystępował jeszcze do ataku.

Niemniej porykiwania zwierząt były przerażające, mroziły krew w żyłach. Dodgson nie miał nawet odwagi zerknąć na Baseltona, który stał zaledwie kilka metrów za jego plecami i pewnie robił w gacie ze strachu. Ale mimo wszystko nie uciekał w panice, rozmyślał Lewis. Gdyby rzucił się do ucieczki, byłby już martwy. Należało koniecznie wytrwać w bezruchu, to jedyna szansa na uratowanie skóry.

Stojąc w niewygodnej pozycji, z obolałymi mięśniami, Dodgson powolutku przybliżył generator do piersi i bardzo ostrożnie opuścił rękę, chcąc wymacać zwisający przewód zasilania. Odnosił wrażenie, że trwa to nieskończenie długo. Palce miał dziwnie zesztywniałe. Zamierzał – kiedy tylko namaca wtyczkę – błyskawicznie wsunąć ją w gniazdko na obudowie przyrządu.

Nie starczało mu jednak odwagi, by choć na moment spuścić wzrok ze zbliżającego się tyranozaura. Czuł dygotanie ziemi przy każdym kroku olbrzyma. Wciąż słyszał przejmujące wrzaski pisklęcia, któremu King nadepnął na łapę. To właśnie te krzyki wprawiały w zaniepokojenie dorosłe dinozaury.

Ale teraz to nie miało już żadnego znaczenia. Trzeba było jak najszybciej ponownie uruchomić generator. Jeszcze chwila...

Tyranozaur był już bardzo blisko. Dodgson czuł odrażający smród, jaki bił od drapieżnika. Zwierzę ryknęło mu prosto w twarz, owionął go fetor padliny. Po chwili dinozaur obrócił łeb w kierunku Baseltona. Lewis błyskawicznie odwrócił głowę.

Profesor nadal stał jak skamieniały. Tyranozaur podszedł bliżej i nisko pochylił olbrzymi łeb. Parsknął na człowieka. Podniósł głowę i przekrzywił ją, jak gdyby bezgranicznie zdumiony.

On naprawdę nie może dojrzeć George'a – pomyślał z ulgą Dodgson.

Gigant ryknął jeszcze głośniej, lecz Baselton uparcie stał w miejscu. Tyranozaur ponownie schylił łeb i ostrzegawczo kłapnął paszczą. Profesor usilnie wpatrywał się przed siebie, usiłował nawet nie mrugać powiekami. Rozszerzając wielkie chrapy, zwierzę po raz kolejny obwąchało człowieka i ponownie parsknęło, aż pęd powietrza załopotał nogawkami spodni Baseltona.

Całkiem niespodziewanie tyranozaur trącił profesora czubkiem pyska.

Dopiero teraz Dodgson uprzytomnił sobie, że wbrew pozorom zwierzę musi widzieć człowieka. Zaraz po tym drapieżnik odchylił łeb w bok i silnie uderzył Baseltona w ramię, aż ten zwalił się na ziemię. Kiedy zaś olbrzymia tylna łapa spoczęła na piersi profesora, przyciskając go do ziemi, ten wrzasnął z przerażenia. Uniósł ręce i zawołał:

– Ty sukinsynu!

W tej samej chwili gigantyczny łeb znowu się pochylił, błysnęły ostre zęby w rozwartej paszczy. Ten ruch był powolny, płynny, niemalże delikatny. Ale gdy paszcza się zamknęła, tyranozaur gwałtownym szarpnięciem poderwał głowę do góry. Baselton wrzasnął histerycznie. Równocześnie Dodgson spostrzegł, że to, co zwisa spomiędzy zwartych szczęk dinozaura, to oderwana ręka człowieka. Metalowa bransoletka zegarka jaskrawo błyszczała w promieniach słońca.

Profesor darł się wniebogłosy. Ów wrzask w połączeniu z przerażającym widokiem sprawił, że Dodgson oblał się zimnym potem. Odwrócił się na pięcie i dał nura między drzewa. Przejęty grozą uciekał w stronę samochodu, w kierunku jedynej bezpiecznej kryjówki, byle dalej od tego przeklętego gniazda.

Nie mógł się opanować.

Kelly i Arby równocześnie odwrócili głowy od monitora. Dziewczynie serce podeszło do gardła, nie mogła na to patrzeć. Ale z głośnika wciąż dolatywały przeraźliwe wrzaski mężczyzny, leżącego na polanie i rozszarpywanego przez tyranozaura.

– Wyłącz to! – jęknęła.

Po chwili zapadła cisza.

Kelly westchnęła głośno i wtuliła głowę między ramiona.

– Dzięki – szepnęła.

– Nic nie zrobiłem – odpowiedział Arby.

Dziewczyna z powrotem zerknęła na ekran i znów szybko odwróciła głowę. Drapieżnik rozrywał ofiarę na strzępy. Kelly przeszył dreszcz grozy.

W furgonie panowała napięta cisza. Tylko cicho popiskiwały włączone urządzenia elektroniczne, a w rurach pod podłogą bulgotała woda. Z zewnątrz dolatywał ledwie słyszalny szum wiatru poruszającego wysoką trawą na polanie. Kelly poczuła się nagle całkowicie osamotniona, zagubiona na tej bezludnej wyspie.

– I co teraz zrobimy, Arb?

Chłopak nie odpowiedział.

Poderwał się nagle z krzesła i pobiegł do łazienki.

– Wiedziałem – mruknął Malcolm, z przejęciem wpatrując się w ekran monitora. – Byłem pewien, że ściągną na siebie nieszczęście. Chcieli wykraść jaja... Patrzcie! Oba tyranozaury wybiegają z polany! – Wdusił klawisz krótkofalówki i zawołał: – Arby! Kelly! Jesteście tam?

– Tak... – odpowiedziała zduszonym głosem dziewczyna – ale...

Explorer zjeżdżał już z krawędzi grzbietu okalającego dolinę, zbliżali się do gniazda tyranozaurów. Thorne kurczowo zaciskał palce na kierownicy.

– Tylko tego nam było trzeba – warknął.

– Słyszysz mnie, Kelly? – nawoływał Malcolm. – Nie widzimy na ekranie, co tam się dzieje. Oba tyranozaury porzuciły swoje gniazdo! Kelly! Co tam się teraz dzieje?!

Dodgson sprintem dopadł jeepa. Gdzieś po drodze zgubił baterię akumulatorów przypiętą do pasa, ale to go najmniej obchodziło. King stał przy masce samochodu, był spięty, blady jak ściana.

Lewis wskoczył za kierownicę i uruchomił silnik. Od strony gniazda doleciał wściekły ryk tyranozaura.

– Gdzie jest Baselton? – zapytał King.

– Nie miał szczęścia.

– Co to znaczy?

– Kurwa mać! To znaczy tyle, że nie miał szczęścia! – wrzasnął Dodgson, wrzucając bieg.

Zawrócił prawie w miejscu i nabierając szybkości pojechał w górę zbocza. Za nimi ponownie rozległy się ryki, tym razem chyba obu dinozaurów.

King siedział sztywno, trzymając wielkie cętkowane jajo na kolanach.

– Może powinniśmy się go pozbyć – zaproponował nieśmiało, spoglądając na ścieżkę biegnącą prosto pod górę.

– Ani mi się waż, do cholery!

Ale King już opuszczał szybę.

– Może przestaną nas ścigać, jak odzyskają jajo.

– Nie! Zostaw je!

Sięgnął w bok i chwycił Kinga za koszulę na piersi. Ścieżka była dość wąska, grunt silnie rozdeptany przez zwierzęta. Mimo to jeep stopniowo nabierał prędkości.

Niespodziewanie jeden z tyranozaurów wypadł spomiędzy drzew przed nimi i stanął, tarasując drogę. Parsknął głośno.

– Jezus, Maria... – jęknął Dodgson, przydeptując pedał hamulca.

Tylne koła zabuksowały na błotnistym szlaku, lecz po chwili jeep się zatrzymał.

Tyranozaur z rykiem ruszył w kierunku auta.

– Zawracaj! – wrzasnął King. – Zawracaj!

Ale Dodgson go nie słuchał. Pospiesznie wrzucił wsteczny bieg i zerkając przez ramię zaczął zjeżdżać tyłem ze wzgórza. Wciskał gaz do oporu, pędził wąską ścieżką na złamanie karku.

– Zwariowałeś! – krzyknął piskliwym głosem King. – Zabijesz nas!

Nie oglądając się, Dodgson uderzył go w twarz wierzchem dłoni.

– Zamknij mordę!

Koncentrował się na prowadzeniu auta, które coraz szybciej mknęło tyłem w kierunku polany. Mimo że rozwijali maksymalną prędkość na wstecznym biegu, Dodgson był pewien, że tyranozaur może ich bez trudu dopędzić. Znaleźli się w kropce. Gnali na złamanie karku wozem terenowym, który miał składany, brezentowy dach, niestanowiący żadnej osłony przed szarżującym drapieżnikiem...

– Nie! – wrzasnął histerycznie King.

W tej samej chwili Dodgson zauważył drugiego tyranozaura, który wypadł na drogę w dole. Obejrzał się: pierwszy gnał za nimi ścieżką. Byli w pułapce.

Zdjęty nagłym przerażeniem zakręcił kierownicą, wprowadzając jeepa tyłem w gęste zarośla. Wóz podskoczył raz i drugi na zwalonych pniach, zwolnił, wreszcie stanął, a silnik zawył na wysokich obrotach. Dodgson pojął w mig, że tylne koła straciły przyczepność, widocznie zawisły w powietrzu nad jakimś zagłębieniem. Przełączył napęd na przednie koła i wrzucił pierwszy bieg, lecz wozem tylko szarpnęło silnie. Włączył z powrotem wsteczny, dodał gazu. Nagle jeep pochylił się bardziej, maska powędrowała do góry. Przez tylną szybę widać było jedynie gąszcz dżungli. Lewis uzmysłowił sobie, że zawisnęli na krawędzi urwiska. King zaczął chlipać jak dziecko. Od strony ścieżki doleciał kolejny ryk tyranozaura.

Dodgson błyskawicznie otworzył drzwi jeepa i dał nura między drzewa.

Zdążył zrobić zaledwie parę kroków, kiedy się potknął, upadł i potoczył w dół stromej skarpy. Silnie uderzył głową w pień, aż go zamroczyło. Usiłował się podnieść, lecz ogarnęła go ciemność i legł bez czucia.

DECYZJA

Wszyscy siedzieli w samochodzie, wpatrując się w gęstą dżunglę rosnącą u stóp skarpy we wschodnim krańcu doliny. Zza opuszczonych okien dolatywały wściekłe ryki tyranozaurów i trzask łamanych gałęzi, który towarzyszył przedzieraniu się obu drapieżników przez las.

– Zupełnie zapomniały o gnieździe – odezwał się Thorne.

– Owszem. Widocznie ci faceci coś stamtąd zabrali. – Malcolm westchnął ciężko.

Ponownie zapadło milczenie, wszyscy wsłuchiwali się w przerażające odgłosy.

Nagle z cichym szumem obok auta zatrzymał się motocykl.

– Pomyślałem, że będziecie potrzebowali pomocy – rzekł Eddie. – Chcecie tam zejść?

Malcolm energicznie pokręcił głową.

– Za żadne skarby. To zbyt niebezpieczne. Nawet nie wiemy, gdzie oni są.

– Dlaczego Dodgson czekał bezczynnie do ostatniej chwili? – zapytała Sara. – Nikt tak nie postępuje podczas spotkania z drapieżnikiem. Kiedy się stanie oko w oko z lwem, należy czynić mnóstwo hałasu, podskakiwać, rzucać w niego kamieniami, za wszelką cenę próbować go odstraszyć. Nie wolno po prostu stać i czekać.

– Widocznie opierali się na mylnych informacjach z różnych artykułów – odparł Malcolm, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Według rozpowszechnionej opinii tyranozaur widzi jedynie poruszające się obiekty. Nie tak dawno Roxton opublikował obszerną pracę, w której opisywał swe badania nad budową czaszek tyranozaurów, i zawarł w niej wniosek, że te olbrzymy miały inteligencję żaby.

W głośniku krótkofalówki rozległ się trzask i Levine dodał:

– Roxton to idiota. Nie zna anatomii nawet na tyle, żeby spłodzić dziecko z własną żoną. Ten artykuł potraktowałem jak kiepski żart.

– Dlaczego? – zapytał Thorne.

– Bo Roxton przyrównał układ nerwowy tyranozaura do systemu płazów, konkretnie do żaby, która widzi jedynie poruszające się obiekty, nie dostrzega jednak przedmiotów nieruchomych. To jednak niemożliwe, żeby układ nerwowy olbrzymiego drapieżnika, jakim jest tyranozaur, działał tak samo. Przyczyna jest bardzo prosta. Większość zwierząt w chwili zagrożenia reaguje podobnie, zastyga w bezruchu. Można to zaobserwować chociażby u zwierzyny płowej, nie spłoszonej, lecz zaskoczonej i przerażonej. Siłą rzeczy drapieżnik w takiej chwili musi widzieć swoją ofiarę, inaczej zdechłby z głodu. – Levine prychnął głośno, zdegustowany. – Jest wiele takich idiotycznych teorii dotyczących tyranozaurów. Na przykład kilka lat temu Grant wysnuł wniosek, że te zwierzęta ogarniała panika w czasie burzy, gdyż nie były przyzwyczajone do wilgotnego klimatu. To czysty absurd. Klimat w okresie kredy wcale nie był szczególnie suchy, w każdym razie na pewno nie w Ameryce Północnej, którą zamieszkiwały tyranozaury. Ich szczątki znajdowano dotychczas jedynie na terenie Stanów Zjednoczonych oraz Kanady. *Tyrannosaurus rex* żył i polował na wybrzeżach wielkiego śródlądowego morza, na wschód od Gór Skalistych. W tych rejonach gwałtowne burze wcale nie są rzadkością, jest więc rzeczą naturalną, że dinozaury musiały się z nimi oswoić.

– A czy są jakieś okoliczności, w których tyranozaur mógł nie zaatakować innego zwierzęcia? – zapytał Malcolm.

– Oczywiście. Wniosek nasuwa się sam.

– Jaki?

– Nie atakował, jeśli nie był głodny. Każde zwierzę większe od kozy mogło się go nie obawiać w przerwach między jego posiłkami. W każdym razie jedno jest pewne: tyranozaur ma całkiem dobry wzrok.

Ponownie wsłuchali się w ryki dobiegające z lasu u stóp skarpy. Po chwili dostrzegli kołyszące się drzewa, jakiś kilometr dalej na północ. Porykiwania rozlegały się seriami, jakby oba zwierzęta nawoływały się i odpowiadały sobie nawzajem.

– Mamy jakąś broń? – zapytała Sara Harding.

– Trzy karabiny Lindstradta z pełnymi magazynkami – odparł Thorne.

– W porządku, zatem możemy ruszać.

W krótkofalówce znów zatrzeszczało.

– Co prawda, jestem daleko od was – wtrącił Levine – lecz radziłbym jeszcze zaczekać.

– Nic z tego nie wyniknie – odrzekł szybko Malcolm. – Sara ma rację. Pojedźmy i przekonajmy się na własne oczy, co tam zaszło.

– Wasza decyzja, wasze ryzyko – oznajmił Levine.

Arby usiadł z powrotem przed monitorem, wycierając zmoczoną twarz. Był blady, niemal zielony.

– Co oni zamierzają?

– Doktor Malcolm podjął decyzję, żeby podjechać do gniazda.

– Żartujesz?! – syknął przerażony chłopak.

– Nie martw się, Sara panuje nad sytuacją.

– Mam nadzieję – mruknął bez przekonania Arby.

GNIAZDO

Zostawili samochód tuż przed wjazdem na polanę. Eddie zsiadł z motocykla i oparł go o pień drzewa. Ostrożnie podeszli do krawędzi lasu.

Sara Harding czujnie wciągnęła powietrze przesycone odorem gnijącego mięsa oraz odchodów, co dla niej było pewną oznaką bliskości legowiska drapieżników. W rozgrzanym powietrzu fetor niemal dusił w gardle, nad ścieżką krążyły roje much. Sara poprawiła na ramieniu pasek karabinu i powiodła spojrzeniem po twarzach trzech mężczyzn. Wszyscy byli bardzo spięci i zdenerwowani. Zwłaszcza Malcolm wyraźnie pobladł i przygryzał wargi. Przypominał w tej chwili Coffmanna, jej promotora, który kiedyś odwiedził ją w Afryce. Profesor lubił sobie popić i zasypywał ją opowieściami o swych doświadczeniach z sumatrzańskimi orangutanami czy długoogoniastymi lemurami z Madagaskaru, ale kiedy zabrała go w sawannę, na łowiska drapieżników, po prostu zemdlał. Ważył ponad sto kilogramów, więc Sara z wielkim trudem dowlokła go z powrotem do samochodu, podczas gdy lwy czujnie krążyły wokół nich i groźnie porykiwały. Tamte przeżycia były dla niej niezapomnianą nauczką.

Toteż teraz pochyliła się w kierunku trzech mężczyzn i przekazała szeptem:

– Jeśli czujecie, że strach was paraliżuje, to lepiej zostańcie przy samochodzie. Nie chcę mieć dodatkowo na głowie któregoś z was. Poradzę sobie sama.

Śmiało ruszyła w kierunku polany.

– Czy jesteś pewna...

– Tak. A teraz zachowajcie ciszę.

Wkroczyła między drzewa, lecz wszyscy trzej zaczęli się skradać za nią. Po chwili delikatnie odsunęła liście młodej palmy i wyszła na otwartą przestrzeń. Tyranozaury nie wróciły jeszcze na polanę, gniazdo było niestrzeżone. Na prawo od niego natychmiast zauważyła męski but ze skarpetką w środku, z której wystawały jakieś zakrwawione strzępy. Tylko tyle zostało po Baseltonie.

Ze środka uformowanej z błota misy doleciał głośny, skrzekliwy okrzyk. Harding wdrapała się do środka poprzez krawędź gniazda, Malcolm podszedł bliżej. Obrzuciła spojrzeniem dwa zielone pisklęcia dinozaurów i trzy wielkie, nakrapiane jaja. Wszędzie wokół gniazda w błotnistym gruncie widniały odciśnięte ślady butów.

– Zabrali jedno jajo – rzekł cicho matematyk. – Niech to szlag trafi.

– Liczyłeś na to, że nic nie naruszy owego zamkniętego, odizolowanego ekosystemu wyspy?

Malcolm uśmiechnął się krzywo.

– Owszem. Właśnie tak myślałem.

– To kiepsko.

Harding stanęła pośrodku zagłębienia i przyjrzała się z bliska małym tyranozaurom. Jedno z piskląt było przestraszone, wycofało się tyłem pod samą krawędź i usiadło z łebkiem opuszczonym ku ziemi. Natomiast drugie nie zareagowało na widok ludzi. Leżało w błocie na boku, oddychało płytko i szybko, ślepka miało półprzymknięte.

– To małe jest ranne – powiedziała Sara.

Levine stał oparty o barierkę ambony. Poprawił słuchawki na głowie, przysunął sobie mikrofon do ust i rzekł:

– Opiszcie mi pisklęta.

– W gnieździe są dwa – odparł Thorne – mają w przybliżeniu po sześćdziesiąt centymetrów wysokości, przypominają wielkością i wyglądem niezbyt duże kazuary. Duże ślepia, szeroko rozstawione chrapy.

Skóra barwy jasnobrązowej. Na szyjach dość szeroki kołnierzyk z delikatnego puchu.

– Potrafią chodzić o własnych siłach?

– Trudno powiedzieć. Sprawiają wrażenie dość nieporadnych. Raczej tylko podskakują na tylnych łapach i robią mnóstwo hałasu.

– Więc prawdopodobnie są to najwyżej kilkudniowe pisklęta – rzekł Levine, kiwając głową. – Nie wychodziły jeszcze poza obszar gniazda. Radziłbym zachować daleko posuniętą ostrożność.

– Dlaczego?

– Z uwagi na pisklęta dorosłe tyranozaury zapewne nie zostawią na długo gniazda bez ochrony.

Harding pochyliła się nad rannym malcem. Popiskując cicho, pisklę usiłowało się do niej zbliżyć, przebierając niezręcznie wielkimi stopami. Dopiero teraz Sara zauważyła, że jedną tylną łapkę trzyma wygiętą pod nienaturalnym kątem.

– Prawdopodobnie boli je łapa.

Eddie wgramolił się do środka, popatrzył uważnie i zapytał:

– Złamana?

– Chyba tak, ale...

– Hej! – zawołał Carr, kiedy pisklę niespodziewanie wyciągnęło szyję i zacisnęło szczęki na cholewce jego buta. Cofnął szybko nogę, ale nie zdołał jej wyszarpnąć, jedynie pociągnął za sobą malca po ziemi. – Hej! Puszczaj!

Uniósł nogę i pomachał nią na boki, lecz i to nie poskutkowało. Mały tyranozaur mocno wbijał ząbki w skórę buta. Kiedy zaś Eddie z powrotem postawił nogę na ziemi, pisklę zamknęło oczy i zaczęło oddychać jeszcze szybciej, z cichym świstem wciągając powietrze.

– Rety – mruknął Eddie.

– Agresywne maleństwo, prawda? – rzekła cicho Sara. – Już od pierwszych dni po wykluciu...

Carr przykucnął i popatrzył na drobne, lecz ostre jak brzytwa ząbki, zaciskające się na jego bucie. Nie mogły nawet przebić grubej skóry, ale pisklę nadzwyczaj silnie zaciskało szczęki. Kolbą karabinu Eddie kilka razy trącił łebek malca, lecz i to nie przyniosło rezultatu. Tyranozaur nadal leżał na boku, dyszał ciężko i mętnymi ślepkami spoglądał mu prosto w oczy.

Z oddali, od strony północnej, dobiegły głośne porykiwania obu dorosłych

drapieżników.

– Lepiej wynośmy się stąd – powiedział Malcolm. – Zobaczyliśmy już wszystko, co chcieliśmy zobaczyć. Teraz musimy jak najszybciej odnaleźć Dodgsona.

– Wydaje mi się, że widziałem ślady opon na ścieżce powyżej polany – wtrącił Thorne. – Widocznie odjechali w tamtym kierunku.

– Trzeba to sprawdzić.

Obaj się odwrócili, jakby zamierzali odejść.

– Zaczekajcie – rzekł Eddie, spoglądając niepewnie w dół. – A co ja mam zrobić z tym malcem?

– Zastrzel go – warknął Malcolm przez ramię.

– Mówisz poważnie?

– Ma złamaną łapę, Eddie – odezwała się Sara. – Tak czy inaczej czeka go śmierć.

– Może i tak, ale...

– Musimy wracać do samochodu, Eddie – powiedział ostro Thorne. – Jeśli nie odnajdziemy Dodgsona, podążymy szlakiem wzdłuż skarpy do laboratorium, a stamtąd zjedziemy w dolinę, do furgonu.

– W porządku, Doc. Zaraz ruszę za wami.

Eddie zdjął karabin z ramienia i niepewnie obrócił go w dłoniach.

– Pospiesz się – dodała Sara, wychodząc z polany. – Chyba nie chciałbyś siedzieć jeszcze w gnieździe, kiedy mama i tata zjawią się z powrotem.

PRZEGRANA HAZARDZISTY

W samochodzie Malcolm zapatrzył się ponownie na ekran monitora w desce rozdzielczej, na którym w sekundowych odstępach ukazywały się obrazy z coraz to innej kamery. Wypatrywał jakiegokolwiek śladu Dodgsona i reszty jego ekipy.

– Jakie spustoszenia? – zapytał przez radio Levine.

– Zabrali jedno jajo – odrzekł matematyk. – Poza tym musieliśmy dobić zranione pisklę.

– Więc w sumie tyranozaury straciły dwa małe. Ile było pierwotnie jaj w gnieździe? Sześć?

– Tak.

– No cóż, to jeszcze nie jest tak źle. W każdym razie trzeba powstrzymać tych ludzi, żeby nie narozrabiali bardziej.

– Właśnie ich szukamy – oznajmił Malcolm posępnym tonem.

– Tak czy inaczej, powinieneś był się z tym liczyć, Ian – zauważyła Harding. – Nie da się prowadzić obserwacji zwierząt, nie czyniąc żadnych zmian w ich naturalnym otoczeniu. To po prostu niewykonalne.

– Masz rację. Rzekłbym, że największym odkryciem dwudziestego wieku jest zrozumienie okrutnej prawdy, iż nie da się prowadzić żadnych badań, nie ingerując jednocześnie w ich przedmiot.

Od czasów Galileusza naukowcy byli przekonani, że są tylko obiektywnymi obserwatorami otaczającej ich rzeczywistości. Fakt ten zdawał się wywierać wpływ niemal na każdy aspekt ich życia, nawet na sposób przedstawiania wyników badań, gdyż rozprawy naukowe najczęściej rozpoczynały się słowami: „Zaobserwowano, że...". Nieodmiennie używano bezosobowej strony biernej, która przez trzysta lat stanowiła jak gdyby wzorzec w całej nauce. Nikt nie kwestionował tego, że nauka musi być obiektywna i obserwator nie wywiera żadnego wpływu na obiekt badań, a tym samym musi przedstawiać niezależne od niego rezultaty prac.

Ów zakładany obiektywizm zdawał się niezwykle ważnym elementem oddzielającym naukę od reszty świata, a przede wszystkim od religii, gdzie indywidualne zapatrywania badacza jednoznacznie rzutowały na wyniki, a sam obserwator musiał mieć taki czy inny związek ze zjawiskami, które opisywał.

Ale w wieku dwudziestym takie rozróżnienie powoli się zatarło. Naukowcy stopniowo doszli do wniosku, że obiektywizm w gruncie rzeczy nie istnieje, nawet w najbardziej podstawowych badaniach. Fizycy szybko się przekonali, że nie zdołają zmierzyć parametrów ruchu pojedynczej cząstki, nie zakłócając zarazem tegoż ruchu. Każda próba dokładnego określenia położenia cząstki musiała wpłynąć na jej prędkość, natomiast próba pomiaru jej pędu powodowała zmiany położenia. Prawo to zostało sformułowane w słynnej zasadzie nieoznaczoności Heisenberga. Ostatecznie stało się dla wszystkich oczywiste, że każdy badacz jest jednym z integralnych elementów złożonego wszechświata, w którym w ogóle nie ma miejsca na obiektywne obserwacje.

– Doskonale wiem, że to niewykonalne – rzekł Malcolm z irytacją w głosie. – Nie to mnie jednak martwi.

– A więc co?

– Zasada znana pod nazwą „Przegranej hazardzisty" – mruknął matematyk, nie spuszczając wzroku z ekranu.

Chodziło o zaobserwowany już przed laty i będący przedmiotem wielu dyskusji fenomen statystyczny, mający olbrzymie konsekwencje zarówno dla ewolucji gatunków, jak i zdarzeń codziennego życia.

– Załóżmy, że jesteś hazardzistą – zaczął wyjaśnienia Malcolm – i grasz w orła i reszkę. Za każdym razem, gdy wypadnie reszka, wygrywasz dolara, kiedy zaś wyjdzie orzeł, tracisz dolara.

– Jasne.

– Jaki więc będzie przebieg gry?

Harding wzruszyła ramionami.

– Prawdopodobieństwo uzyskania reszki i orła przy rzucie monetą jest takie samo. Zatem raz powinnam wygrać, kiedy indziej przegrać, lecz w ostatecznym rozrachunku muszę wyjść na zero.

– Niestety, w rzeczywistości wcale tak nie jest – rzekł Malcolm. – Jeśli będziesz grać dostatecznie długo, w efekcie zawsze przegrasz. Nie ma hazardzisty, który wygrywa, inaczej kasyna gry dawno by zbankrutowały. Ale ja nie pytałem o ostateczny rezultat, tylko o przebieg gry. Co się dzieje w okresie bezpośrednio poprzedzającym ową przegraną?

– Nie wiem. A co się dzieje?

– Gdybyś sporządziła wykres swoich wygranych bądź przegranych względem upływu czasu, przekonałabyś się, że ma on postać nieregularnej fali. W pewnych okresach kumulują się wygrane, w innych przegrane. Zmierzam do tego, że wszelkie zdarzenia przypadkowe tworzą odrębne fazy. Ten fenomen występuje wszędzie, możesz go zaobserwować w wahaniach pogody, w wylewach rzek, wynikach rozgrywek sportowych, częstotliwości pracy serca bądź rezultatach obrotów giełdowych. Kiedy coś zaczyna iść źle, zaraz też doznajesz niepowodzenia w innych sprawach. Nie bez powodu stare przysłowie głosi, że nieszczęścia chodzą parami. Teoria złożoności wykazuje prawdziwość wielu tego typu porzekadeł. Trzeba zatem przyjąć, że jedno niepowodzenie pociąga za sobą drugie, jeden wypadek nakazuje się spodziewać następnego. Tak to wygląda w rzeczywistości.

– Do czego więc zmierzasz? Chcesz powiedzieć, że należy oczekiwać kolejnego nieszczęścia?

– Dokładnie tak. Dzięki Dodgsonowi. – Malcolm jeszcze bardziej pochylił się w stronę monitora. – Na razie martwi mnie, co się stało z tymi łobuzami.

KING

W pierwszej chwili dotarło do niego ledwie słyszalne bzyczenie, jakby osa latała mu koło głowy. Zdał sobie sprawę nie tylko z obecności dziwnego odgłosu, lecz również z tego, że powoli odzyskuje przytomność. Otworzył oczy. Dojrzał przed sobą szybę samochodu, a za nią zwarty zielony gąszcz dżungli.

Bzyczenie przybierało na sile.

Przez kilka sekund King nie mógł sobie przypomnieć gdzie jest, jak się tu znalazł i co zaszło. Odczuwał dość silny ból w ramieniu i biodrze, puls łomotał mu w głowie. Za wszelką cenę chciał sobie przypomnieć, co się stało, lecz nie potrafił zebrać myśli. Pamiętał widok tyranozaura wybiegającego na ścieżkę przed jeepem, grymas na twarzy Dodgsona oglądającego się przez ramię...

Obrócił szybko głowę i aż jęknął głośno z bólu, który zdawał się promieniować z karku przez szyję na całą czaszkę. Zaparło mu dech w piersi, dopiero po chwili wypuścił powietrze. Przez parę sekund siedział z zamkniętymi oczami, skrzywiony z bólu, wreszcie otworzył je ponownie.

Dodgsona nie było w samochodzie. Otwarte drzwi od strony kierownicy rzucały ukośny cień na deskę rozdzielczą. Kluczyki zostały w stacyjce.

Ale Dodgson zniknął!

King dostrzegł na kole kierownicy drobną plamkę krwi. Czarna skrzynka generatora leżała na podłodze, nieopodal dźwigni biegów. Uchylone drzwi jeepa zakołysały się lekko, zaskrzypiały...

Gdzieś z daleka znowu doleciało ledwie słyszalne brzęczenie. Dopiero teraz King pojął, że nie jest to bzyczenie osy, lecz jakiś odgłos mechaniczny, jakby stłumiony warkot jakiegoś urządzenia.

Ten dźwięk przywołał z jego pamięci wspomnienie kutra. Do kiedy stateczek miał czekać na nich przy brzegu rzeki? Poza tym, która jest godzina? Spojrzał na zegarek. Szkiełko było stłuczone, wskazówki pokazywały pierwszą pięćdziesiąt cztery.

Znowu zwrócił uwagę na dziwne brzęczenie, które zdawało się przybliżać.

Z wysiłkiem odepchnął się od oparcia siedzenia i przybliżył twarz do deski rozdzielczej. Nieznośny ból przeszył raz i drugi całe jego ciało, lecz szybko zniknął. King zaczerpnął głęboko powietrza.

Nic mi nie jest, powtarzał w myślach, a co najważniejsze, jeszcze żyję.

Wychylił się i spojrzał na zewnątrz przez otwarte drzwi samochodu.

Słońce stało wysoko, zatem musiało być wczesne popołudnie. O której kuter miał odpłynąć? – zachodził w głowę. O czwartej czy o piątej? Nie mógł sobie tego przypomnieć. Był jednak pewien, że kostarykańscy rybacy zamierzają wracać do macierzystego portu przed zmierzchem, nie zostaną tu na noc.

Postanowił za wszelką cenę wrócić na stateczek, w tej chwili niczego bardziej nie pragnął na świecie. Próbując zapanować nad bólem, odepchnął się łokciami od oparcia i przesiadł na miejsce za kierownicą. Przez chwilę spazmatycznie łapał oddech, wreszcie wychylił się i zerknął wzdłuż auta.

Jeep stał silnie pochylony na stromym zboczu, opierał się tylnym zderzakiem o pnie dwóch drzew. Teren opadał tu gwałtownie, chociaż dalej trudno było cokolwiek dojrzeć, ponieważ przez zwartą zasłonę listowia przedostawało się niewiele światła. Ale King poczuł wzbierające mdłości od tego patrzenia w dół. Skarpa mogła mieć nawet dziesięć metrów wysokości. Pod nim, wśród olbrzymich paproci, leżały ogromne czarne głazy. Odetchnął głęboko i wychylił się jeszcze bardziej.

Nagle dostrzegł człowieka.

Dodgson leżał na wznak, z głową silnie odchyloną do tyłu. Ręce i nogi miał szeroko rozrzucone, całe ciało ułożone w nienaturalnej pozycji. Nie poruszał się. Trudno było zauważyć jakiekolwiek szczegóły w dole zbocza, tym bardziej że widok częściowo przesłaniały gęste zarośla, lecz wyglądał na martwego.

Brzęczenie stało się już wyraźnie słyszalne. King wyprostował się w fotelu i po chwili między krzakami rosnącymi na wprost dostrzegł jakieś dziesięć metrów przed sobą przejeżdżający wóz terenowy. Inny samochód!

Zanim pojazd zniknął mu z oczu, King uzmysłowił sobie, że owo tajemnicze bzyczenie to odgłos pracy silnika elektrycznego. A więc musiał to być wóz terenowy Malcolma.

Obecność innych ludzi na wyspie dodała mu nagle odwagi. Mimo dokuczliwego bólu poczuł przypływ nowych sił. Śmiało przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik zawarkotał miarowo.

King włączył pierwszy bieg i ostrożnie nacisnął pedał gazu.

Tylne koła obróciły się, nie znajdując oparcia. Pospiesznie przełączył jeepa na przedni napęd i spróbował po raz drugi. Samochód szarpnął i potoczył się pod górę, z trzaskiem łamiąc gałęzie krzaków. Po kilku sekundach wyjechał na drogę.

Dopiero teraz King przypomniał sobie karkołomną ucieczkę. Pamiętał, że w prawo ścieżka prowadziła do gniazda tyranozaurów. Wóz Malcolma nadjechał właśnie z tamtej strony.

Skręcił w lewo i ruszył pod górę. Próbował odtworzyć w pamięci

topografię wyspy i drogę prowadzącą nad rzekę, gdzie stał przycumowany kuter. Skojarzył, że na szczycie skarpy minęli rozwidlenie dróg. Postanowił skręcić w tę odnogę, która zbiegała po przeciwnej stronie wzniesienia. Marzył tylko o jednym: jak najszybciej wynieść się z tej wyspy.

Chciał uciekać stąd jak najdalej.

Znaleźć się w bezpiecznym miejscu, dopóki jeszcze nie jest za późno.

ZŁE WIEŚCI

Kiedy eksplorer dotarł do skrzyżowania na szczycie wzgórza, Thorne pojechał dalej wzdłuż krawędzi grzbietu. Droga prowadziła zakosami ponad urwistą skarpą okalającą dolinę w centralnej części wyspy. W wielu miejscach poruszali się skrajem kilkumetrowego urwiska, za to mogli stąd podziwiać piękne widoki na równinę nad rzeką. Dotarli wreszcie do kolejnego wzniesienia, skąd widać było całą dolinę. Kilkaset metrów w lewo, u stóp skarpy stała ambona ukryta w koronie drzewa. Niemal na wprost w dole znajdowała się polanka, na której zostawili furgon z przyczepą. Dalej na prawo ciągnęła się olbrzymia hala produkcyjna, a na jej tyłach stało dawne osiedle pracownicze.

– Nigdzie nie widzę Dodgsona – burknął rozzłoszczony Malcolm. – Gdzie on mógł się podziać?

Thorne sięgnął po krótkofalówkę.

– Arby?

– Słucham, Doc.

– Widzisz ich gdzieś?

– Nie, ale... – chłopak urwał niepewnie.

– Co?

– Może byście tu przyjechali, czeka was spora niespodzianka.

– Jaka znów niespodzianka? – zdziwił się Thorne.

– Eddie... – rzekł Arby – właśnie wrócił i... przywiózł ze sobą jedno z piskląt.

– Co takiego?! – wykrzyknął Malcolm, pochylając się nad ramieniem Thorne'a.

PIĄTA KONFIGURACJA

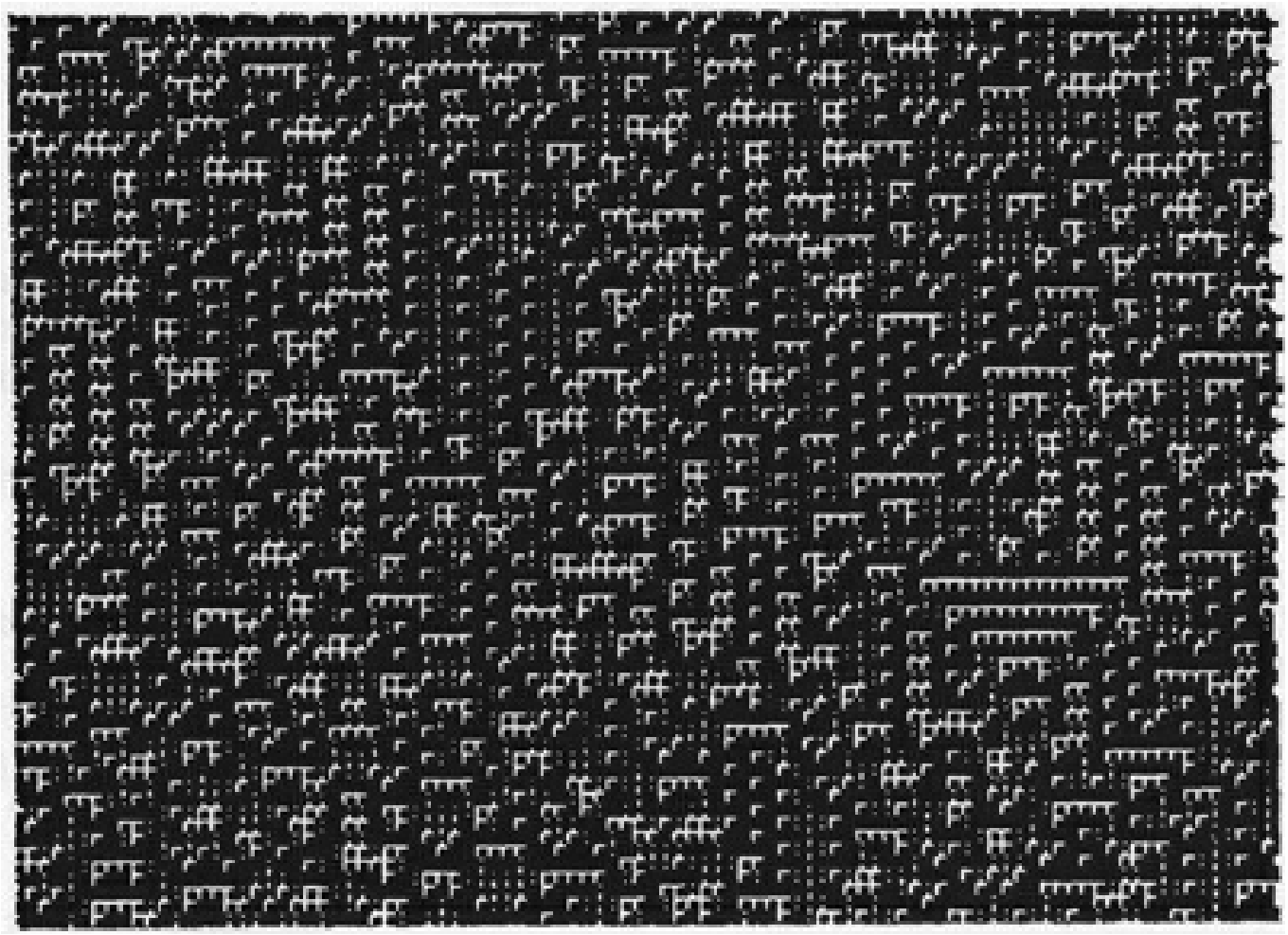

Tuż przy krawędzi chaosu pojawiają się nieoczekiwane efekty, wzrasta szansa przetrwania.

Ian Malcolm

PISKLĘ

W przyczepie wszyscy zgromadzili się wokół stołu. Na jego metalowym blacie leżał uśpiony młody tyranozaur – wielkie oczy miał zamknięte, a pysk zwierzęcia otaczał plastikowy worek maski tlenowej, której owalna ramka nawet nieźle pasowała kształtem do jego dzióbka. Z cichym sykiem płynął przez nią tlen.

– Nie mogłem go porzucić na pastwę losu – rzekł Carr. – Pomyślałem, żeby spróbować nastawić mu łapę...

– Eddie... – jęknął żałośnie Malcolm.

– Zrobiłem mu zastrzyk z morfiny, którą znalazłem w apteczce, i przywiozłem malca ze sobą. Widzicie? Nawet maska tlenowa pasuje na jego pyszczek.

– Popełniłeś wielki błąd, Eddie – powiedział matematyk z naganą w głosie.

– Dlaczego? Nic się nie stało. Nastawimy mu łapkę i wypuścimy go na wolność.

– Ale będzie to ingerencja w ekosystem.

– Postąpiłeś bardzo nierozsądnie – odezwał się Levine przez radio. – Po prostu lekkomyślnie.

– To już wiemy, Richardzie – wtrącił Thorne.

– Kategorycznie się sprzeciwiam przetrzymywaniu jakichkolwiek zwierząt w furgonie.

– Trudno, stało się – odparła Sara Harding.

Przeszła na drugą stronę stołu i zaczęła mocować elektrody na tułowiu zwierzęcia. Po chwili z głośnika aparatu dobiegło wzmocnione łomotanie pulsu tyranozaura. Było nadzwyczaj szybkie, około stu pięćdziesięciu uderzeń na minutę.

– Ile morfiny mu zaaplikowałeś?

– Nie wiem – mruknął zakłopotany Eddie. – No... całą strzykawkę.

– Dużą? Dziesięć mililitrów?

– Chyba tak. Może nawet dwadzieścia.

Malcolm spojrzał na Sarę.

– Ile czasu będzie nieprzytomny.

– Skąd mogę wiedzieć? Do tej pory usypiałam tylko lwy i szakale, kiedy prowadziliśmy znakowanie. Ustalaliśmy dawki w zależności od wagi ciała. Ale u młodych zwierząt reakcje są trudne do przewidzenia. Pisklę może spać równie dobrze kilka minut, jak i parę godzin. A przecież w ogóle nic nie wiem o metabolizmie tyranozaurów. Chyba należy zakładać, że mają tak szybką przemianę materii jak ptaki. Serce pracuje bardzo szybko. Mogę powiedzieć tylko tyle, że powinniśmy się go jak najszybciej pozbyć z furgonu.

Sięgnęła po niewielką głowicę ultrasonograficzną, przyłożyła ją do łapy dinozaura i zerknęła przez ramię na monitor. Kelly i Arby zasłaniali jej widok.

– Zróbcie tu trochę miejsca – rzekła błagalnym tonem, wyciągając szyję. – Naprawdę trzeba się pospieszyć.

Dzieciaki odsunęły się od stołu. Na ekranie widniał zielono-biały obraz przedstawiający układ kości w łapie zwierzęcia. On faktycznie przypomina budową wielkiego ptaka – pomyślała Sara – sępa lub bociana. Delikatnie przesunęła głowicę w kierunku stopy.

– Proszę, oto jego śródstopie... a tu, wyżej, mamy piszczel i kość strzałkową...

– Dlaczego on ma niejednorodne kości? – zapytał Arby, wskazując ciemniejsze i jaśniejsze plamy na obrazie.

– Bo to jeszcze pisklę – wyjaśniła Harding. – Jego kości mają w przewadze budowę chrzęstną, te ciemniejsze plamy to strefy silniej zwapniałe. Podejrzewam, że malec nie za bardzo jeszcze potrafi chodzić, a w każdym razie musi być nieporadny. Spójrzcie na rzepkę... Doskonale widać główne naczynie doprowadzające krew do stawu...

– Skąd tak dobrze znasz anatomię dinozaurów? – zapytała Kelly.

– Muszę znać anatomię, większość moich prac w terenie polega na opisywaniu pozostałości po ofiarach drapieżników. Dokładne oględziny fragmentów szkieletu pozwalają na precyzyjne określenie, który ssak mięsożerny zostawił te resztki po swojej uczcie. Właśnie do tego jest niezbędna dobra znajomość anatomii. – Harding ponownie przesunęła głowicą wzdłuż łapy zwierzęcia. – Poza tym mój ojciec był weterynarzem.

– Weterynarzem? – zdumiał się Malcolm.

– Owszem. Pracował w zoo w San Diego. Specjalizował się w ornitologii. Nie rozumiem jednak dlaczego... Zaraz, czy można powiększyć ten obraz?

Arby szybko wcisnął jakiś klawisz i na ekranie ukazało się dwukrotne powiększenie.

– Teraz dobrze. Tak, to tutaj. Widzicie?

– Nie.

– To środkowa część piszczeli. Przyjrzyjcie się dobrze, widać cieniutką

czarną linię pęknięcia, tuż powyżej główki kości.

– Chodzi o tę linię? – zapytał Arby, wskazując miejsce na ekranie.

– Tak. Właśnie to drobne pęknięcie jest równoznaczne z wyrokiem śmierci dla pisklęcia. Jeżeli piszczel zrośnie się w tym miejscu krzywo, staw skokowy będzie się układał pod niewłaściwym kątem, co uniemożliwi tyranozaurowi bieganie, a kto wie, czy w ogóle będzie on mógł stanąć na tej łapie. W dodatku będzie odczuwał bóle i zapewne zwyczajem drapieżników odgryzie sobie łapę, kiedy osiągnie zaledwie parę tygodni.

– Ale da się to nastawić? – zapytał Eddie.

– Oczywiście. Macie gips na opatrunek?

– Mamy diesterazę – rzekł Carr. – Zabrałem cały kilogram w stugramowych opakowaniach. Często używam tego zamiast kleju. Diesteraza to żywica poliestrowa, wiąże bardzo mocno.

– Świetnie. To go także zabije.

– Dlaczego?

– Przecież pisklę będzie rosło, Eddie. Po paru tygodniach stanie się dużo większe. Potrzebujemy czegoś mocnego, a jednocześnie niezbyt trwałego. Czegoś, co się wykruszy lub połamie najdalej po pięciu tygodniach, kiedy kość już się zrośnie. Nie znajdziesz czegoś innego.

Carr zmarszczył brwi.

– Muszę się zastanowić.

– Byle szybko.

– Doc, to brzmi jak jedno z twoich osławionych zadań testowych dla studentów – zwrócił się Eddie do Thorne'a. – Jak usztywnić złamaną łapę dinozaura, dysponując wyłącznie spinaczami do papieru i żywicą poliestrową?

– Tak sądzisz? – odparł Doc z chytrym uśmiechem.

Mimo niezwykłej sytuacji nie opuszczał go dobry nastrój. Zdawał sobie sprawę, że Carr zrobił to umyślnie, jakby chciał wziąć odwet w imieniu studentów, których Thorne maglował w ciągu trzydziestoletniej pracy na uczelni.

– Może dałoby się jakimś prostym sposobem zdegradować żywicę, na przykład za pomocą cukru.

– Nie – Doc pokręcił głową. – Grupy hydroksylowe sacharozy sprawią tylko tyle, że poliester stanie się kruchy. Utwardzi się normalnie, ale przy pierwszym uderzeniu rozsypie się niczym szkło.

– A gdybyśmy nałożyli żywicę na tkaninę nasączoną roztworem cukru?

– Chodzi ci o to, żeby bakterie stopniowo rozłożyły materiał?

– Tak.

– I żeby opatrunek z żywicy zaczął pękać dopiero po pewnym czasie?

– Zgadza się.

Thorne wzruszył ramionami.

– To mogłoby się udać, ale bez wstępnych prób trudno ocenić, jak długo stwardniała żywica trzymałaby się na łapie. Przedział jest olbrzymi, od paru dni do paru miesięcy.

– To za długo – wtrąciła Sara. – Pisklę będzie rosło bardzo szybko. Jeśli coś stanie na drodze normalnemu przyrostowi tkanek, zwierzę pozostanie z krótszą łapą.

– Przydałoby się coś, co narzuci odpowiednie tempo rozkładu tkaniny. Na przykład jakaś guma...

– Może być guma do żucia? – zapytał Arby. – Mam jej pod dostatkiem.

– Nie – odparł z uśmiechem Eddie. – Miałem na myśli zupełnie inną gumę, tworzywo sztuczne. Z chemicznego punktu widzenia diesteraza to...

– Lepiej nie wnikajmy w budowę chemiczną – przerwał mu Doc. – I tak nie znajdziemy odpowiednich surowców.

– Więc co nam pozostaje? Nie mamy przecież innych możliwości.

– A gdyby zrobić opatrunek tak, żeby miał różną wytrzymałość w różnych kierunkach? – podsunął Arby. – Wzdłuż byłby o wiele bardziej odporny na rozciąganie niż w poprzek.

– Nic z tego. Żywica jest homogenna. To przecież gęsta ciecz, która po wymieszaniu z utwardzaczem dość szybko staje się twarda jak kamień...

– Zaczekaj chwilę. – Thorne spojrzał na chłopca. – Wyjaśnij dokładniej, co miałeś na myśli.

– Sara mówi, że łapa będzie szybko rosła. Przede wszystkim zacznie się wydłużać, w czym sztywny opatrunek by jej nie przeszkadzał, ale także pogrubiać, i tu właśnie usztywnienie mogłoby doprowadzić do powstania deformacji. Dlatego pomyślałem, że gdyby rura uformowana z żywicy nie była odporna na rozpychanie...

– Świetny pomysł! Możemy tak dostosować strukturę opatrunku.

– Jak? – spytał Eddie.

– Zrobić usztywnienie dwuczęściowe, na przykład na folii aluminiowej. Chyba znajdziesz rolkę folii?

– Tak, ale nie wiem, czy nie będzie za słaba.

– To nie ma znaczenia, gdyż pokryjemy ją warstwą żywicy. – Thorne zwrócił się do Sary: – Możemy sporządzić taki opatrunek, żeby był bardzo odporny na naprężenia wzdłuż kości, lecz mało wytrzymały na rozpychanie. To tylko kwestia właściwego uformowania folii oraz żywicy. Zwierzę mogłoby wówczas normalnie chodzić, ale w miarę poszerzania się łapy, której przyrost powodowałby rozpychanie opatrunku, w którymś momencie żywica musiałaby

pęknąć i całe usztywnienie by spadło.

– Właśnie – przytaknął Arby.

– Dużo będzie z tym roboty?

– Raczej nie. Wystarczy przygotować kształtkę z folii aluminiowej i pokryć ją żywicą.

– A czym chcesz przytrzymać obie połówki opatrunku do czasu utwardzenia żywicy? – zapytał Eddie.

– Może gumą do żucia? – ponownie zaproponował chłopak.

– Niezły pomysł – przyznał Thorne z uśmiechem.

Mały tyranozaur poruszył się nagle, zaczął przebierać łapkami i uniósł łebek. Maska zsunęła mu się z pyszczka i pisklę zaskrzeczało żałośnie.

– Szybko, dajcie mi morfinę – błyskawicznie zareagowała Harding.

Ale Malcolm miał już przygotowaną strzykawkę i pospiesznie wbił igłę w szyję zwierzęcia.

– Teraz wystarczy tylko pięć mililitrów – oceniła Sara.

– Boisz się przedawkować? Najwyżej pośpi sobie dłużej.

– Ten malec jest w szoku, Ian. Zbyt duża dawka morfiny mogłaby go zabić. I lepiej też założyć mu z powrotem maskę tlenową. Podejrzewam, że zawartość adrenaliny w jego krwi jest bardzo wysoka.

– Jeśli on wytwarza adrenalinę – burknął matematyk. – Skąd wiesz, czy tyranozaury w ogóle produkują jakiekolwiek hormony? Szczerze mówiąc, nie wiemy prawie nic o tych zwierzętach.

W krótkofalówce zatrzeszczało.

– Mów za siebie, Ian, bo ja jestem pewien, że dinozaury muszą wytwarzać jakieś hormony. Bardzo wiele na to wskazuje. A przy okazji, skoro już tak troskliwie zajęliście się pisklęciem, to może byście pobrali próbkę jego krwi do analizy? Natomiast ty, Doc, spróbuj połączyć się ze mną przez telefon.

Malcolm westchnął ciężko.

– Ten facet zaczyna mi działać na nerwy.

Thorne przeszedł do kabiny furgonu i usiadł na prawym fotelu, przed którym w desce rozdzielczej znajdował się rozbudowany system elektronicznej łączności. Prośba Levine'a wydała mu się dziwna, ponieważ krótkofalówki do tej pory spisywały się bez zarzutu. Pomyślał jednak, że Richard chce wypróbować łączność innego rodzaju, gdyż urządzenie nie

zostało jeszcze przetestowane.

Podniósł słuchawkę i wybrał numer radiotelefonu.

– Słyszysz mnie?

– Doc, przejdę od razu do rzeczy – odparł Levine. – Przywiezienie tego pisklęcia do furgonu było wielkim błędem. Sami się dopraszacie o kłopoty.

– Uważasz, że coś nam grozi?

– Nie jestem pewien, ale właśnie tego się obawiam. Nie chciałem wszczynać alarmu, dlatego proszę cię na osobności, żebyś przywiózł dzieci do mnie na ambonę. Może byłoby lepiej, gdybyście ty i Eddie również tutaj przyjechali.

– Oględnie mówiąc, radzisz nam, byśmy się stąd wynosili do diabła?

– Owszem, dokładnie o to mi chodzi.

Wkrótce po otrzymaniu dawki morfiny mały tyranozaur parsknął raz i drugi, po czym legł bez ruchu na stole. Sara z powrotem założyła mu maskę tlenową. Spojrzała na monitor, żeby sprawdzić tętno, lecz Kelly i Arby znowu zasłaniali jej widok.

– Dzieci, odsuńcie się, proszę.

Thorne, który w tym momencie zjawił się ponownie w części laboratoryjnej, głośno klasnął w ręce.

– No dobra, dzieciaki. Zabieram was w teren. Chodźcie.

– Teraz? – zdziwił się Arby. – Chcieliśmy popatrzeć, jak to pisklę...

– Właśnie teraz – przerwał mu Doc. – Doktor Malcolm i doktor Harding potrzebują tu trochę wolnej przestrzeni. Zresztą i tak mieliśmy o tej porze wrócić na ambonę. Przez resztę popołudnia będziemy obserwować stada pasących się dinozaurów.

– Ależ Doc...

– Bez gadania. Ja kieruję wyprawą i teraz zarządzam wymarsz. – Thorne zwrócił się do Carra: – Eddie, pojedziesz z nami. Nie będziemy przeszkadzali tym dwóm papużkom nierozłączkom przy pracy.

Po kilku minutach cała czwórka wyszła z furgonu. Drzwi trzasnęły i zapadła cisza. Wkrótce cichy warkot silnika explorera zamilkł w oddali. Pochylona nad uśpionym pisklęciem Harding zapytała:

– Dlaczego nazwał nas nierozłączkami?

Malcolm wzruszył ramionami.

– To pewnie pomysł Levine'a.

– Myślisz, że to Richard poradził im zostawić nas samych?

– Raczej tak.

– Czyżby obawiał się czegoś?

Ian zachichotał.

– Tego jestem prawie pewien.

– Mniejsza z tym. Bierzmy się do roboty. Chcę jak najszybciej założyć ten opatrunek i odwieźć malca z powrotem do gniazda.

AMBONA

Zanim dojechali do podnóża wieży obserwacyjnej, słońce skryło się za nadciągającymi, nisko zawieszonymi chmurami. Cała dolina nad rzeką była skąpana w czerwonawym blasku ukośnie padających promieni. Eddie zaparkował wóz i wszyscy wspięli się po drabince na platformę. Levine stał przy barierce i patrzył przez lornetkę. Skrzywił się, jakby nie w smak mu było przybycie tylu osób.

– Przestańcie wreszcie łazić w kółko i trząść amboną – burknął poirytowany.

W przesyconym elektrycznością powietrzu czuło się nadciągającą burzę. Gdzieś daleko na północy zagrzmiało.

– Czyżby zbierało się na deszcz? – zapytała Kelly.

– Chyba tak – odparł Thorne.

Arby obrzucił krytycznym spojrzeniem ażurowy daszek stanowiska.

– Jak długo mamy tu siedzieć? – zapytał.

– Nie wiem – rzekł Doc. – W każdym razie nie zostaniemy tu na drugi dzień. Helikoptery przylecą po nas z samego rana. Właśnie dlatego przyszło mi do głowy, że powinniśmy wykorzystać okazję i jeszcze raz popatrzeć na dinozaury.

– A tak naprawdę to po co tu przyjechaliśmy? – zapytał sceptycznie Arby.

– Ja wiem – szepnęła tajemniczo Kelly.

– Wiesz? Po co?

– Bo doktor Malcolm chciał zostać z Sarą sam na sam, głupku.

– Dlaczego?

– Łączy ich długoletnia przyjaźń.

– I co z tego? Tylko z tego powodu musieliśmy zrezygnować z oglądania

pisklęcia?

– Nie rozumiesz. Ich naprawdę łączy bardzo głęboka przyjaźń.

– Aha, zaczynam się domyślać – mruknął Arby. – Wcale nie jestem taki głupi, jak ci się wydaje.

– Przestańcie wreszcie – syknął Levine, nawet na chwilę nie odrywając lornetki od oczu. – Przegapicie bardzo ciekawe zdarzenie.

– Jakie?

– Przyjrzyjcie się triceratopsom stojącym nad rzeką. Są wyraźnie zaniepokojone.

Stado przyszło do wodopoju. Początkowo zwierzęta spokojnie piły wodę, lecz teraz zaczęły niespodziewanie hałasować. Ich wysokie, piskliwe głosy kontrastowały z masywnymi, ciężkimi sylwetkami, przypominały żałosne skomlenie psów.

Arby podszedł do barierki.

– Coś tam jest, między drzewami na drugim brzegu rzeki – zauważył.

Rzeczywiście, pod osłoną drzew przesuwały się jakieś cienie.

Triceratopsy zbiły się w ciasną gromadkę i przywarły zadami do siebie, wystawiając na zewnątrz długie, ostre rogi. Szyk zwierząt przygotowanych do odparcia ataku niewidocznych jeszcze drapieżników przypominał wieloramienną gwiazdę, pośrodku której znalazło się najmłodsze, głośno popiskujące ze strachu. Jedno z dorosłych, prawdopodobnie matka, obróciło łeb i delikatnie dźgnęło rogami młode, które natychmiast umilkło.

– Widziałam je – odezwała się Kelly, spoglądając w drugi koniec doliny. – To raptory. O, są tam.

Triceratopsy pospiesznie ustawiły się przodem do napastników. Porykiwały głośniej i odstraszająco kiwały łbami w górę i w dół. Utworzyły żywą barierę, groźnie nastawiając rogi. Doskonale było widać świetną koordynację poczynań stada wobec groźby ataku.

– Jeszcze nigdy nie odkryto śladów podobnych zmagań – rzekł radośnie Levine, uśmiechając się szeroko. – Większość paleontologów do dziś nie wierzy, że dinozaury mogły reagować w ten sposób.

– To naprawdę coś wyjątkowego? – zapytał Arby.

– Owszem. Mam na myśli stadną obronę przed drapieżnikami. Dotyczy to zwłaszcza triceratopsów, które są spokrewnione z nosorożcami, dlatego uważa się powszechnie, że wiodły samotniczy tryb życia, tak jak one. Ale teraz nie ulega wątpliwości... Oho! Uwaga!

Spomiędzy drzew na otwartą przestrzeń wybiegł jeden welociraptor. Poruszał się długimi susami, balansując w powietrzu wielkim ogonem.

Na jego widok triceratopsy zaryczały jeszcze głośniej. Pozostałe raptory

ciągle kryły się w cieniu drzew. Przewodnik stada drapieżców skręcił w bok, szerokim łukiem dotarł do rzeki i śmiało wszedł do wody. Bez trudu przepłynął na drugi brzeg i wyszedł jakieś pięćdziesiąt metrów od stada triceratopsów, które nie rozluźniając szyków obronnych, bez przerwy odwracały się do niego przodem. Cała ich uwaga skierowana była na samotnego welociraptora.

Dopiero teraz pozostałe drapieżniki zaczęły kolejno wychodzić z ukrycia. Podchodziły z głowami pochylonymi ku ziemi, żeby nie było ich z daleka widać w wysokiej trawie.

– Jezu... – mruknął Arby. – One naprawdę chcą zaatakować.

– I to całym stadem naraz – dodał Levine, kiwając głową.

Podniósł z podłogi stanowiska fragment opakowania po batoniku i puścił go za barierką, sprawdzając w ten sposób kierunek wiatru.

– Tak myślałem. Stado zbliża się od zawietrznej, żeby triceratopsy nie mogły ich zwęszyć. – Ponownie uniósł lornetkę do oczu. – Chyba będziecie mieli okazję podziwiać przebieg polowania.

Wszyscy z zapartym tchem obserwowali skradające się raptory. Niespodziewanie ponad urwistą krawędzią wyspy niebo rozjaśniła błyskawica, zalewając dolinę jaskrawym, upiornym światłem. Jeden z drapieżników, widocznie zaskoczony, wyprostował się i uniósł łeb ponad trawę.

Jak na komendę triceratopsy zaczęły się przegrupowywać, utworzyły tym razem zasłonę w kształcie klina. Wszystkie raptory przystanęły, jakby chciały obmyślić nową taktykę.

– Co się stało? – zapytał Arby. – Czemu stanęły?

– Ich plan się nie powiódł.

– Dlaczego?

– Patrz uważnie – odparł Levine. – Zostały za wcześnie wykryte, nie zdążyły się nawet przeprawić przez rzekę. Są za daleko, żeby skutecznie zaatakować.

– Czy to znaczy, że się wycofają?

– Na to wygląda.

Niemal wszystkie raptory już się wyprostowały, wystawiając łby nad trawę. Widok całego stada drapieżników pobudził triceratopsy do głośniejszych porykiwań. Welociraptory doszły chyba do wniosku, że sytuacja jest dla nich niepomyślna, gdyż jeden po drugim zaczęły się wycofywać z powrotem między drzewa. Triceratopsy żegnały je chóralnym rykiem.

Niespodziewanie przewodnik stada, czekający dotąd na brzegu rzeki,

ruszył samotnie do ataku. Pędził ze zdumiewającą prędkością, chyba dorównującą szybkości geparda – niemal w mgnieniu oka pokonał pięćdziesiąt metrów dzielące go od wielkich roślinożerców. Powolne olbrzymy nie zdążyły się przegrupować i mały triceratops znalazł się nagle w niebezpieczeństwie. Zaskowyczał żałośnie na widok pędzącego drapieżnika.

Welociraptor skoczył wysoko w powietrze, niczym kangur odbijając się obiema łapami. Po raz kolejny niebo przecięła błyskawica i w jej świetle zabłysły wysunięte daleko do przodu zakrzywione szpony. W ostatniej chwili stojący najbliżej triceratops zdążył obrócić łeb, wziął szeroki zamach i trafił rogami w bok szarżującego drapieżcy. Raptor wylądował plecami w nadbrzeżnym błocie. Teraz olbrzym ruszył do ataku, zadzierając wysoko głowę. Zbliżywszy się do napastnika, pochylił łeb, zamierzając widocznie rozpruć znacznie mniejszego raptora ostrymi rogami. Ten jednak był szybszy. Z głośnym wrzaskiem poderwał się z ziemi i triceratops w pędzie zarył rogami w błoto. Drapieżnik odskoczył w bok, zamachnął się tylną łapą na głowę olbrzyma i głęboko rozciął mu skórę na pysku ostrym jak brzytwa szponem. Triceratops zaryczał głośno, lecz już dwa inne olbrzymy pędziły mu z odsieczą, podczas gdy pozostałe na nowo uformowały szyk obronny wokół młodego zwierzęcia. Raptor zawrócił i błyskawicznie się oddalił, znikając w wysokiej trawie.

– Rety... – mruknął Arby. – To było coś!

STADO

King głośno odetchnął z ulgą, kiedy dotarł do rozwidlenia dróg na szczycie wzgórza. Skręcił w lewo i pojechał wzdłuż grzbietu znacznie szerszą, choć bardziej błotnistą ścieżką. Rozpoznał też okolicę, był pewien, że właśnie tędy zmierzali wcześniej, kierując się w głąb wyspy. Spojrzał w lewo, na zwężającą się stopniowo dolinę, którą płynęła rzeka. Widział stąd kuter zacumowany u jej ujścia. Ogarnęła go radość. Krzyknął cicho dla dodania sobie animuszu i jeszcze przyspieszył, czując, jak opuszcza go nerwowe napięcie. Dostrzegał nawet kostarykańskich rybaków stojących na pokładzie i gapiących się w niebo. Mimo nadciągającej burzy nie szykowali się jeszcze do podniesienia kotwicy. Widocznie postanowili czekać na powrót Dodgsona.

Wspaniale – pomyślał – powinienem tam dotrzeć już za kilka minut.

Opanowawszy nerwy, postanowił rozejrzeć się uważniej. Droga prowadziła szczytem długiego wulkanicznego grzbietu, nieco rzadziej porośniętego dżunglą niż niżej położone tereny. A ponieważ wiodła zakosami, co jakiś czas otwierał się przed nim widok na rozległą dolinę w centralnej części wyspy. Na wschodnim krańcu zwężała się lejkowato – tam, gdzie rzeka dopływała do urwistych skał klifu i gdzie stał przycumowany kuter. Daleko na zachodzie widać było zabudowania dawnego laboratorium, King dostrzegł nawet należący do Malcolma furgon z przyczepą, stojący na skraju rozległej polany, kilkadziesiąt metrów od gigantycznej hali.

Mimo wszystko nie udało nam się zwąchać, co oni tutaj robią – pomyślał. Ale teraz to już nie miało znaczenia. Za żadne skarby nie zrezygnowałby z planu natychmiastowego opuszczenia wyspy. W wyobraźni już czuł kołysanie pokładu pod stopami. Zamarzyła mu się puszka schłodzonego piwa, przy której mógłby pożegnać tę przeklętą wyspę i z nadzieją spojrzeć na otwarte morze. A także wznieść toast za spokój duszy Dodgsona.

Zatem lepiej byłoby mieć dwie puszki piwa.

Kiedy wyjechał zza zakrętu, ujrzał stado dinozaurów blokujące mu dalszą drogę. Były to zielone zwierzęta mające około półtora metra wysokości, o głowach hełmiasto wydłużonych ku tyłowi i zwieńczonych parą niewielkich, zakrzywionych rogów, podobnych do poroża azjatyckich bawołów. Stado liczyło dziesiątki sztuk. King wdepnął hamulec i zatrzymał jeepa.

Dinozaury popatrzyły na samochód, lecz nie ruszyły się z miejsca. Stały bez ruchu, jakby odpoczywały po wyczerpującym przemarszu. King odczekał parę minut, nerwowo bębniąc palcami o koło kierownicy. Wreszcie, zniecierpliwiony, nacisnął klakson i zamrugał światłami.

Zwierzęta leniwie obróciły głowy w kierunku pojazdu.

Wyglądały dość zabawnie, ponieważ na szczycie głowy, między dłuższymi rogami, wyrastało im kilka mniejszych. Patrzyły na samochód mętnymi ślepiami, których głupawy wyraz upodabniał je do krów. King włączył pierwszy bieg i ruszył powoli, mając nadzieję, że zdoła jakimś sposobem przeprowadzić jeepa między dinozaurami. Te jednak ani na metr nie chciały zejść mu z drogi. Kiedy przedni zderzak trącił w bok najbliższe zwierzę, ryknęło donośnie, cofnęło się o parę kroków i z impetem natarło

na intruza. Rogi z głośnym hukiem uderzyły o osłonę chłodnicy.

Jezu – pomyślał King – tylko tego mi brakowało, żeby uszkodziły jeepa. Zahamował szybko, lecz nie wyłączał silnika. Zwierzęta znowu przestały zwracać na niego uwagę.

Niektóre z nich leżały na środku wąskiej drogi, nie było ich jak objechać. Po raz kolejny zerknął w bok, na kuter zacumowany u ujścia rzeki. Dzieliło go od niego nie więcej niż pięćset metrów. Nawet nie przypuszczał, że jest już tak blisko. Ale ku swemu zdumieniu zauważył, że rybacy zaczęli się krzątać na pokładzie. Obracali i składali ramię dźwigu, szykowali się do podniesienia kotwicy.

Do diabła z tym – pomyślał King. Otworzył drzwi i wysiadł, postanowiwszy zostawić samochód na środku drogi. Zwierzęta nagle poderwały się na nogi, najbliższe ruszyły do ataku. W ostatniej chwili zdołał się zasłonić otwartymi drzwiami auta. Zwierzę huknęło w nie rogami, silnie wgniatając blachę. King zdołał odskoczyć i paroma susami dopadł skraju drogi. Tu jednak stanął jak wmurowany, teren opadał niemal pionowym urwiskiem dobre trzydzieści metrów w dół. Nieco dalej stromizna zbocza była znacznie łagodniejsza, ale dinozaury szarżowały na niego całą ławą. Skoczył z powrotem na drogę, kryjąc się za samochodem. Pędzące za nim zwierzę uderzyło rogami w karoserię, dokoła posypały się kawałki plastikowej osłony świateł.

Kolejny dinozaur przezornie ominął auto szerokim łukiem i King, chcąc nie chcąc, pospiesznie wdrapał się na umocowane z tyłu koło zapasowe. Zwierzę trafiło w tylny zderzak, a impet uderzenia zwalił Kinga na ziemię. Stado zielonych dinozaurów zaczęło głośno parskać. Błyskawicznie poderwał się na nogi i pobiegł w drugą stronę, gdzie teren wznosił się dość łagodnie. Wpadł między drzewa i pognał pod górę. Zaraz jednak przystanął, gdyż zwierzęta wcale nie zamierzały go ścigać. Co z tego, skoro znajdował się po niewłaściwej stronie drogi.

Za wszelką cenę musiał się przez nią przedostać.

Wdrapał się jeszcze trochę wyżej i poszedł równolegle do drogi, klnąc pod nosem. Postanowił przedrzeć się jakieś sto metrów na północ, żeby łukiem ominąć wrogo nastawione dinozaury, a tam przedostać się przez drogę i zejść w dolinę.

Znalazł się jednak w gęstej dżungli. Zaczął brnąć, potykając się i osuwając po błotnistym zboczu. Kiedy dźwignął się na nogi po kolejnym upadku, nie był już wcale pewien, w którą stronę ma się skierować. Stanął wreszcie na szczycie stromej skarpy, gęsto porośniętej trzymetrowej wysokości palmami o nadzwyczaj grubych pniach. Ich liście ograniczały

widoczność do kilku metrów. Momentalnie ogarnęła go panika. Zaczął się przedzierać na oślep, rozgarniając rękoma ociekające wodą liście. Pozostała mu tylko nadzieja, że zdoła się jakoś wydostać na otwartą przestrzeń.

Dzieci nadal z zainteresowaniem spoglądały w głąb doliny, śledząc grupowy odwrót welociraptorów, toteż Thorne odciągnął Levine'a na bok i zapytał szeptem:

– Dlaczego nalegałeś, żebyśmy wszyscy tu przyjechali?

– Ze zwykłej ostrożności. Przywożąc małego tyranozaura do furgonu, naprawdę naraziliście się na kłopoty.

– Jakiego rodzaju?

Levine wzruszył ramionami.

– Trudno dokładnie powiedzieć, ale jestem pewien, że rodzice nie będą zachwyceni, kiedy odkryją, iż jedno pisklę zniknęło z gniazda. A nie zapominaj, że to pisklę bardzo wielkich i silnych rodziców.

Za ich plecami Arby zawołał:

– Spójrzcie tam!

– Co widziałeś? – spytał szybko Levine.

– Człowieka.

Przerażony King całkiem niespodziewanie wybiegł z dżungli i znalazł się na równinie. Nie miał pojęcia, jak tu dotarł, ale wreszcie mógł się zorientować w terenie. Stanął, żeby zaczerpnąć tchu. Całe ubranie miał przemoczone i uwalane błotem.

Poczuł się rozczarowany, że do kutra ma jeszcze spory kawałek drogi. W rzeczywistości wciąż znajdował się po niewłaściwej stronie grzbietu. Płynąca przed nim rzeka zakręcała szerokim łukiem na wschód, oba jej brzegi porastała wysoka trawa. W pewnej odległości dostrzegł stado dużych dinozaurów. Rozpoznał rogate stworzenia: to były triceratopsy. Sprawiały wrażenie zaniepokojonych. Olbrzymy energicznie kiwały łbami w górę oraz w dół i wydawały z siebie odgłosy przypominające szczekanie psów.

Uzmysłowił sobie, że powinien iść wzdłuż rzeki, która niechybnie doprowadzi go do kutra. Musiał jednak okrążyć groźnie wyglądające

triceratopsy. Sięgnął do kieszeni, wyjął paczkę herbatników i zaczął je rozpakowywać, uważnie obserwując zwierzęta. Marzył o tym, żeby stado odeszło w głąb doliny. Jednocześnie zastanawiał się, ile czasu może mu zająć dotarcie do stateczku. Nie potrafił myśleć o niczym innym. W końcu ruszył, nie bacząc na triceratopsy. Szedł energicznym krokiem, przedzierając się przez wysoką trawę.

Nagle usłyszał głośne syczenie jakiegoś gada. Dochodziło gdzieś z lewej strony. Jednocześnie poczuł intensywny, odrażający fetor zgnilizny. Przystanął, zaskoczony. Odniósł wrażenie, że ugryziony herbatnik zaczyna mu rosnąć w ustach.

Za jego plecami rozległ się głośny plusk.

Widocznie jakieś zwierzę wskoczyło do rzeki – pomyślał King, odwracając się szybko w tamtym kierunku.

– To jeden z tych, którzy jechali jeepem – rzekł Arby, zaciskając palce na poręczy ambony. – Na co on czeka?

Z umieszczonego wysoko stanowiska obserwacyjnego widać było doskonale sylwetki raptorów skradających się w wysokiej trawie na przeciwległym brzegu rzeki. Dwa podążające przodem drapieżniki dotarły właśnie do rzeki i śmiało weszły do wody. Zmierzały prosto w kierunku samotnego człowieka.

– Och, nie... – jęknął chłopak.

King dostrzegł dwa pasiaste jaszczury biegnące przez trawę za rzeką. Gnały susami, mocno odbijając się od ziemi silnymi, tylnymi łapami. Ich rozmazane sylwetki przesuwały się po gładkim lustrze wody. Zwierzęta kłapały paszczami i głośno syczały, obracając łby w jego kierunku.

Spojrzał w głąb doliny i zauważył, że inne dinozaury przepływają na tę stronę kilkadziesiąt metrów dalej w górę rzeki. Następne wyłaniały się z trawy i wchodziły do wody.

Szybko zawrócił i zaczął się oddalać od rzeki, idąc ku porośniętej drzewami skarpie. Po chwili przyspieszył, ruszył biegiem. Dyszał ciężko, przedzierając się przez sięgającą mu do piersi trawę. Niespodziewanie przed

nim wyłonił się z niej kolejny jaszczur, warknął i zasyczał głośno. King wtulił głowę w ramiona i skręcił w bok. Zwierzę skoczyło nagle wysoko w powietrze. Całkowicie wynurzyło się z trawy i poszybowało łukiem w jego kierunku, wysuwając do przodu wielkie łapy. King dostrzegł długie, zakrzywione, wymierzone w niego szpony.

Dał nura w bok i zwierzę z głośnym skrzekiem wylądowało na ziemi za jego plecami, z pewnym trudem łapiąc równowagę. Rzucił się do ucieczki, ogarnął go przemożny strach. Za nim drapieżnik ponownie zawarczał. King miał do pokonania nie więcej niż dwadzieścia metrów trawiastej równiny, dalej zaczynała się dżungla. Z nadzieją spoglądał na wysokie drzewa, na które można się było wdrapać i znaleźć schronienie przed napastnikami.

Po lewej z trawy wyłonił się następny jaszczur, gnał susami, chcąc przeciąć człowiekowi drogę. Zwierzę poruszało się niezwykle szybko. King widział tylko jego łeb pojawiający się nad trawą przy każdym susie. Przemknęło mu przez głowę, że nie zdąży dobiec do lasu.

Pędził jednak dalej.

Dysząc ciężko, rwał ile sił w nogach ku zbawiennej dżungli, od której dzieliło go już zaledwie dziesięć metrów. Serce waliło mu jak młotem, spięte mięśnie odzywały się bólem, w piersiach brakło tchu.

Nagle coś ciężkiego zwaliło mu się na plecy. King runął na ziemię. Dotkliwe pieczenie między łopatkami uzmysłowiło mu, że dosięgnęły go ostre szpony drapieżnika, które musiały głęboko rozorać skórę. Usiłował się przetoczyć na bok, lecz dinozaur zdążył go przygwoździć do ziemi swoim ciężarem. King leżał bezsilnie na brzuchu, słuchając złowieszczego warczenia nad głową. Ból w plecach stawał się nie do zniesienia, wręcz przyprawiał o mdłości.

Po chwili King poczuł na karku gorący oddech zwierzęcia, usłyszał jego głośne parskanie i ogarnęło go śmiertelne przerażenie, które jednak szybko zniknęło, ustępując miejsca wszechogarniającemu znużeniu i dziwnej ospałości. Zdawało mu się, że czas stanął w miejscu. Jak we śnie dostrzegł wyostrzony obraz pojedynczych źdźbeł trawy wyrastającej z ziemi na wprost twarzy, ów widok wypełnił wszystkie jego myśli. Ze stoickim spokojem King przyjął ostry ból w karku, jak przez mgłę dotarło do niego, że zęby drapieżnika wbijają mu się w szyję. Miał wrażenie, że jest tylko postronnym świadkiem śmierci kogoś innego, jakby znajdował się gdzieś daleko stąd. Ogarnęło go jedynie chwilowe zdumienie, kiedy rozległ się głośny trzask, z jakim pękły kręgi jego szyi...

A potem ogarnęła go nieprzenikniona ciemność.

Zapadł się w otchłań.

– Nie patrzcie na to – rzekł Thorne, odciągając Arby'ego od barierki.

Objął chłopca rękoma i wtulił jego twarz w swoją koszulę, lecz Arby obrócił głowę i wyswobodził się z uścisku, jakby chciał nasycić oczy tym przerażającym widokiem. Doc tak samo chciał przytulić Kelly, lecz dziewczyna również się odsunęła, spoglądając jak zauroczona w głąb doliny.

– Nie patrzcie na to – powtórzył cicho Thorne.

Ale dzieciaki stały w milczeniu jak posągi, chłonąc grozę obserwowanej sceny.

Levine przyglądał się wszystkiemu przez lornetkę. Nad ciałem zabitego zgromadziło się błyskawicznie pięć raptorów, zwierzęta energicznie rozszarpywały ofiarę na strzępy. Jeden z drapieżników poderwał wysoko łeb, z paszczy zwisały mu kawałki przesiąkniętej krwią koszuli, dało się nawet rozpoznać jej kołnierzyk. Drugi raptor potrząsnął głową, zaciskając zęby na oderwanej ręce człowieka. Zabrzmiał grom, niebo rozcięła kolejna błyskawica. Robiło się coraz ciemniej i już po kilku minutach Levine nie mógł dojrzeć przez lornetkę szczegółów krwawej uczty. Nie miał jednak żadnych wątpliwości, że hierarchia stada raptorów, doskonale widoczna podczas łowów, traciła na znaczeniu zaraz po upolowaniu ofiary.

Teraz każde zwierzę było zdane tylko na siebie. Podekscytowane raptory skakały wysoko w powietrze, podbiegały to z tej, to z tamtej strony, próbując się dopchać do żeru. W tym ferworze wszczynały walki, atakowały się wzajemnie i zadawały sobie rany. W pewnym momencie jedno ze zwierząt uniosło wysoko łeb, zaciskając szczęki na czymś połyskującym mętnawo. Po chwili odwróciło się tyłem do reszty stada, wyjęło przedmiot z pyska i obejrzało go ciekawie, obracając w krótkich przednich łapach. Mimo zapadających ciemności Levine rozpoznał błyszczące opakowanie po herbatnikach. Raptor szybko wetknął je z powrotem do pyska, widocznie ciastka mu posmakowały.

Kilka sekund później odwrócił się ponownie i wepchnął łeb między inne ucztujące drapieżniki. Z całej doliny nadciągały pozostałe raptory, jedne pędziły przez wysoką trawę, inne gnały susami, skacząc wysoko w powietrze.

Wszystkie warczały głośno i z furią rzucały się między pobratymców, byle tylko dopaść choć kawałek żeru.

Levine opuścił lornetkę i spojrzał na dzieci. Kelly i Arby w spokoju, z kamiennymi twarzami przyglądali się krwawej uczcie.

DODGSON

Lewis ocknął się wśród piskliwego zgiełku, jakby wokół niego ćwierkało duże stado ptaków. Dźwięki zdawały się dochodzić ze wszystkich stron naraz. Uświadomił sobie, że leży na wznak na przesiąkniętym wodą gruncie stromej pochyłości. Spróbował się poruszyć, lecz całe jego ciało przeszył ostry ból. Odnosił wrażenie, że jakiś ogromny ciężar przygniata mu nogi, brzuch i klatkę piersiową. Zwłaszcza na piersiach odczuwał go dotkliwie, gdyż z trudem mógł nabrać powietrza w płuca.

W dodatku czuł przemożne zmęczenie, ogarniała go senność. O niczym innym nie marzył, tylko o tym, żeby się zawinąć w kołdrę i ponownie zasnąć. Zaczął się z powrotem zapadać w nieświadomość, kiedy dotarło do niego, że coś go ciągnie za rękę – ściskało i próbowało wyszarpnąć po kolei każdy palec. Jednocześnie to wrażenie zdawało się go z powrotem usypiać, niczym wyszukana pieszczota.

Otworzył oczy.

Przy jego wyciągniętej ręce stał niewielki zielony dinozaur. Pochylał się, obejmował pyszczkiem palec i ciągnął delikatnie, jakby chciał go oderwać od dłoni. Dodgson spostrzegł ze zdumieniem, że całą dłoń ma zakrwawioną, a skórę na palcach poszarpaną.

Przysunął rękę do ciała. W jednej chwili głośne ćwierkanie przybrało jeszcze na sile. Z wysiłkiem obrócił głowę i zauważył, że wszędzie dokoła aż się roi od takich samych małych, zielonych stworzeń. Niektóre stały na jego piersiach, inne na nogach. Były wielkości kurczaków i tak jak ptaki skubały go w wielu miejscach, wyrywając kawałeczki ciała z brzucha, ud, krocza...

Przerażony Dodgson poderwał się na nogi, zrzucając z siebie zwierzęta, które rozbiegły się nieco, ćwierkając z przejęciem. Ale odskoczyły od niego zaledwie na parę kroków, żeby z bezpiecznej odległości uważnie go obserwować, przekrzywiając łebki. W ogóle nie okazywały strachu, wydawały się cierpliwie na coś czekać.

Dopiero teraz dotarło do niego, że jest otoczony przez stado prokompsognatów.

Padlinożerców!

Jezu – pomyślał – te małe ścierwojady myślały, że nie żyję.

Zachwiał się silnie, o mało nie stracił równowagi. W całym ciele odczuwał dojmujący ból, ogarniały go fale silnych mdłości. Zwierzęta ćwierkały, podekscytowane, z uwagą obserwując każdy jego ruch.

– No już! Sio! – mruknął, machając ręką. – Wynoście się stąd!

Nie przyniosło to żadnego rezultatu. Prokompsognaty nadal przyglądały mu się uważnie, przekrzywiając łebki.

Z trudem pochylił głowę i spojrzał na swoje ciało. Całą koszulę i spodnie miał porozrywane w wielu miejscach, z setek drobnych ran sączyła się krew, którą ubranie było już przesiąknięte. Opanowały go tak silne mdłości, że zgiął się w pół, opierając dłonie o kolana. Raz i drugi zaczerpnął głęboko powietrza, wreszcie rozejrzał się dokoła – po śladach krwi na zeschniętych liściach można było dokładnie odtworzyć pozycję, w jakiej spoczywał na ziemi.

Jezu – pomyślał, starając się opanować nudności.

Zwierzęta ostrożnie zaczęły do niego podchodzić, lecz kiedy się wyprostował, z powrotem odskoczyły na bezpieczną odległość. Ale już po paru sekundach znów powoli zbliżały się do niego.

Dodgson upatrzył najśmielszego prokompsognata i wymierzył mu solidnego kopniaka, posyłając zwierzę wysoko w powietrze. Rozległ się rozpaczliwy pisk, lecz dinozaur niczym kot okręcił się w locie i wylądował na czterech łapach, by zaraz się wyprostować i dołączyć do reszty stada.

Pozostałe nawet się nie poruszyły.

Wciąż czekały cierpliwie.

Rozejrzał się dokoła. Spostrzegł, że zapada zmierzch. Popatrzył na zegarek: była szósta czterdzieści. Zostało mu zaledwie parę minut światła dziennego. Ale tu, pod zwartą pokrywą listowia drzew, już teraz było prawie całkiem ciemno.

Musiał jak najszybciej znaleźć jakieś bezpieczne schronienie. Zerknął na kompas przymocowany do paska zegarka i ruszył na południe. Był pewien, że właśnie tam płynie rzeka. Chciał dotrzeć z powrotem do kutra, gdyż tylko na pokładzie czułby się zupełnie bezpieczny.

Prokompsognaty zaćwierkały z przejęciem i całym stadem poszły za nim.

Nie podchodziły bliżej niż na dwa metry, ale czyniły mnóstwo hałasu, z głośnym popiskiwaniem przedzierając się przez gęste zarośla. Stado musiało liczyć kilkadziesiąt sztuk, a oczy każdego zwierzęcia zaczynały połyskiwać zielonkawo w zapadających ciemnościach.

Dodgson, cały obolały, dotkliwie odczuwał każdy krok. Miał też kłopoty z utrzymaniem równowagi. Nieustannie tracił krew i ogarniała go przemożna senność. Dopadły go obawy, że w ogóle nie zdoła się dowlec nad rzekę, że da radę przejść jeszcze najwyżej kilkaset metrów. Potknął się o wystający korzeń i runął jak długi. Z olbrzymim wysiłkiem stanął z powrotem na nogach, nie próbując nawet otrzepać suchych liści, które przykleiły się do przesiąkniętego krwią ubrania.

Spojrzał na stado idących za nim zielonych padlinożerców, jakby chciał ich widokiem zmusić się do wzmożonego wysiłku. Postanowił iść, dopóki starczy mu sił. Niespodziewanie dostrzegł przed sobą jakieś światło migające przez gęstwinę listowia. Czyżby znajdował się tak blisko kutra? Przyspieszył kroku, jakby poganiany wzmożonym ćwierkaniem prokompsognatów.

Wyszedł nagle spomiędzy drzew i ujrzał przed sobą niewielką budkę, jakby szopę na narzędzia bądź wartownię, zbudowaną z betonowych płyt i przykrytą blaszanym daszkiem. W ścianie był umieszczony prostokątny otwór okienny, przez który ze środka wydostawało się światło. Przewrócił się po raz drugi, z trudem podniósł na kolana i popełznął na czworakach w stronę schronienia. Dotarł do wejścia, z wysiłkiem sięgnął do klamki i nacisnął ją. Drzwi się uchyliły.

Niewielkie pomieszczenie było puste, z betonowej podłogi wystawały końce kilku rur. Widocznie kiedyś znajdowało się tu jakieś urządzenie, które później usunięto. Zostały jedynie zardzewiałe śruby zalane w betonowym postumencie, do których nieznana maszyna była przytwierdzona.

W samym rogu budki umieszczono pojedynczą lampę, włączaną przez mechanizm zegarowy. To dlatego zapalała się po zmroku. Dodgson zdziwił się przelotnie, że na wyspie ciągle jest prąd. Szybko jednak o tym zapomniał. Wszedł na czworakach do budki, starannie zamknął za sobą drzwi i osunął się na betonową posadzkę. Przez pokrytą zaciekami szybę widział prokompsognaty, które podskakiwały wysoko, aż do ramy okna, lecz odbijały się od tafli szkła. Dodgson ocenił, że tutaj nic mu nie grozi.

Zdawał sobie sprawę, że powinien iść dalej, że musi szukać jakiegoś sposobu wydostania się z tej przeklętej wyspy. Ale na razie nie miał sił.

Wszystko musiało zaczekać.

Nawet zmartwienia postanowił odłożyć na później.

Przycisnął policzek do zimnego betonu i niemal natychmiast zapadł

w sen.

FURGON

Sara Harding starannie uformowała podkładkę z folii aluminiowej wokół złamanej łapy małego tyranozaura. Pisklę było wciąż nieprzytomne, spoczywało bez ruchu, ale oddychało miarowo. Przez maskę z cichym sykiem sączył się tlen.

Utworzyła wreszcie dopasowaną rynienkę długości piętnastu centymetrów i grubym pędzlem zaczęła nanosić na nią gęstą żywicę.

– Ile raptorów jest na wyspie? – zapytała. – Obserwowałam je w trakcie polowania, ale nie widziałam dokładnie całego stada. Naliczyłam dziewięć sztuk.

– Prawdopodobnie jest ich więcej – odparł Malcolm – co najmniej czternaście.

– Czternaście? – zdziwiła się Harding. – Na tak małej wyspie?

– Owszem.

Żywica roztaczała intensywny, ostry zapach, podobny do woni szybkoschnącego kleju. Mimo to Sara starannie rozprowadzała ją po folii.

– Wiesz, co myślę? – powiedziała.

– Wiem. Że jest ich za dużo.

– O wiele za dużo, Ian – odparła, nie podnosząc głowy. – To po prostu niemożliwe. W Afryce duże drapieżniki obejmują w posiadanie rozległe tereny łowieckie, w przybliżeniu jedna lwia rodzina przypada na dziesięć czy nawet piętnaście kilometrów kwadratowych sawanny. Żaden ekosystem nie wytrzyma większego zagęszczenia mięsożerców. Na takiej wysepce znajdzie się wyżywienie najwyżej dla pięciu welociraptorów. Potrzymaj tutaj.

– Masz rację, ale nie zapominaj, że ofiary raptorów są z reguły ogromne... Niektóre ważą po dwadzieścia lub trzydzieści ton.

– Nie przemawiają do mnie te liczby, załóżmy jednak, że przyjmę twoją argumentację i podwoję ostrożne szacunki. Jest tu miejsce dla dziesięciu raptorów, ty zaś twierdzisz, że stado liczy co najmniej czternaście sztuk. A przecież w dżungli żyją inne drapieżniki, chociażby tyranozaury...

– Zgadza się.

– Tak czy inaczej, drapieżników jest za dużo. – Sara z niedowierzaniem

pokręciła głową.

– Bo i dużo jest zwierząt, na które mogą polować – odparł Malcolm.

– Wcale nie. Według ogólnych danych dotyczących mięsożerców, na przykład indyjskich tygrysów czy afrykańskich lwów, można przyjąć, że jeden drapieżnik powinien przypadać na dwieście potencjalnych ofiar. Na tej podstawie łatwo wyliczyć, że do wykarmienia na wyspie dwudziestu pięciu mięsożerców potrzebnych byłoby co najmniej pięć tysięcy zwierząt roślinożernych. Jest ich aż tyle?

– Nie.

– Na ile oceniasz sumaryczną liczbę zwierząt zamieszkujących wyspę?

Matematyk wzruszył ramionami.

– Najwyżej kilkaset sztuk, może pięćset.

– A zatem mamy nawet przytłaczający nadmiar drapieżników, Ian. Przytrzymaj opatrunek, przysunę lampę.

Sara przyciągnęła lampkę na przegubowym ramieniu, żeby jej ciepło szybciej utwardziło żywicę. Poprawiła też maskę tlenową obejmującą pyszczek małego dinozaura.

– Wynika stąd jasno, że ekosystem wyspy nie jest w stanie wyżywić aż tylu drapieżników. Dlaczego więc jest ich aż tak dużo?

– Znajdujesz jakieś wytłumaczenie?

Harding przecząco pokręciła głową.

– Chyba że jest jakieś źródło pokarmu, o którym nic jeszcze nie wiemy.

– Masz na myśli źródło stworzone przez człowieka? Nie wierzę, żeby coś takiego istniało.

– Nie o tym myślałam. Zwierzęta dokarmiane szybko stają się leniwe, a tutejsze drapieżniki wcale takie nie są. Tylko jedna ewentualność przychodzi mi do głowy. Moje szacunki byłyby błędne, gdyby śmiertelność roślinożerców odbiegała od przeciętnej. Jeśli dinozaury rosną bardzo szybko albo częściej giną w młodym wieku, mamy właśnie to dodatkowe źródło pokarmu dla drapieżników, które należałoby uwzględnić w obliczeniach.

– Zwróciłem uwagę, że nawet największe zwierzęta wydają się tu mniejsze od tych, które rekonstruujemy na podstawie wykopalisk. Można by sądzić, że w ogóle nie osiągają wieku dojrzałego. To by się zgadzało z twoim wnioskiem, że giną masowo jeszcze za młodu.

– Możliwe – odparła Sara. – Lecz gdyby rzeczywiście śmiertelność zwierząt na wyspie odbiegała od przeciętnej, wszędzie widzielibyśmy na to dowody. Spotykałoby się nie tylko szczątki ofiar drapieżników, lecz także całe szkielety pozostałe po padłych roślinożercach. Natknąłeś się na takie znaleziska?

Malcolm pokręcił głową.

– Jeśli już o tym mowa, to do tej pory nie natknęliśmy się jeszcze na żaden szkielet.

– Ja też żadnego nie widziałam. – Odsunęła lampkę. – A więc jednak na tej wyspie dzieje się coś dziwnego, Ian.

– Wiem o tym.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Podejrzewałem coś takiego od samego początku.

Zagrzmiało. Na widocznej z ambony trawiastej równinie nie było żadnych zwierząt, tylko z daleka dobiegało warczenie podekscytowanych raptorów.

– Chyba powinniśmy już wracać – odezwał się Eddie.

– Po co? – zapytał Levine.

Zamienił lornetkę na urządzenie noktowizyjne, ciesząc się niezmiernie, że ciemności nie przeszkodzą mu w prowadzeniu dalszych obserwacji. Przez gogle widział całą dolinę w odcieniach zieleni. Raptory wciąż się kręciły wokół zabitego człowieka, na dużej przestrzeni trawa była zdeptana i zakrwawiona. Drapieżniki już dawno temu rozprawiły się z ofiarą, lecz wciąż jeszcze od czasu do czasu nad rzeką rozbrzmiewał trzask łamanych kości.

– Po prostu przyszło mi do głowy, że w nocy bylibyśmy znacznie bezpieczniejsi w furgonie – rzekł Eddie.

– Dlaczego tak uważasz?

– Samochód ma wzmocnioną konstrukcję, jest bardzo wytrzymały. Nic nam nie grozi. Mamy tam wszystko, czego potrzeba. Przecież nie zamierzasz chyba siedzieć na tej wieży przez całą noc?

– Oczywiście że nie. Sądziłeś, że jestem aż takim fanatykiem?

Eddie jęknął cicho.

– Ale zostańmy tu jeszcze przez jakiś czas – dodał Levine.

Carr odwrócił się do Thorne'a.

– Doc, co ty na to? Niedługo zacznie padać.

– Zostaniemy jeszcze parę minut, a później wrócimy razem.

– Dinozaury żyją tu na wolności od pięciu lat, może nawet dłużej –

tłumaczył Malcolm – lecz dotąd nie migrowały z wyspy. Dopiero w tym roku różne szczątki zdechłych zwierząt zaczęto odnajdować na plażach Kostaryki, a jeśli wierzyć niesprawdzonym doniesieniom, także na wyspach Pacyfiku.

– Dotarły tam z prądami oceanicznymi?

– Na to wygląda. Pozostaje jednak pytanie: dlaczego dopiero teraz? Dlaczego nie zdarzało się to wcześniej w ciągu tych pięciu lat? Widocznie teraz coś się zmieniło, tylko nie wiemy jeszcze... Zaczekaj chwilę. – Podszedł szybko do komputera i pochylił się nad nim, przybliżając twarz do ekranu.

– Co robisz? – zapytała Sara.

– Arby zdołał się połączyć z tutejszą siecią komputerową, w której nadal istnieją archiwalne zapisy z lat osiemdziesiątych. – Poruszył myszką, przesuwając kursor po ekranie. – Nawet tego nie sprawdziliśmy...

Nagle ukazało się menu, w którym znajdowały się dwie pozycje: raporty produkcyjne i raporty badawcze. Zaczął wywoływać kolejno na ekranie różne teksty.

– Przed laty borykano się tutaj z jakąś zarazą – rzekł. – W laboratorium znaleźliśmy sporo materiałów na ten temat.

– Jaka to była zaraza?

– Nawet specjaliści tego nie wiedzieli.

– W takim terenie czynniki chorobotwórcze mogą się rozwijać bardzo powoli – powiedziała Sara. – Niektóre choroby ujawniają się dopiero po pięciu czy dziesięciu latach, zwłaszcza te wywoływane przez wirusy bądź priony... Wiesz, chodzi mi o łańcuchy białkowe odpowiedzialne na przykład za epidemie trzęsawki czy choroby szalonych krów.

– Ale tego typu zarazy przenoszą się tylko poprzez spożywanie skażonego pokarmu.

Na chwilę zapadło milczenie.

– Jak myślisz, czym początkowo karmiono zwierzęta? – spytała w końcu Sara. – Gdybym ja miała hodować pisklęta dinozaurów, głęboko bym się nad tym zastanawiała. Czego tu używano? Mleka?

– Owszem – mruknął Malcolm takim głosem, jakby właśnie wyczytał tę wiadomość z ekranu. – Przez pierwsze sześć tygodni wykarmiano pisklęta kozim mlekiem.

– To zrozumiałe. W ogrodach zoologicznych zazwyczaj stosuje się do tego celu kozie mleko, ponieważ ma ono działanie hypoalergiczne. A co później?

– Zaczekaj minutę, zaraz znajdę.

Harding przytrzymywała łapkę tyranozaura, czekając, aż żywica się utwardzi. Pochyliła głowę i pociągnęła nosem. Od opatrunku nadal biła ostra, nieprzyjemna woń.

– Mam nadzieję, że to przejdzie – powiedziała. – Czasami taki odrażający zapach może stać się przyczyną wyrzucenia pisklęcia z gniazda. Liczę na to, że po utwardzeniu żywica przestanie tak cuchnąć. Ile czasu już minęło?

Malcolm spojrzał na zegarek.

– Dziesięć minut. Jeszcze drugie tyle i powinna się utwardzić.

– Zależy mi na tym, żeby malec jak najszybciej znalazł się z powrotem w gnieździe.

Na zewnątrz zagrzmiało. Oboje spojrzeli za okno, lecz panowały tam ciemności.

– Chyba już nie zdążymy go dzisiaj odwieźć – zauważył Malcolm, z powrotem skupiając uwagę na ekranie monitora.

– Już mam... Chcesz wiedzieć, czym karmiono pisklęta? W latach 1988 i 1989... roślinożercom podawano trzy razy dziennie porcje kiszonki... Natomiast drapieżniki karmiono... – zamilkł nagle.

– Czym?

– Specjalnie preparowanym ekstraktem mieszanek białka zwierzęcego...

– Jakiego? Zwykle stosuje się w tym celu sproszkowane suszone mięso indyków lub kurcząt z dodatkiem antybiotyków...

– Saro – przerwał jej zdumiony Malcolm. – Oni stosowali baraninę.

– Niemożliwe. Tego się nie robi...

– A jednak. Zamawiali już gotowe ekstrakty z zakładów przetwórstwa owiec...

– Chyba żartujesz?

– Niestety nie – odparł Ian. – Dobra, zobaczę teraz, czy mi się uda...

Niespodziewanie zaterkotał dzwonek alarmowy. Czerwona lampka umieszczona na ścianie nad komputerem zaczęła jednostajnie mrugać. Po chwili włączyły się reflektory na zewnątrz furgonu, zalewając polanę jaskrawym blaskiem halogenowych lamp.

– Co to? – zapytała Harding.

– Zadziałały czujniki, coś je pobudziło do działania.

Malcolm podniósł się z krzesła i wyjrzał przez okno, ale zobaczył jedynie wysoką trawę i ciemną ścianę lasu na skraju polany. Wszędzie dokoła panował spokój.

Zerkając nerwowo na uśpione pisklę, Sara zapytała:

– Coś się stało?

– Nie wiem, nic nie widać.

– Coś jednak pobudziło czujniki do działania?

– Na to wygląda.

– Może wiatr?

– Nie ma żadnego wiatru.

Na wieży obserwacyjnej rozległ się nagle okrzyk Kelly:

– Hej! Spójrzcie!

Thorne obrócił się szybko. Posterunek mieścił się na dnie doliny, u podnóża okalającej ją skarpy. Polanka, na której stał furgon, znajdowała się nieco wyżej, ale było ją widać z ambony.

Bez trudu dostrzegli więc, że zapaliły się reflektory na zewnątrz auta.

Thorne odpiął od pasa krótkofalówkę.

– Ian? Słyszysz mnie?

W głośniku zatrzeszczało.

– Tak, słyszę, Doc.

– Co tam się dzieje?

– Nie wiem – odparł Malcolm. – Światła same się włączyły, prawdopodobnie jakieś zwierzę uruchomiło czujniki. Nic jednak nie widzę w sąsiedztwie furgonu.

– Powietrze ochładza się bardzo szybko – podsunął Eddie. – Może spowodował to jakiś prąd termiczny?

– Ian? Na pewno wszystko w porządku? – zapytał Thorne.

– Tak, nic się nie stało. Nie ma się czym martwić.

– Zawsze mówiłem, że zbyt wysoko ustawiłeś próg czułości systemu zabezpieczającego. Teraz masz efekty – mruknął Eddie.

Levine spojrzał na nich ze zmarszczonym czołem, ale nic nie powiedział.

Sara puściła wreszcie łapę pisklęcia. Owinęła je kocem i starannie unieruchomiła na metalowym blacie stołu elastycznymi taśmami. Podeszła do stanowiska komputerowego, popatrzyła Malcolmowi przez ramię, w końcu wyjrzała za okno.

– Co o tym myślisz?

Ian wzruszył ramionami.

– Eddie twierdzi, że próg zadziałania czujników został ustawiony zbyt wysoko.

– Na pewno?

– Nie wiem. Cały ten system nie został jeszcze przetestowany.

On także zapatrzył się na ciemną linię drzew okalających polanę, wypatrując jakiegokolwiek poruszenia. Wydało mu się, że słyszy ciche powarkiwanie, jakby stłumiony ryk, który dolatywał chyba z przeciwnej strony auta. Odwrócił się, podszedł do drugiego okna i wyjrzał na tonącą w ciemnościach dżunglę.

Sara dołączyła do niego i spróbowała przebić wzrokiem ciemności zalegające ponad koronami drzew. Malcolm w napięciu wstrzymał oddech. Po chwili Harding głośno westchnęła.

– Nic nie widzę, Ian.

– Ja też.

– To musiał być fałszywy alarm.

W tym samym momencie poczuli delikatne wibracje. Drgania gruntu musiały być o wiele silniejsze, gdyż resory samochodu w znacznym stopniu je amortyzowały. Malcolm zerknął na Sarę, której źrenice rozszerzyły się z przerażenia.

On dobrze wiedział, co to za hałas. Zresztą dudnienie rozbrzmiało ponownie, wyraźnie się przybliżało. Nie było żadnych wątpliwości co do jego źródła.

– Ian... Widzę go... – szepnęła Harding spiętym głosem.

Ponownie spojrzał za okno. Sara wskazała w kierunku pobliskich drzew na skraju polany.

– Gdzie?

W tej samej chwili zauważył olbrzymią głowę wynurzającą się nad zwartą powłoką listowia. Zwierzę obracało nią w jedną i drugą stronę, jakby uważnie czegoś nasłuchiwało. Bez trudu dało się rozpoznać, że jest to wielki *Tyrannosaurus rex*.

– Spójrz, Ian – szepnęła z przejęciem Sara. – Przyszły oba.

Trochę bardziej na prawo drugi olbrzym wyszedł spomiędzy drzew. Nieco przewyższał tego pierwszego, a zatem musiała to być samica. Zwierzęta zaryczały, ich głos w ciemnościach brzmiał nadzwyczaj złowrogo. Po chwili wyszły na skraj polany. Mrugały energicznie, oślepione jaskrawym światłem.

– To rodzice małego?

– Nie wiem. Chyba tak.

Malcolm zerknął na pisklę. Malec leżał uśpiony, oddychał miarowo. Kocyk, którym był przykryty, delikatnie unosił się przy każdym oddechu.

– Co one tu robią? – spytała Harding.

– Skąd mam wiedzieć?

Dinozaury ciągle stały na brzegu polany, tuż przy linii drzew. Sprawiały

wrażenie zdumionych, jakby zaskoczonych.

– Może szukają pisklęcia?

– Daj spokój, Saro.

– Mówię poważnie.

– Przecież to śmieszne.

– Dlaczego? Coś musiało je tu sprowadzić.

Tyranozaury na zmianę unosiły głowy i rozdziawiały paszcze, po czym z wolna obracały łbami w lewo i w prawo, jakby się uważnie rozglądały. Po chwili oba zbliżyły się o krok w stronę furgonu.

– Saro, jesteśmy parę kilometrów od ich gniazda. To niemożliwe, aby jakimkolwiek sposobem wytropiły tu pisklę.

– Jesteś tego pewien?

– Przestań.

– Sam powtarzałeś, że bardzo mało o nich wiemy. W gruncie rzeczy w ogóle nie znamy ich fizjologii, przemiany materii, systemu nerwowego, obyczajów. Nie można też powiedzieć nic pewnego o czułości ich zmysłów.

– To prawda, lecz…

– To są drapieżniki, Ian. Muszą mieć doskonały wzrok, słuch oraz węch.

– Zapewne masz rację.

– Nie wiemy jednak, czy nie mają jakichś dodatkowych zmysłów – dodała Sara.

– Dodatkowych? – zdziwił się Malcolm.

– Owszem. Wiele gatunków zwierząt je posiada. Węże widzą promieniowanie podczerwone, nietoperze odznaczają się zmysłem echolokacji, ptaki i żółwie mają zmysł magnetyczny, potrafią rozróżnić bieguny ziemskiego pola, co pozwala im odbywać wielokilometrowe wędrówki. Nie da się wykluczyć, że u dinozaurów także funkcjonował jakiś dodatkowy zmysł, o którym nic nie wiemy.

– To śmieszne.

– Tak sądzisz? W takim razie wyjaśnij mi, co one tu robią.

Oba tyranozaury na krótko zastygły bez ruchu. Nie warczały już. Z dziwną powolnością unosiły łby wysoko i opuszczały ku ziemi, obracały to w lewo, to w prawo.

Malcolm zmarszczył brwi.

– Wygląda na to, że czegoś wypatrują…

– Przy blasku tych reflektorów? Niemożliwe, Ian. Muszą być niemal całkowicie oślepione.

Dotarło do niego, że ona ma rację. Owe rytmiczne, powolne ruchy zwierząt oznaczały, iż tyranozaury oślepia blask halogenowych reflektorów.

– Więc co robią? Wietrzą?

– Nie. Trzymają łby za wysoko. Poza tym nie poruszają nozdrzami.

– To może nasłuchują?

Harding przytaknęła ruchem głowy.

– Niewykluczone.

– Tylko czego?

– Pewnie swojego pisklęcia.

Malcolm ponownie zerknął przez ramię.

– Daj spokój, Saro. Malec jest nieprzytomny.

– Wiem o tym.

– W związku z tym nie czyni najmniejszego hałasu.

– W każdym razie my niczego nie słyszymy. – Sara wbijała nieruchome spojrzenie w stojące za oknem tyranozaury. – A jednak one po coś tu przyszły, Ian. Musi być jakaś przyczyna takiego zachowania zwierząt. Tylko my jej jeszcze nie rozumiemy.

Na ambonie Levine wpatrywał się intensywnie przez gogle noktowizyjne w kierunku polany. Widział jak na dłoni oba tyranozaury stojące na jej skraju. Zwierzęta powoli, równocześnie obracały łbami na boki.

Po chwili niepewnie zbliżyły się o krok w stronę furgonu. Przez jakiś czas znów unisono kiwały głowami, obracając je to w lewo, to w prawo. W końcu chyba podjęły decyzję, gdyż ruszyły energicznie, niemal agresywnie, w kierunku furgonu.

Usłyszeli przez krótkofalówkę okrzyk Malcolma:

– To te światła! Zwabił je blask reflektorów!

W chwilę później światła zgasły i cała polanka zatonęła w mroku nocy. Wszyscy wytężyli oczy, próbując przebić wzrokiem ciemności. Malcolm oznajmił krótko:

– Poskutkowało.

– Co tam się dzieje? – Thorne zwrócił się do Levine'a.

– Nic.

– Widzisz dinozaury?

– Tak. Zatrzymały się.

Przez gogle obserwował uważnie reakcję zwierząt, zaskoczonych nagłą zmianą oświetlenia. Nawet z tej odległości słychać było ich niespokojne porykiwanie. Tyranozaury ponownie zaczęły kiwać łbami w górę i w dół oraz

kłapać paszczami. Nadal stały jednak na środku polany.

– I co teraz? – zapytała Kelly.

– Czekają – mruknął Levine. – Jeszcze nie atakują.

Odnosił wrażenie, że olbrzymy są niezdecydowane. Domyślał się, że furgon jest dla nich wielkim obcym obiektem, którego nagłe pojawienie się na ich terytorium mogło wywoływać strach. Być może zawrócą i odejdą – pomyślał. Zdumiało go, że tak wielkie drapieżniki zachowują nadzwyczajną ostrożność, jakby faktycznie się czegoś bały.

Ponownie rozległ się cichy ryk. Levine dostrzegł przez gogle noktowizyjne, że tyranozaury w ciemności zbliżają się do furgonu.

– Ian! Co robimy?

– Nie mam pojęcia – odparł szeptem Malcolm.

Oboje siedzieli na podłodze pod ścianami, w przejściu łączącym furgon z przyczepą, trzymając się z dala od okien. Zwierzęta zbliżały się powoli. Przy każdym kroku ważących po dziesięć ton olbrzymów czuć było wyraźne wibracje.

– Idą prosto na nas!

– Zauważyłem.

Pierwszy tyranozaur zbliżył się do furgonu, stanął tak blisko, że przez najbliższe okno widać było jedynie ogromną tylną łapę i fragment jaśniejszego podbrzusza. Zwierzę stało wyprostowane, jego łeb musiał się znajdować wysoko ponad dachem pojazdu.

Po chwili drugi drapieżnik zjawił się po przeciwnej stronie i oba tyranozaury zaczęły z wolna okrążać furgon, powarkując i parskając głośno. Ich ciężkie stąpnięcia wprawiały samochód w lekkie kołysanie. Do wnętrza przedostał się odrażający fetor. Któreś ze zwierząt otarło się o krawędź auta, czemu towarzyszył jeżący włosy na karku zgrzyt pokrytej łuskami skóry o blachę nadwozia.

Malcolma ogarnęło nagle przerażenie. Sprawił to ten obrzydliwy smród, który przywołał z jego pamięci niewyraźne wspomnienia. Na czoło wystąpiły mu krople potu. Spojrzał niepewnie na Sarę, która siedziała spięta, wbijając spojrzenie w okno pojazdu.

– Wcale nie zachowują się tak, jakby zamierzały przystąpić do ataku – szepnęła.

– Nie jestem pewien – odparł. – Możliwe. Pamiętaj tylko, że trudno je

porównywać z lwami.

Jeden z tyranozaurów zaryczał głośniej. Wydawało się, że ten przerażający odgłos wstrząsnął całym furgonem.

– Nie, to nie są przejawy agresji. One czegoś szukają, Ian.

Po chwili zaryczał drugi drapieżnik, jakby w odpowiedzi. Niespodziewanie za oknem ukazała się głowa tyranozaura, wielkie oko zajrzało do środka.

Malcolm błyskawicznie dał nura w bok, kładąc się płasko na podłodze. Harding także się wyciągnęła, niechcący przyciskając butem jego głowę do ściany.

– Wszystko będzie dobrze, Saro.

Z zewnątrz dolatywały coraz częstsze powarkiwania i parskania zwierząt.

– Czy mogłabyś się trochę odsunąć?

Harding przesunęła nogę. Malcolm ostrożnie dźwignął się na łokciu i spojrzał ponad krawędzią koi. Dostrzegł za oknem wielkie oko tyranozaura, zwierzę wpatrywało się prosto w niego. Powieka opadła i uniosła się jakby w zwolnionym tempie. Drapieżnik rozchylił paszczę, szyba zmatowiała od jego gorącego oddechu.

Głowa za oknem zniknęła nagle, jak gdyby dinozaur odsunął się od furgonu. Malcolm poczuł, że ogarnia go fala ulgi. Ale zaraz głowa pojawiła się ponownie. Tym razem zwierzę trąciło szybę tępo zakończonym pyskiem, aż cały pojazd się zakołysał.

– Nie przejmuj się, Saro. Ten samochód ma wzmocnioną konstrukcję.

– Wręcz nie potrafię wyrazić, jak bardzo mi pomaga ta świadomość – przekazała szeptem Harding.

Głośniejszy ryk rozległ się po przeciwnej stronie auta i tym razem drugi tyranozaur trącił furgon pyskiem, aż zaskrzypiały wszystkie łączenia nadwozia.

Oba drapieżniki zaczęły na przemian rytmicznie uderzać w pojazd z przeciwnych stron. Rozkołysały go do tego stopnia, że Malcolm i Harding tarzali się po podłodze. Sara usiłowała się czegoś przytrzymać, lecz nie znalazła pewniejszego punktu zaczepienia. Podłoga skakała po nimi, niczym pokład statku płynącego po wzburzonym morzu. Sprzęt laboratoryjny począł spadać z pulpitów, rozległ się trzask tłuczonego szkła.

Niespodziewanie kołysanie ustało. Zapadła cisza.

Pojękując Malcolm podniósł się na kolana. Wyjrzał przez okno, za którym widać było jedynie gigantyczny zad któregoś z drapieżników.

– Co mamy robić? – zapytał szeptem.

Trzask w głośniku krótkofalówki wydał się niemal ogłuszający.

– Ian, słyszysz mnie? – odezwał się Thorne. – Ian!

– Wyłącz to, na miłość boską! – syknęła Harding.

Malcolm pospiesznie sięgnął do pasa, odpiął krótkofalówkę, zbliżył ją do twarzy i szepnął do mikrofonu:

– Wszystko w porządku.

Po czym wyłączył sprzęt.

Sara zaczęła się czołgać po podłodze w głąb furgonu, w stronę części laboratoryjnej. Ian poszedł w jej ślady. Znów dostrzegł za oknem wielkie oko tyranozaura, tym razem wpatrującego się chyba w pisklę przymocowane elastycznymi pasami do metalowego stolika. Drapieżnik zawarczał cicho, jakby z czułością.

Stał nieruchomo obok furgonu, zaglądając do środka. Warknął po raz drugi.

– Ona chce odzyskać swe pisklę, Ian – przekazała szeptem Harding.

– Bóg jeden raczy wiedzieć... Nie mam nic przeciwko temu, żeby je oddać.

Rozpłaszczył się na podłodze, usiłując zostać poza zasięgiem wzroku tyranozaura.

– Jak mamy je oddać?

– Nie wiem. Może po prostu wypchnąć pisklę za drzwi?

– Nie chciałabym, żeby któreś z rodziców je nadepnęło.

– A kogo to może obchodzić? – syknął.

Drapieżnik za oknem wciąż powarkiwał łagodnie, czasami jednak wydając z siebie głośniejszy ryk, jakby chciał odstraszyć ludzi. Nie ulegało wątpliwości, że jest to samica.

– Saro...

Harding szybko podniosła się na nogi i stanęła wyprostowana na wprost okna. Niespodziewanie zaczęła przemawiać na głos, tłumacząc łagodnym tonem:

– Wszystko w porządku... Nic mu nie grozi... Malec czuje się dobrze... Zaraz zdejmę taśmy przytrzymujące go na blacie... Możesz mnie obserwować...

Cały widok za oknem wypełniał olbrzymi łeb tyranozaura. Doskonale było widać muskuły grające pod skórą na masywnej szyi zwierzęcia. Paszcza rozchyliła się nieco. Roztrzęsionymi rękoma Sara zaczęła powoli odpinać elastyczne pasy.

– Wszystko w porządku... Twoje pisklę jest całe i zdrowe... Widzisz? Nic mu się nie stało...

Rozciągnięty na podłodze u jej stóp Malcolm szepnął:

– Co ty wyczyniasz?

Harding odpowiedziała tym samym łagodnym tonem, którym

uspokajająco przemawiała do drapieżnika:

– Wiem, że to może się wydać szaleństwem... Ale ta metoda skutkuje w stosunku do lwów... Przynajmniej czasami... Proszę, już gotowe... Twoje pisklę jest wolne...

Sara ściągnęła kocyk i zdjęła maskę tlenową z pyszczka małego dinozaura. Bez przerwy tłumaczyła:

– A teraz... muszę tylko... – Bardzo ostrożnie wzięła pisklę na ręce – ...oddać ci je...

Niespodziewanie tyranozaur odchylił głowę do tyłu i z wielką siłą uderzył bokiem pyska w okno furgonu. Rozległ się głośny trzask, szyba pokryła się białą pajęczyną drobnych pęknięć. Nie było przez nią nic widać. Olbrzymi cień zniknął za oknem. Po chwili drugie uderzenie roztrzaskało szkło do końca. Sara rzuciła pisklę z powrotem na stół i błyskawicznie kucnęła przy koi. Tyranozaur wepchnął paszczę na kilkadziesiąt centymetrów do środka. Po skórze na końcu jego pyska zaczęła spływać krew w paru miejscach rozciętych przez odłamki szkła. Nagle ruchy zwierzęcia stały się powolne i delikatne. Samica obwąchała pisklę od głowy aż do ogona. Musiała wyczuć usztywnienie na łapie malca, gdyż wysunęła język i kilkakrotnie oblizała opatrunek. Po chwili niemal z czułością oparła koniec pyska na piersi pisklęcia. Przez kilkanaście sekund trwała w tej pozycji bez ruchu, mrugała tylko oczami, obracając wielkie ślepia w kierunku Sary.

Leżący na podłodze Malcolm zauważył krew, która skapywała z metalowego stolika. Chciał spojrzeć do góry, lecz przykucnięta obok niego Harding przytrzymała mu rękoma głowę.

– Cicho! – szepnęła ledwie słyszalnie.

– Co się dzieje?

– Ona sprawdza tętno małego.

Tyranozaur warknął cicho, rozchylił paszczę i bardzo ostrożnie zacisnął szczęki na ciele pisklęcia. Głowa cofnęła się powoli i po chwili samica zniknęła za wybitym oknem, zabierając ze sobą malca.

Odsunęła się, pochyliła łeb i delikatnie położyła pisklę w trawie, poza zasięgiem wzroku ludzi.

– Ocknęło się? – zapytał szeptem Malcolm. – Czy to małe się obudziło?

– Cicho!

Zza oka doleciało głośnie mlaskanie, któremu towarzyszyły delikatne matczyne pomruki. Sara uniosła się nieco i wyjrzała ciekawie na zewnątrz.

– Co się dzieje? – zapytał szeptem Malcolm.

– Wylizuje go. I lekko trąca czubkiem pyska.

– I co?

– To wszystko, nic poza tym.

– A pisklę?

– Nie reaguje. Turla się z boku na bok jak martwe. Ile morfiny zaaplikowałeś mu w drugim zastrzyku?

– Nie pamiętam. Nie zwracałem uwagi.

Malcolm leżał rozciągnięty na podłodze, wsłuchując się w dobiegające z zewnątrz mlaskanie i pomruki drapieżnika. Po kilku minutach, które wydawały mu się wiecznością, rozbrzmiał w końcu piskliwy skrzek małego tyranozaura.

– Przychodzi do siebie, Ian! Pisklę się budzi!

Malcolm zebrał się na odwagę, podniósł się na kolana i wyjrzał przez wybite okno. Dostrzegł, jak matka delikatnie bierze malca do pyska, podnosi z ziemi i rusza pospiesznie ku brzegowi polany.

– Co ona robi?

– Zabiera je z powrotem do gniazda.

W zasięgu wzroku pojawił się drugi drapieżnik, podążał za samicą. Ludzie spoglądali z ulgą, jak oba tyranozaury szybko giną w ciemnościach, kierując się w stronę dżungli.

Malcolm dopiero teraz rozluźnił napięte mięśnie.

– Tak niewiele brakowało... – mruknął.

– Owszem, niewiele.

Sara odetchnęła głośno i starła krew spływającą jej po ręku.

Na ambonie Thorne nawoływał cicho do mikrofonu:

– Ian, słyszysz mnie? Jesteś tam? Odezwij się!

– Pewnie wyłączyli krótkofalówkę – podsunęła Kelly.

Zaczął padać drobny deszcz, krople bębniły o metalowe listwy dachu stanowiska obserwacyjnego. Levine, bez przerwy przyciskając do oczu gogle noktowizyjne, obrócił głowę w kierunku skarpy otaczającej dolinę. Niebo rozcięła błyskawica.

– Możesz dostrzec, co porabiają tyranozaury? – zapytał Thorne.

– Widzę je – wtrącił Eddie. – Wygląda na to, że... oddalają się od polany.

Nastało odprężenie, wszyscy zaczęli nagle porozumiewać się półgłosem.

Tylko Levine milczał, obserwując ciągle teren. Po chwili Thorne zwrócił się do niego:

– Wszystko w porządku, Richard? Nic już nam nie grozi?

– Mówiąc szczerze, wcale nie jestem tego pewien. Obawiam się, że popełniliśmy więcej niż jeden błąd.

Malcolm nie mógł oderwać wzroku od oddalających się tyranozaurów. Sara w milczeniu klęczała obok niego, również z napięciem wpatrywała się w widok za oknem.

Deszcz przybierał na sile, krople zaczynały wpadać do środka przez wybitą szybę. Gdzieś w oddali zagrzmiało. Niebo rozświetliła błyskawica, ukazując na krótko dwa olbrzymie dinozaury na skraju polany.

Przy pierwszych drzewach drapieżniki się zatrzymały, samica ponownie złożyła pisklę na ziemi.

– Co one tam robią? – zapytała Harding. – Myślałam, że pójdą z malcem prosto do gniazda.

– Trudno powiedzieć. Być może...

– Pisklę nie żyje – wtrąciła szybko Sara.

Myliła się jednak. W świetle kolejnej błyskawicy dostrzegli, że malec porusza się coraz żywiej. Po chwili jedno z rodziców ponownie wzięło pisklę w zęby i ostrożnie umieściło je w rozwidleniu konarów, dość wysoko w koronie najbliższego drzewa.

– Och, nie... – jęknęła Harding, kręcąc głową. – To źle wróży, Ian. Mam najgorsze przeczucia.

Samica przez parę sekund trącała pisklę czubkiem pyska, jakby starała się je bezpiecznie usadowić na gałęzi. Później odwróciła się przodem do polany, rozwarła paszczę i ryknęła złowrogo.

Samiec natychmiast powtórzył ten zew.

Nagle oba zwierzęta ruszyły z pełną szybkością w kierunku furgonu, wielkimi susami przemierzając polanę.

– Och, mój Boże... – szepnęła Sara.

– Trzymaj się! – wrzasnął Malcolm. – Tym razem będzie gorąco!

Impet uderzenia był tak silny, że oboje wylecieli w powietrze. Sara z krzykiem potoczyła się po podłodze. Malcolm huknął głową w ramę koi, aż przed oczyma zawirowały mu gwiazdy. Furgon przechylił się pod ostrym

kątem, głośno zaskrzypiały wszystkie spoiny ramy. Tyranozaur ryknął ogłuszająco i natarł ponownie.

Jakby z daleka doleciało go wołanie:

– Ian! Ian!

Tym razem furgon przewrócił się na bok. Malcolm zdążył tylko przycisnąć twarz do ściany, gdy posypały się na niego różne drobiazgi laboratoryjne i szklane naczynia. Przekręcił się po chwili i rozejrzał. Dokoła panował nieopisany bałagan. Bezpośrednio nad sobą miał okno wybite przez drapieżnika, krople deszczu spadały mu prosto na twarz. Zajaśniała błyskawica, w której blasku zauważył olbrzymi łeb tyranozaura, spoglądającego na niego z góry i warczącego groźnie. Zwierzę musiało przeciągnąć pazurami po boku pojazdu, gdyż rozległ się nieprzyjemny zgrzyt metalu, i zaraz łeb olbrzyma zniknął z pola widzenia. Ponownie rozległ się ryk, wozem szarpnęło, jakby dinozaury popychały go pyskami po ziemi.

– Sara! – krzyknął Ian.

Dostrzegł ją w głębi furgonu, lecz w tej samej chwili pojazdem wstrząsnęło kolejne uderzenie. Z ogłuszającym hukiem samochód wylądował na dachu. Malcolm przeturlał się i zaczął czołgać w kierunku Harding. Tylko przelotnie zerknął w górę, na umocowaną do pulpitów aparaturę laboratoryjną, teraz wiszącą mu groźnie nad głową. Z kilku miejsc zaczęła wyciekać jakaś gęsta ciecz. Skóra na ręku piekła go coraz silniej, rozległ się złowieszczy syk. Matematyk uświadomił sobie, że musiała pęknąć butelka z kwasem.

Gdzieś z ciemności przed nim doleciał jęk Sary. W świetle następnej błyskawicy Malcolm dostrzegł ją leżącą na suficie, w pobliżu harmonijkowego przegubu otaczającego przejście do przyczepy. Gruba guma była silnie skręcona, jakby miała zaraz pęknąć, co oznaczało zapewne, że przyczepa nadal stoi na kołach. Odniósł wrażenie, że znalazł się w jakimś zwariowanym, nierealnym otoczeniu.

Z zewnątrz dolatywały wściekłe ryki tyranozaurów. Kilka głuchych wystrzałów uświadomiło mu, że drapieżniki dobrały się do kół samochodu. Szkoda, że nie wbiły zębów w główny kabel zasilający – pomyślał – toby dopiero spotkała je niespodzianka.

Po chwili furgonem wstrząsnęło kolejne uderzenie. Mogło się wydawać, że olbrzymy zamierzają kopniakami przetoczyć wóz przez całą polanę. Kiedy tylko ustawały kołysania, zaraz samochód podskakiwał pod następnym ciosem.

Mimo to Malcolm zdołał się doczołgać do Sary, która szybko zarzuciła mu ręce na szyję.

– Ian... – jęknęła.

W półmroku zauważył, że cała lewa strona jej twarzy jest wyraźnie

ciemniejsza, a gdy zajaśniała błyskawica, ujrzał, że pokrywa ją krew.

– Nic ci się nie stało?

– Nie, wszystko w porządku – mruknęła, ocierając dłonią krew spływającą jej z czoła na lewe oko. – Czy możesz dostrzec, czym się skaleczyłam?

W świetle błyskawicy Ian zauważył duży odłamek szkła tkwiący w skórze tuż poniżej krawędzi włosów. Wyciągnął go szybko i przycisnął ranę palcami, żeby zatamować krwotok. Znajdowali się w przedziale kuchennym. Malcolm pospiesznie sięgnął do wnęki i zerwał z wieszaka ściereczkę. Przycisnął ją Sarze do czoła i z niepokojem obserwował, jak błyskawicznie na materiale rozszerza się ciemna plama.

– Boli? – zapytał.

– Nie bardzo.

– To chyba tylko powierzchowne rozcięcie skóry.

Przerwał mu złowieszczy ryk tyranozaura, który doleciał z ciemności na zewnątrz.

– Co one wyrabiają? – spytała Harding zdławionym głosem.

Furgonem wstrząsnęło kolejne uderzenie. Malcolmowi zdawało się, że tym razem samochód pokonał nieco większy dystans, nim wreszcie znieruchomiał.

Jak gdyby zsuwali się w dół zbocza.

– Spychają nas – odpowiedział.

– Dokąd?

– Na sam skraj polany. – Szarpnął nimi ponowny wstrząs, samochód znów przesunął się o kilka metrów. – Spychają nas w stronę urwiska.

Za wąskim pasem zarośli teren opadał stromo kilkadziesiąt metrów w dół, do samego dna kotliny.

Nie było szans, aby ktokolwiek wewnątrz pojazdu przeżył upadek z tej wysokości.

Sara przycisnęła sobie ścierkę do rany na czole i odsunęła jego dłoń.

– Zrób coś.

– Tak, jasne…

Cofnął się o krok i chwycił ramy, aby kolejny wstrząs nie cisnął nim o podłogę. Nie miał pojęcia, co mógłby zrobić w tej sytuacji. Czuł się zupełnie bezradny. Furgon kołysał się na dachu, wszędzie panował chaos. Skóra na ręku piekła coraz silniej, Ian czuł ostrą woń kwasu wżerającego się w materiał koszuli. Nie wiedział zresztą, czy nie jest to już smród nadgryzanego ciała. W każdym razie piekło jak diabli. Całe wnętrze pojazdu tonęło w ciemnościach, nie działało zasilanie, pod nogami chrzęściło rozbite szkło,

a on...

Nie było zasilania.

Zaczął się dźwigać na nogi, kiedy kolejny wstrząs cisnął nim o ścianę. Malcolm poleciał bezwładnie, huknął z całej siły głową o kant lodówki. Jej drzwi się otworzyły, ze środka poleciała na niego lawina kartonowych opakowań, szklanych słoi oraz butelek. Oświetlenie lodówki także nie działało.

W ogóle nie było dopływu prądu!

Leżąc na plecach, Ian obrócił głowę i dostrzegł za oknem olbrzymią tylną łapę dinozaura ginącą w wysokiej trawie. Niebo rozcięła błyskawica. Łapa uniosła się do góry, do kolejnego ciosu. Ze zgrzytem blach furgon pojechał po ziemi, tym razem znacznie dalej, w dół coraz bardziej stromej pochyłości...

– Jasna cholera!

– Ian!...

Ale było już za późno. Przy wtórze skrzypienia nadwerężonej konstrukcji wóz przechylił się wyraźnie i po chwili zaczął zsuwać samoistnie, najpierw powoli, potem coraz szybciej. Wkrótce sufit, na którym leżeli, zaczął się spod nich usuwać. Z góry sypały się różne sprzęty. Sara straciła równowagę, potoczyła się ku Ianowi, kurczowo objęła go rękoma. Z góry doleciał triumfalny ryk tyranozaurów.

Spadamy z urwiska, przemknęło Malcolmowi przez myśl.

Desperacko chwycił się otwartych drzwi lodówki. Były zimne, pokryte kropelkami rosy. Furgon zjeżdżał ciągle, głośno skrzypiały blachy nadwozia. Ian poczuł, że palce ześlizgują mu się z wilgotnej krawędzi drzwi... Stracił nagle punkt oparcia i poleciał do tyłu, w stronę pochylającego się coraz bardziej końca pojazdu. Dostrzegł pędzący mu na spotkanie fotel kierowcy, wyciągnął ręce, ale nie dotarł do niego. Poczuł silne uderzenie w brzuch, całe ciało przeszył dojmujący ból. Malcolm mimo woli zgiął się wpół.

Stopniowo, z zadziwiającą powolnością, zanurzył się w bezdenny mrok.

Deszcz coraz głośniej bębnił o dach ambony, spływał strumykami po wszystkich prętach konstrukcji. Levine przetarł rękawem szkła gogli i z powrotem uniósł je do oczu. Zapatrzył się na tonące w ciemnościach strome zbocze skarpy.

– I co? – zapytał z przejęciem Arby. – Co tam się stało?

– Trudno powiedzieć.

Deszcz całkowicie przesłonił widoczność. Jeszcze przed minutą Levine obserwował w przerażeniu, jak oba tyranozaury spychają furgon na krawędź urwiska. Olbrzymim zwierzętom przychodziło to bez większego trudu, według jego szacunków ważyły w sumie około dwudziestu ton, podczas gdy wóz z przyczepą był o połowę lżejszy. Kiedy tylko udało im się przekręcić go kołami do góry, z łatwością popychały furgon po mokrej trawie, napierając brzuchami i uderzając masywnymi tylnymi łapami.

– Dlaczego one zachowują się tak agresywnie? – zapytał stojący tuż obok niego Thorne.

– Podejrzewam, że uznały nas za intruzów, którzy wtargnęli na ich terytorium.

– Z jakiego powodu?

– Nie zapominaj, z czym się tu zetknęliśmy. Jeśli nawet tyranozaury zachowują się dla nas niezrozumiale, wynika to z ich działań instynktownych. Sam wiesz, że nie mogła to być przemyślana, zaplanowana akcja. Obrona własnego terytorium jest bardzo ważnym elementem instynktu zwierząt. Skoro tyranozaury znaczą granice swego terytorium, muszą go także bronić. Nie mogą zatem planować podobnych działań, tym bardziej że mają małe móżdżki. Ich zachowanie jest czysto instynktowne, a jako takie musi być spowodowane konkretnym czynnikiem. Dlatego podejrzewam, że zabierając pisklę do furgonu, niejako wymusiliśmy na zwierzętach konieczność poszerzenia granic bronionego terytorium. Uznały polanę za jego część, dlatego też postanowiły usunąć z niej obcy element, jakim był nasz samochód.

Błyskawica rozcięła niebo i w jej blasku wszyscy ujrzeli przerażający widok. Furgon wisiał już poza krawędzią pionowej części urwiska, przytrzymywany jedynie przez harmonijkowy przegub łączący go z przyczepą, która stała jeszcze na skraju polany.

– Przegub nie wytrzyma ciężaru wozu! – zawołał Eddie. – W każdym razie niezbyt długo!

Światło błyskawicy ukazało ich oczom także oba tyranozaury, które przystępowały właśnie do metodycznego spychania przyczepy w dół skarpy.

Thorne błyskawicznie odwrócił się do Eddiego.

– Jadę tam! – oznajmił.

– Pojadę z tobą – odparł szybko Carr.

– Nie! Zostaniesz z dziećmi!

– Ale będziesz potrzebował...

– Masz się opiekować dziećmi! Przecież nie zostawisz ich tu samych!

– Jest jeszcze Levine...

– Nie! Masz zostać! – nakazał Thorne, schodząc już po drabince na ziemię.

Ześliznął się po mokrych prętach i ruszył biegiem do stojącego nieopodal explorera. Wskakując do szoferki, zwrócił uwagę, że Kelly i Arby z uwagą wpatrują się w niego z góry. Przekręcił kluczyk w stacyjce, obliczał już w myślach odległość dzielącą go od polany. Miał do pokonania około pięciu kilometrów, więc gdyby nawet udało mu się rozwinąć maksymalną prędkość w tych niesprzyjających warunkach, mógł tam dotrzeć najwcześniej za siedem lub osiem minut.

To strasznie długo. Wiedział już, że nie zdąży na czas.

Ale mimo wszystko musiał spróbować.

Sara Harding ocknęła się, słysząc głośne, rytmiczne skrzypienie.

Dokoła panowały ciemności, była zdezorientowana. Nagle, w świetle błyskawicy, dostrzegła za oknem panoramę rozciągającej się w dole kotliny. Widok jednostajnie kołysał się jej przed oczami.

W jednej chwili uprzytomniła sobie, że spogląda przez przednią szybę samochodu, który wisi na skraju przepaści. Jakimś cudem zatrzymali się na krawędzi urwiska.

Leżała na oparciu fotela kierowcy, które odchyliło się do przodu i musiało z wielką siłą uderzyć w podstawę kolumny kierownicy, gdyż deska rozdzielcza była pogruchotana, a pourywane końcówki kabli zwieszały się nad podłogą. Migotały jakieś lampki sygnalizacyjne.

Na lewe oko prawie nic nie widziała z powodu krwi ściekającej z rozciętego czoła. Pospiesznie wyciągnęła ze spodni połę koszuli i oderwała dwa pasy materiału. Z jednego sporządziła prowizoryczny kompres, drugim zaś przycisnęła go do rany i związała końce z tyłu głowy. Przez parę sekund czuła tak silny ból, że omal nie zemdlała, zacisnęła jednak zęby i przeczekała chwilową słabość.

Gdzieś z góry doleciały odgłosy głuchych uderzeń. Sara przekręciła się na wznak i popatrzyła w tamtym kierunku. Ponad nią ciągnęło się ku niebu wnętrze długiego furgonu. Malcolm leżał jakieś trzy metry wyżej, owinięty wokół brzegu metalowego stolika laboratoryjnego. Nie poruszał się.

– Ian! – zawołała.

Nie odpowiedział. Sprawiał wrażenie martwego.

Ponownie rozległo się stłumione uderzenie, które wstrząsnęło całym pojazdem. Harding pojęła nagle, co to oznacza. Furgon zwieszał się już poza

krawędzią urwiska, ale był połączony elastycznym przegubem z przyczepą, która wciąż musiała leżeć na brzegu polany. Nie spadli jeszcze wyłącznie dzięki wytrzymałości materiału tworzącego przegub pojazdu. A oba tyranozaury skopywały teraz przyczepę na skraj przepaści.

– Ian! – zawołała ponownie. – Ian!

Dźwignęła się na nogi, próbując nie zwracać uwagi na ból przeszywający całe ciało. Znów poczuła wzbierające mdłości i przyszło jej do głowy, że musiała stracić dużo krwi. Stanęła jednak na oparciu fotela, wyprostowała się i chwyciła dłońmi brzeg najbliższej szafki. Podciągnęła się w górę, zapierając kolanami o podłogę, aż sięgnęła uchwytu wystającego ze ściany auta. Samochód nadal kołysał się złowieszczo nad otchłanią.

Stojąc na uchwycie nad oknem kabiny, zdołała dosięgnąć otwartych drzwi lodówki. Mocno zacisnęła palce na cienkich prętach osłony półeczki, delikatnie wypróbowała ich wytrzymałość, wreszcie znów zaczęła się podciągać ku górze, aż wsunęła czubek buta nad krawędź obudowy drzwi lodówki. Znów wyprostowała się ostrożnie i zacisnęła palce na kratce przymocowanej do blatu kuchenki elektrycznej.

Czuła się tak, jakby trenowała wspinaczkę na pionowej ścianie skalnej.

Dotarła w końcu do Malcolma. W świetle błyskawicy obrzuciła wzrokiem jego posiniaczoną twarz. Mężczyzna jęknął cicho. Sara zaczęła obmacywać jego ciało w poszukiwaniu jakichś poważniejszych obrażeń.

– Ian – powtórzyła.

Nie otwierając oczu, mruknął:

– Przepraszam.

– Za co?

– To ja cię w to wciągnąłem.

– Możesz się poruszyć? Nic ci się nie stało?

Jęknął głośno.

– Moja noga...

– Musimy natychmiast coś zrobić, Ian!

Z leżącej nad nimi polany dolatywały porykiwania tyranozaurów. Sara odnosiła wrażenie, że te ryki towarzyszą jej od samych narodzin. Furgonem znowu szarpnęło, zakołysał się mocniej. Drzwi lodówki wysunęły jej się spod nogi i Sara zawisła w powietrzu, trzymając się tylko kraty kuchenki. Dwa metry pod nią znajdowała się przednia szyba samochodu.

Przemknęło jej przez myśl, że krata kuchenki zapewne także nie wytrzyma długo jej ciężaru.

Rozrzuciła szeroko nogi, próbując znaleźć jakiś solidniejszy punkt podparcia, i w końcu coś wymacała. Ustawiła dobrze stopę, przeniosła na nią

ciężar ciała i zerknęła w dół: stała na kranie nad kuchennym zlewem. Poruszyła ostrożnie nogą, w tej samej chwili kurek się odkręcił i strumień wody popłynął po jej bucie.

Tyranozaury zaryczały głośniej, ponownie natarły na przyczepę. Furgon obsunął się nieco w dół i zakołysał mocniej.

– Ian, nie mamy czasu. Musimy coś zrobić!

Malcolm z wysiłkiem uniósł głowę i spojrzał na nią spod przymrużonych powiek. Światło błyskawicy ukazało jego pobladłą twarz.

– Prąd... – szepnął.

– Co z prądem?

– Jest odłączony...

Nie bardzo wiedziała, o co mu chodzi. Zrozumiała jednak, że faktycznie pojazd jest pozbawiony zasilania. Przypomniała sobie nagle, że sami odłączyli prąd, chcąc zgasić oślepiające reflektory, kiedy zwierzęta ruszyły do ataku. Pomyślała, że skoro wtedy blask reflektorów tak silnie je zdezorientował, to może odniesie ten sam skutek i teraz.

– Myślisz, że powinniśmy włączyć zasilanie reflektorów?

Malcolm ledwie zauważalnie pokiwał głową.

– Tak... Włącz je...

– Gdzie jest włącznik, Ian? – Sara zaczęła się pospiesznie rozglądać.

– Na głównym pulpicie.

– Gdzie?

On jednak nie odpowiedział. Harding wyciągnęła rękę i potrząsnęła go za ramię.

– Ian! Gdzie jest ten pulpit?!

Powoli wskazał kabinę auta.

Sara spojrzała w dół. Spod rozbitej tablicy zwieszały się pourywane kable.

– Nic z tego. Pulpit jest zniszczony.

– Na górze...

Ledwie mogła rozróżnić jego słowa. Przypomniała sobie nagle, że drugi pulpit sterowniczy znajdował się w przyczepie. Gdyby mogła się tam dostać, być może zdołałaby włączyć zasilanie.

– W porządku, Ian. Spróbuję.

Zaczęła się piąć ku górze. Kiedy zebrała się na odwagę, by zerknąć w dół, przednia szyba auta znajdowała się już trzy metry pod nią. Tyranozaury porykiwały groźnie, uderzeniami łap wciąż spychały przyczepę nad krawędź urwiska. W pewnej chwili Sara znów zawisła w powietrzu, zaraz jednak wymacała oparcie pod stopą i podjęła wspinaczkę.

Miała nadzieję, że uda jej się przejść do przyczepy, gdy tylko dotrze

do przegubu, lecz w blasku kolejnej błyskawicy dostrzegła z przerażeniem, że jest to niewykonalne. Przejścia nie było, elastyczne połączenie zakleszczyło się pod ciężarem furgonu.

Zostali uwięzieni we wnętrzu pojazdu.

Kolejny wstrząs i nieustające ryki zwierząt uprzytomniły jej, że mimo trudności tyranozaury nie zrezygnowały ze swego celu.

– Ian!

Spojrzała w dół. Malcolm się nie poruszył.

Nagle dotarło do niej z pełną mocą, że jest bezradna wobec nadchodzącego końca: jeszcze jedno czy dwa kopnięcia olbrzymich drapieżników i będzie po wszystkim. Runą w przepaść. Już nic nie da się na to poradzić. Nie było czasu. Tkwiła, przywierając całym ciałem do podłogi auta, i nie mogła nic zrobić, żeby włączyć prąd...

Nagle dotarło do niej, że gdzieś z boku dolatuje cichutkie brzęczenie, jak gdyby przewodów będących pod napięciem. Czyżby znajdował się tu jeszcze jeden pulpit kontrolny? – pomyślała. Czyżby Thorne przedsięwziął aż tak daleko idące środki ostrożności?

Zaciskając do bólu palce na uchwytach zamocowanych przed wejściem do przegubu, zaczęła się w panice rozglądać dookoła. Znajdowała się już na samym końcu pojazdu. Jeśli mieściła się tu gdzieś dodatkowa tablica sterowania, to musiała być w pobliżu. Tylko gdzie? Wykorzystując światło błyskawicy, pospiesznie zerknęła przez jedno, potem przez drugie ramię.

Niczego nie dostrzegła.

Mięśnie bolały ją z wysiłku.

– Ian, proszę...

Nie było tu żadnej tablicy.

A przecież słuch jej nie mylił, wyraźnie słyszała ciche brzęczenie. Musiał gdzieś tu być włącznik zasilania, tylko nie potrafiła go zlokalizować. W blasku kolejnej błyskawicy po raz drugi rozejrzała się trwożnie na boki. Wnętrze pojazdu wypełniały mroczne cienie, lecz teraz dostrzegła pulpit sterowniczy.

Znajdował się ledwie kilkadziesiąt centymetrów nad jej głową: w otwartej szafce umieszczona była tablica z mnóstwem przełączników i pokręteł. W ciemnościach trudno było odczytać jakikolwiek napis. Gdyby tylko zdołała zidentyfikować...

Do diabła z tym! – pomyślała.

Wyciągnęła dłoń i przytrzymując się tylko jedną ręką, zaczęła bez namysłu wciskać kolejne klawisze na pulpicie. Już po chwili w środku pojazdu zapaliły się światła, wkrótce zajaśniały także zewnętrzne reflektory.

Ale Sara dalej naciskała poszczególne przełączniki. Niektóre obwody

musiały być zwarte, gdyż raz za razem nad jej głową strzelały snopy iskier i z tablicy zaczął wydobywać się dym.

Ona jednak włączała wszystko na oślep.

Nagle rozjaśnił się monitor komputera, oddalony zaledwie o parę centymetrów od jej twarzy. Ukazał się widok z jakiejś kamery – początkowo zamazany, zaraz się wyostrzył. Spoglądała na ekran obrócony o dziewięćdziesiąt stopni, ale bez trudu rozpoznała dwa tyranozaury na polanie, które popychały przyczepę po ziemi, napierały na nią brzuchami i kopały masywnymi tylnymi łapami. Zaczęła wciskać dalsze klawisze. Wreszcie wymacała duży przełącznik umieszczony pod plastikową osłoną. Bez zastanowienia odchyliła ją i przekręciła grubą rączkę.

Na monitorze tuż przed jej oczyma oba tyranozaury zniknęły nagle w gęstej chmurze oślepiających iskier wyładowania elektrycznego. Z zewnątrz dobiegły głośne ryki rozwścieczonych zwierząt. Po chwili monitor ściemniał, nad głową Sary także wystrzelił snop iskier. Poczuła ostre ukłucia na twarzy i dłoni. Zgasły światła we wnętrzu furgonu. Ponownie zapadła ciemność.

Przez chwilę panował spokój.

Ale po paru sekundach znów dotarł do niej stłumiony huk i auto zakołysało się gwałtownie.

THORNE

Wycieraczki pracowały z pełną mocą, ale deszcz prawie całkowicie przesłaniał widoczność. Thorne wciskał pedał gazu do podłogi, z poślizgiem biorąc zakręty. Spojrzał na zegarek: minęły dopiero dwie minuty.

Zresztą może więcej? Niczego już nie był pewien.

Droga miejscami zamieniła się w rwący strumień, na zakrętach powstały błotniste, zdradliwe kałuże. Ale nie zwalniał nawet przed największymi, tylko na chwilę wstrzymywał oddech. W miarę możności zabezpieczyli obwody elektryczne auta przed wilgocią, nie zdążyli ich jednak przetestować. Zatem każda kałuża stanowiła kolejny sprawdzian. Lecz do tej pory wszystko działało.

Minęły trzy minuty.

Dopiero trzy!

Za następnym zakrętem światła reflektorów wyłowiły ogromne rozlewisko. Thorne nie zdjął nogi z gazu. Po bokach samochodu wysoko

w górę trysnęły fontanny wody. Explorer pokonał i tę kałużę i zaczął się wspinać pod górę. Ale jeszcze przed szczytem wzniesienia wskazówki przyrządów na desce rozdzielczej zakołysały się ostro na boki, coś kilkakrotnie strzeliło pod maską. A więc jednak nastąpiło zwarcie! Po chwili rozległ się głośniejszy huk, zza osłony chłodnicy począł się wydobywać gęsty dym, silnik zawył i przestał pracować. Samochód zatrzymał się powoli.

Upłynęły zaledwie cztery minuty!

Thorne siedział za kierownicą, wsłuchując się w monotonne bębnienie deszczu o dach pojazdu. Parę razy obrócił kluczyk w stacyjce, lecz nie przyniosło to rezultatu.

Koniec – pomyślał.

Strugi wody ściekały po przedniej szybie. Doc odchylił się w fotelu i westchnął ciężko, spoglądając na drogę zbiegającą w dół zbocza. Z głośnika krótkofalówki doleciał głośny trzask.

– Doc? Jesteś już na miejscu?

Thorne nie zareagował. Spoglądał przez szybę, próbując ustalić, gdzie się znajduje. Ocenił w końcu, że od polany dzieli go jeszcze co najmniej półtora kilometra. Zbyt duży dystans, żeby pokonać go na piechotę. Zaklął pod nosem i wcisnął klawisz nadawania.

– Nie, Eddie. Nastąpiło zwarcie.

– Co takiego?

– Woda zalała silnik. Utknąłem.

Thorne z wściekłością wyłączył krótkofalówkę.

Dostrzegł nagle coś niezwykłego.

Zza krawędzi wzniesienia dobywała się czerwonawa łuna. Zmrużył oczy, jakby nie był pewien, czy to nie złudzenie. Ale wzrok go nie zawodził, poprzez strugi deszczu rzeczywiście przebijała się czerwonawa poświata. Z powrotem włączył krótkofalówkę.

– Doc! Słyszysz mnie?! – nawoływał Eddie.

On jednak nie odpowiedział. Chwycił radio oraz karabin Lindstradta, wyskoczył z samochodu i wciskając głowę w ramiona, pobiegł w kierunku bliskiego już rozwidlenia dróg. Kiedy wypadł zza zakrętu, zauważył czerwonego jeepa stojącego pośrodku ścieżki. Tylne światła były włączone, w miejscu jednej rozbitej osłony świeciła jaskrawą bielą goła żaróweczka.

Thorne podbiegł do auta i zajrzał do środka. W blasku błyskawicy zauważył, że w kabinie nikogo nie ma. Drzwi od strony kierownicy były uchylone i dość silnie wgniecione. Wskoczył do środka i spojrzał na kolumnę: kluczyki były w stacyjce. Przekręcił je. Silnik zawarkotał miarowo.

Bez namysłu wrzucił bieg, wykręcił ostro i skierował jeepa drogą

wiodącą szczytem grzbietu w stronę polany. Po przejechaniu kilkuset metrów dostrzegł w oddali dach olbrzymiego laboratorium. Skręcił gwałtownie w lewo. Snopy światła z reflektorów omiotły trawiastą polanę i wkrótce wyłowiły z ciemności oba tyranozaury spychające furgon w dół urwiska.

Zwierzęta jak na komendę obróciły się w jego kierunku i zaryczały głośno. Natychmiast porzuciły swe zajęcie i pognały ku niemu. Thorne pospiesznie wrzucił wsteczny bieg, dodał gazu i starał się zapanować nad autem buksującym w błocie, kiedy uzmysłowił sobie, że dinozaury wcale nie chcą go atakować.

Gnały przez polanę w kierunku rozłożystego drzewa rosnącego kilkadziesiąt metrów od jeepa. Zatrzymały się przy nim, zadzierając łby ku górze. Thorne zgasił światła. W mroku mógł widzieć olbrzymie drapieżniki tylko przy blasku błyskawic, spostrzegł jednak, że matka zdejmuje pisklę z gałęzi. Samiec trącił je czubkiem pyska. Widocznie nagłe pojawienie się drugiego intruza wzbudziło u rodziców niepokój o malca.

Kiedy niebo rozjaśniła następna błyskawica, zwierząt nie było już pod drzewem. Naprawdę odeszły czy tylko ukryły się gdzieś w pobliżu? – pomyślał Thorne. Opuścił szybę i wytknął głowę w strugi deszczu. Doleciał do niego przytłumiony, zgrzytliwy pisk, jak gdyby przeciągły okrzyk jakiegoś wielkiego ptaszyska. Dopiero po chwili Doc uprzytomnił sobie, że to nie jest głos żadnego zwierzęcia – tak skrzypiał metal znajdujący się u granic wytrzymałości.

Włączył światła i szybko ruszył na drugi koniec polany. Tyranozaurów nie było nigdzie w pobliżu. Przy blasku reflektorów Thorne obrzucił spojrzeniem przyczepę furgonu.

Przy wtórze zgrzytów i trzasków pojazd zsuwał się powoli po mokrej trawie nad krawędź urwiska.

– Co on robi? – zawołała Kelly, przekrzykując szum deszczu.

– Jedzie przez polanę – odparł Levine, który przez gogle noktowizyjne obserwował światła samochodu przesuwające się w stronę drzew okalających miejsce postoju furgonu. – Najpierw podjechał do przyczepy, a teraz…

– Co? – zapytała zniecierpliwiona dziewczyna. – Co teraz?

– Objeżdża dookoła drzewo – mruknął Levine – duże samotne drzewo na skraju polany.

– Po co?

– Prawdopodobnie naciągnął linę holowniczą – wtrącił Eddie. – To jedyne sensowne wytłumaczenie.

Przez chwilę panowała cisza.

– I co teraz? – spytał z kolei Arby.

– Wysiadł z jeepa. Biegnie z powrotem do furgonu.

Thorne podpełzł na czworakach w błocie nad samą krawędź urwiska, trzymając w ręku masywny hak wyciągarki jeepa. Na szczęście przyczepa stała na kołach. Lecz choć zaciągnięte hamulce trzymały mocno, opony ześlizgiwały się z wolna w bok po mokrej trawie. Doc bez namysłu dał nura pod spód. Zaczepił hak o tylną szynę ramy podwozia i błyskawicznie odturlał się w bok. W tym samym momencie lina się naprężyła, głośno zazgrzytały wgniatane blachy błotnika, wokół którego była naciągnięta. Całą przyczepą szarpnęło w drugą stronę, jedno jej koło znalazło się dokładnie w tym miejscu, gdzie przed chwilą leżał Thorne.

Lina napięła się jeszcze bardziej. Cała metalowa konstrukcja przyczepy głośno zazgrzytała w proteście.

Ale mocowanie wytrzymało.

Thorne wyczołgał się spod pojazdu i obrzucił spojrzeniem swoje dzieło. Przez kilka sekund przyglądał się uważnie kołom wozu, chcąc sprawdzić, czy choć trochę przesuwają się jeszcze po błotnistym podłożu. Nie było żadnego ruchu. Lina owinięta wokół pnia drzewa, z masywnym jeepem służącym teraz za przeciwwagę, musiała utrzymać ciężar zawieszonego nad przepaścią furgonu.

Pobiegł z powrotem do auta, wskoczył do szoferki i zaciągnął ręczny hamulec. Z głośnika krótkofalówki dobiegały nawoływania Eddiego:

– Doc! Jesteś tam? Doc!

– Słyszę cię, Eddie.

– Udało ci się podwiesić furgon?

– Tak. Na razie nie zsuwa się dalej.

Burza powodowała, że z radia seriami płynęły głośne trzaski.

– To wspaniale. Nie muszę ci jednak mówić, że przegub tworzy półcentymetrowa warstwa gumy na stalowej siatce. Nawet nie badaliśmy jego wytrzymałości...

– Wiem, Eddie. Właśnie próbuję coś wymyślić.

Chwycił krótkofalówkę i wyskoczył z powrotem na deszcz. Ponownie

dobiegł do przyczepy.

Otworzył boczne drzwi i wdrapał się do środka. Panowały tu nieprzeniknione ciemności, nic nie było widać. Na podłodze walały się różne sprzęty, pod butami chrzęściło potłuczone szkło. Wszystkie szyby zostało powybijane. Thorne uniósł radio do twarzy.

– Eddie!

– Słucham, Doc.

– Potrzebna mi lina.

On nawet nie sprawdzał całego sprzętu, który Eddie przed wyjazdem poupychał w szafkach.

– Doc...

– Szybciej!

– Jest w furgonie.

Thorne huknął pięścią w brzeg pulpitu, który wymacał pod ręką.

– Cholera!

– Być może znajdzie się kawałek nylonowej linki w skrzyni na końcu przyczepy – rzekł Carr z wahaniem w głosie. – Nie jestem jednak pewien...

Doc zaczął się przedzierać w stronę tylnej części przyczepy. Wymacał ręką uchwyt największej szafki i zaczął go szarpać, gdyż drzwiczki okazały się zaklinowane. Dopiero po chwili przyszło mu do głowy, że Eddie miał na myśli skrzynię umocowaną do podłogi. Odwrócił się w jej stronę. Miał nadzieję, że wśród zgromadzonych tam rzeczy znajdzie choć kawałek liny.

FURGON

Sara wciąż wisiała w tylnej części pojazdu, przywierając całym ciałem do podłogi, i spoglądała z nadzieją w stronę skręconego, zakleszczonego przegubu prowadzącego do przyczepy. Od pewnego czasu nie słychać już było uderzeń atakujących dinozaurów i furgon przestał się osuwać w dół zbocza. Pojawiły się za to krople deszczu, które spadały jej prosto na twarz. Dobrze wiedziała, co to może oznaczać.

Harmonijkowy przegub zaczynał pękać.

Ponownie uniosła głowę i tym razem dostrzegła poszerzającą się szczelinę pęknięcia; spod trzaskającej gumy wyzierały poskręcane druty stalowego wzmocnienia. Rozdarcie nie było jeszcze duże, ale pod ciężarem

zawieszonego furgonu musiało się dość szybko poszerzyć. Pomyślała, że gdy tylko elastyczne tworzywo całkiem się rozejdzie, stalowa siatka nie wytrzyma obciążenia i wcześniej czy później cały przegub puści.

Zostało im najwyżej kilka minut do czasu, kiedy furgon runie w przepaść.

Ostrożnie ześliznęła się w dół i znalazła mocny punkt podparcia obok leżącego Malcolma.

– Ian?

– Tak, wiem... – szepnął, kręcąc głową.

– Musimy natychmiast znaleźć stąd jakieś wyjście. – Sara wsunęła rękę pod piersi mężczyzny i próbowała go dźwignąć w górę. – I nie mam zamiaru cię tu zostawić.

Malcolm z rezygnacją pokręcił głową. Wielokrotnie widywała już u niego podobne gesty zniechęcenia, zamiar poddania się wyrokowi losu. Nie znosiła tego. Ona nigdy nie rezygnowała, przynajmniej do tej pory.

– Nie dam rady... – jęknął.

– Musisz.

– Saro...

– Nie chcę tego słuchać, Ian. W ogóle nie ma o czym gadać. Ruszamy.

Pociągnęła go mocniej, aż syknął z bólu, ale się wyprostował, odepchnął rękoma od blatu stolika. Niebo rozjaśniła błyskawica i jej blask jak gdyby dodał mu sił. Podciągnął się nieco do góry, uklęknął na krawędzi stolika, wreszcie na niej stanął. Ręce mu dygotały i wyraźnie chwiał się na boki, ale stał o własnych siłach.

– I co dalej?

– Nie wiem, ale musimy jak najszybciej znaleźć jakieś wyjście... Jest tu gdzieś kawałek liny?

Przytaknął ruchem głowy.

– Gdzie?

Wskazał w dół, w stronę kabiny kierowcy.

– W przednim schowku pod deską rozdzielczą.

Harding szeroko rozłożyła nogi, ustawiając mocno stopy na elementach wyposażenia po obu bokach furgonu. Czuła się jak alpinista wędrujący wąskim skalnym kominem. Trzy metry pod nią znajdowało się oparcie fotela kierowcy.

– W porządku, Ian. Ruszamy.

– Nie dam rady, Saro – jęknął Malcolm. – Mówię poważnie.

– Oprzyj się na mnie, będzie ci lżej.

– Ależ...

– Przestań wreszcie gadać, do cholery!

Wyprostował się i zacisnął palce na ściennym uchwycie. Ramiona mu dygotały z wysiłku. Ostrożnie zaczął przesuwać prawą nogę. Objął ją ramieniem i po chwili Sara poczuła na plecach ciężar jego ciała. Zachwiała się, omal nie straciła równowagi. Malcolm ściskał jej szyję, przygniatał krtań. Jęknęła głośno. Szybko sięgnęła do tyłu, chwyciła go za pośladki i dźwignęła wyżej. Usadowił się wygodniej i objął ją oburącz, nacisk na tchawicę zelżał. Zaczerpnęła głęboko powietrza.

– Przepraszam – mruknął.

– Nic się nie stało. Schodzimy.

Zaczęła powoli zsuwać się w stronę kabiny, uważnie wyszukując pewne punkty podparcia. Kiedy nie sięgała uchwytów na ścianach pojazdu, przytrzymywała się gałek w drzwiczkach szafek, nóg stolików, poręczy pod oknami, a nawet odstających fragmentów wykładziny na podłodze. W pewnym momencie duży kawał wykładziny oderwał się pod ich ciężarem i Sara niebezpiecznie zjechała na brzuchu kilkadziesiąt centymetrów, zdążyła jednak rozstawić szeroko nogi i stanęła na krawędzi jakiegoś mebla. Tuż przy uchu słyszała świszczący oddech Malcolma, ramiona dygotały mu coraz silniej.

– Jesteś bardzo silna – szepnął przez zęby.

– Co mi nie przeszkadza być kobietą – odparła posępnym tonem.

Zerknęła w dół: od fotela kierowcy dzieliło ją zaledwie pół metra. Zacisnęła palce na ostatnich uchwytach, opuściła się na wyciągnięcie rąk i wymacała stopami koło kierownicy. Przykucnęła szybko i posadziła Malcolma na desce rozdzielczej. Opadł na wznak, spazmatycznie łapiąc powietrze.

Z góry dolatywało głośne skrzypienie, furgon kołysał się na boki. Sara na oślep sięgnęła do podłogi, wymacała uchwyt schowka na wprost prawego fotela i szarpnięciem otworzyła drzwiczki. Ze środka z brzękiem posypały się różne narzędzia. Ale był tam również zwój liny: na centymetr grubej, nylonowej, mającej jakieś dwadzieścia metrów długości.

Harding wyprostowała się i spojrzała przez przednią szybę w kierunku leżącego kilkadziesiąt metrów poniżej dna urwiska. Po chwili przeniosła wzrok na drzwi pojazdu od strony kierownicy. Nacisnęła klamkę i otworzyła je. Opadły pod własnym ciężarem i z głośnym hukiem załomotały o lewy błotnik. Sara poczuła na twarzy krople deszczu.

Ułożyła się płasko na brzuchu i wysunęła głowę na zewnątrz. Na karoserii nie było żadnych uchwytów i wystających części. Uzmysłowiła sobie jednak, że od strony podwozia musi się znaleźć coś, na czym można by postawić stopę. Z całej siły zacisnęła palce na mokrej i śliskiej klamce drzwi, po czym wysunęła się dalej, chcąc zajrzeć pod spód furgonu. Nagle tuż koło jej twarzy coś brzęknęło metalicznie i niespodziewanie rozległ się męski

głos:

– No, wreszcie!

Tuż przed jej oczyma zamajaczyła w ciemnościach sylwetka człowieka. Rozpoznała Thorne'a, który jak akrobata wisiał na ramie podwozia.

– Na co czekacie, do diabła? – syknął. – Na pisemne zaproszenie? Pospieszcie się.

– Ian jest ranny – odparła.

Normalka – pomyślała Kelly, spoglądając na Arby'ego – kiedy tylko pojawiają się jakieś kłopoty, zaczyna być nieporadny jak niemowlę. Wystarczy odrobina napięcia, jakiś stres, a już staje się roztrzęsiony i przerażony. Arby od dłuższego czasu nie miał już odwagi zerknąć w kierunku urwiska, stał tyłem do polany, jakby chciał coś wypatrzyć na końcu doliny, po drugiej stronie rzeki. Można by odnieść wrażenie, że nic się nie stało. Normalka, powtórzyła dziewczyna w myślach.

Odwróciła się do Levine'a.

– Co się teraz dzieje? – spytała.

– Thorne właśnie wszedł do środka – odparł biolog, który nawet na chwilę nie odrywał noktowizyjnych gogli od oczu.

– Wszedł do środka? To znaczy... do kabiny furgonu?

– Tak. A teraz... ktoś wychodzi.

– Kto?

– Chyba Sara. Wyprowadza kogoś na zewnątrz.

Kelly wytężyła wzrok, próbując cokolwiek dojrzeć gołym okiem. Deszcz już prawie ustał, przeszedł w drobniutką mżawkę. Wydawało jej się, że widzi furgon zawieszony nad przepaścią, że wyławia nawet zarys sylwetki człowieka zawieszonego na ramie podwozia. Nie była jednak pewna, czy nie jest to jedynie wytwór wyobraźni.

– Co ona robi?

– Wspina się do góry.

– Sama?

– Tak – mruknął Levine. – Sama.

Harding wychyliła się daleko za drzwi, chowając twarz przed kroplami deszczu. Starała się nie patrzeć w dół. Wiedziała, że dno kotliny znajduje się kilkadziesiąt metrów poniżej. Czuła, jak furgon kołysze się nad przepaścią. Poprawiła zwój liny na ramieniu. Sięgnęła ręką pod krawędź karoserii i postawiła stopę na skrzynce z narzędziami. Pomacała na oślep dłonią, aż wyczuła pod palcami jakiś gruby kabel. Chwyciła się mocno.

Thorne wysunął za nią głowę.

– Nie wyciągniemy stąd Malcolma bez liny – rzekł. – Czy na pewno dasz radę wejść na górę?

Niebo rozjaśniła błyskawica. Sara zastygła, wbijając spojrzenie na wprost, w połyskującą, mokrą od deszczu karoserię furgonu. Dostrzegła ciemne, tłuste plamy jakiegoś smaru. Po chwili znów nastała ciemność.

– Saro! Dasz radę się tam wdrapać?

– Tak – odparła.

Przeniosła ciężar ciała na prawą nogę i wsunęła się pod podwozie.

Na ambonie Kelly bez przerwy pytała ciekawie:

– Gdzie ona teraz jest? Co się dzieje? Wszystko w porządku?

– Wspina się do góry – odparł Levine, spoglądając uważnie przez gogle.

Arby od niechcenia przysłuchiwał się tej wymianie zdań. Wbijał wzrok w odległy koniec doliny, w trawiastą przestrzeń za rzeką. Z niecierpliwością czekał na kolejną błyskawicę. Musiał się przekonać, czy to, co ujrzał w blasku poprzedniej, nie było jedynie przywidzeniem.

Harding nawet nie wiedziała, jakim sposobem udało jej się dotrzeć do krawędzi urwiska. Musiała włożyć wszystkie siły w to, by zapierając się łokciami i kolanami, wdrapać się po błotnistej pochyłości na polanę. Wreszcie przetoczyła się przez ramię i szybko poderwała na nogi. Nie było czasu do stracenia. Rozwijając zwój liny, dała nura pod przyczepę. Błyskawicznie przeciągnęła jej koniec nad szyną ramy podwozia i zacisnęła gruby supeł. Ostrożnie przyklęknęła na brzegu przepaści i zrzuciła linę w dół.

– Doc! – zawołała.

Stojący w drzwiach kabiny Thorne bez trudu złapał linę i pospiesznie obwiązał nią Malcolma, który pojękiwał głośno.

– Wiejemy stąd – mruknął Doc.

Złapał matematyka pod pachami i wyciągnął go na zewnątrz, zapierając się stopami o kolumnę kierownicy.

– Jezu... – syknął Malcolm, spoglądając w górę.

Harding natychmiast zaczęła wybierać linę, wciągając go na polanę.

– Podciągaj się na rękach – rzekł Thorne.

Ian sięgnął do wystających części podwozia i już po paru sekundach został wywindowany trzy metry wzwyż. Z kabiny pojazdu Thorne nie mógł dojrzeć Sary wybierającej linę na polanie, tym bardziej że ciało Malcolma zasłaniało mu widok. Zaczął się szybko wdrapywać, ostrożnie stawiając stopy. Elementy podwozia były śliskie. Trzeba było je czymś pomalować, przemknęło mu przez myśl, zaraz jednak przyszło otrzeźwienie: kto mógł przypuszczać, że przyjdzie im się wspinać po ramie?

Oczyma wyobraźni widział już pękający przegub furgonu, rozłażące się warstwy syntetycznego kauczuku, trzaskającą siatkę, z wolna poszerzające się szczeliny rozdarcia...

Przyspieszył nieco. Krok po kroku wdrapywał się coraz wyżej.

W blasku kolejnej błyskawicy dostrzegł, że znajduje się już blisko krawędzi urwiska.

Sara klęczała na brzegu przepaści. Gdy głowa Malcolma wyłoniła się nad krawędzią, chwyciła linę związaną w gruby węzeł na jego plecach. Ian zaparł się łokciami o ziemię, podciągnął i legł bezsilnie na brzuchu. Nogi zwisały mu nadal w powietrzu. Jeszcze kawałek – pomyślał. W tej samej chwili Harding bezceremonialnie pociągnęła go po błocie. Malcolm przetoczył się na wznak.

Thorne ześliznął się po raz kolejny, lecz podciągnął się na rękach i znalazł pewne oparcie dla stóp. Bolały go mięśnie ramion.

Kurczowo zaciskał palce.

Sara wyciągnęła rękę.

– Chodź, Doc.

Sięgnął w górę.

Ich dłonie się zetknęły.

W tej samej chwili z głośnym trzaskiem pękł przegub furgonu, samochód błyskawicznie osunął się trzy metry w dół. Trzymała jeszcze tylko druciana siatka wzmocnienia, lecz i ona stopniowo pękała.

Thorne zaczął się wspinać szybciej. Spojrzał na Sarę.

Wyciągała ku niemu rękę.

– Na pewno dasz radę, Doc…

Błyskawicznie owinął sobie wokół nadgarstka luźny koniec liny i z zamkniętymi oczami zaczął się piąć dalej. Ramiona mu dygotały, nylonowa lina wpijała się w skórę. Chwycił się jej oburącz i próbował podciągnąć, lecz nie miał już siły. Czuł, że za chwilę lina wysunie mu się z palców. Nagle poczuł dotkliwy ból skóry głowy.

– Przepraszam… – jęknęła Sara, ciągnąc go za włosy.

Thorne zagryzł zęby. Nie zważał już na ból, gdyż znalazł się na wysokości pękającego z wolna przegubu i miał przed oczyma rozciągającą się drucianą siatkę. Samochód osunął się jeszcze niżej i Doc stracił nagle oparcie pod stopami. Ale Harding nie puszczała, uparcie ciągnęła go za włosy. Była nadzwyczaj silna. Wykrzesał z siebie resztkę energii, wyciągnął rękę ku górze, poczuł pod palcami mokre źdźbła trawy…

Nie wiadomo kiedy zawisł do połowy nad krawędzią przepaści. Był bezpieczny.

Za jego plecami rozległa się seria metalicznych trzasków, wreszcie głośno brzęknęło, niczym uderzone struny fortepianu, i furgon runął w przepaść. W jednej chwili zniknął im z oczu i z głośnym hukiem roztrzaskał się u podstawy urwiska. W blasku błyskawicy Thorne obejrzał się przez ramię i popatrzył na pojazd w dole, z tej wysokości przypominający zmiętą, wyrzuconą do śmieci papierową torbę.

Uniósł głowę i spojrzał kobiecie w oczy.

– Dzięki – mruknął.

Sara siedziała w błocie i oddychała ciężko. Spod materiału, którym przewiązała czoło, ponownie zaczęła spływać strużka krwi. Powoli rozwarła zaciśnięte kurczowo palce, a spomiędzy nich wysunęła się na ziemię spora kępka jego siwych włosów.

– Co za noc… – szepnęła.

Wciąż nie odrywając gogli od oczu, Levine zawołał:

– Udało im się!

– Wszyscy wyszli? – spytała Kelly.

– Tak! Cała trójka jest na polanie!

Dziewczyna zaczęła podskakiwać i głośno chichotać.

Arby odwrócił się i gwałtownie wyrwał gogle z rąk Levine'a.

– Co robisz? Zaczekaj chwilę...

– Są mi potrzebne – burknął chłopak.

Nie zważając na nic, obrócił się do nich tyłem i zapatrzył w głąb kotliny. Przez chwilę dostrzegał w goglach jedynie rozmazane, jaskrawozielone smugi. Szybko wyregulował ostrość i zaczął obserwować trawiastą równinę.

– Co tam może być takiego ważnego? – parsknął poirytowany Levine. – To naprawdę bardzo kosztowne urządzenie, więc...

W tym momencie wszyscy usłyszeli powarkiwanie szybko zbliżających się zwierząt.

W końcu Arby ujrzał wyraźnie sylwetki raptorów. Dwanaście drapieżników posuwało się szybko przez wysoką trawę, zmierzały prosto w kierunku ich stanowiska. Przewodnik stada podążał kilka metrów z przodu, poza tym trudno było spostrzec jakiekolwiek zorganizowanie gromady krwiożerców. Wszystkie zwierzęta powarkiwały cicho i oblizywały zakrwawione paszcze, ocierając przy tym pyski krótkimi przednimi łapami. W tych gestach było coś niezwykle ludzkiego, znamionującego wysoką inteligencję. Na ekranie noktowizora oczy raptorów stanowiły jaskrawozielone, błyszczące plamki.

Można było odnieść wrażenie, że zwierzęta wcale się nie interesują wieżą obserwacyjną, nawet nie patrzyły w stronę ambony, a jednak zmierzały prosto w tym kierunku.

Ktoś wyrwał gogle z dłoni Arby'ego. Chłopak odwrócił się szybko i spojrzał na Levine'a.

– Przepraszam, ale wydaje mi się, że zrobię z nich lepszy użytek niż ty.

– Nawet by się pan niczego nie domyślił, gdyby nie ja – burknął urażony Arby.

– Cicho bądź.

Levine pospiesznie uniósł gogle do oczu, wyregulował ostrość, a kiedy dostrzegł stado, aż syknął przez zęby. Błyskawicznie policzył zwierzęta: było ich dwanaście. Nie dalej jak dwieście metrów od wieży!

– Mogą nas dostrzec w ciemnościach? – zapytał szeptem Eddie.

– Nie. Poza tym jesteśmy po zawietrznej, więc nie mogą nas także wywęszyć. Sądzę, że kierują się ku tej ścieżce, która prowadzi skrajem dżungli za nami. Jeśli będziemy cicho, zaraz nas miną.

W głośniku krótkofalówki zatrzeszczało, lecz Carr błyskawicznie wyłączył aparat.

Wszyscy wpatrywali się z napięciem w otaczające ciemności. Nie było nawet najlżejszego wiatru. Deszcz ustał całkowicie i spomiędzy rzednących chmur co jakiś czas wyglądał sierp księżyca. W jego blasku bez trudu zauważyli stado drapieżników skradających się w wysokiej trawie.

– Dadzą radę się tu wdrapać? – zapytał szeptem Eddie.

– Raczej nie – odparł Levine. – Jesteśmy prawie sześć metrów nad ziemią. Chyba nic nam tu nie grozi.

– Mówiłeś jednak, że potrafią się wspinać na drzewa.

– Cicho. Nie jesteśmy na drzewie. Siadajcie wszyscy. Ma być absolutna cisza.

Malcolm skrzywił się z bólu, kiedy Thorne ułożył go na blacie we wnętrzu przyczepy.

– Coś mi się wydaje, że nie mam szczęścia do wypraw terenowych w te strony, prawda?

– Pleciesz bzdury – odparła Sara. – Zachowaj spokój, Ian.

W świetle latarki trzymanej przez Thorne'a zaczęła rozcinać nogawkę spodni Malcolma. Po chwili ich oczom ukazała się długa, głęboka rana na jego prawym udzie. Musiał stracić wiele krwi.

– Jest tu apteczka? – zapytała Harding.

– Powinna być w tylnym przedziale, tam, gdzie trzymamy motocykl – odparł Doc.

– Przynieś ją.

Thorne wyszedł na zewnątrz. Malcolm nie miał odwagi, żeby unieść głowę i popatrzeć na swoją nogę. Przez chwilę zerkał na Harding, która pochylała się nisko i świecąc sobie latarką, uważnie oglądała ranę, wreszcie

zapytał:

– Źle to wygląda?

– Nie jest najgorzej. Przeżyjesz.

Bała się powiedzieć prawdę, że rozcięcie jest bardzo głębokie, prawie do samej kości. Na szczęście nie została przerwana żadna z głównych arterii krwionośnych. Ale rana była zabrudzona, między jej brzegami widać było ciemne plamy jakichś smarów i kawałki liści. Należało ją przede wszystkim zdezynfekować, ale przedtem zrobić zastrzyk z morfiny.

– Saro – szepnął Malcolm. – Zawdzięczam ci życie.

– Daj spokój, Ian.

– Dobrze wiesz, że to prawda.

– Co ci się stało? – Spojrzała mu w twarz. – Nigdy nie lubiłeś okazywać wdzięczności.

– Wszyscy się zmieniamy – rzekł, uśmiechając się blado.

Doskonale wiedziała, że musi mu dokuczać nieznośny ból. Kiedy Thorne wrócił z apteczką, szybko napełniła strzykawkę i zrobiła Malcolmowi zastrzyk w ramię. Jęknął cicho.

– Ile mi zaaplikowałaś?

– Wystarczająco dużo.

– Po co?

– Żeby móc dokładnie oczyścić ci ranę. Nie zniósłbyś tego bez środków przeciwbólowych, Ian.

Malcolm westchnął głośno i obejrzał się na Thorne'a.

– Zawsze coś schrzanię, prawda? Śmiało, Saro, czyń swoją powinność.

Levine uważnie obserwował przez gogle stado raptorów. Zwierzęta nie tworzyły zwartej gromady, poruszały się w wysokiej trawie typowymi dla siebie susami. Richard miał nadzieję zauważyć jakąś hierarchię, przynajmniej zaczątki stadnej organizacji. Welociraptory były niezwykle inteligentne, przypuszczał więc, iż żyjąc w gromadzie, przejawiają pewną dyscyplinę, a ich hierarchia powinna być doskonale widoczna właśnie w takiej sytuacji, podczas wędrówki przez otwarty teren. Nie mógł jednak niczego wypatrzyć. Zwierzęta nie tylko przemieszczały się w luźnej gromadzie, lecz nawet powarkiwały i kłapały na siebie zębami.

Carr siedział wraz z dziećmi na podłodze ambony, obejmował je rękoma, jakby chciał w ten sposób dodać im otuchy. Kelly zachowywała spokój, lecz

Arby był wyraźnie spanikowany.

Levine nie potrafił zrozumieć, czego w tej sytuacji można się bać. Tu, na górze, absolutnie nic im nie groziło. Ponownie skierował całą swą uwagę na stado drapieżników. Tego typu obserwacje były dla niego niezwykle istotne.

Nie miał już wątpliwości, że raptory kierują się na ścieżkę prowadzącą skrajem kotliny. Tym samym szlakiem przemieszczały się w ciągu dnia: wędrowały w górę rzeki, a w tej okolicy wdrapywały się na skarpę i znikały w głębi dżungli. Teraz też posuwały się bez pośpiechu, nie zwracając najmniejszej uwagi na posterunek obserwacyjny. Odnosił zarazem coraz silniejsze wrażenie, że zwierzęta działają niemal całkowicie niezależnie od siebie.

Prawie całe stado minęło już ażurową wieżę ukrytą w koronie drzewa. Nagle jeden z ostatnich drapieżników przystanął i zaczął uważnie węszyć, jakby nagle zapomniał o pozostałych. Wkrótce pochylił nisko łeb i zaczął nim wodzić w trawie, w pobliżu jednej z nóg wieży.

Ciekawe, co go zainteresowało? – zaczął się zastanawiać Richard.

Samotny raptor warknął głośno i ponownie zanurzył łeb w trawie. Nagle się wyprostował. Trzymał coś w krótkich przednich łapach. Levine wytężył wzrok, próbując dojrzeć, co to jest.

Po chwili rozpoznał fragment opakowania po swoim batoniku.

Raptor zadarł głowę, jego oczy silnie błyszczały w ciemnościach. Patrzył prosto na Levine'a. Po raz drugi głośno warknął.

MALCOLM

– Dobrze się czujesz? – spytał Thorne.

– Z każdą chwilą coraz lepiej – mruknął Malcolm i westchnął ciężko. Był już całkiem rozluźniony. – Zaczynam rozumieć powody, dla których ludzie popadają w uzależnienie od morfiny.

Sara starannie ułożyła pod jego udem nadmuchiwaną gumową poduszkę i powoli napełniała ją powietrzem.

– O której mają po nas przylecieć? – zapytała.

Thorne spojrzał na zegarek.

– Za cztery i pół godziny. O świcie.

– Będą tu na pewno?

– Tak, na pewno.

Harding skinęła głową.

– W porządku. W takim razie wszystko powinno się dobrze skończyć.

– Naprawdę świetnie się czuję – bąknął zaspanym głosem Malcolm. – Martwi mnie tylko, że trzeba będzie przerwać nasz eksperyment. A tak wspaniale się zapowiadał... Zupełnie wyjątkowo. Można powiedzieć, że elegancko. Darwin nawet się nie domyślał...

– Chyba mogę już oczyścić mu ranę – odezwała się półgłosem Sara. – Przytrzymaj go za kolano. – Znacznie głośniej spytała Malcolma: – Czego Darwin się nie domyślał, Ian?

– Że życie to klasyczny system złożony i podlega wszelkim prawom dotyczącym takich systemów. Podobnie jak naturalne ukształtowanie terenu, spacery rekreacyjne czy sieci algebry Boole'a. Układy samoorganizujące się... Au! Co ty mi robisz?

– Nie zwracaj na to uwagi – odparła Harding, pochylając się nisko nad stołem. – Twierdzisz zatem, że Darwin nawet się nie domyślał...

– Nie miał pojęcia, że życie jest tak niewiarygodnie złożone – podjął matematyk. – Nikt nie zdaje sobie z tego sprawy. Przecież jedno zapłodnione jajo zawiera tysiące różnych genów, które muszą działać w sposób skoordynowany, obejmując w odpowiednim momencie dominującą rolę, przez co z pojedynczej komórki rozwija się żywy organizm. Kiedy tylko ta pierwsza komórka zaczyna się dzielić, już w następnej fazie pojawia się zróżnicowanie, następuje specjalizacja komórek. Z jednych powstaną nerwy, z innych narządy wewnętrzne, jeszcze z innych mięśnie. Każda grupa komórek zaczyna realizować swój własny program, rozrasta się, mutuje. W efekcie uzyskujemy organizm zbudowany z dwustu pięćdziesięciu rodzajów komórek, ściśle współdziałających ze sobą i spełniających odrębne funkcje. Kiedy tylko embrion zaczyna potrzebować niezależnego układu krążenia, wykształcone już serce przystępuje do działania. Kiedy pojawia się zapotrzebowanie na hormony, rusza ich produkcja w gruczołach dokrewnych. Dzień po dniu ten niewiarygodnie złożony system się rozwija, prowadząc harmonijne współdziałanie. Idealne współdziałanie. To wręcz niewiarygodne. Żadne dzieło rąk ludzkich nigdy nie zdoła mu dorównać. Weźmy na przykład pod uwagę budowę domu. W porównaniu z żywym organizmem to bardzo proste przedsięwzięcie. A i tak się okazuje, że stolarz krzywo zbił schody, zlew odstaje od ściany, natomiast specjalista od układania glazury nie zjawił się na czas. Ujawnia się mnóstwo dokuczliwych usterek. Tymczasem choćby taka mucha, która siada na kanapce murarza, jest zbudowana naprawdę idealnie... Au!

Trochę delikatniej.

– Przepraszam – mruknęła Sara, nie przerywając pracy.

– Problem polega na tym – ciągnął matematyk – że te fascynujące procesy rozwoju pojedynczej komórki umiemy jedynie z grubsza opisać, a co tu mówić o ich zrozumieniu. Bo czy ktokolwiek zdaje sobie sprawę, jak blisko leżą granice naszych umiejętności pojmowania? Potrafimy matematycznie opisać dwa oddziałujące na siebie elementy, na przykład dwie planety w przestrzeni. Jeśli oddziałują na siebie trzy planety, pojawiają się pewne kłopoty. Kiedy zaś mamy do czynienia z układem cztero- lub pięcioelementowym, nikt już nie potrafi tego zrobić. A przecież w pojedynczej żywej komórce stykamy się z setką tysięcy oddziałujących na siebie czynników. Możemy tylko bezradnie rozłożyć ręce. Więc skoro życie jest aż tak złożone, to jak w ogóle mogło dojść do jego powstania? Niektórzy sądzą, że jedynym sensownym wyjaśnieniem jest istnienie samoorganizacji form żywych. Życie narzuca swoje własne prawa, podobnie jak proces krystalizacji narzuca swoje reguły tworzącym się kryształom. Według tej teorii efektem krystalizacji życia są organizmy żywe, tylko w ten sposób możliwe jest osiągnięcie takiego stopnia złożoności. Gdybyśmy w ogóle nie znali chemii fizycznej, moglibyśmy patrzeć na kryształy i zadawać te same pytania: Spójrzcie na te idealne krawędzie, na doskonałe geometryczne kształty; ciekawe, jakie siły kontrolują proces tworzenia kryształów? Jak to się dzieje, że materia przybiera regularne kształty, a każdy kryształ ma dokładnie taką samą formę, co inne kryształy tej samej substancji? Okazuje się jednak, że kryształy są jedynie efektem końcowym działania sił molekularnych, dzięki którym z roztworów krystalizują ciała stałe. Nic nie kontroluje tych procesów, one zachodzą samoistnie. Jeżeli więc zadajemy podstawowe pytania dotyczące natury kryształów, oznacza to, że po prostu nie rozumiemy podstaw tych procesów, które prowadzą do ich utworzenia. Zatem organizmy żywe także mogą być efektem działania podobnych procesów. Życie może powstawać samoistnie. W tej sytuacji nikogo by nie dziwiło, że istnieją pewne reguły, według których oddziaływanie tysięcy czynników prowadzi do wytworzenia konkretnego organizmu. Jeżeli przyjmiemy taką teorię, to na podstawie badania kryształów możemy określić podstawową regułę: w trakcie krystalizacji uporządkowanie materii pojawia się już na bardzo wczesnym etapie procesu. Nie wiadomo, kiedy z cząsteczek poruszających się bezładnie w roztworze powstaje zalążek kryształu, w którym te same cząsteczki są ułożone w ściśle określony sposób. Zgadza się?

– Owszem...

– Przejdźmy dalej. Zastanówmy się nad wzajemnymi oddziaływaniami

organizmów żywych składających się na ekosystem planetarny. Tu mamy sytuację jeszcze bardziej złożoną niż w wypadku pojedynczego stworzenia. Odnajdujemy skomplikowane wzajemne zależności. Czy znacie sposób rozmnażania się juki?

– Nie. Opowiedz nam o tym.

– Otóż juka jest całkowicie uzależniona od pewnego gatunku ćmy, która zbiera pyłek w drobne kulki i przenosi je nawet nie do innego kwiatu, ale do kwiatów drugiej rośliny, gdzie pocierając nimi o słupki, dokonuje zapylenia. Dopiero wtedy ćma składa jajeczka. Zatem juka nie mogłaby się rozmnażać bez udziału ćmy, ale i ćma nie mogłaby składać jaj, nie mając dostępu do kwiatów juki. Właśnie tego typu skomplikowane współzależności skłaniają do twierdzenia, iż życie jest także pewną formą krystalizacji.

– Mówisz to w przenośni? – zapytała Harding.

– Mówię o stopniu uporządkowania istniejącym w naturze – odparł Malcolm – i o tym, jak wcześnie w procesach rozwojowych pojawiają się elementy tegoż uporządkowania. Zwróćcie uwagę, że zwierzęta potrafią błyskawicznie dostosowywać się do warunków, zmiany następują bardzo szybko. Ludzie dokonują głębokich przeobrażeń ekosystemu planetarnego i nikt nie potrafi powiedzieć, jak groźne mogą być skutki tych przeobrażeń. Zatem mamy do czynienia ze zmianami dużo szybszymi niż te, które wynikają z samych procesów ewolucyjnych. W ciągu dziesięciu tysięcy lat ludzkość przebyła drogę od zbieractwa poprzez uprawę roli, budowę wielkich miast aż po cyberprzestrzeń. Obyczaje nieustannie transformują, nie wiadomo jednak, czy ten proces w ogóle podlega jakiejkolwiek adaptacji. Nikt tego nie wie. Osobiście jestem przekonany, że cyberprzestrzeń oznacza koniec naszego gatunku.

– Naprawdę? Dlaczego tak sądzisz?

– Bo zniknie wiele bodźców do wprowadzania dalszych innowacji. Sam pomysł połączenia całej Ziemi w jedną wielką sieć informacyjną oznacza początek końca. Każdy biolog wie, że małe odizolowane grupy rozwijają się szybciej. Jeśli umieścisz tysiąc ptaków na wysepce pośrodku oceanu, przyspieszysz ich ewolucję, jeśli zaś dołączysz je do dziesięciu tysięcy zamieszkujących na kontynencie, zaobserwujesz spowolnienie ich rozwoju. W naszym gatunku zmiany ewolucyjne to przede wszystkim zmiany sposobów zachowania. Każda innowacja nasila procesy adaptacyjne. A przecież nie jest żadną tajemnicą, że innowacje rodzą się wyłącznie w niewielkich grupach. Jeśli posadzisz w komisji trzy osoby, skutek jest prawie pewien; jeśli będzie ich dziesięć, zaczną się spory; przy trzydziestu niczego się nie osiągnie. Kiedy natomiast podejmie dyskusję trzydzieści milionów osób, nie

dojdzie w ogóle do porozumienia. Już widać ten efekt na przykładach działania środków masowego przekazu, które niszczą wszelkie różnice. Teraz wszędzie jest tak samo, w Bangkoku, w Tokio czy Londynie: na jednym rogu bar McDonalda, na drugim dom towarowy Benettona. Zanikają nie tylko różnice regionalne, lecz również wszelkie odmienności. W świecie kreowanym przez środki masowego przekazu przestaje się liczyć cokolwiek, co się nie mieści na liście dziesięciu najlepszych książek, piosenek, filmów czy pomysłów. Ludzie załamują ręce nad zanikaniem różnic gatunkowych wśród zwierząt zamieszkujących trzebione lasy tropikalne, zapominają jednak o własnym zróżnicowaniu intelektualnym będącym jednym z najważniejszych motorów postępu. A to znika szybciej niż drzewa w dżungli. Nikt nie zwraca na to uwagi, dlatego myśli się o sprzężeniu pięciu miliardów umysłów w jedną cyberprzestrzeń. To tak, jakbyśmy chcieli powstrzymać wszelkie procesy rozwoju. Staniemy w miejscu na drodze ewolucji. W tym samym czasie wszyscy mieszkańcy Ziemi będą myśleli o tym samym. Zapanuje globalny uniformizm... Au! To boli! Długo to jeszcze potrwa?

– Zaraz kończę – odparł Sara. – Mów dalej.

– Możecie mi wierzyć, że nastąpi to bardzo szybko. Jeżeli umieści się jakikolwiek złożony system na wykresie obrazującym zdolności adaptacyjne, widać wyraźnie, że zmiany zachowania mogą zachodzić tak szybko, iż procesy dostosowawcze zostaną daleko w tyle. W takiej sytuacji nie trzeba żadnych meteorytów, pandemii bądź innych przyczyn. Szybkie zmiany zachowania mogą być katastrofalne w skutkach dla całej populacji. Według mojej teorii coś takiego przytrafiło się właśnie dinozaurom, spowolnienie procesów adaptacyjnych doprowadziło te zwierzęta do zagłady.

– Wszystkie gatunki równocześnie?

– Na początek wystarczyło kilka – rzekł Malcolm. – Powiedzmy, że jakiś gatunek zaczął przekopywać bagna otaczające morze śródlądowe, przez co wywołał silne zmiany w obiegu wody, a tym samym zaburzył ekosystem regionalny, od którego było uzależnionych dwadzieścia innych gatunków. Bach! I tamtych dwadzieścia wyginęło. Rozpoczęła się reakcja łańcuchowa. Jeśli wymarły jakieś drapieżniki, ich ofiary mogły się teraz rozmnażać do woli. Została zachwiana równowaga całego ekosystemu. Każda zmiana wywoływała serię innych, ginęło coraz więcej gatunków. W ten sposób doszło do katastrofy. Sami widzicie, że mogło się tak zdarzyć.

– Tylko poprzez zmiany w zachowaniu...

– Właśnie. Na tym oparłem swoją teorię... Mieliśmy doskonałą okazję do jej udowodnienia. Ale teraz to już koniec. Musimy się stąd wynosić. Lepiej zawiadomcie pozostałych.

Thorne włączył krótkofalówkę.

– Eddie? Tu Doc.

Nie było odpowiedzi.

– Eddie!

Przez chwilę panowała cisza. Później z głośnika popłynął dziwnie stłumiony, odległy świst, jakby nieco głośniejszy szum statyczny. Ale cała trójka uzmysłowiła sobie jednocześnie, że jest to piskliwy, histeryczny krzyk człowieka.

AMBONA

Pierwszy raptor zasyczał głośno i skoczył wysoko, odbił się jednak od ażurowej konstrukcji, a cała wieża zachwiała się na boki. Ostre szpony zazgrzytały o metalowe pręty. Eddiego zdumiało, że zwierzę potrafi skakać aż tak wysoko, niemal na trzy metry w górę. Po chwili dinozaur skoczył po raz kolejny, prawie bez żadnego wysiłku. Jego poczynania przyciągnęły uwagę reszty stada, które zawróciło szybko i zaczęło krążyć wokół stanowiska obserwacyjnego.

Wkrótce wszystkie drapieżniki powarkiwały groźnie i podskakiwały. Wieża chwiała się coraz silniej, choć zwierzęta ciągle odbijały się od niej, nie znajdując punktów zaczepienia dla swych szponów. Levine obserwował je z uwagą, był zdumiony, jak szybko raptory się uczą. Niektóre z nich, zamiast odbijać się od ziemi, próbowały ostrożnie wspiąć się po kratownicy. Jeden zdołał nawet tym sposobem zbliżyć się na jakiś metr do ambony, zanim ostatecznie spadł na ziemię. Raptory zdawały się w ogóle nie odczuwać tych upadków; błyskawicznie się podrywały i podejmowały kolejne próby.

Kiedy Levine spostrzegł, że Carr i dzieci usiłują stanąć na nogach, zawołał:

– Siadajcie z powrotem! I nie patrzcie w dół!

Pospiesznie wskazał dzieciakom podłogę na środku ambony.

Eddie sięgnął do plecaka i wyjął flarę. Szybko ją zapalił i cisnął za barierkę, między wdrapujące się zwierzęta. Dwa raptory spadły na ziemię. Flara z głośnym skwierczeniem paliła się w mokrej trawie, rozrzucając na boki drgające, upiornie czerwone cienie. Nie odstraszyło to jednak reszty stada. Carr pospiesznie wyjął jeden z aluminiowych prętów podłogi, stanął przy barierce

i zamachnął się jak maczugą.

W tej samej chwili któryś z raptorów odbił się od kratownicy wieży i skoczył mu do gardła. Zaskoczony Eddie z krzykiem szarpnął się do tyłu; drapieżnik kłapnął zębami tuż przed jego twarzą, zdołał jednak je zacisnąć na luźnych połach koszuli. Pod ciężarem zwierzęcia Carr poleciał do przodu i zawisł na barierce, kurczowo zaciskając na niej palce.

– Pomóżcie mi! – wrzasnął. – Ratunku!

Levine błyskawicznie objął go w pasie i pociągnął do tyłu. Zerknął ponad ramieniem Eddiego na raptora, który fukał głośno i grzebał przednimi łapami, szukając punktu podparcia, ale nie wypuszczał z pyska koszuli. Carr z całej siły uderzył go prętem po łbie, lecz nie odniosło to żadnego skutku. Dinozaur zaciskał szczęki niczym buldog. Eddie ledwie mógł ustać na nogach.

Po chwili dźgnął aluminiowym prętem w oko drapieżnika i ten rozwarł paszczę. Obaj mężczyźni polecieli do tyłu i upadli na podłogę stanowiska. Ledwie zdołali się podnieść na nogi, kiedy zauważyli następne zwierzęta wspinające się po przeciwnej stronie ambony. Eddie zaczął je dźgać kolejno prętem, zwalając na ziemię.

– Szybko! – krzyknął do dzieci. – Wchodźcie na dach! Pospieszcie się!

Kelly błyskawicznie wskoczyła na barierkę i bez większego wysiłku podciągnęła się na ażurowy daszek. Lecz Arby stał niczym skamieniały, był blady jak ściana. Dziewczyna spojrzała w dół i zawołała:

– Chodź tu szybko, Arb!

Chłopak był sparaliżowany strachem. Levine podbiegł do niego, objął go wpół i podniósł do góry. Eddie wymachiwał szeroko prętem, waląc raptory po pyskach.

Jedno ze zwierząt zdołało zacisnąć szczęki na prowizorycznej broni i wyrwało mu ją z ręki. Carr stracił równowagę, poleciał do tyłu, huknął plecami o poręcz po drugiej stronie, przeleciał nad nią, a spadając na ziemię, wrzasnął przeraźliwie:

– N i e!

Wszystkie wspinające się zwierzęta zeskoczyły w trawę, jak gdyby zaskoczone tym histerycznym wrzaskiem. Zaczęły głośno warczeć.

Levine także był przerażony. Trzymał jednak mocno Arby'ego, podsadzając go na dach.

– No już! Właź na górę! Szybko!

– Dasz radę, Arb! To tylko jeden skok! – zawołała dziewczyna.

Chłopak zacisnął palce na krawędzi daszka i podciągnął się w górę, panicznie wierzgając nogami w powietrzu. Niechcący kopnął Levine'a w twarz i ten odskoczył do tyłu, zwalniając mocny uchwyt. Dostrzegł

z przerażeniem, jak chłopak zsuwa się po mokrych prętach w dół.

– Jezu! – zawołał. – Matko Boska!

Thorne wśliznął się pod przyczepę, żeby odwiązać linę. Rozsupłał ją w pośpiechu, wytoczył się spod pojazdu i rzucił biegiem do jeepa. Usłyszał cichy szum silnika elektrycznego i dostrzegł sylwetkę Sary Harding odjeżdżającej na motocyklu. Przez ramię miała przewieszony karabin Lindstradta.

Wskoczył za kierownicę, uruchomił wyciągarkę i czekał z niecierpliwością, aż stalowa lina nawinie się z powrotem na bęben. Miał wrażenie, że ciężki hak sunie przez trawę w ślimaczym tempie. Z głośnym szuraniem lina przesuwała się wokół pnia drzewa. Doc zerknął przez boczną szybę. Światło reflektora motocykla oddalało się szybko ścieżką prowadzącą w kierunku wieży obserwacyjnej.

Wreszcie bęben wyciągarki przestał się obracać. Thorne pospiesznie wrzucił bieg i z wyciem silnika skierował wóz w stronę wyjazdu z polany. Sięgnął do krótkofalówki.

– Ian!

– Nie martwcie się o mnie – odparł sennym głosem Malcolm. – Czuję się dobrze.

Kelly leżała płasko na dachu ambony, spoglądając wzdłuż boku wieży. Widziała, jak Arby runął ciężko na ziemię. Spadł po przeciwnej stronie niż Eddie. Kolejny wstrząs zachwiał całą konstrukcją, musiała więc chwycić się kurczowo i przeczekać kołysanie. Kiedy zaś ponownie spojrzała w dół, chłopaka już tam nie było.

Nie mogła go nigdzie dostrzec.

Sara Harding gnała na złamanie karku błotnistą drogą prowadzącą przez dżunglę. Niezbyt dobrze orientowała się jeszcze w terenie, sądziła jednak,

że podążając ścieżką prowadzącą w dół zbocza, musi w końcu dotrzeć na skraj kotliny. Przynajmniej miała taką nadzieję.

Kiedy wyjechała zza kolejnego zakrętu, zauważyła wielkie zwalone drzewo blokujące dalszą drogę. Zahamowała gwałtownie, zawróciła motocykl i pojechała z powrotem. Przed skrzyżowaniem spostrzegła po prawej stronie światła jeepa oddalającego się drogą wiodącą wzdłuż grzbietu skarpy. Wykręciła na rozjeździe i, przyspieszając, popędziła za samochodem.

Levine stał na środku ambony, sparaliżowany przerażeniem. Raptory nagle przestały podskakiwać i wspinać się po kratownicy wieży. Z dołu dolatywały ich głośne powarkiwania. Nagle rozległ się głośny trzask jak gdyby łamanych kości, ale nie słychać było wrzasków dziecka.

Richard otarł zimy pot spływający mu strużkami po twarzy.

Niespodziewanie z dołu dotarł głośny okrzyk Arby'ego:

– Cofnąć się! Wynocha!

Kelly przekręciła się na dachu i spojrzała w stronę, z której doleciał głos chłopaka. W blasku dopalającej się flary zauważyła go we wnętrzu klatki. Udało mu się zamknąć za sobą drzwi i teraz sięgał między prętami, żeby obrócić klucz w zamku. Na wprost niego stały trzy raptory. Kiedy zauważyły wyciągniętą rękę chłopaka, skoczyły do przodu, lecz Arby zdążył ją cofnąć.

– Wynocha! – krzyknął po raz drugi.

Jeden z drapieżników zacisnął zęby na prętach klatki i szarpnął głową w bok, jakby chciał je odgiąć. Drugi chwycił w pysk plastikową taśmę, za pomocą której klucz był przymocowany do klatki. Pociągnął kilkakrotnie, aż w końcu taśma się urwała, a klucz wysunął z zamka i silnie uderzył go w szyję.

Raptor zaskowyczał i odskoczył do tyłu. Elastyczna taśma owinęła się ciasno na jego dolnej szczęce, błyszczący klucz kołysał się pod pyskiem. Zwierzę sięgnęło do niego przednimi łapami i pociągnęło silnie, chcąc się pozbyć przykrych więzów, lecz koniec taśmy utkwił mocno między zakrzywionymi ku tyłowi zębami i efekt był taki, że jeszcze mocniej owinęła się wokół szczęki raptora. Po kilku dalszych próbach zwierzę zaczęło ryć

pyskiem w ziemi, chcąc w ten sposób uwolnić się od klucza.

Tymczasem kilka następnych drapieżników skierowało swą uwagę na klatkę. Wtykały pyski między pręty, usiłując dosięgnąć Arby'ego. Kiedy jednak zrozumiały, że niczego tym sposobem nie osiągną, zaczęły napierać na klatkę i kopać ją potężnymi tylnymi łapami. Zaraz dołączyły do nich dalsze raptory, wkrótce już siedem dinozaurów atakowało klatkę. Zdołały ją w końcu oderwać od wieży i potoczyły w wysoką trawę. Kelly szybko straciła Arby'ego z oczu.

Usłyszała zbliżający się warkot i dostrzegła na drodze snop świateł z reflektorów. Ktoś nadjeżdżał.

Arby'ego ogarnęło przerażenie. Ze wszystkich stron był otoczony przez ledwie widoczne w ciemnościach, groźnie warczące bestie. Raptory nie mogły go dosięgnąć między prętami, lecz ślina z ich paszczy skapywała mu na twarz. Zwierzęta kopniakami toczyły klatkę po trawie, toteż nieraz poczuł na skórze zadrapania ich szponów. Nie miał się nawet czego chwycić, był cały poobijany. Świat wirował mu przed oczyma, co jeszcze bardziej nasilało panikę. Tylko jedna myśl zaprzątała jego umysł:

Raptory odtaczały klatkę od wieży obserwacyjnej w głąb kotliny.

Światła nadjeżdżającego auta ośmieliły Levine'a: podszedł do barierki i spojrzał w dół. W blasku dogasającej flary ujrzał trzy raptory odciągające szczątki rozszarpanego Eddiego w stronę dżungli. Przystawały co parę metrów, powarkiwały na siebie i kłapały zębami, niemniej powoli oddalały się od wieży.

Dojrzał też resztę stada, które systematycznie odtaczało kulistą klatkę od stanowiska obserwacyjnego. One także kierowały się ku ścieżce prowadzącej w głąb dżungli.

Warkot silnika przybliżał się szybko. Kiedy jeep wykręcił pod drzewem, Levine rozpoznał siedzącego za kierownicą Thorne'a.

Miał nadzieję, że Doc przywiózł karabin. W tej chwili nie zależało mu na niczym innym, jak na wybiciu do nogi przeklętych drapieżników. Chciał się ich pozbyć do ostatniego.

Leżąca na dachu Kelly także obserwowała raptory, kopnięciami odtaczające klatkę w stronę dżungli. Jedno zwierzę zostało nieco w tyle, posuwało się za stadem szerokimi zakosami, niczym pies po zgubieniu tropu. Dostrzegła, że jest to ten sam drapieżnik, który zaplątał sobie wokół pyska elastyczną taśmę. Błyszczący klucz nadal kołysał mu się z boku głowy. Raptor wymachiwał łbem na lewo i prawo, próbując się uwolnić od przykrych więzów.

Niespodziewanie oświetlił go snop świateł reflektorów jeepa. Zwierzę przystanęło zaskoczone. Ujrzawszy raptora, Thorne wdusił pedał gazu, chcąc staranować drapieżnika, lecz ten skoczył wysoko w powietrze i pognał susami w kierunku rzeki.

Kelly zsunęła się na krawędź dachu i zeskoczyła na podłogę ambony.

Thorne otworzył prawe drzwi na widok nadbiegającego Levine'a. Ten wskoczył na siedzenie i wskazując stado, zawołał:

– Mają chłopaka!

Kelly zbiegała po drabince.

– Zaczekajcie!

Thorne wytknął głowę przez okno i krzyknął:

– Wracaj na górę! Zaraz tu będzie Sara. My jedziemy po Arby'ego.

– Ale...

– Nie ma czasu!

Doc ruszył z wyciem silnika, kierując jeepa śladem oddalających się raptorów.

Leżący w przyczepie Malcolm nasłuchiwał dobiegających z głośnika krótkofalówki okrzyków. On także poczuł się nieswojo, ogarnęło go przerażenie.

Czarna godzina – pomyślał – wszystko naraz wzięło w łeb.

Setki tysięcy czynników oddziaływały ze sobą wzajemnie.

Westchnął ciężko i zamknął oczy.

Thorne nawet nie zdjął nogi z gazu, mimo że wjechali w gęstwinę dżungli. Ścieżka była bardzo wąska, długie liście młodych palm przesłaniały widoczność, nieprzyjemnie chlastały przednią szybę. Zapytał z niepokojem w głosie:

– Przejedziemy tędy?

– Tak, ścieżka jest wystarczająco szeroka – odparł Levine. – Szedłem nią w ciągu dnia. Wydeptały ją parazaurolofy.

– Jak to się mogło wydarzyć? – mruknął Thorne. – Klatka była dobrze przymocowana do nogi wieży.

– Sam nie wiem. Mimo wszystko zdołały ją oderwać.

– Ale jak?

– Nie widziałem. Tyle rzeczy wydarzyło się jednocześnie.

– A Eddie? – spytał posępnym tonem Doc.

– Nikt nie zdążył zareagować.

Jeep zagłębiał się w dżunglę, podskakując na wybojach. Liście palm i wiszące nisko gałęzie chrobotały o brezentowy dach pojazdu. Thorne pochylał się nad kierownicą. Widział już uciekające zwierzęta. Zdumiało go, że stado posuwa się w takim tempie. Światła reflektorów ciągle wyławiały jedynie pozostających w tyle maruderów.

– W ogóle nie chcieli ze mną rozmawiać! – krzyknęła Kelly, gdy tylko Sara zatrzymała motocykl u stóp wieży.

– O czym?

– Jeden z raptorów porwał klucz! Arby zamknął się w klatce, a temu drapieżnikowi elastyczna taśma od klucza owinęła się wokół pyska!

– Gdzie on jest?

– Tam ucieka! – Dziewczyna wskazała w głąb doliny. W blasku księżyca widać jeszcze było mroczną sylwetkę pędzącego wielkimi susami raptora. – Trzeba odzyskać ten klucz!

– Wskakuj! – rzuciła Sara, zdejmując karabin z ramienia.

Kelly wdrapała się na tylne siodełko i Harding wsunęła jej broń w ręce.

– Umiesz strzelać?

– Nie. Nigdy dotąd...

– A potrafisz prowadzić motocykl?

– Też nie.

– W takim razie musisz strzelać – oznajmiła Sara. – Przyjrzyj się, tutaj jest spust, a tutaj bezpiecznik. Przesuwa się go w tę stronę. Jasne? Czeka nas karkołomna jazda, więc nie odbezpieczaj broni, dopóki się nie zbliżymy.

– Do czego?

Ale Harding nie słyszała już tego pytania. Wrzuciła bieg i obróciwszy silnie pokrętło akceleratora, pognała przez wysoką trawę śladem uciekającego drapieżnika. Kelly kurczowo objęła ją ręką w pasie, żeby nie spaść z motocykla.

Jeep gnał wąską ścieżką przez dżunglę, rozchlapując na boki wodę z wielkich kałuż.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że tu są takie wyboje – bąknął Levine, kurczowo zaciskając palce na uchwycie nad drzwiami. – Może powinniśmy trochę zwolnić...

– Za nic! – warknął Thorne. – Jeśli stracimy je z oczu, to koniec. Nie wiemy nawet, gdzie znajduje się ich gniazdo. A w tej dżungli, po ciemku... Cholera!

Stado niespodziewanie skręciło z wydeptanego szlaku i zniknęło w gąszczu. Klatka musiała się toczyć coraz szybciej. Reflektory wyławiały z mroku jedynie kilka metrów przestrzeni przed autem, można się było jednak domyślać, że teren opada tu coraz większą stromizną, być może kończy się nawet pionowym urwiskiem, tak samo jak na obrzeżu polany.

– Nie damy rady! – zawołał Levine. – Jest zbyt stromo!

– Musimy!

– Nie wygłupiaj się! – pisnął biolog. – Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Straciliśmy dzieciaka. Przykro mi z tego powodu, ale nic już nie poradzimy.

Thorne zerknął na niego.

– Jemu nawet do głowy nie przyszło, że można zostawić ciebie na łasce losu. A ty tak łatwo się poddajesz?

Zakręcił energicznie kierownicą i skierował jeepa w dół zbocza. Samochód pochylił się mocno i zaczął coraz szybciej staczać się ze skarpy.

– Stój! – wrzasnął Levine. – Zabijesz nas obu!
– Trzymaj się!
Podskakując na nierównościach, pędzili w mroczną dżunglę.

SZÓSTA KONFIGURACJA

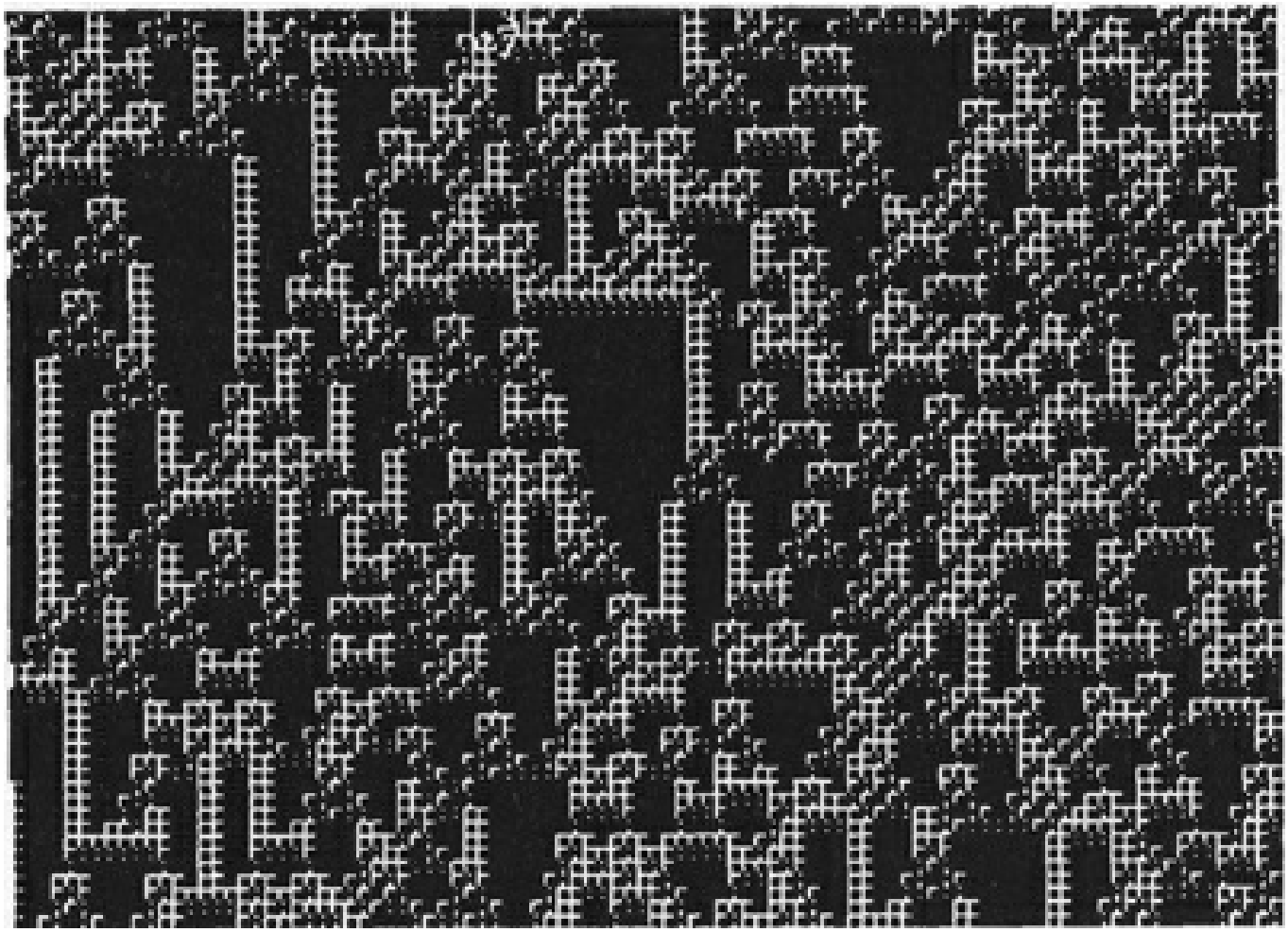

W rejonach o zbliżonym charakterze nastaje taki sam porządek. Zaczynają maleć szanse przetrwania pojedynczych elementów i odizolowanych grup.

Ian Malcolm

POGOŃ

Motocykl pędził przez trawiastą równinę. Kelly jedną ręką obejmowała Sarę, a w drugiej ściskała karabin, który wydawał jej się bardzo ciężki. Bolały ją już mięśnie. Na wszystkich nierównościach podskakiwała na siodełku, a pęd powietrza zsuwał jej włosy na twarz.

– Trzymaj się mocno! – krzyknęła Harding.

Księżyc ponownie wyjrzał zza chmur, wysoka trawa srebrzyła się w jego blasku. Raptor gnał susami jakieś czterdzieści metrów przed motocyklem, co i rusz promień reflektora wyławiał go z ciemności. Dzielący ich dystans systematycznie malał. Kelly nie zauważyła żadnych innych zwierząt na równinie, tylko w oddali przesuwało się z wolna stado apatozaurów.

Kiedy jeszcze bardziej się zbliżyły do dinozaura, ten zaczął biec, balansując wyprężonym ogonem; tylko od czasu do czasu nad trawą pojawiała się jego głowa. Sara skierowała motocykl na prawo od zwierzęcia i po chwili zrównały się z uciekającym raptorem. Wreszcie odchyliwszy głowę do tyłu, zawołała prosto do ucha dziewczyny:

– Przygotuj się!

– Co mam robić?

Kelly spojrzała na kołyszący się rytmicznie ogon drapieżnika. Harding jeszcze trochę przyspieszyła i motocykl znalazł się na wysokości torsu raptora.

– W szyję! – krzyknęła. – Strzelaj w szyję!

– Gdzie?

– W szyję! A zresztą, wszystko jedno!

Kelly z wysiłkiem uniosła karabin.

– Teraz?

– Nie! Zaczekaj! – krzyknęła Sara, gdyż dinozaur na widok motocykla odskoczył w bok i pognał szybciej.

Kelly po omacku usiłowała odbezpieczyć broń. Ciężka kolba obijała jej ramię, cały świat podskakiwał przed oczyma. Wymacała w końcu bezpiecznik i pchnęła go do przodu. Uniosła drugą rękę, lecz szybko z powrotem objęła Sarę w pasie. Powinna oburącz przytrzymać karabin, a w tym celu musiała puścić Harding, co oznaczało...

– Teraz! – zawołała Sara.

– Ale nie mogę...

– Już! Strzelaj!

Harding koncentrowała się na prowadzeniu pojazdu równolegle do umykającego drapieżnika. W tej chwili dzieliło ich zaledwie dwa metry przestrzeni. Kelly czuła wyraźnie fetor bijący od raptora, który w tej samej chwili obrócił łeb i syknął odstraszająco. W pośpiechu nacisnęła spust. Karabin szarpnął jej się w rękach i dziewczyna pospiesznie objęła Sarę. Drapieżnik gnał dalej.

– Co się stało?

– Chybiłaś!

Kelly z niesmakiem pokręciła głową.

– Nie przejmuj się! Następnym razem pójdzie ci lepiej! Podjadę trochę bliżej!

Ponownie skierowała motocykl śladem zwierzęcia i zrównała się z nim. Ale tym razem raptor nie czekał bezczynnie: kiedy tylko dostrzegł pojazd, wykręcił szyję i natarł tępo zakończonym pyskiem na ludzi. Sara błyskawicznie szarpnęła kierownicą i odjechała w bok.

– Sprytny łobuz, prawda?! – zawołała. – Woli nie ryzykować!

Przez chwilę drapieżnik biegł za nimi, nagle skręcił ostro i pognał w głąb kotliny.

– Kieruje się w stronę rzeki! – krzyknęła Kelly.

Harding przyspieszyła, motocykl skoczył do przodu.

– Jak tam jest głęboko?!

– Nie wiem! – odkrzyknęła dziewczyna.

Próbowała sobie przypomnieć dokładnie, jak stado raptorów pokonywało rzekę. Uzmysłowiła sobie, że po wejściu do wody zwierzęta zaczynały płynąć. A to oznaczało...

– Więcej niż metr?! – zawołała Sara.

– Tak!

– To kiepsko!

Raptor biegł dziesięć metrów przed nimi. Zmieniła się otaczająca ich roślinność, w gęściejszej trawie o grubszych źdźbłach siedziały chmary cykad, które powitały intruzów głośnym, chrapliwym graniem. Teren stał się bardziej nierówny, motocykl podskakiwał wysoko, rzucało nimi na boki.

– Nie widzę gruntu! – zawołała Sara. – Trzymaj się mocno!

Skręciła w lewo, prosto na uciekającego raptora. Nieuchronnie zbliżali się do rzeki, zwierzę coraz częściej ginęło w wysokiej trawie.

– Co robisz?! – wrzasnęła Kelly.

– Chcę mu przeciąć drogę!

Z głośnymi wrzaskami poderwało się przed motocyklem stado spłoszonych ptaków. Niespodziewanie tuż nad nimi załopotały skrzydła, Kelly odruchowo wcisnęła głowę w ramiona. Ciążący jej karabin obijał udo Harding.

– Uważaj!

– Co się stało? – Kelly wyjrzała ponad jej ramieniem.

– Nieświadomie wystrzeliłaś w ziemię!

– Ile jeszcze nabojów zostało?

– Tylko dwa! Musisz dobrze celować!

Przed nimi pojawiła się błyszcząca w blasku księżyca wstęga rzeki. Nieoczekiwanie wynurzyli się z trawy i znaleźli na szerokim, błotnistym brzegu. Sara usiłowała zakręcić, lecz zbyt gwałtownie szarpnęła kierownicą, motocykl wpadł w poślizg i jak gdyby wysunął się spod nich. Kelly upadła bokiem w zimną, błotnistą maź i pojechała po niej jak na ślizgawce. Po chwili zderzyła się z Sarą, która z zadziwiającą zwinnością poderwała się na nogi i ruszając w stronę przewróconego motocykla, zawołała:

– Szybko!

Oszołomiona dziewczyna pobiegła za nią. Zerknęła na karabin uwalany błotem. Ciekawe, czy będzie jeszcze działał? – przemknęło jej przez myśl. Sara już siedziała na motocyklu i machała na nią ręką. Kelly wskoczyła na drugie siodełko i Harding pospiesznie ruszyła wzdłuż brzegu rzeki.

Raptor znajdował się dwadzieścia metrów przed nimi, dobiegał do wody.

– Ucieknie nam!

Jeep całkowicie wymknął się spod kontroli, gnali na złamanie karku w dół zbocza. Długie liście palm chłostały przednią szybę, skutecznie przesłaniając widoczność. Thorne i Levine jedynie wyczuwali stromiznę pochyłości. Kiedy zaś koła straciły przyczepność na mokrym podłożu i wóz zaczął sunąć bokiem, Richard wrzasnął z przerażenia.

Doc energicznie zakręcił kierownicą, próbując opanować pojazd. Na krótko wdepnął pedał hamulca. Jakimś cudem zdołał wyprowadzić jeepa z poślizgu i ponownie skierował go maską w dół. Palmy rozstąpiły się niespodziewanie, przed sobą ujrzeli duże skupisko wielkich, czarnych głazów. Raptory przeskakiwały nad nimi. Thorne błyskawicznie podjął decyzję, skręcił w lewo...

– Nie! – krzyknął histerycznie Levine. – Nie!

– Trzymaj się! – zawołał Doc, kręcąc kierownicą.

Auto znowu wpadło w poślizg, sunęli skosem. Zahaczyli zderzakiem o skrajny głaz, trzasnęła osłona reflektora, zgasło światło. Jeep odbił się w bok, Thorne pospiesznie zakręcił kierownicą w drugą stronę, wdepnął pedał hamulca. Nie był pewien, czy podczas zderzenia nie urwało się zawieszenie przedniego koła, ale jakoś zjeżdżali jeszcze w dół zbocza. Po chwili stracili także lewy reflektor, stłuczony przez konar jakiegoś drzewa. Zsuwali się dalej w całkowitych ciemnościach. Ponownie przednią szybę zaczęły chłostać liście palm. Wreszcie autem szarpnęło mocno i znaleźli się na płaskim gruncie.

Pod oponami jeepa zamlaskało błoto.

Thorne ostrożnie wyhamował i zatrzymał pojazd.

Wokół panowała martwa cisza.

Obaj wytężali wzrok, usiłując dojrzeć przez przednią szybę jakiekolwiek szczegóły terenu, lecz otaczał ich nieprzenikniony mrok. Odnosili wrażenie, że znaleźli się na dnie głębokiego wąwozu o stromych zboczach, całkowicie ginącego pod zwartą pokrywą listowia drzew.

– Ukształtowanie chyba aluwialne – bąknął Levine. – Wygląda na to, że jesteśmy w korycie wyschniętego strumienia.

Po chwili, kiedy wzrok oswoił się nieco z ciemnością, Thorne spostrzegł, że Richard ma rację. Stado raptorów uciekało w dół wąwozu, którego brzegi były usłane wielkimi, czarnymi głazami wulkanicznymi. Ale samo koryto strumienia było piaszczyste i wystarczająco szerokie, żeby przeprowadzić jeepa między głazami. Doc pospiesznie uruchomił silnik i ruszył śladem zwierząt.

– Masz w ogóle pojęcie, gdzie jesteśmy? – zapytał Levine, spoglądając za umykającymi raptorami.

– Nie.

Thorne przyspieszył. Wąwóz rozszerzał się stopniowo, głazów było coraz mniej. Po chwili wyjechali na rozległą otwartą przestrzeń okoloną tropikalną dżunglą. Blask księżyca oświetlał cały ten teren.

Ale raptorów nigdzie nie było widać. Doc zatrzymał wóz, wyłączył silnik, odsunął szybę i zaczął nasłuchiwać. Powarkiwania i syki zwierząt były dość wyraźne, dobiegały gdzieś z lewej strony.

Ponownie uruchomił silnik, wjechał na płaski brzeg wyschniętego strumienia i skierował jeepa w gąszcz paproci, między którymi rosły pojedyncze sosny.

– Myślisz, że chłopak przeżył karkołomne stoczenie się w klatce do wąwozu? – spytał cicho Levine.

– Nie wiem – burknął Thorne. – Wolę się nad tym nie zastanawiać.

Powoli jechał przez dżunglę. Już po kilkudziesięciu metrach dostrzegli w przodzie dużą polanę, na której paprocie były wdeptane w ziemię. Po jej drugiej stronie ukazała się połyskująca w blasku księżyca wstęga rzeki. Doc nie potrafił zrozumieć, jakim sposobem znaleźli się ponownie w centralnej kotlinie.

Ale szybko jego uwagę przykuła niezwykła polana. Na rozległym obszarze górowało kilka bielejących nagimi kośćmi ogromnych szkieletów apatozaurów. Gigantyczne łukowate żebra, mętnie połyskujące w świetle księżyca, tworzyły kopulaste klatki piersiowe zabitych jaszczurów. U wylotu polanki ciemniał wielki kształt niedojedzonej jeszcze padliny, dolatywało stamtąd głośne bzyczenie niewidocznego w ciemnościach roju much.

– Co to jest? – zapytał Thorne. – Jakieś cmentarzysko dinozaurów?

– Tylko tak wygląda – szepnął Levine.

Stado raptorów kręciło się na skraju polany, walcząc między sobą o resztki przywleczonych aż tu zwłok Eddiego Carra. Po przeciwnej stronie wznosiły się trzy niewysokie pagórki uformowane z błota, o popękanych, w wielu miejscach nadkruszonych ścianach. Wokół nich walały się skorupy rozbitych jaj. Nad całą polaną unosił się duszący fetor zgnilizny.

Levine pochylił się nisko, niemal przykleił nos do szyby auta.

– To gniazdo raptorów – wyjaśnił szeptem.

Leżący w mrocznej przyczepie Malcolm uniósł się na łokciach i zamrugał szybko. Sięgnął do krótkofalówki.

– Naprawdę je znaleźliście? Gniazdo raptorów?

W głośniczku zatrzeszczało.

– Przynajmniej tak mi się wydaje – odparł Levine.

– Opisz mi je – polecił Malcolm.

Levine półgłosem relacjonował wygląd polany, podawał jej przybliżone rozmiary. Nie mógł się jednak otrząsnąć z wrażenia, że całe to gniazdo wygląda niechlujnie, jest zaniedbane, wręcz zdewastowane. Wydawało mu się to tym dziwniejsze, że wszystkie gniazda dinozaurów, jakie do tej pory widział w różnych miejscach wykopalisk, od Montany po Mongolię, były

skonstruowane bardzo starannie. Zwierzęta pieczołowicie układały jaja w koncentrycznych okręgach, a ponieważ zdarzało się, że w jednym uformowanym ze skamieniałego błota kopcu odnajdywano ponad trzydzieści jaj, nasuwało to przypuszczenie, że zostały one złożone przez kilka zgodnie współpracujących samic. Zazwyczaj w bezpośrednim sąsiedztwie takiego gniazda napotykano liczne szkielety dorosłych osobników, co stanowiło dodatkowe potwierdzenie, iż dinozaury stadnie doglądały wylęgu piskląt. W kilku miejscach natrafiono nawet na szczątki zwierząt ułożone kręgiem wokół gniazda, jak gdyby nieznany kataklizm zaskoczył dinozaury sprawujące pieczę nad ukrytymi w błocie jajami. Właśnie tego typu obserwacje pozwalały dostrzec w prehistorycznych jaszczurach bezpośrednich przodków dzisiejszych ptaków, które w podobny sposób starannie budowały gniazda i troskliwie, niekiedy grupowo, opiekowały się wyklutymi pisklętami.

Welociraptory zachowywały się jednak inaczej. Nie tylko nie tworzyły żadnej hierarchii stada, lecz także gniazdo zbudowały chaotycznie. Ciągle walczące między sobą zwierzęta nie mogły harmonijnie współdziałać, nic więc dziwnego, że i uformowane z błota kopce były porozwalane, a wśród drapieżników tak mało było młodych. Levine zwrócił uwagę na walające się wokół kopców drobne kości, będące prawdopodobnie szczątkami wyklutych piskląt. W każdym razie nigdzie na polanie nie widać było małych raptorów. Już wcześniej zdołał naliczyć w stadzie trzy młodsze osobniki, które musiały jednak przede wszystkim bronić się przed dorosłymi, a wszystkie nosiły ślady licznych ran i zadrapań. Poza tym każde z młodych wyglądało na niedożywione. Teraz także jedynie krążyły w pewnej odległości od walczących o łup dorosłych, odpędzane kłapnięciami szczęk i wymachami uzbrojonych w ostre szpony łap.

– Co z tymi apatozaurami? – zapytał przez radio Malcolm. – Mówisz, że są tam całe szkielety?

Levine policzył je po raz kolejny: na polanie znajdowały się cztery szkielety olbrzymów, w różnym stadium rozkładu.

– Musisz o tym opowiedzieć Sarze – oznajmił matematyk.

Richard zaczął się nagle zastanawiać, jakim sposobem te giganty znalazły się w gnieździe raptorów. Na pewno nie zginęły tu przypadkiem, wszystkie zwierzęta zamieszkujące wyspę musiały z daleka omijać tę okolicę. Apatozaury nie mogły też zostać tu zwabione, a były zdecydowanie za ciężkie, by raptory zdołały dowlec do gniazda upolowaną zdobycz. Zatem skąd się tutaj wzięły? Jakieś oczywiste wytłumaczenie majaczyło mu na skraju świadomości, pewne fakty świadczyły wyraźnie…

– I przytoczyły tam Arby'ego? – zapytał Malcolm.

– Tak – odparł Levine – przywlokły klatkę do gniazda.

Rozejrzał się szybko po całej polanie, usiłując ją zlokalizować. W tej samej chwili Thorne wskazał mu przeciwległy skraj dżungli.

– Tam jest.

Na skraju polany między liśćmi rozłożystych paproci dostrzegł połyskujące w blasku księżyca pręty klatki. Nie widział jednak chłopca.

– Jesteśmy trochę za daleko – rzekł.

Raptory na razie nie zwracały uwagi na klatkę, zajęte rozrywaniem szczątków Eddiego. Thorne sięgnął po karabin Lindstradta i otworzył magazynek: wewnątrz znajdowało się sześć nabojów.

– Mało – syknął, ze złością zatrzaskując magazynek.

Na polanie kręciło się co najmniej dziesięć drapieżników.

Levine obrócił się do tyłu i po chwili odnalazł pod siedzeniem swój chlebak. Otworzył go i wyjął ze środka srebrzysty cyliner wielkości puszki piwa. Widniała na nim wymalowana trupia czaszka ze skrzyżowanymi piszczelami, poniżej ciągnął się jaskrawy napis: OSTROŻNIE! SILNIE TOKSYCZNA METACHOLINA (MIVACURIUM).

– Co to jest? – zapytał Thorne.

– Jeden z najnowszych produktów, jakie pichcą chemicy z Los Alamos – odparł Levine. – To gaz paraliżujący, który wywołuje krótkotrwały szok cholinesterazowy. Zwala z nóg wszystkie żywe stworzenia mniej więcej na trzy minuty. Powinien również skutecznie podziałać na raptory.

– A co z chłopakiem? Nie możemy tego użyć, bo i jego byśmy sparaliżowali.

Richard wskazał przez szybę.

– Jeśli wyzwolimy ładunek gdzieś tam, na prawo od klatki, wiatr uniesie chmurę gazu w stronę rzeki, na zwierzęta, a chłopakowi nic się nie stanie.

– Jesteś pewien? – zapytał Thorne. – A jeśli odniósł poważne obrażenia?

Levine smętnie pokiwał głową. Schował pojemnik z powrotem do chlebaka i usiadł sztywno na fotelu, obrzucając spojrzeniem polanę.

– Więc co w takim razie zrobimy?

Thorne przyjrzał się uważnie klatce, ledwie widocznej w gąszczu paproci. Dostrzegł nagle coś, co sprawiło, że niemal podskoczył na miejscu: klatka poruszyła się z lekka, odblaski księżyca na metalowych prętach wyraźnie zatańczyły mu przed oczami.

– Widziałeś to? – zapytał z przejęciem Levine.

– Musimy wyciągnąć stamtąd chłopaka – oznajmił Doc.

– Tylko jak?

– Tradycyjnym sposobem – rzucił Thorne, po czym otworzył drzwi

i wysiadł z jeepa.

Sara przyspieszyła jeszcze bardziej, omijając wielkie bagniste rozlewiska na brzegu rzeki. Jechały prostopadle do drogi uciekającego drapieżnika, który kierował się prosto do rzeki.

– Szybciej! – zawołała Kelly. – Szybciej!

Raptor dostrzegł pojazd i ponownie skręcił, oddalając się ukosem. Widocznie chciał umknąć pogoni, lecz w terenie nieporośniętym trawą można było rozwinąć większą szybkość. Już po chwili dognały zwierzę, a gdy się z nim zrównały, Harding delikatnie skręciła w prawo, z powrotem w trawę, spychając w ten sposób drapieżnika dalej od rzeki.

– Udało się! – zawołała dziewczyna.

Sara ponownie zaczęła się wolno przybliżać do raptora, który wyraźnie zrezygnował z przeprawy przez rzekę i teraz uciekał z powrotem w głąb kotliny. Znów nadarzała się okazja do oddania strzału, toteż Kelly ogarnęło rosnące podniecenie. Spróbowała przynajmniej z grubsza oczyścić karabin z grubej warstwy błota.

– Cholera! – zawołała Harding.

– Co się stało?

– Spójrz!

Dziewczyna wychyliła się i popatrzyła ponad ramieniem Sary. Zmierzały prosto na stado apatozaurów, od pierwszego z gigantycznych roślinożerców dzieliło je nie więcej jak pięćdziesiąt metrów. Na ich widok olbrzym zatrąbił donośnie i zaczął się odwracać tyłem. W blasku księżyca skóra apatozaura połyskiwała zielonkawoszaro.

Raptor uciekał prosto w kierunku żerującego stada.

– Chyba chce się w ten sposób od nas uwolnić! – zawołała Sara. – Spróbuj teraz! Strzelaj!

Kelly pospiesznie wymierzyła i nacisnęła spust. Karabin szarpnął się w jej rękach, lecz drapieżnik biegł dalej.

– Znów chybiłam!

Przed nimi apatozaury odwracały się tyłem, przyjmując szyk obronny; ich słupowate nogi zapadały się w miękki grunt. Wielkie ogony zaczęły ze świstem rozcinać powietrze. Ale z tak bliskiej odległości ruchy olbrzymów wydawały się bardzo powolne.

– Co teraz?! – krzyknęła Kelly.

– Nie mamy wyboru!

Sara bez przerwy jechała równolegle do uciekającego raptora, który kierował się prosto pod najbliższego apatozaura. Znaleźli się w cieniu giganta. Kelly obrzuciła tylko przelotnym spojrzeniem wielki, kopulasty brzuch jaszczura, wiszący metr ponad ich głowami. Unoszące się powoli i opadające z hukiem na ziemię nogi apatozaura przypominały z bliska pnie wielowiekowych drzew.

Raptor nie zwracał uwagi na roślinożerców, biegł dalej przed siebie. Sara także nie zwalniała, kontynuując pościg. Ponad nimi rozlegały się donośne trąbienia, zwierzęta ogarniał popłoch. Zanurkowały pod brzuchem kolejnego giganta, wypadły na obszar zalany blaskiem księżyca i znów skryły się w cieniu. Znajdowały się w samym środku stada olbrzymów. Kelly odnosiła takie wrażenie, jakby trafiła do lasu, który nagle ożył.

Dokładnie na wprost nich gigantyczna stopa z łoskotem wylądowała w trawie, aż ziemia się zatrzęsła. Sara w ostatniej chwili zdążyła skręcić, otarły się ramionami o chropowatą skórę na nodze apatozaura.

– Trzymaj się! – krzyknęła Harding i szarpnęła kierownicą, chcąc wrócić na kurs równoległy do uciekającego raptora.

Trąbienie roślinożerców zdawało się przybierać na sile, las słupowatych nóg przemieszczał się coraz szybciej. Drapieżnik dał nura pod brzuchem następnego apatozaura i skręcił ostro w prawo, oddalając się od stada.

– Cholera! – mruknęła Sara, kierując motocykl jego śladem.

Gigantyczny ogon ze świstem rozciął powietrze tuż nad ich głowami, lecz one również zdołały bezpiecznie wyrwać się ze środka stada i pojechały dalej za raptorem.

Kiedy się do niego zbliżyły, Harding zawołała:

– To ostatnia szansa! Strzelaj!

Kelly uniosła karabin. Sara przyspieszyła i motocykl znalazł się tuż obok raptora. Zwierzę ponownie spróbowało odpędzić intruzów szerokim wymachem łba, lecz tym razem Sara wyciągnęła rękę i huknęła pięścią w tępo zakończony pysk.

– Teraz!

Dziewczyna wyciągnęła broń daleko od siebie, a kiedy poczuła, że koniec lufy zetknął się z szyją zwierzęcia, błyskawicznie pociągnęła za spust. Karabin odskoczył silnie do tyłu, kolba uderzyła ją boleśnie w brzuch.

Ale raptor biegł dalej.

– Nie! – wrzasnęła Kelly. – To niemożliwe!

W tej samej chwili drapieżnik padł na ziemię, przekoziołkował kilka razy w wysokiej trawie i zniknął jej z oczu. Sara natychmiast wyhamowała

i zawróciła motocykl, zatrzymała go pięć metrów od wstrząsanego konwulsjami raptora. Zwierzę warczało jeszcze przez kilka sekund, usiłując podnieść łeb, wreszcie znieruchomiało.

Sara wyjęła karabin z rąk dziewczyny i otworzyła magazynek. Ku swemu zdumieniu Kelly ujrzała w nim pięć nabojów.

– Myślałam, że ten był ostatni.

– Okłamałam cię – przyznała Harding. – Zaczekaj tutaj.

Dziewczyna posłusznie została przy motocyklu. Sara ostrożnie zbliżyła się do leżącego w trawie drapieżnika. Oddała jeszcze jeden strzał do raptora i odczekała kilkanaście sekund. Dopiero wtedy pochyliła się nad zwierzęciem.

Kiedy wróciła do motocykla, trzymała w palcach błyszczący klucz od klatki.

W gnieździe pozostałe raptory ciągle walczyły na skraju polany o resztki łupu. Ale zaciekłość tych zmagań wyraźnie osłabła; niektóre zwierzęta zaczynały się ciekawie rozglądać dookoła, ocierając pyski krótkimi przednimi łapami. Pojedynczo wracały na środek oświetlonej blaskiem księżyca przestrzeni.

Podchodziły też do klatki.

Thorne wdrapał się na skrzynię jeepa i zrolował brezentowy dach. Zważył w dłoniach karabin.

Levine przesunął się za kierownicę i uruchomił silnik. Doc stanął na szeroko rozstawionych nogach i oparł się łokciem o jeden z prętów szkieletu karoserii, po czym rzekł:

– Ruszaj!

Jeep powoli wyjechał na polanę. Raptory z zainteresowaniem obracały łby w jego kierunku. Levine skierował samochód w stronę jednego z gigantycznych szkieletów i wjechał pod spód – wysoko nad ich głowami przesunęła się ażurowa konstrukcja z szerokich, białych żeber padłego apatozaura. Zaraz jednak wyjechali na środek polany, gdzie Richard skręcił ostro w lewo i zatrzymał wóz w pobliżu klatki. Thorne odłożył karabin, zeskoczył na ziemię i objął rękoma wielki cylinder z grubych metalowych prętów. W ciemnościach trudno było ocenić stan chłopaka. Arby leżał na brzuchu, twarzą do ziemi. Kiedy Levine otworzył drzwi, Doc krzyknął:

– Wsiadaj z powrotem!

Z wysiłkiem uniósł ciężką klatkę, wrzucił ją na skrzynię auta, po czym

sam wskoczył za nią i zajął poprzednie stanowisko. Levine wrzucił bieg i wykręcił z powrotem w stronę koryta wyschniętego strumienia. Dopiero teraz stado drapieżników zaczęło groźnie warczeć, pojedyncze raptory rzuciły się za nimi w pościg. Z niezwykłą szybkością galopowały przez polanę.

Levine odważniej wdepnął pedał gazu. Goniący przodem dinozaur skoczył nagle wysoko w powietrze i wylądował na ramie pojazdu. Ale zdołał tylko zacisnąć zęby na zrolowanej plandece. Nie puszczał jej jednak, sycząc głośno i fukając.

Levine przyspieszył jeszcze bardziej. Wyjechali z polany i zanurzyli się między paprocie.

Leżącego w ciemnościach Malcolma nawiedzały majaki wywołane dawką morfiny: przed oczyma przesuwały mu się wykresy obrazujące dostosowanie złożonych systemów do warunków zewnętrznych, a widok wielobarwnych obrazów komputerowych kierował jego myśli ku rozważaniom na temat ewolucji. W tym świecie opisywanym równaniami matematycznymi całe populacje różnych stworzeń bądź to wspinały się na maksima adaptacji, bądź ześlizgiwały w minima nieprzystosowania. Z pamięci wypłynęły wzory Stu Kauffmana, według którego zaawansowane ewolucyjnie organizmy mają tak wiele wewnętrznych ograniczeń, że trudno jest im się wspiąć na szczyt krzywej dostosowania, natomiast bardzo łatwo spaść na dno niecki adaptacyjnej. A przecież ewolucja dąży ku coraz bardziej złożonym organizmom. Wynika stąd, że owe stworzenia muszą same wzmagać procesy adaptacyjne – poprzez stosowanie narzędzi, samokształcenie, harmonijne współdziałanie.

Ale rozwój zdolności adaptacyjnych odbywa się także pewnym kosztem, zmienia się jedno uzależnienie na inne. Co prawda zanika potrzeba ewolucyjnego dostosowywania organizmów do uwarunkowań zewnętrznych, gdyż zdolności adaptacyjne są wspomagane poprzez zmiany behawioralne i warunki życia w społeczeństwie, lecz te same warunki wymuszają jednocześnie konieczność ciągłego samokształcenia. W pewnym sensie, wśród bardziej rozwiniętych organizmów, adaptacja nie jest już wprost uzależniona od cech dziedziczonych po rodzicach za pośrednictwem łańcucha DNA. W znacznym stopniu zależy także od poziomu samokształcenia. Na przykład szympansy uczą swoje młode wybierać termity z gniazda za pomocą patyka, co byłoby niemożliwe bez istnienia przynajmniej podwalin pewnej kultury,

uporządkowanego życia społecznego. Wszak zwierzęta dorastające w izolacji, pozbawione opieki rodziców i nauk przekazywanych przez dorosłe osobniki, są zdecydowanie mniej samodzielne. Zwierzęta hodowane w ogrodach zoologicznych często są głupsze od swoich dzikich pobratymców, gdyż nie mają wzorców do naśladowania. Dlatego też nierzadko porzucają swoje młode – czy to przez nieuwagę wyrządzają im krzywdę, czy też zwyczajnie nudzą się rodzicielskimi obowiązkami i całkowicie świadomie zabijają młode.

Welociraptory należały do najinteligentniejszych dinozaurów, lecz zarazem były najbardziej agresywne. Obie te cechy są silnie uzależnione od warunków otoczenia. Przed milionami lat, w nieistniejącym już środowisku kredy zachowanie tych drapieżników mogło być funkcją życia społecznego, w którym pewne zwyczaje są przekazywane młodym przez sprawujących nad nimi opiekę rodziców. Genetycznie przekazywana jest tylko zdolność do przyswajania takiej wiedzy, ale przecież nie sama wiedza. Zdolności adaptacyjne można porównać do norm moralnych – tak samo muszą być rozwijane z pokolenia na pokolenie, żeby przyniosły oczekiwany efekt; to właśnie dzięki nim możliwe jest nawiązanie współdziałania przez osobniki żyjące w jednym stadzie: wspólne zdobywanie pożywienia, organizowanie polowań, wychowywanie młodych.

Ale raptory zamieszkujące tę wyspę zostały sztucznie wyhodowane w warunkach laboratoryjnych. Wraz z genami zostały przeniesione elementy budowy fizycznej, lecz nie obyczaje życia społecznego. Młode dinozaury zjawiły się nieoczekiwanie w otoczeniu, w którym nie było dorosłych osobników mogących im dostarczyć wzorce zachowań grupowych. Pozostawiono je samym sobie i właśnie dlatego drapieżniki utworzyły taką, a nie inną społeczność – pozbawioną struktury hierarchicznej, norm postępowania, współpracy. Musiały żyć w chaosie, zdane wyłącznie na siebie, w tym świecie, gdzie mogą przetrwać tylko najbardziej bezwzględne i najsilniejsze jednostki, a pozostałe są skazane na zagładę.

Jeep nabierał szybkości, podskakując na wybojach. Thorne trzymał się kurczowo ramy, żeby nie spaść ze skrzyni. Spoglądał na raptora, którym wstrząsy miotały na lewo i prawo, lecz mimo to zwierzę nie wypuszczało z pyska zrolowanej plandeki. Levine dotarł do rozległego błotnistego rozlewiska na brzegu rzeki i skręcił w prawo, kierując wóz w głąb doliny. Drapieżnik nadal wisiał na tyle samochodu.

Minęli spoczywający w błocie rozlewiska kolejny ogromny szkielet. Jeszcze jeden? – zdziwił się Levine. Skąd on mógł się tu wziąć? Zaraz jednak skoncentrował się na prowadzeniu pojazdu po niepewnym, podmokłym terenie. Musiał kierować w ciemnościach, toteż tkwił z nosem przyklejonym do szyby, wypatrując w blasku księżyca większych nierówności gruntu.

Raptor zdołał w końcu zaczepić szpony tylnych łap o krawędź skrzyni, wypuścił z pyska plandekę, zacisnął szczęki na klatce i zaczął ją ściągać z jeepa. Thorne rzucił się do przodu i chwycił klatkę ze swojej strony. Stracił jednak równowagę i runął na plecy. Przemknęło mu przez myśl, że w zmaganiach siłowych musi przegrać z większym i cięższym drapieżnikiem. Zacisnął kurczowo palce na prętach klatki, a nogami objął ramę przedniego siedzenia. Raptor zawarczał głośno, szarpnął łbem w lewo i prawo, jakby ogarnięty narastającą furią, że zabiera mu się cenną zdobycz.

– Trzymaj! – zawołał Levine, wyciągając w jego kierunku pistolet.

Ale Thorne tylko spojrzał na niego bezradnie: leżał na plecach, oburącz trzymając klatkę, nie mógł sięgnąć po broń. Po chwili Richard zerknął przez ramię i obrzucił spojrzeniem tył wozu. Jeszcze raz ocenił sytuację, patrząc we wsteczne lusterko. Stado drapieżników gnało za nimi, powarkując groźnie – nie było mowy o tym, żeby choć na krótko się zatrzymać. Nie zdejmując nogi z gazu, Levine sięgnął przez oparcie fotela i chwycił zostawiony przez Thorne'a karabin. Próbował wymierzyć broń jedną ręką, ale szybko uzmysłowił sobie, jakie byłyby skutki, gdyby przypadkiem postrzelił Doca lub Arby'ego.

– Uważaj! – krzyknął Thorne. – Ostrożnie!

Levine przyciągnął karabin do siebie i po krótkich zmaganiach zdołał go odbezpieczyć jedną ręką. Ponownie wyciągnął go daleko, mierząc w raptora, który bez przerwy zaciskał szczęki na prętach klatki. Raz i drugi machnął na oślep, aż w końcu poczuł, że drapieżnik rozwarł paszczę, chwycił zębami koniec lufy i pociągnął karabin do siebie.

Pospiesznie nacisnął spust.

Oczy raptora rozszerzyły się nagle, kiedy ładunek z trucizną wbił mu się w tylną ścianę gardzieli. Zawarczał chrapliwie. Po kilku sekundach wstrząsnęły nim konwulsje i zwierzę poleciało do tyłu, wyrywając karabin z ręki Levine'a.

Thorne dźwignął się na kolana i wciągnął klatkę głębiej na skrzynię pojazdu. Zajrzał do jej wnętrza, lecz Arby nadal leżał nieprzytomny twarzą do dołu. Szybko podniósł głowę i popatrzył na ścigające ich stado raptorów: dinozaury wyraźnie zostawały w tyle, dzieliło ich już około dwudziestu metrów przestrzeni.

Z głośnika krótkofalówki doleciał głośny trzask.

– Doc?!

Thorne natychmiast rozpoznał głos Sary Harding.

– Tak, słucham.

– Gdzie jesteście?

– Jedziemy wzdłuż rzeki.

Deszczowe chmury rozwiały się całkowicie, niebo było rozgwieżdżone, księżyc błyszczał jasno. Stado raptorów z uporem podążało śladem jeepa, ale dystans między nimi zaczął się teraz szybko powiększać.

– Nie widzę waszych świateł – oznajmiła Sara.

– Bo potłukliśmy reflektory.

Ponownie nastała cisza, z głośnika płynęły jedynie ciche trzaski.

– Co z Arbym? – zapytała w końcu Harding spiętym głosem.

– Mamy go – odparł Thorne.

– Dzięki Bogu. W jakim jest stanie?

– Trudno powiedzieć. W każdym razie żyje.

Dotarli w końcu do szerszej części doliny, wysoka trawa srebrzyła się w blasku księżyca. Doc spoglądał uważnie na wszystkie strony, próbując się zorientować w terenie. Dopiero po chwili dotarło do niego, że znajdują się w południowym krańcu wielkiej niecki krateru. Na pewno nie przedostali się na drugi brzeg rzeki, zatem powinni znaleźć jakiś sposób, żeby wrócić na drogę wiodącą szczytem grzbietu okalającego dolinę po prawej stronie – drogę, która musiała ich zaprowadzić z powrotem do przyczepy stojącej na polanie, niedaleko hali laboratorium. Tam nie powinno im już nic zagrażać.

Jakby czytając w jego myślach, Levine skręcił we właściwym kierunku. Thorne sięgnął po krótkofalówkę.

– Saro!

– Słucham, Doc.

– Wracamy na drogę nad kotliną, jedziemy do przyczepy na polanie.

– Dobra. Jakoś was znajdziemy.

Harding obejrzała się na Kelly.

– Gdzie jest ta droga nad kotliną?

– Wydaje mi się, że gdzieś tam. – Dziewczyna wskazała strome zbocze, które w tym miejscu tworzyło kilkudziesięciometrowe, niemal pionowe urwisko.

– W porządku – mruknęła Sara, wsiadając z powrotem na motocykl.

Lekko podskakując na wybojach, jeep mknął szybko przez zalewaną srebrzystym blaskiem księżyca równinę. Stada raptorów nie było już widać za nimi.

– Wygląda na to, że zrezygnowały z pogoni – rzekł Thorne.

– Możliwe – odparł Levine.

Już kiedy skręcał z piaszczystego brzegu strumienia w trawiastą dolinę, złowił kątem oka, że kilka drapieżników odłączyło się od stada i pobiegło w stronę zbocza okalającego nieckę. Podejrzewał, że mogą się gdzieś czaić, ukryte w wysokiej trawie. Wcale nie był przekonany, że te sprytne stworzenia tak łatwo zrezygnują ze swego łupu.

Skręcił jeszcze bardziej w stronę krańca doliny, dostrzegł bowiem biegnącą zakosami drogę prowadzącą z dna kotliny na szczyt grzbietu. Był niemal pewien, że jest to ta sama droga, która kończy się na polanie obok hali.

Kiedy teren stał się nieco równiejszy, Thorne przecisnął się z powrotem na skrzynię pojazdu, uklęknął obok klatki i popatrzył z troską na chłopaka.

Arby od pewnego czasu cicho pojękiwał. Połowę twarzy miał zalaną krwią, którą przesiąknął także materiał koszuli pod szyją. Po chwili chłopak otworzył oczy i próbował ostrożnie poruszać rękoma i nogami.

Thorne pochylił się niżej.

– Cześć, synu – powiedział. – Słyszysz mnie?

Arby jęknął i przytaknął ruchem głowy.

– Jak się czujesz?

– Bywało lepiej – odparł chłopak.

Dotarli w końcu do wylotu drogi, wjechali w dżunglę i zaczęli się wspinać serpentyną w górę zbocza. Levine odetchnął z ulgą, kiedy wreszcie zostawili za sobą zdradliwą dolinę porośniętą wysoką trawą. Był przekonany, że z każdą sekundą niebezpieczeństwo oddala się coraz bardziej.

Z nadzieją spoglądał na górujący nad nimi grzbiet. Nagle dostrzegł w blasku księżyca poruszające się tam, podskakujące żywo, ciemne sylwetki.

Raptory.

Czekały na nich na drodze.

Zahamował gwałtownie.

– I co teraz? – zapytał niepewnym głosem.

– Przesuń się – mruknął posępnie Thorne. – Ja poprowadzę.

NA KRAWĘDZI CHAOSU

Thorne wjechał na sam szczyt i przyspieszając, skręcił w lewo. Droga była doskonale widoczna w blasku księżyca: prowadziła wąską półką między wznoszącymi się pionowo skałami po lewej a przepaścią otwierającą się po prawej. Jakieś sześć metrów nad nimi, na krawędzi urwiska, przesuwało się podskokami stado raptorów, głośno powarkujących w stronę jeepa.

Levine nie spuszczał z nich wzroku.

– Co one zamierzają? – spytał.

Thorne pokręcił głową.

– Zajrzyj do skrzynki z narzędziami, do schowka pod deską. Wyciągnij wszystko, co może nam się przydać.

Richard pochylił się i zaczął w ciemnościach szukać po omacku zamka skrzynki. Doc miał najgorsze przeczucia – stracili karabin, jechali odkrytym wozem ze zrolowaną plandeką, a drapieżniki nie rezygnowały z pogoni. Według jego szacunków mniej więcej trzy kilometry dzieliły ich od polany, na której stała przyczepa furgonu.

Zaledwie trzy kilometry.

Zwolnił przed kolejnym zakrętem i skierował jeepa na skraj drogi, dalej od zbocza, które stawało się coraz mniej strome. Po wyjechaniu na prostą natychmiast dostrzegł pierwszego raptora, który stał na środku drogi i z groźnie pochylonym łbem czekał na zbliżający się pojazd. Wcisnął pedał gazu. Dinozaur skoczył w powietrze, wyrzucając przed siebie potężne tylne łapy. Szpony zazgrzytały o maskę, rozdziawiona paszcza trafiła w przednią szybę, która natychmiast pokryła się pajęczynowatą siateczką pęknięć. Thorne, który całkowicie stracił widoczność, błyskawicznie szarpnął kierownicą w bok, wciskając jednocześnie pedał hamulca.

– Co robisz?! – wrzasnął Levine, który w ostatniej chwili zdążył się zaprzeć dłońmi o deskę rozdzielczą.

Masywne cielsko raptora zsunęło się z maski jeepa na ziemię, do środka poleciały grube odłamki szkła. Thorne wyjrzał przez dziurę w szybie i natychmiast dodał gazu. Siła bezwładności wdusiła Levine'a w oparcie fotela. Dostrzegł jednak kątem oka, że trzy następne drapieżniki doskakują z boku do auta.

Pierwszy wylądował na błotniku i zdołał zacisnąć szczęki na bocznym lusterku. Jego błyszczące oko znalazło się za szybą na wprost twarzy Thorne'a. Ten pospiesznie szarpnął kierownicą w lewo, ponownie zbliżając wóz do stromego zbocza na skraju drogi, gdyż dostrzegł dziesięć metrów przed nimi wielki głaz leżący na poboczu. Zerknął jeszcze na raptora, która łypał złowieszczo ślepiami, zaciskając zęby na bocznym lusterku. Jeepem nagle gwałtownie wstrząsnęło i kiedy Doc po raz drugi zerknął w bok, nie było tam już ani zwierzęcia, ani lusterka.

Droga przed nimi poszerzała się nieco, było więcej miejsca na jakiekolwiek manewry. Zaledwie zdążył o tym pomyśleć, kiedy z głośnym hukiem coś wylądowało na brezentowym dachu, a ostre szpony raptora przebiły tkaninę tuż nad jego prawym uchem.

Thorne szarpnął kierownicą najpierw w prawo, potem w lewo. Szpony zniknęły, ale zwierzę zdołało się utrzymać na dachu. Levine poderwał się nagle z miejsca, w dłoni trzymał szeroki nóż myśliwski. Zaczął nim na oślep dźgać brezent, kiedy niespodziewanie zakrzywiony szpon ponownie przebił tkaninę i trafił go w rękę. Richard zawył głośno i wypuścił nóż z palców. Thorne pospiesznie schylił się po niego.

We wstecznym lusterku złowił sylwetki dwóch dalszych drapieżników, które pędziły środkiem drogi za uciekającym jeepem. Zbliżały się dość szybko.

Obrzucił spojrzeniem szerszy w tym miejscu szlak i wdusił gaz do oporu. Raptor usadowił się wygodniej na dachu, pochylił nisko łeb i zajrzał do kabiny przez wybitą szybę. Thorne, trzymając lewą ręką kierownicę, zaczął z całej siły dźgać nożem na oślep w tępo zakończony pysk, ale na dinozaurze zdawało się to nie robić najmniejszego wrażenia. Tuż przed zakrętem drogi Doc ponownie szarpnął energicznie kierownicą, aż przez sekundę jeep jechał na dwóch kołach. Tym razem drapieżnik stracił równowagę i poleciał w bok, a następnie przetoczył się po ramie nad skrzynią auta. Spadł na ziemię tuż pod nogi dwóch pędzących za nimi zwierząt i wszystkie trzy sturlały się w dół zbocza. Do znikającego za zakrętem samochodu dotarły jedynie wściekłe powarkiwania raptorów.

– Udało się! – wykrzyknął triumfalnie Levine.

Ale w tej samej chwili kolejny drapieżnik zeskoczył ze skarpy, wylądował na drodze nie dalej jak metr za pojazdem i pognał za nim.

Ze zdumiewającą łatwością odbił się od ziemi i wylądował prosto na skrzyni jeepa.

Levine zamarł, skulony na przednim siedzeniu. Znalazł się oko w oko z bezwzględnym krwiożercą, który rozłożył szeroko krótkie przednie łapy, pochylił nisko łeb, rozdziawił paszczę i zasyczał złowieszczo.

To koniec, przemknęło mu przez myśl.

Ogarnęło go przerażenie; oblał go zimny pot, ramiona zaczęły mu dygotać, a w głowie kołatała się tylko ta jedna myśl, że nie jest w stanie nic zrobić i za parę sekund czeka go śmierć. Drapieżnik zasyczał po raz drugi i szerzej rozstawił tylne łapy, chcąc utrzymać równowagę. Kłapnął zębami i... niespodziewanie na pysk wystąpiła mu gęsta piana, która zaczęła skapywać na podłogę, a ślepia zaszły mgłą. Całym jego ciałem wstrząsnęły konwulsje i po chwili raptor zwalił się do tyłu, na skrzynię jeepa.

Ku swemu zdumieniu Levine spostrzegł tuż za nimi Sarę na motocyklu. Siedząca z tyłu Kelly kurczowo ściskała wymierzony w tę stronę karabin. Thorne zwolnił i Harding zrównała się z nimi. Przez okno podała Levine'owi klucz.

– Od klatki! – zawołała.

Richard wziął go roztrzęsionymi palcami, omal nie upuścił klucza na ziemię. Nadal był w szoku. Z trudem przychodziło mu zmusić mięśnie do posłuszeństwa. Tak niewiele brakowało, żebym tu zginął, powtarzał w myślach.

– Weź od nich karabin! – polecił Thorne.

Levine zerknął przez lewe ramię i dostrzegł na poboczu drogi dalsze raptory, wytrwale pędzące za samochodem. Naliczył sześć sztuk, domyślał się jednak, że było ich tam więcej. Zaczął liczyć od początku, nie mogąc oderwać wzroku od stada...

– Weź ten cholerny karabin!

Richard pospiesznie wyciągnął rękę przez okno i zacisnął palce na zimnej lufie.

Silnik jeepa niespodziewanie zakrztusił się raz i drugi, prychnął, strzelił głośno. Samochodem zaczęło szarpać.

– Co się dzieje? – zapytał z niepokojem Levine, spoglądając na Thorne'a.

– Mamy kłopoty – oznajmił tamten. – Skończyła się benzyna.

Doc błyskawicznie przełączył skrzynię biegów na luz. Pojazd toczył się coraz wolniej, pchany siłą rozpędu. Przed nimi teren wznosił się z lekka, lecz widzieli już wyraźnie, że za następnym zakrętem droga zaczyna opadać w dół zbocza. Sara także zwolniła, jechała teraz za nimi, z niedowierzaniem kręcąc głową.

Thorne uzmysłowił sobie, że jedyną szansą wyjścia z opresji jest dotarcie na szczyt wzniesienia.

– Otwórz klatkę! Wyciągnij chłopaka ze środka! – zawołał.

Levine natychmiast przeskoczył przez oparcie fotela, jakby panika dodała mu sił. Przyklęknął na skrzyni, wsunął klucz do zamka, przekręcił go i otworzył drzwiczki. Zaczął wyciągać Arby'ego z klatki.

Thorne zerknął na opadającą powoli wskazówkę prędkościomierza. Toczyli się z szybkością czterdziestu kilometrów na godzinę... trzydziestu... dwudziestu pięciu... Raptory biegnące poboczem zbliżały się szybko, jakby wyczuwały, że uciekający im pojazd ma jakieś kłopoty.

Strzałka prędkościomierza opadła już poniżej liczby dwadzieścia.

– Mam go! – wrzasnął ze skrzyni Levine, zamykając z powrotem drzwi.

– Zepchnij klatkę na ziemię!

Chwilę później duży cylinder z metalowych prętów huknął o ziemię i potoczył się w dół zbocza.

Posuwali się z prędkością piętnastu kilometrów na godzinę.

Jeszcze kawałek, powtarzał w myślach Doc.

Samochód wreszcie przestał zwalniać. Dotarli do szczytu wzniesienia i zaczęli zjeżdżać w dół zbocza, powoli nabierając szybkości. Thorne nie odrywał wzroku od prędkościomierza: osiemnaście kilometrów na godzinę... dwadzieścia... trzydzieści... Ostrożnie prowadził jeepa po krętym szlaku, byle tylko nie zostać zmuszonym do użycia hamulców.

– I tak nie damy rady dojechać do przyczepy! – wrzasnął mu nad głową Levine.

Krzyczał ile sił w płucach, oczy miał znowu rozszerzone z przerażenia.

– Wiem o tym – odparł spokojnie Thorne.

Widział już w dole rozległą polanę, na której stała przyczepa, lecz dzieliło ich od niej kolejne wzniesienie terenu. Rzeczywiście nie mieli szans dotrzeć do celu. Zbliżali się jednak do skrzyżowania, w prawo odchodziła droga

wiodąca do hali laboratoryjnej, a ta – jak Doc pamiętał – prowadziła cały czas w dół zbocza.

Obrócił kierownicę i skręcił w tamtą stronę, oddalając się od przyczepy furgonu.

Wkrótce ujrzeli płaski dach gigantycznej budowli, połyskujący srebrzyście w blasku księżyca. Thorne skręcił jednak po raz drugi i skierował jeepa w wąską dróżkę biegnącą na tyłach hali, przecinającą dawne osiedle pracownicze. Obrzucił uważnym spojrzeniem stojący po prawej stronie dom kierownika ośrodka, za którym znajdowały się pawilon handlowy i stacja benzynowa. Może przypadkiem w zbiornikach zostało jeszcze trochę benzyny, przemknęło mu przez myśl.

– Spójrz! – zawołał Levine, wskazując drogę za nimi. – Tylko popatrz!

Doc zerknął przez ramię. Ścigające ich drapieżniki wyraźnie zostały w tyle, jakby onieśmielone bliskim sąsiedztwem olbrzymiej hali laboratorium.

– Zrezygnowały z dalszej pogoni! – wykrzyknął radośnie Levine.

– Owszem – mruknął Thorne – ale gdzie się podziała Sara?

Nigdzie za nimi nie było widać motocykla.

PRZYCZEPA

Sara Harding delikatnie pchnęła kierownicę i dodała gazu, motocykl z lekkością przeskoczył ostatnie, niewysokie wzniesienie i potoczył się w dół, w stronę stojącej na polanie przyczepy. Za nimi pędziły cztery raptory, powarkując głośno. Przyspieszyła jeszcze bardziej, chcąc do maksimum powiększyć dzielący ich dystans. Przeczuwała, że każda cenna sekunda będzie miała ogromne znaczenie.

Odchyliła się do tyłu i zawołała do Kelly:

– Trzeba będzie przeskoczyć jak najszybciej!

– Co? – zapytała dziewczyna.

– Kiedy podjedziemy do przyczepy, zeskakuj i biegnij do środka! Nie

czekaj na mnie! Zrozumiałaś?

Kelly nerwowo pokiwała głową.

– Bez względu na okoliczności nie czekaj na mnie!

– W porządku.

Harding podjechała do samej przyczepy i zahamowała ostro. Motocyklem zarzuciło na mokrej trawie, boleśnie uderzyła ramieniem o blachę karoserii. Lecz Kelly posłusznie zeskoczyła z siodełka, dopadła drzwi, otworzyła je i zniknęła w środku. Sara zamierzała wciągnąć motocykl do przyczepy, dostrzegła jednak, że stado raptorów jest już bardzo blisko. Toteż zdążyła jedynie pchnąć pojazd w stronę nadbiegających drapieżników i dała nura w otwarte drzwi przyczepy. Wylądowała brzuchem na podłodze, błyskawicznie przekręciła się na bok i kopniakiem zatrzasnęła za sobą drzwi. Zdążyła w ostatniej chwili, gdyż niemal równocześnie rozległ się głośny zgrzyt szponów o blachę.

Skoczyła na nogi, naparła plecami na drzwi i próbowała w ciemnościach wymacać zamek. Zwierzęta całą hurmą usiłowały sforsować przeszkodę.

– Ian! Jak się zamyka te drzwi?!

Z głębi przyczepy doleciał niewyraźny, senny głos Malcolma:

– Życie jest jak kryształ...

– Ian! Ocknij się!

Niespodziewanie pojawiła się obok niej Kelly i także zaczęła pospiesznie macać na oślep. Raptory dobijały się do drzwi pojazdu.

– Znalazłam! – zawołała dziewczyna. – Na dole, przy samej podłodze!

Rozległ się metaliczny szczęk zasuwy i Harding odskoczyła wreszcie od drzwi.

Kelly chwyciła ją za rękę. Z zewnątrz dolatywało złowieszcze warczenie, uderzenia raptorów wstrząsały przyczepą.

– Wszystko będzie dobrze – mruknęła pocieszająco Sara.

Podeszła do Malcolma leżącego nieruchomo na blacie stołu laboratoryjnego. Jeden z raptorów próbował się przebić przez okno umieszczone tuż nad głową matematyka, wyskakiwał wysoko w powietrze i uderzał w szybę tylnymi łapami, a jego ostre szpony zostawiały na szkle wyraźne rysy. Malcolm patrzył na to ze stoickim spokojem.

– Hałaśliwe skurczybyki, prawda? – mruknął.

Przy jego boku stała otwarta apteczka, strzykawka leżała na stole. Wyglądało na to, że sam zaaplikował sobie drugą dawkę morfiny.

Drapieżnik skaczący za oknem zniknął nagle z pola widzenia. Od strony drzwi doleciało zgrzytanie innego rodzaju. Sara wyjrzała na zewnątrz i zauważyła, że cztery dinozaury odciągają motocykl od przyczepy.

Podskakiwały wokół niego z ożywieniem, nie ulegało wątpliwości, że wcześniej czy później podziurawią opony.

– Ian! Musimy szybko coś zrobić!

– Mnie się nigdzie nie spieszy – mruknął ospale.

– Jest tutaj jakaś broń?

– Broń?... Nie wiem... – Westchnął ciężko. – A po co ci broń?

– Ian, błagam...

– Mówisz strasznie szybko... – bąknął. – Wiesz co, Saro? Powinnaś się wreszcie odprężyć.

Kelly ogarniało narastające przerażenie, choć otuchy dodawały jej poczynania Sary, która usiłowała znaleźć jakąś broń. Było dla niej jasne, że Harding nie zamierza się poddawać, że do końca będzie próbowała znaleźć wyjście z trudnej sytuacji. Właśnie ta nieustępliwość i determinacja, upór w dążeniu do celu bez oglądania się na innych bardzo jej imponowały.

Słuchając sennego mamrotania Malcolma, domyśliła się od razu, że nie mogą liczyć na jakąkolwiek pomoc z jego strony. Był pod wpływem leków przeciwbólowych i nic go nie obchodziło. Harding nie znała rozkładu przyczepy, natomiast Kelly trochę się tu orientowała. W ciągu dnia zaglądała do szafek, szukając czegoś do zjedzenia. Zdawało jej się, że przypomina sobie...

W ciemnościach zaczęła pospiesznie wyciągać szuflady. Wytężała wzrok, usiłując cokolwiek dojrzeć. Była niemal pewna, że w którejś z nich – gdzieś nisko, przy samej podłodze – widziała pudełko z wymalowaną trupią czaszką. Być może znajdowało się w nim coś, co mogło posłużyć do obrony...

– Ian! – rozległ się w ciemnościach głos Sary. – Spróbuj sobie przypomnieć...

– Ależ tak, byłem tam, Saro – odparł sennie Malcolm. – I wszystko wspaniale do siebie pasuje. No wiesz, te ogołocone szkielety w gnieździe raptorów stanowią doskonały przykład...

– Nie teraz, Ian! – przerwała mu Harding.

Kelly wyciągała kolejne szuflady, zostawiając je do połowy wysunięte, żeby się nie pomylić, które już sprawdziła. Przeszła dalej w głąb przyczepy, kucnęła przy regale. Tak, to chyba było tutaj – pomyślała.

Wreszcie wymacała duże, kartonowe pudełko. Okazało się zdumiewająco ciężkie.

– Saro! Spójrz!

Harding wzięła od niej pudełko, podeszła do okna i zaczęła je oglądać przy blasku księżyca. Po chwili zerwała papierową taśmę i odchyliła pokrywę. Wewnątrz pudełko było podzielone na cztery sekcje wypełnione okruchami styropianu, które chroniły zawartość przed wstrząsami. W pierwszej przegródce leżały trzy prostopadłościenne kawałki jakiejś substancji, w dotyku przypominającej gumę; w drugiej spoczywał niewielki błyszczący cylinder, podobny do miniaturowej butli ze sprężonym tlenem.

– Co to jest?

– Uznaliśmy, że to dobry pomysł – odparł Malcolm. – Ale teraz wcale nie jestem tego pewien. Szkopuł w tym...

– Co to jest?! – przerwała mu ostro Sara, pokazując pudełko; za wszelką cenę próbowała go wyrwać z tych na poły nierealnych rozważań.

– Nic groźnego – burknął ospale. – „Alexander's Ragtime Band"... Chcieliśmy mieć do dyspozycji...

– Co to jest?! – krzyknęła, podtykając mu ciężkie pudełko pod nos.

– Świece dymne. Właśnie trzymasz...

– Świece? – powtórzyła zawiedziona. – Służą jedynie do wytwarzania zasłony dymnej?

– Tak, ale...

– A to? – Uniosła srebrzysty cylinder; na obudowie było coś napisane, ale w ciemności nie dało się odczytać liter.

– Bomba cholinesterazowa. W środku jest gaz wywołujący krótkotrwały paraliż. Tak nas przynajmniej zapewniano.

– Jak krótkotrwały?

– Nie wiem, prawdopodobnie kilkuminutowy. Ale...

– Jak się tego używa? – spytała szorstko, obracając cylinder w palcach.

Na jego końcu znajdowała metalowa pokrywka zabezpieczona drucianą szpilką. Harding zaczęła ją wysuwać, żeby obejrzeć znajdujący się pod wieczkiem mechanizm.

– Co robisz? Uwolnisz gaz! Trzeba wyciągnąć druciany bezpiecznik i rzucić bombę. Po trzech sekundach z pojemnika uwolni się gaz.

– Rozumiem.

Sara zaczęła w pośpiechu pakować apteczkę. Wrzuciła do środka pustą strzykawkę oraz rozrzucone bandaże i zamknęła pakiet.

– Co ty chcesz zrobić? – bąknął wyraźnie zaniepokojony Malcolm.

– Uciekamy stąd – oznajmiła Harding, podchodząc do drzwi.

Matematyk westchnął głośno.

– Jak to dobrze mieć mężczyznę pod ręką – mruknął ospale.

Cylinder wyleciał szerokim łukiem w powietrze, połyskując mętnie w blasku księżyca. Raptory stały gromadą nad motocyklem, jakieś pięć metrów od przyczepy. Jeden z nich uniósł łeb i popatrzył na dziwny przedmiot, który upadł w trawę metr od niego.

Sara obserwowała tę scenę zza uchylonych drzwi.

Ale nic się nie stało.

Nie nastąpiła eksplozja.

Panowała cisza.

– Ian! To nie zadziałało!

Zaciekawiony drapieżnik obrócił się w stronę cylindra. Pochylił łeb i zaraz uniósł go ponownie, trzymając w pysku błyszczący pojemnik z gazem.

Sara westchnęła z rezygnacją.

– Nic się nie wydarzyło!

– I co z tego? – zapytał ze stoickim spokojem Malcolm.

Raptor zaczął energicznie wymachiwać łbem, ściskając cylinder w zębach.

– I co teraz zrobimy? – szepnęła Kelly.

W tej samej chwili nastąpiła cicha eksplozja i nad polaną wykwitła biała chmura rozprężonego gazu. Błyskawicznie ogarnęła stadko drapieżników.

Harding pospiesznie zatrzasnęła drzwi przyczepy.

– I co teraz? – powtórzyła Kelly.

Trzymając Malcolma na plecach, Sara ostrożnie ruszyła przez tonącą w mroku polanę. Chmura białego gazu rozproszyła się już kilka minut wcześniej. Najbliższy raptor leżał w trawie bez ruchu: spoczywał na boku jak martwy, lecz oczy miał otwarte. Żył jednak, zbliżywszy się do niego, Harding

dostrzegła pulsowanie żyły pod skórą szyi. Zwierzę było tylko sparaliżowane.

– Jak długo działa ta substancja? – zapytała Malcolma.

– Nie mam pojęcia! Jak silny wieje wiatr?

– W ogóle nie ma wiatru.

– W takim razie musiały dostać dość dużą dawkę gazu.

Sara przeszła jeszcze kawałek, aż znaleźli się pośrodku gromady leżących nieruchomo drapieżników. Śmiało przestępowała nad ich wyciągniętymi łapami, choć od dinozaurów bił intensywny fetor charakterystyczny dla wszystkich dzikich mięsożerców. Jedno ze zwierząt leżało na motocyklu. Harding pochyliła się i ostrożnie posadziła Malcolma na trawie, nie zważając na jego pojękiwania. Już po paru sekundach matematyk zaczął śpiewać na głos: „Chciałbym wrócić na pola bawełny, gdzie ciągle trwają stare dobre czasy...".

Sara pociągnęła z całej siły za kierownicę motocykla, mając nadzieję, że zdoła wyszarpnąć pojazd spod ciężkiego drapieżnika. Nie dała jednak rady.

– Ja będę ciągnąć – oznajmiła Kelly, chwytając za kierownicę.

Harding podeszła z drugiej strony, bez wahania objęła rękoma szyję raptora i zaczęła ją dźwigać ku górze. Próbowała opanować wzbierające mdłości. Skóra dinozaura była szorstka, ciepła i sucha, lecz gdy przypadkiem Sara musnęła ją policzkiem, wzdrygnęła się z obrzydzeniem. Głośno stęknęła z wysiłku, unosząc łeb zwierzęcia.

– Dixieland... – zawodził Malcolm. – Pa-pa-pa-pa... Dixieland...

– Dasz radę? – wycedziła Harding.

– Jeszcze trochę – odparła dziewczyna, z całej siły ciągnąc motocykl do siebie.

Sara mocniej objęła rękoma szyję raptora, tuż przed oczyma miała tępo zakończony pysk zwierzęcia. Ciężki łeb bezwładnie zakołysał się na boki, kiedy szarpnęła dinozaura do siebie. Przelotnie spojrzała w jego wyłupiaste ślepie, które zdawało się na nią patrzeć, choć wiedziała dobrze, że to niemożliwe. Szarpnęła po raz drugi, usiłując wyżej podnieść ciężkiego raptora.

– Jeszcze... – wyjąkała Kelly.

Harding, stękając z wysiłku, mocniej ścisnęła szyję zwierzęcia.

Wpatrzone w nią oko mrugnęło!

Przerażona rozwarła ręce, łeb raptora opadł na ziemię. Na szczęście Kelly zdążyła wyszarpnąć motocykl spod zwierzęcia.

– Mam! – krzyknęła radośnie.

– „I jeszcze dalej... na południe... w Dixielandzie...".

Sara obiegła nieprzytomnego drapieżnika, który zaczynał już spazmatycznie grzebać łapą w trawie, a jego pierś unosiła się szybciej.

– Jedziemy! – zawołała. – Ian z tyłu, a ty, Kelly, na kierownicy.

– „Dalej... na południe...” – śpiewał ciągle matematyk.

– Szybciej!

Harding wskoczyła na siodełko. Nie spuszczała wzroku z leżącego raptora. Łeb zwierzęcia drgał konwulsyjnie, wyłupiaste oko mrugnęło po raz drugi. Nie ulegało wątpliwości, że paraliż stopniowo ustępuje.

– Szybciej! Ruszajmy!

OSIEDLE

Sara wjechała na szczyt wzgórza i skręciła na drogę prowadzącą w kierunku osiedla pracowników ośrodka. Zerkając ponad ramieniem Kelly, dostrzegła wkrótce jeepa zaparkowanego przed pawilonem handlowym, nieopodal stacji benzynowej. Zatrzymała motocykl obok samochodu. Kelly zeskoczyła na ziemię, podbiegła i otworzyła drzwi pawilonu, a następnie pomogła Malcolmowi wejść do środka. Harding wtoczyła motocykl do budynku i starannie zamknęła za sobą drzwi.

– Doc?! – zawołała.

– Tu jesteśmy – odpowiedział Thorne – przy Arbym.

Przy blasku księżyca sączącym się przez okna obrzuciła spojrzeniem wnętrze pawilonu, który przypominał prowincjonalny sklepik, przed laty porzucony przez właściciela. W olbrzymiej, przeszklonej szafie automatu piętrzyły się sterty poszarzałych ze starości puszek z napojami chłodzącymi. Ze stojaka zwieszały się girlandy batoników i wafelków, lecz wszystkie opakowania miały odcień zielonkawy i pełzały po nich larwy owadów. Pod nimi leżały stosy gazet o pozawijanych ku górze rogach, w nagłówkach widniały daty sprzed pięciu lat.

Pod ścianą znajdowało się stoisko z artykułami chemicznymi: pastą do zębów, aspiryną, kremem do opalania, szamponem, grzebieniami i szczotkami. Dalej stały regały z odzieżą, obok bawełnianych bluzek, szortów, skarpet czy ręczników kąpielowych leżały tam również rakiety tenisowe oraz drobne pamiątki: breloczki, popielniczki i szklanki.

Pośrodku hali, niczym wyspa na oceanie, mieściło się stanowisko kasowe wyposażone w nowoczesne urządzenie komputerowe z czytnikiem optycznym. Na sąsiadującej z nim ladzie stały kuchenka mikrofalowa oraz

ekspres do kawy. Drzwi kuchenki były otwarte, jakieś drobne zwierzątko urządziło sobie w środku gniazdo. W szczelinie pęknięcia na obudowie ekspresu także roiło się od larw.

– Ale bałagan – mruknął Malcolm.

– Mnie to nie przeszkadza – odparła Sara.

Wszystkie okna zabezpieczono grubymi kratami. Ściany sprawiały wrażenie dosyć solidnych. Żywność w puszkach raczej nadawała się jeszcze do spożycia. Nad bocznymi drzwiami ciągnął się duży napis „Pokoje gościnne", Harding pomyślała więc, że być może jest tu nawet bieżąca woda. W każdym razie znaleźli bezpieczne schronienie, przynajmniej na jakiś czas.

Pomogła Malcolmowi ułożyć się wygodnie na podłodze i podeszła do Thorne'a oraz Levine'a, którzy pochylali się nad Arbym.

– Przywiozłam apteczkę – powiedziała. – Jak on się czuje?

– Jest mocno potłuczony i podrapany – wyjaśnił Doc. – Ale kości ma całe. Martwię się urazami głowy.

– Wszystko mnie boli – odezwał się Arby. – Nawet usta.

– Poszukajcie jakiegoś źródła światła – poleciła Sara. – Pokaż mi swoje usta, Arby... Aha, straciłeś kilka zębów, dlatego odczuwasz ból. Ale da się je wstawić. Rozcięcie na głowie także nie wygląda groźnie. – Zaczęła wycierać zakrwawioną twarz chłopca gazą, a po chwili zwróciła się do Thorne'a: – Ile mamy czasu do przylotu śmigłowców?

Doc spojrzał na zegarek.

– Dwie godziny.

– Gdzie wylądują?

– Na polanie, kilka kilometrów stąd.

Przyglądając się uważnie Arby'emu, oznajmiła:

– W porządku. Musimy zatem w ciągu tych dwóch godzin jakoś się przedostać na polanę.

– Jak chcesz to zrobić? – wtrąciła Kelly. – W samochodzie nie ma już benzyny.

– Nie martw się, coś wymyślimy – odparła Sara. – Wszystko będzie dobrze.

– Ty zawsze tak mówisz.

– Bo to zawsze jest prawdą. No dobra, Arby, będziesz musiał mi pomóc. Spróbuj ostrożnie usiąść, zdejmę ci koszulę.

Thorne odsunął się nieco i stanął obok Levine'a. Zwrócił uwagę, że Richard ma ciągle oczy rozszerzone ze strachu i porusza się bardzo nerwowo. Widocznie karkołomny przejazd jeepem do reszty go wykończył.

– O czym ona gada? – bąknął Levine. – Przecież jesteśmy tu uwięzieni. Uwięzieni! – W jego głosie pobrzmiewała histeria. – Nie możemy się stąd ruszyć nawet na krok. Nie damy rady nic zrobić. Mówię wam, że wszyscy tu zgi...

– Ciszej! – Thorne położył mu rękę na ramieniu i szepnął do ucha. – Wystraszysz dzieci.

– A co to za różnica? I tak, wcześniej czy później, same się... Au! Puść mnie!

Thorne mocno ściskał jego ramię. Ponownie się schylił i szepnął:

– Jesteś za stary na to, żeby zachowywać się jak gówniarz! Weź się w garść, Richardzie! Słyszysz, co do ciebie mówię?

Levine w milczeniu pokiwał głową.

– To dobrze. A teraz mam zamiar wyjść na zewnątrz i zobaczyć, czy działają pompy paliwowe.

– Na pewno nie działają – bąknął Levine. – Nie były używane od pięciu lat. Uwierz mi, to strata...

– Richardzie! – powtórzył z naciskiem Thorne. – Musimy sprawdzić pompy.

Przez chwilę obaj w milczeniu patrzyli sobie w oczy.

– Myślisz, że wyjdę z tobą na zewnątrz? – spytał niepewnie Levine.

– Tak.

Tamten zmarszczył brwi, jakby się nad czymś zastanawiał.

– I co z tym światłem, chłopcy? – odezwała się klęcząca obok Arby'ego Sara.

– Zaraz coś znajdziemy – rzekł Thorne, a pochylając się w stronę Levine'a, zapytał: – No więc jak?

– Dobra – rzucił Richard, biorąc głębszy oddech.

Doc podszedł do drzwi, otworzył je i wyszedł przed pawilon. Levine zamknął za nim drzwi. Po chwili rozległ się cichy szczęk rygla.

Thorne odwrócił się błyskawicznie i załomotał pięściami w ramę. Richard uchylił drzwi i wytknął głowę na zewnątrz.

– Na miłość boską! – syknął Doc. – Nie zamykaj ich na zasuwę!

– Myślałem, że...

– Nie zamykaj tych cholernych drzwi!

– Dobrze, w porządku. Przepraszam.

– Jasna cholera!

Thorne sam przymknął drzwi i odwrócił się plecami do pawilonu.

Całe osiedle było pogrążone w ciszy, z ciemności dobiegało jedynie monotonne brzęczenie cykad. Ten spokój jest wręcz podejrzany, przemknęło mu przez myśl. Wmówił sobie jednak, że odbiera go w ten sposób tylko z tego powodu, że w uszach jeszcze mu brzmi groźne warczenie raptorów. Przez kilka długich sekund stał przed wejściem do pawilonu, uważnie obserwując teren przed sobą. Nie dostrzegł jednak żadnego ruchu.

Podszedł wreszcie do jeepa, otworzył drzwi i zaczął szukać po omacku krótkofalówki. Znalazł ją na podłodze pod fotelem. Wyciągnął stamtąd, szybko podszedł do wejścia i delikatnie zastukał w drzwi.

Levine otworzył je i oznajmił pospiesznie:

– Wcale nie były zamknięte.

– Masz. – Thorne wcisnął mu w garść krótkofalówkę i z powrotem zamknął drzwi.

Rozejrzał się po raz kolejny. Dookoła nadal panowała cisza. Księżyc w pełni błyszczał jasno nad drzewami, nie było nawet najlżejszego wiaterku.

Ruszył w bok od pawilonu i zaczął oglądać pompy paliwowe. Dźwignia pierwszej z nich była silnie skorodowana i pokryta grubą warstwą pajęczyny. Doc zdjął końcówkę węża z uchwytu, opuścił ku ziemi i nacisnął spust. Nic się nie zadziało. Popchnął dźwignię do góry i spróbował ponownie, też bez rezultatu. Postukał w okienko licznika pokazującego ilość pobranej benzyny, lecz grube szkiełko wypadło mu na dłoń; cały licznik pod spodem również był pokryty grubą warstwą pajęczyny.

Podziemny zbiornik musiał być pusty.

A przecież tylko benzyna mogła im umożliwić przedostanie się na lądowisko helikopterów. Thorne zmarszczył brwi, spoglądając na dystrybutory. Były dość prymitywne, starego typu – takie same, jakie zazwyczaj stosuje się na placach budowy, gdzie stacje paliwowe potrzebne są tylko na jakiś czas. Było to zresztą zrozumiałe, znajdowali się przecież na wyspie.

Ta myśl go uderzyła.

Byli na wyspie, a to oznaczało, że wszelkie towary dostarczano drogą powietrzną lub morską. Zapewne wykorzystywano niewielkie stateczki, na które zapasy w pobliskich portach rybackich dało się łatwo załadować. W takim razie...

Kucnął i zaczął się przyglądać podstawie, na której ustawiono pompę. Błyskawicznie odkrył, że nie ma tu żadnego podziemnego zbiornika. Z betonowego cokołu wychodziła cienka rura z czarnego PCW. Można było nawet dostrzec, dokąd prowadzi, niezbyt starannie ukryta pod cienką warstwą ziemi. Biegła w stronę narożnika pawilonu.

Thorne ruszył w tamtym kierunku, rozglądając się uważnie w świetle księżyca. Przystanął na moment i zaczął z uwagą nasłuchiwać, zaraz jednak poszedł dalej.

Minął róg pawilonu i ujrzał to, czego się spodziewał: trzy dwustulitrowe metalowe zbiorniki stojące pod ścianą budynku. Były połączone siecią czarnych rur z PCW. A zatem intuicja go nie zawiodła: zapasy paliwa dostarczano na wyspę w wymiennych zbiornikach.

Kolejno postukał w nie pięścią, lecz wszystkie były puste. Dźwignął jeden z nich do góry, mając nadzieję, że zostało choć trochę benzyny na dnie. Wystarczyłoby im choć parę litrów.

Nie usłyszał jednak żadnego chlupotu.

Zbiorniki były opróżnione do końca.

Przyszło mu do głowy, że na wyspie powinno być ich więcej. Przekalkulował szybko w myślach: Tak wielki ośrodek badawczy powinien dysponować co najmniej pięcioma samochodami, a jeśli nawet wykorzystywano bardzo oszczędne pojazdy, to i tak musiały zużywać jakieś sto do stu pięćdziesięciu litrów paliwa tygodniowo. Dla bezpieczeństwa firma powinna zgromadzić na wyspie co najmniej dwumiesięczne zapasy benzyny, a jeszcze lepiej półroczne.

Oznaczało to, że powinno tu być od dziesięciu do trzydziestu takich pojemników. A ponieważ były dość ciężkie, prawdopodobnie składowano je w jednym miejscu, gdzieś niedaleko...

Obrócił się na pięcie i rozejrzał uważnie. Całe osiedle tonęło w blasku księżyca.

Na tyłach pawilonu było niewiele wolnej przestrzeni, dalej ciągnęły się szeregiem wybujałe rododendrony, które niemal całkowicie zarosły ścieżkę prowadzącą na kort tenisowy. Ponad nimi widać było szczyt ogrodzenia z drucianej siatki, gęsto porośniętego dzikim winem. Po lewej stał pierwszy z domków osiedla, z gąszczu dżungli wyłaniał się jedynie ciemny dach. Na prawo, obok pawilonu, rosła kępa krzaków, ale widoczna szczelina w listowiu...

Tak, niegdyś wiodła tam ścieżka.

Thorne ruszył energicznym krokiem. Już z daleka dostrzegł szeroką, ciemną, pionową szczelinę. Szybko rozpoznał, że jest to prostokąt uchylonych

drzwi zbitych z desek. Za krzakami stała wiata, drzwi wychodzące na drugą stronę były zamknięte. Po chwili zauważył też pokrytą rdzą żółtą tablicę ostrzegawczą z dużymi czarnymi literami. Kiedy podszedł bliżej, odczytał w świetle księżyca napis:

PRECAUCION
NON FUMARE
MATERIAŁY ŁATWOPALNE

Zatrzymał się i nadstawił ucha. Z oddali dobiegały powarkiwania raptorów, wyglądało jednak na to, że zwierzęta nadal znajdują się po przeciwnej stronie wzniesienia. Z jakiegoś powodu unikały zabudowań.

Stał przez chwilę z bijącym mocno sercem, spoglądając niepewnie na mroczny prześwit w gęstej kępie krzaków. Pomyślał w końcu, że nie ma innego wyjścia: benzyna była im niezbędna. Śmiało ruszył przed siebie.

Na ścieżce prowadzącej do wiaty stały kałuże po wieczornym deszczu, ale pod dachem było sucho. Thorne odczekał chwilę, aż wzrok oswoi się z ciemnością i obrzucił spojrzeniem niewielką przestrzeń. Teren ograniczony siatką miał nie więcej jak cztery na cztery metry. Stało tu kilkanaście identycznych zardzewiałych zbiorników. Większość została jednak ustawiona pionowo pod siatką, tylko trzy leżały po przeciwnej stronie wiaty. Thorne pospiesznie unosił je kolejno, ale były puste.

Na wyspie nie została ani kropla benzyny.

Poczuł gorycz porażki. Cofnął się do wejścia do wiaty i przystanął, spoglądając na skąpany w księżycowej poświacie teren osiedla. I wtedy usłyszał niepozostawiający wątpliwości odgłos chrapliwych oddechów zwierząt.

Wewnątrz pawilonu Levine chodził nerwowo od jednego okna do drugiego, usiłując nie stracić Thorne'a z oczu. Nie opuszczało go napięcie. Co on tam porabia? – powtarzał w myślach. Dlaczego aż tak się oddala od budynku? Według niego Doc zachowywał się lekkomyślnie. Od czasu

do czasu zerkał na drzwi wejściowe, z całego serca pragnął zamknąć je na zasuwę. Wyczuwał rosnące zagrożenie, jakie stwarzały tylko przymknięte drzwi pawilonu.

Kiedy Thorne zniknął w kępie krzaków, Levine zaczął się jeszcze bardziej denerwować: Doc zniknął mu z pola widzenia na długie minuty.

Stał z nosem przyklejonym do szyby, przygryzając wargi. Nawet tu było słychać odległe powarkiwanie raptorów, ale Richardowi się wydawało, że dobiega ono z placyku przed wejściem do głównej hali laboratorium. Mimo przerażenia uświadomił sobie, że zwierzęta nie podeszły bliżej osiedla. Zaczął się zastanawiać, co może być przyczyną takiego zachowania. Owe myśli uspokoiły go, odegnały nieustanne napięcie. Natrafił na kolejną zagadkę: dlaczego raptory trzymały się z dala od zabudowań?

Zaczął formułować w myślach wszelkie możliwe wyjaśnienia: drapieżniki żywiły atawistyczny lęk przed halą, w której przyszły na świat; pamiętały okres hodowli w klatkach i obawiały się ponownego schwytania. Zaraz jednak przyszło mu do głowy najprostsze, a zarazem najbardziej prawdopodobne wytłumaczenie: teren wokół hali należał do innego gatunku dinozaurów, granice strzeżonego obszaru mogły zostać naznaczone zapachem, dlatego też raptory wolały ich nie przekraczać. Przypomniał sobie nagle, że nawet tyranozaur podążał ścieżką obok hali dość szybko, nigdzie się nie zatrzymywał.

Tylko do jakich zwierząt mógł należeć ten obszar?

Z coraz większą niecierpliwością wyglądał przez okno, czekając na powrót Thorne'a.

– I co z tym światłem? – zawołała Sara z głębi pawilonu. – Niewiele dam radę zrobić po ciemku.

– Jeszcze chwilę – odparł Levine.

Przy wejściu do wiaty Thorne stał bez ruchu, uważnie nasłuchując.

Wyraźnie rozpoznawał ciche pochrapywanie, jakby dolatujące z oddali, stłumione parskanie konia. Ten odgłos, który dobiegał gdzieś z jego prawej strony, musiało wydawać jakieś duże zwierzę. Doc powoli obracał głowę, próbując przeniknąć wzrokiem ciemności.

Ale niczego nie mógł dostrzec, chociaż cały teren osiedla zalewała jasna poświata księżyca. Przyglądał się dokładnie pawilonowi i sąsiadującej z nim stacji paliwowej, przed którą stał jeep. Na wprost miał wąską otwartą przestrzeń, dalej po prawej ciągnęły się zarośla rododendronów, a za nimi

znajdował się kort tenisowy.

Na tym obszarze nie było niczego podejrzanego.

Thorne niemalże zamienił się w słuch.

Nadal wyławiał odgłosy chrapliwych oddechów, niewiele głośniejsze od szelestu lekkiego wiatru. Ale nie było żadnego wiatru, nie poruszał się nawet jeden listek na otaczających go drzewach i krzakach.

Czyżby się przesłyszał?

Miał jednak wrażenie, że coś w otoczeniu uległo zmianie – coś wręcz oczywistego, czego mimo wysiłków nie potrafił dostrzec. Tak usilnie wbijał wzrok w ciemności, że pojawiły mu się przed nimi różnobarwne mroczki. Wydawało mu się jednak, że złowił jakieś poruszenie w gąszczu na prawo od wiaty. Układ ciemnych plam listowia oświetlonego blaskiem księżyca chyba rzeczywiście był teraz inny. Jak gdyby coś się tam poruszyło i ponownie zastygło w bezruchu.

Nie był jednak pewien, czy to nie przywidzenie.

Rozbolały go napięte mięśnie ramion. Wpatrując się uważnie w dżunglę na skraju osiedla, pomyślał, że to nie ciemne plamy listowia przykuły jego uwagę, lecz widoczne nad szeregiem rododendronów fragmenty drucianej siatki ogrodzenia. Na przeważającej długości parkan był porośnięty dzikim winem, lecz miejscami dała się zauważyć regularna kratownica siatki. To właśnie ona w jednym miejscu wyglądała jakoś dziwnie. Była jakby rozdygotana, poruszała się z lekka.

Thorne ponownie wytężył wzrok. A może faktycznie się porusza? – przemknęło mu przez myśl. Może jakieś zwierzę stanęło przy ogrodzeniu i napierając ciałem na siatkę, wywołało jej poruszenie? Wydało mu się to mało prawdopodobne.

Działo się tam coś dziwnego...

Niespodziewanie we wnętrzu pawilonu zapaliły się jarzeniówki. Smugi światła padającego z zakratowanych okien utworzyły na otwartej przestrzeni regularny, prostokątny wzór; dosięgnęły nawet zarośli otaczających kort tenisowy. Przez krótką chwilę Thorne'owi się zdawało, że rosnące tam krzewy mają jakieś nietypowe kształty. Uświadomił sobie nagle, że patrzy na stojące blisko przy sobie dwa dinozaury, mające około dwóch i pół metra wysokości. Zwierzęta spoglądały prosto na niego.

Dopiero teraz Doc zrozumiał, że ich skóra jest na przemian jaśniejsza i ciemniejsza, a rozkład odcieni idealnie pasuje do zarysów plam listowia za plecami zwierząt, a nawet do regularnej kratownicy siatki okalającej kort tenisowy. Poczuł się nieswojo. Ubarwienie zwierząt było doskonale, wręcz perfekcyjnie dopasowane do otoczenia – do czasu, kiedy niespodziewany

rozbłysk świateł z pawilonu wyłowił zaskoczone zwierzęta z ciemności.

Thorne spoglądał na dinozaury, wstrzymawszy oddech. Minęła dłuższa chwila, nim uprzytomnił sobie, że nieregularne ciemniejsze plamy widoczne były na ich skórze tylko w dolnej połowie ciała, w górnej zaś występowała regularna kratownica, naśladująca drucianą siatkę ogrodzenia.

Ale teraz, na jego oczach działo się coś niezwykłego. Oto całe zwierzęta przybrały kolor kremowobiały, natomiast sekundę później na skórze dinozaurów pojawiły się ciemniejsze, geometryczne wzory, idealnie dopasowane do zmienionych nagle warunków oświetlenia otaczającej ich scenerii.

Ponownie oba dinozaury zniknęły mu z oczu. Thorne zamrugał szybko i wytężył wzrok, lecz zaledwie był w stanie odróżnić zarysy zwierząt na tle gąszczu. Błyskawicznie zyskał pewność, że nigdy by nie zdołał ujrzeć w całości stojących nieruchomo dinozaurów, gdyby wcześniej nie miał okazji się przekonać, iż one rzeczywiście tam są.

Jak kameleony odznaczały się zdolnością do mimetyzmu, choć tak dalece posuniętego i tak szybkiego dostosowania do otoczenia jeszcze nigdy dotąd nie widział.

Powoli wycofał się z powrotem w mrok wiaty.

– Matko Boska! – wykrzyknął stojący przy oknie Levine.

– Przepraszam – odparła Harding – ale naprawdę musiałam zapalić światła. Arby potrzebuje mojej pomocy, a ja niczego nie dam rady zrobić po ciemku.

Richard nie odpowiedział, wciąż wyglądał przez okno. Ogarnęło go nagle znane już uczucie – podobnie jak tego dnia, kiedy zginął Diego, odniósł wrażenie, że coś w tym otoczeniu mu nie pasuje. Jego wzrok wyłowił na krótko dziwne sylwetki i choć Levine natychmiast pojął, co to oznacza, jego rozsądek wciąż się buntował, ponieważ takich zdolności nie miało żadne żyjące współcześnie stworzenie.

– Coś się stało? – zapytała Sara, podchodząc do okna. – Coś z Thorne'em?

– Spójrz – bąknął Levine.

Harding przybliżyła twarz do kraty.

– Na krzaki? Co w nich ciekawego? Myślisz, że...

– Patrz uważnie.

Przez chwilę Sara wyglądała przez okno, wreszcie pokręciła głową.

– Nie wiem, o co ci chodzi.

– Spójrz na tamte zarośla, tuż przy ziemi, a potem spróbuj bardzo powoli przenieść wzrok... Powinnaś wyłowić sylwetki kątem oka.

Harding westchnęła ciężko.

– Nic nie widzę.

– W takim razie wyłącz światła. Wtedy na pewno zobaczysz.

Sara z ociąganiem przekręciła kontakt. Przez kilka sekund Levine miał okazję przyjrzeć się dokładnie zwierzętom, blask księżyca oświetlał kredowobiałe sylwetki z ciemnymi, geometrycznymi wzorami na skórze. Te jednak zaczęły szybko znikać.

Lecz gdy Harding podeszła z powrotem do okna, dinozaury były jeszcze dobrze widoczne. Natychmiast je spostrzegła. Głośno wciągnęła powietrze.

– O rety... – syknęła. – Czy mnie wzrok nie myli? To są dwa dinozaury?

– Tak. Stoją obok siebie.

– I... pospiesznie dostosowują swe ubarwienie do otoczenia?

– Zgadza się.

Na ich oczach ciemne pasy na skórze zwierząt zniknęły całkowicie, a zastąpiły je nieregularne plamy, idealnie pasujące kształtem do zarysu wybujałych rododendronów rosnących za dinozaurami. Stopniowo oba zwierzęta zniknęły, stopiły się z otoczeniem. Owe niezwykłe zdolności dostosowawcze nasuwały wniosek, że zewnętrzna warstwa epidermy zawierającej chromatofory musi być zbudowana podobnie jak u niektórych gatunków morskich bezkręgowców. Perfekcyjność tego mimetyzmu, niezwykła szybkość następujących zmian ubarwienia...

– Co to za dinozaury? – spytała Harding.

– Prehistoryczne kameleony o mistrzowskich umiejętnościach. Zresztą bałbym się je nawet porównywać z kameleonami, które z technicznego punktu widzenia potrafią jedynie...

– Co to za dinozaury? – przerwała mu ostro Sara.

– Zaliczyłbym je do gatunku *Carnotaurus sastrei*. Zostały opisane na podstawie znalezisk w Patagonii. Trzy metry wysokości, olbrzymi łeb... Zwróć uwagę, że szerokie i krótkie pyski upodobniają je do buldogów. A widzisz te zakrzywione rogi na szczycie czaszki? Wyglądają jak skrzydła...

– Są drapieżne?

– Tak, oczywiście. Odznaczają się...

– Gdzie jest Thorne?

– Po raz ostatni widziałem go, jak wchodził w tamtą kępę krzaków, parę minut temu. Od tamtej pory się nie pokazał...

– I co teraz zrobimy?

– A co możemy zrobić? – bąknął Levine. – Nie bardzo rozumiem...

– Przecież musimy coś zrobić – wycedziła powoli Harding, jakby przemawiała do dziecka. – Trzeba pomóc Thorne'owi przedostać się z powrotem do budynku.

– Tylko jak? Każde z tych zwierząt waży na oko po dwieście kilogramów. A są aż dwa. Powtarzałem mu, żeby nie wychodził na zewnątrz. No i masz…

Harding spojrzała na niego ze zmarszczonym czołem, po czym nakazała:

– Włącz z powrotem światło.

– Wolałbym…

– Idź i włącz światło!

Levine'a ogarnęła irytacja. Oto zyskał okazję dokonania wielkiego odkrycia, bliższego zapoznania się z nieznanymi dotąd umiejętnościami dinozaurów – chociaż samo zjawisko mimetyzmu nie było czymś niespotykanym wśród współczesnych kręgowców – a ta osiłkowata, apodyktyczna baba zaczyna mu wydawać rozkazy. Poczuł się obrażony. Nawet jej nie zaliczał do prawdziwych naukowców: pracowała w terenie, była zwykłym obserwatorem, unikała jakichkolwiek teoretycznych rozważań. Należała do tych pospolitych biologów, którzy z pasją grzebią w odchodach zwierząt, łudząc się, że dokonają wielkiego odkrycia. Miała z tego tylko taką korzyść, że pracowała na wolnym powietrzu, ale w najmniejszym stopniu nie była naukowcem…

– Włącz je! – krzyknęła Harding, bez przerwy spoglądając za okno.

Levine posłusznie przekręcił kontakt i szybko wyjrzał na zewnątrz.

– Wyłącz!

Tym razem cofnął się bez wahania i zgasił światło.

– Włącz!

Posłusznie przekręcił kontakt.

Harding odwróciła się od okna i poszła w głąb pawilonu.

– To im się wyraźnie przestaje podobać – powiedziała. – Stają się niespokojne.

– No cóż, prawdopodobnie okres refrakcji…

– Tak, zgadzam się. Masz, rozpakuj to. – Podała mu kartonowe pudełko z latarkami, a sama poszła do drugiego stoiska po baterie. – Mam nadzieję, że to je do reszty odstraszy.

– Co ty zamierzasz zrobić? – zdziwił się Levine.

– Nie ja, ale my – odparła posępnym tonem.

Thorne stał w mroku zalegającym pod wiatą, z napięciem patrząc w stronę zbitej z desek furtki. Światła w pawilonie na przemian zapalały się i gasły, wreszcie na dłużej pozostały włączone. W końcu zgasły ponownie i teren na tyłach budynku rozjaśniała jedynie poświata księżyca.

Złowił nagle jakieś ciche szelesty, znów dotarł do niego odgłos chrapliwych oddechów. Nieoczekiwanie ujrzał oba dinozaury zbliżające się powoli z wysoko uniesionymi i wyprężonymi ogonami. Wzory na ich skórze zmieniały się płynnie przy każdym ruchu, lecz mimo to można było dostrzec, że zwierzęta kierują się prosto w stronę wiaty.

Po chwili stanęły w wejściu, ich sylwetki zarysowały się wyraźnie w blasku księżyca. Przypominały niewielkie tyranozaury, miały tylko wyżej sklepione czaszki z małymi rogami na szczycie i zdecydowanie krótsze, jakby niedorozwinięte przednie kończyny. Pochyliły nisko szerokie łby i ciekawie zaglądały do środka. Parskały przy tym cicho i zaczęły śmielej wymachiwać ogonami na boki.

Thorne ocenił, że drapieżniki są zbyt duże na to, żeby przedostać się do środka; miał nadzieję, że nie będą próbowały forsować drzwi wiaty. Lecz już po paru sekundach pierwszy dinozaur pochylił się jeszcze niżej i ostrożnie wkroczył za ogrodzenie.

Thorne wcisnął się głębiej między zbiorniki i wstrzymał oddech. Panicznie próbował wymyślić jakiś sposób wyjścia z opresji, ale nic mu nie przychodziło do głowy. Zwierzęta działały metodycznie: kiedy pierwsze z nich znalazło się pod wiatą, odeszło nieco w bok, żeby przepuścić drugie.

Nagle od strony pawilonu rozbłysło kilka punktowych źródeł światła. Jaskrawe promienie zaczęły się przesuwać po ciałach dinozaurów: wędrowały w górę, w dół i na boki, niczym snopy reflektorów przeciwlotniczych po wiszących nisko chmurach.

Zwierzęta stały się doskonale widoczne i ta sytuacja wyraźnie im nie odpowiadała. Zaryczały niespokojnie i spróbowały się wycofać z zasięgu świateł, lecz te powędrowały w ślad za nimi, bez przerwy krzyżując się na ich cielskach. Kiedy jasny promień padał na skórę, ta szybko przyjmowała w tym miejscu kolor biały, ale światła przesuwały się o wiele szybciej od następujących zmian, co w efekcie dawało zdumiewający rezultat: dinozaury stawały się na przemian to całkiem białe, to znów prawie czarne, w związku z czym były wciąż doskonale widoczne.

Snopy świateł przesuwały się nieustannie, zastygając tylko na krótko, kiedy wyławiały z ciemności szerokie, krótkie pyski i wyłupiaste ślepia dinozaurów. Zwierzęta mrugały szybko, oślepione, przekrzywiając rogate łby. Wreszcie wycofały się pospiesznie i ruszyły w stronę dżungli, jakby napotkały

rój dzikich os.

Ale nie poddały się tak łatwo. Przystanęły kilka metrów od wiaty, obróciły się ponownie i zaryczały głośno w stronę ruchomych świateł.

Te jednak wciąż wyławiały je z ciemności, poruszając się nieustannie na wszystkie strony. Zwierzęta były coraz bardziej zaniepokojone. Ponownie zaryczały złowieszczo, robiąc krok w kierunku wrogich, podskakujących świateł, ale nie miały odwagi zaatakować. Wyraźnie wahały się przez chwilę, wreszcie zawróciły i odeszły w pośpiechu, odprowadzone jaskrawymi snopami z latarek aż do ogrodzenia kortu tenisowego.

Thorne ostrożnie wyszedł spomiędzy zbiorników.

– Doc? – usłyszał głos Sary Harding. – Lepiej wyjdź stamtąd, zanim zbiorą się na odwagę i wrócą tutaj.

Ruszył pospiesznie w kierunku źródeł światła. Z zaciekawieniem popatrzył na Sarę i Richarda, którzy trzymali po trzy latarki w każdym ręku i świecili w kierunku, w którym zniknęły dinozaury.

Cała trójka szybko wróciła do pawilonu.

Levine zatrzasnął drzwi, zasunął rygiel, oparł się plecami o ścianę i głęboko odetchnął z ulgą.

– Nigdy dotąd nie byłem aż tak przerażony.

– Weź się w garść, Richardzie – powiedziała stanowczym głosem Harding.

Podeszła do najbliższego kontuaru i położyła na nim latarki.

– To wyjście na zewnątrz było czystym szaleństwem – oznajmił Levine, ocierając czoło; całą koszulę miał mokrą od potu.

– Ale mój pomysł przyniósł pożądany skutek – odparła Sara, po czym zwróciła się do Thorne'a. – Moją uwagę przyciągnął okres refrakcji potrzebny do zadziałania chromatoforów w skórze zwierząt. Był dość krótki, mniej więcej taki jak u ośmiornicy, niemniej wyraźnie zauważalny. Doszłam więc do przekonania, że te dinozaury powinny się odznaczać podobnymi cechami co współczesne zwierzęta, które w znacznym stopniu polegają na swoich zdolnościach kamuflażu. A te zazwyczaj polują z zasadzki, nie są ani szczególnie zwinne, ani szybkie. Potrafią tkwić w bezruchu godzinami, wtopiwszy się w otoczenie, i czekać cierpliwie, aż jakaś ofiara zbliży się do nich nieostrożnie. Toteż konieczność ciągłego dostosowywania się do zmiennych warunków otoczenia musi je silnie niepokoić, gdyż przestają być niewidoczne. Robią się nerwowe. Sądziłam więc, że jeśli silnie je

zdenerwujemy, po prostu uciekną. I tak też się stało.

Levine z wyrazem wściekłości na twarzy odwrócił się do Thorne'a.

– To wszystko przez ciebie. Gdybyś nie wyszedł stąd i nie zaczął się wałęsać po ciemku...

– Richardzie! – przerwała mu ostro Sara. – Potrzebna nam benzyna, inaczej nie mamy szans się stąd wydostać. Czyżbyś nie chciał wrócić do domu?

Levine nie odpowiedział. Zrobił nadąsaną minę.

– No cóż – wtrącił Thorne – i tak nie znalazłem ani kropli benzyny...

– Hej! – zawołała Harding. – Popatrzcie, kogo tu mamy!

Arby podszedł do nich powoli, wsparty na ramieniu Kelly. Zdążył się przebrać w rzeczy, które znalazł w pawilonie – obszerne kąpielówki oraz bawełnianą koszulkę z napisem: „InGen, Laboratoria bioinżynieryjne", a poniżej: „Tworzymy przyszłość".

Jedno oko miał podbite, przez policzek ciągnęła się głęboka szrama, a na czole bielił się bandaż założony mu przez Harding. Całe nogi i ręce miał silnie podrapane, kroczył jednak o własnych siłach. Zdobył się nawet na lekki uśmiech.

– Jak się czujesz, synu? – zapytał Thorne.

– Czy wiecie, co w tej chwili najbardziej mi się marzy? – odpowiedział zagadkowo chłopak.

– Co?

– Dietetyczna coca-cola – rzekł Arby. – I drugie opakowanie aspiryny.

Sara pochyliła się nad Malcolmem, który leżał na wznak, gapił się w sufit i cicho nucił pod nosem.

– Co z Arbym? – zapytał.

– Nic mu nie będzie.

– A nie potrzebuje morfiny?

– Nie, raczej nie.

– To dobrze – oznajmił matematyk.

Wyciągnął rękę i zaczął podwijać rękaw koszuli.

Thorne usunął gniazdo z wnętrza kuchenki mikrofalowej, oczyścił ją i przygrzał kilka porcji gulaszu z konserw. Na zapleczu znalazł całe opakowanie turystycznych talerzyków pokrytych zdobieniami powiązanymi ze świętem Halloween – rysunkami nietoperzy i innych straszydeł. Porozkładał gulasz na talerze. Okazało się, że dzieci niemal umierają z głodu.

W drugiej kolejności zaniósł porcję Sarze, wreszcie zwrócił się do Levine'a:

– A ty? Nie chcesz jeść?

Richard ciągle stał przy oknie i wyglądał na zewnątrz.

– Nie – burknął.

Thorne wzruszył ramionami.

Po chwili podszedł do niego Arby i wyciągając talerz, zapytał:

– Czy mogę prosić o dokładkę?

– Oczywiście. – Thorne podał chłopakowi porcję, którą przygotował dla siebie.

Dopiero po pewnym czasie Levine oderwał się od okna i usiadł przy Malcolmie.

– No cóż – rzekł – w każdym razie jedno wiemy na pewno: ta wyspa to autentyczny zaginiony świat. Pierwotny, nieskażony ekosystem. Przynajmniej w tej kwestii mieliśmy rację od samego początku.

Matematyk otworzył szeroko oczy i uniósł głowę.

– Żartujesz?! – zapytał. – A co powiesz o tych padłych apatozaurach?

– Wiele się nad tym zastanawiałem. Nie ulega wątpliwości, że zostały zabite przez raptory, które później jakimś sposobem... – urwał nagle.

– No co? – wtrącił Malcolm. – Chcesz powiedzieć, że dociągnęły je do swego gniazda? Najmniejszy apatozaur waży jakieś pięćdziesiąt ton, Richardzie. Nawet setka raptorów nie zdołałaby ruszyć z miejsca takiego kolosa. To niemożliwe. – Westchnął głośno. – Padlina musiała przypłynąć z wezbranym nurtem rzeki i osiadła na dnie rozlewiska. Raptory po prostu zrobiły sobie gniazdo w pobliżu wygodnego źródła pożywienia.

– Niewykluczone...

– Ważniejsze jest pytanie: skąd się wzięło aż tyle zdechłych apatozaurów? Dlaczego żaden z zamieszkujących wyspę gatunków nie osiąga pełnej dojrzałości? I z jakiego powodu jest tu aż tak wielu drapieżników?

– Tak. Oczywiście do stworzenia pełnego obrazu potrzeba nam jeszcze danych...

– Nieprawda! – przerwał mu Malcolm. – Czyżbyś nie oglądał wnętrza laboratorium, Richardzie? Odpowiedź nasuwa się sama.

– Niby jaka? – burknął poirytowany Levine.

– Priony – rzucił matematyk, z powrotem zamykając oczy.

Richard zmarszczył brwi.

– Co to są priony?

Ale Malcolm tylko westchnął po raz kolejny.

– Ian! Co to są priony? – powtórzył głośniej Levine.

– Daj mi spokój – mruknął tamten i lekceważąco machnął ręką.

Arby zwinął się w kąciku, szybko ogarniała go senność. Thorne zrolował bawełnianą koszulkę i wsunął ją chłopakowi pod głowę. Ten wymamrotał jakieś słowa podziękowania i uśmiechnął się blado.

Po kilku sekundach zaczął cicho pochrapywać.

Thorne podniósł się i podszedł do stojącej przy oknie Sary. Niebo nad koronami drzew zaczynało się z wolna rozjaśniać, przybierało odcień granatu.

– Ile mamy jeszcze czasu? – zapytała Harding.

Doc spojrzał na zegarek.

– Mniej więcej godzinę.

Sara zaczęła niecierpliwie przestępować z nogi na nogę.

– Musimy jakoś zdobyć benzynę. Jeśli znajdziemy paliwo, zdołamy wszyscy dojechać jeepem na miejsce lądowania śmigłowców.

– Tyle że tu nie ma ani kropli benzyny.

– Jestem pewna, że gdzieś ukryto żelazną rezerwę. – Zrobiła parę kroków wzdłuż okna. – Sprawdzałeś wszystkie dystrybutory?

– Tak. Są puste.

– A we wnętrzu laboratorium?

– Nie sądzę, żeby tam trzymali paliwo.

– Więc gdzie? A może w waszej przyczepie?

Thorne pokręcił głową.

– Przyczepa nie ma napędu. Tylko zasadniczy furgon był wyposażony

w awaryjny generator elektryczny napędzany gazem z butli, ale roztrzaskał się na dnie przepaści.

– Może butle z gazem nie popękały podczas upadku. Nadal mamy sprawny motocykl. Mogłabym tam pojechać i sprawdzić…

– Daj spokój, Saro – mruknął z rezygnacją Thorne.

– Warto spróbować.

– Przestań.

Z drugiego końca pawilonu doleciał okrzyk Levine'a wyglądającego na zewnątrz:

– Głowy do góry! Mamy gości!

TROSKLIWA MATKA

W bladym świetle poranka ujrzeli stado dinozaurów wychodzących z dżungli i kierujących się prosto do jeepa. Było to sześć kaczodziobych, brązowych olbrzymów, sięgających pięciu metrów wysokości, o wydłużonych, zakrzywionych pyskach.

– Majazaury? – zdziwił się Levine. – Nawet nie wiedziałem, że i one żyją na tej wyspie.

– Co one wyprawiają?

Giganty zgromadziły się wokół samochodu i natychmiast zaczęły go dewastować. Jeden zamachnął się łbem i zdarł do końca brezentowy dach; drugi wsunął pysk pod spód i zaczął unosić pojazd do góry.

– Niczego nie rozumiem – rzekł Levine. – Przecież to hadrozaury, roślinożercy. Taka agresywność zupełnie do nich nie pasuje.

– Owszem – odparł Thorne.

W tej samej chwili jeep przewrócił się na bok. Jeden z olbrzymów podniósł wysoko tylną łapę i postawił ją na błotniku. Niemal połowa karoserii zapadła się od razu do środka.

Podczas upadku ze skrzyni na ziemię zsunęły się dwa duże pojemniki ze styropianu. Majazaury natychmiast się nimi zainteresowały. Zaczęły szarpać pyskami tworzywo i już po chwili ziemia wokół nich została upstrzona białymi odłamkami. Zdawały się działać nerwowo, jakby w pośpiechu.

– Czyżby było tam coś do jedzenia? – zastanawiał się głośno Levine. – Może jakiś przysmak dinozaurów?

Nagle pokrywa jednego z pojemników odskoczyła w bok i oczom ludzi ukazało się spoczywające w środku olbrzymie jajo o popękanej skorupce. Przez wybitą dziurę widać było fragment skóry pisklęcia. Majazaury zaczęły się natychmiast poruszać dużo wolniej, ostrożnie. Trąbiły donośnie i powarkiwały. Ich olbrzymie cielska przesłoniły widok styropianowego pojemnika.

Wkrótce z zewnątrz doleciały głośne, skrzekliwe piski.

– Oczom nie wierzę – mruknął Levine.

Niedługo potem na ziemi, między łapami olbrzymów, dało się zauważyć żywe pisklę. Było jasnobrązowe, prawie białe. Usiłowało stanąć na łapkach, lecz co i rusz się przewracało. Miało około trzydziestu centymetrów wysokości i pofałdowaną skórę na szyi. Kilka minut później zdumionym ludziom ukazało się drugie pisklę.

Harding westchnęła głośno.

Jeden z majazaurów pochylił nisko łeb ku ziemi, raz i drugi delikatnie trącił małe szeroko rozwartym kaczym dziobem. Kiedy zaś uniósł z powrotem głowę, pisklę siedziało wygodnie na jego długim, wysuniętym języku i ciekawie się rozglądało po okolicy.

Drugi malec został podniesiony w ten sam sposób. Olbrzymy jeszcze przez chwilę dreptały w miejscu, jakby nie mogły się zdecydować, czy nie mają tu jeszcze czegoś do zrobienia. Wreszcie, trąbiąc radośnie, pomaszerowały z powrotem w dżunglę.

Przed pawilonem został jedynie rozbity, zniszczony samochód.

– Wygląda na to, że nie musimy już szukać do niego paliwa – rzekł ironicznie Thorne.

– Niestety, masz rację – odparła Sara.

Thorne patrzył na wrak, z niedowierzaniem kręcąc głową.

– Wygląda gorzej niż po zderzeniu czołowym – oznajmił. – Jakby wypadł spod gigantycznej prasy. No cóż, nie był przystosowany do tak wielkiego obciążenia.

Levine parsknął pogardliwie.

– Na pewno żaden z konstruktorów nie podejrzewał, że na karoserii postawi nogę ważące pięć ton zwierzę.

– Wiesz co? Ciekaw jestem, jak by wyglądał po czymś takim nasz samochód.

– Chciałbyś się przekonać, ile wytrzymają dodatkowe wzmocnienia?

– Tak. Naprawdę zaprojektowaliśmy niezwykle odporną konstrukcję, przystosowaną do gigantycznych wręcz obciążeń. Przeprowadziliśmy wszelkie możliwe symulacje komputerowe, specjalnie dobraliśmy pręty ze spieków węglowych...

– Zaraz, chwileczkę – wtrąciła Harding, odwracając się od okna. – O czym wy mówicie?

– O naszym samochodzie – odparł Thorne.

– Jakim znowu samochodzie?

– O tym, którym przyjechaliśmy, explorerze.

– Jasne! – wykrzyknęła podniecona Harding. – Zupełnie o nim zapomnieliśmy! Przecież na wyspie jest jeszcze explorer!

– Niewiele będzie z niego pożytku – oznajmił Thorne. – Wczoraj wieczorem, kiedy wracałem do przyczepy, nastąpiło zwarcie. Wjechałem w głęboką kałużę i zalałem przetwornicę.

– Może jednak...

– Nic z tego – przerwał jej Doc, smętnie kręcąc głową. – Jeśli nastąpiło zwarcie, całą przetwornicę diabli wzięli. To wóz o napędzie elektrycznym, nie da się go tutaj naprawić.

– Dziwi mnie, że nie zastosowaliście przerywaczy obwodów.

– No cóż, nigdy dotąd nie musieliśmy ich stosować, chociaż w ostatnich modelach... – urwał nagle i po raz kolejny pokręcił głową. – Nie, to byłoby zbyt piękne.

– Czyżbyście jednak zastosowali przerywacze?

– Chyba tak. Wydaje mi się, że Eddie zamontował je w ostatniej chwili.

– Czyli że wóz powinien się dać uruchomić?

– Na to wygląda. Trzeba będzie tylko poprzestawiać wszystkie przerywacze.

– Gdzie on jest? – zapytała szybko Harding, ruszając w stronę motocykla.

– Zostawiłem go u wylotu bocznej drogi, która zbiega ze szczytu skarpy w dolinę, w to miejsce, gdzie stoi wieża obserwacyjna. Ale, Saro...

– To nasza jedyna szansa – ucięła krótko.

Nałożyła na głowę kask z wmontowaną krótkofalówką i przysunęła sobie do ust mikrofon. Pospiesznie wyprowadziła motocykl przed pawilon.

– Bądźcie na nasłuchu – zawołała od strony drzwi. – Mam zamiar odnaleźć ten samochód.

Levine i Thorne podeszli do okna. W świetle budzącego się poranka obserwowali, jak Harding wsiada na motocykl i szybko odjeżdża drogą prowadzącą na szczyt wzniesienia.

– Jak oceniasz jej szanse? – zapytał Levine, spoglądając na znikającą w gąszczu sylwetkę.

Thorne nie odpowiedział, tylko niezauważalnie pokręcił głową.

W głośniku zatrzeszczało.

– Doc?

Thorne błyskawicznie sięgnął po aparat.

– Słucham, Saro.

– Jestem już na grzbiecie nad doliną i... zdążyłam naliczyć ich sześć.

– Raptorów?

– Tak. One... Mniejsza z tym. Muszę znaleźć inną drogę. Widzę...

Z radia popłynęła seria trzasków.

– Saro?

Po chwili poprzez zakłócenia przedarł się głos Harding.

– ...chyba wydeptana przez zwierzęta... tędy... raczej powinnam...

– Saro?! – zawołał Thorne. – Bardzo źle cię słyszę!

Przez sekundę krótkofalówka czysto przekazywała ciche brzęczenie elektrycznego silnika motocykla, zaraz jednak ponownie rozległy się trzaski, trochę przypominające stłumiony ryk jakiegoś zwierzęcia. Doc pochylił się nisko, wreszcie przyłożył aparat do ucha. Ale w radiu coś głośno strzeliło i zapadła całkowita cisza.

– Saro? – zawołał do mikrofonu.

Nie było odpowiedzi.

– Może wyłączyła nadajnik? – podsunął Levine.

Thorne energicznie pokręcił głową.

– Saro?!

Nadal panowała cisza.

– Saro?! Słyszysz mnie?

Czekali w napięciu.

Harding nie odpowiadała.

– Cholera! – syknął Thorne.

Czas płynął nieubłaganie. Levine podszedł do okna i zaczął wyglądać

na zewnątrz. Kelly posapywała przez sen. Arby leżał obok Malcolma, spał jak zabity. Matematyk ciągle nucił coś pod nosem.

Thorne w końcu usiadł na podłodze i oparł się plecami o obudowę stanowiska kasowego. Co jakiś czas unosił krótkofalówkę i próbował wywołać Sarę, lecz ta nie odpowiadała. Przełączał radio na kolejne kanały i ponawiał próby, ciągle bez rezultatu.

Ostatecznie dał za wygraną.

Wreszcie w głośniku zatrzeszczało.

– ...szlag trafi te cholerne urządzenia. Nigdy nie działają prawidłowo. A na dodatek nie wiem, co się mogło zepsuć.

Levine błyskawicznie odwrócił się od okna.

Thorne chwycił krótkofalówkę.

– Saro?! Słyszysz mnie?

– No, wreszcie – padła odpowiedź. – Gdzieś ty się, do diabła, podziewał, Doc?

– Nic ci się nie stało?

– Nie, nic mi nie jest.

– Coś się dzieje z twoim nadajnikiem. Łączność została nagle przerwana.

– Tak? Co powinnam zrobić?

– Spróbuj docisnąć pokrywę na pojemniku z bateriami. Prawdopodobnie się poluzowała.

– Nie o to mi chodzi. Pytałam, co mam zrobić, żeby uruchomić samochód.

– Co? – zdziwił się Thorne.

– Rety. Jestem przy samochodzie, Doc. Dotarłam na miejsce. Co mam teraz zrobić?

Levine spojrzał na zegarek.

– Zostało jeszcze dwadzieścia minut do przylotu helikopterów – powiedział. – Zaczynam wierzyć, że jej się uda.

DODGSON

Dodgson obudził się zesztywniały i obolały, leżał na betonowej posadzce komórki. Podniósł się na nogi i wyjrzał przez okno. Po wschodniej stronie ciemnobłękitnego nieba ciągnął się pas intensywnej czerwieni. Otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz.

Bardzo chciało mu się pić, w dodatku bolały go wszystkie mięśnie. Ruszył powoli drogą, kryjąc się w cieniu drzew. W otaczającej go dżungli panowała niezwykła cisza. Postanowił najpierw znaleźć jakieś źródło wody pitnej, to wydawało mu się najważniejsze. Gdzieś z oddali, po lewej, dobiegał szmer strumienia. Lewis skręcił w las i przyspieszył kroku.

Spoglądał na skrawki nieba widoczne między koronami drzew, które szybko stawało się coraz jaśniejsze. Domyślał się, że Malcolm i reszta jego ekipy wciąż przebywają na wyspie. Musieli jakoś zaplanować powrót na kontynent, był zatem przekonany, że i on zdoła wrócić do domu.

Wspiął się na szczyt niewielkiego wzniesienia i popatrzył z góry na strumień płynący dnem wąwozu. Nie dostrzegł w pobliżu żadnych zwierząt. Ruszył więc biegiem, zastanawiając się, czy woda w strumieniu nie jest przypadkiem skażona. Stwierdził jednak, że w tej chwili mało go to obchodzi. Już nad samym brzegiem zahaczył nogą o pęd winorośli i runął na ziemię. Zaklął pod nosem.

Podnosząc się na nogi, spojrzał do tyłu i zauważył, że to wcale nie jest pęd winorośli.

Zaplątał się w ciemnozielony pasek, taki jak od plecaka.

Zawrócił, pociągnął go ostrożnie i z zarośli wysunął się niewielki chlebak. Był poszarpany i pokryty ciemnymi plamami zakrzepłej krwi, poprzez rozdarcie wysypało się na ziemię kilka przedmiotów. Dokoła kręcił się wielki rój much. Dodgson pospiesznie obejrzał zawartość chlebaka, na którą składała się kamera wideo, blaszane pudełko na kanapki oraz plastikowy bidon. Rozejrzał się między pobliskimi paprociami, ale nie znalazł niczego więcej oprócz kilku nadpsutych batoników, które gęsto obsiadły muchy.

Wypił wodę z bidonu i uświadomił sobie szybko, że jest bardzo głodny. Sięgnął po blaszane pudełko, mając nadzieję, iż wewnątrz znajdzie choćby jakieś resztki niezepsutej żywności. Otworzył je pospiesznie. Ale w pudełku nie było nic do jedzenia, znajdowało się tam prostopadłościenne opakowanie ze styropianu.

A w nim tkwiła krótkofalówka.

Uruchomił ją błyskawicznie, czerwona dioda rozbłysła jasno. Zaczął nerwowo przerzucać kolejne kanały, lecz z głośnika dolatywał jedynie cichy szum.

Niespodziewanie rozbrzmiał męski głos:

– Saro, tu Thorne. Odezwij się.

Po chwili kobieta odpowiedziała:

– Doc, słyszysz mnie? Nie rozumiesz? Jestem przy samochodzie!

Dodgson uśmiechnął się chytrze.

A więc na wyspie jest jeszcze jakiś samochód – pomyślał.

W pawilonie Thorne ciągle siedział na podłodze i trzymał radio przy twarzy.

– W porządku. Słuchaj uważnie, Saro. Wsiądź do samochodu i rób dokładnie to, co ci każę.

– Zrozumiałam. Ale najpierw mi powiedz, czy jest tam gdzieś Levine.

– Tak, stoi obok mnie.

Po chwili milczenia Harding rzekła:

– Zapytaj go, czy coś mi może grozić ze strony zielonych dinozaurów, mających jakieś sto dwadzieścia centymetrów wysokości i rogate czaszki wydłużone ku tyłowi.

Richard pokiwał głową.

– Powiedz jej, że tak. To pachycefalozaury.

– On twierdzi, że tak. To pachycefa... Jakoś tak. Lepiej zachowaj ostrożność. Dlaczego pytasz?

– Bo jest ich tu chyba z pięćdziesiąt. Kręcą się wokół samochodu.

EXPLORER

Wóz stał pośrodku zacienionego odcinka drogi, w górze korony drzew stykały się ze sobą. Utknął zaledwie parę metrów za obszernym zagłębieniem, które podczas wczorajszej burzy musiało być wypełnione wodą. Teraz pozostało tylko niewielkie błotniste bajoro, w którym siedziało kilkanaście jaszczurów. Inne baraszkowały na brzegach, piły wodę, chlapały się w błocie i tarzały po trawie. Sara już od kilku minut obserwowała całe stado hełmiastogłowych dinozaurów, zastanawiając się, jak postąpić. Zwierzęta bowiem nie tylko taplały się w kałuży, ale siedziały również na drodze,

zarówno przed maską samochodu, jak i po jego bokach.

Z niepokojem przyglądała się pachycefalozaurom. Co prawda wiele lat poświęciła obserwowaniu zwierząt w ich naturalnym środowisku, ale tamte drapieżniki znała aż za dobrze. Wiedziała z doświadczenia, na ile może się do nich zbliżyć i w jakich okolicznościach jest to bezpieczne. Gdyby miała do czynienia ze stadem amerykańskich bizonów, zachowałaby największą ostrożność, lecz podeszłaby do samochodu, starając się tylko nie wykonywać gwałtownych ruchów. Gdyby zaś były to afrykańskie bawoły, za nic w świecie nie uczyniłaby nawet jednego kroku.

Ponownie przysunęła sobie mikrofon do ust i zapytała:

– Ile czasu nam zostało?

– Dwadzieścia minut.

– W takim razie muszę się pospieszyć. Macie jakiś pomysł?

Przez chwilę w słuchawkach rozlegały się wyłącznie ciche trzaski.

– Levine twierdzi, że nikt nie wie niczego konkretnego o tych zwierzętach.

– Bomba.

– Mówi, że do tej pory nie znaleziono ani jednego kompletnego szkieletu. Trudno zatem snuć jakiekolwiek domysły na temat ich obyczajów, choć prawdopodobnie mogą się okazać agresywne.

– Jeszcze lepiej.

Harding obrzuciła uważnym spojrzeniem samochód, zagłębienie terenu i stykające się ze sobą korony drzew w górze. Był to cichy, spokojny i ocieniony zakątek, pewnie dlatego dinozaury się tu zgromadziły.

Ponownie odezwał się Thorne:

– Levine radzi, żebyś spróbowała ostrożnie się do nich zbliżyć, uważając, aby nie wzbudzić wśród nich popłochu. Unikaj gwałtowniejszych ruchów i gestów.

Sara patrzyła na zwierzęta, a w jej myślach powracało natrętne pytanie: do czego mogą im służyć te wydłużone ku tyłowi czaszki?

– Dziękuję, ale nie skorzystam – odrzekła po chwili. – Spróbuję innej metody.

– Jakiej?

W pawilonie Richard zapytał szybko:

– Co ona powiedziała?

– Że chce spróbować jakiejś innej metody.

– Jakiej?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, Levine podszedł z powrotem do okna i wyjrzał na jaśniejące niebo. Zmarszczył brwi. Przyszło mu do głowy, że musi mieć to jakieś konsekwencje. Wyjaśnienie zagadki tkwiło gdzieś na krawędzi świadomości, ale nie potrafił go sformułować.

Miało to coś wspólnego ze światłem dziennym…

I terytorium.

Obszarem bronionym przez poszczególne gatunki drapieżników.

Zapatrzył się na pogodne niebo, usiłując zebrać myśli. Co mógł dla nich oznaczać fakt, że wstawał dzień? Wreszcie porzucił te rozważania i pokręcił głową.

– Ile czasu zajmie jej ustawienie przerywaczy? – spytał.

– Minutę, może dwie – odparł Thorne.

– W takim razie może jeszcze zdążymy.

Z głośnika krótkofalówki ponownie płynął tylko szum, wreszcie rozległ się głos Sary:

– W porządku. Jestem już nad samochodem.

– Gdzie?

– Nad samochodem – powtórzyła. – Na gałęzi drzewa.

Harding powoli się przesuwała w kierunku dachu samochodu. Cienka gałąź stopniowo wyginała się coraz silniej pod jej ciężarem, ale była mocna i sprężysta. Dach explorera znajdował się jakieś trzy metry w dole. Niektóre dinozaury zadzierały głowy i spoglądały na nią ciekawie, lecz nie okazywały niepokoju. Te, które chlapały się w błocie, kolejno wychodziły na drogę, ustępując miejsca innym. Sara z uwagą je obserwowała, wypatrując jakichkolwiek oznak popłochu.

Przesunęła się jeszcze bardziej ku końcowi gałęzi, dosyć śliskiej po wieczornej ulewie. Miała nadzieję, że zdoła tą metodą bezpiecznie dostać się na dach samochodu. Na razie wszystko szło jak po maśle.

Niespodziewanie jedno ze zwierząt skoczyło wysoko i uderzyło rogatym łbem w gałąź, na której wisiała. Siła tego uderzenia była zdumiewająco duża, wstrząsnęła całym drzewem. Gałąź zakołysała się niebezpiecznie w górę i w dół. Sara zacisnęła kurczowo palce.

O cholera, przemknęło jej przez myśl.

Sprężysty konar wypchnął ją wysoko w powietrze, a kiedy opadała, mokra kora wyśliznęła jej się spod palców. W ułamku sekundy uzmysłowiła sobie, że spadnie obok samochodu. Huknęła o ziemię i straciła równowagę na błotnistym gruncie.

Upadła prosto między zaciekawione dinozaury.

Radio przekazało serię głośnych trzasków.

– Saro?! – zawołał Thorne.

Nie było odpowiedzi.

– Co ona tam robi? – zapytał Levine, chodząc nerwowo wzdłuż okna. – Dobrze byłoby zobaczyć, co się dzieje na drodze.

W kącie sali Kelly podniosła się na nogi, przecierając zaspane oczy.

– Dlaczego nie skorzystacie z sieci kamer wideo? – wtrąciła.

– Jakiej sieci wideo? – zainteresował się Thorne.

Dziewczyna wskazała stanowisko kasowe, przy którym siedział.

– Przecież to musi być terminal komputerowy.

– Skąd wiesz?

– No... Tak mi się wydaje.

Kelly ziewnęła szeroko i usiadła przed monitorem. Dołączona klawiatura oraz myszka nasuwały przypuszczenie, że naprawdę jest to terminal miejscowej sieci, choć zapewne mógł mieć ograniczony dostęp do zasobów centralnego komputera. Włączyła urządzenie, ale nic się nie zadziało. Kilkakrotnie strzeliła włącznikiem, lecz bez rezultatu.

Wyczuła pod nogami jakieś przewody i zajrzała pod pulpit. Wtyczka zasilania była wyciągnięta z gniazdka. Kelly wetknęła ją na miejsce, a kiedy uniosła głowę, na ekranie widniał świecący na zielono napis:

LOGIN:

Domyśliła się, że musi podać kod dostępu do systemu. Pamiętała, że Arby zdobył swoje hasło, obejrzała się więc na śpiącego chłopaka. Nie chciała go jednak budzić. Przypomniała sobie, że zapisał kod na skrawku papieru i schował go do kieszeni, być może nadal tam był. Przeszła w koniec sali, znalazła stertę przemoczonych i zabłoconych ubrań Arby'ego, po czym zaczęła

szukać w kieszeniach. Wyjęła portfelik chłopaka, klucze od domu i garść innych drobiazgów. W końcu znalazła interesującą ją kartkę w tylnej kieszeni spodni. Była przemoczona i uwalana błotem, litery się rozmyły, ale można je było jeszcze odczytać:

VIG/&*849/

Z kartką w dłoni wróciła do komputera, uważnie wystukała na klawiaturze kolejne symbole i nacisnęła Enter. Ekran ściemniał, a po chwili ukazała się na nim firmowa winietka. Kelly popatrzyła na nią ze zdumieniem. Ekran wyglądał zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy Arby połączył się z tutejszą siecią za pośrednictwem komputera w furgonie:

InGen, Sieć komputerowa stanowiska B.

A więc zdołała się połączyć z systemem, chociaż tutaj wyglądało to inaczej. Może dlatego, że nie komunikuję się za pośrednictwem fal radiowych – pomyślała. Wyglądało jednak na to, że zyskała dostęp do całej sieci. Prawdopodobnie rozbudowana strona graficzna możliwa była dzięki temu, że dane z jednostki centralnej płynęły kablem. Niewykluczone, że zastosowano nawet światłowody.

Z drugiego końca pawilonu Levine zapytał głośno:

– Kelly, masz coś?

– Pracuję nad tym – odparła.

Bez namysłu ponownie nacisnęła Enter i pod winietką ukazały się trzy rzędy ikon.

Natychmiast pojęła, że dostęp do systemu został wyposażony w interfejs graficzny, nie rozumiała jednak znaczenia poszczególnych symboli, a te nie były w żaden sposób opisane. Prawdopodobnie ludzie, którzy na co dzień korzystali z sieci komputerowej, musieli na wstępie przejść jakieś szkolenie dotyczące obsługi systemu. Ona zaś musiała zgadywać. Chciała się połączyć z siecią kamer rozmieszczonych na wyspie, ale żadna z dwunastu ikon nie kojarzyła jej się z obrazami wideo.

Przez chwilę dziewczyna przesuwała kursor po ekranie, wreszcie postanowiła spróbować na chybił trafił. Nakierowała strzałkę na romb z czterema białymi kółkami znajdujący się w lewym dolnym rogu ekranu i nacisnęła klawisz myszki:

InGen, Kontrola odpadów biologicznych.

– O kurczę... – mruknęła Kelly.

Levine obejrzał się w jej stronę.

– Coś nie w porządku?

– Nie, wszystko gra.

Pospiesznie kliknęła myszką w nagłówku i wróciła do poprzedniego ekranu. Tym razem postanowiła wypróbować jedną z ikon w kształcie trójkąta.

Na ekranie pojawiła się jeszcze inna plansza:

InGen, Wizualna sieć zabezpieczenia.

Chyba o to chodziło – pomyślała. Nacisnęła Enter i natychmiast na ekranie pojawiła się szachownica obrazów przekazywanych przez kamery rozmieszczone na wyspie. Na tym niewielkim monitorze terminalu sklepowego poszczególne widoki były maleńkie, lecz Kelly znajdowała się już na znajomym gruncie. Pospiesznie zaczęła przesuwać kursor i porządkować obraz.

– Co chcecie zobaczyć? – spytała.

– Explorera – odparł Thorne.

Dziewczyna zaczęła kolejno przerzucać powiększone ujęcia.

– Mam go! – zawołała po chwili.

– Naprawdę? – zdziwił się Levine.

Kelly spojrzała na niego z ukosa.

– Tak, naprawdę.

Obaj mężczyźni podeszli bliżej i popatrzyli na ekran monitora. Widać na nim było explorera stojącego pośrodku ocienionej drogi. Wokół auta kręciły się dziesiątki pachycefalozaurów. Zwierzęta skubały pyskami przedni zderzak i opony kół.

Nigdzie jednak nie mogli dojrzeć Sary.

– Gdzie ona się podziała? – mruknął Thorne.

Harding leżała rozpłaszczona pod samochodem, wciskając twarz w błotnisty grunt. Po upadku z drzewa podjęła błyskawiczną decyzję i wykorzystała jedyną dostępną kryjówkę, ale mogła z niej tylko bezczynnie obserwować krążące wokół explorera podniecone zwierzęta. Odezwała się do mikrofonu:

– Doc? Słyszysz mnie? Jesteś tam, Doc?

Ale krótkofalówka znowu nie działała. Pachycefalozaury dreptały wzdłuż samochodu, parskały głośno i pochylały łby, próbując jej dosięgnąć.

Sara przypomniała sobie nagle, że poprzednio Thorne radził jej docisnąć pokrywę pojemnika na baterie. Sięgnęła do kasku i wymacała pojemnik na tyle głowy. Szybkim ruchem docisnęła pokrywę.

Od razu w słuchawkach pojawił się szum statyczny.

– Doc? – zawołała.

– Gdzie jesteś? – odpowiedział natychmiast Thorne.

– Pod samochodem.

– Dlaczego? Próbowałaś go już uruchomić?

– Jak miałabym to zrobić?

– Normalnie, jak z każdym innym autem. Próbowałaś?

– Nie. Spadłam z drzewa, nie miałam czasu, żeby czegokolwiek spróbować.

– No cóż, ale skoro już jesteś pod spodem, to może od razu ustaw przerywacze.

– To one znajdują się pod spodem?

– Przynajmniej tam powinny być. Rozejrzyj się między przednimi kołami.

Harding obróciła się na wznak i obrzuciła wzrokiem podwozie.

– Gdzie mam ich szukać?

– Za przednim zderzakiem, pośrodku musi być niewielka skrzynka. Może trochę bliżej lewego koła.

– Widzę ją.

– Dasz radę zdjąć pokrywę?

– Chyba tak.

Sara przysunęła się bliżej, nacisnęła wystający języczek i osłona odchyliła się na zawiasach. W środku były trzy duże czarne przełączniki.

– Są tu trzy przełączniki, wszystkie ustawione w takiej samej pozycji, do góry.

– Do góry?

– To znaczy w kierunku czoła samochodu.

– Na pewno? Coś mi się nie zgadza. Możesz odczytać wybite oznaczenia?

– Tak. Od tyłu jest napisane „15 VV", a od przodu „02 R".

– W porządku, to wszystko wyjaśnia.

– Jak?

– Po prostu skrzynka została zamontowana odwrotnie. Ustaw te przełączniki w przeciwnym położeniu. Masz suche ręce?

– Nie, Doc. Jestem cała mokra, leżę w kałuży błota.

– To może zrób to przez rękaw koszuli.

Harding przesunęła się jeszcze bliżej zderzaka. Stojące po tej stronie zwierzęta zaczęły gwałtowniej dziobać samochód. Niektóre nawet kładły się na ziemi i wykręcały łby, usiłując jej dosięgnąć.

– Fuj. Strasznie im cuchnie z pysków – mruknęła.

– Nie rozumiem. Powtórz.

– Mniejsza z tym. – Pospiesznie ustawiła trzy przełączniki i z przedziału silnikowego tuż ponad nią doleciał cichy szum. – W porządku, zrobiłam to. W silniku coś zaczęło szumieć.

– To dobry znak – oznajmił Thorne.

– I co teraz?

– Nic. Na razie musisz zaczekać.

Sara rozejrzała się na boki, lecz w prześwicie nadal było widać gąszcz łap pachycefalozaurów.

– Ile czasu nam zostało? – spytała.

– Około dziesięciu minut.

– Wygląda na to, Doc, że utknęłam tu na dobre.

– Wiem.

Patrzyła uważnie na zwierzęta, lecz te z każdą minutą sprawiały wrażenie coraz bardziej podnieconych, poruszały się szybciej. Przy wtórze głośnego mlaskania dreptały po błocie i powarkiwały z przejęciem. Zaczęła się zastanawiać, jaka może być przyczyna tej dziwnej ekscytacji dinozaurów, kiedy nagle ich zachowanie uległo zmianie. Całe stado zgromadziło się przed maską samochodu i po paru sekundach zwierzęta szybko pobiegły drogą. Sara wykręciła głowę i patrzyła za nimi, dopóki ostatni pachycefalozaur nie zniknął za wzniesieniem.

Dokoła zapadła cisza.

– Doc? – odezwała się do mikrofonu.

– Słucham.

– Dlaczego uciekły?

– Zostań pod samochodem – nakazał Thorne.

– Dlaczego?

– I nic nie mów.

W słuchawkach trzasnęło, połączenie zostało przerwane.

Harding leżała w błocie, nie mogąc zrozumieć, co się stało. W głosie Thorne'a słychać było wyraźne zaniepokojenie. Nie umiała sobie tego wytłumaczyć. Ku swemu zdumieniu usłyszała ciche szuranie i po chwili przy drzwiach samochodu zauważyła czyjeś nogi.

W ciężkich, terenowych, zabłoconych butach.

Z pewnością męskich.

Zmarszczyła brwi. Dość szybko je rozpoznała; pamiętała te buty, podobnie jak drelichowe spodnie koloru khaki, których zabłocone końce nogawek także miała przed oczyma.

Były to buty Dodgsona.

Buty obróciły się w kierunku auta, szczęknął zamek otwieranych drzwi.

Dodgson miał zamiar usiąść za kierownicą!

Harding zadziałała odruchowo, bez chwili namysłu. Jęknąwszy z rozpaczy, obróciła się błyskawicznie, oburącz chwyciła mężczyznę za kostki nóg i pociągnęła silnie do siebie. Zaskoczony Dodgson krzyknął głośno i runął plecami na ziemię. Przekręcił się jednak szybko i z grymasem wściekłości na twarzy popatrzył w tę stronę.

Na jej widok uniósł wysoko brwi.

– O cholera! – jęknął. – A ja myślałem, że pozbyłem się ciebie ostatecznie na morzu.

Sara, poczerwieniała z wściekłości, zaczęła się wyczołgiwać spod samochodu. Ujrzawszy to, Dodgson poderwał się i uklęknął, ale w tym samym momencie oboje poczuli silnie dygotanie gruntu. Harding natychmiast pojęła, co to oznacza. Dostrzegła, że Dodgson lękliwie spogląda przez ramię, a następnie błyskawicznie rozpłaszcza się na ziemi. Zaczął się wczołgiwać pod spód, brutalnie spychając ją na bok.

Harding obróciła się ponownie wzdłuż osi samochodu. Od razu spostrzegła zbliżającego się drogą tyranozaura. Ziemia dygotała przy każdym stąpnięciu olbrzyma. Dodgson wpychał się coraz głębiej i przytulał do niej, lecz Sara nie zwracała na to uwagi. Obserwowała gigantyczne łapy zwierzęcia, które dotarło właśnie do kałuży w zagłębieniu terenu – rozchlapane błoto trysnęło daleko na wszystkie strony. Trójpalczasta łapa miała metr długości. Rozległo się też ciche porykiwanie drapieżnika.

Zerknęła na Dodgsona, który miał oczy rozszerzone z przerażenia. Tyranozaur zatrzymał się przy samochodzie. Gigantyczna łapa obróciła się

do nich przodem. Gdzieś z góry doleciało głośne parskanie i fukanie. Po chwili, przy wtórze kolejnego ryku, olbrzym pochylił łeb ku ziemi, jego szczęka spoczęła w błocie. Sara nie mogła dostrzec oczu zwierzęcia, widziała jedynie dolną część wielkiej paszczy. Tyranozaur raz i drugi wciągnął powietrze w nozdrza.

Musiał wyczuć zapach ludzi.

Leżący obok niej Dodgson zaczął dygotać ze strachu. Ale Sara była dziwnie spokojna. Błyskawicznie podjęła decyzję. Szybko przekręciła się na wznak i podciągnęła w stronę tylnego zderzaka, zapierając się ramieniem o koło explorera. Dodgson wykręcił głowę, żeby zobaczyć, co ona wyprawia, lecz w tej samej chwili Harding kopnęła go z całej siły w kolana, wypychając jego stopy spod pojazdu.

Przerażony mężczyzna usiłował ją złapać za nogi, lecz Sara wierzgnęła raz i drugi, po czym kopnęła go w biodro. Zapierając się o koło, była w znacznie lepszej sytuacji. Mimo jego wysiłków zabłocone buty wyłoniły się na światło dzienne. Harding aż postękiwała z wysiłku, ale nie ustawała. Stopniowo wypchnęła Dodgsona spod samochodu aż do połowy.

– Co ty wyprawiasz, do cholery?! – wrzasnął histerycznie.

Tyranozaur zaryczał głośniej. Sara dostrzegła, że jego wielka łapa przesuwa się ku przodowi auta.

– Przestań! – zawył mężczyzna. – Czyś ty zwariowała?! Przestań!

Ale Harding nie zamierzała go słuchać. Zdołała oprzeć stopę na jego ramieniu i po raz kolejny pchnęła z całej siły. Dodgson ponownie usiłował ją złapać za nogi, lecz nagle wysunął się lekko spod auta. Sara przekrzywiła głowę i dostrzegła, że drapieżnikowi udało się chwycić zębami nogi człowieka. Zaraz też do końca wyciągnął Dodgsona spod explorera.

W ostatniej chwili mężczyzna zdołał chwycić jej but i pociągnął za sobą, lecz Harding wycelowała drugą nogą prosto w jego głowę i kopnęła mocno. Rozluźnił uchwyt. Tyranozaur odciągnął go kilka metrów po błocie.

Sara dostrzegła jego pobielałą twarz, wykrzywioną w grymasie przerażenia, i szeroko otwarte usta. Ale nie wydobył się z nich nawet cichy jęk. Zakrzywione kurczowo palce Dodgsona zostawiły na rozmokłym gruncie długie ślady. Nagle mężczyzna został pociągnięty jeszcze dalej. Panowała zdumiewająca cisza. Obrócił się nagle na wznak i spojrzał w górę. Na ziemi widniał wielki cień stojącego nad nim tyranozaura. Po chwili Sara dostrzegła tępo zakończony pysk i szeroko rozwartą paszczę. Dodgson zaczął wrzeszczeć dopiero wtedy, kiedy zęby drapieżnika zacisnęły się na jego ciele. Zaraz jednak umilkł. Został podniesiony z ziemi.

Ku swemu zdumieniu w pełni świadomie zauważył, że jest podnoszony. Błyskawicznie znalazł się na wysokości sześciu metrów nad drogą. Znowu zaczął histerycznie wrzeszczeć. Zdawał sobie sprawę, że w każdej chwili olbrzym może zacisnąć szczęki, co dla niego oznacza nieuchronną śmierć. Lecz tyranozaur trzymał go ostrożnie. Dodgson czuł ostre zęby wbijające się w jego ciało, ale nic poza tym.

Poczuł nagle, że jest unoszony w głąb dżungli. Cienkie gałązki drzew chłostały go po twarzy. Gorący oddech zwierzęcia spadał na niego niczym porywy wiatru. Ślina tyranozaura ściekała po jego ubraniu. Dodgsonowi zdawało się, że za moment zemdleje ze strachu.

Ale wybawcza śmierć ciągle nie nadchodziła.

W pawilonie handlowym wszyscy z przerażeniem wbijali wzrok w ekran maleńkiego monitora, patrząc na tyranozaura oddalającego się z Dodgsonem w paszczy. Przez radio słyszeli jego stopniowo cichnący, histeryczny wrzask.

– Widzieliście? – szepnął Malcolm. – Jest jeszcze sprawiedliwość na tym świecie.

Levine stał ze zmarszczonym czołem.

– Dlaczego rex nie zabił go na miejscu? – rzekł, wskazując na ekran. – Spójrzcie, nadal porusza rękoma i nogami. Po co tyranozaur zabrał go żywego?

Sara odczekała cierpliwie, aż umilkną krzyki Dodgsona, a następnie wyczołgała się spod samochodu i stanęła na nogach. Pospiesznie otworzyła drzwi auta i usiadła za kierownicą. Kluczyki tkwiły w stacyjce. Chwyciła je roztrzęsionymi, zabłoconymi palcami i przekręciła.

Pod maską coś zaterkotało krótko i rozległ się ledwie słyszalny szum. Lampki kontrolne na desce rozdzielczej zamigotały. Szybko jednak wszystko ucichło i zapadła cisza. Czyżby jednak był zepsuty? – przemknęło jej przez myśl. Zakręciła kierownicą, lecz ta obracała się bez większego oporu. Harding

włączyła bieg i ostrożnie nacisnęła pedał akceleratora. Pojawił się cichy szum, autem lekko szarpnęło.

– Doc? – odezwała się do mikrofonu.

– Tak, słucham cię, Saro.

– Samochód działa normalnie. Wracam do was.

– W porządku – odparł Thorne. – Tylko się pospiesz.

Zwolniła sprzęgło i explorer potoczył się błotnistą drogą. Jechał prawie bezgłośnie, dlatego też Harding bez trudu złowiła dobiegający z zewnątrz, odległy terkot śmigłowca.

ŚWIATŁO DNIA

Jechała wąską, ocienioną drogą w kierunku osiedla, wsłuchując się w narastający z sekundy na sekundę odgłos nadlatującego helikoptera. Wkrótce maszyna przemknęła ponad nią, niewidoczna za zwartą pokrywą listowia. Sara opuściła szybę i zaczęła uważnie nasłuchiwać. Terkot oddalał się w kierunku południowym, na prawo od krętej drogi.

W głośniku krótkofalówki rozległ się trzask.

– Saro?

– Słucham, Doc.

– Nie możemy się skontaktować z pilotem śmigłowca.

– Rozumiem. – Natychmiast stało się dla niej oczywiste, co powinna zrobić w tej sytuacji. – Gdzie znajduje się lądowisko?

– Na południe, jakieś dwa kilometry od ciebie. Jest tam rozległa polana. Skręć w główną drogę biegnącą szczytem grani.

Harding wyjechała na górę i ujrzała przed sobą rozjazd. Zwolniła nieco i skręciła ostro w prawo.

– W porządku. Jadę tam.

– Przekaż pilotowi, żeby zaczekał – odpowiedział Thorne – a potem jak najszybciej wracaj po nas.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

– Tak, u nas w porządku.

Starała się jak najszybciej pokonywać zakręty, nasłuchując terkotu śmigłowca. Ten stał się głośniejszy, co oznaczało zapewne, że maszyna ląduje na polanie. Wkrótce ścichł ponownie, ale nie umilkł; widocznie pilot

postanowił nie gasić silnika.

Droga skręcała na lewo, dolatujący zza szczytu wzniesienia terkot maszyny był przez parę sekund ledwie słyszalny. Harding dodała jeszcze gazu, wspinając się krętą drogą na krawędź pochyłości. Ocieniony teren był jeszcze wilgotny po wczorajszym deszczu, za explorerem nie podnosiła się chmura kurzu – nie było żadnego sposobu, aby zasygnalizować z daleka, że pędzi w kierunku lądowiska.

– Doc, jak długo oni mogą na nas czekać?

– Nie wiem – odparł przez radio Thorne. – Widzisz już helikopter?

– Jeszcze nie.

Levine wyglądał przez okno, obserwował błękit nieba widoczny między koronami drzew. Czerwona smuga po wschodniej stronie zniknęła już dawno temu, bezchmurne niebo miało odcień jasnoniebieski. Słońce musiało już stać nad horyzontem.

Światło dnia...

Nagle zrozumiał znaczenie tego faktu. Przeszył go dreszcz grozy. Podszedł szybko do okna po przeciwnej stronie pawilonu i wyjrzał ciekawie na kort tenisowy. Dokładnie zidentyfikował to miejsce, gdzie w ciągu nocy pojawiły się dwa karnotaury. Teraz zwierząt tam nie było.

I to właśnie wzbudzało w nim lęk.

– Kiepsko – mruknął.

– Dlaczego? Przecież dopiero co minęła siódma – rzekł Thorne, spoglądając na zegarek.

– Ile czasu jej to zajmie? – spytał Levine.

– Trudno powiedzieć. Trzy, może cztery minuty.

– A powrót tutaj?

– Dalsze pięć minut.

– Mam nadzieję, że nic się wydarzy do tego czasu. – Levine pokręcił głową.

– Czego się obawiasz? Tutaj chyba nic nam nie grozi.

– Na razie. Ale słońce już stoi nad horyzontem.

– I co z tego? – zdziwił się Thorne.

Z głośnika krótkofalówki doleciał okrzyk:

– Doc! Widzę go! Widzę już helikopter!

Sara wypadła zza ostatniego zakrętu i dostrzegła na lewo od drogi rozległą polanę lądowiska. Śmigłowiec stał pośrodku, wirnik się obracał. Zauważyła wąską dróżkę, która biegła w dół przez dżunglę i wychodziła na trawiastą polanę. Nie zastanawiając się wiele, skręciła w nią, musiała jednak prowadzić explorera zakosami po stromiźnie zbocza. Ponownie znalazła się pod szczelną powłoką listowia drzew. Wreszcie teren stał się mniej stromy. Nie zwalniając, przejechała przez wąski strumień i pognała dalej w kierunku lądowiska.

Widziała już polanę oświetloną padającymi ukośnie promieniami słońca, wkrótce dostrzegła też helikopter. Z przerażeniem zauważyła, że wirnik zaczyna się obracać coraz szybciej: pilot miał zamiar wystartować! Widziała już nawet sylwetkę człowieka siedzącego za sterami, mającego na głowie hełm z ciemną, przeciwsłoneczną osłoną przed oczyma. Kostarykanin spojrzał na zegarek, pokręcił głową do drugiego mężczyzny siedzącego w kabinie, po czym pchnął drążek do przodu.

Sara wcisnęła pedał akceleratora do podłogi i nacisnęła klakson. Zdawała sobie jednak sprawę, że tamci nie mogą usłyszeć trąbienia. Tyłem explorera zarzuciło na śliskim podłożu.

– Co się dzieje? – zapytał przez radio Thorne. – Saro! Co tam się dzieje?

Harding wytknęła głowę przez okno i zaczęła krzyczeć:

– Stój! Zaczekaj!

Ale śmigłowiec szybko wzniósł się w powietrze i błyskawicznie zniknął jej z oczu. Terkot wirnika zaczął powoli cichnąć. Kiedy samochód wypadł na polanę, Sara zdołała jedynie dostrzec na tle błękitnego nieba sylwetkę oddalającej się szybko maszyny, która zaraz zniknęła za krawędzią obrzeża wyspy.

Zahamowała gwałtownie.

– Zachowajmy spokój – obwieścił Levine, krążąc nerwowo po wnętrzu pawilonu. – Przekaż jej, żeby wracała tu jak najszybciej. Jeszcze nie ma powodu do paniki.

Wydawało się, że w znacznym stopniu Levine przemawia do siebie.

Podszedł do ściany, huknął pięścią obok regału, po czym zawrócił i podreptał w drugą stronę. Miał skwaszoną minę i ciągle kręcił głową.

– Powiedz jej, żeby się pospieszyła. Naprawdę sądzisz, że zdoła tu dojechać w ciągu pięciu minut?

– Tak – odparł spokojnie Thorne. – O co chodzi? Co cię gryzie, Richardzie?

Levine wskazał za okno.

– Światło dzienne – mruknął zagadkowo. – Zostaliśmy tu uwięzieni przez światło dzienne.

– Byliśmy tak samo uwięzieni po ciemku. Nic się nie zmieniło.

– Owszem, nastał dzień.

– I co z tego?

– Nocą przebywaliśmy na terytorium karnotaurów, pozostałe zwierzęta bały się przekroczyć jego granice. Sam przyznasz, że po zmroku nie widziałeś w tej okolicy żadnych innych dinozaurów. Ale teraz, przy świetle dziennym, karnotaury nie mogą się już kryć w ciemnościach, na pewno nie wyjdą na otwartą przestrzeń. Musiały się gdzieś ukryć. A w takim razie za dnia to już nie jest ich terytorium.

– Co z tego wynika?

Levine spojrzał na Kelly siedzącą przy komputerze. Wyraźnie się wahał. Zaraz jednak odparł:

– Możecie mi wierzyć na słowo. Musimy jak najszybciej się stąd wynosić.

– Dokąd?

Kelly z uwagą wsłuchiwała się w tę wymianę zdań. Obracała w palcach skrawek papieru z wypisanym przez Arby'ego hasłem dostępu do sieci i czuła narastający niepokój. Główną przyczyną jej lęku był sposób, w jaki wyrażał się Levine. Bardzo pragnęła, żeby Sara Harding wróciła już do pawilonu.

Wolała nie myśleć o sytuacji, w jakiej się znaleźli. Trzymała się dzielnie i była pełna optymizmu do czasu, kiedy śmigłowiec wystartował z polany. Wiedziała, że perspektywa szybkiego powrotu stała się nierealna. Zwróciła uwagę na to, że żaden z mężczyzn nie powiedział nawet słowa na temat ewentualności powrotu helikoptera; być może mieli jakiś rezerwowy plan na tę okoliczność.

Ale później doktor Levine zaczął powtarzać, że powinni się jak najszybciej stąd wynieść, kiedy zaś Thorne zapytał, dokąd mieliby stąd iść,

tamten odparł wprost:

– Wolałbym natychmiast opuścić tę wyspę, ale w obecnej sytuacji nie widzę takiej możliwości. Proponuję więc, abyśmy wszyscy wrócili do przyczepy. Teraz to chyba najbezpieczniejsze schronienie.

Wspomnienie o przyczepie sprawiło, że z pamięci Kelly wypłynęły przeżycia ostatniej nocy, kiedy to razem z Sarą pojechały motocyklem, aby zabrać stamtąd doktora Malcolma. Za nic w świecie nie chciała teraz wracać do przyczepy.

Pragnęła się znaleźć z powrotem w domu.

Podświadomie ułożyła wymiętą kartkę na brzegu kontuaru i zaczęła wodzić paznokciem wzdłuż krawędzi złożenia. Levine stanął obok niej i rzekł ostro:

– Nie pora na głupstwa. Spróbuj namierzyć Sarę.

– Ja chcę do domu – szepnęła.

Levine westchnął głośno.

– Wiem o tym, Kelly. My także chcielibyśmy wrócić do domu.

Odwrócił się na pięcie i poszedł szybko w stronę okna.

Dziewczyna w zamyśleniu obróciła kartkę napisem do dołu i wsunęła jej brzeg pod klawiaturę – chciała ją zostawić pod ręką na wypadek, gdyby ponownie musiała wpisać hasło dostępu do sieci. W tej samej chwili zauważyła, że jest to złożony arkusik wydruku komputerowego.

Pospiesznie rozprostowała kartkę i przebiegła spojrzeniem wydruk:

STANOWISKO B, LEGENDA

SKRZYDŁO WSCHODNIE	SKRZYDŁO ZACHODNIE	PRZYSTAŃ ZAŁADUNKOWA
LABORATORIUM	PRZYSTAŃ TECHNICZNA	WEJŚCIE GŁÓWNE
ROZKŁAD ZABUDOWAŃ	SIEĆ ZASILAJĄCA	CHARAKTERYSTYKA TERENU
SKLEP	OSIEDLE PRACOWNICZE	UKSZTAŁTOWANIE TERENU
STACJA BENZYNOWA	BASEN/KORTY	KONSERWACJA ZIELENI
SIEDZIBA ZARZĄDU	ŚCIEŻKA REKREACYJNA	GAZOCIĄGI
POSTERUNEK OCHRONY 1	POSTERUNEK OCHRONY 2	SIEĆ OGRZEWANIA
PRZYSTAŃ RZECZNA	WIATA DLA ŁODZI	ELEKTROWNIA SŁONECZNA
DROGA BAGIENNA	DROGA NADRZECZNA	DROGA GÓRSKA
DROGA WIDOKOWA	DROGA NADBRZEŻNA	ZAGRODY

Od razu uzmysłowiła sobie, że patrzy na tę samą legendę, którą Arby zdołał odtworzyć z twardego dysku komputera Levine'a i następnie wydrukował. Przypomniała sobie nagle ów wieczór, kiedy szukali w mieszkaniu doktora jakichś wskazówek dotyczących lokalizacji wyspy. Miała wrażenie, że od tamtego czasu minęła cała wieczność, a przecież zdarzyło się to... Kiedy? Zaledwie dwa dni temu!

Pamiętała, jak bardzo Arby był dumny z odtworzenia tego zapisu, nad którym wszyscy łamali sobie później głowy. Teraz, rzecz jasna, każda z umieszczonych w legendzie nazw kojarzyła im się z konkretnym miejscem. Część z nich mieli okazję zobaczyć na własne oczy: laboratorium, osiedle pracownicze, sklep, stację benzynową...

Nagle coś przykuło jej uwagę.

To niemożliwe – pomyślała.

– Doktorze Thorne – odezwała się cicho. – Czy mógłby pan tu podejść?

Thorne także przez dłuższy czas spoglądał z niedowierzaniem na kartkę.

– Myślisz, że tam coś jest? – spytał w końcu.

– Nie wiem. Po prostu znalazłam to w spisie: „Wiata dla łodzi".

– Czy mogłabyś ją zlokalizować, Kelly?

– To znaczy sprawdzić, czy znajdę jej obraz przekazywany przez kamerę wideo? – Dziewczyna wzruszyła ramionami. – Mogę spróbować.

– To spróbuj.

Thorne odwrócił się i popatrzył na Levine'a, który kręcił się niespokojnie w drugim końcu sali, od czasu do czasu uderzając pięścią w ścianę. Sięgnął po krótkofalówkę.

– Saro, tu Doc.

– Musiałam się zatrzymać na chwilę – oznajmiła przez radio Harding.

– Dlaczego?

Sara stanęła w najwyżej położonym punkcie grzbietu, gdyż pięćset metrów przed sobą dostrzegła wędrującego bez pośpiechu tyranozaura. Nawet z tej odległości widziała, że drapieżnik ciągle trzyma Dodgsona w pysku. Mężczyzna jeszcze żył, wymachiwał rękoma i nogami. Wydawało jej się,

że słyszy nawet jego histeryczne wrzaski.

Ją samą zdumiał spokój, z jakim odebrała ten widok. Ani trochę nie było jej żal Dodgsona. Po prostu obserwowała niemal z naukową obojętnością, jak tyranozaur ze zdobyczą w zębach skręca z drogi i zaczyna się przedzierać przez gęstą dżunglę w kierunku dna pobliskiego wąwozu.

W końcu uruchomiła ponownie silnik i zachowując ostrożność, pojechała dalej.

Kelly cierpliwie przeglądała obrazy przekazywane przez sieć kamer wideo, aż wreszcie trafiła na ten, którego szukała: szeroki, zbity z desek daszek ocieniał solidny, drewniany pomost, wychodzący na otwartą przestrzeń. Wiata nie wyglądała na zbytnio zdewastowaną, niewiele tam rosło dzikiego wina i wszędobylskich paproci. Widać też było burtę motorówki przywiązanej do pomostu, lekko kołyszącej się na wodzie. Pod ścianą wiaty stały trzy cylindryczne zbiorniki na paliwo. Tafla wody skrzyła się w promieniach słońca, prawdopodobnie przystań musiała się znajdować u ujścia rzeki.

– I co pan o tym myśli? – zwróciła się do Thorne'a.

– Chyba warto spróbować – mruknął, zaglądając jej przez ramię. – Tylko gdzie jest ta wiata? Mogłabyś jeszcze poszukać mapy wyspy?

– Spróbuję.

Kelly pospiesznie przesunęła kursor i wróciła do głównego menu, na które składały się niewiele jej mówiące ikony:

InGen, Sieć komputerowa stanowiska B.

Arby, który obudził się przed chwilą, podszedł do stanowiska kasowego, ziewając szeroko.

– Przyjemna grafika. Sama weszłaś do systemu?

– Tak. Ale mam kłopoty z rozpoznaniem znaczenia poszczególnych ikon.

Levine nadal nerwowo chodził wzdłuż okna.

– Wszystko pięknie, ładnie – mruknął nieswoim głosem – ale z minuty na minutę robi się coraz jaśniej. Nie rozumiecie tego? Musimy znaleźć stąd jakieś wyjście. Ten pawilon to zwykły barak o ścianach z desek. Doskonała konstrukcja na tropiki, lecz niestety, niezbyt wytrzymała.

– Jakoś sobie poradzimy – odparł Thorne.

– Ściany wytrzymają najwyżej trzy minuty. Sami się przekonajcie. – Podszedł do drzwi i zastukał pięścią w ramę. – Przecież to tylko...

Nagle rozległ się głośny huk. Zasuwka odskoczyła, drzwi z impetem

walnęły w ścianę. Uderzony przez nie Levine poleciał do tyłu i upadł na podłogę.

W wejściu do pawilonu stał syczący głośno raptor.

WYJŚCIE

Siedząca przy terminalu dziewczyna zamarła z przerażenia. Jedynie kątem oka dostrzegła, jak Thorne rzuca się do przodu, błyskawicznie napiera ramieniem na drzwi i zamyka je przed drapieżnikiem. Zdumiony raptor odskoczył do tyłu, ale Doc zdołał przytrzasnąć drzwiami jego uzbrojoną w ostry szpon łapę. Naparł na nie całym ciężarem. Z zewnątrz doleciało głośne warczenie zwierzęcia.

– Pomóżcie mi! – krzyknął Thorne.

Levine szybko podniósł się z podłogi i naparł na drzwi tuż obok niego.

– Przecież ostrzegałem! – wrzasnął.

Nie wiadomo skąd, raptory pojawiły się za wszystkimi oknami pawilonu. Warcząc groźnie, zaczęły atakować żelazne kraty na zewnątrz. Wyginały je każdym uderzeniem ciała. Głuche łomoty dochodziły także od strony drewnianych ścian. Półki spadały z haków, towary rozsypywały się po podłodze. W kilku miejscach pojawiły się wyraźne pęknięcia desek.

Levine popatrzył przerażonym wzrokiem na dzieciaki.

– Znajdźcie stąd jakieś wyjście!

Lecz Kelly siedziała jak wmurowana, całkiem zapomniała o komputerze.

– Ocknij się, Kel – rzucił Arby. – Musimy uciekać.

Dziewczyna obróciła się z powrotem w stronę terminalu, ale była zdezorientowana. Kliknęła ikonę z grubym krzyżem w górnym rzędzie, ale nic się nie zadziało. Po chwili kliknęła sąsiadujący z nią biały kwadrat na ciemnym polu. Niespodziewanie pojawiła się druga plansza z ikonami, które teraz wypełniały już całą szerokość ekranu:

InGen, Sieć komputerowa stanowiska B.

– Nie przejmuj się, musi być jakiś opis, który pomoże nam się w tym

zorientować – rzekł Arby. – Trzeba tylko zobaczyć, co...

Lecz Kelly zdawała się nie zwracać na niego uwagi, w panice przesuwała kursor na chybił trafił i naciskała klawisz myszki, jakby kierowana nadzieją, że sieć komputerowa zdoła odgadnąć jej pragnienia. Podświadomie liczyła na to, że trafi na jakiś opis, na cokolwiek, co umożliwi jej zapoznanie się z systemem.

Niespodziewanie obraz uległ odkształceniu, jakby coś się zepsuło.

– Coś ty narobiła? – rzekł ostrym tonem Arby.

Kelly oblała się zimnym potem.

– Sama nie wiem – bąknęła i szybko cofnęła obie dłonie od terminala.

– Teraz jest gorzej. Zepsułaś wszystko.

Obraz nadal się odkształcał i wyginał, ikony ulegały deformacji.

– Szybciej, dzieciaki! – wrzasnął Levine.

– Staramy się! – krzyknęła Kelly.

– On się przekształca w sześcian – rzekł Arby.

Thorne zdołał dociągnąć automat do sprzedaży napojów i zatarasował nim drzwi. Raptor walił w nie z takim impetem, że wewnątrz głośno dzwoniły wszystki puszki.

– Gdzie są karabiny? – zapytał szybko Levine.

– Wszystkie trzy zostały w samochodzie.

– Wspaniale.

W niektórych oknach kraty były już do tego stopnia wgniecione, że przy kolejnych uderzeniach zaczynały pękać szyby. W prawym końcu baraku z trzaskiem wyleciała jedna deska ze ściany.

– Musimy stąd uciekać! – krzyknął Levine do Kelly. – Trzeba znaleźć jakieś wyjście!

Pobiegł na zaplecze, gdzie mieściły się łazienka i pokoje gościnne. Zaraz jednak wrócił.

– Z tamtej strony także atakują!

Dokoła nich rozlegał się huk nacierających na pawilon drapieżników.

Na ekranie monitora uformował się w końcu i zaczął powoli obracać

sześcian złożony z trzech plansz z ikonami. Kelly nie miała pojęcia, jak go zatrzymać.

InGen, Sieć komputerowa stanowiska B.

InGen, Wizualna sieć zabezpieczenia.

– Szybciej, Kel – mruknął jej tuż nad uchem Arby. – Na pewno dasz radę stąd wyjść. Skup się.

Wszyscy w pawilonie zaczęli nagle krzyczeć. Kelly spoglądała bezradnie na wirujący sześcian, czuła się zagubiona. Zupełnie już nie wiedziała, co ma robić. Nie kojarzyła nawet, w jaki sposób wywołała te zmiany na ekranie. Nie miała pojęcia, co z tym począć. W głowie kołatała jej się myśl: dlaczego Sara tak długo nie wraca?

Stojący obok niej Arby powtórzył niecierpliwie:

– Szybciej, Kel. Nie próbuj wywoływać dwóch ikon równocześnie. No, dalej. Na pewno sobie poradzisz. Zostaw ekran w takiej postaci, w jakiej jest. Tylko się skup.

Lecz ona za nic nie mogła się skoncentrować. Nie potrafiła nawet naprowadzić kursora na jakąkolwiek ikonę, sześcian wirował zdecydowanie za szybko. Przychodziło jej do głowy, że system musiał zostać wyposażony w oddzielny, niezależny procesor obsługujący tenże interfejs graficzny. Wciąż siedziała sztywno i patrzyła na ekran. Mimo woli jej myśli kierowały się ku wielu rzeczom, całkowicie niezwiązanym z tą sytuacją.

Gruby plik kabli pod stanowiskiem kasowym.

Łączność przewodowa.

Interfejs graficzny.

Sara przekazująca jej dobre rady zaraz po przyjeździe.

– Zrób coś, Kel. Musimy znaleźć jakieś wyjście. Musimy się stąd wydostać.

Wtedy, w furgonie, Harding powiedziała jej: „Większość z tych rzeczy, które ludzie będą ci mówili przez całe życie, to zwyczajne bzdury".

– To bardzo ważne, Kel – mówił Arby, który aż dygotał z przejęcia.

Dziewczyna zaś przypomniała sobie, że przywiązywanie zbytniej wagi

do komputerów zniekształca spojrzenie na świat. Teraz też…

Kolejna deska wyleciała ze ściany, przez powstałą szczelinę raptor wetknął łeb do środka. Warczał głośno i kłapał zębami.

Kelly znów pomyślała o grubym pęku kabli pod pulpitem. Nie mogła się uwolnić od tej myśli. Przez cały czas czuła przewody pod nogami.

Kable dociągnięte do stanowiska kasowego.

– To bardzo ważne – powtarzał Arby.

Nagle zrozumiała.

– Nieprawda – syknęła. – Teraz to nie ma żadnego znaczenia.

Zsunęła się z krzesła i dała nura pod pulpit.

– Co ty wyprawiasz?! – wrzasnął przerażony chłopak.

Ale Kelly już znalazła rozwiązanie. Zauważyła, że gruby pęk kabli znika w kolistym otworze w podłodze. Dostrzegła szerszą szczelinę między deskami. Zaczęła macać na oślep, aż trafiła na jakiś rodzaj zamka i pociągnęła do siebie. Klapa w podłodze uniosła się nadspodziewanie lekko. Kelly zajrzała w głąb mrocznej studni, ale panowały tam nieprzeniknione ciemności.

Znalazła jednak wyjście.

Musiała się tam znajdować nie tylko studzienka, ale również jakiś tunel instalacyjny.

– Chodźcie tutaj! – krzyknęła Kelly.

Automat z napojami runął w końcu na podłogę i raptory wdarły się do środka. Inne zwierzęta zdołały powiększyć dziurę w ścianie i także wpadły do pawilonu, przewracając regał. Z głośnym warczeniem zaczęły skakać po całej sali, obwąchując obce dla siebie przedmioty. Znalazły zwinięte w kłębek, zabłocone ubranie Arby'ego i rzuciły się na nie z wściekłością, w jednej chwili rozszarpując je na strzępy.

Przemieszczały się błyskawicznie, szukając swoich ofiar.

Ale ludzi nie było już nigdzie w pawilonie.

UCIECZKA

Kelly ruszyła przodem, oświetlała sobie drogę latarką. Posuwali się gęsiego, wodząc palcami po ociekającym wodą betonie. Szeroki tunel miał dwa na dwa metry w przekroju. Całą lewą ścianę zakrywały grube pęki kabli, rury wodociągowe i gazowe biegły pod stropem. W powietrzu unosiła się zatęchła woń pleśni. Gdzieś z oddali dolatywały popiskiwania szczurów.

Dotarli do rozwidlenia dróg, Kelly stanęła niezdecydowana. Na lewo prowadził długi, prosty korytarz ginący w ciemnościach. Pomyślała, że jest to zapewne przejście do głównej hali laboratorium. Odnoga wiodąca w prawo była krótsza, promień latarki wyławiał z mroku betonowe schodki na końcu tunelu.

Skręciła w tamtą stronę.

Wcisnęła się po schodkach do wąskiej studzienki i pchnęła umieszczone na jej szczycie drzwi zbite z surowych desek. Wkroczyła do obszernego pomieszczenia zapełnionego grubymi rurami, pokrytymi rdzą i żółtym nalotem. W tylnej ścianie znajdowało się pojedyncze, niewielkie okienko, przez które do środka wpadało światło słoneczne. Pozostali wychodzili pojedynczo z tunelu.

Kelly podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Natychmiast spostrzegła explorera, którym Sara zjeżdżała ze szczytu wzniesienia w ich kierunku.

Harding dojechała główną drogą aż nad samą rzekę. Kelly siedziała obok niej na przednim fotelu. Już z daleka zauważyła drewniany drogowskaz zdradzający usytuowanie wiaty.

– Naprawdę sam fakt zainstalowania interfejsu graficznego pozwolił ci znaleźć wyjście z pawilonu? – spytała Sara z uznaniem w głosie.

Dziewczyna przytaknęła ruchem głowy.

– Uprzytomniłam sobie nagle, iż wygląd ekranu nie ma najmniejszego znaczenia. Liczyło się tylko to, że do uzyskania takiego efektu trzeba było szybko przesyłać do terminalu miliony danych, a to z kolei oznaczało, że wykorzystano łączność przewodową. Jeśli zatem łączność zapewniał kabel, to musiał zostać poprowadzony jakimś tunelem, pomyślałam więc, iż zbudowano tunel na tyle obszerny, żeby można było dokonywać konserwacji. To wszystko.

– I wtedy zajrzałaś pod pulpit?

– Tak.

– Doskonale – powiedziała Harding. – Sądzę, że wszyscy mężczyźni

zawdzięczają ci życie.

– Nie jestem pewna – bąknęła nieśmiało Kelly i wzruszyła ramionami.

Sara spojrzała na nią z ukosa.

– Przez całe życie będziesz miała do czynienia z ludźmi unikającymi okazywania ci wdzięczności. Więc przynajmniej sama nie postępuj w ten sposób.

Droga wychodziła na płaski, podmokły brzeg rzeki, porośnięty wybujałą trawą. Gdzieś z oddali, z głębi doliny za nimi, doleciały głośne okrzyki dinozaurów. Harding okrążyła łukiem zwalone drzewo i po chwili ich oczom ukazała się wiata.

– Oho – mruknął Levine. – Znów mam złe przeczucia.

Z zewnątrz drewniana konstrukcja wyglądała na zrujnowaną, była gęsto porośnięta dzikim winem. Dach zapadł się w kilku miejscach. W samochodzie nastała martwa cisza. Sara podjechała do szerokich, dwuskrzydłowych wrót zamkniętych na zardzewiały skobel i zatrzymała wóz. Wszyscy wysiedli i ruszyli do wejścia, brnąc przez sięgające do kostek błoto.

– Naprawdę myślicie, że znajdziemy tu jakąś łódź? – zapytał sceptycznie Arby.

Malcolm opierał się na ramieniu Harding. Thorne wziął rozbieg i walnął ramieniem we wrota. Przegniłe deski puściły już po pierwszym uderzeniu. Skobel spadł na ziemię.

– Przytrzymaj go – odezwała się Sara do Thorne'a, przekazując mu matematyka.

Nogą wybiła dużą dziurę w deskach i szybko dała nura do tonącego w mroku wnętrza wiaty. Kelly pospieszyła za nią.

– I co tam jest? – zapytał Levine.

Bez przekonania zaczął odrywać fragmenty popękanych desek i poszerzać przejście. Odskoczył nagle, kiedy z jakiejś szpary wypełznął olbrzymi włochaty pająk i uciekł po ścianie.

– Przy pomoście stoi duża motorówka – odparła Harding. – Wygląda na solidną.

Levine wetknął głowę do środka.

– Niech mnie kule biją! – zawołał. – A więc chyba jednak zdołamy się stąd wydostać!

KONIEC

Dodgson grzmotnął o ziemię.

Tyranozaur wypuścił go z pyska i Lewis, wymachując w powietrzu rękoma i nogami, spadł na pochyły grunt. Impet tego upadku oszołomił go, omal nie pozbawił przytomności. Dodgson szybko jednak otworzył oczy i obrzucił spojrzeniem uformowane z błota zagłębienie. Dokoła unosił się mdlący fetor zgnilizny. Po chwili do jego uszu doleciał jeżący włosy na głowie odgłos: skrzekliwe popiskiwanie.

Uniósł się na łokciu i natychmiast rozpoznał, że jest w gnieździe tyranozaurów. Ze wszystkich stron ciągnęło się koliste podwyższenie ulepione z zaschniętego błota. Z przeciwległego końca niecki spoglądały na niego pisklęta dinozaurów, jedno z nich miało na łapie błyszczące usztywnienie z folii aluminiowej.

Dodgson poderwał się na nogi, gorączkowo usiłując znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji. Drugi olbrzymi drapieżnik stał w końcu polany i pomrukiwał, jak gdyby z czułością. Ten, który go tu przyniósł, ciągle nad nim sterczał.

Lewis popatrzył znowu na pisklęta, które z wyciągniętymi szyjami i otwartymi, uzbrojonymi w drobne ząbki paszczami ostrożnie zbliżały się do niego. Bez namysłu odwrócił się i rzucił do ucieczki. Olbrzym pospiesznie opuścił łeb ku ziemi i uderzeniem pyska zwalił go z nóg. Wyprostował się ponownie i zaczął go uważnie obserwować.

O co mu chodzi, do cholery? – pomyślał Dodgson. Tym razem wolniej podniósł się z ziemi. Lecz olbrzym ponownie zwalił go z nóg. Pisklęta, pokrzykując donośnie, zbliżyły się do niego. Lewis zauważył, że ich skóra jest pooklejana resztkami puchu i ubrudzona odchodami. Bił od nich mdlący fetor. Obrócił się i zaczął pełznąć na czworakach.

Nagle coś złapało go za nogę. Obejrzał się i z przerażeniem zauważył, że tyranozaur ponownie chwycił go zębami. Przez chwilę, tak jak poprzednio, olbrzym tylko przytrzymywał go w paszczy. Zaraz jednak zacisnął zęby. Kość pękła z głośnym trzaskiem.

Dodgson wrzasnął z bólu. Nie mógł się już nawet poruszyć. Nie zostało mu nic, jak tylko wrzeszczeć z przerażenia. Pisklęta ruszyły ochoczo w jego stronę. Przez kilka sekund zdawały się obserwować człowieka z uwagą, ostrożnie wyciągając przed siebie łebki. Ale szybko spostrzegły, że ofiara już się nie rusza. Pierwszy malec wskoczył mu na złamaną nogę i zaczął szarpać krwawiącą ranę. Drugi stanął na brzuchu Dodgsona i sięgnął zębami do strzępów jego koszuli.

Nie wiadomo skąd pojawiło się przy jego twarzy trzecie, najmniejsze pisklę i zacisnęło mu szczęki na policzku. Lewis zawył. W śmiertelnym

przerażeniu patrzył, jak mały tyranozaur pożera zakrwawiony strzęp skóry z jego twarzy. Krew spływała po pysku pisklęcia. Wreszcie malec uniósł wysoko łeb i połknął smakowity kąsek. Zaraz schylił się ponownie i rozwarł paszczę, mierząc w gardło Dodgsona.

SIÓDMA KONFIGURACJA

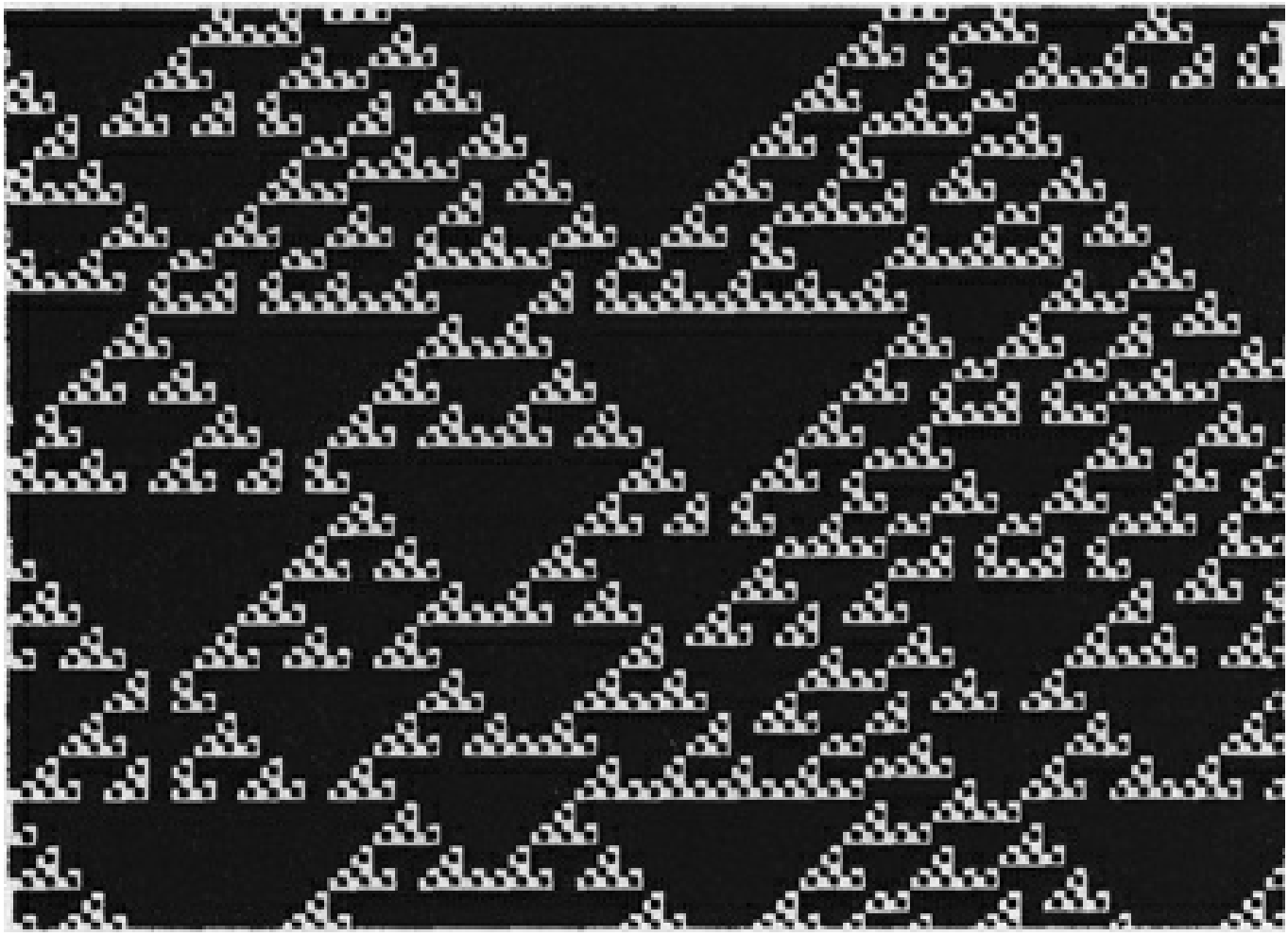

Częściowa restabilizacja jest możliwa po wykluczeniu elementów destrukcyjnych, a szanse przetrwania są w znacznym stopniu zależne od zdarzeń losowych.

Ian Malcolm

POWRÓT

Dżungla po obu stronach rzeki urwała się nagle i łódź wpłynęła w głąb mrocznej jaskini. Warkot silnika odbijał się głośnym echem od ścian skalnego tunelu. Thorne zaciskał palce na kole sterowym, gdyż prąd przypływu był dosyć silny. Za lewą burtą minęli spadający spod stropu niewielki wodospad, pojedyncze odblaski światła dziennego skrzyły się w kropelkach wody. Niespodziewanie wynurzyli się z tunelu, po jego obu stronach ciągnęły się pionowe ściany klifu, na który z impetem nacierały spienione fale. Wypłynęli na otwarte morze. Kelly głośno zachichotała i rzuciła się Arby'emu na szyję. Ten skrzywił się z bólu, lecz zaraz także się uśmiechnął.

Levine popatrzył na zostającą za nimi wyspę.

– Muszę przyznać, że straciłem już nadzieję, iż uda nam się z niej wydostać – rzekł. – Ale kamery wideo zostały na miejscu, a tutejsza sieć nadal funkcjonuje. Wydaje mi się, że będziemy mogli kontynuować obserwację, aż w końcu znajdziemy odpowiedzi na wszelkie pytania dotyczące przyczyn wymarcia dinozaurów.

Sara Harding spojrzała na niego z ukosa.

– Może tak, a może nie – powiedziała zagadkowo.

– Dlaczego tak sądzisz? Przecież to jest prawdziwy Zaginiony świat.

Uśmiechnęła się ironicznie.

– Nic podobnego. Zapomniałeś, że jest tu za dużo drapieżników?

– No cóż, z pozoru może to tak wyglądać, ale nie wiemy przecież...

– Richardzie – przerwała mu – razem z Ianem zaglądaliśmy do archiwalnych raportów. Przed laty kierownictwo ośrodka na wyspie popełniło olbrzymi błąd. Ale produkcja szła już pełną parą...

– Jaki błąd?

– Rozpoczęto hodowlę dinozaurów, nie mając pojęcia, czym je karmić. W pierwszym okresie podawano pisklętom kozie mleko, doskonałe do tego celu ze względu na właściwości hypoalergiczne. A gdy drapieżniki podrosły, zaczęto je karmić specjalnie spreparowanym ekstraktem białka zwierzęcego. Ale wykorzystywano do jego produkcji baraninę.

– I co z tego? – zdziwił się Levine. – To złe mięso?

– W ogrodach zoologicznych nigdy się go nie używa z powodu

niebezpieczeństwa infekcji.

– Infekcji... – powtórzył Levine nieswoim głosem. – Jakiej znowu infekcji?

– Mówiłem ci o prionach – odezwał się spod drugiej burty motorówki Malcolm.

Levine uniósł wysoko brwi.

– Priony to najmniejsze z dotychczas poznanych czynników chorobotwórczych, mają jeszcze prostszą budowę niż wirusy. Są to zwykłe fragmenty łańcuchów białkowych. Z tego też powodu mogą się przenosić tylko w jeden sposób, za pośrednictwem skażonego pożywienia. Niemniej wywołują bardzo groźne choroby: trzęsawkę u owiec, chorobę szalonych krów, a także kuru, pewną uciążliwą przypadłość związaną z degradacją mózgu u ludzi. Pracownicy tego ośrodka określili chorobę, na którą zapadały dinozaury, symbolem DX, nie wiedzieli jednak, że jej przyczyną jest podawany zwierzętom ekstrakt białkowy z zakażonej baraniny. Próbowali ją zwalczać przez lata, ale bezskutecznie.

– Twierdzisz, że niczego nie osiągnęli?

– Na początku mogło się wydawać, że działania przynoszą rezultaty. Mimo wszystko obserwowano przyrost populacji dinozaurów. Ale później nastąpiła katastrofa, zaraza rozprzestrzeniła się błyskawicznie. Priony są wydalane z odchodami, nie da się zatem wykluczyć...

– Z odchodami? – przerwał jej Levine. – Widziałem, jak prokompsognaty pożerały odchody...

– I tak muszą być zarażone. To przecież ścierwojady, żerują na padlinie. Wśród drapieżników choroba musiała się rozprzestrzenić błyskawicznie, nie wyłączając raptorów. Dobrze wiesz, że raptory atakują wszystkie zwierzęta, nie zawsze skutecznie. Ale w tym wypadku roślinożercy mogli zostać zarażeni nawet od jednego ukąszenia. W ten sposób stopniowo infekcja opanowała wszelkie stworzenia zamieszkujące wyspę. To dlatego wymierają, nie osiągnąwszy nawet pełnej dojrzałości. Z kolei nadmierne zdychanie roślinożerców powoduje niekontrolowany przyrost liczebności drapieżników.

Levine nagle skrzywił się z odrazą.

– Wiesz co? – mruknął. – Jeden z prokompsogantów mnie ugryzł.

– Nie ma się czym przejmować – zlekceważyła to Harding. – Najwyżej przejdziesz niegroźne zapalenie opon mózgowych, skończy się na bólu głowy. Zaprowadzimy cię do lekarza w San José.

Levine poczerwieniał, pospiesznie otarł pot z czoła.

– Chyba nie czuję się najlepiej.

– Daj spokój, Richardzie. Ta choroba rozwija się przez kilka tygodni. Nic

ci nie będzie.

Ten jednak bezsilnie osunął się na krzesełko.

– Wracając do rzeczy – podjęła Sara – muszę z przykrością stwierdzić, że obserwacje poczynione na tej wyspie niewiele ci pomogą w wyjaśnieniu zagadki wymarcia dinozaurów.

Malcolm spoglądał na urwiste, czarne skały klifu, wreszcie odwrócił głowę.

– Może i tak powinno być – rzekł w zamyśleniu. – Masowe wymieranie gatunków jest od lat wielką tajemnicą. W historii naszej planety wydarzyło się już pięciokrotnie i nie zawsze można je powiązać z upadkiem ogromnego meteorytu. Powszechną uwagę skupia przełom kredy i trzeciorzędu, kiedy to wyginęły dinozaury, lecz równie zdumiewające zjawiska miały miejsce u schyłku jury oraz triasu. Wtedy również wymarły liczne gatunki, ale żadnego z tych okresów nie da się porównać z zagładą w permie, podczas której wyginęło dziewięćdziesiąt procent żywych stworzeń zamieszkujących zarówno lądy, jak i morza. Nikt nie zna przyczyn tamtego kataklizmu. Ale zastanawiam się teraz, czy my nie staniemy się powodem następnego takiego zjawiska.

– To chyba niemożliwe – wtrąciła Kelly.

– Jesteśmy nadzwyczaj destrukcyjnymi istotami – odparł Malcolm. – Czasem odnoszę wrażenie, że można ludzkość porównać do plagi, po której zostaje tylko jałowa gleba. Niszczymy nasze środowisko tak dokumentnie, że nasuwa się wniosek, iż zostaliśmy do tego powołani. Być może co kilka milionów lat pojawia się na Ziemi jakiś gatunek, który doprowadza do zguby niemal wszystkie pozostałe stworzenia, żeby w ten sposób uczynić wolne pole do wkroczenia ewolucji w kolejną fazę.

Kelly energicznie pokręciła głową. Odwróciła się od Malcolma, podeszła do sterówki i przystanęła obok Thorne'a.

– Słychasz tego wszystkiego? – zapytał Doc. – Ja bym nie dał złamanego szeląga za te bzdury. To zwykłe teoretyzowanie. Ludzie zawsze się tym zajmowali, co nie zmienia faktu, że podobne teorie to jedynie fantazje. Ale i te ulegają zmianom. W czasach podboju Ameryki większość ludzi wierzyła w coś, co nazywano flogistonem. Słyszałaś o tym? Zresztą to i tak nie ma znaczenia, gdyż teoria flogistonu również była czczym wymysłem. Wierzyli także w cztery podstawowe żywioły, mające jakoby sterować wszelkimi uczynkami, i byli przekonani, że Ziemia liczy sobie zaledwie kilka tysięcy lat. Teraz powszechnie się głosi, że nasza planeta powstała przed czterema miliardami lat, nie ma żadnego flogistonu, lecz istnieją fotony i elektrony, natomiast ludzkie uczynki zależą od takich rzeczy jak nasze ego czy poczucie

własnej wartości. I każdy jest głęboko przekonany, że owe fantazje są o wiele bardziej naukowe niż tamte poprzednie.

– A nie są?

Thorne wzruszył ramionami.

– To także jedynie wymysły, niemające nic wspólnego z rzeczywistością. Czy widziałaś kiedykolwiek coś takiego, jak poczucie własnej wartości? Możesz mi je podać na talerzu? A foton? Zdołałaś kiedyś dotknąć jakiegoś fotonu?

Kelly pokręciła głową.

– No... Nie, ale przecież...

– Nigdy nie zdołasz tego poznać, gdyż mówimy o rzeczach nieistniejących. To nie ma znaczenia, czy ludzie traktują je poważnie. Za sto lat mieszkańcy Ziemi będą się śmiali do rozpuku z naszych poglądów. „Czy wiesz, w co oni wtedy wierzyli? W istnienie fotonów i elektronów. Możesz sobie wyobrazić większą bzdurę?". I wszyscy skwitują taką uwagę szczerym śmiechem, ponieważ za sto lat będą obowiązywały nowsze, lepsze i bardziej naukowe fantazje. – Thorne umilkł na chwilę. – A tymczasem spróbuj poczuć kołysanie łodzi na falach. Jesteśmy na morzu. Te wrażenia są autentyczne. Czujesz zapach soli w powietrzu? Słońce grzeje twoją skórę? Tylko to się liczy. Popatrz na nas wszystkich, płynących tą motorówką. To jest rzeczywistość. Życie jest piękne. To najwspanialszy dar, który pozwala nam się cieszyć słońcem i oddychać świeżym powietrzem. W gruncie rzeczy nic innego nie ma znaczenia. A teraz spójrz na kompas i powiedz mi, gdzie jest kierunek południowy. Chciałbym trafić do Puerto Cortés. Najwyższa pora wrócić do domu.

PODZIĘKOWANIA

Zdarzenia przedstawione w tej książce są czystą fikcją. Podczas pracy nad powieścią opierałem się na publikacjach naukowych z wielu różnych dziedzin wiedzy. Pragnę wyrazić swoją szczególną wdzięczność za możliwość wykorzystania prac oraz teorii następujących autorów: Johna Alexandra, Marka Boguskiego, Edwina Colberta, Johna Conwaya, Philipa Currie, Petera Dodsona, Nilesa Eldredge'a, Stephena Jaya Goulda, Donalda Griffina, Johna Hollanda, Johna Hornera, Freda Hoyle'a, Stuarta Kauffmana, Christophera Langtona, Ernsta Mayra, Mary Midgley, Johna Ostroma, Normana Packarda, Davida Raupa, Jeffreya Schanka, Manfreda Schroedera, George'a Gaylorda Simpsona, Bruce'a Webera, Johna Wheelera oraz Davida Weishampela.

Pozostaje mi jedynie dodać, że poglądy wyrażone w tej książce są moje, a nie wymienionych autorów, oraz przypomnieć czytelnikowi, że półtora wieku po ogłoszeniu teorii Darwina wiele twierdzeń dotyczących ewolucji nadal spotyka się z rzetelną krytyką i jest przedmiotem gorących dyskusji.

MICHAEL CRICHTON

Zmarły w 2008 roku amerykański pisarz, reżyser, scenarzysta i producent filmowy. Autor pięciu książek niebeletrystycznych oraz ponad 20 powieści przełożonych na 36 języków, które wydawał pod własnym nazwiskiem lub pseudonimami. Reżyser siedmiu filmów fabularnych zrealizowanych w większości na podstawie własnego scenariusza, m.in. *Śpiączki* (z Michaelem Douglasem), *Świata Dzikiego Zachodu* (z Yulem Brynnerem) i *Wielkiego napadu na pociąg* (z Seanem Connerym). Producent i pomysłodawca głośnego serialu telewizyjnego *Ostry dyżur*. Do najbardziej znanych powieści Crichtona należą: *„Andromeda" znaczy śmierć*, *Kongo*, *Kula*, *Park Jurajski*, *Wschodzące słońce*, *W sieci* i *Pod piracką flagą* (wydana pośmiertnie). Większość została zekranizowana przez znanych twórców (m.in. Stevena Spielberga, Barry'ego Levinsona i Richarda Donnera). Michael Crichton ukończył studia medyczne na Uniwersytecie Harvarda, uzyskując tytuł doktora medycyny. Swoją pierwszą powieść opublikował, będąc jeszcze studentem.